

TIM WILLOCKS

**BUNT
W GREEN
RIVER**



TIM WILLOCKS

**BUNT
W GREEN
RIVER**

Przełożył Maciej Szymański



DOM WYDAWNICZY REBIS

Tytuł oryginału
Green River Rising

Copyright © 1994 by Tim Willocks

All rights reserved, which includes the right to reproduce this book or portions thereof in any form whatsoever except as provided by the U.S. Copyright Law.

Grateful acknowledgment is made for permission to use lyrics from the following songs:

San Antonio Rose by Bob Wills. Copyright © 1940 by Bourne Co. Copyright renewed. This arrangement copyright © 1993 by Bourne Co. All rights reserved. International copyright secured.

Whatever Will Be Will Be (Que Será Será). Words and music by Jay Livingston and Ray Evans. Published worldwide by Jay Livingston Music and MCA Music O.B.O. St. Angelo Music

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznan 2009

Redaktor
Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© moodboard/Corbis

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-327-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp, z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74
e-mail: rebis(,)rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Dla
JOSEPHA ROYA WILLOCKSA
który zabierał mnie do kina
i nauczył, co znaczy być mężczyzną

*Zastanawiałem się, jak by porównać
Świat z tym więzieniem, w którym tutaj żyję (...).*

William Shakespeare, *Ryszard II*, przeł. Maciej Słomczyński

SŁOWO

Spróbujcie, jeśli łaska, wyobrazić sobie ciemność, a w niej stalowe pręty inkrustowane rdzą i brudem wieków. Pręty te tkwią w blokach granitowej skały, równie starych jak wzgórza, w których uformował je czas, spojonych zaprawą i pnących się w górę, granit na granicie, na trzydzieści metrów i więcej.

Spomiędzy prętów osadzonych w podziemnym murze wypływa ściek spieniony odchodami dwóch tysięcy ośmiuset zrozpaczonych ludzi oraz niepoliczonych tysięcy tych, którzy trafili tu przed nimi. Odetchnijcie tym piekielnym powietrzem. Posmakujcie go. Oto jest zapach i smak kary, surowej i czystej. W tym mętnym nurcie zawiera się cały paradoks niepojętej, umęczonej rasy, która właśnie tu musi odnaleźć swą ostatnią przystań, właśnie tu na zawsze połączy się z nienasyconą, nieposkromioną masą odpadów, która jest jej przeznaczeniem. Ten ściek w trzewiach potwornego więzienia, ten ściek w ścieku świata, jest bowiem miejscem, w którym kończy się konieczność, a rodzi możliwość: tu, w chwale i bólu ostatecznej klęski.

Oto jest Green River.

Oto historia buntu.

PROLOG
DOLINA

Milion lat, bo taka była suma odsiadywanych tu wyroków, wystarczyło, by granitowa kostka nabrała oleistej gładkości, głęboko nasycona brudem i rozpaczą. Maszerując głównym korytarzem bloku B, naczelnik John Campbell Hobbes czuł w kościach każdy z utrwalonych w kamieniu kroków, skumulowanych przez pokolenia. W gardle wyczuwał odór zatęchłego potu i skażonej flegmy, połączoną woń oparów nikotyny i haszyszu. Tak, to tu gromadził się skoncentrowany, przedestyłowany smród ludzkich wydaliny i bólu, od dziesięcioleci magazynowany pod wysoką, przeszkloną kopułą wieńczącą trzy kondygnacje cel. To tu zsyłano ludzi, by rzucić ich na kolana; to tu uczono zasad tych, którzy nie chcieli ich znać.

W innych zakątkach planety zapewne istniały gorsze miejsca do życia - znacznie gorsze - ale nie było takich w Stanach Zjednoczonych. Na nic lepszego nie było stać cywilizacji, która rozpadała się na oczach Hobbesa i którą gardził dziś z całą mocą swego wielkiego umysłu. Gdy szedł, stalowe skuwki na podeszwach jego butów wybiły na kamieniach jednostajny rytm, jakimś sposobem pomagając mu w skupieniu się na służbie. Na służbie - a może na realizowaniu polityki - którą naczelnik Hobbes pełnił z niedoścignym zaangażowaniem. Jego obowiązkiem było dyscyplinować i karać, lecz tego dnia zamierzał sięgnąć po inne środki.

Tego dnia John Campbell Hobbes miał roztrzaskać klejnot dyscypliny młotem i dłutem wojny.

Trzy kroki za nim kroczył oddział sześciu strażników z pełnym ekwipunkiem bojowym: w hełmach z przyłbicami, w pancerzach z kevlaru, z pałkami, pleksiglasowymi tarczami oraz gazem łzawiącym. System komunikacji publicznej - osiem głośników umocowanych ponad tylną bramą - rozbrzmiewał głosem piszczałek i bębnow, które nadawały rytm krokom Hobbesa i jego ludzi. Huk bębnow napelniał też kończyny Hobbesa niezmierną mocą, a przy okazji zagłuszał pomruki skazańców stłoczonych na galerii powyżej. Nie nawidzili go ślepo i bezrozumnie; dawniej przejmował się tym, ale tego dnia przyjmował ich nienawiść z otwartymi ramionami.

Kamień. Bębny. Kara. Siła.

Dyscyplina była wszystkim.

Hobbes był wszystkim.

Wszelkimi środkami.

Wściekły pochód jego myśli ustał na moment. Hobbes sprawdził starannie wszelkie zakamarki umysłu, szukając choćby śladu błędu, pychy czy wątpliwości. Nie znalazł. Tak to jest: wszechświat można przekształcać jedynie dzięki uwolnieniu nieujarzmionych, nieprzewidywalnych sił. Wielki fizyk się mylił: Bóg naprawdę grywał w kości.

A tu, w ponurym i nędznym wszechświecie Więzienia Stanowego Green River, John Campbell Hobbes był samym Bogiem.

Zakład ten zaprojektował angielski architekt, niejaki Cornelius Clunes, w czasach, w których łączenie filozofii, sztuki i inżynierii w jedno, bajeczne dzieło było jeszcze możliwe. W 1876 roku na zlecenie gubernatora Teksasu Clunes rozpoczął pracę nad projektem więzienia, którego każda cegła miała emanować mocą - zarówno w widzialny, jak i nieuchwytny sposób. Nie był to ciemny loch. Nie było to kanciaste pudło o brutalnej formie. Więzienie Green River było hymnem ku czci dyscyplinujących właściwości światła.

Od cylindrycznego jądra zwieńczonego wspaniałą szklaną kopułą biegły na zewnątrz cztery bloki więzienne i dwa bloki robocze, rozstawione pod kątem sześćdziesięciu stopni, niczym szprychy gigantycznego koła. Pod kopułą znajdowała się wartownia główna, z której roztaczał się doskonały widok na centralne korytarze wszystkich czterech bloków więziennych. Sklepienia bloków wznosiły się na gładkich, granitowych murach aż dwadzieścia stóp ponad poziomem najwyższego piętra cel. Słupy, płatwie i krokwie wykuto z żelaza i okryto grubymi płytami szkła w ekstrawaganckim zielonym odcieniu. Wpadało przez nie wszystkowidzące światło Boga: wytrwały obserwator, który w wystraszonych więźniach budził świadomość, iż są poddani nieustannej inwigilacji, i zapewniał automatyczne funkcjonowanie władzy. Spoglądając przez okno celi, skazaniec mógł dostrzec mury okalające zakład i przyczajonych tam strzelców; za kratą drzwi rozciągał się widok na główną wieżę obserwacyjną, najeżoną kamerami i pełną strażników. Nocą celę rozświetlał mętny blask zielonej żarówki, a po murach i korytarzach myszkowały snopy światła z reflektorów. Ten, kto przychodził do Green River, żegnął się z ciemnością na czas pobytu. Ciemność bowiem pozwalała przynajmniej na iluzję prywatności, nie widzialności, była miejscem, w którym człowiek mógł spróbować zrekonstruować sens własnej egzystencji. Światło było dyscypliną, a ciemność - wolnością. Jako że więzień był nieustannie widoczny, nigdy nie mógł być pewny, czy ktoś go obserwuje, czy nie, i dlatego stawał się własnym strażnikiem: zawsze kontrolował swoje zachowanie, wyręczając klawiszy. Green River było przykładem architektury władzy zbudowanej na paranoicznych urojeniach winowajców.

W bloku B mieściła się Dolina Długodystansowców. Tak przynajmniej nazywał tych więźniów ich przywódca, Reuben Wilson. Wszyscy byli czarni. Oficjalnie nie istniała polityka segregacji, ale w

atmosferze zagrożenia i strachu ludzie w naturalny sposób łączyli się w grupy plemienne, a Hobbes i jego podwładni pozwalali im na to w imię niełatwego pokoju. Blok C należał do czarnych i Latynosów; blok A do Latynosów i białych; D wyłącznie do białych. Przeciwnie, wrogie sobie siły trwały w zawieszeniu, czekając na sposobność do starcia. Wojna to naturalny stan ludzkości; pokój jest ledwie preludium do niej, okresem przygotowań. Kiedy Hobbes szedł Doliną, miał kipiący tłum posępnych, spoconych twarzy. W oczach podopiecznych rozpoznawał tylko jedną cechę: zaraźliwy nihilizm zrodzony z długotrwałego, bezmyślnego cierpienia.

Na samym końcu bloku, w bezpiecznej bliskości drzwi strzegących wyjścia na dziedziniec, stało samotne podium z mikrofonem. Zbliżając się doń, Hobbes czuł, jak strumyki potu spływają mu po szyi pod koszulę; te z czoła zalewały mu oczy. Oparł się jednak pokusie otarcia twarzy. Cornelius Clunes tworzył swe arcydzieło w wilgotnym półmroku wiktoriańskiego Londynu. Fakt, iż żelazno-szklany wytwór jego fantazji stał się ciałem właśnie tu, w subtropikalnym klimacie wschodniego Teksasu, wywołał nieprzewidziany skutek: więzienie stało się gigantyczną szklarnią, chwytającą promienie słoneczne i magazynującą ich energię w rozpalonych ciałach skazańców. Dawniej panowały tu tak ciężkie warunki, że populację regularnie dziesiątkowały epidemie cholery, duru brzuszego i żółtej febry. Jako że zdrowi więźniowie dokonywali tego, czego nie ważyły się dokonać władze - hurtowo mordowali wszystkich z objawami choroby - każda epidemia kończyła się w owym czasie eksplozjami barbarzyńskiej przemocy, które nie mieściły się nawet w pojemnej głowie Hobbesa.

Po drugiej wojnie światowej więzienie zostało zamknięte - na północ od Houston otwarto nowoczesne i niezmiernie higieniczne więzienie - ale w latach siedemdziesiątych, gdy przestępczość szerzyła

się na niespotykaną skalę, dzięki wynalazkowi klimatyzacji oraz wizji, która pojawiła się w umyśle Johna Campbella Hobbesa, Green River ożyło na nowo. Hobbes czuł, że to miejsce należy do niego. Jest jego wszechświatem. Nadzwyczajnym instrumentem, maszyną uniwersalną, wzniesioną na samym skraju zdrowego społeczeństwa, w której jego zdeformowane - ale przecież wciąż ludzkie - składniki można poddać procesowi dyscyplinowania, karania i oczyszczania ze skłonności do aspołecznych zachowań, nim powrócą do normalnego życia. Niezaprzeczalnie była to szlachetna misja. Jednakże w ciągu dwudziestu lat pracy Hobbes był świadkiem tego, jak ów uniwersalny instrument zmienia się - początkowo z wolna, a potem w sposób niekontrolowany - w niepojęte zoo, drwinę z jego czystych intencji. Niektórzy ośmieszali jego wystąpienia w tej sprawie przed Stanowym Biurem Penitencjarnym, inni podziwiali je (w sekrecie), ale wszyscy zgodnie odrzucili plany naprawy jako politycznie niemożliwe do wykonania. Doskonale. Nareszcie nadszedł czas, żeby pokazać im konsekwencje tej krótkowzroczności, pomyślał Hobbes. Wspiął się na podwyższenie i stanął przy mikrofonie.

Jazgot piszczałek i werbli urwał się raptownie.

W bloku więziennym nigdy nie panowała cisza. Nigdy. Ale teraz, gdy nagle umilkła muzyka, wydawało się, że rzędy ciasnych cel uci-chły na moment.

Hobbes odetchnął głęboko, wypinając pierś i prostując ramiona. Jego strażnicy zatrzymali się przed podium, w płytkiej formacji w kształcie litery V, a ponad nimi piętrzyły się mury naszpikowane prętami stalowych klatek, zwieńczone blokami litego granitu i wreszcie zamknięte kopułą z żelaza i szkła, za którą było już tylko niemiłosiernie palące słońce. Skazańcy, wypędzeni z cel, palili papierosy i drapali się po intymnych częściach ciała, wychylając się ponad barierkami chroniącymi pomosty. Tylko nieliczni mieli na

sobie w żaden sposób nieozdobione, regulaminowe drelichy. Wielu było półnagich. Żałosne gesty buntu, pomyślał Hobbes, ale czy zbuntowani, czy nie, będą słuchać z uwagą, bo zaimprovizowane „orędzie o stanie państwa” to mile widziana odmiana w ich niemożliwie nudnych żywotach. Gdy tak stał przed nimi, krępy i surowy, łysy i odziany w czerń, o kamiennej, zgorzkniałej twarzy, prawie-cisza zaczęła zmieniać się w gwar. Z początku były to tylko nieartykułowane, brzuszne i gardłowe odgłosy, przedwerbalne pomruki surowej furii, upodabniające tłum liczący pięć setek mężczyzn do pojedynczego organizmu. Zaraz jednak bezkształtną masę pomruków zaczęły przesywać krzyki. W przegrzanym powietrzu, gęstym od woni spoconych ciał, słowa zdawały się płynąć w stronę Hobbesa w zwolnionym tempie.

- Hej, naczelniku! Twoja stara lubi brać w dupala!

Okrzyk, który dobiegł z trzeciej kondygnacji cel, nagrodziła salwa śmiechu. Bardzo wolnym ruchem Hobbes wyjął z kieszeni białą chusteczkę i w milczeniu otarł czoło.

- Mówiła mi, że lubisz ją tak posuwać, tylko masz za mały sprzęt!

Znowu śmiech. Na drugim poziomie ktoś wrzasnął: „Naczelnik minifiut!” Hobbes jeszcze się nie odezwał. Starannie złożył chustkę, pozwalając, by rwetes z wolna narastał. W przestronnej nawie bloku więziennego otaczały go teraz ze wszystkich stron wymachujące buńczucznie ramiona, zaciśnięte pięści, szeroko rozwarte, różowe usta, nienawistne oczy naznaczone siateczką popękanych naczyń krwionośnych oraz żółte zęby odsłonięte w grymasie zaciętości. Kiedy już nie mógł wyróżnić pojedynczych dźwięków w fali obelg, która go zalewała, pochylił się nad mikrofonem.

- Żał mi was wszystkich.

Mówił cicho, pozwalając, by wzmacniacze nadały jego głosowi właściwą siłę. Zgiełk przed celami ucichł. Byli wściekli, ale chcieli

go wysłuchać. Hobbes zwlekał, spoglądając w górę, ku galeriom, i raz po raz zatrzymując wzrok na wybranych twarzach. Pokiwał głową, jakby w głębokim smutku, nim znowu przemówił.

- Stoicie niżej niż zwierzęta.

- Pierdol się!

- Tak! - Hobbes gwałtownie odwrócił głowę w stronę, z której dobiegł okrzyk. - Zamknęci w klatkach, nie wiecie nawet dlaczego! Żalodne kozły ofiarne świata, do którego zrozumienia brakuje wam choćby szczątkowej inteligencji!

Hobbes czuł, że jego głos staje się piskliwy. Obniżył go o ton.

- Pewnie wyobrażacie sobie, że siedzicie tu za karę: za żalodne przejawy wykołejenia i akty przemocy, za bestialskie gwałty i morderstwa, którymi chełpicie się w tych swoich brudnych norach. Mylicie się.

Hobbes obniżył głos jeszcze o ton.

- Bardzo się mylicie.

Kazał im czekać - i czekali.

- Wasze życia są zbyt mało warte, by usprawiedliwiały istnienie maszyny tak pomysłowej. A może wydaje się wam, że chodzi o odstraszanie - was lub innych bandytów? Nic podobnego. Nikogo nie interesuje to, że macie ochotę mordować się, gwałcić i truć w waszych śmierdzących gettach. Osobiście nawet w pełni popieram takie działania.

Aż do tej chwili słuchano go we względnej ciszy; teraz jednak gniewny pomruk dobiegł ze wszystkich galerii.

Hobbes uśmiechnął się pośępnie.

- Wiem też, że są wśród was zupełnie niewinni - dodał bez sarkazmu. - O, tak. Naprawdę niewinni. Ofiary celowej, rażącej niesprawiedliwości.

Kolejny pomruk, tym razem głośniejszy. Hobbes zaczął mówić z większą emfazą.

- Godzę się też z tym, że jeśli spojrzeć na to z szerszej perspektywy, wszyscy jesteście ofiarami tej samej celowej, rażącej niesprawiedliwości. I właśnie dlatego tu jesteście, przyjaciele.

W miarę jak jego słowa przebijały się do otępiałych samotnością umysłów, gwar narastał, aż wreszcie Hobbes musiał zacząć krzyczeć, by nie dać się zagłuszyć.

- A waszym prawdziwym zadaniem, jeśli chcecie wiedzieć, jest bycie kastą podludzkich szumowin, którą społeczeństwo może gardzić, której może się bać i którą może nienawidzić. Słuchajcie mnie. Słuchajcie!

Hobbes zadarł głowę ku drugiemu poziomowi cel i z tłumu rozwrzeszczanych twarzy wyluskał wzrokiem Reubena Wilsona, szczupłego, dość bladego Murzyna po trzydziestce, przyglądającego mu się w milczeniu. Czekał, wytrzymując jego spojrzenie. Po chwili Wilson wykonał ręką prosty gest i jak za sprawą magii więźniowie stojący najbliżej umilkli, a strefa ciszy rozszerzyła się błyskawicznie i w ciągu kilku sekund ogarnęła cały blok. Hobbes był pod wrażeniem, ale nie był tym zaskoczony. Skinął Wilsonowi głową i podjął przerwana przemowę. Wypowiadał słowa niespiesznie, tak by wszyscy go zrozumieli.

- Jesteście - wyłącznie i po prostu - zbiornikiem sanitarnym na końcu rynsztoka, do którego my, reszta społeczeństwa, możemy wydalać z siebie całe zło, okrucieństwo, pragnienie zemsty, nasze mroczne, niewypowiedziane fantazje o przemocy i chciwości. Wasze cierpienie jest niezbędne dla gładkiego funkcjonowania cywilizacji. Ale nie pochlebiajcie sobie: wasze pojedyncze zbrodnie - choćby najbardziej szokujące - nie mają najmniejszego znaczenia. Oczekuje się od was jedynie tego, że będziecie tu trwać, winni czy niewinni, dobrzy czy źli. Jesteście nocnikiem, do którego się sra - niczym więcej. Pojmijcie to. Bo ja pojmuję to doskonale. A kiedy będziecie leżeć i szlochać w swoich celach, przemyślcie sobie jeszcze jedno:

wasz pobyt tutaj jest wielką przysługą dla społeczeństwa, którym tak gardzicie.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy skazańcy wysilali umysły, próbując zrozumieć dogłębnie jego słowa. Hobbes przyglądał się im, zafascynowany zbiorową osobowością tłumu. Jakimś sposobem przekaz dotarł do wszystkich jednocześnie. Rozległy się pomruki i westchnienia, a potem jakby prąd przebiegł tam i z powrotem po więziennych galeriach.

Nagle, pod wpływem jednego impulsu, pięciuset mężczyzn wybuchło nieopisaną furią. Potoki przekleństw, donośne ryki, tupanie buciorów i wymachiwanie pięściami - wszystko to przetoczyło się przez blok niczym wysoka fala i rozbiło o litą skałę zwaną Johnem Campbellem Hobbesem. Strażnicy stojący u podnóża mównicy zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zacieśnili szyk, kładąc dłonie na pojemnikach z gazem. Jeden fałszywy krok mógł oznaczać niekontrolowany wybuch przemocy.

Lecz w układzie krwionośnym naczelnika krążyła teraz głównie adrenalina, która jak żadna inna substancja dawała mu niezachwianą pewność własnej racji. Hobbes nie znał strachu.

- Wracać do cel! - ryknął do mikrofonu.

Dokładnie tak jak się spodziewał, rozkaz został zignorowany. Kapitan Bill Cletus, stojący w szyku strażników, odwrócił się i spojrział na niego. Rumiana twarz oficera emanowała niezmaconym spokojem. Hobbes skinął głową, a wtedy Cletus pochylił głowę i odezwał się do mikrofonu wpiętego w klapę munduru. Stalowe drzwi za plecami Hobbesa rozwarły się ze zgrzytem i do bloku wbiegł kolejny oddział szesnastu strażników. Wszyscy mieli zawieszoną na szyjach maski przeciwgazowe; czterech dźwigało miotacze gazu łzawiącego, które wycelowali w stronę wzburzonego tłumu na galeriach. Pozostali byli uzbrojeni w strzelby i broń krótką. Gdy strażnicy zajęli

pozycje, Hobbes odezwał się ponownie, wspomagając słowa zdecydowanymi gestami.

- Wracać do cel. Dalsza niesubordynacja skończy się niepotrzebną karą.

Z drugiej kondygnacji cel nadleciał jakiś nieduży, ciemny przedmiot. Hobbes zauważył go w porę, ale nie uchylił się. Pocisk trafił go w ramię, zatrzymał się na nim na sekundę, po czym opadł na podium u jego stóp. Wściekłość więźniów momentalnie zmieniła się w zaciekawienie.

Hobbes spojrział na galerię, po czym zwrócił się do Billa Cletusa.

- Wilson - powiedział.

Cletus i czterej jego ludzie puścili się biegiem po stalowych schodach, w stronę kładki na drugim poziomie cel. Gdy dotarli na szczyt, otyły skazaniec - dwukrotny gwałcieciel nazwiskiem Dixon - celowo zastąpił im drogę. Cletus potraktował go gazem, a gdy Dixon cofnął się i oparł o ścianę, oślepiiony i ciężko dyszący, minął go i wszedł na galerię. Dwaj idący za nim strażnicy rzucili się na Dixona niczym drwale, ciosami pałek podcinając mu nogi w kolanach. Gdy był już wystarczająco zakrwawiony i stłamszony, wykręcili mu ręce, poderwali w górę i brutalnie zawlekli do najbliższej pustej celi, gdzie wepchnęli jego głowę do sedesu.

Wilson, poruszając się z lekkością tancerki, przyjął pozycję obronną i zacisnął pięści. Z podwyższenia Hobbes przyglądał się, jak reaguje na nadchodzącego Cletusa i jego ludzi. Wilson był swego czasu głównym pretendentem do tytułu mistrza świata wagi średniej i idolem młodzików z getta, dla których obrabowanie sklepika spożywczego było życiowym osiągnięciem. W głębi duszy Hobbes szczerze go podziwiał, zwłaszcza że bokser spędził za kratami już osiem lat, pokutując za zbrodnię, której nie popełnił. Czujni strażnicy byli już blisko, gdy Wilson spojrział w dół przez kratownicę stalowej galerii i zauważył, że naczelnik go obserwuje. Popatrzyli sobie w oczy, co

wystarczyło mu, by oszacować konsekwencje, które ponieśliby więźniowie, gdyby postanowił stawić opór. Opuścił gardę i wyprostował się przed Cletusem.

- To nie ja, kapitanie - powiedział Wilson.

Cletus wbił czubek pałki w jego brzuch, a potem jej drugim końcem wymierzył mu cios prosto w skroń. Wilson skulił się i oparł o barierkę, a strażnicy zaszli go od tyłu i pochwycili za ręce. Wykręcając je z całej siły, powlekli go schodami w dół. Hobbes zauważył, że nikt nie stanął w obronie Wilsona.

W bloku panowała cisza, jeśli nie liczyć tupotu butów Wilsona i strażników na stalowych stopniach oraz kaszlu i skomlenia Dixona w celi. Hobbes przyglądał się skazańcom. Wydawali się bezradni i jakby zawstydzeni. Kławiszę doprowadzili wreszcie Wilsona przed podium i wtedy dopiero wypuścili z rąk jego ramiona. Wilson zachwiał się lekko, jakby miał upaść, ale odzyskał równowagę. Spoglądał na Hobbesa, praktycznie nie mrugając.

Teraz dopiero Hobbes pochylił głowę, by sprawdzić, czym został trafiony. Był to kawałek ludzkiego kału, rozłamany na dwie części pod wpływem uderzenia. Hobbes schylił się i podniósł większy fragment, ujmując go dwoma palcami. Zamarł na moment, pochyłony, i spojrzał Wilsonowi w oczy. Bokser zrozumiał, ale nie mógł nic zrobić. Hobbes wyprostował się i uniósł nad głowę kawałek kału, pokazując go więźniom. Zareagowali cichym pomrukiem.

Gdy miał już pewność, że wszyscy wiedzą, co trzyma w dłoni, znowu zbliżył się do mikrofonu.

- Oto, czym jesteście.

Wszyscy obserwowali go w skupieniu. Celowo i jakby z satysfakcją Hobbes zacisnął palce wokół kawałka kału i zmiażdżył go w pięści.

Więźniowie westchnęli z odrazą, a wymamrotane przez setki ust naraz „Jezu” wzniosło się ku szklanej kopule. Hobbes oderwał wzrok

od galerii i spojrzął w dół, na Wilsona, który oblizwał krew z ust i z trudem przełknął ślinę.

- Czy pan ma pojęcie, co robi? - spytał bokser.

Hobbes wytrzymał spojrzenie jego ciemnych oczu przez bite dziesięć sekund. Wilson był zbyt inteligentny, by można było pozostawić go na bloku. Mógłby zniweczyć plan Hobbesa. Musiał więc trafić do izolatki; było to niesprawiedliwe, ale konieczne. Hobbes skinął głową na Cletusa.

- Do dziury z nim.

Strażnicy szarpnęli Wilsona w tył i poprowadzili do stalowych drzwi wiodących na dziedziniec. Współwięźniowie w milczeniu obserwowali jego wyjście. Hobbes pochylił się nad mikrofonem.

- A teraz wróćcie do swoich cel. Zawieszam bezterminowo przywileje pracy, wyjścia na plac i odwiedzin. Innymi słowy: totalna blokada.

W próżni, która pozostała po Wilsonie, słowa naczelnika zostały przyjęte ze względny spokojem.

- A skoro przez całe dwadzieścia cztery godziny na dobę nie będziecie mieli nic lepszego do roboty, przemyślcie to sobie dobrze - dodał Hobbes, unosząc wysoko otwartą, brudną dłoń. - Mogę to zmyć w trzydzieści sekund. Wy zaś do końca życia pozostaniecie czarnuchami.

Hobbes odwrócił się na pięcie, zeskoczył z podium i wyszedł na dziedziniec.

Dopiero na świeżym powietrzu zdał sobie sprawę, jak bardzo przyspieszył rytm jego serca i oddechu. Wystąpienie przebiegło znacznie lepiej, niż zakładał. Wyjął z kieszeni chustkę i wytarł dłoń. Zauważył, że Bill Cletus spogląda na niego z ukosa. Cletus instynktownie rozumiał - lepiej niż ktokolwiek inny poza Hobbesem - zasady rządzące więziennym życiem. Nie miał natomiast umysłu na miarę Hobbesa. Brakowało mu też silnej woli. Hobbes spojrzął w niebo. Słońce prażyło z wielką mocą. Po chwili znów popatrzył na Cletusa.

- Od jutra - rzekł - wyłączamy klimatyzację w bloku B.

Cletus zatrzepotał powiekami.

- A co z blokadą?

- Bezterminowa, jak powiedziałem.

- Poleje się krew - stwierdził Cletus.

Udawało mu się niemalże podwoić osobiste dochody dzięki towarom, które przemycał do więzienia dla Neville'a Agry'ego, przywódcy Dożywotnych z bloku D. Hobbes dobrze o tym wiedział. Zastanawiał się nawet, czy nie przypomnieć o tym kapitanowi, ale uznał, że w tym momencie nie będzie to konieczne.

- Bez względu na konsekwencje, kapitanie - powiedział - ma pan jedynie wykonywać moje rozkazy.

Cletus cofnął się o krok i zaszalutował.

- Tak jest - odpowiedział.

Hobbes skinął głową, odwrócił się i ruszył w głąb dziedzińca. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie miał nic na sumieniu. Robił to, co należało zrobić. Nareszcie ktoś robił to, co należało zrobić. Coś, co zapowiadało się nieprzyjemnie, ale było niezbędne. Temperatura w bloku już zaczęła rosnąć i zbliżała się decydująca chwila. Hobbes złożył chustkę, wsunął ją do kieszeni i pomaszerował w stronę swojej wieży.

CZEŚĆ PIERWSZA
BUNT

ROZDZIAŁ 1

Godzinę przed pierwszym porannym liczeniem o siódmej doktor Ray Klein otworzył oczy i pomyślał o mewach, które krążyły wysoko ponad zewnętrznym murem. A może raczej wyobraził je sobie. Bo przecież równie dobrze mogło ich tam nie być. Gdyby Klein był mewą, z pewnością omijałby szerokim łukiem to zasrane, szarobure zadupie. Gdzieś indziej musiały istnieć lepsze śmietniska. Poza tym nawet gdyby jakimś cudem nad więzieniem krążyło największe stado ścierwojadów w historii wschodniego Teksasu - dowolnie liczne i głośne - to Ray Klein i tak by tego nie usłyszał, gdyż wokół niego trwał nieustający koncert chrapiących, pojękujących i rzucających się na pryczach pięciuset sześćdziesięciu paru skazańców.

Klein zamrugał i przypomniał sobie, że jest dupkiem.

Wysoko szybujące ptaki były głupawą wizją dla skazańców, która nie niosła ani odrobiny pocieszenia. Lecz mimo wszystko Klein myślał o nich, po części dlatego, że był zatwardziałym sukinsynem, a po części dlatego, że nie udało mu się jeszcze zapanować nad wewnętrznym pragnieniem czynienia właśnie tego, co nie dawało żadnej pociechy. Pod tym względem miał wiele wspólnego z innymi więźniami. Jednakże w przeciwieństwie do nich tego dnia Ray Klein miał jeszcze jeden powód, by pozwolić ptakom szybować nad wymagowanym krajobrazem: po trzech latach niełatwej odsiadki pojawiła się szansa - ledwie s z a n s a - na to, że dranie rządzący tym

przeklętym miejscem wreszcie zwrócą mu wolność. Klein dokonał w umyśle szybkiej eksterminacji ptactwa i spuścił nogi z pryczy.

Staął na brukowanej posadzce, wyczuwając nagimi stopami jej chłód i twardość. Zacisnął palce stóp na krawędziach kamieni i pochylił się mocno w mętnej, zielonkawej aurze nocnego oświetlenia. Położył obie dłonie płasko na podłodze, wyciskając z kręgosłupa i stawów resztki zastalej krwi. Tak naprawdę nie miał ochoty sterceć w półmroku i się rozciągać. Nienawidził tego. Zdecydowanie wołał spędzić najbliższą godzinę w niebycie, włócząc się po sennych zakamarkach własnego umysłu, przestronnych jak sam wszechświat i z całą pewnością mniej przykrych. Lecz mimo to przez okrągłe dziesięć minut oddawał się bolesnym ćwiczeniom, bo już dawno wziął sobie do serca słowa Williama Jamesa:

...bądź systematycznie ascetyczny albo heroiczny w całym zbędnych sprawach, rób coś każdego dnia tylko z tej przyczyny, że wcale nie masz ochoty tego robić, abyś, kiedy przyjdzie godzina wielkiej próby, nie stanął wobec niej niepokojny i nieprzygotowany...

Ray Klein zakończył ostatnie ćwiczenie rozciągające i przyklęknął, opierając pośladki na piętach, z dłońmi na udach. Nawet po tylu latach w tej pozycji nadal czuł się supergościem. Na co dzień bycie super nie kojarzyło mu się zbyt z własną osobowością i może dlatego pozwalał sobie na to uczucie przy tych nielicznych okazjach. Przymknął oczy i energicznie zaczerpnął powietrza przez nozdrza.

Była to najcichsza pora w życiu bloku D i dlatego Klein, za radą Jamesa, wstawał każdego dnia wcześniej, niż należało, by móc udawać, że godzina ta należy wyłącznie do niego. Rozpoczął od *mokso* - oddychania w skupieniu, które miało oczyścić umysł - a potem

ćwiczył karate aż do chwili, gdy dzwonek na nowo wepchnął pozostałych lokatorów bloku na ów ponury, paranoiczny poziom świadomości, który w Green River uchodził za ludzką egzystencję.

Cela Kleina, ulokowana na drugim piętrze, mierzyła dwa i pół ma dwa metry. Wszystkie ruchy - kopnięcia, obroty, bloki i uderzenia - wykonywał w zwolnionym tempie, przy maksymalnym napięciu mięśniowym. Wymagało to wielkiej siły, wyczucia równowagi i pewności ruchów - atrybutów, którymi natura nie obdarzyła go zbyt szczerze - ale teraz, po trzech latach, był w stanie wykonać cykl ćwiczeń w niemal absolutnej ciszy, nie dysząc z wysiłku, nie łamiąc sobie palców stóp i nie przewracając się. Tego ranka skupił się na wykonaniu kata *Gojushiho sho*.

Codzienny rytuał pomagał mu wyzbyć się gniewu, który więzienie pompowało w jego żyły. Neutralizował tę truciznę i dawał siły, spokój oraz poczucie odrębności od pozostałych; hartował i chłodził stalowo-lodową klatkę, którą Klein zbudował wokół swojej duszy.

A klatka ta była błogosławieństwem i koniecznością, odkąd nastąpił jego życiowy upadek. W River posiadanie duszy było niebezpiecznym kaprysem; osobistą salą tortur odwiedzaną jedynie przez masochistów i głupców. Swego czasu Klein był i jednym, i drugim, ale teraz wiedział swoje. O dziwo, samodyscyplina i wyrzeczenia przychodziły mu łatwiej niż większości więźniów, bo przygotował go na nie jego zawód. Hartował się przez sporą część dorosłego życia: na stażu, na pełnym etacie, na stanowisku kierowniczym. Utwardzał serce przeciwko własnej słabości; przeciwko niekończącym się godzinom dyżurów, przeciwko nieznośnemu - a jednak znośnemu - brakowi snu; przeciwko zmiennemu, czternasto- i dwudziestoczterogodzinnemu trybowi pracy, rok za rokiem; przeciwko presji lęku przed błędem, który mógł oznaczać śmierć lub kalectwo pacjenta;

przeciwko horrorowi okaleczonych ciał i nagiej rozpaczyc wdów czy sierot; przeciwko nieustannym egzaminom; przeciwko porażkom; przeciwko jedynej w swoim rodzaju, straszliwej chwili, w której trzeba powiedzieć pacjentowi, że umrze, albo matce dziecka, że już umarło; przeciwko bólowi, który zadawał sobie i innym. Igły, skalpele, amputacje, niebezpieczne leki. Poprzez to wszystko i więcej - podobnie jak jego koledzy, od których niczym się przecież nie różnił - Klein stał się twardy. Kiedy więc jego życie się rozpadło i trafił do River, nie musiał dodawać zbyt wiele do już istniejącej klatki z lodu i stali.

Na ulicy Klein był chirurgiem-ortopedą.

Teraz był więźniem odbywającym wyrok za gwałt.

Dzisiaj mógł odzyskać wolność.

A gdyby tak się zdarzyło, musiałby znaleźć w sobie pokłady nowej odporności, by stawić czoło przyszłości, równie nieprzeniknionej jak granitowa ściana jego celi.

Klein odwrócił się w ciasnej przestrzeni i wykonał kombinację ciosu łokciem w twarz, chwytu za gardło i uderzenia głową, zmagając się z wyimaginowanym przeciwnikiem stojącym tuż przy stalowej kracie drzwi. Dusząc go, prawie czuł, jak wróg o zmiażdżonej twarzy mięknie w jego rękach. Jesteś wojownikiem shotokan, pomyślał, na nic nie masz nadziei, nikogo nie potrzebujesz, jesteś wolny. Pokręcił głową, uśmiechnął się i otarł pot zalewający oczy.

Ćwiczył karate od czasów studenckich i nic tak jak ta sztuka nie pomogło mu przetrwać trudnego medycznego szkolenia. Na samym początku pobytu w River, gdy zaczynał coranne treningi, czuł się jak idiota, miotając się po celi w tę i z powrotem. Lokatorzy sąsiednich klatek próbowali jakoś wytłumaczyć sobie jego dziwne sapanie: jedni twierdzili, że wali konia, inni sugerowali, że wpycha sobie jakiś tępy przedmiot do odbytu albo dokonuje na sobie cewnikowania bez nawilżenia lub oddaje się jeszcze innym, mało znanym i niebezpiecznym

perwersjom. Wydawało mu się wówczas, że walenie konia byłoby według nich czynnością mniej wstydlivą niż ćwiczenie karate - bał się, że jeśli powie prawdę, potną mu twarz. Zrezygnował więc z treningów, ale szybko zdał sobie sprawę, że jeśli ma przetrwać w więzieniu, musi pozostawić sobie coś, co będzie należało wyłącznie do niego, i bez względu na to, czy miałby wyjść na idiotę, czy nie, tym czymś musiało być właśnie karate.

Powrócił więc do przerwanych praktyk i nim jeszcze drwiące głosy sąsiadów stały się nieznośne, podczas wspólnego posiłku w stołówce Myron Pinkley ukradł Kleinowi deser, limetkową galaretkę. Uszkodzenie mózgu, którego wtedy doznał, okazało się nieodwracalne i sprawiło, że Pinkley nawrócił się i wstąpił do Armii Jezusa. Jediną osobą, która uroniła łzę nad tym incydentem, była matka Pinkleya: szlochała z radości nad duchową przemianą syna. Sąsiedzi Kleina przestali zaś pytać o przyczyny dziwnych odgłosów dobiegających o świącie z jego celi, ponieważ pojęli, że to nie ich sprawa.

Jazgot dzwonka i ryki ponurych strażników oznaczały koniec treningu Kleina. Mokry od potu, otarł twarz brudną koszulą i stanął przed drzwiami. Każdego dnia zamykano w celach i rachowano więźniów sześciokrotnie, a pierwsze liczenie odbywało się właśnie teraz: gdy włączały się światła i blok budził się niechętnie do życia, przy wtórze kakofonii kaszlu, charkania, mamrotanych pod nosem przekleństw i głośnych skarg na smród gazów współtowarzyszy niedoli. Zaraz potem dołączał do tego chór wieśniackiej muzyki z radia i magnetofonów kasetowych, po czym z kolei rozlegały się - rytualnie wykrzykiwane i rytualnie ignorowane - rozkazy strażników domagających się ściszenia tej cholernej muzyki. I wreszcie zaczynało się pierwsze z sześciu liczeń; ponura litania, której słowa niesły się echem wzdłuż galerii, gdy każdy z więźniów podawał swoje nazwisko i numer nadany przez władze stanowe.

Za prętami stalowych drzwi celi stanął kubański klawisz nazwiskiem Sandoval.

- Osiem-osiem-cztery-jeden-dziewięć, Klein - zameldował więźnień.

Sandoval bez słowa skinął głową, sprawdził dane z listą i odszedł.

Człapiąc bosymi stopami po spryskanych potem kamieniach, Klein oddalił się w głąb celi. Odsunął koc służący za zasłonę toalety i wysikał się. Cele tej wielkości budowano dla jednego więźnia i odkąd stać go było na to, Klein mieszkał tu sam. Większość jedynek zajmowali dwaj więźniowie, w podwójnych umieszczano czterech. Za wszystko należało zapłacić, a przestrzeń życiowa była droga. Prywatna praktyka medyczna, którą prowadził dla współwięźniów Klein, przynosiła jednak wystarczające dochody, by mógł sobie na to pozwolić. I tu, za murami, istnieli biedni i bogaci, a możliwość korzystania z prywatnej opieki lekarza była popularną oznaką statusu.

Klein umył się nad umywalką i wytarł ciało wielkim ręcznikiem kąpielowym, innym przejawem luksusu. Zanim skończył, znowu był zlany potem - tak wielka wilgotność panowała w bloku i tak bardzo rozgrzane ruchem było jego ciało. Odczekał, aż świeży pot odparuje, nie wkładając więziennego drelichu. Odgarnął z oczu mokre kosmyki czarnych włosów. Po wyjściu z więzienia zamierzał zafundować sobie porządną, krótką fryzurę, ale pod wpływem buntowniczego impulsu nie strzygł się już od roku, to jest od ostatniego występu przed komisją udzielającą zwolnień warunkowych. Jej członkowie lubili krótkie fryzury, ale nie zbyt krótkie; był to jeden ze szczegółów przesądających o wszystkim. Niewykłuczone, że rozpaczliwa próba zachowania choć odrobiny autonomii kosztowała go rok odsiadki, ale co było, to było. Stanął nagi przed lustrem i po chwili

buczenie jego elektrycznej maszynki do golenia dołączyło do chóru setek podobnych odgłosów. Posiadanie żyletek było zabronione. Dolną krawędź lustra ozdobił dość obleśny pasek białego plastra. Widniały na nim wypisane czarnym atramentem słowa, które czytał co rano, by nigdy ich nie zapomnieć:

NIE MÓJ JEBANY INTERES

Ta złota myśl była naczelną zasadą systemu moralnego, politycznego i filozoficznego, którego przyswojenie sobie było warunkiem przetrwania w Więzieniu Stanowym Green River. Jej znaczenie uświadomił Kleinowi dość wcześnie Żaba Coley, zaufany zarządca więziennej izby chorych. Klein zapytał go kiedyś, jak to się stało, że jednemu z podległych mu pacjentów ktoś uciął oba jądra i wepchnął je w odbył. Coley pochwycił wtedy Kleina za koszulę i powiedział:

- Nigdy się tym nie interesuj, białasie. Nigdy w życiu nie interesuj się niczym, co się tu dzieje. A jak już się zainteresujesz, to nie pchaj nosa w nie swoje sprawy. Powiedzmy, że któregoś dnia poleziesz pod prysznic i usłyszysz, że kogoś kroją albo posuwają w dupę, chociaż nie lubi. Może to twój kumpel. Może najlepszy przyjaciel. Może sam miałbyś ochotę na to, co mu robią. A może słyszysz, mimo szmaty, którą wepchnęli mu do gardła, wrzaski biednego skurwiela, któremu ucięli jajca tępą brzytwą. Idź wtedy swoją drogą, bracie, bo zawsze istnieje powód, dla którego tak się dzieje. Powód, którego nie znasz. A nawet jeśli nie istnieje, to i tak nie twój jebany interes.

Zdarzały się potem momenty - rzadkie, ale niezapomniane - w których Klein był świadkiem okrucieństw i słyszał wrzaski cierpiących. Szedł wtedy swoją drogą. Było to zresztą całkiem łatwe. Raz jeszcze spojrzął na hasło wypisane na plastrze: NIE MÓJ JEBANY INTERES. Wyłączył maszynkę do golenia. Ćwiczenia karate dawały

mu energię, z którą łatwo było poczuć się twardzielem. Zastanawiał się, czy tak samo czułby się teraz na ulicy - oczywiście gdyby udało mu się wyjść. Świat klasy średniej, który zostawił za sobą, zapewne wydałby mu się obcym krajobrazem, a puste gadki nasycone narcyzmem i zwykłą głupotą irytowałyby go jeszcze bardziej niż dawniej. Zachnął się w duchu: za wcześniej, żeby tak się nakręcać. Jestem skazańcem. I niczym więcej, dopóki mnie nie wypuszczą.

Włożył regulaminowy, drelichowy strój: koszulę z długimi rękawami i dwiema kieszeniami na piersi, spodnie i parciany pas. Gdy przysiadł na pryczy, żeby zawiązać sznurówki adidasów, z zewnątrz dobiegł nagle głośny rumor, który odbił się echem od szklanej kopuły. Pierwsze liczenie dobiegło końca; apetyt maszyny został zaspokojony na godzinę. Sto osiemdziesiąt stalowych drzwi w bloku D otwarło się jednocześnie, pod wpływem elektronicznego impulsu. Po śniadaniu Klein i pozostali mieli powrócić do cel i ponownie dać się zamknąć, by poddać się kolejnemu liczeniu. Następnie otwierano drzwi raz jeszcze, by więźniowie mogli udać się do pracy

Klein wstał. Zaspani mężczyźni, o ramionach skulonych w otępieniu właściwym dla tych, którym każdy nowy dzień przynosił to samo, mijali otwarte drzwi jego celi. Nikt nie okazywał zaciekawienia, nikt nie zaglądał do środka, nikt nie miał ochoty przywitać się z Kleinem - i wzajemnie. Było zbyt wcześnie i minął zbyt krótki czas, od kiedy brutalnie wyrwano ich z błogich koszmarów, a może i snów. Ludzie, którzy przyszłość mają już za sobą, pomyślał Klein. Lecz gdyby tego dnia nie podjęto w jego sprawie decyzji, na którą liczył, gdyby komisja zwolnień warunkowych odmówiła, to i on, Klein, mógłby...

Nie pozwolił sobie na dokończenie tej myśli. Zaraz potem zganiał się w duchu: głupio jest pozwalać sobie na nadzieję. Przypomniał sobie, że ma przed sobą drogę w jednym kierunku: w dół. Świętoszkowate pajace z komisji nie zapomniały o pogardzie, którą widziały

w jego oczach, kiedy podejmowały decyzję, że zostanie tu jeszcze na rok, może dwa, a może nawet pięć. Po raz tysięczny powiedział sobie: liczy się to, co jest teraz. Nie ma przeszłości. Nie ma przyszłości. Nie ma zewnętrznego świata. Nie ma horyzontu. Jesteś tu i teraz. Wszystkim, czym jesteś i czym możesz się stać, jesteś tu i teraz. Tylko tym, niczym więcej. A teraz idź na śniadanie.

Klein wyszedł na galerię, dotarł do spiralnych schodów i zbiegł na dół. Na parterze minął go Nev Agry idący w stronę drzwi na dziedzińcu. Agry był od niego o dziesięć centymetrów niższy i mniej więcej o cztery i pół kilograma cięższy. Jego masywne ciało nasycone było siłą doświadczonego, sprawdzonego psychopaty; aura skumulowanej energii otaczała go niczym pole siłowe. Był szefem bloku D i najbardziej liczącym się z białych szefów Dożywotnich. Klein leczył go kilka razy z pomniejszych dolegliwości oraz nawracających infekcji płuc, bez wątplenia wynikających z tego, że Agry palił trzy paczki lucky strike'ów dziennie. Klein był też w dobrej komitywie z żoną Agry'ego, Claudine, która w tej chwili przebywała znów w bloku B, przechodziła kolejną przymusową zmianę płci i - już jako zwykły Claude - pociła się wraz z innymi z powodu blokady. Agry skinął Kleinowi głową i z Tonym Shocknerem u boku pomaszzerował w stronę stołówki. Takie skinienie było uważane za wielki przywilej, lecz jedynym przywilejem, na którym tego dnia Kleinowi naprawdę zależało, było zwolnienie warunkowe. O dziesiątej trzydzięci naczelnik Hobbes miał go poinformować o decyzji komisji.

Klein przeczuwał, że czeka go długi dzień. Wzruszył ramionami i gotów stawić czoło wszystkiemu, co przyniesie los, dołączył do długiej kolumny ludzi bez przyszłości, znikających kolejno za bramą w drodze do stołówki.

ROZDZIAŁ 2

W więziennej izbie chorych Reuben Wilson sięgnął ręką do małego trapezu wiszącego nad jego głową i podciągnął się, przyjmując pozycję siedzącą. Zacisnął zęby, czując ból w brzuchu, choć tak naprawdę nie chodziło tylko o ból. Zaciskał zęby, ponieważ bał się, że szwy na jego brzuchu nie wytrzymają i wnętrzności wyleją mu się wprost na kolana. Skurwiel Żaba Coley powiedział mu, że nie raz i nie dwa widział coś takiego i że „Jezu, jak ci biedacy wrzeszczeli”. Od usunięcia pękniętej śledziony Wilsona minęło trzynaście dni i Ray Klein zapewniał go, że jeśli tylko nie dostanie kopa prosto w brzuch - albo sam nie spróbuje kogoś kopnąć - rana nie powinna się rozejść. Wilson wierzył Kleinowi, ale nie wątpił też w słowa Coleya, więc wołał zachować ostrożność.

Zdaniem Wilsona infirmeria był najbardziej ponurym kątem w całym tym więziennym burdelu, a przecież znał się na rzeczy, bo odsiedział już w dziurze swoje, a nawet więcej. Potrzebował jednak sporo czasu, by zrozumieć, dlaczego tak jest. Starość i nikotyna odbarwiły kafelki w kremowobiałym kolorze, którymi wyłożono ściany szpitalnego oddziału, lecz mimo to było tu jaśniej i chłodniej niż w Dolinie. Wilson wołał też smród środka dezynfekującego od mieszaniny potu, szczyń i spermy, którą cuchnęły wszystkie galerie. Mimo nieustającego pokasływania i rżenia umierających panował tu niezwykły spokój, żywo kontrastujący z ciągłym zgiełkiem bloku B. Nie,

Wilson pojmował już, że ponura aura oddziału szpitalnego miała swe źródło gdzie indziej: w białej, stalowej kratce dzielącej infirmerię na dwie sekcje po dwanaście łóżek; w prętach zatopionych w grube, pancerne szkło okien; w ludziach, którzy konali tu na AIDS. Kombinacja krat i wychudłych postaci uosabiała najczarniejszą wizję Wilsona - i bodaj każdego z więźniów: wizję śmierci po tej stronie murów. O ile życie w kajdanach z czasem stawało się codziennością, o tyle śmierć w kajdanach wydawała się najbardziej gorzką z porażek. Ci, których Wilson tu spotkał, mieli bardzo dużo czasu, by się nad tym zastanawiać.

Po drugiej stronie oddziału rozległa się nagle donośna salwa kaszlu; sam jej dźwięk, rwący bębni w uszach, wystarczał, by Wilson poczuł ból w piersiach. Uniósł głowę. W łóżku naprzeciwko podobny do zjawy Greg Garvey osunął się z poduszek i leżał niemal płasko na plecach. Zbyt słaby, by podciągnąć się wyżej czy choćby przewrócić na drugi bok, daremnie próbował wypluć solidną porcję flegmy. Połowa zwisała z jego ust, zieloną mazią oblepiając podbródek i szyję. Reszta pozostała w gardle, raz po raz wywołując atak kaszlu, a raczej dzikie spazmy, które odbierały mu ostatek sił.

Garvey był białym ćpunem; odsiadywał dwa do dziesięciu za napad i zranienie właściciela sklepu spożywczego. Miał dwadzieścia trzy lata.

- Zamknij się, kurwa, Garvey, ty śmierdzący pedale.

Piskliwy głos należał do Kulasa Cottona, mordercy o chudym obliczu, pokrytym koronką granatowych i czarnych, własnoręcznie wykonanych tatuaży. Gdy kolejny, nieco słabszy paroksyzm kaszlu ogarnął Garveya, Cotton odrzucił koc i niepewnie stanął obok łóżka. Lewą nogę miał w gipsie, bo po raz trzeci w ciągu pięciu lat podciął sobie ścięgno Achillesa, żeby odpocząć od bloku C. Pokuśtykał w stronę Garveya.

- Jeśli nikt inny nie zrobi porządku z tymi skurwielami z AIDS,

to ja się tym zajmę - kwiczał po drodze, a jego twarz jaśniała poczuciem głębokiej satysfakcji oraz bezrozumnej nienawiści.

Reuben Wilson znał i tę nienawiść, i bezmyślność, ponieważ obie były częścią jego życia.

- Zostaw go w spokoju, Kulas - rzucił ostrzegawczo.

Cotton odwrócił się ku Wilsonowi. Grymas na jego wytatuowanej gębie nie wróżył niczego dobrego.

- Kaszle tym gównem na nas wszystkich, normalnych ludzi, i to przez całą noc. To nie w porządku.

- Niczego nie złapiesz przez kaszel - odparł Wilson. - Klein mi mówił.

Cotton zatrzymał się u wezłowania łóżka Garveya i lewą ręką oparł się o ścianę, po czym znowu spojrział na Wilsona.

- Gówno prawda. Ten krótkoterminowiec nie będzie nam niczego wmawiał - powiedział i mrużąc oczy, popatrzył na spoconą twarz Garveya. - Pozbędę się go.

Cotton sięgnął prawą ręką po poduszkę.

- Powiedziałem: zostaw go.

Wilson pochylił się nieco, a w jego głosie słychać było jawną groźbę. Niedawno pozszywany brzuch naprężył się z wysiłku i przez krótką chwilę Wilson widział już oczami wyobraźni trzewia wylatujące mu na kolana oraz słyszał swoje wrzaski. Nigdy w życiu nie wrzeszczał i nie miał ochoty sprawdzać, jak to jest. Odruchowo przycisnął dłoń do szwów: były całe. Odchylił się z powrotem do tyłu i zauważył, że Cotton go obserwuje. Uśmiechał się z przekąsem, widząc rękę dociskającą ranę. Brzuch Wilsona naprężył się ponownie, tym razem pod wpływem upokorzenia.

- Wyświadczam nam wszystkim przysługę - odezwał się Cotton. - Jemu też, nieszczęsnemu skurwielowi.

Mocnym ruchem docisnął poduszkę do twarzy Garveya i oparł się na niej ciężarem całego ciała. Minęła długa chwila, zanim chuda ręka

wysunęła się z wilgotnej pościeli, by pochwycić go za nadgarstek.

Wilson odrzucił koc i ostrożnie zszedł z wysokiego łóżka. Nie ćwiczył tak sumiennie, jak mu zalecano; nogi trzęsły się pod nim jak galareta. Oparł się o ramę łóżka, w duchu zadając sobie pytanie, co właściwie zamierza zrobić, kiedy już dotrze na drugą stronę sali. W normalnych warunkach Kulas zesrałby się w swoje i tak obsrane gacie, gdyby tylko Wilson spojrział w jego stronę, ale tak się złożyło, że wytatuowany morderca słyszał, co Klein mówił o szwach. Chuda ręka, która trzymała nadgarstek napastnika, dała za wygraną i bezsilnie opadła na posłanie.

- Cotton - warknął Wilson - jak tylko wrócisz do bloku, każę urznąć ci te twoje pieprzone usta.

- Pocałuj mnie w dupę, czarnuchu.

W tym momencie z hukiem zamknęły się stalowe drzwi, a salą wstrząsnął basowy głos pełen oburzenia.

- Jezu Chryste!

Earl „Żaba” Coley miał sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a ważył sto cztery kilogramy. Jego skóra była czarna i lśniąca jak smoła, a potężna czaszka przypominała kanciastą skałę, zaokrągloną jedynie w dolnej części przez tłuste policzki i szyję. Dwadzieścia trzy lata wcześniej był dzierżawcą kawałka podmokłego gruntu we wschodniej części Teksasu, w rejonie Nacogdoches, miał żonę, czworo dzieci i muła. Pewnego dnia przyłapał dwóch białych nastolatków, zajętych wlewaniem płynu do udrażniania rur wprost w oko muła uwiązanego do płotu. Chwycił więc kielzno z solidnego sznura, sprawił obu lanie, na które zasłużyli, i puścił wolno do domu. Jednakże ciężki jest los czarnuchów, którzy podnoszą rękę na białych chłopców: sąd okręgowy uznał Coleya winnym znęcania się nad dziećmi oraz usiłowania morderstwa i skazał go na karę od dziesięciu lat więzienia do dożywocia. Coley nie widział żony od lat siedemnastu, a żadnego ze swych dzieci - od dwunastu. Od piętnastu lat

był zarządcą więziennej izby chorych.

Teraz zaś pędził środkowym przejściem między rzędami łóżek, w biegu podwijając rękawy kitla. Cotton zostawił poduszkę na twarzy Garveya i pokuśtykał w tym samym kierunku, a panika rozciągnęła do granic możliwości tatuaże na jego kościach policzkowych. Gdy dopadł swego łóżka, Coley był już przy nim: porwał ze stolika aluminiowy dzbanek na wodę i grzmotnął nim w twarz Cottona. Nawet Wilson, który spędził na ringu piętnaście lat, skrzywił się mimowolnie, słysząc odgłos tego ciosu. Cotton zakręcił się w powietrzu i wyładował twarzą na materacu, skomląc głośno i w przerażeniu osłaniając ramionami głowę. Coley stał nad nim jeszcze przez chwilę, trzęsąc się z wściekłości; był gotów zabić. W końcu odwrócił się z wysiłkiem i spojrzał na Garveya. Ćpun leżał nieruchomo. Coley odrzucił dzbanek, na którym odcisnęła się twarz Cottona, i pospieszył w jego stronę.

Zdjął poduszkę z głowy Garveya, wsunął ramiona pod jego bezwładne ciało i przewrócił go na bok. Garvey ledwie oddychał. Coley wsadził palec w jego usta i wygarnął potężną porcję skażonego śluzu. Garvey zakaszłał cicho, a Coley spojrzał ponad ramieniem na Wilsona.

- Podaj mi tę ssawkę, facet - powiedział, wskazując na plastikowy przyrząd z dwiema elastycznymi rurami, wiszący na drewnianej skrzyni w nogach łóżka. - To plastikowe gówno. Prędeej.

Wilson ruszył naprzód, ale nogi go zawiodły: poczuł, że zmieniają się w spaghetti. W ostatniej chwili chwycił się poręczy przy własnym łóżku. Był zawstydzony, ale przynajmniej nie złapał się za brzuch, choć miał na to wielką ochotę. Spojrzał na Coleya, oczekując pomocy.

- Bokserzy - prychnął pogardliwie Coley. - A poza ringiem banda zwiotcziałych pizdusiów.

Atak gniewu sprawił, że Wilson był w stanie przejść na drugą stronę

sali niemal normalnym krokiem. W locie porwał zestaw do odsysania i wręczył go Coleyowi, a ten jedną z rur włożył sobie do ust, a drugą w gardło Garveya. Gdy zassał, śluz zaczął się zbierać w plastikowym pojemniku. Wilson przyglądał się temu po trosze z odrazą, a po trosze z podziwem dla sprawności Coleya. Gdy zabieg dobiegł końca, Garvey oddychał samodzielnie, we właściwy sobie, płytki i gwałtowny sposób. Coley przewrócił go z powrotem na plecy, a potem uniósł do pozycji siedzącej.

- Popraw mu poduszki - rozkazał.

Wilson znowu się zawahał; tym razem nie ze strachu, ale z powodu dumy. W Dolinie był panem życia i śmierci. Nikt nie śmiał odzywać się do niego w taki sposób.

Coley wpatrywał się w niego uparcie.

- Jesteś gotów wrócić do bloku B?

Wilson spojrzał na niego z ukosa. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd po raz ostatni ktoś odważył się go obrazić i zagrozić mu jeszcze przed śniadaniem. Za mniejszą bezczelność wielu już straciło język, dziadku, przemknęło Wilsonowi przez głowę. Czy Coley umiał odczytać tę myśl w jego oczach? Bo Wilson nie umiał odczytać absolutnie niczego w oczach Coleya. W tej sali Coley był panem. Wilson pochylił się, nie dbając już o to, czy jego flaki wyleją się zaraz wprost na wielkie, płaskie stopy Coleya, i poprawił stertę poduszek pod barkami Garveya. Gdy Coley uznał, że chory przyjął dostatecznie wygodną pozycję, odwrócił się i spojrzał na Wilsona spod ciężkich powiek.

- Nie odpowiedziałeś mi.

- Czy jestem gotów wrócić do Doliny? - upewnił się Wilson.

Coley skinął głową.

Chyba, kurwa, żartujesz, pomyślał Wilson, spoglądając na wielką i milejącą twarz Coleya. Zaraz jednak przypomniała mu się odzywka o zwiotczałych pizdusiach. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Ja nie wracam na blok. Mam do odsiedzenia dziesięć dni w dziurze - powiedział. - Ale jeśli powiesz, że mam wracać, to wrócę.

Coley nadal patrzył na niego z powagą, ale coś się zmieniło w jego oczach.

- Wiem, że to nie fair - odezwał się - ale mam na dole chorych, którzy śpią na składanych łózkach.

- Z przyjemnością uwolnię się od Kulasa - odparł Wilson.

- Możesz zostać jeszcze parę dni, ale masz ćwiczyć.

Coley spojrział w głąb sali, na Cottona, który obserwował ich i słuchał, tuląc w dłoni puchnącą twarz.

- A ty wracasz do siebie dziś po południu, Kulas. Z gipsem.

- Ty tłusty, czarny skurwielu. Rozwaliłeś mi twarz. Zapłacisz za to.

Coley przemierzył salę z szybkością i impetem futbolisty. Cotton zdążył jedynie zamachać rękami, nim potężna łapa złapała za skórę i włosy na jego chudej piersi. Wrzasnął dziko, gdy Coley podniósł go z łózka.

- Jeszcze raz tkniesz któregoś z moich ludzi, a przekonasz się, jak mało obchodzi koronera, co przysyłamy mu w plastikowym worku.

Cotton wyrwał się z uścisku i odpelzł na przeciwległy kraniec łózka, jęcząc z bólu. Coley zwrócił się znowu do Wilsona:

- Przyda mi się pomoc przy śniadaniu.

- Jasne - odparł Wilson.

Coley uśmiechnął się.

- Dobrze ci to zrobi na brzuch - powiedział, po czym odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Reuben Wilson, wódz bloku B, w duchu uradowany uśmiechem Żaby, podążył za nim krokiem tak szybkim, na jaki tylko się odważył.

ROZDZIAŁ 3

W normalnych warunkach Henry Abbott darzył owsiankę szczególną sympatią. Jego dziadek, który pod rozkazami pułkownika Chivingtona brał udział w masakrze nad Sand Creek, zwykł był jeść owsiankę codziennie i dożył dziewięćdziesięciu trzech wiosen. Teraz zaś, kiedy specjaliści orzekli, że danie to dobrze służy sercu i układowi krwionośnemu, jego zbawienne działanie przestało być tajemnicą. Abbott nie miał nic przeciwko temu; rzecz w tym, że owsianka, która stała przed nim, nie była dobra. Abbott po prostu to wiedział. Nie tknąwszy jedzenia, odsunął plastikową miskę. Owsianka była pełna zmielonego szkła.

Abbott wyjął z kieszeni koszuli tani notatnik zakupiony w więziennej kantine oraz czarne wieczne pióro Shaefera ze złotą stalówką. Pióro było jedynym niewięziennym przedmiotem w całym dobytku Abbotta. Otworzył notatnik na czystej stronie i zapisał zielonym atramentem numer dnia: „3083”, a poniżej: „Owsianka niedobra - pełna mielonego szkła”.

Jajka w proszku wydawały mu się natomiast całkiem do rzeczy. Odłożył pióro i notatnik, przyprawił jajka keczupem i plastikową łyżką wpakował papkę do ust. Jedzenie nabierane plastikowymi sztuczkami nie smakowało mu zbyt. Podobnie jak kawa ze styropianowych kubków.

W stołówce wszystko było plastikowe i Abbott szczerze nienawidził

tego stanu rzeczy. Zwłaszcza teraz, gdy i w jego twarzy upchnięto plastik - ciasno, tuż pod kośćmi policzkowymi, żeby trudniej mu było się uśmiechać, w kanałach zębowych, żeby trudniej mu było żuć, a także w zawiasach szczęki i u nasady języka, żeby trudniej mu było mówić. Właśnie poprzedniego dnia rano wstrzyknęli mu te plastyfikujące chemikalia, prosto w lewy pośladek. Teraz, po dwudziestu czterech godzinach, chemikalia zostały przetworzone przez jego wątrobę, gdy spał, dotarły już do twarzy - bo po to je stworzono - i napęliły ją plastikiem tak, że nie mógł się uśmiechać i mówić jak dawniej, a przeżuwanie gumowatego śniadania przychodziło mu z trudem. Przede wszystkim jednak chemikalia stworzyły zimny tuman mgły wokół Słowa, tak że Jego głos stał się daleki i stłumiony. Lecz mimo lodowatej kurtyny Słowo pozostało takie jak dawniej: poza nim, wokół niego, ponad nim.

Za Jego radą Abbott uwiecznił już w swej kronice to, jak naszpikowano go plastikiem, a wszystko to na pożytek przyszłych pokoleń. Miał wrażenie, że jego notatki nie oddają sprawiedliwości Słowu, lecz chociaż ponosił pisarskie porażki, nie ustawał w próbach. Bo przecież oni, gdyby tylko mogli, uciszyliby Słowo na zawsze. Abbott podejrzewał, że właśnie z tej przyczyny dosypali mu do owsianki sproszkowanego szkła.

Bo Słowo wiedziało. I tylko Słowo. A oni wiedzieli o tym, że Ono wie. I byli gotowi na wszystko, byle wiedza Słowa się nie rozprzestrzeniła. A gdyby owsianka nie spowodowała krwawienia z wewnętrznych organów Abbotta - na szczęście nie mogła, bo w porę został ostrzeżony - to plastik w jego twarzy, zniekształcający mowę, miał gwarantować, że nikt mu nie uwierzy. Abbott nie mógł nie myśleć o tym z pewną dozą podziwu: oni z pewnością znali się na rzeczy. Lecz z drugiej strony, byli skazani na porażkę, Słowo bowiem i tak musiało zostać usłyszane, przynajmniej przez jednego człowieka. Przez niego, jeśli nie przez kogoś innego. Przez Henry'ego Abbotta.

W stołówce panował ruch, jak zawsze - co zauważył Abbott - w pewnych porach dnia. Na przykład w porze śniadania. Więźniowie ustawiali się przed szeregiem metalowych kadzi, zanurzonych w gorącej wodzie, sekretnie ukrytej - jak wiele innych rzeczy sekretnych i ukrytych - za płytą z polerowanej stali. Za kadziami zaś stali kucharze, którzy chochlami nakładali letnie jedzenie na plastikowe tace przyniesione przez więźniów. Kucharz, który poczęstował Abbotta owsianką ze szkłem, był bardzo szybki: mrugnął do swego kolegi, uśmiechnął się do Abbotta - choć nie uśmiechał się do nikogo innego - i korzystając z elementu zaskoczenia, dodał zmielone szkło ze specjalnego woreczka ukrytego w rękawie. Był tak szybki, że Abbott nie zauważył samego manewru rozsypywania szkła - niewidzialnego, niemniej śmiertelniegroźnego - wprost nad jego śniadaniem.

Był blisko, ale nie zauważył.

Abbott uniósł głowę znad jajek z keczupem i zobaczył Doktora Raya Kleina, który szedł w jego stronę między rzędami hałaśliwych i zatłoczonych stolików. Abbott, jak zwykle, miał stół wyłącznie dla siebie. Nie była to ani jego decyzja, ani pragnienie - po prostu tak się ułożyło. Doktor usiadł naprzeciwko niego i postawił przed sobą tacę. Doktor miał sto osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, a mimo to czubek jego głowy ledwie sięgał podbródka Abbotta. Doktor uniósł głowę. Miał pociągłą twarz, a pod jej kośćmi Abbott wyczuwał płomień bladego, zielonoświątkowego ognia, który płonął, choć nie dawał ciepła, i pochłaniał duszę Doktora, choć jej nie odnawiał.

- Dzień dobry, Henry - powiedział Doktor.

Abbott otarł usta rękawem.

- Dzień dobry, Doktorze Klein.

Głos Abbotta zabrzmiał dziwnie nawet dla niego samego. To zrozumiałe. Plastyfikacja strun głosowych. Wyciągnął rękę, a Doktor ją uściśnął. Dłoń Doktora wydawała się drobna, więc Abbot bardzo uważał. Nie wiedział dlaczego, ale nikt inny nigdy nie podawał mu

ręki. Nikt też nie nazywał Doktora „Doktorem Kleinem”. Być może właśnie dlatego tylko on podawał mu rękę, ale Abbott nie był tego pewny. Rzecz była tajemnicza, ale Abbott czuł, że znacząca.

- Nie jesz owsianki - zauważył Doktor.

Tak, Doktor dostrzegał różne rzeczy. Więcej niż inni, choć nie wszystko. Abbott natomiast dostrzegał to, co umykało Doktorowi. Zapewne działało to też w drugą stronę. I łączyło ich: gdy Doktor nie zauważał czegoś absolutnie oczywistego, Abbott wskazywał mu to, a Doktor akceptował jego ocenę, dokładnie tak samo, ma się rozumieć, jak Abbott akceptował oceny Doktora. Rzecz była wspólna. I dobra.

- Ma pan rację - odparł Abbott. - Pełno w niej mielonego szkła.

Doktor spojrział na niego z troską. Abbott skinął głową, a wtedy Doktor przesunął w jego stronę własną miskę.

- Ta jest w porządku - rzekł. - Zjedz.

Abbott zawahał się.

- Będzie pan głodny. Nie mogę.

- Wielki z ciebie chłop - odparł Doktor. - Ciężko pracujesz. Tobie jest bardziej potrzebna.

Abbott znowu skinął głową. Logika Doktora była jak zawsze bez zarzutu. Abbott przysunął bliżej miskę płatków i zaczął jeść. Jednocześnie obiegał spojrzeniem salę, nie poruszając głową. Zastanawiał się, czy nie wspomnieć o plastiku w twarzy, ale pomyślał, że tylko zmartwiłby Doktora - bo taki już był z niego poczciwy człowiek - i że mają ważniejsze sprawy do omówienia. Pomiędzy łykami owsianki uniósł dłoń na wysokość ust i odezwał się półgębkiem:

- Proszę na mnie nie patrzeć. Mam panu coś do powiedzenia.

Doktor pochylił się nad swoją porcją jajek.

- Mów.

- Wyczułem wibrację. Zakłócenie. - Abbott połknął kolejną łyżkę owsianki.

- Zakłócenie - powtórzył Doktor.

Abbott pokiwał głową.

- Ktoś umrze.

Doktor skinął głową, nie patrząc na niego.

- Ty? - spytał krótko.

- Próbowali mnie zabić, ale jestem dla nich zbyt szybki - odparł Abbott. - Wczoraj dodali do mojego zastrzyku plastik, żebym w końcu przestał mówić. A dziś - sproszkowane szkło. - Umilkł, czekając, aż dwaj więźniowie, Bialmann i Crawford, miną ich stolik. Wtedy dopiero zaryzykował spojrzenie w oczy Doktora. - Niewiarygodnie oczywiste, nieprawdaż?

Doktor skinął głową.

- Zatem kto jest celem?

- Jeszcze nie wiem, ale radzę panu trzymać się z daleka od Neva Agry'ego i jego ludzi.

- To chyba dobra rada - zgodził się Doktor.

Abbott był ciekaw, czy Doktor naprawdę rozumie powagę sytuacji. Czy mógł rozumieć, skoro nie znał Słowa? Abbott postanowił, że będzie nad nim czuwał. Dokończył owsiankę i pociągnął łyk kawy. Była zimna.

- Sugeruję też, żeby trzymał się pan swojej celi. I unikał wszelkich kontaktów, żeby być absolutnie bezpiecznym. - Abbott zniżył głos. - Zwłaszcza z kolorowymi.

- Muszę iść do izby chorych - odparł Doktor.

Jasne. Abbott rozumiał to doskonale. Doktor był tam potrzebny.

- Poza tym mam się spotkać z naczelnikiem Hobbesem.

- Naczelnik Hobbes to niebezpieczny człowiek - orzekł Abbott. - Bóg go obraził, więc buntuje się przeciwko Niemu. Niech pan będzie ostrożny.

Doktor wstał i położył dłoń na ramieniu Abbotta. Mocno zacisnął

palce i na krótką chwilę Abbott poczuł, że plastik w jego twarzy mięknie.

- Ty też - odrzekł Doktor.

Abbott zadarł głowę i spojrział na niego, czując, że mięknie też jego krtań i wątroba. Oczy Doktora były bladoniebieskie, ale pełne dzikiego blasku w samym środku, gdzie palił się ten niszczący ogień.

- Gdyby jeszcze coś cię niepokoiło, gdybyś chciał mi o czymś powiedzieć, znajdź mnie i mów śmiało. Dobrze, Henry?

Abbott rozciągnął szczęki okrężnym ruchem. Już prawie nie wyczuwał plastiku.

- Rozumiem.

Doktor raz jeszcze ścisnął jego ramię i oddalił się. Odprowadzając go wzrokiem, Abbott dostrzegł Neva Agry'ego, siedzącego przy jednym stole z Crawfordem i Bialmannem. Jakie to oczywiste, pomyślał. Niewiarygodnie oczywiste. Zwykle Agry pokazywał się - jeśli w ogóle miał ochotę zjawić się w stołówce - w towarzystwie zabójców, takich jak Tony Shockner. Crawford i Bialmann byli krótkoterminowcami, malwersantami, nikim. Tylko dlatego, że nagle znaleźli się tak blisko Agry'ego, omal nie posikali się w gacie i z trudem trafiali plastikowymi łyżkami do ust. A jednak była to prawda: Nev Agry siedział przy nich i uśmiechał się, jakby był całkiem zwyczajnym facetem.

I palił, trzymając papierosa w lewej dłoni.

Abbott wstał, wyrzucił resztki z tacy do zsypu i bez pośpiechu ruszył w stronę wyjścia. Odstawiając tacę, dostrzegł kątem oka, że strażnik - Perkins? Nie mógł sobie przypomnieć - zbliża się do stolika i szeptem coś do ucha Agry'ego. Abbott odwrócił głowę. Przyspieszył kroku, czując, że oczy Agry'ego wiercą złowrogie tunele w jego czaszce, jakby w nadziei, że odczytają informacje ukryte w samym umyśle, jakby chciały czytać z ruchu warg samego tajemniczego

Słowa. Abbott przystanął, bo nagle uświadomił sobie coś bardzo ważnego.

Zwykle Nev Agry trzymał papierosa w prawej dłoni.

A ten strażnik, Perkins, pracował w bloku B, z kolorowymi.

Niewiarygodnie oczywiste.

Wibracja, którą wyczuwał Abbott, była teraz silniejsza niż kiedykolwiek. Zakłócenie w czystej postaci; głośny pomruk dobiegający wprost z bezmiennego chaosu, nad którym panowało jedynie Słowo.

Czy doktor będzie bezpieczny? - pomyślał Abbott.

Pytanie wróciło po chwili. I jeszcze raz. Abbott wyjął notatnik i zapisał je, ale pomruk, który słyszał, nagle stał się głośnym chórem i przestrzeń jego umysłu wypełniła pieśń - a może modlitwa albo taniec - głęboka jak nigdy dotąd: Potrzebujemy go.

Potrzebujemy go.

Potrzebujemy go.

Abbott popędził między rzędami więźniów, roztrzając ich tace. Pozostał głuchy na ich przekleństwa i uciekł, wielki i niezgrabny, z tej hałaśliwej stołówki, zbiegł schodami w dół i w dół, i jeszcze niżej, do ciemności i wilgoci, gdzie Słowo zapewniało mu schronienie. Gdzie czuł, że będzie bezpieczny.

Przez jakiś czas.

ROZDZIAŁ 4

Zanim drugie poranne zamknięcie i liczenie dobiegło końca, nerwowe napięcie zdążyło już porządnie zszarpać trzewia Kleina. Gdzieś tam, w wysokim zamku ponad główną bramą więzienia, na biurku Hobbesa, leżały wyniki narady komisji do spraw zwolnień warunkowych. Klein kolejny raz spojrzął na zegarek: za dziewięćdziesiąt cztery minuty miał poznać werdykt. Możliwe, że czas jego pobytu w River należało już mierzyć w godzinach, choć równie dobrze mogły to być lata. System zwolnień warunkowych był krzyżem, na którym rozciągano bezgłośnie krzyczących więźniów - niemal wszystkich, nie wyłączając skazanych na dwieście dwadzieścia lat albo potrójne dożywocie. Członkowie komisji dawali każdemu dziesięć minut na to, by pocałował ich w dupę dokładnie tak, jak sobie tego życzyli. Kto wykonał zadanie, mógł odfrunąć, wolny jak ptak. Kto okazał niewłaściwą postawę, trafił na zły dzień członków komisji albo na okres, w którym więzienie nie było zbyt przeludnione, albo na czas kampanii wyborczej na stanowisko gubernatora stanu, toczonej pod hasłem „prawo i porządek” - wracał w tryby penitencjarnej maszyny na kolejny sezon albo dłużej. Rok wcześniej spławiono tak Kleina.

Wypierał ten fakt gdzieś w dalekie zakamarki umysłu, ale trudno było tam go zatrzymać, zwłaszcza że od początku odsiadki Klein wypierał w dalekie zakamarki umysłu bardzo wiele spraw. Teraz,

gdy zbliżała się pora spotkania z Hobbesem, wszystkie one zaczynały siłą torować sobie drogę do jego świadomości.

Na przykład myśl o zastępcy prokuratora stanowego Henriecie Noades, sztywnej suce w okularkach, której małe oczka lśniły jawną rozkoszą, gdy sędzia wymierzał mu wyrok pięciu do dziesięciu. Doceniono jej udział w skazaniu Kleina: dostała awans za przyciągnięcie kobiecego elektoratu, by jej szef mógł ponownie wygrać wybory. Wróciła też myśl o dymiących zgliszczach, które pozostały z jego kariery. Nigdy nie był prymusem na uczelni; nie mierzył w naukową stratosferę. Praca w szpitalu publicznym w Galveston, względna niezależność od środowiskowej polityki oraz skupienie wysiłków na doskonaleniu lekarskiego rzemiosła i wykonywaniu pracy - oto, czego pragnął. I może jeszcze domu z widokiem na zatokę oraz żaglówki. Lecz wszystko to było teraz przeszłością, a Klein dawno już przestał nadaremno ubolewać nad tą stratą. A przynajmniej próbował to sobie wmówić.

Ale głęboko pod lodem otaczającym jego serce tkwiła jeszcze jedna, nader bolesna myśl: już nigdy nie wróci do pracy, dla której poświęcił tak wiele. Klein był gwałcicielem. Tak stwierdzili sędziy prawa, a prawo nie rozróżnia subtelności ludzkiego życia. Klein nie był winny przestępstwa, za które go skazano. Był winny poważniejszych, znacznie bardziej powszechnych zbrodni: samolubności, okrucieństwa, głupoty, ale nie gwałtu. Skrzywdził kobietę, którą dawniej kochał nad życie, kobietę, której imienia nie dopuszczał już do swej świadomości. Skrzywdził ją bardziej, niż był sobie w stanie to wyobrazić - to znaczy tak głęboko, jak on sam zostałby zraniony, gdyby pozwolił sobie na odczuwanie bólu - a ona wymierzyła mu srogą karę. A potem ukarała go ponownie, jeszcze surowiej. Lecz mężczyzna powinien przyjąć wszystko, co los rzuci przeciwko niemu, i wytrwać. To, w jaki sposób wytrwał, było dla Kleina jedyną miarą własnej wartości.

Od czasu do czasu pozwalał sobie na myśl o tym, że w pierwszej połowie żywota, zanim się pogubił, los traktował go całkiem znośnie. Nie wypadł z matczynego łona gdzieś na spalonym słońcem, afrykańskim poletku ani nad kiblem gdzieś na skutym lodem blokowisku. Natura obdarzyła go przyzwoitym intelektem i silnym ciałem. Matka wychowała go w miłości do słowa pisanego, a ojciec nauczył go nie podnosić ręki na bliźniego bez powodu, ale i nie odpuszczając żadnej zniewagi, za którą należała się pomsta. Pamiętał ojca, jakby to było wczoraj: jak odkładał słuchawkę, całował matkę i ruszał w stronę drzwi ze słowami: „Ogłosili trzeci alarm. Nie czekaj ze śniadaniem”.

Klein pamiętał też - i to w bardzo emocjonalny sposób - jak znalazł list do ojca ze Stowarzyszenia Strażaków Nowego Jorku. Nie treść, ale godło w nagłówku i motto zapisane poniżej: „Najdzielniejszy”. Świadomość, że ojciec był jednym z nich, zadomowiła się w jego umyśle. Prześladowała go jeszcze na studiach: ojciec odpowiadał na mityczny Trzeci Alarm, a on siedział w bibliotece jak głupiec i tchórz. Ale trudna ścieżka chirurgii dała mu szansę na własną odmianę trzeciego alarmu - i wykorzystał ją. Ojciec nie miał w zwyczaju mówić synowi, jaki jest z niego dumny, ale też nigdy nie było to konieczne. Klein i tak wiedział.

Nie, nie został oszukany przez los. Wiele stracił, ale też wiele ocalało - taką przynajmniej miał nadzieję. Ojciec nie dożył jego upadku; Klein bardzo się z tego cieszył. Cieszył się, że nie musiał być świadkiem bólu, który zadałby ojcu. Wiedział, że gdyby było to konieczne, ojciec poszedłby z nim - winnym czy niewinnym - ramię w ramię, choćby i na krzesło elektryczne. Wytrwałby przy nim do końca, gdyż ukształtowały go inne, mniej zagmatwane czasy.

Klein miał mniej szczęścia: doczekał złych czasów.

Pięć do dziesięciu lat w więzieniu Green River.

Klein uświadomił sobie, że słowo „gwałciciel” nie brzmi zbyt

imponująco. „Uzbrojony włamywacz”, „handlarz narkotyków” czy nawet „morderca” - takim należał się szacunek. W River, miejscu raczej dalekim od bastionów feminizmu, to słowo, które przekreśliło jego życie, znaczyło niewiele. Tam, na zewnątrz - cóż, jeszcze nie wiedział, jak będzie odbierane. Jednego tylko był pewny: nie zamierzał skamleć, próbować się tłumaczyć, usprawiedliwiać czy przeproszać. Był gotów zaakceptować to, co przyniesie każdy nowy dzień. Bał się przyszłości - nie był na tyle głupi, by temu zaprzeczać - ale był gotów stawić jej czoło. Nie wiedział, co go czeka za bramą więzienia. Nie wiedział i nie pytał. Przyszłość była czarną dziurą i nie pozwalał sobie na nadzieje i marzenia o tym, co mogła mu przynieść. Koniec z zamkami na piasku. Umiał już przeżyć i bez nich. Green River nauczyło go tego i już nic nie mogło mu odebrać tej wiedzy.

Klein wyszedł z celi i ruszył spiralnymi schodami w dół, by po raz drugi tego ranka znaleźć się na parterze bloku D. Minął główną bramę i przedsionek, skręcił obok centralnej wieży strażniczej i głównym korytarzem skrzydła ogólnego przeznaczenia dotarł do głównego wyjścia. Po drodze spróbował oderwać się od własnych wspomnień, wracając myślą do ostrzeżenia, które przy śniadaniu przekazał mu Henry Abbott. Zastanawiał się, czy wielkolud naprawdę wyczuwał, że coś się święci.

Green River zamieszkiwała populacja ludzi o głęboko paranoicznej osobowości - skazanych za poważne przestępstwa - uwięzionych wbrew własnej woli w świecie, w którym paranoja była naczelną walutą przetrwania. Tu nawet najspokojniejsze i najufniejsze dusze cierpiały dniem i nocą, nękane podejrzeniami i strachem. Była to jedyna racjonalna reakcja na panujące tu warunki. Jednakże poza owymi paranoikami-racjonalistami, do których zaliczał się i Klein, istniała jeszcze jedna grupa: naprawdę chorzy psychicznie. Henry Abbott był czołową postacią tej frakcji, powszechnie ignorowaną i

odrzucałą zarówno przez zdrowych, jak i przez wariatów. Większość więźniów uważała go po prostu za przygłupa, ale Klein wiedział, że choć umysł schizofrenika istotnie skłonny jest przywiązywać absurdałne znaczenie do nieistotnych zdarzeń, to jednocześnie potrafi czasem wyczuwać rzeczywiste, nawet głęboko ukryte emocje w otaczających go ludziach. Stary dowcip, według którego „to, że masz paranoję, nie oznacza jeszcze, że nikt nie próbuje cię dopaść”, zawierał w sobie ziarno prawdy. Nadmiernie rozwinięta, lekko skrzywiona świadomość - antena odbierająca na wariackich falach - była więc darem, dzięki któremu Abbott wyczuwał niekiedy to, co umykało uwagi Kleina.

Dziewięć lat wcześniej, w ciepły, noworoczny wieczór, gdzieś wśród wzgórz na zachód od Langtry, Henry Abbott sięgnął po ciężki młot i pojedynczymi uderzeniami zabił całą swą najbliższą rodzinę - pogrążone we śnie trzy córki, żonę i matkę - a następnie podpalił dom. Policjanci znaleźli go na podwórzu, skąd przyglądał się płomieniom, śpiewając hymn, którego żaden z nich nie znał. Aż do tego dnia Abbott był oddanym mężem, ojcem i synem, wyróżniającym się jedynie tym, że był - najprawdopodobniej - najbardziej rosnącym nauczycielem angielskiego we wszystkich szkołach stanu, który szczycił się wysoką średnią wzrostu obywateli. Kiedy zapytano go o przyczynę popełnienia zbrodni, Abbott odpowiedział jedynie, że „ogień Orc, które niegdyś buchały dymem płonącego miasta, zostały ugaszone krwią córek Urizenu”. Ekspertci w dziedzinie psychiatrii zaproponowali przed sądem kilka interpretacji tego zagadkowego stwierdzenia, jednakże Abbott nigdy nie potwierdził żadnej z nich. Podczas procesu przysięgli ani przez chwilę nie wątpili, że Abbott cierpi na straszliwą psychozę i w chwili popełnienia zbrodni absolutnie nie odpowiadał za własne czyny.

Mimo to jednogłównie wydali werdykt wręcz przeciwnej treści:

Abbott został uznany za zdrowego psychicznie i sędzia wymierzył mu wyrok pięciokrotnego dożywocia. Stało się tak dlatego, że przysięgli doskonale wiedzieli, iż stanowe służby odpowiedzialne za opiekę nad chorymi psychicznie przestępcami działają fatalnie i Abbott bez wątpienia odzyskałby wolność po kilku latach, jeśli nie zdołałby uciec już po paru godzinach. Zamiast więc czekać na wyniki badań klinicznych i poddać Abbotta leczeniu, którego potrzebował, wysłano go do Green River.

Gdy się tu znalazł, wkroczył w koszmar bardziej bezlitosny niż wszystko to, co kiedykolwiek narodziło się w jego bardzo chorej wyobraźni. Więźniowie bali się go i dlatego nienawidzili: fundowano mu wszystkie udręki i kary, które zwykle spotykają upośledzonych, ale w wielokrotnie spotęgowanej dawce (jak wszystko, co działo się w River). Obrażano go, zastraszano i oszukiwano. Zwodzono, rabowano i wykorzystywano. Przede wszystkim izolowano. Mierzył dwieście jeden centymetrów; potrafił przenieść własnoręcznie blok silnika przez całą długość warsztatu i nawet się nie zasapać. Być może gdyby nie był aż tak wielki albo aż tak szalony, potrafiłby stworzyć sobie zaciszną niszę i egzystować w niej w miarę spokojnie. Inni tak właśnie robili. Abbott, niestety, nie potrafił. Albo był dla współwięźniów celem, albo dziurą w powietrzu. Więziły go nie tylko stalowe kraty i szklana kopuła, ale także osobista, krucha architektura psychicznego cierpienia: nieustający cykl izolacji, psychozy, odosobnienia, leczenia, niebytu, negacji, kolejnej izolacji, kolejnej negacji i kolejnej psychozy. Zaciekle niszczonej z zewnątrz i od wewnątrz, Henry Abbott żył gorzej niż ci, którzy stali najniżej w więziennej hierarchii.

A mimo to Klein był jego dłużnikiem. W pierwszych tygodniach spędzonych w bloku D Klein zauważył, że więzienie może diametralnie odmienić ludzką osobowość. Czuł, jak strach i tęsknota wypaczają jego sposób myślenia, zagłuszają rozum. NIE MÓJ JEBANY

INTERES. We względnej ciszy po zgaszeniu świateł leżał i nasłuchiwał stłumionych odgłosów płaczu, dochodzących zza krat. To nie był jego interes. Czasem on sam wydawał te ciche, nieśmiałe dźwięki. To też nie był jego jebany interes. Ani niczyj. Lokatorzy Green River mieli być świadkami i znosić wyjątkowo przygnębiające doświadczenia bez śladu żalu, a już zwłaszcza bez uzalania się nad sobą. Litość była tu słabością, a tym samym praktyką niebezpieczną i niemoralną. Litowanie się nad sobą było złem graniczącym z perversją. Podobnie jak pozostali, Klein, który pragnął przeżyć i wyostać się stąd pewnego dnia, tłumił odgłosy własnego bólu i ignorował te, które dobiegały z zewnątrz.

Lecz pewnej nocy - ledwie po siedmiu tygodniach odbywania kariery - Klein usłyszał wcale nie stłumiony głos Henry'ego Abbotta.

- Halo?

To słowo rozległo się wśród kondygnacji cel i rozbrzmiało echem w koszmarach mniej lub bardziej twardo śpiących ludzi, jakby jakaś potępiona i widmowa dusza nawoływała ich z drugiej strony świata. W zielonkawym świetle Klein zobaczył na zegarze, że jest 2.03. Zmroziło mu wnętrzości, kiedy Abbott znowu wypowiedział to słowo.

- Halo?

I znowu:

- Halo?

I znowu:

- Halo?

Za każdym powtórzeniem pytające zawołanie stawało się coraz bardziej natarczywe, przesycone rozpaczą, jakby całe słownictwo tej zranionej ludzkiej istoty skurczyło się do tego jednego, jedyne słowa. Czy ktoś tam jest? Czego chcesz? Powiedz mi. Powiedz mi. Zostaw mnie w spokoju. Zostaw mnie. Proszę, zostaw mnie. Proszę, pozwól mi umrzeć. Proszę. Pozwól mi umrzeć.

Klein rozpoznał w wołaniu Abbotta połowę dręczącego dialogu - na zmianę gniewnego, pełnego gróźb, błagalnego i potulnego - który osoba naznaczona psychozą prowadzi ze sprawcą tortur, drugą połową własnej osobowości. Klein słyszał już tę półkonwersację w chaosie oddziały nagłych wypadków, ale nigdy po tej samej stronie muru. Jednakże w bloku D jedyną reakcją na męki Abbotta był chór przekleństw i głosów życzących mu śmierci, potęgujący nawalnicę szalejącą już pod jego czaszką.

- Już po tobie, kutafonie!
- Utnę ci jebanego fiuta.
- Zamknij się, do kurwy nędzy.
- Ostrzegam cię, Abbott, ty wielka kupo gówna.
- Idź się zabij.
- Właśnie, kurwa, idź się zabij.

Nie była to przyjemna scena, ale też nie był to interes Kleina - należało ją zignorować. Ścisłe rzecz biorąc, Klein zignorował Henry'ego Abbotta, a inni więźniowie, znużeni bezskutecznością odzewu, wkrótce zrobili to samo.

Przez kolejne dwa dni Abbott nie wychodził z celi, nie jadł i nie pił. Nie znalazł też nowych słów, których mógłby użyć.

- Halo?
- Halo?

Trzeciej nocy zapadł w milczące, kruche, podszyte strachem odrętwienie. Dopóki hałasował, klawisze ani myśleli wywlekać go z celi: bali się, że któryś z nich straci ramię czy oko. Ale kiedy wrzaski więźniów uskarżających się na fetor dochodzący z celi Abbotta stały się nieznośne, a z galerii zaczęły spadać płonące kawałki papieru toaletowego, kapitan Cletus zjawił się na miejscu i wydał rozkaz wykurzenia olbrzymia.

Kiedy Klein zobaczył, jak strażnicy ciągną wąż strażacki pod celę

Abbotta, poczuł, że tym razem nie pomoże mu mantra NIE MÓJ JEBANY INTERES. Zapewne nie dałoby się uratować przed nimi wszystkiego, z czego składał się człowiek, ale coś jednak można było ocalić. Ile dokładnie - to zależało tylko od niego. Tylko taki wybór mu pozostał. Przez trzy dni męki Abbotta Klein czuł, że sam zaczyna umierać. Nie była to metafizyczna fanaberia; autentycznie czuł, że coś gnije w jego brzuchu, że rwie go miednica i kręgosłup, a w mózg wpija się coraz ciaśniejsza obręcz. Kiedy zaś zobaczył te strażackie węże, wiedział, że wraz z odchodami rozsmarowanymi po celi Abbotta wypłuczą i jego, Raya Kleina. Nosił w sobie brzemię wiedzy, wiedzy medycznej, a wraz z nim - poczucie obowiązku.

Klein zawołał Cletusa i poprosił o pozwolenie na rozmowę z Abbottem. Po długim namyśle Cletus odparł:

- Ale dla własnego dobra... nie jesteś chyba jednym z tych nadmiernie szczwanych skurwysynów, co, Klein?
- Mam nadzieję, że nie jestem, panie kapitanie - odparł Klein.
- Bo gdybyś się przeliczył i dał się zabić, miałbym do usrania papierkowej roboty, na całe tygodnie.
- Po prostu chciałbym się wreszcie wyspać.

Cletus przyjrzał mu się uważnie.

- Dobra, Klein. Ale wchodzisz na własne ryzyko.

W galeriach cel zapanowało poruszenie. Przy wtórze szmeru rozmów twarze przysunęły się do drzwi, dłonie zacisnęły na kratkach, a uszy wysunęły spomiędzy prętów: wieść o tym, że ten nowy, Klein, zamierza wejść do celi wariata, rozeszła się szybko. Spokojny Abbott miał siłę trzech ludzi; ogarnięty szaleem wart był tyle co pięciu, a na dodatek wszyscy wiedzieli, że wariaci nie czują bólu. Ledwie rok wcześniej jeden z takich własnoręcznie uciął sobie fiuta z jajami na dokładkę, a wszystko to za pomocą kawałka stłuczonego lustra i bez jednego piśnięcia. Klein musiał być zdrowo stuknięty, skoro poważał

się na taką akcję. Typowy krótkoterminowiec, bez pojęcia o czymkolwiek. A ten skurwiel Abbott ma przecież siłę sześciu albo i siedmiu facetów, myśleli więźniowie. Pieprzony olbrzym, a na dodatek kompletny czubek!

Olbrzym Abbott siedział w kucki w kącie celi, usmarowany odchodami, i mamrotał coś niezrozumiale, rozdrapując strup na twarzy. Strach sprawia, że pot i wydaliny nabierają swoistej woni - obrzydliwej i wstydlivej. Woń ta odstrasza ludzi, gdyż w najprymitywniejszych pokładach pamięci budzi wspomnienie pierwotnej bezradności i lęku, które ich niegdyś łączyły, wspólne wspomnienie bycia ofiarą. Zapanowawszy nad odruchem wymiotnym i pragnieniem ucieczki, Klein stanął na progu celi i przedstawił się.

- Cześć, Henry. Jestem Ray Klein.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do środka i przysiadł na prycy. Chwilę później drzwi celi zamknęły się za nim z hukiem.

Klein spędził całą noc na prycy Abbotta, nic nie mówiąc. Ignorował obsceniczne zaczepki z sąsiednich cel - po prostu siedział i milczał, przyzwyczajając się do smrodu i szukając w sobie choćby cząstki duszy, która czułaby się bezpiecznie i której spokój mógłby udzielić się Abbottowi. Wreszcie nad ranem zasnął, a gdy obudził go dzwonek na pierwsze poranne zamknięcie i liczenie, jego głowa spoczywała na barku Abbotta, który otoczył go ramieniem.

Tamtego dnia Abbott bez słowa perswazji czy aktów przemocy udał się w towarzystwie Kleina do celi w bloku izolatek, zwanej dziurą, gdzie poddał się leczeniu farmakologicznemu, zaleconemu przez Kleina. Zamknięcie faceta w dziurze i pakowanie w niego poważnych dawek leków uspokajających nie było, zdaniem Kleina, najweselszym rozwiązaniem, ale przynajmniej mógł go odwiedzać cztery razy dziennie, nikomu nie stała się krzywda, a Abbott zaczął stopniowo odzyskiwać równowagę. Teraz przyjmował już tylko co dwa tygodnie domięśniową dawkę wolno uwalniających się fenotiazyn, które

pomagały zwalczyć objawy choroby - ów plastik, po którym trudno mu było mówić i się uśmiechać. Abbott nigdy nie powrócił do normalności, ale jakoś sobie radził. Dennis Terry dał mu pracę przy ściekach, której nikt inny nie chciał wykonywać. Kiedy zdarzało się, że dostawał szału, to właśnie Kleina proszono, by z nim porozmawiał i zaprowadził go do dziury, Abbott zaś potulnie wykonywał jego polecenia. Raz jednak trafił tam, choć wcale mu nie odbiło; właśnie wtedy, kiedy Klein musiał wyznaczyć nowe granice swojej egzystencji w Green River.

Myron Pinkley był nadąsanym, egoistycznym, dwudziestojednoletnim socjopata o nabitych ramionach i malutkiej główce. Skazano go za zabicie trojga nastolatków biwakujących w Big Bend National Park, dokąd wybrał się z dziewczyną na morderczo-erotyczny rajd. Zawsze trzymał się blisko załogi Agry'ego, niczym pasożyt, choć nie miał najmniejszych szans, by do niej wejść. Generalnie uważano go za uciążliwego przypała, który pewnego dnia zabije kogoś na oczach strażnika i resztę życia spędzi w dziurze. Pewnego dnia - podczas niedzielnego lunchu, krótko po tym, jak Klein zwrócił na siebie uwagę współwięźniów, pomagając Abbottowi - Myron Pinkley ukradł Kleinowi deser.

Klein siedział spokojnie, obserwowany przez dziesiątki oczu, a jego wnętrze zmieniały się w lawę. Sześcienny kawałek śmiertecznej galaretki w kolorze butelkowej zieleni nie miał żadnej wartości ani dla człowieka, ani dla zwierzęcia, ale w tym momencie był symbolem godności, szacunku i siły. Było jednak zbyt wcześnie i wartości rządzące więziennym światem nie były dla Kleina zrozumiałe. Aby powstrzymać Pinkleya, musiałyby użyć siły i ponieść konsekwencje. Galaretka zaś była tak mało ważna, a przypuszczalny koszt jej odzyskania tak horrendalnie wysoki, że Klein nie umiał zdobyć się na jakiegokolwiek działanie. Siedział więc tylko, rumieniąc

się i próbując zapanować nad pęcherzem, podczas gdy Pinkley obliżał paluchy, uśmiechnął się i odmaszerował, prężąc pierś jak dorodny indyk. Reszta dnia była dla Kleina torturą. Z dobrych rad, których wysłuchał, wynikało jedno: jeśli odpuści Pinkleyowi, będzie miał przesrane. Wieczorem Pinkley poczęstował się puddingiem czekoladowym Kleina. Tym razem jednak Henry Abbott siedział samotnie przy sąsiednim stoliku.

Olbrzym wychylił się i pochwycił dłoń Pinkleya, który drugą pięścią natychmiast wymierzył mu cios w twarz. Abbott nawet się nie skrzywił; po prostu wstał, wciąż trzymając go za rękę. Po paru sekundach twarz Pinkleya zaczęła się marszczyć w grymasie bólu. Spróbował sięgnąć do oczu Abbotta, ale ten tylko zwiększył siłę uścisku i Pinkley opadł na kolana, wrzeszcząc z bólu. Trzech strażników, potem czterech, a nawet pięciu, nie było w stanie zmusić Abbotta do wypuszczenia dłoni Pinkleya. Najpierw mu grozili, potem go kopali, a na koniec walili pałkami po głowie. Lecz Abbott milczał i trwał. W końcu zaciągnęli go do bloku izolatek, przy czym wciąż włókł za sobą piszcącego Pinkleya niczym krnąbrnego pluszowego misia. Po trzech godzinach żelaznego uścisku podano Abbottowi dożylnie najpierw dwadzieścia, potem siedemdziesiąt i wreszcie sto osiemdziesiąt miligramów valium.

Pinkley stracił prawy kciuk i palec wskazujący; zapewne niewiele lepiej czułby się po stracie całego ramienia. Co gorsza, stracił też wiarygodność. Mówiło się, że szykuje już majcher z nazwiskiem Abbotta, który wkrótce miał wyjść z dziury i choć rosty, stanowił łatwy cel. Wedle powszechnego mniemania to Klein powinien coś zrobić w tej sprawie.

Kiedy się nad tym zastanowił, sprawa wydała mu się prosta. Wszystko, co do tej pory robił w River, było podszyte głębokim poczuciem bezradności i strachem - każdy prysznic, każda wizyta w

latrynie, w siłowni, rozmowa ze strażnikiem, brak rozmowy ze strażnikiem, wybór stolika w stołówce, komu skinąć głową na powitanie, komu nie.

Każdy krok, choćby najprostszy, niósł ze sobą pytanie: co się stanie i kogo mogę obrazić, jeśli to zrobię? Czy mogę rozmawiać z Latynosem? Czy wolno mi nie nienawidzić czarnych? Czy nie utną mi języka, jeśli powiem, że Muddy'ego Watersa cenię wyżej niż Williego Nelsona? Klein nigdy nie był do końca pewny. Strach i niepewność były podsycane mieszaniną fantazji, plotek i brutalnej rzeczywistości. Kiedy wreszcie sam ukształtował nieco rzeczywistość, poczuł ulgę. Kupił piętnastocentymetrowy gwóźdź od jednego ze stolarzy i krótki odcinek kija od miotły od kubańskiego sprzętacza. Przebił drewno gwoździem w poprzek, tworząc coś na kształt korkociągu. Potem zaś odnalazł Pinkleya w dalekim kącie kuchni, gdzie ten jako kaleka musiał się zniżyć do upokarzającego zajęcia opróżniania tac z resztek, i wbił gwóźdź głęboko w bok jego czaszki, tuż obok skroni.

Gdy Fenton, główny kucharz, znalazł Pinkleya godzinę później, młody więzień nadal wylewał z tac resztki, jakby nic się nie stało, tyle że dziesięć centymetrów galwanizowanego żelaza tkwiło w jego płatach czołowych.

Pinkley przeżył operację opon i czaszki, a na dokładkę nie pamiętał absolutnie niczego ze zdarzenia, które odbyło się bez świadków. Niczego nikomu nie udowodniono, nie było nawet poważnego śledztwa, ale kilka dni później Nev Agry pochylił się nad uchem Kleina, który właśnie zabierał się do konsumowania puddingu czekoladowego, i powiedział:

- Niezła robótka, Doktorku.

Kapitan Bill Cletus wziął go potem na stronę.

- Zrozum mnie dobrze, Klein, pieprzony cwaniaku: niech ci woda sodowa nie uderzy do łba.

Jeśli nawet sumienie Kleina kiedykolwiek pytało go o to, czy okaleczona dłoń i trwałe uszkodzenie mózgu to nie za surowa kara za kradzież porcji limetkowej galaretki, to jego głos utonął w dzikich okrzykach triumfu i radości, dobiegających z każdego włókna jego ciała. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ciężkie brzemie strachu zniknęło z życia Kleina. Po raz pierwszy poczuł, że może się odlać w latrynie między dwoma Dożywotnimi. Resztki poczucia winy zgasił przekonaniem, że Pinkley odrodził się po tym incydencie z całkiem nową osobowością, zdecydowanie ciekawszą - nawet zdaniem jego matki - od tej, którą dał mu Stwórca. Potulny, posłuszny, niemal irytująco uprzejmy Pinkley wstąpił do Armii Jezusa - MIŁOŚĆ, WIARA, MOC - i nadal sprzątał w kuchni, z radością ofiarowując swoją pracę Panu, a ponadto każdego dnia spędzał dwie godziny w kaplicy, modląc się o odkupienie własnej duszy. Gdyby Pinkley zginął - a przecież gwóźdź w czaszce mógł go zabić - być może sumienie dokuczałoby Kleinowi nieco bardziej, ale, do diabła, w końcu orientował się całkiem nieźle, ile mogą znieść płyty czołowe ludzkiego mózgu. Teraz zaś liczyło się tylko to, że mógł robić ze swymi deserami, co tylko chciał - zazwyczaj oddawał komuś swoją galaretkę.

Klein wrócił myślami do teraźniejszości. Zbliżał się do wewnętrznej bramy w skrzydle ogólnego przeznaczenia i miał przed sobą strażnika Kracowicza, który spoglądał bykiem na przechodzących obok więźniów. Gdy Klein był blisko, Kracowicz wyciągnął z rzędu jakiegoś Latynosa, by go zrewidować.

Skrzydło ogólnego przeznaczenia, złożone ze zwykłych kondygnacji i pokojów, a nie otwartej nawy i wysokich galerii klatek, sprawiało nieco miłsze wrażenie od reszty. Ponad metr nad głową idącego korytarzem znajdował się całkiem normalny sufit, a nie ta przeklęta, wysoko zawieszona kopuła ze szkła. W skrzydle tym znajdowały się biblioteka, kaplica, dwa pokoje, w których odbywały

się kompletnie niedorzeczne sesje terapii grupowej (tak ukochane przez komisję zwolnień warunkowych), oraz salka gimnastyczna, której drewniana podłoga nie raz spłynęła krwią, gdy rywalizujące grupy ścierały się o korzystanie ze sprzętu. Klein w marszu - teraz już odruchowo - unikał choćby zderzenia się barkiem z kimkolwiek, kto mógłby to uznać za wstęp do bitki.

Strażnik Grierson stał u bramy zewnętrznej, tuż pod wylotem klimatyzatora, pocąc się lekko w mundurze khaki. Klein rzadko był przeszukiwany, a jeszcze rzadziej zdarzały mu się drobiazgowe rewizje osobiste. Na solidną rewizję dokonaną wprawnymi rękami, przy umiarkowanie niechętniej współpracy więźnia - i z poprawką na niesłyszczaną pomysłowość ludzką w dziedzinie przemytu - potrzeba było od pięciu do siedmiu minut. Wypróżnianie kieszeni, obmacywanie kołnierzy, mankietów i szwów, zdejmowanie butów, rozchylenie palców u nóg, unoszenie genitaliów, rozchylenie pośladków. Było to żmudne i niewdzięczne zajęcie, bo większość udanych przeszukań kończyła się odkryciem kontrabandy zbyt trywialnej, by można było wymierzyć za nią solidną karę - czasem znaleziono skręta grubości wykałaczki, za co na tydzień odbierano przywilej korzystania z telefonu - a dyskrecja całej operacji zależała wyłącznie od tego, jak upierdliwy był dany klawisz. Władze więzienia Green River nie dysponowały środkami na dokonanie codziennej rewizji wszystkich więźniów. Przy każdej bramie zamontowano wykrywacze metalu, ale sprzęt liczył sobie już dwadzieścia wiosen i w razie potrzeby łatwo było spowodować w nim zwarcie, co kończyło się długim oczekiwaniem na naprawę w wykonaniu ekipy konserwatorskiej Dennisa Terry'ego. Na widok Kleina Grierson skinął głową i przepuścił go, machając ręką.

Na zewnątrz słońce stało już wysoko, rozświetlając biało-błękitne niebo, a zapach powietrza, w porównaniu z mieszaniną woni na stałe

uwięzioną w gmachu więzienia, wydawał się Kleinowi wręcz słodki. Po lewej, między skrzydłem ogólnego przeznaczenia a blokiem D, w wysokiej klatce ze stalowej siatki znajdowała się siłownia białych, gdzie skazańcy, należący w większości do kliki Grauerholza, przrzucaли swoje tony żelaza. Od czasu nawrócenia Myrona Pinkleya Klein miał prawo ćwiczyć tu trzy razy w tygodniu, w towarzystwie facetów o ramionach liczących dobrych pół metra obwodu. Po prawej, między salą gimnastyczną a blokiem B, znajdowała się siłownia czarnych. Klein zapuścił się tam tylko dwa razy, zawsze na wyraźne zaproszenie, gdy któryś z ćwiczących spuścił sobie na tchawicę dziewięćdziesięciokilogramową sztangę.

Klein kroczył betonową ścieżką, która prowadziła wprost do głównej bramy więzienia: łukowato sklepionego tunelu zamkniętego z obu stron dwuskrzydłowymi, olbrzymimi, dębowymi drzwiami nabijanymi kutym żelazem. W połowie tunelu znajdowała się trzecia brama, wykonana z pittsburskiej stali, otwierana elektronicznie. Imponująca, granitowa ściana, wzniesiona symetrycznie do sześciu promienistych skrzydeł głównego gmachu więzienia, otaczała gigantycznym, kamiennym sześciokątem dwa tysiące ośmiuset skazańców i ich opiekunów. Podobno wpuszczono ją w ziemię na paręnaście metrów, by nikt nigdy nie wykopał pod nią tunelu. Wieńczyły ją podwójne zasięki z drutu kolczastego, nieodmiennie ciemnoszarej barwy, bez względu na to, jak silnie prażyło słońce. W regularnych odstępach na szczycie muru znajdowały się wieżyczki, z których znudzeni strażnicy tulący w ramionach karabiny M16 przyglądali się dziedzińcom i warsztatom widocznym w dole.

Ponad główną bramą wznosiła się krępa, pękata wieża, której sylwetka była jakimś cudem toporna i elegancka zarazem. To właśnie tam naczelnik Hobbes niemiłosiernie sprawował władzę nad

swymi podopiecznymi. Wymyślna architektura całego kompleksu bez wątpienia miała klimat niezachwianej pewności, właściwy poprzedniej epoce, i bez wątpienia robiła wrażenie na postronnym obserwatorze, lecz dla Kleina była jedynie żalosnym gównem, dla którego nie miał ani szacunku, ani podziwu. Pod bacznym spojrzeniem najbliższego strzelca Klein odbił w bok, oddalając się od bramy. Zamierzał spędzić popołudnie w prywatnej klinice, którą urządził w podziemnym pomieszczeniu wynajętym od Dennisa Terry'ego, a zabezpieczonym osobistą gwarancją Neva Agry'ego. Tłumy więźniów odwiedzały go tam, uskarżając się na przeróżne dolegliwości i płacąc za leczenie papierosami, pornolami, bonami więziennymi, gotówką lub inną walutą, którą zaakceptował Klein. Teraz jednak skręcił w labirynt drucianej siatki, kierując się ku izbie chorych, w której spędzał wszystkie poranki.

Szpital był dwupiętrowym budynkiem przytulonym do południowo-zachodniego muru. Klein przebiegł myślami tygodniowy grafik zajęć - tego dnia nie zanosilo się na wizytę Juliette Devlin. Nie żałował tego zbyt, bo w tej chwili koncentrował się wyłącznie na spotkaniu z Hobbesem, ale w każdy inny dzień czekał na nią z utęsknieniem. Była psychiatrą sądowym z Houston i prowadziła jakieś badania na więźniach leczonych w tutejszej infirmerii. Klein pożył jej, i to potężnie, ale nie zdradzał się z tym. Nawet przed samym sobą tylko z rzadka przyznawał się, jak jest naprawdę. O, nie. Byli jedynie kolegami z pracy, niczym więcej, a nawet i na tę relację kładł się cieniem fakt, iż Klein był skazańcem. Przypomnił sobie, że wkręciła go w absurdalny zakład o wynik meczu Lakersów z Knickami, który miał się odbyć tego wieczoru. Postawił karton winstonów przeciwko dwóm parom nowiutkich slipów od Calvina Kleina, że Knicksi nie przegrają więcej niż sześcioma punktami. Jako że w więzieniu bielizna od jego bardziej sławnego imiennika uchodziła za

niebywały luksus, uważał, że warto było zaryzykować. Wbiegł po schodach na piętro i minął wielkie, podwójne drzwi izby chorych, które za dnia pozostawiano uchylone.

Przy pierwszym z trzech wewnętrznych posterunków - kracie ze stalowych prętów - czuwał koreański strażnik, Sung. Gdy razem szli w stronę drugich drzwi, Klein życzył mu miłego poranka, a Sung jak zwykle nie odpowiedział. Przebył pół świata, by pilnować bandy morderców w Teksasie, i być może nie dostrzegał wielkiego sensu w życzeniu im czegokolwiek miłego. Klein ruszył korytarzem ku trzecim drzwiom, wykonanym z litej dębiny, minął ambulatorium i wszedł do gabinetu. Piętnaście lat wcześniej ściany tego pomieszczenia pomalowano farbą w odcieniu musztardowej żółci, jakby specjalnie po to, by przypominały chorym, że nie trafili tu dla przyjemności. Farba łuszczyła się już od dawna, zwłaszcza na obwisłym tynku, którym pokryty był sufit. Klein zabrał ze sobą biały kitel i plik wyników z laboratorium, po czym udał się wprost na oddział Crocchetta. Gdy tam zajrzał, Żaba Coley uniósł wielką i kanciastą głowę znad pacjenta, którego właśnie badał, a potem wstał i wyszedł Klei-nowi na spotkanie. Miał na dłoniach gumowe rękawiczki, a na jego szyi wisiał stetoskop.

- Co nowego, szefie? - spytał Klein.

- Lopez nadal sra resztką krwi, która mu jeszcze została. Obejrzyj go, ale moim zdaniem trzeba zawiadomić jego mamę. Ona rozumie, że Vinnie nie chce jej oglądać, ale mówiła, że i tak chce wiedzieć.

- Jasne.

- Zdaje mi się, że Reiner ma zapalenie płuc. Deano Bainesowi skoczyła hemoglobina. A Kulas próbował udusić Garveya poduszką.

- Żyje?

Coley uniósł brew.

- Mam na myśli Kulasa - dodał Klein.

Coley skinął ponuro głową.

- Zajrzyjmy do nich.

Coley zdjął rękawiczki, zwijając je tak, by zewnętrzna, być może skażona strona nie miała kontaktu z jego skórą. Klein przyglądał się temu z satysfakcją, bo sam wyrobił w Żabie ten nawyk. Coley rzucił zużyte rękawiczki do kosza na odpady i podążył za Kleinem w stronę pierwszego łóżka.

Klein wyobrażał sobie czasem Green River jako rosyjską matryoszkę, wyrzeźbioną z kolejnych warstw horroru. W samym środku laleczki znajdować się musiała czarna pustka zwana AIDS. Dawniej Klein niewiele wiedział o tym zjawisku, ale szybko poznał szczegóły.

Nikt nie wiedział, jaki odsetek więziennej populacji stanowili nosiciele wirusa HIV, ale bez wątpienia wysoki. Bardzo wielu skazańców jeszcze na wolności zażywało dożylnie narkotyki i z pewnością przyniosło ze sobą wirusa. Za murami River nie zerwali z nałogiem, a dzielenie się igłami i innym sprzętem oraz niebezpieczne praktyki seksualne i często przelewana krew sprawiały, że dochodziło do nowych zakażeń. W zewnętrznym świecie zagrożenie AIDS prowokowało dobrze zabezpieczonych, rozsądnych mężczyzn z grubymi portfelami, świetnym wykształceniem i wiernymi żonami do działań zdradzających ich zdumiewającą niewiedzę i bigoterie. Klein nie widział dla nich usprawiedliwienia. W Green River sprawy wyglądały inaczej. Tu strach przed zakażeniem był tak wielki, że problem ukryto pod powierzchnią życia - stał się tabu, tematem zakazanym, nawet o nim nie wspomniano - na samym dnie świadomości. W in-firmerii zaś pojawiały się nowe przypadki. Ray Klein i Earl Coley musieli unieść to brzemie.

Zmagali się z całą menażerią mikroskopijnych stworzeń, które walczyły o przeżycie w ciałach zarażonych, dokładnie tak samo, jak

owi zarażeni walczyli o swój byt w świecie, w więzieniu i w końcu na tym ostatnim szafku, w oddziale Crocketta. *Candida albicans*, *Mycobacterium tuberculosis*, *Hemophilus influenzae*, *Mycobacterium avium*, *Streptococcus pneumoniae*, *Pneumocystis carinii*, *Salmonella*, toksoplazmoza centralnego układu nerwowego, kryptokokowe zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, cytomegalowirusowe zapalenie siatkówki, postępująca leukoencefalopatia wieloogniskowa, chłoniak wielkokomórkowy i kto wie co jeszcze stawały im na drodze; istny festiwal ropotwórczo-kancerogeny, którego repertuarowe bogactwo musiało wprawiać samego Boga w zachwyt nad płodnością jego wyobraźni. A także nad głupotą ludzi, którzy w swym szaleństwie rzucali mu wyzwanie.

Poranny obchód odbywał się według sprawdzonego scenariusza. Podchodzili razem do każdego z pacjentów, a Coley - który od wielu lat nie opuszczał budynku - opisywał zmiany, które zaszły w ciągu nocy. Klein z kolei pokazywał mu wyniki nielicznych badań laboratoryjnych, na które mogli sobie pozwolić, i w razie potrzeby wyjaśniał ich znaczenie. Coley przystępował do metodycznego badania pacjenta, sprawdzając wszystkie najważniejsze systemy - tak jak nauczył go Klein. Przyglądanie się jego dłoniom przy pracy - dłoniom stworzonym do zbierania bawełny i orania kamienistych pól - zawsze sprawiało Kleinowi przyjemność. Napawało otuchą. W ciągu trzech lat Klein nauczył go niemal wszystkiego o medycynie klinicznej, co warto było wiedzieć. Coley był jak gąbka; chłonał wiedzę z pasją, której Klein autentycznie mu zazdrościł. Nie było najmniejszych wątpliwości: czarnoskóry dzierzawca miał dar uzdrawiających dłoni. Był urodzonym lekarzem; ciała opowiadały jego palcom o swym bólu, a on słyszał ich głos. Klein spotkał w swym zawodowym życiu tylko kilku takich ludzi i zawsze z podziwem przyglądał się ich pracy. Choć bardzo chciał, nie mógł uznać siebie za jednego z nich.

Oczywiście nie wspominał o tym Coleyowi, nigdy nie okazywał podziwu i dumy - bał się, że obaj będą zażenowani. Nigdy zresztą nie czuł się dobrze z przejawami przyjaźni, miłości i wzajemności w stylu kalifornijskim, a River nie wydawało mu się odpowiednim miejscem na zmianę tego nastawienia. Zamierzał jednak wyznać Coleyowi prawdę przed powrotem na wolność. Może już wkrótce? Może właśnie tego dnia. Brzęk metalu spadającego na kamienną posadzkę, dobiegający z końca sali, przerwał rozmyślenia Kleina o wolności.

Vinnie Lopez wpatrywał się w sufit, leżąc w wygniecionej, brudnej pościeli. Do jego żył sączyła się dektrosalina z dodatkiem potasu. Na podłodze przy łóżku leżał basen z nierdzewnej stali, który Lopez próbował podnieść z nocnego stolika i upuścił. Brakowało mu siły, by po niego sięgnąć; leżał teraz spocony, zaciskając pięści, a jego twarz była maską wstydu i upokorzenia.

- Przynieś czystą pościel - powiedział Coley.

Klein oddalił się szybkim krokiem w stronę szafy na końcu sali. Przyjmował polecenia Coleya i bez szemrania wykonywał nawet najprostsze czynności, których w szpitalnej codzienności nie brakowało. Gdyby nie taki układ władzy, Klein nigdy nie zdołałby ani wykorzystać, ani przekazać swojej wiedzy. Coley prowadził izbę chorych przez szesnaście lat, zanim zjawił się Klein, i gdyby tylko pożył dostatecznie długo, pewnie poprowadziłby ją przez kolejnych szesnaście. To on był tu sternikiem. Gdy Klein wrócił do łóżka chorego, Coley zdążył już zdjąć pusty pojemnik po kroplówce.

- To wszystko. Dostaje nowy co osiem godzin. Myślisz, że to wystarczy?

Klein skinął głową, przyglądając się Lopezowi, a Coley odszedł. Klein odłożył pościel i zaciągnął zasłony wokół łóżka. Przyniósł miskę gorącej wody, włożył gumowe rękawiczki i umył Lopeza od szyi do kolan. W ciągu sześciu miesięcy Meksykanin zmienił się ze

sparingpartnera Reubena Wilsona w worek kości ważący ledwie czterdzieści trzy kilogramy. Poziom limfocytów CD4+ w jego organizmie spadł poniżej 150, a w jelicie pojawiły się pałeczki *Campylobacter*, odporne na kurację antybiotykową, a przynajmniej na te preparaty, które mogli mu podać. Za murami stosowano już nowe, mocniejsze leki - tak przynajmniej wyczytał Klein - ale były dla nich zbyt drogie. Chroniczna, krwawa biegunka obniżyła poziom potasu w organizmie Lopeza i zapasy białka, wywołując pogarszającą się z dnia na dzień anemię. Na domiar złego w ustach i przełyku Lopeza pojawiła się drożdżyca.

Podobnie jak o zakupie leków, o niezbędnych transfuzjach krwi decydował Bahr, oficjalny lekarz więzienia, ale jego zdaniem nie miały one sensu. Bahr był miejscowym internistą, który wpadał do River cztery razy w tygodniu, na godzinę - dokładnie tego wymagało odeń w kontrakcie - i zanim udał się na pole golfowe, oznajmiał Kleinowi i Coleyowi, że wszystkie przypadki, z którymi nie mogą sobie poradzić, powinni odsyłać na oddział nagłych wypadków szpitala okręgowego. Jego taktyka polegała na podawaniu chorym na AIDS końskich dawek środków uspokajających i pozwalaniu, by skonali w spokoju. Klein gardził Bahrem, nie dlatego, że jego polityka była nieracjonalna czy nieludzka, ale dlatego, że jej głównym celem było ułatwienie Bahrowi życia. Pan doktor pobierał bardzo godziwe wynagrodzenie z Biura Penitencjarnego za tę swoją godzinę czy dwie w tygodniu, a tymczasem znacznie większy sens miałoby przeznaczenie tych pieniędzy na leki i wyposażenie izby chorych. Niestety, decyzje podejmował Bahr. Gdyby tylko zechciał, mógł usunąć Kleina i Coleya ze szpitala, i to na dobre. Zwłaszcza że pracując tu regularnie, łamali tak wiele postanowień więziennego regulaminu, że władze bez problemu mogły osadzić ich w dziurze na długie lata. Woleli więc lizać Bahrowi dupę, nie informować go o niczym i wzywać po godzinach tylko wtedy, gdy trzeba było

wystawić akt zgonu - Bahr nie miał nic przeciwko tym wizytom, równie sownie opłacanym.

Jeśli chodzi o taktykę Bahra wobec chorych na AIDS, Klein i Coley uznali, że decydujące słowo powinno należeć do pacjentów. Jeśli ktoś chciał walczyć, walczyli razem z nim. Wielu jednak trafiało do infirmerii w późnej fazie choroby, bo jak najdłużej robili wszystko, by ukryć dolegliwości przed współwięźniami. Byli to ludzie, którzy nawykli do złych nowin, którzy otrzymywali je i przekazywali przez całe swoje życie, ale śmierć na AIDS w więziennej izbie chorych była akurat tą wersją smutnego końca, z którą nie chcieli mieć do czynienia. W Green River z religijnym wręcz zapalem pielęgowano kult twardości. Więźniowie godzili się stawić czoło lękowi, gotowi przyjąć cios majchrem w plecy o każdej godzinie dnia i nocy; większość z nich miała w życiu okazję spojrzeć prosto w łufę trzydziestkiósemki, a wszyscy gotowi byli co najmniej spróbować splunąć naczelnikowi w oko, gdyby prowadził ich kiedyś na krzesło elektryczne. Ale powolna śmierć za kratami z powodu tej choroby - pedalskiej choroby - była zdaniem skazańców najgorszą rzeczą, jaką mógł im zgotować podły los; niżej nie można było upaść.

I dlatego większość wołała przyjmować środki uspokajające, a Klein myślał: Dlaczego, kurwa, nie? Czasem miał wrażenie, że życiu przypisuje się wartość, na którą wcale nie zasługuje. Ludzie żyli i umierali; kogo - poza najbliższymi, którzy mieli oplakiwać zmarłego - obchodziło, kiedy to nastąpi? Oplakiwanie zmarłego należało do żałobników, nie do trupa. Klein miał nadzieję, że kiedy i na niego przyjdzie czas, będzie miał dość rozumu, żeby skończyć ze sobą szybko i schludnie, bo skoro ostateczny rezultat walki był i tak znany, to po co w ogóle się szarpać?

Lecz Vinnie Lopez był wojownikiem. Bokserem. Zwijając brudne prześcieradło i wkładając je do plastikowego worka, Klein spojrzął w

jego udręczone gorączką oczy i zobaczył w nich ognisty bunt ostatecznej rozpacz. Stalowo-lodowa klatka wokół jego serca zadrżała przez sekundę i ogarnęły go niedozwolone emocje. Odwrócił się, zanim zdążyły go osłabić, zanim nawet zdążył je nazwać. Zerwał z rąk rękawiczki, dołożył do worka i wciągnął na dłonie świeżą parę. Strzepnął świeżo wyprane prześcieradło. Nie patrzył już w te niebezpieczne oczy Lopeza. Przewrócił go na bok na brzegu łóżka i rozpostarł pod nim prześcieradło. Gdy układał go w poprzedniej pozycji, twarz chłopaka zmarszczyła się w grymasie.

Łzy spłynęły po policzkach Lopeza. Ostonił twarz zgiętym ramieniem i przewrócił się na bok, plecami do Kleina. O ile Klein się nie mylił, nikt jeszcze nie widział łez Lopeza.

Czuł mocny ucisk w żołądku. Lopez, który szczycił się czterema morderstwami - na wolności był przywódcą gangu ulicznego z San Antonio - i którego traktowano poważnie nawet tutaj, wyglądał teraz jak ośmioletni dzieciak. Klein strzepnął kołdrę i opuścił ją delikatnie na zwinięte w kłębek ciało Lopeza. Wiedział, że czasem lepiej jest zostawić chorego sam na sam z bólem i wstydem, ale czasem czuł, że to tylko wymówka, by nie spróbować. W tym momencie naprawdę nie był pewny, jak jest. Poprawiając kołdrę, zignorował te myśli i zdał się na intuicję. Wyprostował się.

- Vinnie - powiedział.

Lopez odpowiedział, nie odsłaniając twarzy:

- Spadaj stąd, facet.

Klein usiadł na krześle przy łóżku, spoglądając na wygięty grzbiet skulonego Lopeza. Ostrożnie położył dłoń na jego barku i poczuł, że pod jego dotykiem ciało napręża się jeszcze mocniej. Nie cofnął ręki. Po chwili Vinnie rozluźnił się nieco. Klein pożałował nagle, że ani trochę nie zna hiszpańskiego.

- Vinnie - powiedział. - Kiedy powiem, co mam do powiedzenia,

możesz kazać mi spierdalać, ale musisz zrozumieć, że tutaj obowiązują zasady Coleya i moje. A zasady są takie, że tutaj ani łyzy nie przynoszą wstydu, ani zesranie się w łóżku, ani chorowanie na to, co niszczy twoje ciało. Nie tu, Vinnie. Rozumiesz?

Wątle ciało pod jego dłonią zadrżało spazmatycznie.

- Gdybym zachorował, może zrobiłbyś dla mnie to samo - ciągnął Klein.

Lopez odwrócił się ku niemu. Jego oczy płonęły gniewem i pogardą. Klein cofnął rękę.

- Naplułbym na ciebie - powiedział Lopez.

Klein wytrzymał jego spojrzenie przez długą chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie - rzekł cicho. - Teraz plujesz na siebie.

Pogarda w oczach Vinniego zgasła, a jej miejsce zajęła surowa rozpacz. Jego twarz zadrżała. Chciał się odwrócić, ale Klein powstrzymał go, znowu kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Umieraj jak mężczyzna, Vinnie.

Vinnie spojrzał na niego zdumiony. Jego wargi drżały. Odezwał się szeptem:

- Chcę. - Umilkł na chwilę, powstrzymując łyzy. - Tylko tego chcę. Tylko tego, facet. Tylko tego.

Klein z trudem przełknął ślinę.

- I właśnie tak umierają mężczyźni.

Vinnie potrząsnął głową; był innego zdania. Klein pokiwał głową.

- Łatwo jest czuć się mężczyzną, kiedy trzymasz but na czyimś gardle - powiedział. - Wiem, to przyjemne uczucie. Zachować dumę, kiedy się leży we własnym gównie, to zupełnie inna sprawa. Tego uczucia jeszcze nie znam. Może nie poznałbym go, nawet gdybym spróbował. Ale ten, kto to potrafi - mężczyzna, który odnajdzie swoją dumę i będzie się jej trzymał - to jest dopiero gość.

Łzy napłynęły z taką siłą, że Vinnie musiał zacisnąć powieki. Po chwili zmusił się, by spojrzeć na Kleina.

- Facet, ja się boję - szepnął.
- Wiem, Vinnie. - Klein uściśnęła jego dłoń.
- Boję się - powtórzył Lopez, łkając.

Klein siedział w milczeniu, a ból wielki jak świat z wolna wypełniał jego pierś. Wiedział, że wszelkie słowa pocieszenia, które mógłby wypowiedzieć, pomogłyby raczej jemu, nie Vinniemu. Nie sposób pocieszyć kogoś, kto kona w dwudziestym drugim roku życia. Na sekundę stał i lód rozpadły się doszczętnie i Klein poczuł ogromną, przerażająco silną potrzebę wypowiedzenia zaklęcia, które uzdrowiłoby tych wszystkich chłopaków. Uczyniłoby ich szczęśliwymi, bogatymi i wolnymi. I jego samego wraz z nimi. Nagle poczuł strach: co będzie, jeśli dostanie zwolnienie warunkowe? Miał wrażenie, że rozumie, dlaczego odmówiono mu rok wcześniej: być może podświadomie wiedział, że jeśli go wypuszczą, straci to wszystko. Tutaj wciąż był lekarzem; na wolności będzie nędzarzem. Przez chwilę miał ochotę odwiedzić kapitana Cletusa, połamać krzesło na jego łbie i dać się zamknąć na dłużej w dziurze. Była to jednak krótka chwila. Klein oczyścił umysł z emocji; ścisnął dłoń Vinniego i słuchał w milczeniu, jak jego chore płuca pracują ze świstem, nieznacznie unosząc kołdrę. Po paru minutach, które ciągnęły się jak godziny, chłopak ucichł i rozluźnił się. W tym momencie zza zasłony dobiegł głos Coleya:

- Zgaś to, kurwa, Deano, mamy tu tlen! Już ci mówiłem: masz siłę palić, to i masz siłę zawlec swoją żalosną dupę na dół, do telewizorni. Nie będziemy tu wdychać tego gówna.

Lopez znowu zeszywniał i otarł twarz rąbkiem kołdry.

- Nie chcę, żeby Żaba widział mnie w takim stanie - powiedział.

- Jasne. - Jak niemal wszyscy w River, Vinnie podziwiał Coleya. Klein skinął głową i wstał. - Do zobaczenia.

Zabrał torbę z praniem i zatrzymał się na moment przy zasłonie.

- Vinnie, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Lopez spojrział na niego.

- Pozwól mi zaprosić twoją matkę na wizytę.

Vinnie odwrócił głowę.

- Pomyśl o tym. Pomyśl, o czym rozmawialiśmy.

Gdy sięgał do zasłony, Lopez odpowiedział:

- Klein.

Klein obejrzał się przez ramię. Lopez odczekał jeszcze chwilę, a potem skinął głową.

Klein odpowiedział tym samym.

- Dzięki, Vinnie.

Wyszedł za zasłonę w samą porę, by zatrzymać przechodzącego obok Earla Coleya.

- Vinnie chce jakiś czas pobyć sam.

Coley najpierw spojrział na zasłony, a potem na Kleina.

Zważył w dłoni worek z kroplówką.

- To chyba może poczekać.

- Dzięki - odparł Klein.

Coley spojrział na zegarek.

- Zdaje się, że miałeś się spotkać z Bogiem Wszechmogącym, żeby się dowiedzieć, czy dobrze ssałeś małe, białe kutasy szanownej komisji - rzekł, pokazując zegarek Kleinowi.

Dziesiąta trzydzieści pięć.

Hobbes już czekał.

- Szlag - mruknął Klein.

Zrzucił z ramion biały kitel i puścił się biegiem w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ 5

- Klękaj, czarnuchu.

Ochryply szept Stokely'ego brzmiał bardzo głośno tuż przy jej uchu.

- Nie chcę patrzeć na twoją skurwysyńską gębę.

Poczuła w nozdrzach jego kwaśny oddech, a zaraz potem odrażający smród kutasa, którego Stokely właśnie wyciągnął z szortów. Tłem dla jego wynurzeń był mocny wokal Ice'a-T, którego pieśń wojenna dobiegała z głośników magnetofonu.

- I cicho bądź. Jak mówiłem, jeśli to się wyda, to urznę ci tego czarnego, pedalskiego kutasa i wsadzę w dupę.

W River nader często mówiło się o urzynaniu, urywaniu i deptaniu, ale przeważnie były to brednie. Jednakże słowa, które padały z ust Stokely'ego Johnsona, należało traktować poważnie. Nikt jeszcze nie zapomniał, co Johnson zrobił z nabiąłem Midge'a Midgely'ego. Wciskając czubek głowy w cienką poduszkę i opierając się na łokciach, Claudine kilkakrotnie odetchnęła głęboko i rozluźniła krtań oraz brzuch. Kwaśną woń oddechu zastąpił zapach lateksu, którego sterylność żywo kontrastowała z dusznym fetorem celi.

- Szlag by to. Nienawidzę tych gówien - mruknął Stokely, walcząc z kondomem.

Claudine czekała. Chwilę później, gdy poczuła czubek jego twardego fiuta między pośladkami, nabrała potężny haust powietrza i

naprężyła mięśnie, jakby próbowała postawić klocka twardego jak skała. Stokely wsunął się do środka z cichym pomrukiem satysfakcji. Jego głos nagle złagodniał.

- Cudnie - szepnął.

Cela była gorąca i wilgotna; mieszały się w niej wonie haszyszu, śluzu odbytniczego i spermy. Była to chłodniejsza pora dnia, zanim jeszcze słońce wspięło się na tyle wysoko, by świecić wprost na szklaną kopułę nad blokiem. Jeśli nie liczyć wyjść na posiłki, więźniowie przebywali w zamkniętych celach już od dwóch tygodni. Od dziesięciu dni nie działała klimatyzacja. Podobno się zepsuła i czeka na naprawę - tak im powiedziano. Wczesnym popołudniem temperatura sięgała trzydziestu ośmiu stopni, a powietrze nasycone było parującym potem i oddechami pięciu setek ludzi, stłoczonych w pomieszczeniach wzniesionych z myślą o trzystu. Pod pewnymi względami Claudine nawet cieszyła się z takich warunków: sprowadzały na nią poczucie beznadziei i wewnętrznej śmierci, które ułatwiała poddanie się atakom Stokely'ego.

- Skarbie - mamrotał Stokely.

Gładził ją po włosach, a Claudine zastanawiała się, jakie obrazy kłębią się w jego myślach i czyją skurwysyńską gębę naprawdę miał ochotę oglądać. Podobno miał kobietę gdzieś w Kalifornii, bodaj w Bakersfield, a także dwoje dzieci. Synów. Stoke znalazł się daleko od domu.

- Skarbie - szepnął znowu Stokely.

Złapał Claudine w talii, mocno, ale nie brutalnie, dłońmi mężczyzny, który w głębi serca pragnął tulić i pieścić kobietę, a także być przez nią pieszczonym i widzieć w jej spojrzeniu, że akceptuje go i pragnie takiego, jaki jest. Smutek ścisnął serce Claudine; żałowała, że w intymnych chwilach Stokely odsłaniał swoją prawdziwą naturę. Gdyby był inny, łatwiej byłoby go nienawidzić. Zapragnęła nagle odzyskać swoje włosy, długie i lśniące od oliwki. Jako kobieta

łatwiej mogłaby nienawidzić. I podporządkować się. Łatwiej uwierzyć, że brutalne rżnięcie w wykonaniu Neva Agry'ego jest wszystkim, na co zasługiwała. Powrót do bloku B, do czarnej populacji, od której zaczynała odsiadkę, pogрузzył ją w duchowym chaosie. Nie wiedziała już, kim jest.

Jako żona Agry'ego Claudine była - wedle powszechnie panującego przekonania - piękną kobietą. Agry kupił jej ubrania, perfumy i najprawdziwszą golarkę Lady Shave do nóg. Jedwabne haleczki. Czerwony lakier do paznokci. Nosiła włosy do połowy pleców. Agry nazywał ją - bez śladu ironii - swoją królową. Dotkliwa i niezwłoczna kara czekała każdego, kto ośmielił się zakwestionować iluzję, którą stworzyła wspólnie z Agrym. Nev wyprawił jej nawet najprawdziwsze wesele w bloku D - najbardziej odjazdową imprezę w historii więzienia - z prezentami od szefów innych grup, z druhnami i trzypiętrowym tortem, na którym wypisano ich imiona. Więzień z bloku A, licencjonowany pastor z Oklahoma City, odprawił ceremonię ślubną. Wszyscy rozumieli zasady: żadnych obelg, żadnych kawałów o pedałach, żadnych chichotów i insynuacji. Bycie obiektem zazdrości i pożądania było całkiem znośne - w końcu takie jest prawo kobiety - i nikt, pod groźbą srogiej pomsty, nie odważył się plotkować, żartować czy choćby szepnąć słowa na temat tego, że pod jej spódniczką wisi fiut z jajami. Nawet klawisze rozumieli układ. Po czterech latach takiego życia świadomość Claudine co do własnej płci uległa zatarciu, skryła się gdzieś w dalekim zakątku umysłu - jak u imigranta, który zapomniał ojczyźnej mowy. Jej o oktawę wyższy niż dawniej głos, kobiece gesty i zalotne spojrzenia, sposób, w jaki trzymała filiżankę kawy albo paliła papierosa - wszystko to stało się jej drugą naturą. Została Claudine Agry. Nev Agry załatwił jej przeniesienie do jego luksusowej, dawniej czteroosobowej celi, za nieznaną sumę (mówiło się o uncji dobrej kokainy albo skrzyńce bourbona

Maker's Mark). A teraz Claudine wylądowała znowu tam, skąd wyszła.

Nikt o tym nie wiedział, a już zwłaszcza nie Agry, ale sama poprosiła o powrót do dawnego bloku - z przyczyn zbyt niebezpiecznych, by mogła je ujawnić. Gdyby Agry odkrył prawdę przed jej wyjściem z więzienia, byłoby po niej.

Kiedy wróciła do bloku B, obcięła - albo obciął - włosy na krótko, zmyła makijaż, zamieniła jedwabne fatałaszkę na więzienny drellich i pozwoliła sobie znowu pachnieć potem, nie kosmetykami. Claudine Agry - wysoka, szczupła, elegancka - zmieniła się na powrót w Claude'a Toussainta - chudego, niezgrabnego chłopaczka. Królowa bloku D była teraz mniej niż zerem, byłym dealerem cracku; czarnuchem, którym czarnuchy gardziły za obciążanie białemu. Znowu była mężczyzną, ale nie minęło jeszcze dość czasu, by nowa sytuacja nabrała dla niej sensu.

Myśli Claudine na powrót skierowały się ku terażniejszości, bo Stokely zaczął ją pieprzyć szybciej i głębiej. Zaciśnęła palce na przeciwradle. Stokely spuścił się gładko i bezboleśnie, po czym znieruchomiał, wspierając wielkie dłonie na bokach jej głowy. Gorące krople jego potu spływały na plecy Claudine, która zaczynała się bać rychłego końca przedłużającej się pauzy. Wreszcie Stokely energicznym, pogardliwym ruchem się wycofał, a Claudine jęknęła, czując bolesny skurcz mięśni w rejonie miednicy.

- Przymknij się, suko.

Łagodny ton Stokely'ego należał już do przeszłości - aż do następnego razu. Teraz jego głos był pełen pogardy - Stokely gardził samym sobą za to, co zrobił, i nie umiał zachować tego uczucia dla siebie.

- Spójrz na mnie - rozkazał.

Claudine nie odwróciła się.

- Daj mi już spokój, facet.

Stokely pchnął ją mocno, tak że przewróciła się na plecy i odruchowo zwinęła w kłębek, ramionami osłaniając głowę, a kolanami pierś. Wsunął dłoń pod jej ramię i zacisnął na ustach, a drugą pięścią uderzył w żebra po prawej stronie. Claudine stęknęła z bólu, a gdy wciągnęła powietrze do płuc przez jego zaciśniętą dłoń, poczuła zapach gumy. Stokely puścił ją po chwili i wstał. Odszedł w głąb celi, żeby spuścić w toalecie prezerwatywę. Gdy się odlewał, Claudine masowała żebra, pocieszając się myślą, że jeśli Hobbes dotrzy- ma słowa, nie będzie musiała już długo znosić takiego traktowania.

Naczelnik Hobbes obiecał jej bowiem, że jeśli przestanie się ubie- rać i zachowywać jak kobieta, to dzięki jego rekomendacji komisja do spraw zwolnień warunkowych przychylnie rozpatrzy jej wnioski. Hobbes zauważył słusznie, że raczej trudno oczekiwać od członków komisji, by uwolnili mężczyznę, który przychodzi na przesłuchanie z długimi, czerwonymi paznokciami i szminką na ustach, a na każde pytanie odpowiada z trzepotem sztucznych rzęs. Claudine z kolei stwierdziła, że nie ma wyboru: Nev Agry zabiłby ją jeszcze na dzie- dzińcu. Hobbes zagwarantował jej bezpieczeństwo, ale tylko pod warunkiem że powróci na blok B. Nie przekonał jej tym. Czowała, że nawet w dziurze nie byłaby bezpieczna. Hobbes powiedział jej wtedy o planowanej blokadzie. Nawet Agry nie dostałby żony w swoje ręce w takiej sytuacji. A zanim blokada dobiegłaby końca, Claudine była- by już na zwolnieniu warunkowym. Ryzyko oczywiście istniało, ale gdyby tylko Claude chciał spróbować, to on, Hobbes, wszystkim by się zajął.

I tak Claudine znowu stała się Claude'em, który wiedział, że rze- czywiście warto spróbować. Warto było poświęcić wszystko, żeby znowu trafić na Dzielnicę. A tam stanęłaby - nie, do cholery, STA- NAŁBY - i zaciągnął się głęboko spalinami znad Bourbon Street, a także poczuł, jak jego kutas twardnieje na widok długonogich suk w krótkich spódniczkach i na wysokich obcasach. Usiadłby potem na stołku u Alfonsa i wypił przez słomkę one hundred pipers. O, tak. Z

grubą rolką dwudziestek w kieszeni. Zastanawiał się, czy któraś z tych suk jeszcze go pamięta. Minęło sporo czasu, odkąd obciągały mu po raz ostatni.

Tak czy inaczej, Claude powiedział Hobbesowi „tak” i tym sposobem znalazł się w celi z nowym kolegą, który posuwał go w dupę.

Go. Jego. Jemu. Claude pomału się przyzwyczajał.

- Ubierz się - polecił Stokely

Zabrzmiało to jak warknięcie; agresja w jego głosie osiągnęła normalny poziom. Chłopot wody dochodzący z głębi celi oznaczał, że Stokely zaczął się myć. Album Ice'a-T dobiegł końca i magnetofon wyłączył się z trzaskiem. Gdzieś z galerii dobiegał brzęk gitarowych akordów - ktoś śpiewał kawałek Alberta Collinsa. Claude usiadł na skraju pryczy i sięgnął po spodnie. Sięgnął, nie sięgnęła. Czuł, że w trybie pilnym musi skorzystać z toalety, ale jej ciasną przestrzeń nadal wypełniała zwalista postać Stokely'ego.

- Wilson powinien niedługo wrócić - powiedział Claude.

Stokely odwrócił się znad urny walki i otarł mokrą twarz niegdyś białym, a obecnie szarym ręcznikiem.

- Chciałeś coś powiedzieć?

- Nie. - Claude już żałował, że się odezwał.

- Zdaje ci się, że nie potrafisz pokierować sprawami pod jego nieobecność?

- Niczego takiego nie mówiłem - zaprotestował Claude.

Stokely rzucił ręcznik na posadzkę i zbliżył się na tyle, by górować nad Claude'em i wykrzywić mu twarz dawką strachu. Claude wykrzywił twarz.

- Wilson przyjął cię z powrotem, bo jesteś hańbą dla czarnych braci. Chciał pokazać tym białym skurwielom, że jesteśmy dość mocni, żeby cię odebrać. - Stokely zacisnął prawą pięść. - Bo jesteśmy twardzi, facet, kapujesz? To jest Dolina Długodystansowców. Szubienica wciąż czeka na swój dzień i kiedyś za naszą sprawą

pieprzone niebo jeszcze się zaczerwieni, ale póki tu jesteśmy, trzymamy się razem. Inaczej jesteśmy niczym.

- Właśnie dlatego wróciłem - odparł Claude.

- Gówno prawda. - Stokely wbił paluch w jego policzek. Woń lateksu wciąż była mocna. - Wykorzystujesz nas. Nie wiem, w jaki sposób, ale wykorzystujesz.

- Muszę się wysrać - obwieścił Claude. Spróbował wstać, ale Stokely położył rękę na jego piersi i pchnął w dół.

- Wykorzystujesz nas, tak jak tego skurwiela Agry'ego.

Nie umiał ustalić, czy odpowiada jako Claude, czy jako Claudine, ale nagły atak gniewu dodał mu odwagi.

- Agry brał ode mnie to samo co ty. Jaka to różnica, Stokely?

Ostatnie słowo wypowiedział drwiąco, oczami wyobraźni wypychając je Stokely'emu głęboko w dupę. Zaraz jednak tego pożałował, bo Stokely cofnął się o pół kroku i trzasnął go pięścią prosto w szczękę. Claude poczuł smak krwi. Zaraz potem wielkie łapsko zaciśnęło się na jego gardle. Stokely uniósł go z pryczy tak wysoko, że ich twarze dzieliło ledwie pięć centymetrów.

- Będiesz mi pyskował, kiedy udowodnisz, że jesteś facetem. Do tego czasu twoja pedalska dupa należy do mnie. A teraz idź się wysrać, Claudine.

Stokely rozluźnił uścisk i cofnął się. Kiedy przestała kaszleć, stanęła przy kłocie, spuściła spodnie i usiadła. Ona. Claudine. Facet, kurwa, weź się w garść!

Zastanawiał się, czy Wilson pozwoli mu jeszcze zobaczyć się z Kleinem. Bardzo chciał z nim pogadać. Nikomu innemu nie ufał. A nawet gdyby był ktoś taki, pewnie nie chciałby słuchać. Z jelit Claude'a wydobył się głuchy bulgot. Odpowiedzią był pełen niesmaku ryk Stokely'ego.

- Jezu Chryste! Wyjdź tylko stamtąd, suko, to wyrucham cię tak, że popamiętasz.

Claude westchnął i sięgnął po papier toaletowy. Podobało mu się tu, w bloku B. Naprawdę. Podcierając się, znowu pomyślał o tych długonogich sukach na wysokich obcasach, w krótkich spódniczkach... I modlił się, by udało mu się dotrzeć na Bourbon Street, zanim Nev Agry dotrze do niego.

ROZDZIAŁ 6

Od czasu drugiego liczenia Nev Agry leżał na plecach w swoim łóżku, całkiem sam, przypalając jednego lucky strike'a od drugiego i drżąc z bólu.

Oczy miał szeroko otwarte, ale nie widział sufitu celi. Widział jedynie Claudine. Jej twarz. Jej usta. Jej skórę. Jej smukłe, nieskazitelnie gładkie uda. I nagle ujrzał wizję, pornograficzną wizję, nieznośnie odpychającą, aż przyprawiającą o mdłości. Usiadł gwałtownie i wbiwszy palce w oczy, tarł je tak długo, aż zobaczył gwiazdy pod zaciśniętymi powiekami. Wizja znikła. Uspokoił się. Teraz dopiero zauważył, że z magnetofonu dobiegają dźwięki *Róży z San Antonio* w wykonaniu Boba Willsa i Texas Playboys. Agry nie uważał się za nadmiernie sentymentalnego faceta, ale akurat *Róża z San Antonio* niemal zawsze chwyciła go za gardło. Tym razem tak mocno, że był bliski łez.

*Pod Alamo znalazłem to oczarowanie,
Niezwykle jak błękit nieba, co zachwyca.
Melodię mej piosenki, miłości przerwanej,
Zna dziś tylko ścieżka w poświacie księżycy...*

Agry nie wytrzymał i wyłączył magnetofon. Czas łez - nie tylko jego łez - miał nadejść, ale jeszcze nie teraz. Nie była to też pora na wymazanie strasznych obrazów, które w jego umyśle zaszczerpił Perkins, bo tylko morze krwi mogło je wymazać. Ale już niedługo,

obiecał sobie w duchu. Już niedługo. Perkins, biały klawisz z bloku B, który siedział w jego kieszeni, potwierdził trafność przeczuć, które gnębiły Agry'ego od dawna.

Śmierzący czarny pies, Stokely Johnson, regularnie posuwał w dupę jego Claudine.

I znowu ta wizja. Zamazane sylwetki. Powolne ruchy. Zderzenia ud. Czarna skóra. Pot.

Agry czuł, że jego żołądek wywija salto. Zacisnął zęby, czując w gardle smak żółci oraz zjedzonych na śniadanie jajek, których nie był w stanie strawić. Przełknął ślinę i wstał. Ściany zawirowały wokół niego. Lucky strike, którego ścisnął w dłoni, zaczął wypalać sobie drogę w sieci jego palców. Spojrzał w dół: czerwona końcówka rozżarzonego tytoniu smażyła skórę, a powietrze pachniało zwęglonymi włosami. A mimo to ból wydawał się daleki. Agry sięgnął po niego, przywołał go do siebie. I nagle ból się pojawił: wyrazisty i dotkliwy. Pięść drgnęła i otworzyła się. Niedopałek spadł na podłogę. Wolno, bardzo wolno, umysł Agry'ego oczyszczał się z bólu i wątpliwości. Tworzył plany. Naczelnik miał czelność przesłać mu ostrzeżenie, jakby sądził, stary głupiec, że naprawdę rządzi tym przybytkiem. Cóż, Nev Agry zamierzał pokazać mu, jak bardzo się myli. Wyważył cenę i konsekwencje - był gotów zapłacić. Był też gotów sprawić, by i inni zapłacili. Przydepnął niedopałek i zdjął koszulę. Nadszedł czas, by sprowadzić Claudine do domu.

Teraz, gdy jej zabrakło, Nev Agry mieszkał sam w czteroosobowej celi na samym końcu galerii na parterze bloku D, nadal w stylu odpowiednim dla najpotężniejszego z szefów grup Dożywotnich. Kolorowy telewizor i magnetowid. Kolekcja pornosów, sprzęt hi-fi, ortopedyczny materac na łóżku i drewniana deska klozetowa. Lodówka. Czterobiegowy, elektryczny wentylator. Drzwi celi okryte muslinową firaną, dającą poczucie prywatności lokatorowi, a jednocześnie ukazującą sylwetkę każdego, kto stanął po drugiej stronie. W

sąsiednich celach zawsze czuwało co najmniej dwóch z jego ludzi, gotowych przyjąć ostrze czy kulę przeznaczoną dla szefa.

Agry był mężczyzną średniego wzrostu, z łysiną czołową, której krótko ostrzyżone włosy nawet nie próbowały przesłaniać. Jego skóra była blada jak воск i pokryta niezbyt gęstymi, jasnymi włosami. Był z natury grubokościsty i dobrze umięśniony, ale nie wyrzeźbiony jak te cioty, kulturyści. Miał przedramiona grube jak szynki; na lewym nosił tatuaż Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych: czaszkę oraz motto „Raczej śmierć niż hańba”.

Agry wyjął z apteczki kilka buteleczek z tabletkami i połknął kolejno megawitaminę, żeń-szeń, gram witaminy C oraz po garstce preparatu z rybim białkiem i suszoną wątrową. Przeplukał gardło zimną wodą mineralną Evian. Nie wiedział, czy cokolwiek z tego główna naprawdę dobrze mu służy - choć tyle kosztowało - ale uważał, że w tym momencie przyda mu się wszystko, co może pomóc. Nie przechowywał w celi żadnych nielegalnych substancji. Nosili je przy sobie jego ludzie, na wypadek gdyby ich potrzebowal - zazwyczaj przed seksem, znacznie rzadziej przed aktami przemocy. Agry pomyślał, że nie uprawiał seksu od bardzo, bardzo dawna. Od jebanych dwóch tygodni. Odstawiając butelkę z wodą, zauważył, że odzyskał głęboki spokój. Fakt ten tylko utwierdził go w przekonaniu, że decyzja o nadaniu sprawom nowego biegu była absolutnie słuszną.

Agry uniósł materac i wyjął spod niego pancerz. Domowej roboty kamizelka miała go ochronić przed ranami kłutymi czy ciętymi, zadanyimi choćby brzytwą: dwie warstwy skóry zostały sklezione żywicą epoksydową, w której zatopiono arkusz gęstej siateczki ze stalowego drutu. Przełożył głowę przez wycięcie pośrodku, tak by kamizelka okryła jego korpus i z przodu, i z tyłu, po czym zawiązał rzemienie z obu boków. Dotyk chłodnej skóry skojarzył mu się z wojną. Włożył koszulę, zapiął ją pod szyję i włożył do spodni.

Semper, kurwa, fidelis. Zawsze wierny.

Zza muślinowej zasłonki dobiegło dyskretne kasznięcie.

- Wejdz, Tony - powiedział Agry.

Tony Shockner rozsunął plachty materiału i wszedł do celi. Wysoki, smukły dwudziestodwuletniak nosił okulary w drucianej oprawie - więzienny model - i z powodzeniem mógł uchodzić za trenera koszykówki ze Środkowego Zachodu. Był skazany na sto osiemdziesiąt lat więzienia za morderstwo i napad rabunkowy z bronią w rękę. Na życzenie Agry'ego załatwił już dwóch ludzi w Green River. Agry wiedział, że Tony jest inteligentnym człowiekiem - nie wstydził się nawet przyznać w duchu, że bardziej inteligentnym niż on sam - i dobrym wykonawcą rozkazów. Jeżeli marzył, by kiedyś zostać królem, co wydawało się Agry'emu mało prawdopodobne, to udawało mu się doskonale ukryć tę ambicję. Teraz zaś stanął za progiem celi, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż boków, i skinieniem głowy powitał Agry'ego.

- Szefie - powiedział.

- Masz coś dla mnie? - spytał Agry.

Shockner włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej brzytwę. Agry nigdy nie nosił przy sobie broni - groziło za to nieodwołalnie dziesięć dni w dziurze - i nie trzymał jej w swojej celi. Nie musiał, skoro miał wokół siebie dobrą załogę. Teraz jednak wziął od Shocknera brzytwę i otworzył ją. Przyłożył ostrze do przedramienia i jednym ruchem wygolił pasmo włosków. Skinął głową. Shockner znów sięgnął do kieszeni i wyjął płaskie pudełko po tabletkach.

- Tego też potrzebowałeś - powiedział.

Agry zdjął wieczko z pudełka, w trzech czwartych wypełnionego białym proszkiem. Nabrał odrobinę czubkiem brzytwy i energicznie wciągnął ją lewym nozdrzem. Dobra, pomyślał. Gardził kokainą;

uważał ją za badziewie dobre dla japiszonów i czarnuchów. Bóg, a także Agry wiedzieli natomiast, że marines walczyli na speedzie w trzech poważnych wojnach i środek ten nigdy ich nie zawiódł. Ani jego. Agry żałował, że nie było mu dane walczyć w siłach Korpusu, gdyż przez większość wojskowej kariery siedział w pace i czekał na wydalenie ze służby. Teraz za to zamierzał udowodnić, przynajmniej sobie, że w bitwie okazałby się godny noszenia munduru marines. Zaciągnął się amfetaminą po raz drugi, po czym zamknął pudełko i oddał je Shocknerowi.

- Poczęstuj siebie i innych - polecił.

Shockner podrzucił pudełko w dłoni i zacisnął usta. Jego oczy, ukryte za drucianą oprawą, nie wyglądały bojowo.

- Coś nie tak? - spytał Agry.

Shockner wzruszył ramionami.

- To tylko nerwy.

Agry wskazał czubkiem brzytwy na pudełko.

- Po tym będziesz miał spokój z nerwami i więcej odwagi.

- Jesteś pewny, że oni na to pójdą? - spytał Shockner.

- Kto?

- DuBois i reszta.

- To nie pierdzielona demokracja, Tony.

Shockner kiwnął głową.

- Oni już czekają.

- I dobrze.

Agry odwrócił się i spojrzał w lustro. Szare oczy spoglądały bystro. Po tylnej ścianie gardła spływał gorzkawy płyn. Pociągnął nosem i przełknął. Speed już działał, pędził jak nocny ekspres przez najciemniejsze zakamarki jego systemu nerwowego. Zawsze, kurwa, wierny, facet. Agry włożył okulary Ray-Ban, model Aviator, i odwrócił się do Shocknera.

- Idziemy.

Pomaszerowali korytarzem, mijając spiralne schody wiodące na trzecią galerię. Minęli bramę i strażnicę w centralnej części gmachu. Na otwartej galerii na szczycie trzypiętrowej wieży, oparty o jeden z dębowych słupów podtrzymujących jej daszek, stał strażnik - stary wyga, Burroughs - i dłuwał w nosie. Wieża z kamienia i drewna miała przekrój sześciokąta oraz drzwi wzmocnione stalą. Na pierwszym i drugim piętrze przyciemniane, pleksiglasowe szyby umożliwiały obserwację centralnych korytarzy wszystkich sześciu bloków. Na parterze mieściło się centrum dowodzenia. Agry wyobrażał sobie, co się dzieje w środku: dwóch strażników drzemało przed zestawem czarno-białych monitorów, na których co pięć sekund wyświetlane były obrazy z kolejnych kamer. Podobnie jak strażnicy w głębi duszy, Agry uważał, że monitory niczemu nie służyły. W River panował nieustanny ruch: dwa i pół tysiąca więźniów trzeba było nakarmić, napoić, ubrać, oprąć, wyćwiczyć i skierować do pracy. Gmach zaś był ogromny i przypominał labirynt. Żałosne kamery systemu nadzoru obserwowały jedynie skromny wycinek wewnątrz; żadna nie sięgała do ciemnych zakątków więzienia,

W podziemiu wieży strażniczej mieściło się centrum łączności, wyposażone w co najmniej dwudziestoletni sprzęt i połączone z kompleksem bramy głównej za pomocą kabli, które ułożono pod podłogą skrzydła ogólnego przeznaczenia. Prócz monitorów w wieży znajdował się też główny panel kontrolny, który umożliwiał sterowanie drzwiami cel i bramami bloków. To stąd można było otwierać je pojedynczo lub całymi galeriami. U bramy każdego z bloków mieściły się pomniejsze stanowiska strażnicze, które również umożliwiały zdalne sterowanie zamkami, ale z posterunku w wieży można było anulować wysyłane z nich sygnały. Agry wiedział o tym wszystkim i potrafił to wykorzystać.

Gdy skręcili z Shocknerem w prawo, w kierunku stołówki, zostawiając za sobą wieżę, powitał ich smród zepsutego jedzenia i

zjelczonego tłuszczu. W stołówce było teraz cicho i pusto, jeśli nie liczyć może tuzina więźniów bez przekonania zmywających przed lunchem podłogi i kryte fornirem blaty stołów. Agry wszedł za konduktory, zza których na co dzień serwowano posiłki, i wkroczył do kuchni. Fala gorącego powietrza buchała od strony rzędów poczerńniętych kuchenek i kotłów z nierdzewnej stali. Trwała gorączkowa praca: mężczyźni w białych, poplamionych strojach - głównie Meksykanie i członkowie innych frajerskich grup etnicznych - uwijali się w pocie czoła, usiłując ignorować wrzaski Fentona, szefa kuchni.

- Rice, ty lachociągu! Rice! *Arroz! Comprendo?*

Fenton był chudym asfaltem z dwoma złotymi zębami, które jakimś cudem przetrwały już siedem lat jego odsiadki. Agry przyglądał mu się z umiarkowaną odrazą - umiarkowaną, bo Fenton był nic nieznaczącym ścierwem, niewartym jego nienawiści. Tego dnia jednak Agry czuł do niego nienawiść, bo Fenton był asfaltem, parszywym czarnuchem, a żaden z nich nie zasługiwał na to, by oddychać powietrzem, choćby tak śmierdzącym jak więzienne. Żaden, prócz Claudine. Jego Claudine, dla której gotów był poświęcić wszystko w holokaucie swego gniewu. Zamierzał policzyć się z nimi ogniem i mieczem, bez pardonu. Gotów był spalić tę ich Dolinę Długodystansowców do cna i naszczać na ich murzyńskie popioły.

Chwilami zdawało mu się, że wściekłość rozniesie jego ciało na atomy, a wraz z nim cały świat. Ileż energii marnował, kiedy starał się zapanować nad nią, ileż siły woli potrzebował, by dzień za dniem, godzina za godziną utrzymać pokrywę na buzującym kotle nienawiści. Człowiek mniejszego formatu - wiedział o tym doskonale - pękłby pod tym brzemieniem już dawno. Ale nie Nev Agry. Szczycił się tym. Z drugiej jednak strony nie wiedział, skąd brał się w nim ten gniew, który mimo swej potęgi był ledwie szuflą węgla dorzuconą do płynnego jądra wielkiego paleniska nienawiści zwanego Green River.

Fenton zdjął z głowy wysoką kucharską czapkę, otarł nią pot z czoła i wydmuchał nos. Gdy wkładał ją z powrotem, zauważył, że Agry zmierza w jego stronę - i zeszytniał. Z racji zajmowanej pozycji miał prawo - jako jeden z bardzo niewielu czarnuchów - odzywać się do Agry'ego. Błysnął więc złotymi zębami w uśmiechu, który miał oznaczać „niech pan tylko spojrzy, z kim ja tu pracuję”, i jednocześnie wskazał ruchem głowy na Meksów.

- Pan Agry. Jezu Chryste, większość z tych skurwieli nie zna nawet słowa po angielsku.

Agry nie zatrzymał się. Fenton podążył za nim, trzymając się nieco z boku. Po chwili Agry przemówił, nie patrząc w jego stronę.

- Byle tylko znali swoje miejsce, Kuchciku. Wiesz, o czym mówię?

- Tak jest, panie Agry.

- Masz dziś dla mnie coś dobrego, Kuchciku?

- Kotlet cielęcy.

- Zjem w celi. Zrób mi do niego ten sos hollandaise, który nauczyłeś się pichcić w Nowym Orleanie.

Agry wiedział, że gdy tylko się oddali, Fenton będzie na niego klął za dodatkową robotę, a może nawet nasmarka mu do sosu. Na razie jednak uśmiechał się i potakująco kiwał głową. Umiarkowanie odrażający, pomyślał Agry. Skinął głową i Fenton bez słowa zniknął między kotłami. Minał z Shocknerem tylne drzwi kuchni i zatrzymał się przed wąskimi schodkami prowadzącymi w dół. Z mroku wylał się przefiltrowany blask światła z podziemnej sali. Wraz z jego poświatą z dołu dobiegały stukot i syk jakiejś maszynerii oraz płynęły smugi pary. W połowie wysokości schodów, pod ścianami, stali dwaj zawodnicy wagi ciężkiej, Atkins i Spriggs. Zadarli głowy i kiedy zobaczyli, że Agry staje na stopniach, rzucili papierosy i zgasiłi je butami. Byli prawdziwymi skazańcami - niezbyt bystrymi,

z wyrokami za napad z bronią w rękę i zabicie funkcjonariuszy - i należeli do grupy Larry'ego DuBois z bloku A. Obaj zasługiwali na mocny, suchy uścisk dłoni i powitanie po imieniu.

- Widzieliście już Stokely'ego Johnsona? - spytał Agry.

- Tego czarnucha Johnsona? - upewnił się Spriggs, mocno zdziwiony. - Zdawało mi się, że mają tam blokadę.

- Mają. Perkins miał go tu sprowadzić. - Agry spostrzegł, że Shockner przygląda mu się z niezłe skrywanym zaskoczeniem. - Pewnie już tu jest.

- Niby po co?

- Teraz, kiedy Wilson siedzi w izolatce, być może mamy świetną okazję, żeby przekonać Johnsona, że powinien zostać królem czarnuchów. Wilson jest bystry, a Johnson tępy jak kłoc - możemy tak go ustawić, że będzie tańczył, jak mu zagramy, i jeszcze się z tego cieszył, nawet nie podejrzewając, co jest grane. Zgadza się?

Spriggs nie miał wyboru - skinął głową. Agry uściśnął jego ramię. Triceps był twardy jak skała.

- Wpadnijcie potem do D na odrobinę old grand-dad, dobra?

Agry ruszył schodami w dół. U ich podnóża minął ciężkie, półprzezroczyste drzwi z plastiku i wszedł do więziennej pralni.

Sala była jasno oświetlona, a temperaturą i wilgotnością powietrza nie ustępowała gorącej kuchni. Rzędy ciężkich pralek i maglownic były kolejnym odpowiednim dla Meksów i żółtków miejscem pracy. Za drzwiami na jej tyłach mieścił się magazyn bielizny stołowej i pościelowej. Agry pomaszerował w jego stronę, otoczony wirującymi smugami pary. Zobaczył na swojej drodze dwóch potężnych typów w brudnych T-shirtach. Na bardziej wyblakłej koszulce widniało hasło ATOMÓWKĄ W BAGDAD; na nieco nowszej: LIŻE PIZDY. Na widok Agry'ego dwaj goryle rozsunęli się bez słowa i

skinęli głowami. Nie zareagował na powitanie. Horace i Bubba Tolsonowie. Żołnierze Hectora Grauerholza. Mięśnie, tatuaże, gęste brody i po trzy kolczyki w każdym uchu. Tolsonowie należeli do Aniołów Piekieł i wstawili się tym, że nawaleni meskaliną i tanią whisky zgwałcili dwunastoletnią dziewczynkę. Kiedy już nasycili się jej ciałem, przejechali swymi harleyami po jej czaszce. W chwili aresztowania Horace Tolson był zajęty wydłubywaniem zapalką kawałków jej mózgu z bieżnika opony. Obaj byli szumowinami i Agry nie przyjąłby ich do swojej załogi, ale tego dnia był gotów skorzystać z ich usług. W dobie wojny nie należy być wybrednym w doborze sprzymierzeńców, pomyślał. Dotarłszy do drzwi magazynu bielizny, skinął głową na Shocknera i wszedł do środka sam.

Pomieszczenie było przestronne i gorące, ale i dobrze wywietrzone; bodaj w całym więzieniu nie było miejsca, w którym panowałby przyjemniejszy zapach. Po obu stronach przejścia prowadzącego środkiem sali stały wysokie regały, na półkach których starannie ułożono sterty czystego prania. Z sufitu zwisało rzędem pięć nagich żarówek. Paliła się tylko najdalsza z nich, nadając wewnątrz klimat grobowca. Siedzieli pod nią, spoglądając na Agry'ego, Hector Grauerholz, Dennis Terry i Larry DuBois. Nie było natomiast Stokely'ego Johnsona, co oczywiście nie zdziwiło Agry'ego - chodziło jedynie o odpowiednie ustawienie Spriggsa na wypadek, gdyby DuBois nie zechciał współpracować.

- Spóźniłem się - rzekł Agry. - Wybaczcie - dodał, podchodząc bliżej.

Dennis Terry wyszedł mu naprzeciw, wyciągając rękę na powitanie.

- Nev - powiedział.

Agry uściśnął jego dłoń.

- Dennis. Jak leci?

Terry, siwy mężczyzna po pięćdziesiątce, niespokojnie wzruszył ramionami i uśmiechnął się. W przeciwieństwie do pozostałych nie był szefem żadnej z grup. Spędził w pudle dwadzieścia osiem lat za uduszenie swej narzeczonej - nauczycielki z Wichita Falls - która, jak sobie wmówił, ponoć puszczała się z portugalskim kucharzem imieniem Al. Nigdy nie znaleziono dowodów na to, iż Al w ogóle istniał, a co dopiero na to, czy rzeczywiście pukał wspomnianą panienkę, i dlatego Terry dostał dziewięćdziesiąt dziewięć lat od sędziego, który przyjaźnił się z rodziną zabitej dziewczyny. W tych czasach, gdyby w ogóle poszedł siedzieć, wróciłby na wolność po czterech latach. Historia jednak była stara i smutna, a Terry stał się smutnym człowiekiem. Szczupły i miły, źle się czuł w towarzystwie brutalni. Agry wiedział, że pobyt w magazynie bielizny z trzema psychopatami jest dla niego ciężką próbą nerwów. Lecz mimo swej łagodnej natury Terry był kluczową postacią w Green River - i nadzwyczaj zamożnym człowiekiem - ponieważ rządził Konserwatornią.

Tak wielki i stary gmach wymagał nieustannych napraw, przebudowywania, wymiany kabli i zmagania z hydrauliką. Dzięki ciężkiej pracy i sprytniej polityce Terry utrzymywał się na swym stanowisku - odziedziczonym w bardziej cywilizowanych czasach po poprzedniku, który zszedł na udar - od dwóch dziesięcioleci. W więzieniu za wszystko należało zapłacić: za pracę, porady prawne, pastę do zębów, przyzwoite miejsce na seansie filmowym, prawo do ćwiczeń na dziedzińcu - nawet za celę, w której się sypiało. Posadę członka ekipy konserwatorskiej - a było wśród nich kilka naprawdę atrakcyjnych zajęć - również można było kupić. Praca stwarzała nieograniczone możliwości dla przemytu, czarnorynkowej wymiany towarowej, dokonywania przeróbek podwyższających standard cel oraz szybkich napraw. Pozycja szefa Konserwatorni była jednak poniżej

godności przywódców grup Dożywotnich i dlatego ochoczo pozostawili ją Terry'emu, gwarantując mu jednocześnie bezpieczeństwo w zamian za niemalże udział w jego dochodach. Terry z kolei nigdy nie musiał na nikogo podnosić głosu i jak nikt inny korzystał z przywilejów. Wiódł życie tak dobre, jak tylko było to możliwe w Green River. Z pewnością nie miał dość ikry, by brać udział w tym, co zaplanował Agry, ale też nie został tu zaproszony ze względów towarzyskich. Agry oczekiwał, że Terry będzie nerwowo przełykał ślinę i godził się na wszystko, co każe mu się zrobić.

Gdy Hector Grauerholz podał mu rękę na powitanie, Agry spojrział wprost w jego małe, jasne oczy pozbawione choćby śladu ludzkich emocji. Grauerholz był niski, drobny, ruchliwy i nawet wedle standardów Agry'ego niebezpiecznie nienormalny. Miał dwadzieścia cztery lata i był rekordzistą więzienia pod względem liczby popełnionych morderstw: osiemnastu na zewnątrz i trzech na miejscu. Wdał się kiedyś w narkotykowy konflikt w Dallas i rozstrzygnął go, wrzucając bombę zapalającą do prowadzonej przez asfalty fabryczki cracku. Sam zaczekał na zewnątrz i walił z uzi do każdego, kto próbował wydostać się z płomieni. Fabryczka mieściła się na parterze kamienicy w Deep Elem, toteż wśród zabitych znalazło się także siedmioro śpiących dzieci oraz trzy kobiety. Wszystkie ofiary były Murzynami, lecz mimo to sędzia był tak zszokowany kompletnym brakiem wyrzutów sumienia u sprawcy, że zafundował mu wyrok dwóch tysięcy dwudziestu pięciu lat więzienia. Grauerholz chełpił się i tym rekordem.

Miał niewinną, szczerą twarz i strzygł się krótko, przy samej skórze. Na Agry'ego spoglądał tak, jak akolita na mistrza swojej sekty. W River zebrał wokół siebie prymitywów, brutali, Aniołów, świrów na kwasie oraz meneli, głównie młodych, i w sumie stworzył małą, ale silną ekipę, skupioną na handlu narkotykami. Powierzchnowość małego chórzysty kryła prawdziwą naturę Grauerholza: zaraźliwy,

samoniszczący nihilizm, który - gdyby tylko miał dość miejsca, by się rozwinąć - mógłby eksplodować, doprowadzając do niepotrzebnej, krwawej łaźni. Agry dał mu tylko tyle miejsca oraz zagwarantował mu akurat tyle władzy i miru wśród więźniów, by ewentualna utrata pozycji wydawała mu się dość bolesna. Grauerholz był jak dzieciak, który gotów jest podpalić świat tylko po to, by zobaczyć, jak lecą iskry. Niestety, i jego wsparcie było teraz konieczne. Agry ścisnął jego dłoń o sekundę dłużej, niż było trzeba.

- Słyszałem, że rozkręcamy poważną imprezę, Nev - zagaił Grauerholz.

- Całonocną - przytaknął Agry.

Grauerholz uśmiechnął się promiennie.

- O ile twoi ludzie mają jaja i mogą się do niej przyłączyć - dodał Agry.

- Żartujesz, facet?

Agry uśmiechnął się, a Grauerholz, lekko wkurzony, przygryzł policzki i cofnął się o krok. Jednakże ani on, ani Terry nie byli głównym zmartwieniem Agry'ego. Liczył się Larry DuBois. Agry uściśnął jego miękką, wilgotną dłoń.

- Larry - powiedział.

- Jesteś pewny, że to odpowiedni moment, żeby zacząć, Nev? - spytał DuBois.

Agry czekał na kontakt wzrokowy, ale się nie doczekał. DuBois był poważnie otyły - ważył ponad sto trzydzieści kilogramów - i miał zwyczaj przemawiać do punktu zawieszzonego gdzieś nad głową rozmówcy i dopiero w ostatniej chwili zerkać na moment w jego oczy.

- Wilson jest w szpitalu - odparł Agry. - Asfalty z B klęczą pokornie od dwóch tygodni, chłęcząc własny pot. Nigdy nie trafi się nam lepsza okazja. - Milczał przez chwilę. - A bo co?

DuBois uniósł brwi.

- Wiesz, chciałbym tylko mieć pewność, że nie chodzi o sprawy... - teraz dopiero spojrzał w oczy Agry'ego - osobiste.

Agry poczuł w brzuchu nagły przypływ lodowatej wody. DuBois był obleśnym, lubieżnym typem; trzymał w swej celi w bloku A dwie portorykańskie żony. Mówiło się - ale tylko szeptem i nigdy w jego obecności - że od czasu do czasu sam lubi brać w dupę od Cindy, żony z nieco mniejszym fiutem, podczas gdy ta druga, Paula, wcierała mu kurze sadło w kutasa i jaja. Były to praktyki niebezpiecznie bliskie pedałstwu - absolutnie nieakceptowanemu zbrodni! - ale Larry był wystarczająco mocną figurą, by uchodziło mu to na sucho. Swego czasu, zanim zjawił się Agry, DuBois był siejącym strach zabójcą.

Jeszcze wcześniej był alfonsiem, a potem przejął kontrolę nad wartym miliony dolarów rynkiem narkotykowo-prostytycyjnym między Juarez a El Paso. Jego boje z Agrym należały już do przeszłości, a pokojowa koegzystencja okazała się dla obu korzystna, lecz Agry często się zastanawiał, czy pod tą grubą warstwą tłuszczu DuBois nie stał się aby zbyt miękki. Odzywka o „sprawach osobistych” miała oczywisty sens i podsycała wściekłość Agry'ego na tyle, że z trudem powstrzymywał się, żeby nie zadźgać tłustego skurwiela na miejscu. Wpadało zareagować na ten „żart”, ale przynajmniej na razie wskazana była delikatność. Być może później mógł przysłać DuBois fiuta wagi koguciej, należącego do Cindy, na talerzu ze smażonymi skrzydełkami kurczaka, ale w tej chwili grubas był mu potrzebny. Z wysiłkiem zapanował więc nad gniewem i postarał się o przyjazny ton.

- Sugerujesz może, że potrzebuję pomocy, żeby odzyskać Claudine? - spytał.

DuBois odwrócił głowę.

- Myślę tylko o naszych ludziach, Nev. Jedne sprawy ich dotyczą, a inne jakby wcale.

Agry czuł w piersiach nagły i niekontrolowany skok ciśnienia. Amfa wyraźnie potęgowała emocje. Tłusty śmierdziel śmiał twierdzić, w obecności Grauerholza i Terry'ego, że on, Nev Agry, nie jest w stanie upilnować własnej pieprzonej żony! Agry spojrział na Grauerholza, który przysłuchiwał się rozmowie nie bez rozbawienia. Raz jeszcze przywołał do porządku te komórki mózgu, które domagały się krwi, i spróbował ponownie.

- Już o tym gadaliśmy, Larry - rzekł. - Czarnuchy są ostatnio zbyt dumne. Ilu ich jest? Ze czterdzieści procent liczby więźniów? Pięćdziesiąt? Jeśli teraz nie pogrozimy im żelazną pięścią... - Agry zawiesił głos dla lepszego efektu dramatycznego - to za pięć lat będziemy pucować kible i woskować podłogi razem z Meksami.

- Mam z nimi więcej do czynienia niż ty - odparł DuBois. - To dobrzy klienci. Meta, ziele, crack, hera. Musisz zrozumieć psychologię czarnych. W życiu się nie połapią, jak kierować interesem. Nigdy im się to nie udało. Spójrz na stolicę. Na Atlantę. Na Detroit. Pacany, nawet we własnych, kurwa, miastach, nie potrafią się urządzić. Wiesz, kto by trząsał tą budą, gdyby zostało tu ostatnich dziesięciu białych? - DuBois postukał się kciukiem w pierś i pokręcił głową. - Nie asfalty, stary. I dobrze o tym wiesz.

- Jesteśmy gotowi - odparł Agry. - Bardzo gotowi.

- Przykro mi, Neville.

Obraz rozmazał się nagle przed oczami Agry'ego. Jediną osobą, której wolno było używać jego pełnego imienia, była Claudine, a i to tylko wtedy, gdy miała się do niego dobrać. Co gorsza, DuBois celowo wymówił je niepoprawnie, tak by rymowało się z „Lucille”, jakby było jakimś pedalskim imieniem, a on sam, Nev Agry, jakimś, nie daj Boże, homoseksualistą. Kolejne słowa DuBois dotarły do niego jakby z bardzo daleka.

- Po prostu nie widzę możliwości, żeby cię w tym poprzeć - mówił tłusciuch. - Nie leży to w moim interesie.

A zatem zwyczajna gra o władzę. Zapewne planowana od dłuższego czasu. Tłusty alfons starał się umniejszyć jego rolę, licząc na to, że bez niego Agry nie odważy się zrealizować własnych planów. Coś w twarzy Agry'ego - coś, z czego sam nie zdawał sobie sprawy - spowodowało, że Grauerholz cofnął się o krok, a Dennis Terry o dwa.

DuBois nie poruszył się; tylko jego lewa powieka drgnęła nieznacznie. Agry nachylił się ku niemu.

- Wiesz, na czym polega twój problem, Larry? - spytał i odczekał chwilę, zanim sam sobie odpowiedział: - W twoich flakach krąży za dużo meksolskiej krwi.

- Uważaj, Nev - odparł DuBois, którego twarz nagle zbladła o ton. Nieznacznym ruchem przeniósł ciężar ciała na przednią część stóp.

Agry zerknął na Grauerholza.

- Hec?

Oblicze Grauerholza emanowało radością, jak nigdy. Spojrzał najpierw na DuBois, a potem na Agry'ego.

- Moim zdaniem: czarnuchy do gleby. Tam ich miejsce.

- W takim razie pieprzyć to - odrzekł Agry i zniemacka wbił palec lewej dłoni w oczy Larry'ego DuBois.

Larry był szybki, ale nie tak jak dawniej, w burdelach Juarez. Paznokcie Agry'ego sięgnęły pod jego powieki i zapewne wyrwałyby spod nich gałki oczne, gdyby DuBois nie cofnął się zwinnie, jednocześnie odbijając ramię napastnika lewą ręką, a prawą sięgając za plecy, pod koszulę. Agry już trzymał w dłoni brzytwę. DuBois - rewolwer z przyciętą lufą. Cofał się systematycznie, ocierając łzy płynące z oczu.

Teraz się doczekasz, tłusty kutafonie.

Agry skoczył naprzód i jednym cięciem brzytwy Shocknera otworzył brzuch DuBois od lewego do prawego biodra.

Obsceniczna, żółtawa galareta tłuszczu z domieszką krwi pojawiła

się nagle nad kłamrą jego pasa. Mięśnie, ukryte znacznie głębiej, pozostały nietknięte. DuBois ryknął głośno i rzucił się w bok, próbując jedną ręką wycelować broń, a drugą zatrzymać wylewający się tłuszcz.

Agry podszedł bliżej i kopniakiem podciął mu nogi.

DuBois z kwikiem upadł na twarz, przyciskając ciałem do podłogi lewe ramię. W tym samym ułamku sekundy Agry przyszpilił buchem jego drugą rękę, trzymającą rewolwer, a kolano wbił w jego otłuszczonej czaszkę. Wyciągnął ramię i przeciął brzytwą tętnicę i ścięgna w zgięciu ręki trzymającej broń. DuBois ryknął głośno i zaczął się wić; podparł się barkiem o podłogę, usiłując wyszarpnąć spod siebie drugą rękę. Agry napał na niego ciężarem całego ciała, a następnie wwiercił się brzytwą w lśniące, obwisłe cielsko pod brodą DuBois. Z ust i nozdry rannego trysnęła krew, gdy zaczął się rzucać i krzyczeć w rozpacz. Jego głowa ślizgała się już w czerwonej kałuży. Agry wbił brzytwę głębiej, niemal po rękojęść, szukając tętnicy szyjnej w chorobliwie otłuszczonej ciele. Gdy DuBois uwolnił głowę spod kolana i próbował ją odwrócić, ostrze nareszcie odnalazło cel.

Agry się wycofał.

- Super - sapnął Grauerholz.

Dennis Terry zwymiotował do wózka z praniem.

Agry zgarnął z półki stos ręczników i zrzucił je na czerwoną kaskadę bijącą z szyi i ramienia DuBois. Należało się tłustemu skurwielowi, pomyślał. Czuł nadzwyczajny spokój; wewnętrzne napięcie niemal ustąpiło. Wytarł ręce i brzytwę jednym z ręczników. Koszulę też miał zakrwawioną. Zaczął odpinać guziki i oddalił się w stronę dalszych półek, by poszukać świeżej. Zatrzymał się po drodze i podniósł z podłogi broń DuBois: Smith & Wesson .38 Special. W zamysleniu zważył ją w dłoni. Musieli ukryć zgon DuBois przed klawiszami przynajmniej do najbliższego liczenia. Zerknął na swój wodoszczelny zegarek. Zostały dwie godziny.

- Hec - powiedział, odwracając się.

Grauerholz, wyraźnie podniecony, wpatrywał się w monstualne, okryte rękami cielsko DuBois jak w dzieło sztuki. Spojrzał na Agry'ego, który rzucił mu rewolwer.

- Zaczniemy w końcu imprezę.

Grauerholz złapał broń w locie i z podziwem popatrzył na błękitną stal. Nawet Święty Mikołaj w życiu nie przyniósł mu niczego tak ślicznego. Przycisnął rewolwer do piersi i spojrzał na Agry'ego z wdzięcznością zwiastującą dozą wierność. W tej chwili Agry mógł go poprosić, żeby odstrzelił sobie własne jądro, a Grauerholz zapytałby najwyżej, czy prawe, czy lewe.

- Co teraz zrobimy, panie Agry? - spytał Grauerholz.

Agry odetchnął głęboko. Poczucie władzy było nader intensywne, oszałamiające. Taką chwilą należało się napawać. Spojrzał najpierw na Grauerholza, a potem na Terry'ego. Terry był błyśki jak płótno, a z jego oczu biła wewnętrzna udręka, zmieszana ze strachem. Agry popatrzył znów na Grauerholza.

- Czeka nas sporo pracy przed trzecim liczeniem. Ty i twoi chłopcy zajmiecie stołówkę od strony dziedzińca, kiedy Johnson i jego połowa bloku B przyjdą po żarcie. Potrzebna nam akcja odwracająca uwagę.

Grauerholz w podnieceniu przewrócił oczami.

- Słusznie - powiedział. - Akcja odwracająca uwagę.

- W sali maszyn i warsztacie mamy benzynę. Moi ludzie zajmą się nią. - Agry zwrócił się teraz do Terry'ego. - Dennis, ty i Tony Shockner załatwicie centrum dowodzenia w wieży. Ma zostać odcięte od bramy głównej. Pomagałeś instalować to gówno, teraz pomożesz je rozwalić.

Terry zbladł jeszcze bardziej. Spróbował coś powiedzieć, z trudem przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz.

- A zatem chcecie... to znaczy... to nie jest tylko...

- Zgadza się, Dennis - przerwał mu Agry. - To jest wojna. Operacja Piorun. Pustynna Burza. Blitzkrieg. Co tylko, kurwa, zechcesz. Czarnuchy do głęby; to samo dotyczy każdego, kto stanie nam na drodze.

Terry nie umiał znieść jego spojrzenia dłużej niż przez sekundę. Agry skinął głową na tłuste truchło DuBois, po czym spojrzał na Grauerholza.

- Każ swoim chłopakom posprzątać.
- Jasne, panie Agry - odparł Grauerholz.

Ruszył w stronę wyjścia, nieomalże podskakując z radości. Agry zawołał go raz jeszcze.

- A potem idź po Teda Spriggisa - dodał. - Powiedz mu, że czarnuchy zabiły Larry'ego DuBois...

Usta Agry'ego wykrzywił sprawiedliwy gniew; uniósł pięść wysoko nad głowę.

- ...I że skurwiele zapłacą nam za to!

ROZDZIAŁ 7

Wielkie, podwójne, nabijane żelazem wrota zamknęły się za jej plecami i Juliette Devlin została sama na ziemi niczyjej pomiędzy dyscypliną a wolnością. Kawałek tej ziemi niczyjej miała zaraz, jak zwykle, zabrać ze sobą do kipiącego chaosu więzienia, ale teraz, przez kilka chwil, była całkiem sama.

Jarzeniowe światła w sklepieniu tunelu były po oczach. Przed sobą miała stalowe drzwi, tak wielkie, że zmieściłby się w nich wóz strażacki, a tak masywne, że oparłyby się nawet atakowi granatem raketowym. Wiedziała, że ktoś po drugiej stronie drzwi obserwuje ją na monitorze. Bez wątpienia był to mężczyzna i miała świadomość, że kiedy wejdzie dalej, obserwować ją będą kolejni mężczyźni. Żadne doświadczenie w dotychczasowym życiu nie uczyniło jej bardziej świadomą własnej płci, własnej odmienności. Była kobietą, a wkraçała w świat nieskończenie męskich spraw. Co więcej, wchodziła między mężczyzn, którzy zadawali trudny do wyobrażenia ból i sami go znosili. W pewnym sensie właśnie to ją tu przywiodło. Postawiła przed sobą zadanie: zbadać choć małą część tych cierpiących bez miary i tym sposobem zrozumieć serca mężczyzn.

Kiedy Devlin czekała, aż otworzą się stalowe drzwi, odniosła wrażenie, że gdzieś pomiędzy niepokojem a podnieceniem znalazło się jeszcze miejsce na uczucie, którego nie zbadała wystarczająco wnikliwie. Miało coś wspólnego z przewinieniem, grzechem, jakby

robiła coś, czego nie powinna robić, w miejscu, do którego nie powinna trafić. Podniecenie wynikało być może właśnie z tego, że czyniła coś zakazanego, z czym wiązało się poczucie winy i lęk; uczucia te rodziły się w niej na tej samej zasadzie, na jakiej gotycka katedra wzbudza wrażenie obcowania z boskością. Lecz dla Devlin było w tym wszystkim coś jeszcze. Z głębin jej umysłu nie znikał nigdy duch ojca, Michaela Devlina, a w samym więzieniu był ktoś jeszcze: Ray Klein.

Jej ojciec, obecnie emeryt i właściciel niedużego rancza opodal Santa Fe, był swego czasu zarządcą więzienia federalnego w Nowym Meksyku, a Devlin dorastała w emocjonalnym cieniu miejsca niewiele różniącego się od Green River. Ojciec był demokratą ery John-sona, żarliwym przeciwnikiem kary śmierci oraz człowiekiem głęboko zawiedzionym faktem, iż Wielkie Społeczeństwo nie zdołało obronić się przed upadkiem w stronę polaryzacji i chaosu. Gdy odchodził na emeryturę, Biuro oficjalnie porzuciło koncepcję resocjalizacji, a Michael Devlin uznał za swą osobistą porażkę to, iż wskaźnik recydywy w jego więzieniu sięgnął dziewięćdziesięciu dwóch procent. Jako rodzic był oficjalnie dość liberalny, ale w rzeczywistości raczej samolubny i wymagający; żadne z osiągnięć dzieci nie było nigdy wystarczająco wybitne, by zasłużyć na pochwałę z jego strony. Jeżeli był dumny z Juliette, to skutecznie udawało mu się to ukryć. Jakby tych przywar było mało, był też irlandzkim katolikiem z olbrzymim apetytem na whiskey Jameson. Nigdy jednak nie szalał po pijanemu i nigdy nie podniósł ręki na żadne z dzieci, jeśli więc był draniem, a czasem i hipokrytą, to Juliette i tak go kochała.

Niekiedy zadawała sobie pytanie, czy tylko o to chodziło: o dowiedzenie słuszności przekonań ojca. Zawsze jednak odrzucała tę myśl. Trudno jej było bronić nawet własnych życiowych dokonań, a ojciec uważał wręcz, że jest wariatką. Może więc chodziło o to, by

go ukarać? Michael Devlin nigdy z nią nie rozmawiał o swoim więzieniu i w umyśle Juliette stało się ono miejscem tajemniczym i fascynującym, niczym mroczny las z bajki. Tylko tam można było poznać pewne prawdy, ale za cenę ogromnego ryzyka. Ojciec uważał, że powinna była zająć się badaniem zespołu napięcia przedmiesiączkowego u kobiet, przypadkami depresji wśród samotnych matek albo innymi bzdurami tego pokroju, jak uczyniła to większość jej politycznie poprawnych przyjaciół. Żaden z nich nie pojmował, dlaczego chciała spędzać czas wśród morderców i gwałcicieli. Być może w pewnym sensie jej praca była jednym wielkim „mam was gdzieś”, skierowanym pod ich adresem. Bo kimże byli, by okazywać rozczarowanie jej postawą? Tak czy inaczej, Devlin stała teraz w mocnym blasku jarzeniówek i za chwilę miała wkroczyć w mroczny las więzienia Green River.

Devlin - wołała, by zwracano się do niej po nazwisku - studiowała psychologię i medycynę w Tulane. Miała wystarczająco wysoki iloraz inteligencji, by brać tyle prochów, ile zmieściłoby się w hali Superdome oraz pieprzyć się do upadłego z całą menażerią dokerów i innych desperatów z Crescent City, a przy tym nie oblać żadnego egzaminu. W Nowym Orleanie rozsmakowała się też w hazardzie i przekonała, że jest w tym niezła. Praca psychiatry nieco schłodziła jej temperament, ale spokojna ścieżka kariery - ciepła, lukratywna posadka czy praktyka psychoterapeutyczna - jakoś do niej nie przemawiała. Irytowało ją to, że - zupełnie jak w filmach - to facetom trafiały się najlepsze role: to oni rozwalali bandytów i wjeżdżali półciężarówkami z nitrogliceryną w blokady drogowe, podczas gdy dziewczynom pozostawiano popisy na drugim planie, najczęściej polegające na emanowaniu kobiecym ciepłem. Psychiatria sądowa wydawała się największym z dostępnych wyzwani i dlatego Devlin postanowiła spróbować. Poziom intelektualny kolegów po fachu

szybko wydał jej się, delikatnie mówiąc, wąty. Badania, które prowadziła w Green River, okazały się unikatem w literaturze przedmiotu, a kilka poważnych autorytetów z branży nazwało je wręcz genialnymi. Devlin miała przeczucie, że zostanie zapamiętana.

Zgrzyt trybów i skrzywienie łożysk w głębi tunelu wyrwały ją z zamyślenia. Stalowe drzwi drgnęły i rozchyliły się przed nią.

Po drugiej stronie Devlin zobaczyła sierżanta Victora Galindeza, który już na nią czekał. Nie różniąc się wiele od funkcjonariuszy innych instytucji, strażnicy z Green River traktowali gości specjalnych, takich jak ona, z lękiem i podejrzliwością, ale Galindez okazał się bardziej uprzejmy od pozostałych. Powitał ją i poprowadził do portierni, gdzie zostawiła kluczyki i portfel. Wpisała się do księgi odwiedzających i złożyła podpis pod oświadczeniem o pełnej odpowiedzialności za siebie. Galindez zajrzał jeszcze do jej teczki, a potem przeprowadził przez drugą nabijaną żelazem bramę, na więzienny dziedziniec.

Devlin miała na sobie białą, bawełnianą koszulę, zapiętą aż pod szyję, wyblakłe czarne lewisy oraz kowbojki. Na koszulę narzuciła jeszcze czarną, lnianą marynarkę, wystarczająco długą, by zakryła pośladki. Pod dżinsami miała, jak zawsze, stringi, a pod koszulą sportowy stanik, którego poza wizytami w więzieniu używała jedynie w siłowni. Nosła go, żeby cycki zbyt nie podskakiwały i żeby przez koszulę nie prześwitywały sutki. Nie bała się, że sprowokuje napaść; po prostu chciała oszczędzić nadmiaru pokus więźniom, którzy na nią patrzyli. Być może zresztą widok nóg i biustu sprawiłby im frajdę - mimo bólu - ale nie miała pewności. Nie chciała wydać się próżna i dlatego nie spytała nawet Kleina o zdanie. Ba, nie wiedziała nawet, czy on sam chciałby zobaczyć więcej jej ciała. Jakimś sposobem wytworzył między nimi dystans, którego nie umiała

pokonać. Devlin nie uważała się za szczególnie atrakcyjną. Wyglądała normalnie, nic ponadto. Była wysoka - pięć stóp i dziesięć cali - oraz szczupła, ale zawsze miała wrażenie, że ma zbyt duże dłonie i stopy, a twarz bardziej chłopcę niż kobietę. Miała gęste, czarne włosy, które strzygła ostatnio krótko z boków i z tyłu. Dawniej marzyły jej się większe cycki i mniejsza dupa, ale teraz, gdy już oficjalnie była poważną, dorosłą osobą, czuła, że pora zostawić takie zmartwienia za sobą - i prawie jej się udało. Mimo to świadomie nosiła stringi i dobrze się z tym czuła, zwłaszcza gdy od czasu do czasu zastanawiała się, co powiedziałaby Klein, gdyby wsunął kiedyś rękę pod jej dzinsy i pomacał po tyłku. Jak dotąd jednak nawet nie próbował i była pewna, że ten stan rzeczy nie ulegnie zmianie, póki razem pracują, ale w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu... chciała, żeby to zrobił.

Jeśli chodzi o ścisłość, powiedziała nawet swojej przyjaciółce Catrin, że chciałaby obciągnąć Kleinowi i pragnęłyby, żeby potem pieprzył ją od tyłu na pokładzie kutra krewetkowego gdzieś na zatoce podczas burzy z piorunami, kiedy ona sięgałaby ręką między nogi i gładziła jego jaja. Reakcja Catrin na to wyznanie sprawiła, że Devlin zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę jest tak szurnięta, jak jej się czasem wydawało. A może po prostu nie była tak zakręcona w sprawach seksu jak większość jej koleżanek? Catrin, która zdecydowanie zbyt wiele „własnych” opinii zapożyczała z luksusowych pism, odpowiedziała jej wtedy, że takimi fantazjami Devlin umniejsza własną wartość i że tak naprawdę potrzeba jej mężczyzny, który dobrze czuje kobietą stronę swojej natury. Czyli takiego, który gotów był leżeć obok niej w łóżku z potężnym wzwodem i uśmiechać się wyrozumiale albo uprawiać jogę, gdyby tylko orzekła, że tej nocy nie ma ochoty się pieprzyć. Devlin serdecznie nie znosiła tych bredni. Była kobietą i gdy zastanawiała się nad swoją naturą, nie widziała w

niej niczego - ani na zewnątrz, ani wewnątrz - co byłoby męskie. Jeżeli bywała czasem ambitna i zdecydowana, to z własnej woli, a nie za sprawą „męskiej strony swojej natury”. Taka po prostu była i nie widziała powodu, dla którego inaczej miało być z facetami. Potrzebowała kogoś, kto zachowywałby się jak mężczyzna i wyrażał siebie w męski sposób, a nawet wtedy, gdy okazywałby współczucie i wrażliwość, to na męską modłę, jak od wieków czynili to mężczyźni. Kogoś, kto odczuwałby też męskie pożądanie i na przykład chciał czasem pieprzyć ją na kutrze krewetkowym, podczas gdy ona gładziłaby jego jaja. Wszystko to jednak wydawało jej się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Być może zbyt wielu facetów czytało te same pisma, co Catrin. Z bólem myślała o tym, że zbyt wielu porządnych gości w jej wieku woli trzepać konia niż znosić nudę negocjowania seksualnych relacji z kobietami. Możliwe, że po prostu obracała się w niewłaściwych kręgach. Jednego była pewna: niewłaściwym kręgiem - nawet jeśli był to krąg piekielny - z pewnością nie był szpital w Green River, w którym spotkała Kleina.

Pod pewnymi względami znała go na wylot, bo przyglądała mu się w pracy. Pod innymi - nie znała go ani trochę. Niewiele wiedziała o jego przeszłości, jeśli nie liczyć kariery zawodowej: studiował w New Jersey School of Medicine w Newark, uczelni, którą nazwał „jakby białą średniowieczną twierdzą w samym środku strefy działań wojennych”. Wybrał tam fakultet chirurgii ogólnej, a potem wyłądował w Teksasie w ramach narodowego programu alokacji pracowników. Texas Tech UHSC w Lubbock nie było pierwszą opcją z jego listy życzeń, ale szkolenie, które tam przeszedł, było znakomite. Zanim skończył, zdążył przekonać się do zalet południowego stanu i postanowił zostać. Przed wyrokiem był chirurgiem ortopedą w szpitalu publicznym w Galveston.

Dziwne to było uczucie, myślała Devlin, poznać kogoś niemal od

zera, a nie dzięki złożeniu jego osobowości z martwych faktów z przeszłości. Pod pewnymi względami było to przerażające doświadczenie. Devlin nie wiedziała na przykład, za jakie przestępstwo Ray Klein trafił do Green River. Pytała o to kiedyś Coleya, a on tylko spojrzał na nią pośpiesznie i odparł, że tu się nie zadaje takich pytań. Była prawie pewna, że Klein by jej powiedział, gdyby spytała, ale nie chciała, żeby uznał ją za wścibskiego intruza, który nie szanuje zasad tego mrocznego świata. Mogła też zapytać Hobbesa albo kóregoś ze strażników, ale wydawało jej się, że byłoby to zdradą, że zawiadłaby zaufanie Kleina.

Galindez wyprowadził ją za bramę chroniącą portiernię, na dziedziniec. Jeszcze dalej, za drucianą siatką, piętrzył się główny kompleks więzienny: sześć wielkich bloków biegnących promieniście ku centralnej wieży zwieńczonej kopułą. Widok tych wyciągniętych ramion gmachu zawsze przyprawiał ją o dreszcze; wyobrażała sobie, że sięgają coraz dalej, aż wreszcie spotykają się po drugiej stronie globu, w identycznej, kopulasto zakończonej wieży. Wszyscy więźniowie świata mogliby spacerować ich korytarzami, nie wiedząc nawet, gdzie się znajdują. A może i tak to robią, pomyślała. Skręcili z Galindezem w lewo i znaleźli się na betonowej ścieżce u podnóża zewnętrznego muru.

Każda sekcja sześciokątnej ściany miała czterysta metrów długości, a na jej szczycie umieszczono rzędami zapory z kolczastego drutu. Devlin czuła na sobie spojrzenia strażników czuwających w wieżyczkach. Dwie sekcje muru, które spotykały się u bramy głównej, wzniesiono z nagich kamieni; nie przesłaniał ich żaden budynek. W cieniu pozostałych czterech przycupnęły warsztaty, sala wizyt oraz blok izolatek, w którym umieszczano szczególnie niebezpiecznych więźniów. Najbliższym budynkiem na zachód od bramy był szpital. O tej porze stanowiska do ćwiczeń były puste. Z warsztatu

stolarskiego dobiegały odgłosy pracy piły taśmowej. Cień muru dawał chłód, ale Devlin widziała, że słońce zmienia już dach więzienia w rozżarzoną połąc złota, spojona czarnymi belkami żelaza. Pod szklaną kopułą na pewno nie było chłodno. Zauważyła, że Galindez przygląda się jej, i skinęła głową w stronę dachu.

- Po co umieszczono tam tyle szkła? - spytała.

Galindez miał zapadnięte policzki, pokryte bliznami po ospie przebytej w dzieciństwie. Jego zazwyczaj spokojną, poważną, a może nawet smutną twarz zdobił bujny wąs. Teraz Galindez się uśmiechnął.

- Naczelnik mówi, że po to, żeby Bóg mógł patrzeć z nieba na więźniów. Ale ja myślę, że mu się nie chce.

Strażnik umilkł, a jego twarz znowu przybrała wyraz powagi. Devlin cieszyła się, że dochodzą już do drzwi infirmerii. Gdy się zatrzymali, odwróciła się ku Galindezowi, żeby mu podziękować.

- Nie jest to dobre miejsce pracy dla kobiety - stwierdził.

Devlin milczała. Gdyby miała spierać się z takimi poglądami za każdym razem, kiedy je słyszała, musiałaby dostać na to pełny etat. Galindez musiał wyczytać coś z wyrazu jej twarzy, bo dodał zaraz:

- I dla mężczyzny chyba też nie.

- Zatem co pan tu robi? - spytała.

Galindez uśmiechnął się, a Devlin poczuła się jak naiwniaczka.

- Dobrze płacą. Bardzo dobrze, jak dla latynoskiego imigranta.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Salwadoru.

- Ma pan tam rodzinę?

- Tylko na cmentarzu - odparł Galindez. - Tam też byłem w więzieniu, po niewłaściwej stronie ogrodzenia.

Devlin zarumieniła się wstydliwie, jak rasowy biały liberał. Była

zła na siebie: może i Galindez przeszedł w życiu swoje, ale skoro on znosił jej pytania, to ona mogła znieść jego odpowiedzi.

- Za co? - spytała.

Strażnik wzruszył ramionami.

- Za modlenie się w niewłaściwym kościele, za czytanie niewłaściwej gazety, za przyjaźń z niewłaściwymi ludźmi. Jak to zwykle bywa.

Devlin chciała odwrócić głowę, ale nie zrobiła tego.

Galindez mówił dalej:

- A tu z początku było mi ciężko. Oczywiście marzyło mi się, żeby znowu uczyć w szkole, ale to nie było możliwe. Dobrze, że przynajmniej żona nie musi już szorować podłóg, odkąd tu pracuję.

Devlin pokiwała głową. Nie przychodziły jej na myśl żadne słowa, które nie zabrzmiałyby fałszywie albo banalnie. Galindez dotknął palcami czapki.

- Kiedy będzie pani potrzebowała eskorty w drodze do bramy, proszę zadzwonić do portierni i zapytać o mnie.

- Dzięki.

Devlin patrzyła przez chwilę, gdy się oddalał, a potem odwróciła się i weszła do infirmerii. Przez lata bywała w wielu szpitalach, ale ten zapach zawsze wywoływał u niej mdłości: zmieszana woń środków dezynfekujących, skażonego, ludzkiego ścieku oraz śmierci. Zanim minęła Sunga i dotarła do gabinetu przy izbie chorych, zdążyła zapanować nad odruchem i wypchnąć ze świadomości nieznośny zapach. Postawiła teczkę na zagraconym stole. Nie zobaczyła nigdzie Żaby Coleya i nie żałowała tego - żywiła wobec niego mieszane uczucia i miała wrażenie, że z wzajemnością. Jego słowa bywały okrutne. Z drugiej jednak strony miał w sobie moc, moralną siłę zakorzenioną w bólu, którego doświadczył. Wiedziała, że sama nigdy nie posiadać takiej mocy. To, co sama osiągnęła, nie kosztowało

jej wiele i dlatego rozumiała, dlaczego ktoś taki jak ona może budzić niechęć w kimś takim jak Coley. Być może czuł się też zagrożony na gruncie zawodowym, który Devlin dzieliła z Kleinem, choć sama uważała, że to ona może czuć się odrzucona, a to z racji przyjaźni obu więźniów. Więź, która ich łączyła, była osobliwa: byli dla siebie nawzajem mentorami. Tak czy inaczej, Devlin odnosiła wrażenie, że Coley nie traktuje jej sprawiedliwie, ale miała nadzieję, że kiedyś to się zmieni. Nosila w torbie pierwsze owoce wspólnej pracy w infirmerii: artykuł oparty na wynikach prowadzonych tu badań, a przeznaczony do publikacji w „American Journal of Psychiatry”.

U źródła jej pracy badawczej stało pytanie, które dręczyło ją od lat: czy tragedia śmierci, a zatem i życia, jest absolutnym prawem każdego mężczyzny i każdej kobiety? A może jest dobrem racjonalnym wedle niejasnych kryteriów społecznych? Z praktyki wynikało, że prawdą jest to drugie. Gdyby Devlin miała zginąć następnego dnia w wypadku samochodowym, byłaby to oczywista tragedia: młoda, zdolna, biegła w psychiatrii, odeszła w kwiecie wieku... et cetera, et cetera. Ale gdyby to Coley skrzył sobie kark na schodach więziennej infirmerii, świat by tego nie zauważył i nikt nie przejąłby się jego losem. Taka hierarchia wpisana była, zdaniem Devlin, dosłownie we wszystko: w literę prawa, w zasady medycyny czy krwawej łaźni wojny, w obojętność rządów, nawet w treść naklejek na zderzakach, nawołujących do ratowania wielorybów. A dlaczego nie kalmarów albo hien? Irytowała ją ta arbitralna alokacja wartości, gdyż w ostatecznym rozrachunku zmuszała ją do utrzymania się na drabinie społecznej hierarchii, która nie miała końca, i choć Devlin już zajmowała na niej wysokie miejsce, miała wiecznie wspinać się jeszcze wyżej. Czy może nie wiecznie, a do chwili, gdy ciężar jej starczego ciała o siwych włosach i obwisłych piersiach zacznie łaćmać zmurszałe stopnie.

Ulęgę - nie, wręcz upojenie - przynosiła jej myśl o tym, jak kompletna jest obojętność Wszechświata, do którego należała ta zasmarowana planeta. W jej pamięć wryły się na zawsze słowa z *Krytyki władzy sądzienia* Kanta:

Oszustwo, zazdrość i przemoc zawsze będą się szerzyć wokół niego, choć sam jest uczciwy, zgodny i uprzejmy; inni zaś sprawiedliwi ludzie, których spotka w świecie, bez względu na to, jak zasługują na szczęście, zostaną doświadczeni przez obojętną naturę całym złem pragnienia, choroby i wreszcie śmierci, jak wszystkie inne zwierzęta na ziemi. Będzie to trwać aż do czasu, aż jeden szeroki grób pomieści ich wszystkich - sprawiedliwych i niesprawiedliwych, bo nie ma takiego rozróżnienia w grobie - i ciśnie na powrót w otchłań bezcelowego chaosu, z której się wzięli - tych, którzy uważali się za ostateczne dzieło stworzenia.

Nas, którzy uważamy się za ostateczne dzieło stworzenia, pomyślała Devlin.

I zaraz skupiła się znowu na głównym przedmiocie swych badań: osobniku zamkniętym w celi osobowości. Czy taki sam system wartości został wpisany w każdego z nas? Czy sami siebie oceniamy wedle tych samych, bezlitosnych i arbitralnych kryteriów? Devlin próbowała znaleźć odpowiedź.

Wpadła na pomysł, by objąć badaniem psychologicznym dwie grupy hospitalizowanych pacjentów cierpiących na AIDS. Pierwszą z nich tworzyli podopieczni University Medical Center w Houston; drugą - pacjenci infirmerii Więzienia Stanowego Green River. Ojciec Devlin znał naczelnika Hobbesa od niemal trzydziestu lat i chyba tylko dzięki jego wstawiennictwu uzyskała dostęp do chorych. Wybrała dwa standardowe kwestionariusze, służące do oceny zdrowia psychicznego, ze szczególnym uwzględnieniem ewentualnych przypadków

depresji. Opracowała też trzeci, własny, nazwany roboczo „Inwentarzem traumy egzystencjalnej”. Wykorzystała je w badaniu obu grup. Pacjenci obu szpitali, którzy cierpieli na choroby niezagrażające życiu, stanowili grupy kontrolne, porównawcze. W obu grupach głównych, badawczych, znaleźli się ludzie z AIDS, skazani na powolną śmierć. Ale którzy z nich radzili sobie lepiej? I w jaki sposób? I dlaczego?

Cywile z AIDS leczeni w Houston znajdowali się pod świetną opieką medyczną i otrzymywali wsparcie psychologiczne, ale czekała ich utrata życia, które można by nazwać „dobrym”: na wolności, w dostatku, z nadzieją na jeszcze lepszą przyszłość. Tymczasem więźniowie umierali w haniebnych warunkach, ale z drugiej strony wydawało się, że mają mniej do stracenia. Świat zewnętrzny nisko cenił ich życie; ważne było w zasadzie tylko to, by odeszli w miarę cicho i jak najtaniej. Kluczowe pytanie brzmiało więc: czy sami chorzy mieli podobne odczucia? Czy wizja utraty „dobrego” życia była dla chorego większą traumą niż utrata życia w najnędnijszych, rozpaczliwych warunkach? Kto wyżej cenił własne życie? Czyja śmierć była bardziej tragiczna? Czy łatwiej było odejść łajdakom z River, czy wolnym ludziom, pacjentom nowoczesnego szpitala w Houston? Devlin pragnęła doprowadzić naukę do granicy, którą dzieliła z filozofią. Ale czy w ogóle da się sformułować takie pytania i znaleźć na nie odpowiedzi w sposób czysto naukowy?

- Jedno jest pewne - rzekł Klein podczas jednej z dyskusji z Devlin.

- Co takiego? - spytała.

Klein podszedł do drzwi gabinetu i przez chwilę spoglądał na korytarz prowadzący do sali chorych.

- Oni już nikogo nie obchodzą.

- A nas, Klein?

Klein westchnął cicho, zanim odpowiedział:

- Ja tylko chcę przeżyć odsiadkę w możliwie najłatwiejszy sposób.

Nie uwierzyła mu. Była pewna, że praca znaczy dla niego równie wiele jak dla niej. A nawet więcej. Znacznie więcej. Lecz Klein uparcie chował się za cyniczną fasadą i im energiczniej próbowała ją spenetrować, tym mocniej się upierał, że nic się za nią nie kryje.

Rozmyślania Devlin przerwało skrzypnięcie drzwi. Coley wsunął głowę do środka i spojrzał na nią poślódkłymi oczami.

- Cześć, Coley - powiedziała Devlin.

Coley przyglądał się jej w zadumie.

- Doktor Devlin. Nie spodziewaliśmy się pani dzisiaj.

- Wiem. Chciałam wam zrobić niespodziankę.

- O kurna - odparł Coley. - Moja być cholernie zaskoczona.

Devlin nigdy nie wiedziała, czy powinna być zirytowana, czy rozbawiona odgrywaniem przez Coleya wuja Toma. Doktor to, doktor tamto - a przecież chciała, żeby mówił jej po nazwisku. Tym razem miała ochotę się uśmiechnąć, ale powiedziała:

- Pierdol się, Coley.

- Tak jest, pani doktor.

- Jak pacjenci?

- Bez zmian - odparł Coley. - To znaczy połowa umiera, a połowa nie.

- Gdzie Klein? - spytała.

- Jest na spotkaniu z naczelnikiem. Nie wiem, kiedy wróci.

- Po co do niego poszedł?

- Żeby się dowiedzieć, czy komisja dała mu zwolnienie warunkowe.

- Starał się o zwolnienie?

Devlin próbowała zachować spokój, ale ku swemu zaskoczeniu czuła się urażona tym, że Klein o niczym jej nie powiedział. Tak naprawdę była wściekła. To jakiś absurd, myślała. Coley przyglądał

się jej żółtawymi ślepiami spod ciężkich powiek; zawsze kiedy to robił, czuła się jak intruz. I była intruzem. Coley skinął głową.

- Tak. W zeszłym tygodniu był na przesłuchaniu. - Przez chwilę obserwował Devlin w milczeniu, a potem spytał: - Zdawało się pani, że ma prawo o tym wiedzieć, co?

Devlin wzruszyła ramionami i odwróciła się.

- Miło by było trzymać za niego kciuki, ale z drugiej strony - to nie mój interes.

Coley pokręcił głową.

- Ja też o niczym nie wiedziałem, póki nie wrócił. Może to i dobrze. Gdybym wiedział, pewnie celowo spierdoliłbym sprawę.

Devlin odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Doprowadziłbyś do tego, że nie daliby mu warunkowego?

- Próbowałbym jak cholera.

- Nie wierzę.

Coley wytrzymał jej spojrzenie.

- Pani sądzi, że chciałbym ciągnąć ten interes w pojedynkę? Że jestem w stanie? A może chce pani tu przychodzić i pomagać mi, kiedy on wyjdzie?

- Nie wierzę, że zrobiłbyś mi coś takiego.

- Pani nadal nie rozumie, jak to wszystko działa, prawda, doktor Devlin? Tylko te pani kwestionariusze i inne wymyślne gówna. Nic a nic pani nie kapuje. Zdaje się pani, że to wszystko dzieje się naprawdę, jest z gruntu i do cna prawdziwe. Ale myli się pani. To tylko gra. Tutaj w ogóle nie istnieje rzeczywistość. Kto by próbował w niej żyć, przepadnie. Kto przyłącza się do gry, ma szansę. A pani facet dobrze poznał jej reguły. Wygrałby i z panią. Podobno lubi pani hazard. Powinna pani to rozumieć.

- Jednak nie rozumiem - odparła Devlin.

- Widziałem, jak pani na niego patrzy.

Devlin była zła na siebie. Jej czaszka najwyraźniej była całkiem

przezroczysta, a Coley mógł w niej dojrzeć wszystkie tajemnice. Teraz mogła jedynie spróbować wytrzymać jego spojrzenie.

- Tutaj jedynym obowiązkiem człowieka jest troszczyć się o siebie - ciągnął Coley. - Niech pani nie szuka czegoś, czego on nie może dać.

Devlin skinęła głową. Czuła się jak idiotka; nie wiedziała, co powiedzieć. Przełknęła ślinę.

- Dostanie to zwolnienie?

Coley mrugnął niespiesznie i skinął głową.

- Jego pociąg, Pea Vine Special, już odjeżdża, pani doktor. Jak mówiłem, to prawdziwy gracz.

- I tyle? A co z tym wszystkim?

Coley spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Z czym, pani doktor?

- Z pracą, którą ofiarował tym ludziom. Razem z tobą.

- Pani sądzi, że wolały pracować przy wiertarce stołowej? Wytwarzać klamerki do pasków? To tylko kolejny ruch w grze.

- Nie wierzę w to. - Devlin czuła, że głos jej drży.

Coley wzruszył ramionami.

- Pani wierzy w to, co musi, jak my wszyscy - odrzekł, odwracając się. - Może pani zaczekać na niego tutaj, niedługo wróci.

- Coley?

Coley raz jeszcze zajrzał do pokoju.

- Chcę ci później coś pokazać. To ważne - powiedziała.

Coley uniósł brew.

- Proszę zadzwonić, kiedy będę potrzebny. Nigdzie się nie wybieram - dodał i umilkł na moment. - Ale coś pani powiem, na wypadek gdyby jeszcze pani nie wiedziała.

- Co takiego?

- Pani chłopak, Klein, jest całkiem ładniutki bez łachów.

Devlin nie wiedziała, czy się rumieni.

- Że co?

- Bez koszuli i tak dalej. Ma sporą pałę jak na białasa. Ale jakoś nie daje się zbliżyć starej Żabie. Może pani ma coś, czego ja nie mam.

Tym razem była już pewna: paliły ją policzki. Coley parsknął lubieżnym śmiechem.

- Pierdol się, Coley - powiedziała Devlin.

Coley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Proszę na mnie nie zwracać uwagi, doktor Devlin.

Devlin uśmiechnęła się mimowolnie.

- Powodzenia w dzisiejszym meczu - dorzucił Coley.

Rzeczywiście, założyła się z Kleinem, że Lakersi wygrają z Nick-sami co najmniej sześcioma punktami. O ile zdążyła się zorientować, zamiłowanie do hazardu było w niej jedyną cechą, którą Coley szanował.

- Ach, tak - mruknęła. - Dzięki.

Coley zniknął i zamknął za sobą drzwi, a Devlin przysiadła na krawędzi stołu. Teraz dopiero w pełni docierało do niej to, co powiedział: wkrótce Klein może być wolny. Poczowała ucisk w żołądku. Gdzieś pod pokładami intelektu i abstrakcji kryło się w jej głowie przecucie, które - wiedziała o tym doskonale - nie mogło kłamać. Wizja wolności Kleina robiła wrażenie; zwłaszcza na tle tego, co Coley mówił o rzeczywistości i grze. Wolny Klein - to była zupełnie nowa rzeczywistość. To, że go pragnęła - a wewnętrzny ból oznaczał, że naprawdę tak było - było elementem innej gry, w której nie czuła się ekspertem. Otworzyła teczkę i wyjęła paczkę winstonów light. Zapaliła, zaciągnęła się i poczuła się nieco lepiej, czując, jak rośnie poziom nikotyny. Nie było sensu oszukiwać samej siebie. Naprawdę nie chciała, by Klein zniknął z jej życia. Tylko jak go w nim zatrzymać? Miała na to pomysł albo dwa... Ale równie ważne było inne pytanie: dlaczego, u diabła, Klein miałby zainteresować się kimś takim jak ona? Devlin znowu zaciągnęła się dymem. Nie знаła jeszcze odpowiedzi, ale w taki czy inny sposób zamierzała ją użyć.

ROZDZIAŁ 8

Ray Klein siedział na drewnianej ławie na parterze wieży zarządu i zastanawiał się, czy wielkie, ciemne plamy potu na jego drelichowej koszuli wkurzą naczelnika. Czteryście metrów dzielące więzienny szpital od wieży pokonał sprintem, żeby zdążyć na czas, a teraz oczywiście siedział beczynnienie od dwudziestu minut, czując, jak strumyki potu ściekają po jego ciele. Może Hobbes uzna, że to objaw nerwowego napięcia? Nie byłoby dobrze. Jeżeli Klein właściwie odczytywał jego naturę, naczelnik nie lubił tych, którzy się przed nim płaszczą. Pieprzyć go, pomyślał. Sprawa i tak jest poza moim zasięgiem. Naraz przypomniały mu się słowa starej piosenki:

*Gdy byłem małym chłopcem,
Zapytałem mamę: „Kim będę?
Czy będę przystojny? Bogaty?”
A ona odrzekła mi...*

Klein nagle się zatrząsł, targany bezgłośnym śmiechem. Głos w jego głowie należał do Doris Day. Coś niesamowitego: siedział w samym środku odbytu wszechrzeczy i słuchał nagrania Doris sprzed trzydziestu lat, które Bóg wie jakim cudem uchowało się w jego pamięci. Czy będę przystojny? Bogaty? Słyszał wyraźnie, jak Doris nabiera potężny haust powietrza, by zawołać: „*Que será, será!*” Co

ma być, to będzie!” Dość wywrotowy tekst, jak na owe czasy, pomyślał, tracący nieco neostoicyzmem. A może i neomarksizmem. Klein, zastanawiał się, ilu facetów w dziejach świata trzepało kapucyna, rozmyślając o Doris Day. Pewnie miliony. Może warto kiedyś spróbować. Jego wymaginowane życie seksualne potrzebowało nowych bodźców. Doris Day. Klein był w lekkim szoku, gdy uświadomił sobie, że mu staje.

- Co cię tak, kurwa, śmieszy, Klein?

Klein drgnął, natychmiast przestał się uśmiechać i unióśł głowę. Kapitan Cletus, posepny jak zawsze, stał w drzwiach poczekalni. Klein siedział już na tyle długo, że nie musiał podbudowywać własnego ego celowym wkurzaniem Cletusa. Kapitan wzbudzał powszechny strach i nienawiść w więźniach i właśnie dlatego - choć nieco przesadnie - zaczynał popadać w paranoję. Każdy zasłyszany śmiech interpretował jako docinek pod swoim adresem. Benson z bloku A spędził kiedyś tydzień w izolatce za odzywkę „szeroki jak przedział w dupie Cletusa”. Klein nie widział więc lepszego wyjścia z sytuacji od przekonania kapitana, że jego intencje były zupełnie czyste. Stańał na baczność.

- Myślałem sobie o Doris Day, panie kapitanie - powiedział.

Cletus podszedł bliżej i z odległości piętnastu centymetrów popatrzył mu w oczy przez chwilę, która ciągnęła się niemiłosiernie.

- O Doris Day? - spytał wreszcie.

- Tak jest.

Cletus wciąż mu się przyglądał.

- Pomyślałem: „Co ma być, to będzie”, panie kapitanie - ciągnął Klein. - Wie pan, *que será, será*.

- *Que será, será* - powtórzył Cletus.

- Tak jest, panie kapitanie. „Co ma być, to będzie”, wie pan.

- Taki bystry z ciebie skurwysyn, Klein?

- Mam nadzieję, że nie, panie kapitanie.

Po raz pierwszy od trzech lat Klein zobaczył uśmiech na twarzy Cletusa.

- Czekasz na spotkanie z naczelnikiem.
- Tak jest.

Cletus popatrzył na niego przez jeszcze jedną długą chwilę.

- Chodź ze mną - rzekł wreszcie.

Klein, pocąc się jeszcze mocniej, podążył za nim schodami w górę wieży. Spoglądając na kolosalny zad kapitana, kołyszący się przed nim miarowo, klął w duchu własną głupotę: nie powinien był tracić panowania nad sobą i pozwalać, by Doris Day podstępnie zinfiltrowała swym głosem jego podświadomość. U szczytu czwartego ciągu stopni znajdował się krótki korytarz o ścianach wyłożonych drewnem. Cletus zatrzymał się w jednym końcu; w drugim mieściły się drzwi do gabinetu Hobbesa.

- Śpiewaj - powiedział, odwracając się do Kleina.

Klein spojrział na Cletusa, potem na drzwi gabinetu naczelnika i znowu na Cletusa. Z trudem przełknął ślinę.

- Panie kapitanie...?
- *Que será, será* - rzekł Cletus. - Zaśpiewaj.
- Nie pamiętam słów - bronił się Klein.

- Nie wiem, co komisja do spraw zwolnień warunkowych postanowiła zrobić z twoim żalonym dupskiem - odparł Cletus - ale dopóki nie wyjdiesz za bramę, należy ono do mnie. I gdybym tak na przykład w tej chwili postanowił cię ukarać, komisja mogłaby nawet zmienić zdanie.

Ty złamasie, pomyślał Klein. Nie spojrział jednak na Cletusa; bał się pokazać mu to, co biło teraz z jego oczu. Zakaszłał.

- Niech pan posłucha - powiedział. - Jeżeli zrobiłem na panu wrażenie zbyt bystrego skurwysyna, to zapewniam, że nie miałem takiego zamiaru, i z całego serca przepraszam pana kapitana.

- Śpiewaj - powtórzył Cletus.

Tym razem Klein nie odmówił mu morderczego spojrzenia. Cletus uśmiechnął się po raz drugi. Klein był ciekaw, czy kapitan uśmiechał się tak samo, gdy znęcał się nad Wilsonem w izolatce. Odetchnął głęboko.

- Głośno - zażyczył sobie Cletus. - Tak, żebym cię słyszał z samego dołu wieży.

Klein wypuścił powietrze z płuc.

- Muszę przyznać - rzekł - że nie podejrzewałem pana o taką fantazję.

Cletus zbliżył usta do jego ucha.

- Kiedy byłem mały, waliłem konia, oglądając filmy z Doris Day.

Klein spojrział mu w oczy.

- Ma pan rację - powiedział. - Jestem stanowczo zbyt bystrym skurwysynem.

Cletus pokiwał głową.

- Nadal mam ochotę posłuchać piosenki.

Zatem pierdol się, pomyślał Klein i zaczął śpiewać.

*Gdy byłem małym chłopcem,
Zapytałem mamę: „Kim będę?”*

Śmiejąc się w głos, Cletus zniknął na schodach, a Klein śpiewał dalej:

*„Czy będę przystojny? Bogaty?”
A ona odrzekła mi...*

Jego głos niósł się potężnym echem w ciasnym korytarzu. Na dodatek brzmiał całkiem niezle. Klein znowu nabrał powietrza i starając się najlepiej, jak potrafił, przeszedł do refrenu:

*Que será, será!
Co ma być, to będzie...*

Był w połowie kolejnego oddechu, gdy drzwi gabinetu Hobbesa otworzyły się gwałtownie. Klein pospiesznie zamknął usta. Naczelnik patrzył na niego, stojąc na progu: wielka, łysiejąca czaszka, rozgorączkowane oczy, masywne łuki brwiowe. Klein nie przypominał sobie, by kiedykolwiek czuł się większym dupkiem, a zachowanie morderczego milczenia wydawało mu się jedyną opcją.

- Klein?

Płuca Kleina były przepełnione powietrzem; czuł, że nie jest w stanie wypuścić go w kontrolowany sposób.

Odezwał się ochryplym szeptem:

- Tak jest, panie naczelniku.

Zaczynało mu brakować tlenu.

Hobbes przypatrywał mu się w łagodnym zdumieniu jeszcze przez chwilę, jakby dziwaczne zachowanie Kleina z trudem przeniknęło do jego świadomości i tylko na moment wyrwało ze skupienia nad sprawami znacznie większej wagi. Klein spotykał się z nim nie po raz pierwszy, ale naczelnik wciąż pozostawał dla niego zagadką. Jego postawa, dystans do spraw, sposób mówienia sprawiały wrażenie, że jest to człowiek nie z tego świata; jak gdyby katapultował się w teraźniejszość wprost z bardzo zamierzchłych czasów. Podobnie było z samym więzieniem: zaprojektowane w dziewiętnastym wieku, dojrzało aż do ostatnich lat dwudziestego. Choć skromny, a może piramidalnie głupi, Klein rzadko kiedy odnosił wrażenie, że staje w obliczu inteligencji potężniejszej, głębszej, bardziej niezmierzonej niż jego własna. Hobbes budził w nim jednak właśnie takie poczucie, poczucie obcowania z czymś niezgłębionym. I nawet jeśli w tym momencie naczelnik nie umiał pojąć osobliwego zachowania Kleina, to nie wyglądał na specjalnie przejętego tym faktem.

- Wejdz - powiedział, znikając w gabinecie.

Klein wreszcie wypuścił powietrze, które, jak mu się zdawało,

groziło już rozerwaniem naczyń krwionośnych w jego twarzy. Pobierał smętne resztki godności i pomaszerał za naczelnikiem.

Gabinet ciągnął się na całą szerokość wieży wzdłuż osi północ-południe i był wręcz ascetycznie wyposażony: regał na książki, stare, dębowe biurko okryte szklaną taflą, trzy krzesła. Wentylator o drewnianych łopatach kręcił się leniwie pod sufitem, nad biurkiem. Na ścianie wisiał dyplom - Hobbes zrobił doktorat w Cornell. Dokładnie naprzeciwko drzwi, na drewnianym cokole, stało brązowe popiersie Jeremy'ego Benthama. O tym, że rzeźba przedstawia Benthama, Klein dowiedział się od Juliette Devlin; sam wzięłby go zapewne za kogoś z generałów Konfederacji czy kogoś w tym guście. Tylko że Hobbes, podobnie jak on, był Jankesem. Klein zamknął za sobą drzwi i stanął na baczność, patrząc wprost w lśniące oczy z brązu. Przyszło mu do głowy, że jego własne oczy wyglądają podobnie jak oczy Benthama.

Z głębi gabinetu dobiegł dudniący głos Hobbesa.

- Ostatni z mocarnych umysłów, które poświęciły się problemowi więziennictwa.

Klein poczuł lekki zawrót głowy. O kim Hobbes właściwie mówił? Na pewno nie o Doris Day. Klein skinął głową i odpowiedział:

- Słucham, panie naczelniku?

Hobbes skinął głową w stronę popiersia.

- Bentham.

- Ach tak, panie naczelniku. - Mózg Kleina nareszcie zaczął pracować. - Panoptycyzm - dodał, dokonawszy szybkich obliczeń.

Gęste brwi Hobbesa uniosły się o pół cala.

- Jestem pod wrażeniem. Wejdz, usiądź.

Hobbes wskazał na krzesło stojące naprzeciwko biurka. Klein podszedł bliżej i pod szkłem leżącym na blacie biurka zobaczył stary schemat architektoniczny gmachu więzienia i otaczających go murów. Na tle południowego okna twarz Hobbesa była pograżona w

cieniu i bez wątpienia był to celowy zabieg. Siadając, Klein spostrzegł zieloną tekturową teczkę, która leżała na biurku. Widniały na niej jego nazwisko i numer.

- Powiedz, co oznacza dla ciebie koncepcja panoptycyzmu? - spytał Hobbes.

Klein oderwał wzrok od teczki, która skrywała jego los. Poczuł, że znowu ma dziewiętnaście lat i próbuje sobie przypomnieć przebieg nerwu przeponowego na egzaminie u profesora anatomii.

- Bentham był przekonany, że nieustanne obserwowanie kogoś - a przynajmniej utrzymywanie tego człowieka w przekonaniu, że jest nieustannie obserwowany - może wpłynąć na pozytywną zmianę jego osobowości. Że zmusza go do refleksji nad własną duszą. Albo coś w tym guście.

- Coś w tym guście - powtórzył Hobbes. - Ale jakie jest twoje zdanie o tej teorii?

- Myślę, że wszystko zależy od tego, kto obserwuje i kto jest obserwowany - odparł Klein.

- Ileż w tym prawdy. - Hobbes pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem. - Nie wszyscy ludzie są w stanie skorzystać z nadzoru maszyny panoptycznej. Niektórzy nie potrafią znieść jej światła. A jeszcze trudniej jest im znieść światło wiedzy o sobie samych.

- Zmuszanie ludzi do dostrzegania prawdy o sobie bywa niebezpieczne - zauważył Klein.

- Jak to? - zainteresował się Hobbes.

Klein nie chciał go prowokować. Z drugiej strony jednak nie chciał też sprawić wrażenia, że próbuje lizać mu dupę, choćby dlatego, że Hobbes nie wyglądał na miłośnika takich pieszczot, ale, do diabła, los Kleina był już rozstrzygnięty. Skoro naczelnik zniósł Doris Day, to i odrobina Platona nie mogła zwalić go z nóg.

- Pamięta pan podziemną jaskinię w *Państwie* Platona? Sen Sokratesa?

- Siódma księga - odparł Hobbes, pochylając się nieco. Jego czoło wygładziło się nagle z podniecenia. Wyglądał, jakby wstrzymał oddech. - Do rzeczy.

Klein przełknął ślinę.

- Ludzie w jaskini są przykuci do skał, pogrzebani z dala od słonecznego światła. Ich głowy są unieruchomione; nie mogą zobaczyć niczego prócz cieni tańczących na ścianie, rzucanych przez blask ognia płonącego za nimi. Gotowi są zażarcie bronić własnej, mrocznej ignorancji. A Sokrates pyta: czy nie zabiliby człowieka, który spróbowałby ich uwolnić i poprowadzić do światła?

Hobbes odetchnął głęboko; prawie westchnął.

- A ty byś zabił? - spytał.

Klein przyglądał mu się przez długą chwilę.

- Nie wiem - orzekł wreszcie. - Kto zbyt długo patrzy w słońce, oślepnie.

- A jednak nikt nie sięgał wzrokiem dalej niż ślepy wieszczek Terezasz. Istnieją prawdy, które można poznać jedynie w mroku.

- Owszem, panie naczelniku. Możliwe, że na tym polega problem z pańską machiną panoptyczną.

Hobbes spojrział na niego spod uniesionych brwi.

- Z moją machiną?

Klein nie odpowiedział.

- Odważny z ciebie człowiek, Klein.

- Ja tylko chcę stąd wyjść i wrócić do podziwiania cieni tańczących na ścianie - odparł Klein.

- Człowiek taki jak ty musiał się tu sporo dowiedzieć o sobie samym.

- Człowiek taki jak ja? - Klein wzruszył ramionami. - Może dlatego cienie tam, za murami, wyglądają tak interesująco. Można udawać, że są czymś, czym w istocie nie są.

Hobbes nie zamierzał odpuścić mu tak łatwo.

- A kogo ty mógłbyś udawać?

Kurwa mać, pomyślał Klein.

- Nie chcę pana zwodzić, naczelniku. Jestem tylko jednym z wielu więźniów, którzy czekają na to, aż otworzą się przed nimi bramy więzienia.

- Unikasz mojego pytania.

- Nawet najdzielniejsi z nas - odparł Klein - rzadko mają dość odwagi, by powiedzieć całą prawdę.

Hobbes przewrócił oczami i przez sekundę Klein miał wrażenie, że naczelnik wstanie zza biurka, by go uściskać.

- *Virescit vulnere virtus* - rzekł Hobbes.

- Nie jestem dobry z łaciny - wyznał Klein.

- Zdaje się, że oznacza to: „Rany czynią silniejszym”.

Klein pomyślał o własnych ranach, ranach miłości, fałszywym zarzucie gwałtu, który sprowadził go do tego gabinetu. Czy naprawdę uczyniły go silniejszym, czy tylko bardziej gruboskórnym i cynicznym?

- Tylko wtedy, gdy i na początku ma się dość siły - odpowiedział.

Hobbes z powagą skinął głową.

- Być może, być może. A jednak należy podjąć ryzyko, w imię umocnienia ducha.

- Zapewne - zgodził się Klein. - Tylko jakie ryzyko, jakie rany?

- Sądzisz, że mamy wybór? - odparł Hobbes.

Na jego twarzy malowała się tęsknota, wręcz desperacja, która zdumiała Kleina. Przyszedł tu na pięciominutowe, rutynowe gówno à la Green River: albo na gadkę o kolejnym roku za murami w nadziei na resocjalizację, albo na ojcowskie poklepanie po plecach i solidny uścisk dłoni na drogę. Tymczasem oczy Hobbesa były czarną tonią, w której pływało coś nienazwanego i okropnego - jakby szaleństwo.

- Tylko czasem - odpowiedział Klein.

- Nawet człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym ma

wybór - stwierdził Hobbes. - Może paść na kolana i skomleć albo odmówić założenia opaski na oczy i śpiewać.

Hobbes mógł być właśnie takim człowiekiem. Klein czuł silną pokusę zbadania stanu umysłu naczelnika, jak Marlow umysłu Kurtza. Sklął się w duchu za to, że posunął się zbyt daleko. Hobbes miał w sobie coś hipnotycznego. Tylko że Klein przyszedł do niego jako skazany, który miał nadzieję na zwolnienie warunkowe. I ów skazany ostrzegł go teraz, że należy się wycofać.

- Tak jest, panie naczelniku - powiedział Klein. - Ma pan absolutną rację.

Hobbes wyczuł próbę ewakuacji. Mruknął dwukrotnie i na powrót usiadł na krześle. Wyglądał na poruszonego. Położył dłoń na kieszeni i zacisnął na czymś palce; Klein nie wiedział na czym. Jak gdyby cofając się do bezpiecznej kryjówki, Hobbes ruchem głowy wskazał na popiersie z brązu, stojące za Kleinem.

- Skąd tyle wiesz o Benthamie?

Klein zastanawiał się, czy warto udawać, że od urodzenia jest wyznawcą systemu filozoficznego Benthama, ale chyba było to zbyt niebezpieczne. Po tylu dziesięcioleciach spędzonych w systemie penitencjarnym Hobbes potrafił zwęszyć kłamcę z drugiego końca dziedzica.

- Od doktor Devlin - odparł Klein. - Wie pan, ona jest psychiatrą sądowym.

- Większość psychiatrów sądowych nie odróżnia Jeremy'ego Benthama od Jacka Benny'ego.

Klein nie uśmiechnął się.

- Doktor Devlin odróżnia, panie naczelniku.

Hobbes skinął głową, znowu spokojny.

- Nadzwyczajna kobieta. Kolegowałem się z jej ojcem. - Umilkł na chwilę, a po jego twarzy przebiegł cień. - Wiele lat temu. Wasza współpraca jest owocna?

- Doktor Devlin wysłała artykuł do „American Journal of Psychiatrii”.

- Przyjęli go?
- Doktor Devlin jeszcze nie mówiła.

Hobbes westchnął z cicha.

- Wiesz, Klein, że kiedy Bentham zmarł, kazał wypchać swoje zwłoki i umieścić w szklanej skrzyni? W Londynie. Zdaje się, że leży tam do dziś.

- Tak, panie naczelniku - odparł Klein. - I wszyscy mogą go oglądać. Na wieki.

Oczy Hobbesa otwarły się nieco szerzej i znów powróciło to spojrzenie, które wywołało ucisk niepokoju w żołądku Kleina. To spojrzenie miało głos i mówiło: „Zrozum mnie. Bądź blisko. Nie zostawiaj mnie tu samego”. Klein znał ten głos, bo słyszał go już wiele razy: od pacjentów, kobiet, współwięźniów, wszystkich ludzi w potrzebie. Także od byłej kochanki, która skazała go na to wszystko. „Ofiaruj mi więcej, niż masz do ofiarowania” - mówiły te głosy. A wewnętrzny głos Kleina wołał ile sił: „Spierdalaj stąd w podskokach, facet”. Pocieszeniem było motto Coleya: NIE MÓJ JEBANY INTE-RES.

- Doskonale - odparł Hobbes. - Doskonale. Ironia obecnego losu panoptycysty Benthama jakoś nigdy wcześniej do mnie nie dotarła. Dziękuję za to spostrzeżenie.

- To również zawdzięczam doktor Devlin.

Nie było to prawdą; myśl po prostu pojawiła się znienacka w głowie Kleina. Lecz jak mawiał Cletus, we własnym interesie bywał zbyt bystrym skurwysynem i wiedział, że należy odepchnąć Hobbesa, uciec z jego macek, rozpaczliwie wyciągniętych w jego stronę w poszukiwaniu zrozumienia. I tak już zbyt wielu ludzi uczepiło się go i wysysało krew. Zawsze tak było: pacjenci, kobiety, wszyscy potrzebujący. I była kochanka. A teraz Hobbes. Czy może to on, Ray Klein, także popadał w paranoję? Hobbes nagle ruchem wyjął rękę z kieszeni i postawił przed Kleinem buteleczkę z pigułkami.

- Mój lekarz mówi, że powinienem przyjmować ten lek trzy razy dziennie. Ja uważam, że jest głupcem. A ty?

Klein sięgnął po buteleczkę i przeczytał etykietę. Węglan litu, 400 mg. Poczuł nagle, że opuszczają go wszelkie uczucia. Jego umysł całkiem bez emocji zarejestrował fakt, iż Hobbes przyjmuje specyfik stosowany niemal wyłącznie w leczeniu depresji maniakalnej, Arnolda Schwarzeneggera zaburzeń psychicznych.

Kiedy tacy pacjenci wchodzili w fazę manii wielkości oraz wizjonerskiego odhamowania, często przestawali przyjmować leki i wydawało się, że Hobbes właśnie próbuje to zrobić. Słowo „maniak” było jednak używane zbyt często i w niewłaściwym kontekście. To, iż Hobbes stał się szczęśliwym posiadaczem małej, brązowej buteleczki, którą Klein trzymał teraz w dłoni, oznaczało jednak, że jest co najmniej kandydatem na maniaka. W przeciwieństwie do większości chorych, naczelnik posiadał ogromną władzę i mógł wpływać na życie bardzo wielu ludzi. Klein spojrział mu w oczy. O dziwo, czuł pełny spokój, po raz pierwszy od przekroczenia progu gabinetu. Teraz wszystko było jasne i proste: Hobbes nie był zwykłym świrem, ale autentycznie umysłowo chorym człowiekiem.

Naczelnik skinął głową w stronę buteleczki z pigułkami.

- Nie odpowiedziałeś mi.

Klein odstawił lek na szklaną taflę.

- Radzę wrócić do tego lekarza i zadać mu to samo pytanie.

Hobbes zmarszczył brwi.

- Ale na pańskim miejscu - ciągnął Klein - przede wszystkim zrobiłbym to, co uważałbym za konieczne.

Oczy Hobbesa zwilgotniały z emocji. Po chwili skinął głową.

- Mężczyzna, który postępuje inaczej, jest diabła wart - stwierdził.

Pochwycił buteleczkę z tabletkami i cisnął ją do aluminiowego kosza na śmieci, który stał pod jego biurkiem. Odgłos uderzenia był

dźwięczny, choć stłumiony. Gdy wybrzmiał, nastąpiła cisza. Klein spojrział znów na zieloną teczkę. Hobbes podążył za jego wzrokiem. Przyciągnął teczkę bliżej i otworzył ją.

- Komisja była pod wrażeniem twojego wystąpienia - oznajmił.

Klein nie odpowiedział. Hobbes zaczął przeglądać jego akta.

- Jak wiesz, są kretynami. Wyuczony na pamięć werset z Nowego Testamentu, najlepiej taki, który znają, z reguły wystarcza, żeby zdać u nich egzamin. Jezus to chodliwy towar. I dlatego nie odniosłeś sukcesu w zeszłym roku.

Niewłaściwe nastawienie mentalne.

- Co takiego, panie naczelniku? - spytał Klein.

- Upór - wyjaśnił Hobbes.

- Z całym szacunkiem, panie naczelniku, jestem elastyczny - wystarczająco elastyczny, żeby przyswoić sobie obowiązujące tu zasady.

- W rzeczy samej. Powiedzmy, że twój sukces budzi moje uznanie. Jednakże każdy kij ma dwa końce, nieprawdaż?

- Tak jest, panie naczelniku.

Hobbes spojrział na akta.

- Jesteś na przykład medykiem; wszystko wskazuje na to, że dobrym. Wielu więźniów woli płacić za opiekę medyczną tobie, niż otrzymywać ją za darmo od doktora Bahra - i nie winię ich za to. Ale spróbujmy na przykład zestawić ten fakt choćby z przypadkiem lobotomii Myrona Pinkleya.

Klein miał nadzieję, że udało mu się zachować pokerową twarz.

- Rozumiesz, co mam na myśli? - upewnił się Hobbes.

- Jeżeli to, czy jestem świadom dwoistości ludzkiej natury, to tak, panie naczelniku.

Na ułamek sekundy umysł Kleina ogarnęła wściekłość: wściekłe pragnienie poznania prawdy, wściekłość na Hobbesa, który tak ku-rewsko z nim pogrywał, wściekłość na samego siebie za nadzieję, za

to, że tu był, że oddychał i że był zbyt szczwanym skurwysynem, by pochylić się teraz nad biurkiem i urwać Hobbesowi ten jego pieprzony łeb. Wściekłość zdawała się wrzeszczeć: ZATRZYMAJ SOBIE TĘ JEBANĄ WOLNOŚĆ, FACET, NIE JEST MI, KURWA, POTRZEBNA, BO NIGDY NIE BYŁA MOJA. Głos sprzeciwu odpowiedział zaś: Ależ właśnie dlatego jej pragniesz, dupku, bo należy do nich, a ty jej potrzebujesz, a także dlatego, że nigdy nie była twoja. I nadal nie jest, bez względu na to, czy zwolnią cię warunkowo, czy nie.

Lecz wściekłość umilkła tak szybko, jak pojawiła się w głowie Kleina, która teraz na powrót stała się pusta i chłodna. Wzdrygnął się, czując podmuch powietrza z podsufitowego wentylatora. Jego koszula wciąż była mokra. Hobbes z trzaskiem zamknął zieloną teczkę.

- Jesteś wolny, Klein - powiedział.

Klein siedział nieruchomo, wpatrując się w niego. Nie odpowiedział.

- Komisja przychyliła się do mojej rekomendacji. Jutro w południe zostaniesz przekazany kuratorowi.

Hobbes wstał i wyciągnął rękę. Klein również się podniósł i uściśnął ją.

- Dziękuję, panie naczelniku.

- Możesz nawet się uśmiechnąć, Klein.

- Tak jest, panie naczelniku.

Ale Klein nie uśmiechnął się. Wciąż miał w głowie pustkę. Jakimś sposobem wiedział, że jeśli pozwoli, by się zapełniła, to zapełni się nie radością, ale straszliwym poczuciem straty - i bał się tego. Trzymaj się jej, powtarzał sobie w duchu, dopóki nie znajdziesz się w bezpiecznym miejscu. Wypuścił dłoń Hobbesa.

- Osiemdziesiąt dziewięć procent więźniów tej instytucji

powraca za kratki - rzekł Hobbes. - Nie bądź jednym z nich, Klein.

- Nie będę.
- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Klein zawahał się. Musiał jedynie - jedynie! - stąd wyjść i ze spuszczoną głową przetrwać najbliższe dwadzieścia cztery godziny, a potem mógł pojechać nad Galveston Bay, żeby popływać. Myśl o tym, że będzie brodził w wodzie, że poczuje na skórze jej chłodny dotyk, sprawiała, że panicznie się bał - zwłaszcza w tym momencie - wzbudzić w Hobbesie furię. Pamiętał dobrze, co mówił Cletus: póki nie wyjdzie za bramę, jego dupsko należy do nich.

- Nie bój się, mów otwarcie - zachęcił Hobbes.

Klein spojrział na niego.

- Wygląda na to, że Coley nie będzie w stanie samotnie prowadzić infirmerii.

- Doktor Devlin wspominała mi o tym kilkakrotnie. Sytuacja się zmieni.

Klein nie mógł się powstrzymać.

- Z całym szacunkiem, panie naczelniku, to miejsce jest hańbą dla nas wszystkich.

Hobbes wyprostował ramiona.

- Więzienny szpital jest hańbą i dla mnie, doktorze Klein - rzekł oficjalnie. Szaleństwo w jego oczach nabrało ognia. - Pańskie skargi, jeśli nie moje, zostały odnotowane. Zapewniam, że podjęto już działania, które kwestię warunków w szpitalu zupełnie unieważnią.

Klein zastanawiał się, co to ma, do kurwy nędzy, oznaczać. Ta myśl musiała jakoś znaleźć odbicie w jego twarzy, bo Hobbes opamiętał się w jednej chwili i tylko jego głos drżał z emocji.

- Masz moje słowo, Klein, że - Hobbes przez moment szukał właściwego słowa - ulepszenia zostaną wkrótce wprowadzone. Nie tylko w szpitalu, ale i w całym więzieniu.

Klein oparł się pokusie, by cofnąć się o krok. Skinął tylko głową.

- Miło mi to słyszeć, panie naczelniku.

- Zatem ciesz się, że nie będzie cię tutaj i nie zobaczysz tego na własne oczy.

Z tymi słowami Hobbes odwrócił się i odszedł w stronę północnego okna. Stał plecami do Kleina i zapatrzył się na daleki kraniec dziedzińca, na ponury megalit bloków więziennych. Jego dłonie drżały, gdy zaciskał je na krawędzi podokiennika. Wydawało się, że jego ciało z trudem panuje nad skompresowaną, niezmierną siłą.

Klein obserwował go, nie do końca pewny, czy powinien już odejść. Nagle zaczął się bać nie tylko o siebie. Trudno było określić rzeczywiste rozmiary choroby Hobbesa, ale jego zachowanie sugerowało, że już nastąpił wyciek z psychicznej puszką Pandory, której wieko naczelnik ze wszystkich sił starał się domknąć. Jakże to „działania” już podjęto? Czy wypada o nie spytać? A może podejść bliżej i położyć rękę na jego ramieniu? Nie mój jebany interes, pomyślał Klein, ale wbrew sobie ruszył cicho w stronę Hobbesa.

- Powodzenia, Klein - rzekł naczelnik, nie odwracając się. Klein zatrzymał się. - I dziękuję za tę rozmowę.

W głosie Hobbesa było coś ostatecznego, jakby sygnalizował zakończenie czegoś więcej niż tylko rozmowy.

Klein zwlekał. Gdyby Hobbes się odwrócił i spojrział na niego, może coś by się wydarzyło. Ale nie zrobił tego.

- Powodzenia, panie naczelniku - odparł Klein.

Hobbes, wciąż spoglądając przez okno na swoje więzienie, dwukrotnie wolno skinął głową.

Ray Klein oddalił się cicho w kierunku drzwi, otworzył je i bez słowa wyszedł z gabinetu naczelnika.

ROZDZIAŁ 9

Tony Shockner zabłądził. Wiedział, że pod wielkimi podziemnymi magazynami kryje się istna dżungla, ale Jezu! Teraz, gdy kluczył po jej zakamarkach od dwudziestu minut, labirynt po prostu zwał go z nóg swym ogromem.

Dennis Terry, stary i zgarbiony szef Konserwatori, który kroczył przed Shocknerem, twierdził, że jeśli dodać tunele ściekowe, to większe są podziemia więzienia niż jego część naziemna. Tu, w ukrytych, dusznych zakątkach, jedni więźniowie pędzili bimber z ziemniaków i produkowali wino z soku pomarańczowego i chleba, drudzy spotykali się grupkami, by za pomocą zaostrego aplikatora od kropel do oczu brać smack i kokainę, inni - więzienne dziwki - obciągali lub dawali dupy za karton lucky strike'ów albo batoników Hershey, a jeszcze inni odwiedzali to miejsce pod przymusem - potulnie lub stawiając opór - by stać się ofiarą zbiorowych gwałtów. Dennis Terry znał tę dżungłę na wylot - zapewne jako jedyny. W każdym razie żaden z klawiszy nie miał o niej bladego pojęcia. Shockner szedł za Terryem wytrwale, mijając kolejne ostre zakręty i ciągnąc za sobą parę zbiorników z gazem - tlenem i acetylenem - na dwukołowym wózku. Na ramieniu dźwigał zwinięty wąż, podłączony z jednej strony do głowic butli, a z drugiej do palnika. Terry niósł jedynie latarkę, pas z narzędziami oraz gogle, które zsunął na szyję. Poruszał się zbyt szybko i Shockner co jakiś czas prosił go, by zwolnił.

Wąż z palnikiem nieustannie ześlizgiwał mu się z ramienia, a praktycznie całe ubranie przesiąkło potem i lepiło się do jego ciała.

- Daleko jeszcze? - spytał. Terry nie usłyszał. - Dennis!

Daleko jeszcze? - zawołał Shockner.

- Jeszcze ze trzydzieści metrów, a potem schody - odkrzyknął przez ramię Terry.

- Schody? Jezu, jakie schody?

Stary nie odpowiedział. Jego podziemne królestwo było mrocznym, brudnym, oślizłym i pordzewiałym gąszczem pojękujących ze starości kanałów i syczących rur. Shockner czuł się tu jak w filmie *Obcy - decydujące starcie*. Było strasznie. Dlaczego Agry nie wysłał tu, kurwa, kogoś innego? Bo był paranoikiem. Nie ufał Terry'emu, a przy tym wciągał za dużo speedu. Shockner huknął łokciem o rurę, która skręcała w tym miejscu pod kątem prostym i znikła pod ziemią. Zaklął głośno. Rura o takiej średnicy oznaczała, że całe to gówno sięga jeszcze głębiej. Chryste. Shockner wiedział, że nie należy do praktycznych ludzi; mechanika śmiertelnie go nudziła. Nienawdził zmieniania oleju we własnym samochodzie, a co dopiero mówić o tym podziemnym gównie. W niektórych miejscach strop był obniżony o całą stopę, bo wisiały pod nim zawory, wskaźniki, aluminiowe pudła łączące przewody klimatyzacyjne oraz rdzewiejące belki. Nawet Terry musiał się uchylać, by nie rozwalić czaszki, a przecież był o sześć cali niższy od Shocknera. Było bardzo głośno: szumiały wentylatory, warczały ich silniki, a lepkie powietrze z hukiem prze-walało się w tę i z powrotem we wnętrzu blaszanych rur. Cała ta maszyna miała na dodatek dobrych sto lat; grzechotała, łomotała i trzęsła się, jakby lada chwila miała się rozlecieć. Agry mówił, że była to najbezpieczniejsza część operacji, ale Shockner jakoś nie podzielał jego zdania. Dokuczała mu klaustrofobia. Zdecydowanie lepiej by się czuł, gdyby walczył z kimś na gwoździe i słój preparatu do czyszczenia kuchenek.

Terry przystanął.

- To tu - powiedział.

Na końcu krótkiego korytarza prowadzącego w lewo znajdowały się ciężkie, dębowe drzwi. Terry wyjął z uchwytu na pasie jedno z narzędzi, podszedł do drzwi i jak wytrychem otworzył nim zamek. Ujrzeni wąskie, kamienne - stopnie wiodące na górę. W przeciwieństwie do większości więziennych schodów, te były czyste i miały ostre, niestarte krawędzie. Chodziło po nich niewiele stóp.

- Będiesz musiał mi pomóc - zapowiedział Shockner.

- Jasne - odparł Terry bez entuzjazmu.

Wcisnął latarkę za pas, wziął do ręki palnik i dźwignął przednią część wózka. Shockner złapał za koła, biorąc na siebie większość ciężaru butli. Razem zaczęli wspinaczkę po stopniach. Shockner objął się ramionami i biodrami o ściany wąskiej klatki schodowej. Na górze napotkali kolejne drzwi, tym razem obite stalą. Zamek był nowoczesny i wyglądał całkiem poważnie. Terry nawet nie próbował go otworzyć.

- Ano tak - mruknął. Wydawał się mocno znużony.

Shockner postawił wózek na jednym ze stopni. Terry zdjął palnik z ramienia i podał mu latarkę.

- Trzymaj - polecił.

Przez chwilę majstrował przy zaworach butli, a potem z dyszy palnika z sykiem zaczął umykać gaz. Terry wyjął z kieszeni zapalniczkę Zippo i podpalił strumień gazu. Natychmiast pojawił się luźny, łopocący płomień długości dobrych dwunastu cali. Terry pokręcił śrubą regulacyjną i płomień stał się zwarty, łopot zaś zmienił się w głośny ryk sprężonego gazu. Naciągnął gogle na oczy.

- Lepiej odwróć głowę - powiedział.

- A mogę zapalić? - spytał Shockner.

- Czemu nie - odparł Terry.

Shockner przysiadł na schodach, w mglistym blasku tlenowo-

acetylenowego płomienia, i zapalił winstona. Ostra woń topionej stali ulatywała w dół, wciągana strumieniem powietrza płynącym głównym tunelem. Shockner zastanawiał się, jakim cudem Nev Agry zdołał zebrać aż tylu ludzi, by dokonać czegoś tak szalonego. A może jednak nie tak wielu? Pewnie mniej niż dziesięciu, przy czym jedynie on, Agry, miał w głowie cały plan. Pozostałym zdradził tylko tyle, ile wymagała ich rola: rola podpałki. To oni mieli sprawić, że płomień rebelii ogarnie setki innych więźniów. Możliwe, że spośród tej dziesiątki tylko Shockner i Terry mogli od biedy twierdzić, że są przy zdrowych zmysłach. A może całe to przedsięwzięcie wcale nie było szaleństwem? W końcu w wolnym świecie wystarczyło, by jakiś prezydent czy generał poczuł pchłę w uchu, a już milion facetów gotowych było lecieć z jednego krańca ziemi na jakąś cholerną pustynię, by roznieść na strzępy zastępy podobnie napalonych gości. Odgłos pracującego palnika umilkł nagle i w jednej chwili Shockner stwierdził, że nie widzi niczego poza koniuszkiem swego papierosa.

- Wchodzimy - powiedział Terry.

Shockner rzucił niedopałek, przydepnął go i w całkowitej ciemności pokonał ostatnich kilka stopni. Terry pchnął ramieniem drzwi i razem wkroczyli w czarną przestrzeń. Shockner oddał mu latarkę, za jej pomocą odnalazł włącznik światła i przekręcił go. Pomieszczenie było puste, a liczyło może dwa i pół na trzy metry. Na ścianach wisiały rzędy okazałych skrzynek z bezpiecznikami, a kable łączyły je ze stalowym pudłem sterczącym z sufitu na dwadzieścia centymetrów. W dolnej ścianie pudła widać było klapę.

- Jesteśmy dokładnie pod piwnicą wieży strażniczej - rzekł Terry.

Shockner skinął głową. Terry wskazał palcem stalowe pudło.

- To maleństwo kryje mnóstwo gówna: wszystkie linie telefoniczne i elektryczne, kable systemów alarmowych i nadzoru wideo. Wychodzą stąd i biegną pod skrzydłem ogólnego przeznaczenia aż

do portierni. Będę musiał usiąść ci na ramionach. Wytrzymasz?

- Pewnie.

Terry spojrzął na zegarek.

- Mamy trzydzieści minut. Kiedy otworzymy, wykrywacze dymu włączą alarm przeciwpożarowy, ale nic poza tym. Daj zapalić.

Shockner podał mu winstona. Terry urwał filtr i przez chwilę stali w milczeniu, paląc. Terry strząsał popiół o wiele częściej, niż było to konieczne.

- Uważasz, że to kiepski pomysł, prawda? - zagadnął go Shockner.

Terry zaśmiał się gorzko, spoglądając na końcówkę papierosa.

- Mów szczerze, co ci na wątrobie leży - dorzucił Shockner.

- Nev uważa, że trzeba to zrobić.

- To nie znaczy, że nie możesz mieć własnego zdania.

Terry wciąż wpatrywał się w rosnący słupek popiołu.

- Jakies dziewięć lat temu - rzekł wreszcie - miałem stanąć przed komisją zwolnień warunkowych. Długo się zastanawiałem, jak to będzie, żyć sobie na wolności. I wyszło na to, że jeśli mi się poszczęści, może będę układał towar na półkach w jakimś sklepie albo nosił papierową czapkę w McDonalddie, gdzie jakiś portorykański gówniarz będzie mi mówił, ile kawałków ogórka mam wsadzić do cheeseburgera. A jeśli trafi mi się wyjątkowy fart, może znajdę sobie kobietę, wystarczająco samotną, by związać się z byłym skazańcem. Może kupię używany samochód. Będę wycinał z gazety kupony na zniżkę wysokości siedemdziesięciu pięciu centów. Znajdę dwa pokoje z pustą lodówką, gdzieś po meksykańskiej stronie Laredo.

Terry uniósł głowę i spojrzął na Shocknera. W jego oczach widać było ból i strach.

- Tutaj mam pod sobą dwustu ludzi. Naczelnik pyta mnie o radę. - Terry skinął głową w stronę stalowego pudła pod sufitem. - To ja mu powiedziałem, gdzie umieścić to gówno. Dobrze jadam. Dobrze żyję. Z Agrym, DuBois, Nevem i Larrym gadam jak równy z równym. Proszą mnie o przysługi. - Umilkł na chwilę, a potem w jego głosie pojawił się gniew. - Więc powiedziałem szanownej komisji, żeby się pierdoliła.

Terry zaciągnął się tak głęboko, że żar dosięgnął opuszków jego palców, po czym upuścił papierosa na posadzkę i pochylił głowę, rozdeptyując go starannie.

- Nev mówi, że za coś takiego należy się pięć lat - dodał. - Nie będzie żadnych pięciu lat. On rozniesie tę budę i nas na dokładkę. A ja ją kocham. Rozumiesz to?

Na twarzy Terry'ego malowała się teraz rozpacz.

- Nie mogę zacząć od nowa gdzieś indziej, Tony. Dla mnie to już koniec drogi. Ja jestem tym pieprzonym więzieniem. Jeśli przeniosą mnie do Huntsville, przez resztę życia będę szorował podłogi i błagał o winstona takich facetów jak ty.

- Dostrzegasz wyłącznie złe strony, Dennis - odparł Shockner, ale gdy tylko zamknął usta, dotarło do niego, jak idiotycznie zabrzmiały te słowa. Terry nawet nie zwrócił na nie uwagi.

- To twoja pierwsza odsiadka, prawda?

Shockner skinął głową. Terry też, tylko bardziej posępnie. Shockner po raz pierwszy poczuł coś na kształt strachu. Terry znowu spojrzał na zegarek.

- Wiesz, możemy tu przesiedzieć całą imprezę. Ty i ja.

Shockner nie mógł wytrzymać jego błagalnego spojrzenia. Odwrócił się.

- Czarnuchy załatwiły DuBois. Nev mówi, że nie możemy tego puścić płazem. Jak dotąd nigdy się nie mylił.

- A kogo, kurwa, obchodzi, kto załatwił DuBois? Możemy tu

siedzieć całymi dniami - powiedział błagalnie Terry. - Znam kryjówki, mam skrytki. Jedzenie, wideo, prochy, wszystko, czego sobie zażyczysz. Nev wybiera się prosto do Huntsville; spędzi resztę życia w izolatce albo dostanie czapę. A my możemy wyleźć na górę, kiedy będzie po wszystkim, kiedy ten rąbnięty skurwiel będzie martwy albo przeniesiony.

Shockner był w rozterce. I nagle w jego pamięci rozbrzmiał głos Agry'ego. Zawsze, kurwa, wierni, Tony. Agry zawsze go dobrze traktował, jak bardzo niewielu ludzi. Jeżeli Shockner kiedykolwiek miał ojca, to był nim właśnie Nev Agry. Był nawet kimś więcej niż ojcem. Przyjacielem. *Semper, kurwa, fidelis*. Shockner spojrzał na Terry'ego. To, co starzec dostrzegł w jego twarzy, sprawiło, że poblekł.

- Wystarczy, Dennis - powiedział Shockner. Odwrócił się i podszedł do drzwi. - Zawołaj, kiedy przyjdzie czas.

Zszedł po kilku stopniach i usiadł. Zapalił kolejnego winstona. Zdawało mu się, że gdzieś zza jego pleców, ponad łoskotem wentylatorów i rur, dobiega płacz Terry'ego.

ROZDZIAŁ 10

Klein minął funkcjonariusza Sunga i wszedł w ponury kremowobiały korytarz, który prowadził do sali chorych. W głowie mu się kręciło. Nazajutrz miał wyjść. Wyjść. To, co Coley nazywał ekspresem Pea Vine Special, nareszcie zatrzymało się na jego stacji, a on, Klein, miał bilet. Jeśli jednak wizja wolności przyniosła mu jakąkolwiek radość, to zdusiły ją bardzo złe przecucia. Gdy Klein wychodził z wieży zarządu, kapitan Cletus zawołał za nim:

- Tylko patrz pod nogi, Klein. Masz jeszcze dużo czasu, żeby coś spierdolić.

Cletus należał do ludzi, którzy nie potrafili życzyć własnej babci wszystkiego najlepszego z okazji dziewięćdziesiątych urodzin, nie dodając przy tym, że jeszcze ma czas, żeby coś spierdolić. A jednak Klein wyczuwał, że lada chwila gównu epickich rozmiarów trafi w wielki wentylator historii tego przybytku i on sam znajdzie się w samym centrum strefy rozbryzgu. Nerwowo szukał w pamięci jakichkolwiek dowodów na wytłumaczenie tej nagłej paranoi. Nie znalazł żadnego. Henry Abbott wyczuwał wibracje i kazał mu trzymać się z daleka od Neva Agry'ego. Tyle że Abbott nie był satelitą meteorologicznym Stanów Zjednoczonych. Poza tym Hobbes ujawnił, że jest prawdziwym maniakiem, i wspomniał coś o „ulepszeniach”. To wszystko. Zero przesłanek. Absolutne zero. Klein miał wrażenie, że jest bardziej stuknięty niż Hobbes i Abbott. „Nawet

najdzielniejszy z nas”. Jezu! Co mu strzeliło do łba, żeby wyjechać z takim tekstem? A jednak się udało. Ale teraz trzeba się skupić na innych sprawach. Weź się w garść, Klein.

Nagle jego umysł zaskoczył. Dostrzegł oczywistą prawdę: srał ze strachu na samą myśl o powrocie do normalnego świata i podświadomie przenosił ten lęk na majaczenia wariatów. Strach przed wolnością wydawał mu się niegodny, więc próbował chronić własną dumę. Bał się przyszłości, nie Cletusa czy Hobbesa.

I była jeszcze ta Devlin. Tam, na zewnątrz, gdzie i on wkrótce miał się znaleźć. Co z nią zrobić? Czy w ogóle dałoby się coś z nią zrobić? I czy on, Klein, naprawdę tego chce? A ona? Czy jego kutas jest wystarczająco duży? Czy w ogóle zadziała? Czy Devlin lubi oral? Nie wiedział nawet, czy ma jakiegoś kochanka. Nigdy nie pytał. Równie dobrze mogła być radykalną lesbą. Z drugiej strony przepadała za sportem; była jedyną znaną mu kobietą, która miała własnego bukmachera i znała się na obstawianiu. O ile wiedział, słabość do hazardowego obstawiania wyników meczów golfowych, koszykarskich i bokserskich nie była typową cechą lesbijek. Ale z kolei sam Klein nie był zbyt dobry w sporcie. W szkole średniej nigdy nie dostał się do żadnej drużyny, a jego najwyraźniejszym wspomnieniem z tamtych czasów były biegi wokół stadionu, kiedy to zataczał się ze zmęczenia, a trener z wielkim, piwnym brzuchem ryczał: „Ci dranie z Wietkongu dobiorą się wam do dupy!” Nie udało mu się wyróżnić w sporcie, tak naprawdę wszelkie próby kończyły się nieodmiennie sromotną klęską, więc może głównie z tego powodu później gorliwie oddawał się cokolwiek ekscentrycznej sztuce karate. Lecz karate nie było sportem. Wiedział, że wszyscy ci futboliści z ogólniaka mieli teraz piwne kałduny, gromady piszczących dzieci oraz żony, których już nawet nie chciało im się pieprzyć. Łajdaki. A on, potężny Klein, wojownik shotokan, stworzony był do większych rzeczy. I stał się zasługującym na pogardę skazańcem.

Niby co, kurwa, zastanawiał się, Devlin miałaby dostrzec w takim głupcu? W drobnym frajerze skazanym za gwałt? Może i było to upokarzające podejrzenie, ale i prawdziwe: naprawdę bał się wolności. Po raz pierwszy od porzucenia nałogu Klein miał przemożną chęć sięgnąć po papierosa.

Korytarz przed nim wypełniła zwałista postać Earla Coleya, który szedł w stronę schodów, niosąc w ramionach stertę prześcieradeł i poszewek na poduszki.

- Devlin czeka na ciebie w gabinecie - rzekł Coley, spoglądając na niego ponuro.

- Nie wiedziałem, że ma dzisiaj przyjść - odparł Klein.

- Niespodzianka. Mówiła, że chce ci pokazać coś ciekawego. Pewnie cipę. Coś czuję, że suka jest w rui.

Słowa Coleya zabolowały. Klein zauważył, że zawsze gdy Devlin odwiedzała szpital, Coley stawał się bardziej brutalny niż zwykle. Nigdy jednak nie pytał go o powód. Może i powinien był to zrobić, ale wiedział, że Devlin przypomina Coleyowi o tym, kim on, Klein, naprawdę jest - białasem z przeszłością - i co sobą reprezentuje. Tego dnia przyszłość się ziściła i Coley umiał to wyczytać z jego twarzy.

Gdy Klein zaczął u niego pracować, Coley powiedział mu, by nigdy nie zawierał przyjaźni z nikim z River. Przyjaźń była luksusem, a luksus oznaczał ból, bo prędzej czy później ktoś ją rozbijał. I właśnie ten ból widać było teraz w jego żółtych ślepiach. Coley minął Kleina i zaczął wspinać się po schodach.

- Żaba? - zawołał za nim Klein.

Coley zatrzymał się, ale nie odwrócił. Klein zawahał się. Czuł się tak, jakby wbijał nóż w te szerokie, przygarbione plecy, które górowały nad nim na schodach. Przełknął ślinę.

- Wypuszczają mnie - powiedział. - Jutro w południe.

Coley trwał w bezruchu, tylko jego wielkie ramiona uniosły się nieco, zeszywniały, a potem opadły.

- Nie spodziewaj się gratulacji - odrzekł.

Nastała chwila ciszy, a potem Coley spojrzął za siebie przez ramię i dodał drżącym głosem:

- Kiedyś faceci płacili mi za przywilej pracy. Łatwo się żyło. A teraz muszę dać dwie dziesiątki valium, żeby ktoś raczył umyć pieprzoną podłogę.

- Ja też ci płaciłem, Żaba - odparł Klein.

Coley mrugnął ciężkimi powiekami i pokręcił głową.

- Możliwe, że za dużo.

Klein czuł ból w piersi. Chciał mu powiedzieć wprost, głośno, o wszystkim, co przychodziło mu do głowy i o czym nigdy nie wspominał. Jesteś wybitnym lekarzem, facet. Czczę grunt, po którym, kurwa, stąpasz. Jesteś wyjątkowym gościem. Wybitnym uzdrowicielem. Wybitnym przyjacielem. Przykro mi, że nie możesz iść ze mną, ale nic na to nie poradzę. Żałuję też, że jesteś, kurwa, moim przyjacielem, ale i tego nie zmienię. I nie zmieniłbym, nawet gdybym mógł. Nie zmieniłbym, nawet gdybyś tego chciał. Słyszysz mnie, tłusty skurwielu? Słowa, które rozbrzmiewały tak głośno w jego głowie, wciąż tkwiły gdzieś głęboko w jego piersi. Poczul się głupio.

- Przyjdę za dziesięć minut - powiedział.

Coley mruknął coś i zniknął za zakrętem schodów.

Klein huknął pięścią w ścianę. Przeklęte miejsce. I my wszyscy razem z nim. Odepchnął się od muru i pomaszerował w stronę gabinetu. Kurwa mać. Nareszcie wychodził z pudła. Łatwiej było znieść gniew niż ból. I wykorzystać go. Bo dlaczego nie? Dwadzieścia cztery godziny i wszystko to będzie tylko złym wspomnieniem. Wszyscy ci ludzie, z Coleym włącznie, staną się jednym z wielu głupich, daremnych żalów. Umysł Kleina przepelniały teraz gorycz i wyrzuty sumienia. Pchnął mocno drzwi gabinetu i zobaczył Juliette Devlin.

W duchu cofnął się o krok.

Stała przy biurku, plecami do niego, pochylona, wsparta na łokciach, z wypiętymi biodrami, i czytała pismo neurologiczne. Między jej palcami dymił winston light. Klein przypomniał sobie, że podziwia kobiety, które palą. Była to skaza na doskonałości danej im przez Boga, która z lekka poprawiała mu humor, gdy myślał o własnych wadach, licznych i monstualnych. W przypadku Devlin skaza ta miała decydujące znaczenie, całą bowiem resztę jej jestestwa uważał za w pełni doskonałą. Była diabelnie wysoka i miała niekończące się nogi, które dla Kleina były jeszcze większym atutem niż palenie winstonów. Miała też niewielkie, chyba jędrne piersi, a przynajmniej taką miał nadzieję, bo nigdy nie widział ich w pełnej krasie. Ale najlepsza była jej pełna, muskularna dupcia oraz kilkucentymetrowy prześwit między górnymi częściami ud, którego widok raził go teraz jak słońce, a w trzewiach budził przemożne pragnienie zapadnięcia się pod ziemię. Na dokładkę Devlin miała umysł wielkości planety. Klein doceniał i to, choć w żaden sposób nie zakłócało to bardziej pierwotnych emocji. Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć: długa szyja, ostre rysy twarzy i brązowe oczy, które nie stchórzyły, gdy napotkały jego wzrok. Krótkie włosy nadające jej wygląd młodej, zbuntowanej punkowcy były ostatnim z piętnastocentymetrowych gwoździ przebijających dłoń i stopy nieopanowanego, nieodwzajemnionego pożądania, które trawiło Kleina.

Gwałtowny przybór bodźców wywołał natychmiastową reakcję w układzie nerwowym Kleina, lecz już w następnej chwili - mocą odruchu wykształconego drogą żmudnego treningu w sztuce przetrwania - nieopanowane pożądanie zostało stłamszone i zawleczone (choć stawiało dziki opór) do doskonale wytłumionej celi w głębinach podświadomości.

Na widok jego miny Devlin wyprostowała się i odwróciła.

- Co się stało? - spytała.

Klein błyskawicznie włączył cenzurę myśli. Na tym polegał kolejny jego problem z kobietami: bał się, że jeśli tylko zorientują się, co się dzieje w jego głowie, uciekną w popłochu i wezwą policję. Dla niego nie brzmiało to jak żart. Był świadom, że przynajmniej w tym konkretnym przypadku obawa ta jest cokolwiek absurda, bo Devlin od samego początku przekonująco odgrywała rolę twardej sztuki, która widziała już wszystko, co najgorsze na tym świecie. Mimo to stare nawyki miały swoją moc.

- Coley ma kiepski dzień - odparł.
- Przeżyje - stwierdziła Devlin.

Jej odpowiedź zirytowała Kleina. Możliwe, że dotarła nawet do wytłumionej celi.

- Przeżyje? - powtórzył. - Wszyscy przeżyjemy, ale tylko do czasu. Ważne, żeby mieć po co żyć.

- A dlaczego ty chcesz przeżyć? - spytała Devlin, przyglądając mu się.

- Nie wiem. Może dlatego i ja mam dziś kiepski dzień.

Na twarzy Devlin pojawił się cień strachu.

- Komisja odrzuciła twój wniosek o zwolnienie warunkowe?

Klein nie wiedział, że słyszała o przesłuchaniu. Coley musiał jej powiedzieć.

- Nie - odrzekł. - Mogę wyjść jutro. W południe.

Devlin uśmiechnęła się szeroko.

- To wspaniale. Prawda?

Klein był zły na siebie; wyglądało na to, że Devlin cieszy się bardziej niż on sam. Bez sensu.

- Owszem - przyznał.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że idziesz na przesłuchanie?

Klein wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że to nie twoja sprawa.

Policzki Devlin nabrały rumieńców.

- To znaczy, chciałem zachować to dla siebie.

- Ale dlaczego?

Nie zastanawiał się nad tym wcześniej, ale teraz już wiedział.

- Dlatego, że gdybyś życzyła mi powodzenia, trzymała kciuki i tak dalej, a oni by odmówili, musiałbym udawać, że znaczyło to dla mnie znacznie mniej niż w rzeczywistości.

Zastanawiała się przez chwilę nad sensem jego słów.

- Gówno prawda - zawyrokowała.
- Może i tak.

Devlin wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń, z dymiącym papierosem między palcami.

- Mogłam napisać do komisji. Mogłam pomóc.
- Wiem - odparł.

Dokładnie takiej sceny uniknął, nie mówiąc jej tydzień wcześniej o przesłuchaniu.

- Nie chciałem twojej pomocy.

Policzki Devlin zarumieniły się po raz drugi. Posłała Kleinowi przeciągłe, twarde spojrzenie, a potem zaciągnęła się dymem. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że widok jej wysokich kości policzkowych i ssących warg w połączeniu z owym twardym spojrzeniem przyprawił go o natychmiastowy i absolutnie niekontrolowany wzród. Devlin wydmuchnęła obłok dymu.

- Wiesz, Klein - powiedziała - czasami wydaje mi się, że jesteś po części porządnym facetem.

A zatem ją wkurzył. W zasadzie mógł już przestać martwić się tym, co będzie, gdy spotkają się poza murami więzienia. Musiał spędzić trochę czasu w samotności, a ona pewnie w ciągu tygodnia i tak zgniotłaby mu jaja swoim marudzeniem. Zaraz jednak pomyślał, jak przyjemnie byłoby mieć jaja zgniecione przez kogoś takiego.

Devlin zachowała pełny spokój. Zgasiła papierosa w popielniczce i dodała:

- Jesteś inteligentny, oddany pracy, a nawet czasem mnie

rozśmieszasz, co w tych warunkach jest nie lada osiągnięciem.

- Jezu, dzięki, panno Devlin - odparł ironicznie Klein.

Devlin nie uśmiechnęła się, tylko podeszła do niego. Z pewnym wysiłkiem zdołał nie ustąpić jej pola.

- Czasami nawet miałam ochotę ci obciągnąć - powiedziała.

Klein doświadczył przejściowego zaburzenia wzroku. Zatrzepotał powiekami, błagając własne nogi, by nie ugięły się pod nim do końca. Ułożył drżące mięśnie twarzy w coś, co - miał nadzieję - przypominało minę faceta, który za absolutną normę przyjmuje fakt, iż piękne kobiety mają ochotę mu obciągnąć. Devlin zatrzymała się tuż przed nim.

- Ale zazwyczaj - kontynuowała - wydaje mi się, że jesteś dupkiem.

Zatoczyła w powietrzu koło palcem wskazującym i kciukiem, trzymając dłoń na wysokości jego twarzy.

- Wielkim dupkiem.

Klein czekał, aż jego usta zaskoczą ją celną ripostą. Bo przecież musiała istnieć jakaś odpowiedź na te słowa. Tylko że te jej oczy hipnotyzowały go, odbierały mowę, unieruchamiały. Cześć, jestem Ray Klein i jestem dupkiem. Wielkim dupkiem. Dziękuję za uwagę. Klein czuł się tak, jakby trzymał w ustach nadmuchaną prezerwatywę. Na miłość boską, mów, człowieku, mów!

- Muszę zapalić - powiedział.

Devlin była o jakieś pięć centymetrów niższa od niego. Ich oczy były prawie na tym samym poziomie. Wokół jej oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki. Z rozbawienia? A może z pogardy, na którą w pełni zasługiwał?

- Zdawało mi się, że rzuciłeś - odrzekła.

- Fakt. Ale teraz, kiedy wiem już ponad wszelką wątpliwość, że jestem dupkiem, czuję, że mam prawo zacząć na nowo.

Patrzył, jak odpina najwyższy guzik swojej koszuli, a potem następny. Przeniosła wzrok na jego wargi.

- Więc zacznij - powiedziała.

Klein zapanował nad nagłą chęcią oblizania ust. Spojrzał za to na jej wargi. Były zarumienione, podobnie jak policzki. Znacznie niżej, w przepoconej ciasnocie więziennego drelichu, rodził się w imponującym tempie wzwód jego życia; nowe supermocarstwo, całkowicie niezależne od jego woli i domagające się satysfakcji. Nietzscheańska strategia przetrwania pozwoliła Kleinowi przez ponad dwanaście miesięcy nie ulec pokusie - ani razu nie startował do Devlin. Oparł się nawet pragnieniu fantazjowania o niej, o rozmiarze i kolorze jej sutków, o gęstości włosów łonowych oraz o niewątpliwie urzekającym pięknie przedziałka między jej pośladkami. Wspomagał się dzielnie egzemplarzami „Hustlera”, które od czasu do czasu przyjmował w swej podziemnej, prywatnej klinice jako zapłatę za konsultacje medyczne. Jeśli nawet Devlin wysyłała jakiegokolwiek sygnały, które świadczyły o tym, że Klein ją pociąga, to nie ośmielił się ich zauważyć. Ale teraz był już prawie wolny. Mógł palić, mógł fantazjować, a nawet - na Boga! - być wielkim dupkiem, jeśli tylko miał na to ochotę. Z królestwa wzwodu docierały wyraźne sygnały aprobaty, zachęcające do działania: no, dalej, zrzucaj te cholerne portki i daj jej posmakować nasienia, skoro tak tego pragnie.

Lecz zamiast zrzucić cholerne portki, Klein stał jak sparaliżowany i wpatrywał się w nabrzmiałe wargi Devlin.

Wsunęła dłoń w jego włosy i oparła o tył jego głowy. Poczuł, że jej palce zaciskają się w pięść i przyciągają go bliżej. Otworzyła usta i pocałowała go.

Klein przymknął oczy. Miał wrażenie, że jego układ nerwowy właśnie zmienił się w morze roztopionej miedzi. Jego ramiona zwiślały luźno, nagle ocieżałe; podobnie masywne wydawały mu się wnętrzności. Pochylił się ku niej, na nią, w nią. Czuł, że się rozpuszcza

i znika. Nawet wzwód życia, teraz wciskający się mocno w jej brzuch, utracił swą autonomiczność i został wchłonięty przez tę płynną masę, którą stały się zmysłowe doznania. Nie wiedział nawet, czy to jego język penetruje jej usta, czy może na odwrót. Z jego krtani wydobył się jęk, dziwnie podobny do skomlenia. Później zrozumiał, że była to jedyna chwila absolutnego błogostanu w całym jego życiu. Teraz jednak nie był zdolny do rozumienia czegokolwiek.

Devlin cofnęła głowę.

Klein zachwiał się i wolno otworzył oczy. Patrzyła na niego. Patrzyła tak, jakby była zszokowana tym, co właśnie zrobiła. Może jednak nie była aż tak twarda, jak mu się wydawało. A może wystarczająco. Przeszyło go nagle ukłucie strachu: zmieniła zdanie. Ten pocałunek, który ukazał mu sens słowa błogostan, był z jej strony straszliwą pomyłką. W końcu on, Klein, był tylko śmierdzącym skazańcem, niegodnym jej uwagi. Pan i władca, wzwód życia, odepchnął go pogardliwie i przejął kontrolę nad kończynami. Klein pochwycił talię Devlin obiema rękami i przycisnął jej krocze do własnego. Przez krótką chwilę sam był w szoku, a ona przyglądała mu się bez słowa. Spodziewał się, że lada chwila poczęstuje go kopniakiem z kolanka, prosto w jaja. Otworzyła usta. Jej język go zapraszał. Znowu zaczęli się całować.

Klein ścisnął ją mocniej w talii, wbijając dłonie głęboko w twarde kości jej bioder. Przez cienką koszulę czuł, jak naprężają się mięśnie w jej bokach. Wyszarpnął poły materiału spod dzinsów i znieruchomiał na moment, ściskając w rękach białą bawełnę. Oderwał usta od jej warg i przycisnął policzek do jej policzka. Poczul jej oddech tuż przy uchu. Nie, nie było to łatwe. Powinno być, ale nie było. Znieznacka wszystkie potrzeby, które tak bezwzględnie wpychał do klatek psychiki, zaczęły potrząsać kratami i domagać się posłuchu. Seks, żaloba, smutek, radość, samotność, nadzieja, podniecenie, gniew,

znowu smutek, a potem znowu i znowu smutek. Smutek jesiennych liści i zimowych zachodów słońca nad zatoką, za którymi tak tęsknił, odkąd się tu znalazł. Smutek po stracie przyjaciół i po straconej szansie na zdobycie nowych. Po śmierci ludzi, którzy skonali na jego oczach i którzy mieli odejść bez niego, jak Vinnie Lopez. Po Earlu Coleyu, Henrym Abbotcie i wszystkich pozostałych, którzy mogli doczekać zmiany pór roku tylko w tych kamiennych murach. Po bólu i wściekłości, które skazały go na pobyt w tym strasznym miejscu, oraz po bólu i wściekłości, które dopiero tu poznał. Smutek na myśl o tym, kim mógł zostać, a kim się stał. Klein wiedział, że choć tak walczył i tak się starał, ostatecznie nie zdołał powstrzymać duchów własnej przeszłości i duchów tego więzienia przed wdarciem się do jego serca.

Czuł coraz wyraźniej piersi Devlin tuż przy swoim ciele, wzwód życia wciskający się w jej brzuch i coraz silniejszy, samotny ogień we własnych trzewiach. I tam odnalazł smutek. Jedyne ciała, których dotykał przez te trzy długie lata, były ciała chorych skazańców. Teraz zaś miał dotykać skóry kobiety, i to nie byle jakiej, ale tej, którą uważał za najpiękniejszą w dziejach. Jego dłonie drżały. Uniósł jej koszulę i wsunął pod nią ręce. Gdy jego palce musnęły plecy Devlin i gdy znowu zetknęły się ich ciała, poczuł łyż pod mocno zaciśniętymi powiekami, a cały smutek, który miał w sobie, zerwał się z kotwic i popędził, wyjął, przez głębokie, niezmierzone przestrzenie w jego piersi. W tym momencie wszelkie żale i pragnienia, przeszłości i przyszłości, zlały się w jedną teraźniejszość, w której Klein kochał Devlin. Całkowicie i na wieki. Wiedział, że stan ten będzie trwał, dopóki on sam i wszystkie jego smutki nie zmienią się w proch.

- Klein? - szepnęła Devlin.

Łagodny głos tuż przy jego uchu był pełen troski. Klein uświadomił sobie, że jego łyż spływają po jej szyi. Nigdy w swym

dorosłym życiu nie płakał w obecności kobiety. Nigdy. Przytłaczające uczucie wstydu nagle wygasło w nim wszelkie inne uczucia. Wciąż przyciskał policzek do jej twarzy, żeby nie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Wszystko w porządku?

- W porządku - odparł Klein spokojnym, stanowczym głosem. - Tylko nie mów.

Był to wstyd w owej wyjątkowej postaci, który mężczyzna czuje wyłącznie wobec kobiety, nigdy wobec innego mężczyzny czy nawet samego siebie: wstyd przed okazaniem jej własnej słabości i bólu. Klein był aż nadto świadom, jak wiele literatury poświęcono korzyściom płynącym z tego typu pokazówek, w ogromnej większości nasyconej bzdurami. Ani trochę w to nie wierzył. Jako że nie leżało w mocy kobiet zrozumienie czy ukojenie takiego bólu, jedyną korzyścią płynącą z oglądania podobnych scen było to, że zyskiwały emocjonalną przewagę nad mężczyzną i - jak wynikało z doświadczeń Kleina - zawsze i za wszelką cenę starały się ją utrzymać. Być może było to smutne, że wolałyby uklęknąć i popłakać się przed Nevem Agrym niż przed kobietą, którą kochał, ale właśnie taka była prawda. Z pogardą mężczyzny, gdyby taka była jego reakcja, umiałby sobie poradzić. Pogarda kobiety - a która z nich nie skrywała jej w głębi serca? - była w jego oczach chorobą gorszą od śmierci. Devlin pewnie uznałaby go za wariata, gdyby poznała tę teorię - może zresztą rzeczywiście był wariatem. Ale Klein widział już wielu płaczących mężczyzn, także przy żonach czy dziewczynach, oraz chłopców przy matkach, i wiedział swoje. Skierował usta ku szyi Devlin, by zlizać łyzy, a wraz z nimi swój wstyd. Chciał, żeby jego serce dorównało twardością fiutowi. Znów pocałował ją w usta.

Tym razem błogostan i niepokój przed wstydem zeszły na drugi plan, ustępując czysto seksualnemu pociągowi. Koniec z cenzurą.

Koniec ze smutkiem. Zaczął gryźć jej usta, jej twarz; drapał paznokciami długą, białą krzywizną jej szyi; chwycił ciało na jej plecach pełnymi garściami, jakby chciał oderwać je od żeber i kręgosłupa i łapczywie pochłonąć. Z jego krtani dobiegał raz po raz ochryply, nieartykułowany dźwięk, pierwotne warczenie, przerywane mlaskaniem, rozpaczliwy lament głodu tak brutalnego i potrzeby tak głębokiej, że ta pieśń bez słów płynęła z samego szpiku jestestwa Kleina. Przycisnął Devlin mocniej do piersi i lekko unióś nad ziemię, a potem cofnął się i pociągnął za sobą, nie przestając wbijać zębów w linię jej szczęki, szyję i cieniutką, naciągniętą skórę na obojczyku. Wreszcie zatrzymał się z głuchym łąpieniem pleców o drzwi i przetoczył w bok, tak by oprzeć ją o pomalowane na żółto cegły. Teraz dopiero przystanął i odchylił się nieco, by spojrzeć na nią.

Jej pierś unosiła się w płytkim oddechu, wielkie, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego ze zdumieniem i cieniem strachu. Devlin oparła się głową i ramionami o ścianę, wyginając brzuch ku przodowi, w stronę jego fiuta. Jej usta, czerwone i wilgotne, znowu pomknęły ku Kleinowi. Uchylił się, wpatrzony w jej ciało, którego widok napełniał go bólem straszliwszym niż ten, którego doświadczał w zamknięciu celi. Devlin odwróciła głowę i spojrzała na podłogę spod półprzymkniętych powiek. Chwyciła za brzeg koszuli i podciągnęła ją wysoko, ponad piersi. Miała na sobie biały stanik z lycry, który ciasno opinał biust, ale przez cienki materiał widać było ciemne, twarde wzgórki sutków. Ich widok posłał duszę Kleina lotem nurkowym wprost w niebyt. Brzuch Devlin falował rytmicznie, rozciągany szybkimi oddechami. Nadal nie patrząc na Kleina, lewą ręką uniosła jedną z miseczek stanika, odsłaniając pierś. Mięśnie w jego genitaliach doznały gwałtownego skurczu i płyn ejakulacyjny zaczął wyciekać na zewnątrz. Klein unióś dłoń do podbródka Devlin i odwrócił jej głowę tak, by na niego patrzyła. Otworzyła oczy, teraz

ciemne jak wzburzone morze. Wytrzymał jej spojrzenie przez niekończącą się sekundę. Wciąż wbijając w nią wzrok, położył dłoń na jej cipie i uniósł lekko, aż stanęła na palcach.

Westchnęła gardłowo, ale nawet nie mrugnęła, wpatrzona w Kleina. Mocno nacisnęła ciałem na jego palce i poczuł, że materiał dżinsów ustępuje nieznacznie, w miarę jak rozchylają się wargi. Rumieńce na policzkach Devlin miały teraz odcień dzikiej czerwieni. Klein poczuł na fiucie jej dłoń; mocny, pełnokrwisty uścisk. Pociągnęła do góry. Klein zadrzał, czując na nim własną wilgoć. Całowali się namiętnie, raz po raz mocno zderzając się zębami. Klein znowu pochwycił biodra Devlin i nie odrywając się od jej ust, obrócił ją twarzą ku ścianie. Mocno napierał kutasem na jej dżinsy, na przedziałek między pośladkami, i czuł, że ona odwzajemnia ten nacisk, zaparta przedramionami o mur, z nisko spuszczoną głową. Wsunął ręce pod jej pachy i do końca uwolnił jej cycki. Szarpnęła się, gdy mocno pociągnął za sutki. Zamknął oczy i przygryzł skórę na łuku jej wygiętego karku. Czuł nadchodzącą falę wytrysku, a przecież było za wcześnie. Przestał napierać, ale przywarł do jej pleców i jego pot natychmiast przeniknął jej koszulę, aż do ciała. Moment bliskiego szczytowania przeminął, a Klein natychmiast zapragnął, by powrócił. Usłyszał metaliczny szczęk otwieranej klamry paska i jęknął mimowolnie, a Devlin już rozpinając guziki rozporka, drugą ręką zsuwając spodnie. Zobaczył czarny paseczek jej stringów znikający w przedziałku jej dupy.

Powracający orgazm był jak lawa w jego kutasie. Teraz dopiero Klein zdał sobie sprawę, że nie spuszczał się od tygodnia i że w tej sytuacji absolutnie nie ma szans na to, by mógł wykonać więcej niż tuzin ruchów. Spanikował. Chciał jej zafundować rżnięcie stulecia, ale zbyt długo na to czekał. Trzy lata. Nie był gotowy. A musiał

być gotowy. Był nietzscheańskim wojownikiem shotokan. Siłą woli mógł zapanować nad odruchami układu nerwowego i pieprzyć ją tak długo, aż nie mogłaby ustać. Duszące uczucie paniki przybierało na sile. Nietzscheanin zakaszał jak dławiący się silnik. Rozbrzmiał sygnał alarmowego dzwonka.

Minęło kilka sekund i Devlin musiała odwrócić się ku niemu z wyraźnym zaniepokojeniem na twarzy, nim Klein pojął, że to nie w jego głowie coś dzwoni: to dzwonek przykręcony do przeciwległej ściany gabinetu. Odwrócił się, oszołomiony. Tuż pod dzwonkiem pulsowała czerwona żarówka umieszczona obok tabliczki z napisem „Oddział Traversa”. Devlin podciągnęła dzinsy.

- Zatrzymanie akcji serca, Klein - powiedziała. - Klein?
- Kurwa mać - rzucił Klein.

Przebiegł dłońmi po mokrej od potu twarzy i wsunął je we włosy.

- Zostań tu - rozkazał.

Raz jeszcze zerknął na czerwoną żarówkę i skoczył do drzwi.

- Pomóc ci? - zawołała Devlin.
- Nie.

Klein puścił się sprintem przez korytarz. Oddział Traversa. Drugie piętro. Przeskakiwał po trzy stopnie. U szczytu pierwszego ciągu pośliznął się i uderzył gołębiami o krawędź stopnia. Zaklął szpetnie i pognął dalej, czując ból promieniujący aż po kolano. W jego umyśle pojawiła się straszna wizja: zwaliste ciało Żaby Coleya leżące na posadzce i kulas Cotton przeszukujący jego kieszenie w poszukiwaniu kluczy od ambulatorium. Nie: tylko Żaba miałaby dość rozumu, by uruchomić alarm. Odbijając barkiem drzwi sali, usłyszał donośny ryk Coleya:

- Pomóc mi tu, skurwiele! Wilson!

Klein minął biegiem rzędy łóżek. Brama dzieląca oddział była

otwarta, a na samym końcu drugiej części Coley pochylał się nad Gregiem Garveyem, obiema rękami rytmicznie uciskając jego mostek. Chwilę później Klein był już przy nim. Odciągnął głowę Garveya do tyłu, zacisnął palce na jego nosie i przyłożył usta do jego posiniałych już ust. Dmuchał potężnie w jego płuca, odczekał, aż klatka piersiowa znowu opadnie, i znowu dmuchnął. Jednocześnie sięgnął do krocza Garveya, żeby wyczuć puls na tętnicy udowej. I wyczuł, tyle że słaby i skorelowany z rytmem ucisków Coleya.

- Przestań na chwilę - powiedział.

Coley znieruchomiał i otarł czoło przedramieniem. Wątko pulso-
wanie pod palcami Kleina ustało i nie powróciło. Klein uniósł prawą powiekę Garveya. Żrenica była rozszerzona i nie reagowała na światło. Lewa podobnie. Coley znowu zaczął pompować.

- Widziałeś, jak umierał? - spytał Klein.

Coley pokręcił głową. Pot skąpy wał z jego nosa wprost na pierś Garveya.

- Zmieniałem pościel w drugim końcu sali. Znalazłem go w takim stanie, kiedy wróciłem z kibla.

- Już po nim, Żaba - rzekł Klein. - Nic nie poradzimy.

Położył rękę na jego dłoniach i Coley przestał pompować. Po chwili cofnął dłonie, spoglądając na mokrą koszulę Kleina.

- Gdzieś ty był?

Klein zacisnął szczęki.

- W gabinecie. Przecież wiesz.

Coley tylko na niego spojrział.

- Greg był umierający. Zrobiliśmy dla niego wszystko, co w naszej mocy - dodał Klein.

- My? - spytał Coley. W jego głosie była zajadłość, która wyrosła ze skrywanego poczucia straty. - Ciebie już nie ma, skurwielu. Nie ma już żadnego „my”. Ciebie to już gówno obchodzi.

- Żaba - odrzekł cicho Klein.

Coley widział już setki więźniów, którzy opuszczali izbę chorych w plastikowym worku, w drodze na Potter's Field. Klein wiedział, że nie chodzi o śmierć Garveya. Coley też to rozumiał. Nabrał potężny haust powietrza i wypuścił je rozszerzonymi nozdrzami.

- Przepraszam, facet - powiedział.

- Nieważne - odparł Klein.

Coley naciągnął kołdrę na twarz Garveya, a potem wyprostował się i spojrzał w głąb sali, na Kulasa Cottona, wzrokiem tak perfekcyjnie pustym, że włosy na karku Kleina zjeżyły się odruchowo. Cotton odruchowo wbił się głębiej w materac. Klein spostrzegł potężną, czarną plamę siniaka, okrywającą lewą połowę jego twarzy.

- Ja nic nie zrobiłem!

W piskliwym głosie Cottona słyhać było przerażenie. Coley ruszył w jego stronę, ale Klein wyszedł zza łóżka i zastąpił mu drogę.

- Żaba - rzucił ostrzegawczo.

Coley wpatrywał się w Cottona jeszcze przez bitych dziesięć sekund. Kulas wiercił się niespokojnie na łóżku, ściskając w garściach prześcieradło.

- Ja nic nie zrobiłem! Powiedz im, Wilson!

Coley spojrzał na Kleina i przemówił wystarczająco głośno, by i Cotton usłyszał.

- Zamierzałem jeszcze dziś po południu odesłać Kulasa na blok - znowu skierował morderczy wzrok na wystraszonego Cottona - ale chyba zatrzymam go tu jeszcze na jakiś czas.

Następnie minął Kleina i wyszedł z sali. Reuben Wilson przechwycił spojrzenie, którym odprowadzał go Klein. W całym więzieniu był jednym z bardzo niewielu zrównoważonych umysłów. W tym momencie nawet Klein nie powiedziałaby tak o sobie. Chwila rozmowy z Wilsonem mogła mu pomóc. Podszedł do jego łóżka.

- Garvey wyglądał, jakby spał, doktoru. Nie mogłem nic zrobić.

- Wybiła jego godzina - odparł Klein. - Nie przejmuj się. Jak twój brzuch?

Wilson sztywno wzruszył ramionami.

- Chyba dobrze.

- Obejrzę.

Przysiadł na skraju materaca. Dwa tygodnie wcześniej Wilson omal nie skonał w bloku izolatek. Cios o dużej sile, którego okoliczności i przyczyn nie udało się oficjalnie ustalić, trafił od tyłu w lewe dziewiąte i dziesiąte żebro Wilsona i spowodował pęknięcie śledziony. Leżąc na podłodze nory i wzywając pomocy, Wilson stracił dwie kwarty krwi. Kapitan Cletus, choć był zawodowym skurwyzgredem, potrafił rozpoznać konającego już na pierwszy rzut oka. To on pełnił wtedy nocną służbę i to on wywołał z celi Kleina, a Klein, który nie wyczuł u rannego ciśnienia krwi i stwierdził puls na poziomie stu pięćdziesięciu, wbił igłę w żyłę podobojczykową, wpompował w Wilsona dwa worki soli fizjologicznej i kazał go zawieźć karetką do publicznego szpitala. Trzy dni później, po przyjęciu dwunastu jednostek krwi i przejściu operacji usunięcia śledziony, Wilson powrócił do Green River.

Teraz zaś uniósł koszulkę, by pokazać świeżą bliznę biegnącą od mostka prawie do kości łonowej. Mięśnie brzucha zszyto nylonową nicią numer dwa. Skóra goiła się całkiem nieźle. Klein przesunął po niej dłonią.

- Dobrze wygląda - orzekł.

- Bez jaj - odparł Wilson. - To jest, kurwa, największa blizna, jaką w życiu widziałem, a widziałem sporo.

- Chirurdzy potrzebowali miejsca do pracy i chyba nie mieli za wiele czasu, żeby przejmować się tym, co pomyślą panie, które obciągają ci druta.

- Zdaje się, że tym problemem nie muszą się zbytnio martwić - odrzekł Wilson. - Przynajmniej przez dłuższy czas.

- Chyba nie - zgodził się Klein.

Zimna dłoń ścisnęła jego serce. Wilson odsiadywał dziewięćdziesiąt dziewięć do dożywocia, za morderstwo, w które nie wierzył nawet Cletus. Był swego czasu pretendentem do tytułu mistrza świata wagi średniej i przypadkiem zdenerwował pewnego promotora powiązanego z mafią. Obudził się w pokoju motelowym w Dallas, w obecności sześciu uzbrojonych gliniarzy, którzy właśnie rozmawiali o tym, że ten słynny czarnuch na pewno pójdzie prosto na krzesło. W pokoju obok leżała uduszona dziwka, z gatkami od Armaniego - z monogramem Wilsona - wepchniętymi w usta. We krwi Wilsona nie znaleziono ani narkotyków, ani alkoholu; nic też nie łączyło go z zabita kobietą, poza slipkami z kilkoma włosami łonowymi. Trudno było uwierzyć, że trzeźwy jak świnia Wilson mógł udusić obcą kobietę i ułożyć się do snu w sąsiednim pokoju. Ale to był Teksas, a Wilson był czarnuchem w drogiej, zagranicznej bieliźnie, kobieta zaś była biała. Grupa gwiazd muzyki pop i hollywoodzkich aktorów wszczęła kampanię w jego obronie i sprawa stała się głośna, ale gdy media straciły zainteresowanie, gwiazdy przestały się nią interesować. Kiedy wreszcie po dwóch latach Wilson stanął przed sądem, nikt już go nie pamiętał, a zwłaszcza Hollywood. Sędzia odrzucił jego apelację. Prawo ubiegania się o zwolnienie warunkowe przysługiwało Wilsonowi po dwudziestu czterech latach odsiadki.

Wyjął spod poduszki paczkę cameli z filtrem, wysunął jednego i podał Kleinowi, ale ten westchnął tylko i pokręcił głową. Wilson wetknął papierosa do ust.

- Słyszałem, co mówił Coley. To znaczy, że dostałeś warunkowe, tak?

Klein skinął głową. Wilson uśmiechnął się i podał mu rękę.

- Dobra robota, facet. I nie zwracaj uwagi na Coleya; szaleje za tobą, to wszystko - powiedział.

- Mógłbyś mi wyświadczyć przysługę, zanim wyjdę - odparł Klein.

- Co tylko zechcesz.

- Chciałbym się pożegnać z Claude'em Toussaintem.

Wilson skinął głową.

- Jasne, czemu nie.

- Nie wydaje mi się, żeby Stokely Johnson dopuścił mnie do niego, jeśli mu nie każesz.

- Daj kawałek papieru - odparł Wilson.

Klein wyjął z kieszeni koszuli wilgotny notes i długopis. Wilson napisał kilka słów, wyrwał kartkę, złożył ją i podał Kleinowi.

- Dziękuję.

- Lubisz Claude'a - stwierdził Wilson.

- Kiedy tu przyszedłem - odparł Klein - Claude był dla mnie dobry. Wprowadził mnie, jak kiedyś Flynn Agry'ego. Zapraszał mnie na poranne kawki i przyjęcia koktajlowe do ich celi.

- Kiedy był damą, rzeczywiście lubił grać panią domu - przyznał Wilson.

- Winisz go za to?

- Niektórzy tak, ja nie. Trzeba przetrwać za wszelką cenę. Claude nieźle się urządził w D. Dlaczego właściwie wrócił do B?

- W D mówi się, że nie miał wyboru. Podobno Hobbes go przeniósł na twoje żądanie.

- Cholera - mruknął Wilson. - A nam powiedział, że Claude sam chciał, bo znudziło mu się bycie suką Agry'ego.

- Może i tak było, a tę drugą historię sam wymyślił, żeby się chronić - odparł Klein. - Gdyby przyszło Agry'emu do głowy, że Claude po prostu go rzucił, jeszcze przed drugim liczeniem kazałby go wbić na pal.

- Agry to kawał pojeba - stwierdził Wilson.

- Agry jest tylko wariatem. Naprawdę chory jest Hobbes. Na tyle

chory, że należy mu się torazyna i kaftan bezpieczeństwa, a jeśli jeszcze nie teraz, to na pewno wkrótce.

Wilson słuchał tego z troską.

- Szaleństwem jest na pewno ta blokada. I nie ma w niej krzty sensu, chyba że Hobbes po prostu chce wszystkim pokazać, kto tu rządzi. Co słyhać w B?

- Gorąco - odparł zwięźle Klein.

Wilson wzruszył ramionami.

- Cóż, to nie twój problem. Zresztą nic tu nie jest już twoim problemem. Jak powiedział Coley, ciebie już nie ma, skurwielu.

Uśmiechnęli się do siebie. Klein spojrział na zegarek.

- Muszę zawiadomić Cletusa o śmierci Garveya.

- Wpadnij jeszcze, zanim wyjdiesz - odparł Wilson.

Klein skinął głową i wyszedł z sali. Coley czekał na niego u szczytu schodów. Spojrzął przelotnie w oczy Kleina, po czym na powrót wbił wzrok w kamienne stopnie.

- To nic osobistego - rzekł - ale nie chcę, żeby ta kobieta tu przychodziła. Niech wraca, skąd przyszła. I to już. Nie jestem złośliwy, tylko...

Coley szukał właściwego słowa, a kiedy go nie znalazł, spojrział na Kleina.

- Rozumiesz?

Klein skinął głową.

- Jasne, Żaba. Zajmę się tym - rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Coleya.

Coley potrząsnął głową, nie odwracając się. Klein zacisnął palce.

- Wróć po trzecim liczeniu - dodał.

Coley bez słowa skinął głową. Klein rozluźnił uścisk i zbiegł po schodach w stronę gabinetu.

Teraz musiał już tylko wykopać z budynku swą nową kochankę i zgłosić zgon Fanklubowi Doris Day. Już czuł zmęczenie. Znowu spojrział na zegarek. Jeśli tylko wystarczyłoby czasu, po wypełnieniu

kompletu formularzy dla Cletusa musiał jeszcze spotkać się w stołówce ze Stokelym Johnsonem i jego Długodystansowcami. Żeby pożegnać się z Claude'em Toussaintem. Nie musiał tego robić, ale chciał. Czując ucisk w żołądku, skręcił w korytarz wiodący do gabinetu, do Devlin. Miał nadzieję, że zrozumie. Nie chciał żadnych scen. Jego ostatni dzień w więzieniu i tak był bardziej skomplikowany, niż sobie tego życzył. Niepokoilo go ostrzeżenie Cletusa. Mimo to oparł się pokusie i nie wziął od Wilsona papierosa... Sprawy nie mogły wyglądać gorzej. Klein pchnął drzwi gabinetu i wszedł do środka.

ROZDZIAŁ 11

Hector Grauerholz był na haju. Nabuzowany. Podjarany. Ale wcale nie pod wpływem narkotyków. Rzadko je brał, a jeśli już, to takie, które nieco zbijały naturalnie wysoki poziom pobudzającej mieszanki chemikaliów, produkowanej przez jego mózg. Zwykle już o ósmej rano Grauerholz zachowywał się tak, jak ktoś po zdrowej dawce metedryny. Teraz jednak naprawdę wariował. Wyobrażał sobie, że tak musi się czuć orzeł, który niesiony prądami termicznymi krąży wysoko, obserwując drobną zwierzynę w dole. Może królika. Albo gołębia. Tak. Nagle ogarnęło go zwątpienie. Wcale nie był pewny, czy orły polują na gołębie; może wysoko w górach w ogóle nie ma gołębi? Może są zbyt zajęte sraniem na pomniki albo życiem w gołębnikach czy coś w tym guście? Niewykluczone więc, że było zupełnie inaczej: był orłem uwięzionym w gołębniku. Tak, kurwa, to było to! W gołębniku wystarczająco dużym, by w nim latać. Grauerholz czuł w kościach elektryczne mrowienie. W jego piersi wesoło buzował podtlenek azotu. Przed oczami miał błyskawice. Ludzie, to jest to! W uszach dźwięczyły mu prymitywne akordy, jakby jaskiniowcy grali na gitarach w stalowym lochu. Impreza na całego!

Grauerholz znajdował się w warsztacie budowlanym przy północnym murze, dokładnie naprzeciwko tylnej bramy i wejścia służbowego do stołówki i pomieszczeń kuchennych. Warsztat był w istocie przestronnym hangarem o pleksiglasowym dachu, zamykanym

składaną, aluminiową bramą. Pełno w nim było palet z cegłami i bloczkami, betonowych prefabrykatów, worków z cementem, siatki stalowej oraz pomalowanych minią, żelaznych belek oznaczonych białymi numerami. Na stołku przy składanej bramie siedział czarny klawisz, Wilbur, zajęty czytaniem kolumny sportowej. Agry mówił, żeby ze strażnikami obchodzić się przyzwoicie. Grauerholz nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale był gotów spróbować. Rewolwer Larry'ego DuBois, wetknięty za pasek na brzuchu i okryty koszulą, uwierał przyjemnie - jak wzwód. Nie szaleć, oszczędzać amunicję, przypomniał sobie Grauerholz. I to nie było łatwe. Niektórzy lubili machać ostrzem, lubili to uczucie bezpośredniego kontaktu. Dobrze pamiętał, jak Agry potraktował brzytwą sadło starego Larry'ego, jaką miał wtedy minę. Grauerholz rozumiał go doskonale, ale sam zdecydowanie wolał broń palną. Nigdy nie otrząsnął się z podziwu dla tajemniczego mechanizmu, który sprawiał, że pistolet strzelał. Pyk, pyk, pyk i koniec pieśni.

Niesamowite, myślał Grauerholz. Tego się, kurwa, nie da opisać. Horace Tolson minął go, niosąc na ramieniu worek cementu. Jego broda była po jednej stronie siwa od pyłu.

- Każ Bubbie sprowadzić Sonny'ego Weira - polecił Grauerholz.
- A potem powiedz chłopakom, że pora na tańce.

Gdy Horace zmienił kurs i ruszył przez dziedziniec ku swemu bratu, Grauerholz zbliżył się do Wilbura. Kiedy strażnik to zobaczył, wstał, złożył gazetę i wsunął ją do tylnej kieszeni. Odkąd Grauerholz pamiętał, ludzie zawsze zachowywali się nieufnie w jego obecności. Nie rozumiał dlaczego aż do dnia, w którym zapytał Kleina, o co im właściwie chodzi. Klein wyjaśnił mu wtedy, że to dlatego, iż on, Hector Grauerholz, jest najczystszy przypadkiem psychopaty, o jakim kiedykolwiek słyszał. Podchodząc do Wilbura, Grauerholz ozdobił twarz uśmiechem chłopczyka z chóru parafialnego, który,

jak mu się zdawało, robił na bliźnich dobre wrażenie. Wilbur w życiu nie wyglądał na tak zdenerwowanego.

- Proszę o pozwolenie na użycie piły, szefie Wilbur - odezwał się Grauerholz.

Wilbur rozluźnił się nieco.

- Jasne, Grauerholz. I przestań się wygłupiać z tym „szefem”. Wystarczy „panie”, przecież wiesz.

- Tak jest, panie Wilbur. Dziękuję.

Grauerholz oddalił się w głąb warsztatu. Po drodze, rozłożywszy ramiona dla równowagi, przebiegł po grzbiecie żelaznej belki, która miała zastąpić przerdzewiały fragment konstrukcji dachu nad blokiem C. Więzienie było tak kurewsko stare, że wiecznie coś trzeba było wymieniać. Oba końce belki zwężyły się na kształt klinów - w tych miejscach miały zostać przykręcone do ściany i kalenicy. Element miał dobrych dziewięć metrów długości, a na jego boku wypisano na biało numer 99. Na obu końcach przez otwory na śruby przewleczono pętle grubej, nylonowej liny, by łatwiej było dźwignąć ciężar. Grauerholz zeskoczył z belki i ruszył w kierunku ciężkiej, żelaznej ławy na samym końcu warsztatu.

Tarczowa piła do drewna była umocowana pod spodem. Osłonięty przed wzrokiem Wilbura przez opartą o ławę wielką płachtę stalowej blachy, Grauerholz włączył zasilanie i wcisnął czerwony guzik. Ciemnoszare, okrągłe ostrze zaczęło wirować z upiornym wyciem, wzmocnionym przez arkusz blachy.

Jasna dupa. Grauerholz przypomniał sobie nagle uczucie, którego doświadczył, kiedy gwałcił tamtą kobietę w jej mieszkaniu w Garden District, jedną z tych suk w garniturkach, które wyciągają sześćdziesiąt kawałków na rok.

Słuchał z walkmana na cały regulator *Wang Dang Doodle Howlin' Wolfa*, kiedy ją pieprzył - nie spuszczać się - i kiedy nożem do wykładzin wycinał na jej cyckach swoje inicjały, H G. Tak, to było

to samo uczucie lekkości, którego doznawał teraz. Rany. A przecież nie zabił tej kobiety. Zostawił jej tylko blizny i powód do psychoterapii za sto tysięcy dolarów. Gdyby pomyślał, że może zostać złapany - a nie pomyślał - pewnie by ją uśmiercił, ale naprawdę nie przyszło mu to do głowy.

A to dlatego, jak cierpliwie wytłumaczył mu Klein, że Grauerholz był jednym z tych ludzi - rzadko spotykanych nawet w Green River - dla których różnica między myślą a działaniem jest rzeczą zupełnie obcą. Niektórzy mawiali, że należy brać każdy dzień takim, jaki jest. Grauerholz brał każdą minutę. O przyszłości myślał wyłącznie wtedy, gdy przypominał sobie, że bez względu na to, co się wydarzy, i tak skończy jak jego grzeczny i łagodny tatuś: tusty, czterdziestoletni i totalnie zjebany. Innymi słowy, gorzej niż martwy. Zatem czym tu się, kurwa, przejmować? Lubił więzienne życie. Darmowe spanie i wyzerka, nieustanny dreszcz emocji, gra o wysoką stawkę od rana do wieczora. Z początku oczywiście brakowało mu cipek, ale po jakimś czasie człowiek po prostu zapomina. Większość kolesiów trzepała konia albo kupowała u kogoś obciążanko - a czasem dostawała je za darmo od niektórych klawiszy - żeby się upewnić, czy ich sprzęt jeszcze działa. I na pewno nie sprawiało im to wielkiej przyjemności. Przynajmniej nie Grauerholzowi. Najlepsze w seksie było dla niego zawsze to, jak te suki płakały, gdy je karał; teraz, gdy nie było ich w pobliżu i już go nie prowokowały, właściwie o nich zapomniał - i o seksie też.

Klein próbował mu wytłumaczyć, że wszyscy ci frajerzy boją się go właśnie z tego powodu, że nie odróżnia impulsu od działania. Grauerholz nie był ani zbyt rośły, ani silny, ani szczególnie bystry, za to był bardziej szalony niż wąż posuwający kozę, był jak pies mordujący owce, którego trzeba przykuć łańcuchem i zastrzelić - tylko jakoś nikt nie miał śmiałości, by to zrobić. Nie wiedział, czy taka była intencja lekarza, ale swoim wykładem Klein sprawił, że

Grauerholz poczuł się bardzo dowartościowany.

Z zamyślenia wyrwało go nadejście Bubby Tolsona, który prowadził Sonny'ego Weira, raz po raz dźgając go w plecy grubym paluchem. Twarz Sonny'ego była bladozielona, a jego usta drżały i wiły się jak robaki w puszcze z przynętą na ryby.

- Hej, Sonny, co z tobą? - spytał Grauerholz, uśmiechając się anielsko. Musiał mówić głośno, właściwie przekrzykiwać hałas piły.

Weir zdobył się tylko na wątyły uśmiech.

- Sraczkę mam - odpowiedział z wysiłkiem.

Grauerholz cmoknął i pokręcił głową.

- Trzeba było iść na zwolnienie - powiedział. - Jak sam nie zadbasz o swoje zdrowie, to nikt inny tego nie zrobi.

- Ani myślę iść do tej choliernej infirmerii. Same pedały tam leżą, wiesz?

Grauerholz skinął głową na Bubbę, którego zwalista postać górowała nad wychudłym Weirem.

- Az się boję, że mógłbym złapać coś gorszego, wiesz - ciągnął Weir. - O Jezuu!

Bubba pochwycił go od tyłu oboma ramionami, jednym otaczając wątyły korpus, a drugim łapiąc za głowę i zaciskając grubą, brudną dłoń na jego ustach i nozdrzach. Weir wrywał się i wierzgał nogami, ale Bubba bez wysiłku poderwał go i wyniósł za stalową blachę, gdzie wirowała tarcza piły. Grauerholz spojrział na drugi koniec hangaru, opodal bramy, gdzie Horace Tolson właśnie zrzucał na stertę kolejny worek cementu. Horace zatrzymał się, patrząc w jego stronę. Grauerholz uniósł kciuk, a potem ugiął go, jakby naciskał klawisz detonatora.

Horace podniósł z palety cegłę, podszedł do funkcjonariusza Wilbura i powalił go na ziemię jednym ciosem.

Gdy ciągnął jego ciało w głąb warsztatu, z dala od wieży wartowniczej na zachodnim murze, Grauerholz wszedł za blachę i

uśmiechnął się do Weira. Wycie piły tarczowej było coraz bardziej przejmujące. Twarz Weira, unieruchomiona w stalowym uścisku Bubby, była już purpurowa; jego oczy wychodziły z orbit.

- No dobra, kapusiu - zawołał Grauerholz. - To które ramię wolałbyś sobie zatrzymać?

ROZDZIAŁ 12

Z mieszaniną zdziwienia i złości Devlin patrzyła, jak Klein idzie przez dziedziniec w stronę głównego gmachu więzienia, by stawić się na trzecim zamknięciu i liczeniu. Liberalny rozsądek i zawodowy instynkt domagały się wyjaśnienia: dlaczego wyprowadził ją z infirmerii i zostawił przy portierni, dlaczego był taki chłodny i zamknięty w sobie tuż po ataku dzikiej żądzy, który wywołała w nim w gabinecie. Ponoć atmosfera na oddziale była fatalna. Coley był w podłym nastroju. Może byłoby lepiej, gdyby już poszła. Bla, bla, bla. Liberalny instynkt potakiwał ze współczuciem i podpowiadał, że to naturalne, iż śmierć wywołuje taką reakcję w Kleinie, Coleyu i pozostałych. Ale przeczucie mówiło: gówna prawda. Zanim się tu zjawiała, więźniowie też umierali. Padali jak muchy, zwykle do końca wierni kultowi macho. Nie, tu musiało chodzić o seks i Devlin zastanawiała się, czy aby nie spierniczyła sprawy.

Czekając w nieskończoność na odprawę przy portierni, wracała myślą do tego, co zaszło. Była wstrząśnięta, poruszona tym, jak bardzo chciała, żeby Klein ją zerznął, kiedy tak stała oparta o ścianę. I nie po prostu zerznął, ale zerznął dziko, brutalnie, w tym wilgotnym, brudnym pokoiku, w otoczeniu cierpiących i umierających. Zdarzało się już, i to często, że wzbudzała w facetach żądzę, ale nigdy nie doświadczyła czegoś, co mogłoby się równać z tym szlochem Kleina, z jego potem, dziką cielesnością, czułą i przerażającą, zwierzęcą

i urokliwą zarazem. Bywało, że czuła pożądanie, ale nigdy nie było to takie delirium. Żadnych kondomów, żadnych zabezpieczeń. Boże, ja chyba oszalałam! A może po prostu ten jeden raz w życiu straciła rozum, ale pozostała sobą? Coś buntowało się w jej duszy przeciwko głosowi rozsądku. Żałowała, że Klein nie zdążył jej zerznąć i nie spuścił się, jakże niebezpiecznie, w niej. Żałowała, że po powrocie od Garveya nie dokończył tego, co zaczął. Głos rozsądku, liberalny instynkt, omal nie skonał z oburzenia. Co ona wygaduje? Przeczucie zaś odpowiedziało: a pierdolcie się wszyscy. Chcę czuć w sobie jego kutasa. Chcę czuć na sobie jego dłonie. Chcę słuchać, jak jęczy do mojego ucha. Nie obchodzi mnie, co robił, gdzie był i dokąd się wybiera. Znam go. Pragnę go. Przez parę minut znałam go lepiej, niż kiedykolwiek poznam kogoś innego. A on znał mnie. Kocham go.

Kocham go.

Dwa rywalizujące nurty w jej myślach zniknęły jednocześnie i na chwilę Devlin zatopiła się w głębokim, wewnętrznym milczeniu. W przeciwieństwie do świadomego rozumu, pradawna cząstka jej duszy, wiedźma sprzed tysięcy lat, wcale nie była ani zaskoczona, ani wstrząśnięta, ani przerażona. Wiedziała bowiem, że Devlin przyglądała się Kleinowi przez rok. Że obserwowała, jak skóra wokół jego oczu marszczyła się, gdy w skupieniu zszywał rany. Jak poruszały się mięśnie pod skórą jego żyłastych przedramion. Jak rosły jego włosy i jak nabierał nawyku odgarniania ich do tyłu ręką mokrą od potu, który wiecznie ściekał po jego kościstej twarzy. Słuchała też, jak unosi się i opada jego głos, jak dźwięczy jego śmiech, jak przeklina i wreszcie jak łatwo nawiązuje kontakt z ludźmi, którzy ufali mu bardziej, niż sobie wyobrażał. Czuła też jego oddech, pachnący więziennym jedzeniem, jego beużyteczny, więzienny dezodorant oraz wonie infirmerii, którymi nasiąkały jego dłonie i ubrania, a także zapach samego ciała. I przez cały czas zakochiwała się w nim.

Stara, mądra wiedźma wiedziała o tym, a Devlin - nie. Aż do tej chwili.

Nie miała natomiast pojęcia, co Klein czuje do niej. Zdawała sobie sprawę, że na sto jeden sposobów może zinterpretować każdy jego uczynek, z których jedne pochwalała, a inne traktowała lekko. Nie zamierzała jednak grać w „kocha - nie kocha”. Postanowiła poczekać i się przekonać; cisza, która ją otaczała, miała jej w tym pomóc. Nazajutrz w południe Klein miał być wolnym człowiekiem, miała spotkać go ponownie w innym świecie. To także ją przerażało. A skoro tak, myślała, to jego musiało to przerażać znacznie bardziej. Klein wmówił sobie przecież, że jest typem twardziela spod znaku „nie mój jebany interes” albo „spieprzaj, dziadu, bo ci pierdolnę”. W rzeczywistości jednak czasem tak bardzo oddalał się od tego wzorca, że było to aż komiczne, przynajmniej dla Devlin. Wyobrażał sobie, że jest zbyt twardy i szorstki, by się z kimkolwiek żyć - z chorymi na AIDS, z Coleyem i całym zastępem skazańców. Nie winiła go za to, że w ten sposób próbuje się bronić; po prostu nie uważała, by jego pancierz był aż tak mocny, jak mu się wydawało.

A może sama wcale nie różniła się od niego aż tak bardzo? Myślała o sobie w dość podobny sposób, usprawiedliwiając tę swoją twardość koniecznością współzawodnictwa w trudnej grze. Niekiedy zastanawiała się, czy nie przesadziła. Matka wciąż ją pytała, kiedy doczeka się wnuków. Oczywiście nigdy nie zadawała takich pytań jej braciom. Dwaj faceci proponowali Devlin małżeństwo. Odrzuciła oświadczenia i zerwała z nimi. Miała zbyt wiele do zrobienia, choć niekiedy wcale nie była pewna co konkretnie. Im więcej udawało jej się osiągnąć, tym dalszy wydawał jej się cel - cokolwiek nim było. Przeczuwała, że znajdzie to, czego szuka, właśnie tu, w Więzieniu Stanowym Green River. W końcu, myślała, gdzie, jeśli nie w tak nieprawdopodobnym miejscu. I na krótką chwilę, wtedy, z Kleinem,

naprawdę to odnalazła. Przepłynęło to przez nią, orzeźwiająco i przejmująco, od jego mocnych palców, które wtapiały się w jej ciało. Ale teraz, gdy tak siedziała, odrzucona i zdezorientowana, nie była już taka pewna. Jakim cudem coś tak oczywistego mogło tak szybko zmienić się w wątpliwość? Klein miał wyjść za dwadzieścia cztery godziny i postanowiła sobie, że będzie czekać na niego przed bramą. Wtedy się dowie. Pamięć podpowiedziała jej wersy tragedii: „Daj mi do picia mandragory, proszę,/ żebym mogła przespać ten czas roz-wlekły/ gdy tu Antoniusza mojego nie ma”*. Zarumieniła się mimowolnie.

* William Shakespeare, *Antoniusz i Kleopatra*, przeł. Jerzy Limon i Władysław Zawistowski (przyp. tłum.).

Chryste, Devlin, co się z tobą dzieje?

Funkcjonariusz przywołał ją do okienka portierni. Odebrała swoje rzeczy i podpisała się w rubryce wyjść. Wkładając notatnik do teczki, zauważyła w niej zieloną okładkę czasopisma. Niech to szlag. Zapomniała o jedynym powodzie, dla którego się tu pojawiła: po raz pierwszy opublikowano ich pracę naukową o pacjentach infirmerii.

AIDS I DEPRESJA W INSTYTUCJI ZAMKNIĘTEJ.
STUDIUM PILOTAŻOWE PRZEPROWADZONE
W WIEZIENIU STANOWYM GREEN RIVER

JULIETTE DEVLIN RAY KLEIN EARL COLEY

Od kilku tygodni wiedziała, że artykuł zostanie wydrukowany, ale nie mówiła o tym Kleinowi i Coleyowi, bo chciała im zrobić niespodziankę. Lecz Klein miał nazajutrz wyjść na wolność, a ona nie mogła tu dotrzeć wcześniej niż przed południem - przewodniczyła konferencji w Houston. To oznaczało, że już nigdy nie spotkałoby się we troje, by wspólnie świętować sukces. Kiedy wyobraziła sobie,

jak Earl Coley, spaceruje samotnie korytarzami infirmerii, w jej oczach pojawiły się łzy. To właśnie przez wzgląd na niego była tak bardzo dumna z tej publikacji.

Chciała zobaczyć jego minę, gdy ujrzy swoje nazwisko tuż obok jej nazwiska. Chciała się przekonać, ile to dla niego znaczy. Sama była poruszona, gdy ujrzała swoją pierwszą publikację, a przecież uważała to za nieodłączną część swojej pracy. Miała nadzieję, że dla Coleya będzie to choć symboliczną rekompensatą za jego niedostrzegany - a przecież ogromny - wkład w opiekę nad chorymi. Musiała doręczyć mu ten egzemplarz czasopisma, i to jeszcze tego dnia. Sierżant Victor Galindez, który właśnie przechodził obok niej, przystanął.

- Coś się stało, doktor Devlin?

Odwróciła się ze łzami w oczach. Nieczęsto wykorzystywała atuty swej płci, a przynajmniej nie czyniła tego świadomie, ale teraz najważniejsze było to, by dotrzeć do Kleina i Coleya. A skoro miało to ją kosztować kilka kobiecych łez - trudno. Szybko podeszła do Galindeza, planując, że poprze swe łzy autorytetem medycznym.

- Panie sierżancie, muszę wrócić do infirmerii - powiedziała. - Zapomniałam o czymś bardzo ważnym.

Galindez spojrział ponad jej ramieniem na okienko portierni.

- Widzę, że już się pani podpisała.

- Tak jest.

- A, to szkoda. Co jest takie ważne?

Miała na podorzędziu kilka niezłych pretekstów, bo wiedziała, że większość strażników miałaby w nosie sprawy Coleya i Kleina. Ale Galindez był inny. Devlin nie chciała go okłamywać. Spojrzała mu w oczy i podjęła decyzję. Wyjęła z teczki czasopismo, otworzyła na stronie tytułowej artykułu i pokazała strażnikowi.

Galindez w skupieniu przeczytał nagłówek, a potem wstęp i

streszczenie. Wreszcie uniósł głowę i spojrzął na Devlin.

- Gratuluję - powiedział.

- Klein i Coley jeszcze go nie widzieli. Ktoś zmarł na oddziale i musiałam wyjść, zanim zdążyłam im pokazać.

- Nie ma problemu. Dostarczę im to pismo w pani imieniu - odparł Galindez.

Devlin poczuła kamień w żołądku. Nie, to za mało. Musiała tam być, zobaczyć ich twarze. Zobaczyć Kleina.

- Klein jutro wychodzi - odpowiedziała szybko.

Galindez uniósł brew. Być może jej twarz zdradzała zbyt wiele. Opanowała się jakoś.

- To owoc roku pracy, wyjątkowej pracy. Chciałam im pokazać ten artykuł, żebyśmy mogli razem cieszyć się osiągnięciem...

Galindez uniósł rękę.

- Rozumiem - rzekł.

Raz jeszcze spojrzął na czasopismo. Pracujący w więzieniu funkcjonariusz - strażnik albo klawisz, jak mawiali więźniowie - powinien dla dobra społeczeństwa wyzbyć się większości ludzkich odruchów. Niektórym łatwiej było ponieść tę ofiarę, innym trudniej. Devlin widziała, że Galindez toczy wewnętrzną walkę: litera prawa - każda wizyta musi być zaplanowana i zatwierdzona co najmniej dzień wcześniej - kontra odruch dobrej woli. Nieczęsto zdarzały się takie okazje. Devlin była pewna, że sierżant rozumie, jak wiele znaczy ten artykuł dla Coleya i Kleina. Może wspominał teraz własny pobyt w więzieniu, w Salwadorze? Gdy oddawał jej czasopismo, patrząc prosto w oczy, pragnęła ze wszystkich sił, żeby jej spojrzenie roztopiło mu serce.

- Chodźmy - powiedział.

Devlin rozpromieniła się.

- Nie zapomnę panu tego - odrzekła. - Mam się znowu wpisać?

Galindez zerknął na zegarek i pokręcił głową.

- Muszę zaraz iść do bloku D na trzecie liczenie. Później sfałszuję papiery, oczywiście pod warunkiem że nikomu pani nie powie. Chodźmy.

Galindez wziął ją pod ramię i poprowadził z powrotem na dziedziniec. Ruszyli razem ścieżką w cieniu zewnętrznego muru, prosto ku infirmerii. Sierżant narzucił szybkie tempo.

- Nie musi pan iść ze mną - zauważyła Devlin.

- Owszem, muszę - odparł Galindez. - Teraz, kiedy się pani wypisała, oficjalnie pani tutaj nie ma. Zaprowadzę panią do funkcjonariusza Sunga, a kiedy pani skończy, proszę mu powiedzieć, żeby po mnie zadzwonił. Razem wrócimy do bramy.

- Naprawdę jestem wdzięczna za to, co pan robi - odpowiedziała Devlin.

Galindez skinął głową, nie zwalniając kroku. Zadał jej jeszcze kilka pytań na temat pracy badawczej - były zaskakująco wnikliwe. Devlin zastanawiała się, czego nauczał w Salwadorze. Gdy byli już blisko szpitala, Galindez - wciąż nie zmieniając tempa - obejrzał się nagle przez ramię i popatrzył na bloki. Zmrużył oczy, a na jego czole pojawiły się zmarszczki. Uniósł rękę, by pomasażować kark. Devlin podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Za wysokim ogrodzeniem kilku więźniów przerzucało sztangi; paru innych wracało z warsztatów, kierując się w stronę skrzydła ogólnego przeznaczenia. Dokładnie naprzeciwko bramy infirmerii kończyła się wielka, granitowa szprycha bloku B; zamykające ją tylne drzwi były zamknięte. Devlin nie słyszała i nie widziała niczego niezwykłego, ale napięcie widoczne w twarzy Galindeza obudziło w niej niepokój. Sierżant spojrział na najbliższą wieżę wartowniczą. Pełniący w niej służbę strażnik stał jak gdyby nigdy nic. Galindez odwrócił się, by popatrzeć na infirmerię. Zostało im do pokonania najwyżej pięćdziesiąt metrów. Od głównej bramy więzienia oddalili się już co najmniej na czterysta metrów.

- Co się dzieje? - spytała Devlin.

Galindez wzruszył ramionami.

- Zdawało mi się, że coś słyszałem. A pani nie?

Potrząsnęła głową. Ruszyli dalej w pełnym napięcia milczeniu. Galindez wydawał się bardziej skupiony, czujny. Zatrzymał się po paru sekundach, nadstawiając uszu. Devlin także nasłuchiwała. I nic. Aż nagle dotarł do niej bardzo daleki i cichy odgłos - szum albo dudnienie. To z warsztatu mechanicznego, pomyślała. Myliła się. Galindez miał rację: dźwięk dobiegał z samego więzienia. Przypominał jej coś, ale nie mogła sobie przypomnieć co. Zerknęła na Galindeza: jego twarz była o kilka tonów bledsza niż zwykle. Obejrzał się w kierunku bramy głównej i portierni. Wydawało się, że panuje tam spokój. Po chwili popatrzył na Devlin.

- Proszę się nie bać - rzekł spokojnie. - Myślę, że powinniśmy wrócić.

Ale Devlin właśnie zaczęła się bać.

- Jak pan uważa.

Od strony północnej ściany, odległej o osiemset metrów, dobiegły nagle głośne trzaski. Galindez wyrwał z pasa krótkofalówkę.

Devlin zrozumiała, że to trzaski wystrzałów karabinowych.

I wtedy przypomniała sobie, skąd zna ten dźwięk dobiegający z wnętrza więzienia: tak ryczały tysiące gardeł na stadionie, zachęcając napastnika do biegu ku linii końcowej.

Silniki elektryczne zaczęły otwierać odległą o dwieście metrów tylną bramę bloku B i ryk bardzo wielu ludzkich gardeł stał się nagle głośniejszy. Nie przypominał już okrzyków kibiców: słychać w nim było przerażenie, które ogarnęło setki ludzi. Devlin patrzyła uważnie, zachodząc w głowę, co się dzieje w środku.

Gdy stalowe drzwi otwarły się z hukiem do końca, z wnętrza buchnęła wielka, czarno-pomarańczowa kula ognia. W stronę asfaltowego placu poszybowała chmura oleistego dymu.

Galindez powiedział coś po hiszpańsku, ale Devlin tego nie rozumiała. Otoczona siatką aleja wiodąca do skrzydła ogólnego przeznaczenia nagle się zapełniła: pojawiły się na niej postacie w mundurach khaki, pędzące w stronę bramy głównej. Znowu strzały. Mundury khaki. Funkcjonariusze.

Strażnicy uciekali z więzienia.

Devlin przyglądała się temu jak sparaliżowana. Za umykającymi klawiszami pojawili się mężczyźni w drelichach; nadbiegali ze wszystkich stron, pokrzykując dziko, wymachując pięściami i podskakując jak szaleńcy. Radio ożyło w dłoni Galindeza: najpierw serią trzasków, a potem chórem głosów, których Devlin nie rozumiała.

Oleista chmura przed blokiem B uniosła się ku niebu. Wśród rzadszych już smug dymu pojawiła się postać - jakiś człowiek biegł, zataczając się i krzycząc wniebogłosy, a górną połowę jego ciała otaczały płomienie. Devlin dostrzegła pod nimi regulaminowe spodnie khaki.

Galindez złapał ją za ramiona i ścisnął mocno. Mówił szybko, ale spokojnie, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie mogą pani zobaczyć. W infirmerii będzie bezpiecznie. Proszę tam wejść i zostać, póki po panią nie przyjdziemy.

Odwrócił Devlin i popchnął ją w kierunku drzwi szpitala, odległych ledwie o dwadzieścia metrów.

- Biegiem! - ponaglił ją. - Proszę tam wejść i pozostać. Biegiem!

Z tymi słowy Galindez odwrócił się i pomknął w stronę płonącego człowieka.

Devlin wcisnęła teczkę pod pachę i puściła się sprintem ku infirmerii.

ROZDZIAŁ 13

Claude Toussaint siedział cicho przy końcu krytego fornirem stołu, jedząc fasolę limeńską, papkę z marchwi i paluszki rybne w panierce. Przy tym samym stole siedzieli trzej inni więźniowie, słuchając Stokely'ego Johnsona, który omawiał właśnie najpilniejszy temat ostatnich dni: w jaki sposób ominąć Hobbesa i dotrzeć do gubernatora stanu z petycją w sprawie blokady. Od powrotu do bloku B Claude przestrzegał jednej zasady: nie odzywać się, póki nie pytają. Udało mu się tym sposobem uniknąć niektórych upokorzeń, ale niezbyt wielu. Za każdym razem gdy w rozmowie powracał temat bloku D, białych albo „tego pedała Agry'ego”, w jego stronę posyłano złowrogie spojrzenia. Claude wpatrywał się wtedy w swój talerz.

- Jebać gubernatora - mówił Stokely. - Ten kutas spędza pół dnia na podpisywaniu wyroków śmierci na każdego z naszych braci, który nie zapłacił na czas za parkowanie. Nawet gdyby dostał tę naszą petycję, to najwyżej podtarłby sobie nią tę swoją tłustą białą dupę. Kurwa, chyba wiecie, jak było z tymi jebanymi świniami, które próbowały zabić Kinga w Los Angeles? Mało brakowało, a dałby im medale. Sądzicie, że ktoś będzie was słuchał?

- No to co mamy robić, Stoke? Wysłać sygnały dymne do pana Farrakhana? Do wielbnego Jacksona? Może chodzić co niedzielę do kościółka i się modlić? - Myers był znużonym weteranem z Brownsville.

Trzeci wyrok, za napaść z bronią w rękę. Rozciągnął masywne ramiona i wpakował do ust kolejny kęs przecieru z marchewki.

- Powinniśmy spalić skurwieli aż do gruntu, oto, co należy zrobić - odparł Stokely. - Pokazać im, kurwa, kim jesteśmy.

- Stoke ma rację. Cholera, przecież jest nas pięćdziesiąt razy więcej niż klawiszy. - Reed należał do radykałów z otoczenia Stokely'ego.

- Pieprzenie - stwierdził Myers. - Przyślą Gwardię Narodową, odstrzelą dziesięciu czy dwudziestu z was, głąby, a potem wszyscy na kolanach wrócimy do cel, jak tchórze.

- Nie waż się nazywać tu nikogo tchórzem - odparł Stokely z cichą groźbą w głosie.

Ale Myers zbyt dużo w życiu widział, by się tym przejmować.

- Dobra, to nie jesteśmy tchórzami. Spalimy ich do gruntu i niektórzy z nas zdechną na stojąco, a nie na kolanach. Ale jak mówi Wilson, tym sposobem damy im tylko wymówkę, by mogli wymierzyć nam kolejnego kopa i obwieścić światu, że jesteśmy bydlakami, za których i tak wszyscy nas uważają. A ja się z nim zgadzam.

- Wilsona tu nie ma. On się nie poci w zamkniętym bloku, jak my.

Przez chwilę wszyscy spoglądali na Stokely'ego w milczeniu.

- On całkiem nieźle oberwał, Stoke - odezwał się w końcu Myers.

Stokely spuścił głowę, odetchnął głęboko i na moment przymknął oczy.

- Ja tylko chcę im wysłać wiadomość, której nie zapomną.

- „Czarnuchy w amoku” - odparł cicho i gorzko Myers. - Tylko taką dostaną wiadomość. Tylko o tym napiszą. Gównu ich obchodzi nasz los, Stoke. Naprawdę.

Stokely huknął pięścią w stół.

- Mnie obchodzi - powiedział i znów spuścił powieki.

Mięśnie jego karku były naprężone. Kiedy otworzył oczy, już tylko popatrzył w swój talerz z fasolą i paluszkami. Po chwili Myers wyciągnął rękę i położył dłoń na jego zaciśniętej pięści.

- Wiemy, facet. I dlatego jesteś nam potrzebny w jednym kawalku. Masz stać między nami, w samym środku, a nie dać się podziurawić kulami albo gnić w dziurze.

Przy stole zapadło milczenie. Nikt nie interesował się stygającym jedzeniem. W odruchu solidarności Claude także odłożył widelec. Nie mógł jednak pozwolić sobie na to, by spojrzeć obiektywnie na sytuację. Może i powinien okazywać więcej zaangażowania, ale w tej chwili liczyło się tylko jedno: wydostać się stąd. A Hobbes - czy był skurwielem, czy nie - dał mu szansę, by znowu mógł usiąść u Alfonsa i wypić przez słomkę one hundred pipers. Po latach Claude wciąż nie rozumiał tej rasowej nienawiści, która kipiała w więzieniu. Była jak ten upał, z którym nauczyli się żyć: nieustanne napięcie trwające gdzieś w tle, ale tak uporczywe, że z czasem przyjmowało się je za normę i prawie zapominało o nim, póki nie nastąpiło rozładowanie - zwykle z okazji brutalnego incydentu. Claude dziwił się temu bardziej niż inni, ponieważ miał okazję należeć do obu światów. Nie interesowała go polityka. W River z definicji nie brakowało łajdaków, ale większość skazanych stanowili po prostu ludzie. Jasne, że w bloku B nie słuchało się raczej Waylona Jenningsa, a w bloku D rapu, ale tak naprawdę w stołówce prowadzono dokładnie te same rozmowy, bez względu na to, czy był wśród czarnych, czy wśród białych: o koszykówce, kobietach, bólu pleców, apelacjach czy nowinach z domu, o seksualnych podbojach i aktach przemocy, coraz mocniej ubarwianych przez wyobraźnię i upływ czasu. Claude naprawdę nie widział między nimi wszystkimi różnicy, ale w końcu

przychodził taki dzień, kiedy na dziedzińcu stawali z jednej strony Meksykanie, a z drugiej czarni bracia, i wtedy nagle okazywało się, że może stanąć tylko po jednej stronie.

Według Raya Kleina, którego przyjaźń niezmiernie pochlebiała Claude'owi - jako Claudine - wynikało to z plemiennej tradycji. Klein twierdził, że była to siła prymitywna i tajemnicza, ale głęboko zakorzeniona. Było w niej coś zwierzęcego - mechanizm przetrwania, czy coś w ten deseń. Ludzie byli bowiem z natury i instynktu podobni do zwierząt. Gdy wszystkim żyło się przyjemnie i w cywilizowany sposób, łatwo było śpiewać to gówniane *We Are the World*. Ale kiedy sprawy miały się gorzej, instynkt podpowiadał człowiekowi, że powinien trzymać ze swoimi, bo jak nie, to mu utną jaja albo i gorzej. I niekoniecznie miało to związek z rasą, jak zauważył Klein, czy nawet z religią. Wystarczyło spojrzeć na Bliski Wschód - muzułmanie przeciwko muzułmanom - albo na Afrykę Południową - czarni przeciwko czarnym. A czy, na miłość boską, inaczej było podczas amerykańskiej wojny domowej? Plemiona. Nowe plemiona i stare plemiona; w teorii liczyło się przede wszystkim to, co może człowieka ocalić. Tylko że przy okazji ginęło cholernie dużo ludzi.

Claude spozrzał na swych towarzyszy i nie poczuł się ani specjalnie bezpieczny, ani związany plemiennymi więzami. Pół czarny, pół biały, pół kobieta, pół mężczyzna - nic dziwnego, że od każdego brał po dupie. Siedzieli o sześć stołów od wejścia do stołówki, która o tej porze była na wpół opustoszała. Odkąd zaczęła się blokada, klawisze karmili więźniów z B na dwie tury, wpuszczając naraz tylko mieszkańców jednej połowy bloku. Bali się napięcia, które narastało w takich ludziach jak Johnson. Większość klawiszów źle znosiła tę całą blokadę: więcej upierdliwej roboty, więcej konfliktów, większe ryzyko. Claude uważał, że przeciętnemu klawiszowi najlepiej pracowałoby się w więzieniu, w którym nie byłoby ani jednego skazańca.

Albo może byłoby paru bogatych ćpunów, którym sprzedawaliby prochy.

Więzień z dolnego poziomu cel, niejaki Green, podszedł do Stokely'ego i wręczył mu małą karteczkę. Stokely wolno odczytał wiadomość. Zezując mocno, ale nie odwracając głowy, Claude spojrział ponad jego ramieniem i przeczytał:

*Stoke,
Doktorek jest w porządku.
Daj mu, czego zechce.*

Wilson

Stokely spostrzegł wreszcie, że Claude podgląda, i czym prędzej wcisnął karteczkę do kieszeni na piersi. Spojrział w stronę wejścia. Klein czekał cierpliwie, z pustymi rękami. Stokely popatrzył na Greena.

- Czego on chce?
 - Mówi, że chce pogadać z Claude'em - odparł Green.
- Stokely zacisnął usta i spojrział na Claude'a.
- O co chodzi?
 - Nie wiem - odrzekł Claude, rozkładając ręce.

Był bezradny. Chciał się zobaczyć z Kleinem, ale nie przy wszystkich. Z drugiej strony, w czasie blokady raczej nie mógł liczyć na lepszą okazję. Zresztą, do cholery, chyba miał prawo rozmawiać, z kim zechciał? Nie odważył się powiedzieć tego głośno i dlatego poczuł, że jednak nie, nie ma takiego prawa.

- Słyszałem, że Klein uratował Wilsonowi życie w izolatce - wtrącił Myers.

- Uwierzę, kiedy usłyszę to od samego Wilsona - odparł Stokely. Wzruszył ramionami i spojrział na Greena. - Skoro starczyło mu ikry, żeby spróbować... Chyba może wejść.

Green oddalił się, a po chwili Klein stanął przy stole. Był czujny, ale nie wystraszony, i Claude zazdrościł mu tego. Z szacunku dla obyczajów Klein zwrócił się najpierw do Johnsona.

- Johnson.

- Klein - odpowiedział Stokely. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chciałbym porozmawiać chwilę z Claude'em - odparł Klein. -

Nie masz nic przeciwko?

Stokely, usatysfakcjonowany jego pełną szacunku postawą, skinął głową w stronę sąsiedniego stołu, odległego może o jard.

- Siadaj.

Plastikowe krzesła były przykręcone do podłogi; Klein przysiadł na krawędzi siedziska, jak najbliżej Claude'a, który wstał i zajął miejsce naprzeciwko niego. Zauważył przy tym, że Stokely nie jest zachwycony, i sprawiło mu to przyjemność. Był to bodaj pierwszy ruch, który wykonał bez pytania Stokely'ego o zdanie, odkąd wrócił do bloku B.

Klein uśmiechnął się do niego z autentyczną sympatią.

- Jak leci, Claude?

- Dobrze - odrzekł Claude. Zdawał sobie sprawę, że Stokely, który apatycznie grzebał w talerzu, podczas gdy inni spierali się o wynik wieczornego meczu Lakersów z Nicksami, słucha uważnie. - No, naprawdę dobrze. Blokada daje po dupie, ale wiesz... Dobrze, że wróciłem do bloku. No, wiesz: do braci. Tam, gdzie moje miejsce.

- Cieszę się - odparł Klein.

Claude wystraszył się nagle, że Klein poleci zaraz z tą nowiną do Agry'ego, a Agry każe mu za to uciąć usta. Zaraz jednak uspokoił się myślą, że Klein nie jest taki. Jest w porządku. Claude miał ochotę powiedzieć: „Gdyby Agry o mnie pytał...”, ale nie mógł sobie pozwolić na taki tekst; nie wtedy, gdy Stokely podsłuchiwał. Czuł się tak, jakby spacerował po linii między dwoma zbiornikami: w jednym

plywały rekiny, a w drugim piranie. Nikt prócz Hobbesa nie znał całej prawdy o jego sytuacji. Miał też ochotę opowiedzieć o wszystkim Kleinowi. O tym, jak Grierson wyhaczył go w drodze na terapię grupową i zabrał na dół, do schowka na drewno, gdzie Claude w tajemnicy spotkał się z naczelnikiem. I o tym, jak Hobbes mu powiedział, że zbliża się termin przesłuchania w sprawie zwolnienia warunkowego i że jeśli tylko przestanie udawać transwestytę i wróci na blok B, będzie miał szanse. Spore szanse. Na przykład na powrót do Alfonsa i małe obciążanko. Claude bardzo chciał usłyszeć, jak Klein mówi: jasne, chłopie, musisz spróbować, i może daje jakieś cenne rady, jak się zachowywać przed komisją i w ogóle...

Ale Stokely podsłuchiwał.

- Hobbes naprawdę przykręcił wam śrubę, chłopaki - powiedział Klein.

- Zniesiemy wszystko, co ten kutas nam zafunduje, a nawet więcej - wtrącił Stokely.

Klein odwrócił się i spojrzał na niego.

- Nie wątpię. Ale moim zdaniem Hobbes knuje coś osobliwego, tylko jeszcze nie wiem co. Jest chory. Umysłowo chory.

Claude poczuł nagle mdłości. Stokely tylko parsknął.

- Cholera, Klein, naprawdę nie potrzebujemy lekarza, żeby to wiedzieć. Hobbesa trzeba załatwić.

- Możliwe - odrzekł Klein.

Claude przeczuwał kłótnię, a cała ta rozmowa o Hobbesie tylko go denerwowała.

- Jak mówi Stoke, jakoś sobie radzimy - powiedział. - A co u ciebie?

- Dostałem warunkowe - odparł Klein. - Jutro wychodzę.

Na sekundę Claude'owi zrobiło się słabo ze strachu. Poczł się opuszczony. Klein był jedynym facetem w całym więzieniu, z którym

mógł czasem porozmawiać, gdy było mu źle, gdy ciężar udawania kobiety i życia pod młotem nieprzewidywalnych humorów Agry'ego stawał się nie do zniesienia. Jako Claudine często płakał w schronieniu, jakim była dla niego cęła Kleina. Agry nie sprzeciwiał się temu; dzięki takim sesjom Claudine stawała się w jego oczach jeszcze bardziej kobieca. Marudzenie i płacz w lekarskim gabinecie były, wedle jego mniemania, stałym elementem kobiecego życia. Z tego też powodu Claudine nieustannie upominała go, by utrzymywał cęłę w porządku, choć tak naprawdę miała to gdzieś. Nawet teraz, po przenosinach do bloku B, Claude czuł się nieco pewniej, kiedy wiedział, że Klein jest gdzieś w pobliżu. Lecz teraz miał odejść... Claude stłumił jakoś swe rozczarowanie, ale wcześniej Klein zdołał odczytać wszystko z jego twarzy.

- Napiszę do ciebie - obiecał. - Jak tylko gdzieś się urządzę.

- To będzie pierwszy list, jaki tu dostanę - odparł Claude i zaraz zdobył się na szeroki uśmiech. - Cholera, facet, to naprawdę świetna wiadomość. Słusznie, że wychodzisz. Tak powinno być.

Chciał powiedzieć Kleinowi o tym, że sam stanie wkrótce przed komisją, ale nie ośmielił się. Stokely zrozumiałby, że Claude wykorzystał wszystkich, i znalazłby jakiś sposób, żeby go załatwić. Claude sięgnął ponad stołem i uścisnął rękę Kleina.

- Tak powinno być - powtórzył.

- Wiesz, chciałem tylko złożyć ci wyrazy szacunku, zanim wyjdę.

Coś ścisnęło serce Claude'a. Złożyć wyrazy szacunku.

Nikt nigdy nie składał wyrazów szacunku Claude'owi Toussaintowi. Owszem, ludzie czasem lizali mu dupę, gdy był żoną Agry'ego, bo w przeciwnym razie mogli się spodziewać obróbki ze strony ludzi Agry'ego. Czasem zresztą Claudine fundowała im takie przygody tylko dlatego, że miała na to ochotę. Ale nikt nigdy jej nie szanował;

po prostu Agry wzbudzał strach.

- Dzięki, Klein, ja... - Zabrakło mu słów - To znaczy, powodzenia, facet. Uważaj na siebie tam, na zewnątrz.

- Spróbuję - odparł Klein. - Lepiej, żebym się nie spóźnił na trzecie liczenie. Nie chcę zarobić kary w ostatni dzień.

- Pewnie - odpowiedział Claude ze ściśniętym gardłem.

- Odszukaj mnie, kiedy wyjdiesz - rzekł Klein, wstając.

Claude podniósł się z wysiłkiem.

- Jezu, facet, jeszcze się zdziwisz, jak mnie zobaczysz.

- W porządku.

Klein wyciągnął rękę i uśmiechnął się, gdy Claude uściśnął ją raz jeszcze.

I wtedy od strony tylnego wejścia do stołówki dobiegł krzyk. Mokry, bulgocący krzyk, który przeszył Claude'a na wylot, a gdy osiągnął najwyższy punkt, urwał się nagle i zmienił w głośny, zdyszany szloch.

Klein odwrócił głowę. Uśmiech na jego twarzy zmienił się w grymas zgrozy. Claude spojrział w tę samą stronę.

- Mamy rannego!

Szerokim przejściem pośrodku stołówki dwaj mężczyźni na wpół nieśli, na wpół wlekli Sonny'ego Weira z bloku A, drobnego złodziejzka i domniemanego kapusia. W prawej ręce ścisnął kikut lewego ramienia, gładko uciętego piętnaście centymetrów poniżej łokcia. Był cały we krwi, a na jego twarzy malowały się przerażenie i ból. Groteskowo wykrzywił usta, łapiąc oddech przed kolejnym krzykiem.

- Mamy rannego! - ryknął ponownie Bubba Tolson.

Z brodą poszarzałą od cementowego pyłu, obejmował rannego w pasie potężnym, wytatuowanym ramieniem. Z drugiej strony wspierał Weira psychol nad psychole, mały Hector Grauerholz we własnej osobie.

Z prawa i lewa rozbrzmiewały okrzyki zdumienia i przekleństwa; mieszkańcy bloku B grupami podrywali się z siedzeń. Okrwawione trio skręciło nagle w stronę stołu, przy którym stał Claude. Klein wyszedł im na spotkanie, by - jak domyślał się Claude - pomóc rannemu. Stokely stał na palcach, bacznie obserwując rozwój sytuacji, spięty i podejrzliwy. Uwagę wszystkich przykuwał makabryczny spektakl z broczącym krwią Weirem w roli głównej.

Claude odwrócił się, czując mdłości.

W tym momencie zobaczył kątem oka barczystą postać, która wychyła z za kontuaru, po czym szybko i bezszelestnie ruszyła w kierunku Stokely'ego Johnsona.

Był to Nev Agry.

Claude odniósł wrażenie, że jego wnętrzności zmieniają się w breję. Otworzył usta, ale jego krtań była sparaliżowana.

Tymczasem po lewej stronie Grauerholz i Tolson nagle unieśli Weira i popchnęli w kierunku Kleina: poleciał przed siebie, bryzgając krwią na wszystkie strony, i upadł, uderzając twarzą o oparcie plastikowego krzesła, zanim Klein zdążył go złapać.

Nev Agry był już tylko o pięć kroków od stojącego tyłem Stokely'ego, jego oczy błyszczały. Machinalnie zaciskając pięści, Stokely skupił się bez reszty na Bubbie Tolsonie, który właśnie szedł ku niemu, wrzeszcząc coś o czarnuchach.

Głuchy łoskot eksplozji dobiegł nagle z zaplecza stołówki, a towarzyszyła mu kula ognia. Niemał natychmiast rozległ się kolejny huk.

Wokół Claude'a rozbrzmiały paniczne krzyki.

Więźniowie wybiegali z za stołów w ucieczce przed ogniem, rozrzucając po drodze tace z jedzeniem i przewracając się o siebie nawzajem.

Stokely kopnął Bubbę Tolsona w brzuch i cofnął się o krok, by odzyskać równowagę. Agry zbliżył się z nienawistnym grymasem

na twarzy. Uniósł nieco rękę uzbrojoną w brzytwę, gotów uderzyć w szyję Stokely'ego, który w zamieszaniu jeszcze go nie zauważył. Claude nareszcie odzyskał głos.

- Stoke!

Gdy Stokely odwracał się ku Agry'emu, Hector Grauerholz uniósł pistolet i strzelił prosto w boczną część jego twarzy. Krew spryskała policzki Claude'a, a Stokely Johnson zawirował w powietrzu i upadł.

Klein dopadł Grauerholza i zaczął się z nim siłować, by odebrać mu broń.

Myers z wrzaskiem rzucił się do ucieczki, a Bubba Tolson sygnął mu w twarz słoikiem proszku do szorowania kuchenek i zniknął.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i huk kolejnych dwóch eksplozji. Źródłem ognia były koktajle Mołotowa. Ludzie w panice pędzili w stronę wyjścia. Zgiełk i dym otaczały Claude'a ze wszystkich stron, gdy tak stał, jak skamieniały, wpatrując się w swój najgorszy koszmar: Neva Agry'ego.

I nagle zdał sobie sprawę, że to wszystko - w s z y s t k o - działo się tylko i wyłącznie przez niego. Znowu odczuł mdłości. Wszystko przez niego. Nev Agry zjawił się po swoją kobietę.

W tym momencie coś się wyłączyło w mózgu Claude'a. Patrzył bez emocji, jak Agry unosi nogę i bezmyślnie tratuje zakrwawioną głowę Stokely'ego. Jak w podwodnym śnie dziejącym się w zwolnionym tempie czuł, że ktoś go ciągnie, że czyjaś ręka wsuwa się pod jego lewą pachę i że zaciska się na jego karku, zakładając półnelsona. Nie opierał się. Jego kończyny były galaretą. Wreszcie poczuł na gardle brzytwę Agry'ego i usłyszał tuż nad uchem jego ryk:

- Klein!

Klein właśnie otoczył szyję Grauerholza lewym ramieniem, a prawą dłonią ścisnął w nadgarstku jego rękę, wciąż uzbrojoną w rewolwer. Zamarł na moment i uniósł głowę znad spurpurowiałej twarzy Grauerholza.

- Wypuść dzieciaka - powiedział Agry. - Jest mi potrzebny.

Klein spojrział na Claude'a i zacieśnił uchwyt wokół gardła Grauerholza.

- Ciebie też potrzebuję, durny kutasie - dorzucił Agry i potrząsnął Claude'em jak lalką. - Tak samo jak tej suki. Ale jeśli będę musiał, obejdę się bez was wszystkich.

- Przykro mi to mówić, Agry - odezwał się Klein. Zaciskał zęby, starając się zapanować nad wściekłością. - Ale właśnie trafiłeś na sam szczyt mojej czarnej listy.

Nagle rozluźnił uchwyt wokół szyi Grauerholza i błyskawicznym ruchem obu rąk wykręcił rewolwer z jego dłoni. Psychopata upadł na kolana i gwałtownie kaszłając, podparł się dłońmi. Klein odbezpieczył broń, ale opuścił ją nisko, do uda, wpatrując się w Agry'ego. Claude poczuł, że ostrze zniknęło. Ręka pchnęła go mocno i poleciał w stronę Kleina, który uskoczył z zaskakującą zwinnością, by nie stracić pola manewru.

- Zabierz ją z powrotem do bloku D, Klein - powiedział Agry.

Klein ani drgnął. Agry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zrozumże, Doktorku, zanim sobie nagrabisz. To jest totalna wojna. My przeciwko wszystkim. Możesz stanąć tylko po jednej stronie frontu.

Klein patrzył na niego i dobrze rozumiał, że Agry ma rację. Jego twarz stała się zimna, pozbawiona wyrazu. Zbliżył się nieco i chwycił Claude'a pod ramię. Chłopak wciąż był oszołomiony chaosem, który się wokół niego rozpętał. Klein przemówił wprost do jego ucha, cicho, ale i z naciskiem:

- Chodźmy.

Z poziomu podłogi dobiegł rżęzący kaszel.

- Chcę... - wychrypiął Grauerholz, podnosząc się z wysiłkiem na kolana. - Kurwa, chcę znowu dostać mój pistolet, Nev.

Agry spojrział na niego pogardliwie.

- Właśnie go straciłeś, dupku. Johnson był mój. Mówiłem ci. Mój! A teraz wstawaj, do kurwy nędzy, i bierz się do roboty.

Grauerholz podniósł się chwiejnie i spojrział na Kleina z żarliwą nienawiścią. Klein, mierząc z biodra, wycelował rewolwer w jego pierś.

- Ty też powinieneś coś zrozumieć, Agry, zanim twój Hector wszystko spierdoli.

Usta Kleina były prawie białe, a jego głos drżał z wściekłości. Nawet Agry cofnął się o krok. Klein patrzył mu prosto w oczy, nie przestając mierzyć do Grauerholza.

- Jeśli będę musiał, zabiję tego skurwysynka. Jeżeli będę musiał, zabiję i ciebie. Zabiję tak wielu dupków, ilu będzie trzeba, jeśli tylko wejdą mi w drogę. Bo coś ci powiem, Agry: naprawdę paskudnie weszłicie mi w paradę.

Przez sekundę Claude myślał, że Klein zastrzeli Grauerholza na miejscu. Agry uniósł rękę w pokojowym geście.

- Hej, Klein, tylko spokojnie - powiedział. - Zależy ci na tej bandzie czarnuchów?

- Jutro miałem wyjść do domu - odparł Klein.

Przesunął ramię, jakby zapragnął zastrzelić najpierw Agry'ego. Był bliski szafu.

Agry był jednak ekspertem od wpadania w szaf i potrafił błędnie rozpoznać sytuację.

- Skąd, kurwa, miałem wiedzieć o twoim jebanym warunkowym? - spytał.

- Sam się dopiero dowiedziałem, cwelu.

Jeżeli Claude kiedykolwiek słyszał bardziej niewiarygodną konwersację - w której Nev Agry tłumaczy się przed Kleinem, zostaje nazwany cwelem, a wszystko to uchodzi Kleinowi na sucho - to do prawdy nie mógł jej sobie przypomnieć. A jednak w smugach dymu

i kałużach krwi, w tej scenerii z sennego koszmaru, sytuacja wyglądała całkiem naturalnie.

- Cholera, Klein, wszystkim nam trafia się czasem zły dzień - rzekł Agry.

Klein spojrział na broń, którą trzymał w rękę. Wolno rozluźnił ramię i odetchnął głęboko.

- Po prostu nie włącz mi więcej w drogę - powiedział.

Stężenie dymu w sali było na tyle duże, że włączyły się alarmy przeciwpożarowe. W czterech kątach płonęły kałuże chemikaliów. Po licznej grupie przerażonych czarnoskórych nie został nawet ślad - zniknęli za drzwiami, w środkowej części gmachu. W okolicy tylnego wyjścia rozległ się nowy zgiełk.

Agry spojrział w tę stronę i rzekł do Kleina:

- Może byłoby łatwiej, gdybyś ty nie włączył w naszą.

Od strony tylnej bramy nadchodziło sześciu najroślejszych białych skazańców, pod wodzą Horace'a Tolsona, równie brodatego i równie potwornego brata bliźniaka Bubby. Maszerowali środkową nawą opustoszałej sali, wykrzykując coś w bojowym szale. Trzy metry przed nimi kołysała się końcówka czerwonej, dziewięciometrowej, żelaznej belki, którą nieśli. Claude przyglądał się nieobecny wzrokiem, jak kroczą wprost na niego. W końcu Klein szarpnął go brutalnie za ramię, by zszedł z ich kursu. Gdy minął ich Tolson, Claude odczytał numer 99 wypisany na boku belki. Spojrział na Kleina. Wydawało się, że widok żelastwa przywrócił mu świadomość.

- Niech cię szlag - rzekł cicho Klein do Agry'ego.

Agry wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Znowu panował nad sytuacją.

- Wyświadczyć nam wszystkim przysługę, Doktoru, a zapomniemy o tym, co zaszło.

- Czego chcesz? - spytał Klein, akceptując to, co i tak było nieuniknione.

- Odprowadź tę młodą damę do domu. Do bloku D.

Claude z opóźnieniem pojął, że owa „młoda dama” to on. To znaczy: ona.

Claudine.

Cholera, pomyślał. Tylko nie Claudine. Pieprzona dola kobiety nigdy nie miała końca.

Znów poczuła szarpnięcie za ramię i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia ze stołówki, holowana przez Kleina. Gdzieś przed nimi rozległ się przeraźliwy huk: belka trafiła w cel, gdzieś w centralnej wieży strażniczej. Ale Claudine już o tym nie myślała. Zastanawiała się, jak niesprawiedliwe jest to życie. Przecież dopiero co przywykła do tego, że znowu jest Claude'em. A teraz wszystko wróciło. Claudine. No cóż. Westchnęła i skierowała myśli ku innym sprawom: którą sukienkę i bieliznę powinna włożyć. Coś seksownego byłoby w sam raz.

Jakaś miła niespodzianka dla Neva, kiedy wróci z pracy do domu.

ROZDZIAŁ 14

Klein drgnął odruchowo, słysząc huk i ryki brygady Horace'a Tolsona. Atak żelaznym taranem przyniósł skutek: jedno z okien centralnej wieży strażniczej zostało zniszczone.

Pancerny pleksiglas popękał, ale się nie rozpadł; to śruby trzymające go w ramie zostały wyrwane. Czerwona belka wbiła się na blisko dwa metry w głąb centrum dowodzenia, a jej drugi koniec z brzękiem opadł na bruk, gdy biegnący z nim więźniowie wypuścili z rąk liny. Trzymając się blisko ścian, Klein prowadził Claude'a przez atrium i jednocześnie obserwował, jak Bubba Tolson podbiega do dziury po oknie z płonącym już koktajlem Mołotowa i ciska butelkę do środka. Pojawiła się kula ognia i dymu, a parę sekund później drzwi wieży otworzyły się gwałtownie i ze środka wytoczyli się dwaj osmaleni strażnicy, niosący ze sobą starego Burroughsa. Jeden z nich rzucił nagle nogi rannego i puścił się sprintem w stronę wyjścia. Drugi przerzucił starego przez ramię i uginając się pod ciężarem, ruszył jego śladem.

Zadymione atrium przypominało obchody Święta Niepodległości w przedsionku piekieł w stylu Hieronima Boscha. Niektórzy uciekali w stronę wyjść, i strażnicy, i więźniowie, przy czym ci pierwsi w biegu rzucali czapki i bluzy mundurów - a inni biegali w kółko, wyjąc wniebogłosy i wykrzykując przekleństwa. Wielu czarnych leżało na kamiennej posadzce, znosząc kopniaki wymierzone z

zapałem przez białych. Od strony schodów wiodących do pralni napływał strumień nowych twarzy, głównie z band Agry'ego i DuBois. Wszyscy nieśli broń pożyczoną z garażu, warsztatu mechanicznego, stolarni i kuchni: młotki, piły, klucze, śrubokręty, łomy, kawałki kijów i prętów, łyżki do opon, kielnie, lampę lutowniczą, oliwiarki, puszki z rozpuszczalnikiem i płynem do impregnacji drewna - wszystko, czym można było uderzyć, przeciąć, przebić, oslepić, przeżreć albo oparzyć. Wszyscy zachowywali się jak odurzeni, choć nie tknęli ani alkoholu, ani narkotyków. Jeszcze nie. Pokażne zapasy więziennego wina i bimbrowa z ziemniaków, zmagazynowane całymi galonami w przeróżnych zakątkach, a także zasoby PCP, cracku, ziela i hery, ukryte uncjami i w jeszcze drobniejszych dawkach w wydrążonych ceglach, szwach odzieży czy podszwach reeboków - wszystko to miało zostać skonsumowane później, w rozpaczliwej próbie znalezienia zapomnienia. Teraz zaś, stopieni w jedną, rozgorączkowaną, wspólną świadomość, byli pijani anarchią i spragnieni destrukcji.

W zasięgu wzroku nie było już ani jednego klawisza. Ciągnąc oszołomionego Claude'a w stronę bramy bloku D, Klein miał oczy szeroko otwarte: wypatrywał Grauerholza. Nikt jednak, także ten ogolony na łyso psychopata, nie próbował nawet ich zaczepić. Od strony bloku C dobiegała kakofonia błagalnych głosów oraz brzęk atakowanych krat. Złapani w samym środku trzeciego liczenia, czar-ni i Latynosi z C pozostali uwięzieni w celach. Skazańcy z A mieli liczenie za sobą i byli teraz wolni. Bunt wybuchł, zanim rozpoczęło się liczenie w B, więc i lokatorzy tego skrzydła nie zostali zamknięci. Klein obejrzał się przez ramię, słysząc za sobą grzechot kół.

Od strony stołówki nadjeżdżał wielki wózek o trzech ściankach, przeznaczony do rozwożenia bielizny, a w tej chwili okryty brudnym brezentem. Pchało go czterech ludzi Agry'ego. Sam Agry siedł z nimi, spocony od cudownego ciężaru władzy, poganiając swoich

i pokrzykując na innych, by uprzętnęli mu z drogi tych cholernych czarnuchów. Wózek minął osmaloną wieżę i zatrzymał się przed łukowatą bramą bloku B. Agry zerwał brezent. Na wózku stały beczka na ropę oraz dwie skrzynki butelek, z których szyjek zwisały skrawki materiału. Agry zaczął dyrygować swymi ludźmi, którzy ustawili wózek otwartą burtą w stronę bramy. Na jego rozkaz przechylili beczkę, aż z hukiem runęła na wysoki stopień progu, a jej zawartość rozlała się z pluskiem i popłynęła wartkim strumieniem.

- Jezu - jęknął Klein, gdy silna woń dotarła do jego nozdrzy.

Była to woń benzyny. Galony łatwopalnego płynu rozlewały się po głównym korytarzu bloku B. Ludzie Agry'ego odciągnęli wózek, a wnętrze Kleina ścisnęły się na dźwięk histerycznych krzyków zdesperowanych ludzi, którzy daremnie próbowali wydostać się z cel.

Połowa mieszkańców bloku, trzy gęsto zaludnione galerie - tyłu ich pozostało po tym, jak pierwsza tura czarnoskórych więźniów udała się na posiłek. A teraz mogli jedynie patrzeć przez kraty i wdychać w płuca smród płynu, w którym za chwilę mieli się usmażyć.

Agry teatralnym gestem wyjął z kieszeni koszuli pudełko zapalek.

Klein mocniej ścisnął w dłoni rewolwer i zamknął oczy. Mógł zastrzelić tego kutasa tu i teraz - być może zmieniłoby to wszystko. Mógł roznieść chory mózg Agry'ego na strzępy - może ocaliłby stado lajdaków od śmierci w płomieniach. I może bez przywódcy bunt zakończyłby się już teraz, nie przybierając rozmiarów wojny totalnej.

Tak. A może ludzie Agry'ego dopadliby Kleina i żywcem poćwiartowali... Przecież wystarczyłoby oddalić się teraz, wrócić do celi i zamknąć drzwi. I czekać, aż się to wszystko skończy.

Nie mój jebany interes.

Klein słyszał w życiu głosy bardzo wielu ludzi doświadczających strasznego bólu. Pamiętał dzieci uwięzione we wrakach samochodów, szlochanie człowieka, który za pomocą piły łańcuchowej - podskoczyła przypadkiem na gwoździu - uciął ośmioletniemu synkowi ramię. Nauczył się twardo znosić te dźwięki i robić swoje. Spróbował więc twardo znieść i to, co się teraz działo. Nie mój jebany interes. Tylko że tutaj nie było pracy do wykonania, w której mógłby się zatracić. Nie było nią zabicie Neva Agry'ego. Nie było to jego obowiązkiem. Był coś winien jedynie sobie. Musiał przetrwać i wyjść na wolność.

Lecz wszystkie okropności, których doświadczył w szpitalnym oddziale nagłych wypadków, nie przygotowały go na to, co teraz rozgrywało się na jego oczach: krzyki i zawodzenie uwięzionych ludzi, dobiegające z Doliny Długodystansowców, były najpotworniejszym dźwiękiem, jaki w życiu słyszał.

Nie. Więźniowie z bloku B to nie jego interes.

Stojąc przed łukowato zwieńczoną bramą, Agry zapalił całe pudełko zapalek i uniósł je wysoko nad głowę. Odwrócił się w stronę atrium i nagle Klein uświadomił sobie, że Agry spogląda na Claude'a. Chłopak wbił palce w jego ramię.

- Zawsze wierni! - ryknął Agry.

Rzucił płonące pudełko zapalek przez kratę i rzucił się do ucieczki.

Klein odwrócił się twarzą do ściany.

Sekundę później fala gorąca uderzyła w jego plecy, a odgłos wybuchu zagłuszył wrzaski skazanych na śmierć. Gdy znowu się odwrócił, Claude klęczał, szlochając rozpaczliwie i gryząc dłonie. Po jego twarzy spływały łzy.

- Jezu, Boże - płakał. - Jezu, Boże...

Agry stał otoczony kręgiem swych towarzyszy, którzy tańczyli i wiwatowali głośno, wymachując drewnianymi i stalowymi drągami.

Klein o mało co nie zwymiotował; wyraźnie czuł własne kwasy żołądkowe. Mógł rozwalić Agry'ego. Nie zrobił tego.

Będziesz z tym żył, pomyślał.

Zebrał siły. Wbrew sobie. Wbrew tej wewnętrznej słabości, wbrew żalowi, który mógł go zniszczyć.

Żyj z tym.

Klein musiał być twardy.

- Jezu, Boże - zawodził Claude.

Klein brutalnym szarpnięciem postawił go na nogi i krzyknął mu prosto w twarz:

- Musimy zadbać o siebie!

W tej samej chwili poczuł, że gardzi sam sobą.

Musiał być twardy.

- O siebie!

- Jezu, Boże.

Klein zadał sobie sporo trudu, by uspokoić oddech.

A potem pochylił się, objął Claude'a w talii i pociągnął za sobą w kierunku bramy bloku D.

ROZDZIAŁ 15

Victor Galindez rzucił się na płonącego strażnika, by zdusić ogień.

Ostry smród palących się włosów, skóry i materiału wypełnił jego nos i usta. Strażnik rzucał się pod nim i krzyczał bez wytchnienia. Za każdym razem gdy Galindez zdołał zdławić płomień w jakimś miejscu, nasączona benzyną tkanina niemal natychmiast na nowo zajmowała się ogniem. Wreszcie zaczął rozrywać bluzę, garściami odrywając ją od piersi strażnika. Wraz z materiałem odchodziły płyty skóry. Galindez wreszcie rozpoznał wrzeszczącego strażnika: to był Perkins.

- Galindez!

Sierżant odwrócił się i zobaczył Sunga, który stanął obok z gaśnicą w dłoniach. Przetoczył się na bok, a Sung okrył Perkinsa białą chmurą piany z dwutlenkiem węgla.

Ogień zgasł w ciągu paru sekund. Klęcząc i podpierając się rękami, Galindez spojrzał na rannego. Głowa Perkinsa była spękana, osmaloną bryłą; z pokrytej pęcherzami skóry sterczały resztki spalonych włosów. Powieki błyszczały od płynu ciekącego z uszkodzonej skóry. Perkins wyglądał tak przerażająco, że Galindez poczuł ucisk w odczuciu i jądrach. Pochylił się szybko, widząc, że ranny otwiera usta.

- Ludzie - wycharczał Perkins.

Umilkł, z trudem nabral powietrza i przemówił ponownie:

- Oni jeszcze tam są.

Galindez poczuł, że łzawią mu oczy. Potwornie okaleczony Perkins miał jeszcze siłę, by myśleć o ludziach, którzy mu podlegali. Galindez spojrział na Sunga.

- Musisz go stąd zabrać.

Od strony północnego muru dobiegł huk karabinowych wystrzałów. Galindez chwycił Perkinsa pod ramię. Sung rzucił gaśnicę i złapał za drugie. Razem podnieśli Perkinsa na nogi.

- Musisz iść, stary, rozumiesz? - wykrzyczał Galindez wprost do pomarszczonego ucha Perkinsa. - Musisz iść.

Perkins ledwie zauważalnie skinął głową. Z krótkofalówek, które mieli u bioder, dobiegła seria trzasków.

- Mówi Bill Cletus. Wszyscy funkcjonariusze zameldują się przy bramie głównej. Wyniesie się stamtąd. Powtarzam: spierdalać! Wszyscy do bramy. I to już.

Cletus powtórzył wiadomość jeszcze raz. Rozkaz był wyraźny: uciekać. Natychmiast. Galindez spojrział na blok B, a potem na Sunga.

- Zabieraj go - powiedział. - No, już!

Sung zarzucił ramię Perkinsa na swoje barki i objął go w pasie. Jest twardy, pomyślał Galindez. Wyniesie stąd Perkinsa. Sung skinął głową. Galindez odpowiedział tym samym.

Sung i Perkins ruszyli wolno przez dziedziniec.

Galindez uświadomił sobie, że ściska w ręku uchwyt gaśnicy, którą podniósł z ziemi. Jej ciężar, niczym ciężar jakiegoś wielkiego zobowiązania, rozciągał mu ramię.

Perkins do ostatniej chwili myślał o ludziach.

Galindez zasłonił oczy dłonią. Matko Boska. Zobaczył w pamięci twarze: żony Elisy, dzieci. Zobaczył długą podróż z Salwadoru do Panama City. I jeszcze dłuższą z Panamy do Laredo. Całą walkę i

cały ból, wszystko, co przeszedł, żeby osiągnąć to, co mieli. Także to, ile kosztowało go zostawienie za sobą tak wielu rzeczy. Wszystko, co stracili. Wspomnienia zlały się w jego umyśle w jeden skompresowany i straszny błysk świadomości. Tyle wyrzeczeń. Bóg jeden wiedział jak wiele. I jak bardzo było warto. Bóg jeden wiedział co Galindez musiał teraz zrobić, by zachować swą nieśmiertelną duszę.

Radio znów zaskrzeczało u jego biodra, ale nie słuchał. Nie zwracał też uwagi na strzały z wysokiego muru.

Perkins do ostatniej chwili myślał o ludziach.

O dwustu ludziach.

Opuścił rękę, odsłaniając oczy. Nie miał już wyboru.

Victor Galindez ruszył sprintem w stronę tylnej bramy bloku B.

Perkins otworzył ją, żeby uciec, i tym samym nieświadomie sprowadził na siebie nieszczęście: żywiol poszedł za nim, otaczając go kulą ognia. Objając udo gaśnicą, Galindez dobiegł do bramy i zatrzymał się. Wnętrze bloku B, które ukazało się jego oczom, było istnym piekłem. Do tej pory sądził, że piekłem były cele przesłuchań w jego ojczystym Salwadorze, ale to, co teraz zobaczył, na nowo zdefiniowało to słowo. To było piekło, którego wizję jezuici zaszczepili kiedyś w jego młodocianym umyśle. Centralny korytarz był rzeką ognia, najdzikszą w głębi skrzydła i stopniowo dogasającą od połowy korytarza. Do tylnej bramy, w której stał, prowadził już tylko osmalony ślad po kuli ognia. Gęsty, czarny dym kłębił się wysoko pod szklaną kopułą, odcinając dopływ światła i pomału zamieniając całe skrzydło w zbiorową mogiłę.

Galerie po prawej stronie były puste; w celach po lewej szaleli przerażeni więźniowie. Ci z najbliższych pomieszczeń dostrzegli Galindeza i zaczęli wzywać pomocy, bezradnie wyciągając ręce przez kraty. Mieszkańcy najdalszych cel nie zblizali się do drzwi; próbowali ukryć się w głębi swych klitek. Otwarcie krat nie było

możliwe z małej budki strażniczej obok tylnego wejścia, przy której stał Galindez, a jedynie ze stanowiska w przeciwnym końcu bloku B. Sięgnął po klucze, wbiegł do budki i otworzył stalową szafkę stojącą w kącie. Była pełna ubrań, buteleczek po olejku do opalania, pisemek pornograficznych, flaszek wody mineralnej i przypadkowych elementów sportowego ekwipunku. Perkins był flejtuchem. Galindez przebierał rupiecie tak długo, aż znalazł to, czego szukał: regulaminową maskę, używaną zazwyczaj podczas akcji z wykorzystaniem gazu łzawiącego. Już miał wyskoczyć z budki, gdy coś przykuło jego uwagę. Pod ścianą stały dwa wiadra z mopami, którymi więźniowie szorowali rankiem korytarz. Podbiegł do nich. Jedno z nich nadal było pełne mętnej wody. Galindez odstawił gaśnicę, zdjął czapkę, uniósł wiadro i zmoczył się cały, najlepiej jak potrafił. Gdy skończył, na powrót włożył czapkę. Okrzyki dobiegające z galerii nabrały nowej siły, gdy więźniowie zrozumieli, co Galindez zamierza zrobić.

- Twardy skurwiel!
- O kurwa! Kurwa!
- Pędź, facet, pędź!
- Leć, frajerze!
- Zapiierdalaj!

I Galindez pobiegł, dźwigając w rękę gaśnicę. Dopiero gdy pod wpływem ruchu z jego dłoni zaczęły się odrywać kawałki skóry, zauważył, że mocno poparzył ręce, kiedy zrywał z Perkinsa koszulę. Zacisnął palce jeszcze mocniej, żeby pokonać ból. W odległości kilku jardów od rzeki ognia poczuł na twarzy jej gorąco i zatrzymał się, stawiając gaśnicę na ziemi. Tam, gdzie zamierzał dotrzeć, nie było już tlenu. Odetchnął kilka razy, najgłębiej jak tylko mógł. Krzyki więźniów, choć coraz bardziej natarczywe, były prawie niesłyszalne przy trzaskających głośno płomieniach. Galindez włożył maskę przeciwgazową. Przez grube szkła nawet ogień wydawał się

zniekształcony. Skierował długą, czarną, stożkową dyszę gaśnicy na ziemię, tuż przed swoimi stopami, wymamrotał ostatnią modlitwę i otworzył strumień białej mgły.

Victor Galindez po raz ostatni zaczerpnął powietrza i wszedł w płomienie.

Nisko pochylony, krótkimi, łukowatymi ruchami oczyszczał pole przed sobą z płomieni, ale i z tlenu. Gdyby poruszał się zbyt szybko, wpadłby w ogień; gdyby zbyt wolno, nie dotarłby do końca korytarza. Po każdym kroku płomienie niemal natychmiast zamykały się za nim i czuł, jak parzą jego plecy. Czuł też, że jego mokre włosy wystające spod czapki z sykiem zaczynają przylepiać się do skóry. Spokojnie. Spokojnie. Jeden krok, potem następny. Pod gumową maską pot zalewał mu oczy i parował na szkła. Nie oddychaj. Tu nie ma tlenu. Słyszał już tylko huk płomieni i głośny szum dyszy. A teraz idź na ślepo. Spokojnie. Spokojnie. Jedna stopa, potem druga. Miał nadzieję, że kroczy po prostej. Miał nadzieję, wątpił, modlił się i przypuszczał, że w końcu wpakuje się prosto w kratę którejś z cel. Gdyby tak się stało, byłoby po nim. Chciał zawrócić. Nie ośmielił się. Chciał biec. Nie ośmielił się. Chciał oddychać. Nie ośmielił się. Nie zawracaj. Nie biegnij. Nie oddychaj. Stracił poczucie czasu i odległości; sekundy ciągnęły się jak godziny. Ale przecież musiał już być blisko. Musiał być blisko. Nagle uderzył barkiem w coś twardego. To nie pręty, pomyślał. Coś gładkiego i twardego, ale nie masywnego. Szkło. Szkło. Zatem minął już kraty cel. Gorąco było nie do zniesienia. Znowu zatoczył gaśnicą półkole wokół swoich stóp i zaczął przesuwac się w bok, oparty plecami o gładką taflę szyby. Głowa mu pękała z gorąca, klaustrofobicznych doznań i uciążliwego wstrzymywania oddechu. Wtem gładka tafla skończyła się i omal nie upadł.

Zrozumiał, że szklana tafla była obudową wewnętrznej strażnicy, a potknął się o próg pod odsuwanymi drzwiami, które ktoś pozostawił

na wpół otwarte. Przesunął je dalej i znalazł się w środku. Zatrzasnął drzwi za sobą. Gaśnica wypadła mu z dłoni. Z ulgą wypuścił powietrze z piersi i oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Dym. Dym. Więcej dymu niż tlenu. Na szczęście maska chroniła jego płuca. Wciąż prawie nic nie widział. Poruszał się po omacku, wyjmując jednocześnie pęk kluczy z kieszeni. Wreszcie odnalazł panel kontrolny, sterujący pracą drzwi na wszystkich galeriach. Wyczuł palcami zamek, wsunął swój klucz dostępu i przekręcił go. Klawiatura czekała na kod: 101757. Modlił się, by sekwencja cyfr, którą zapamiętał, była poprawna. Zdjął maskę, żeby widzieć, co robi, i natychmiast poczuł w gardle i oczach gryzący dym. Wpatrując się w klawiaturę, wbił kod. Pauza, która teraz nastąpiła, zdawała się trwać całą wieczność. Matko Boska.

Wolno narastający łoskot stali toczącej się po kamieniach stał się wreszcie głośniejszy od huku płomieni. Półprzytomny Galindez usłyszał też głośne okrzyki ulgi. Opadł ciężko na panel kontrolny; każdy oddech był jak drut kolczasty obłany odplamiaczem i wepchnięty do jego płuc. Włożył maskę, odepchnął się od pulpitu i chwycił gaśnicę. Przesunął szklane drzwi i przystanął na progu. Przez zamglone szybki dostrzegł postać owiniętą mokrą kołdrą - biegła w kierunku atrium. Lepiej na dziedziniec, pomyślał. Bezpieczniej. Stamtąd przynajmniej można dotrzeć do infirmerii. Lecz coraz więcej więźniów mijało strażnicę, kierując się ku centralnemu punktowi więzienia. Rzeczywiście, na dziedzińcu byłoby bezpieczniej, ale Galindez czuł, że po raz drugi nie stawi czoła ogniewi. Podążył śladem uciekających.

Wystarczyło przebiec jeszcze pięć metrów. Galindez wreszcie wyrwał się z morza płomieni, w jasną przestrzeń pod centralną kopułą gmachu. Wypuścił z rąk gaśnicę, opadł na kolana i zerwał z twarzy maskę. Widział nogi więźniów, którzy mijali go w biegu. Słyszał odgłosy chaosu i aktów przemocy.

Wreszcie uniósł głowę, by zorientować się w sytuacji - i właśnie w tym momencie coś twardego i ciężkiego uderzyło go w potylicę.
Chaos zmienił się w mrok.

ROZDZIAŁ 16

W bloku D wybuchła już orgia zniszczenia. Ogromna większość skazanych nie miała pojęcia o wojnie zaplanowanej przez Agry'ego, a jednak wszyscy, co do jednego, jak gdyby pod wpływem zaprogramowanego, instynktownego impulsu, ochoczo zabrali się do demolowania więzienia, gdy tylko nadarzyła się okazja. Uderzyli na wiekowe mury, na stolarkę, co łatwiejszą do zniszczenia armaturę, na meble w celach, a nawet na bruk korytarzy, posługując się wszelkimi narzędziami, jakie udało im się znaleźć; czymkolwiek, czym dało się zamachnąć. Z dziesiątek cel wypływały potoki wody z urwanych kranów i celowo zapchanych toalet; opadały kaskadami w dół, z górnych galerii. Porwane prześcieradła i trzewia rozprutych materacy fruwały w powietrzu. Wszystkiemu zaś towarzyszył hałas, zgiełk bezmyślnej dewastacji i gigantycznej wściekłości, zbyt długo magazynowanej i nareszcie uwolnionej.

Klein kroczył przez ten Armagedon z kamienną twarzą.

Tuż za nim kuśtykał kompletnie skołowany Claude Toussaint. Klein ciągnął go za sobą wzdłuż dolnego rzędu cel, nie zważając na złowrogie spojrzenia, które posyłali chłopakowi skazańcy. Żaden z nich zresztą nie ośmielił się go tknąć, choć był czarny. Klein zatrzymał się dopiero przed celą Agry'ego i energicznym ruchem głowy nakazał Claude'owi wejść do środka.

- Zabierz mnie ze sobą - powiedział Claude, patrząc mu w oczy.

- Czekaj na Agry'ego - odparł Klein. - Tu będziesz bezpieczny.
- Boję się - wyznał Claude.

Klein patrzył na niego i widział błagające dziecko. Pomyślał o Winniem Lopezie. Ten sam wiek. Dwadzieścia dwa lata. Zmusił się do nieczułości. Potrzebował swej klatki ze stali i lodu bardziej niż kiedykolwiek. Pokręcił głową.

- Zostajesz sam, Claude. Jeżeli będziesz się trzymał przy mnie, Agry dobierze się do nas obu. - Położył dłoń na karku Claude'a i zacisnął ją delikatnie. - Posłuchaj, naprawdę nie sędzę, żeby Agry chciał cię zabić. Jeżeli wytrzymałeś to, co zwykle z tobą robił, wytrzymasz i to. Obaj wytrzymamy. Rozumiesz? Wytrzymaj.

Po chwili Claude skinął głową.

- Lepiej się przebiorę - powiedział.

Klein nagle zdał sobie sprawę, co oznacza dla Claude'a słowo „wytrzymać”. Cofnął rękę i z trudem przełknął ślinę. Claude odwrócił się i nie spoglądając za siebie, zniknął za muślinową zasłoną.

Klein wrócił do spiralnych schodów, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, i wspiął się po nich na drugie piętro. Odepchnął po drodze dwóch więźniów, którzy właśnie zbiegali na dół. Kluczył pomiędzy gratami, które nie wiadomo skąd pojawiły się na galerii, i spoglądał raz po raz na tych, którzy zdecydowali się pozostać w celach i po cichu przeczekać bunt w nadziei, że nikt nie będzie miał do nich pretensji. Gdy dotarł do własnej klatki, na dobry początek zdjął ze ściany lustro i postawił je na podłodze, między prętami kraty, w taki sposób, by widzieć w nim schody, fragment galerii oraz każdego, kto zechce się zbliżyć. Następnie sięgnął do kieszeni i wyjął pistolet, który odebrał Grauerholzowi. Zakręcił bębнем: pięć nabojów. Jezu Chryste. Klein opuścił kurek na pierwszym z nabojów, zaraz za pustą komorą. Mógł teraz oddać cztery strzały pod rząd, a potem głuche kliknięcie przypomniał mu, że została mu ostatnia kula. Może będzie jej potrzebował dla siebie? Zacisnął zęby i odłożył broń. Każdy,

kto zechciałby otworzyć drzwi, był trupem. Każdy, kto padłby na progu i w kałuży krwi błagał o pomoc, miał tam szeznąć. Klein nie zamierzał wychodzić z celi dla nikogo i z żadnej przyczyny, aż bunt wypali się do cna i nadejdzie wolność.

Zerknął na lustro oparte o kratę i jego uwagę przykuł przylepiony doń skrawek taśmy.

NIE MÓJ JEBANY INTERES

Ray Klein domknął przesuwane drzwi celi i położył się na pryczy, aby poczekać na rozwój wydarzeń.

ROZDZIAŁ 17

Naczelnik Hobbes stał przy północnym oknie gabinetu i spoglądał na swe więzienie. Podziwiał jego bajeczną geometrię, która w południowym słońcu lśniła blaskiem ciemnego złota.

Nad tylną bramą bloku B unosił się dym.

Z wieżyczek strażniczych raz po raz padały karabinowe strzały.

Dziedziniec był pusty, jeśli nie liczyć kilku rannych leżących na ziemi. Wszyscy byli ubrani w niebieskie dreluchy.

Hobbes nie wiedział, co się dzieje w samym gmachu więzienia, ale się domyślał.

Nagle zadzwonił telefon stojący na biurku, za jego plecami.

Naczelnik nie zareagował. Do jego świadomości powróciło wspomnienie z przeszłości, które potężne wewnętrzne siły pozostające poza jego kontrolą od dawna trzymały w ukryciu. Powróciło jak nocny gość, którego stukanie do drzwi raczej się wyczuwa, niż słyszy. Było to wspomnienie zapachu, wspomnienie odoru, który drażnił nozdrza. Hobbes mimowolnie wzruszył ramionami, czując nagły dreszcz, ale się opanował.

Po raz pierwszy od nieskończonego długiego czasu jego umysł był pusty, wolny od myśli, słów i zamiarów. Czas przeszły i czas przyszły zlały się wreszcie w jedno, w doniosły czas teraźniejszy.

Hobbes zerknął na zegarek.

Jeśli wierzyć relacji strażnika z wartowni na zachodnim murze, zaledwie dwadzieścia trzy minuty temu wywleczono wrzeszczącego i zakrwawionego Sonny'ego Weira z hangaru z materiałami budowlanymi. Tylko tyle czasu potrzeba było na przejście od absolutnego porządku do absolutnej anarchii.

Telefon dzwonił, a Hobbes konsekwentnie go ignorował.

Takiej chwili nie należało kłaść trywialnymi sprawami. Był to ważny moment w historii, ba, historyczny moment! Zasługiwał więc na kilka sekund poważnej refleksji - przynajmniej w wykonaniu naczelnika.

Telefon dzwonił, a Hobbes wciąż go ignorował.

W końcu po raz pierwszy od stu czterech lat Więzienie Stanowe Green River zostało oddane w ręce samych więźniów - mogli je wykorzystać wedle własnego uznania.

CZEŚĆ DRUGA
RZEKA

ROZDZIAŁ 18

Nev Agry wiedział, że jego zaufanie do Claudine nie może sięgać dalej niż jego kutas w jej dupę i pod każdym względem był to dystans wielce niezadowolający.

Z drugiej jednak strony, czy warto było posiadać kobietę, której można było ufać od początku do końca? Jezu, nie; Agry mógł o tym zaświadczyć z własnego doświadczenia. Absolutnie najgorszym rokiem w jego życiu - włącznie z czasem spędzonym w River - był ten sprzed blisko dwudziestu lat, spędzony z kobietą, którą - idiota - poślubił. Potrafiła wydać u rzeźnika całą ciężko zarobioną przez niego kasę, doprowadzała go do szaleństwa swoim marudzeniem, a na dokładkę ofiarowała mu seks dziesiątej kategorii, kładąc się nieodmiennie na plecach z taką łaską, jakby otwierała przed nim bramy pierdolonego raj! Była przy tym niezmiernie oddana i wierna od rana do wieczora, o czym przypominała mu bez przerwy, spodziewając się za to dozgonnej wdzięczności. Tego dnia, kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, Agry bez słowa spakował swą zieloną torbę, nie patrząc na jej zapłakaną i zapuchniętą twarz, po czym opuścił miasto pierwszym pociągiem towarowym jadącym na wschód. I choć zdarzyło mu się później dokonać wielu szalonych czynów - w tym puszczenia z dymem bloku B tylko po to, by odzyskać Claudine - to nic w całej historii jego życia nie zdumiewało go tak bardzo jak to, że swego czasu poślubił Marszę.

Od tamtej pory zdecydowanie wołał kobiety o mocno suchym charakterze. Wiedział przynajmniej, że będą zainteresowane wyłącznie jego portfelem - a jeśli miał szczęście, także tym, co nosił w spodniach - a nie wyrwaniem mu z życiorysu kolejnych czterdziestu lat. Przy takich jak one musiał być czujny. Na dodatek seks z nimi był bez porównania lepszy, a czy mężczyzna kiedykolwiek potrzebował kobiety w innym celu? Agry uważał, że nie. Niemniej i tak najwięcej rozkoszy w całym jego życiu dał mu seks w więzieniu. A ze wszystkich więziennych numerków najwspanialsze były te, które zaliczył z Claudine. Podczas gdy jego ludzie rozwalali Green River, Agry chlał dobrego bourbona i rznął Claudine przez równe czterdzieści pięć minut, zmagając się ze skutkami działania amfy, która opóźniała wytrysk. A kiedy wreszcie doszedł, orgazm był tak potężny, że omal nie rozerwał go od środka.

Później przez kilka długich chwil coś ścisnęło go za gardło i omal się nie rozpląkał, choć wcale nie wiedział dlaczego. Aż nagle zdał sobie sprawę, że czuje się kompletny, spełniony - i to po raz pierwszy w życiu. Pocałował Claudine w kark. Jej żółtawa skóra lśniła w blasku świec, zroszona kroplami jego potu. Claudine zamruczała. Uczucie spełnienia było fantastyczne.

Nev Agry nie wszedł przypadkiem na drogę przestępstwa - wybrał ją całkiem świadomie. Kiedy jechał owym pociągiem towarowym, doszedł do wniosku, że roczne małżeństwo było w jego życiu ostatnim przypadkowym epizodem. Spiknął się na nowo z paroma kumplami z wojskowego aresztu i razem obrobili bank w Starkville w Missisipi. Połączenie inteligencji, woli oraz agresji uczyniło zeń naturalnego przywódcę małej bandy i Nev polubił tę rolę. Przez osiem lat wiódł dostatnie życie dzięki zyskom z napadów na małomiasteczkowe banki w Montanie, Michigan, na Florydzie - nigdy dwa razy w tym samym stanie.

Zabił wtedy w sumie pięciu ludzi: jednego cywila, dwóch strażników

bankowych, zastępcę szeryfa oraz jednego z partnerów, który zbyt ostro krytykował wielkość udziału Neva w łupach. W wyniku pierwszego i ostatniego ataku na bank w Teksasie, w Sulphur Springs, jeden gliniarz został sparaliżowany od pasa w dół, a w czaszce drugiego umieszczono tytanową płytkę. Trzydzieści pięć lat do dożywania.

Na ulicy Agry żył w zasadzie poza społeczeństwem, na którym zerował, i nie zwracał wielkiej uwagi na rządzące nim mechanizmy. Za kratami, rzucony w społeczność o gęstej i sztywnej strukturze, od której nie mógł uciec, zauważył, że liczą się tak naprawdę tylko dwa mechanizmy, dominacja i podporządkowanie, oraz że istnieją tylko dwa rodzaje więźniów, przywódcy i podwładni. Ci ostatni stanowili ogromną większość. Stwierdził też, że w pewnych momentach podporządkowanie się jest ścieżką do dominacji. Nie można było przekreślić hierarchii. Agry nauczył się tego w trudny sposób, jako nastoletni żołnierz piechoty morskiej, gdy złamał szczękę sierżantowi od musztry. W samej hierarchii kryła się władza, nie w poszczególnych ludziach, którzy ją tworzyli. Słabeusz osadzony w hierarchii był znacznie potężniejszy niż wykluczony z niej siłacz.

Nev był silny, a kiedy zjawił się w River, jeden z szefów bloku D, Jack „Młot” Cutler, właśnie dochodził do siebie po drugim zawale. Jack poruszał się wtedy na wózku; pobyt w infirmerii odebrał mu ikrę i cała jego załoga zaczęła się rozłazić, bo brakowało jej siły i wpływów. Agry postanowił dołączyć właśnie do tej najsłabszej ekipy. Jednocześnie zaprzyjaźnił się z Dennisem Terrym z Konserwatorni. Nie odpuścił sobie też zalotów do Billa Cletusa, wówczas jedynie sierżanta. Korzystając z kontaktów Terry'ego z zewnętrznymi dostawcami oraz z własnych, jeszcze świeżych więzów ze światem zewnętrznym, zorganizował całkiem nową siatkę przemycniczą, wzmocnił załogę Cutlera i stał się jego prawą ręką. W końcu dogadał

się z Cletusem i pewnej nocy drzwi jego celi oraz celi Cutlera pozostały otwarte. Nad ranem zakradł się do szefa, ukląkł na jego piersi i zasłonił dłonią usta i nos. Gdy rannikiem znaleziono Cutlera, stwierdzono zgon z powodu trzeciego zawału serca.

Wewnętrzna gospodarka więzienia Green River była równie złożona jak ta na Manhattanie. Dwa tysiące pięciuset facetów mieszkało i pracowało w tej pieprzonej norze. Każdy z nich czegoś potrzebował: domowych sprzętów, seksu, prochów, czasopism, tytoniu, słodyczy, zdjęć dziewczyn oraz wszelkich innych okrucich rozkoszy, które mogły im przynieść ulgę. Wymiana twarzy odbywała się w River w szybkim tempie. Jądrem społeczności pozostawali więźniowie z długimi wyrokami, ale Agry szacował, że w dwuletnim cyklu wymianie podlegało mniej więcej 80 procent więźniów. Każdy z tych ludzi miał gości - dziewczynę, żonę, brata, matkę - a goście przynosili prezenty: gotówkę i prochy. Mamusia, która ze łzami w oczach całowała synka na do widzenia, wręczała mu cichaczem pęk dwudziestek, a czasem i stówek. Dziewczyna, która odwiedzała chłopaka, mogła trzymać w ustach albo cipie kondom zawierający gram lub dwa koki. Poczta również dostarczała prezenty: radia albo sportowe buty z małą niespodzianką w środku. Więźniowie zarabiali też co nieco dzięki pracy. Rocznie około miliona dolców - a może i dwa - w twardej gotówce wpływało więc do River i podlegało wymianie na dobra i usługi, po czym znowu wypływało za mury w kieszeniach kierowców ciężarówek, dostawców i strażników. Dla więźnia gotówka warta była tyle, co papier toaletowy. Agry natomiast potrafił wymienić ją na coś, czego skazani chcieli: na coś, co łagodziło ból kary, co przypominało tęskniącym duszom o wszystkich sprawach, które pozostawili na zewnątrz.

Czasem myślał sobie, że osiągnął w więzieniu więcej, niż udałoby mu się za murem. Prowadził firmę, organizację, na najtrudniejszym

z rynków. Niektórzy z jego ludzi nie odróżniali gówna od pasty do zębów, ale gdyby tylko poprosił, przebiliby się łbami przez kraty swoich cel. Inni, jak Tony Shockner, mieli więcej rozumu niż on sam i zajmowali się wieloma szczegółikami, do których nie miał głowy. Gdy trzeba było kogoś ukarać, zawsze następowało to szybko i w ekstremalnie brutalny sposób. Zwykle zajmowali się tym jego podwładni. Od czasu do czasu, gdy usłyszał, że któryś z nowicjuszy uważa go za mięczaka, pozwalał sobie na spazm własnej, nieposkromionej brutalności.

Załoga Agry'ego dostarczała prochy i trunki dla bloku D, resztę więzienia pozostawiając DuBois i Grauerholzowi. Narkotyki przynosiły niezły pieniąż, ale obrót tak powszechnie dostępnym dobrem nie należał do największych. Agry uważał, że więcej zarobi na sprzęcie elektrycznym i pornografii niż Larry na kokainie i meksykańskiej herze. Stworzył coś nadzwyczajnego; takiego słowa użył kiedyś Klein, gdy wpadł do Claudine na herbatę i ciasteczka. Agry jakoś nigdy go nie polubił. Klein był zbyt samowystarczalny. Był mocnym outsiderem i to czyniło go niezwykłym. Może nawet jedynym w swoim rodzaju. A może po prostu Agry był odrobinę zazdrosny o to, jak śmiała się Claudine, gdy Klein powiedział coś zabawnego, co oczywiście jemu nigdy nie przyszłoby do głowy. Lecz z drugiej strony, Klein nie stanowił zagrożenia i miał dobry wpływ na Claudine. A na dodatek zapewnił Agry'emu znacznie lepsze leczenie tych przeklętych, nawracających infekcji płuc niż ten cwel Bahr. W duchu Agry był mu też wdzięczny za to słowo: „nadzwyczajny”. Nikt nigdy nie mówił w taki sposób o nim i o jego działaniach. Teraz zaś jego nadzwyczajne dzieło rozpadało się na części...

A mimo to Agry, pocąc się w blasku świateł, czuł się spełniony.

W jego sypialni było duszno i gorąco, za sprawą dwóch rozgrzanych ciał. Krople potu ściekały po skórze jego głowy, a jasne z natury

włosy na jego piersi i brzuchu wydawały się ciemne. Za to Claudine, w samej bieliźnie i z czerwoną szminką na ustach, wyglądała jak milion dolarów. Agry uśmiechnął się do siebie. Kosztowała stan Teksas co najmniej tyle, a pewnie i więcej, teraz, kiedy w jej obronie więźniowie obracali tę budę w perzynę. On sam także miał za to zapłacić, ale zniósłby wszystko, by dostać to, co teraz miał: tę chudą, piszczącą sukę u swego boku.

Agry posiadał dwie podwójne cele na najniższym poziomie bloku D, połączone ze sobą za gigantyczną łapówkę wypłaconą Billowi Cletusowi. Starczyło w nich miejsca na podwójne łoża z materacem ortopedycznym i pościel w kolorze brzoskwiniowym. Światła było o tej porze niewiele i na stole płonęły świece, rzucając drżące cienie na surowe, granitowe bloki ścian. Agry pomyślał, że romantycznie to wygląda, i miał nadzieję, że Claudine jest tego samego zdania, chociaż jeszcze się nie odezwała. Coś wisiało w powietrzu między nimi i należało tę sprawę wyjaśnić.

- Dlaczego mnie zostawiłaś? - spytał.

Claudine spróbowała odwrócić głowę ku niemu, ale powstrzymał ją, kładąc rękę na jej szyi. Docisnął palce na tyle, by poczuć pod nimi puls. Był równy, spokojny; nie przekraczał osiemdziesięciu, mimo iż wciągała wcześniej speed. Claudine była sprytniejsza i twardsza, niż się większości współwięźniów wydawało. Wypadła z dziury między nogami mamusi wprost do nędznej dzielnicy Nowego Orleanu i od najmłodszych lat musiała kombinować, by przeżyć.

- Nie zostawiłam cię, skarbie - odpowiedziała. - To oni mnie zabrali. Przecież pamiętasz.

Agry rzeczywiście pamiętał. Czuł się wtedy tak, jakby wbijali tępe gwoździe w jego dłonie. I w czubeczek kutasa. Cletus, którego kieszenie wiele razy pękały od pieniędzy Agry'ego, zjawił się z

sześcioma ludźmi w pancerzach i futbolowych kaskach, by w biały dzień naruszyć jego azyl. Wywłókł Claudine z celi i pomaszzerował z nią prosto do bloku B. Gdy tak truchtała po galerii w swych wysokich obcasach, za które Agry zapłacił majątek, a Cletus dźgał ją służbową pałką w plecy, pozostałych sześciu klawiszy przygwoździło Agry'ego do podłogi, podczas gdy on wrywał się i tocząc pianę z ust, groził uśmierceniem ich rodzin.

Nigdy nie doznał takiego upokorzenia. Odmówili nawet zamknięcia go w izolatce, co pozwoliłoby mu zachować choć pozory godności. Napisał chyba tuzin pism do Hobbesa, prosząc o spotkanie i wyjaśnienie. Wszystkie doczekały się odmownej odpowiedzi, a Hobbes, wielkie, kurwa, panisko, uświadomił mu dobitnie, że żaden z funkcjonariuszy więziennictwa, a już zwłaszcza sam naczelnik, nie ma obowiązku tłumaczyć się ze swoich uczynków przed „takimi jak on”. Takimi jak on. Hobbes miał nawet czelność zakończyć swój list jakimś pieprzonym cytatem: „Miastem odkrytym, bez murów, jest człowiek nieopanowany”*.

Cokolwiek to miało, kurwa, znaczyć. Od strażników udało się wyciągnąć jedynie tyle, że ponoć Hobbes przeziósł Claudine, żeby zrobić przyjemność czarnuchom, a przede wszystkim najczarniejszemu z czarnych skurwysynów, Reubenowi Wilsonowi, który uważał, że „niewola” Claudine w bloku D jest hańbą dla całej murzyńskiej społeczności. Tak jakby istniała jakaś hańba, której nie doświadczyli przez sam fakt przyjscia na ten kurwski świat! Agry postanowił jednak, że znajdzie dla nich coś specjalnego: spali skurwieli na proch, i to we własnych celach, załatwi ich raz na zawsze.

* *Biblia Tysiąclecia*, Prz 25,28 (przyp. tłum.).

A jeśli chodzi o Hobbesa, który lizał dupę Reubenowi Wilsonowi, to jedynym miastem bez murów miała się wkrótce stać jego ukochana dziecina, to pierdolone więzienie. Agry pozwolił sobie na moment

milczącego triumfu, ale wiedział, że czeka go jeszcze sporo roboty, solidnej roboty. Jeżeli wcześniej wszyscy - to jest Hobbes i Wilson - nie byli przeciwko niemu, to teraz na pewno się to zmieniło. Człowiek nieopanowany, też coś! Agry panował nad sobą. I pokazał im wszystkim. Ale teraz musiał się zająć Claudine i jej zdradą. Trzy dni wcześniej dostał anonim, napisany na maszynie: Toussaint stanie przed komisją zwolnień warunkowych. Ale czy była gotowa się przyznać? Agry pochylił się nad jej karkiem i przycisnął.

- Kto wpadł na pomysł, żeby zabrać cię do B? - spytał.

Ciężar wgniół twarz Claudine w materac, zniekształcając jej głos.

- Nie wiem. Na pewno nie ja.

- Może Wilson?

Claudine nie odpowiedziała. Agry na moment zacisnął dłoń.

- Wilson! Wilson!

Jej kark był bardzo bliski złamania. Wiła się i wyrывała, nie mogąc otworzyć ust. Agry odpuścił nieco.

- Tak, Wilson - zapiszczała w poduszkę Claudine. - Wilson o to prosił. Nie wiem dlaczego. Nie wiem.

- Kto ci o tym mówił?

- Stokely Johnson.

- Co dokładnie powiedział? - warknął Agry.

- Sam nie wiedział dlaczego. Mówił tylko, że to hańba dla braci i gdyby to od niego zależało, toby mnie zabił.

- To wszystko? Na pewno?

- Wszystko.

- Ty kłamliwa mulacka suko.

- Źle mnie tam traktowali, Nev. Bardzo źle. Nie masz pojęcia, jak bardzo źle.

Przez sekundę Agry czuł już w gardle rozkosz, jaką dałoby mu zabicie jej na miejscu. Na końcu języka miał słowa, którymi zarzuciłby

jej, że łże, że od początku chodziło o zwolnienie warunkowe. Ale powstrzymał się. Dopóki on wiedział, a ona nie, kontrolował sytuację. Na pewno zdarzy się jeszcze okazja, żeby ją zdemaskować. Agry zdjął rękę z jej szyi.

Claudine zaczęła cichutko kaszleć i w tym momencie Agry, który ją obserwował, poczuł dławiący żal i zrozumiał. Była tylko człowiekiem. Dlaczego nie miałyby marzyć o wydostaniu się z tej pieprzonej nory? Potrzebowała czasu, współczucia, czułości, całego tego gówna, o którym tyle czytał w „GQ” - ponoć wszystkie damy tego potrzebują. Na stole, obok świec, stała butelka oliwki dla niemowląt firmy Johnson's. Pochylił się nad Claudine, sięgnął po butelkę i wylał odrobinę na dłoń. Przesunął ręką po jej plecach, rozprowadzając oliwkę cienką warstwą.

- I jak, skarbie? - spytał.

- Dobrze - odpowiedziała Claudine, nie otwierając oczu.

Agry podparł się lewym łokciem i zaczął wmasowywać oliwkę w jej ciało, cał po calu. O tym też czytał w „GQ”. Laski to uwielbiały. Nie chciały w kółko się pieprzyć. Zresztą i on sam nigdy nie miał dość skóry Claudine, jej barwy, gładkości oraz tego, jak cudownie odbijał się w niej blask świec. Jej piękno przenikało do niego opuszkami palców, gasząc z wolna wściekłość i odnawiając zachwiane poczucie spełnienia. A było to spełnienie godne króla. Jedyne go króla. Nev Agry był królem i sprawował pełnię władzy, na którą zasłużył podbojem i zwycięstwem. Królem świata. Jego ludzie kroczyli teraz ulicami tego świata, paląc, gwałcąc i rabując - bo takie jest prawo zwycięskiej armii. Pokonali liczniejszego przeciwnika swym bezgranicznym oddaniem sprawie. A on, Nev Agry, narzucił swoją wolę w miejscu, które było największym skupiskiem ludzkiego nieposłuszeństwa, anarchii i rozpaczliwej, psychopatycznej desperacji, jakie można było znaleźć na tym kontynencie. Wypędził

falszywych władców ze swego pałacu. Odegnął barbarzyńców od bram. Odzyskał porwaną królową dzięki szybkiemu i bezlitosnemu kontratakowi. Jego słowo było sprawiedliwością. Jego słowo było prawem, a smak tego słowa na jego języku był słodki.

Wszystko, co wydarzyło się wcześniej i co dopiero miało nadejść, było warte tej chwili. I niech diabli wezmą, co zechcą. Większość ludzi brnęła przez życie na kolanach, w strachu, urabiając ręce dla tego, kto stał nad nimi z batem. Bat zresztą zawsze się znalazł, i na bogatych, i na biednych, bo jego świst każdy słyszał we własnej głowie: był nim strach przed śmiercią. To dlatego człowiek pozwala, by jego szef szczał mu prosto w usta albo by chciwa kobieta miażdżyła mu jaja - wszystko ze strachu przed śmiercią. Ale Nev Agry nie znał lęku. Był wyjątkowy. Był nadzwyczajny. Był królem i sprawował pełnię władzy. Nie bał się ani Boga, ani człowieka.

Claudine skrzywiła się i pisnęła, a Agry, wyrwany z zamyślenia, ponownie skupił się na zadaniu: nacieraniu oliwką jej pleców.

- Przepraszam, skarbie - powiedział. - Za mocno przycisnąłem?
- Troszeczkę - odpowiedziała.

Agry nacisnął w tym samym miejscu - na dolne żebra po lewej stronie - i znowu się skrzywiła. W piersi Agry'ego jęła narastać ciemność. Claudine miała też siniaka na policzku; mówiła wcześniej, że uderzyła się, kiedy wracała z kuchni.

- To siniak - stwierdził.

Claudine nie odpowiedziała. Agry złapał ją za ramię i przewrócił na plecy. Patrzyła na niego tylko przez sekundę, ale zdążył zobaczyć w jej oczach strach. Nie chciał, żeby czuła strach. Nie przed nim. A każdy inny człowiek, którego by się bała, musiałby zginąć. Zamknęła oczy.

- Co ci zrobił Johnson? - spytał Agry.

Claudine zakryła oczy przedramieniem. Zaciśnęła szczęki, by zapanować nad drżeniem warg. Agry poczuł, że jego serce topnieje.

Zanotował w pamięci, że musi jeszcze raz przejrzeć tamten artykuł w „GQ”.

- Skarbie - powiedział, gładząc jej włosy. - Nie musisz tego zatrzymywać dla siebie. Nic dobrego nie wyniknie z tego, że będziesz to rozpamiętywać. - Wreszcie przyszło mu na myśl właściwe słowo. - To traumatyczne.

Claudine wybuchła płaczem. Cholera, to naprawdę działa, pomyślał Agry. Był dumny, że stać go na taką wrażliwość. I wreszcie Claudine zdobyła się na kilka słów:

- Johnson mnie gwałcił.

Agry objął Claudine i przycisnął mocno do siebie. Ciemność w jego piersi rozrosła się niesamowicie i stała się niezgłębioną czernią, która sięgała nawet jego oczu i przyprawiała go o zawroty głowy. Zacisnął ramiona. Owa czerń była otchłanią, którą należało napęłnić ludzkim bólem. To nie mogło być nic innego. Ani wolność, ani bogactwo, ani miłość. Tylko ból. Rozległ się trzask i Claudine jęknęła cicho. Agry skoncentrował się i zdołał rozluźnić uścisk. Obraz twarzy Johnsona stanął mu przed oczami i ciemność ustąpiła, a na jej miejsce zjawił się odruch wymiotny. Agry zwalczył go w sobie i sięgnął po butelkę Maker's Mark, która stała na stole. Właśnie potwierdziły się jego najgorsze fantazje. Przytknął szyjkę do ust i pociągnął łyk. Przełknął, nie tracąc tchu, i odstawił flaszkę. Nie, nie najgorsze. Przecież Claudine nie chciała Johnsona. Zastrany czarnuch musiał ją zgwałcić. Agry znowu miał ochotę zacisnąć palce na gardle Claudine. W milczeniu pogładził jej włosy. Nareszcie opuściła ramię i spojrzała na niego swymi wielkimi, wilgotnymi, piwnymi oczami.

- Przepraszam - powiedziała.
- Już dobrze - odparł Agry bez przekonania.
- Wiesz, czym mi groził?
- Powiedziałem: już dobrze, na miłość boską! On nie żyje. Żałuję, że tak jest, ale niestety, skurwiel nie żyje.

- Może pocieszysz cię to - odparła Claudine - że zawsze używał gumy.

- Jezu - jęknął Agry.

Po niedawnym uczuciu spełnienia nie został w nim nawet ślad. Agry poczuł się nagle boleśnie świadom własnego ciała. Nie był już tak silny jak dawniej, choć starał się pozostać w formie. Nadal potrafił wycisnąć osiemdziesiąt kilogramów w sześciu powtórzeniach. Jego ciało nie umiało jednak wyeksponować tej siły. Miał szeroki tułów i biodra, krótkie ramiona, a do tego był o piętnaście czy dwadzieścia lat starszy od Johnsona. Wkurzało go to. I nagle gdzieś w jego trzewiach pojawiło się pytanie. Jego fiut zwiądnął nagle, a w umyśle, wbrew jego woli, pojawiło się pytanie: dręczące, ważne, natarczywe. Czuł, że dusząca obręcz niepokoju zaciska się wokół jego piersi. Musiał je zadać.

- Jaki był? - Agry nie potrafił spojrzeć Claudine w oczy.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli dokładnie to, kurwa, co ci się zdaje - odparował Agry ze złością.

Claudine skuliła się i przez moment Agry nawet się cieszył, widząc w jej twarzy strach. Niech tylko jebana suka podskoczy, a tak ją załatwię, że groźby Stokely'ego Johnsona wydadzą jej się obietnicą operacji plastycznej. Agry z opóźnieniem zapanował nad sobą. Uspokoił się. Jezu Chryste. Johnson był przecież tylko zdechłym czarnuchem. On, Nev Agry, był królem świata. Cieszył się, że tylko Claudine jest świadkiem tego, co przeżywał. Starł krople potu z twarzy i strząsnął je na ścianę.

- No więc? - spytał. - Mów prawdę. Kłamstwa nie poprawią mi humoru.

- Miał dłuższego niż ty - odpowiedziała Claudine.

Obręcz wokół piersi Agry'ego zacisnęła się o kolejne trzy albo cztery kreski. Udało mu się zachować neutralny wyraz twarzy. Był

zbyt twardy, żeby przejmować się takimi gównianymi problemami. Nie musiał się martwić. I tak wszyscy wiedzieli, że rozmiar się nie liczy - oczywiście pod warunkiem że czytali właściwe czasopisma.

- Ale tylko o parę centymetrów - dodała Claudine.

Agry poczuł, że purpurowieje na twarzy. Tylko o parę centymetrów! Kurwa mać. Kto nie byłby gotów zabić własnej matki i zdradzić najlepszego przyjaciela za dodatkowe parę centymetrów? Obłączka przerażenia zaczynała go dusić. Nie mógł oddychać.

- Za to ty masz grubszego, misiu. To się liczy najbardziej - zapewniła go Claudine.

Agry przyjrzał się jej uważnie. Robiła sobie z niego jaja, czy co? Nie umiał odgadnąć. Nie umiał, kurwa, odgadnąć. Ale miała taką niewinną minę.

- Grubszego? - wysapał Agry.

Claudine uśmiechnęła się do niego tak, jak tylko ona to potrafiła. I te jej pełne usta, zawsze złożone w ciup. Kości policzkowe, za które prawdziwa kobieta byłaby gotowa zabić. I brwi. Cholera... Claudine położyła dłoń na jego fiucie i Agry poczuł, że wzbiera w nim pożądanie. Miał wzwód, który aż bolał. Nagle zrozumiał, dlaczego musiał roznieść tę przeklętą beczkę szumowin.

- Grubszy od końca do końca - zapewniła go Claudine.

Pochyliła się nad jego brzuchem i zaczęła mu obciągać. Kurwa, mam sprawy do załatwienia, pomyślał i nie tracąc wzwodu, ryknął przez muślinową zasłonę:

- Tony!

Claudine ciągnęła bez wytchnienia. Powieki Agry'ego zatrzepotały od dziwnego doznania, którego nie nazwałby rozkoszą. Tony Shockner zakasłał za zasłonką.

- Tony?

- Szefie - odparł dyskretnie Shockner.

- Sprowadź mi tu Hectora Grauerholza. Za dziesięć minut. -

Agry zaczął tracić oddech. - I jego chłopaków też. Mam dla nich coś specjalnego.

Ostatnie słowo przeszło w zduszony jęk, bo Claudine właśnie zaczęła obrabiać go zębami.

- Wykonać - rzucił jeszcze Agry.

Kroki Shocknera ucichły po chwili. Agry zrzucił z siebie Claudine i ułożył ją na brzuchu. Chwycił butelkę z oliwką i chlusnął obficie między pośladki swojej żony. Od końca do końca, mówisz. A niech to. Tym razem, pomyślał, może nawet spróbuję w trakcie zrobić ci dobrze ręką.

ROZDZIAŁ 19

Myśli opadały w pole grawitacyjne świadomości Hobbesa niczym kawałki rozpadającego się muru. Nie nadążał uskakiwać przed nimi i dlatego trafiały weń, przenikały i nagle znikwały, zastępowane całkiem nową myślą, nowym kawałkiem muru, nowymi emocjami wielkiej wagi i mocy.

Serce miał pełne żalu tak głębokiego i wszechogarniającego, że graniczył on z miłością. Więźniowie zamknięci tak bezlitośnie w szklano-granitowym kotle byli przecież, jakkolwiek by było, jego ludźmi. Jego zadaniem było sprawowanie nad nimi opieki. To, że niektórych z nich należało poświęcić, by nareszcie przebić parawan hipokryzji i kryminalnych wręcz postępków, które blokowały prawdziwie głęboką przemianę systemu penitencjarnego, wcale nie dawało Hobbesowi satysfakcji. Przeciwnie, wywoływało w nim dotkliwy ból.

Hobbes poświęcił życie - życie! - właśnie tym wyklętym ludziom. Zgłębiał literaturę w dziedzinie penologii, psychopatologii, socjologii, pedagogiki, psychologii i filozofii, wyteżał umysł, którego możliwości były co najmniej pokaźne, i wreszcie baczenie i nieustająco przysłuchiwał się sygnałom własnego serca i duszy, by nie przeoczyć żadnego szeptu nadziei nakazującej mu kontynuować dzieło. Znosił ataki melancholii, niszczycielskie depresje, które rzucały go na kolana i zmuszały, by szlochał do Boga - w którego nie wierzył - błagając

o łaskę śmierci. Nie starał się o wyższe stanowisko, choć człowiek o takich zdolnościach z pewnością mógł po nie sięgnąć. Przeciwnie, opuścił nowoczesne więzienie federalne w Illinois, by doprowadzić do otwarcia Green River i zmienić to miejsce w coś nadzwyczajnego.

Jakże daleko odszedł od reformatorskich wizji i konceptu społecznej przebudowy, które niegdyś go inspirowały; jakże głęboko zatruła go gorycz porażki, skoro nie był już w stanie odkopać w pamięci żadnej z owych szlachetnych idei, które ćwierć wieku wcześniej pobudzały jego wyobraźnię. Miał niejasne wrażenie, że chyba miały coś wspólnego z przywracaniem ludzi społeczeństwu poprzez wypalanie ich oczyszczającym ogniem dyscypliny, z fantazją odnawiania godności obywatelskiej zagubionym, okaleczonym duszom. Czy przeznaczyłby na to fantastyczne przedsięwzięcie energię całego życia, gdyby już wtedy wiedział, że w końcu zostanie tylko słynnym klawiszem, bezsilnie leżącym na talerzu zde gustowanego bandyty? A przecież mógł zostać, kim tylko zechciał. Lekarzem, jak Klein. Sędzią. Naukowcem. Doktorem Johnem Campbellem Hobbesem. Profesorem Johnem Campbellem Hobbesem. Tymczasem pogrążył się w biurokratycznym bagnie, równie cuchnącym i niejasnym jak labirynt kanałów ściekowych pod Green River - a wszystko po to, by walczyć za wyklętych tej ziemi.

Hobbes spoglądał przez północne okno na czerwony zmierzch na zachodnim niebie, trzęsąc się z wściekłości i żalu. Był synem słońca, ale życie słońca trwało całe wieki, a jego żywot przeminął w mgnieniu oka. Sprawiedliwość nie istniała. Machina, z którą walczył, zwyciężała za każdym razem. Nie dość, że nikt już nie dbał o sprawiedliwość, to jeszcze nikt już nawet nie znał znaczenia tego słowa. Wyroki i decyzje o zwolnieniach były jak puch unoszący się na gazach wylatujących wprost z odbytów polityków. Rok po roku budżet więzienia był coraz bardziej ograniczany; programy niedofinansowane;

cele w barbarzyński sposób przeludnione. Jawna korupcja strażników, dostawców i budowlańców, a nawet członków komisji zwolnień warunkowych - wszystko to sankcjonowano prawie oficjalnie, na najwyższym szczeblu. Do przyjęcia było wszystko, co sprawiało, że interes jakoś się kulał. Wszystko, co pozwalało obniżyć koszty i zapanować nad więźniami. A jeśli populacja skazanych nieustannie znieczulała się narkotykami, płacąc za to z własnej kieszeni, to tym lepiej. Na kryzys związany z rozprzestrzenianiem się AIDS władza zareagowała, jak zwykle, obojętnością. Po tylu latach gubernator stanowy służby więziennej wciąż uważał Hobbesa za intelektualistę ze Wschodniego Wybrzeża, zbyt miękkiego dla takich zjawisk jak przestępczość i homoseksualizm. Nikt nie będzie płakał, jeśli AIDS zdziesiątkuje więźniów. Gdy Hobbes starał się żarliwie przekonywać zwierzchników, że więzienie jest zarzewiem epidemii, która może się rozszerzyć na resztę społeczeństwa, odpowiadali mu, że sprawa dotyczy jedynie czarnuchów, Meksów i innych szumowin, liczących na pomoc opieki społecznej, i że nikt nie będzie ich żałował, nawet krewni. Poza tym, każdy biały, który pieprzył czarnucha, zwłaszcza bez kondoma, w pełni zasługiwał na śmierć; zwłaszcza wtedy, gdy ową białą osobą była kobieta albo pedał.

Zdaniem Hobbesa przedstawiciele władzy dawno już utracili autorytet moralny, który jest koniecznym warunkiem egzekwowania prawa. Jednakże w ostatnich tygodniach, gdy pojawiła się możliwość dokonania radykalnej zmiany i Hobbes rozpoczął zmagania z własnym sumieniem, stało się dla niego jasne, że i on był przez długi czas niewolnikiem własnej, żalosznej próżności oraz ofiarą manii wielkości. Wyobrażanie sobie, że mógłby samotnie wprowadzić głębokie zmiany, było jedynie ucieczką od prawdziwego odkupienia, odrażającą próbą uzyskania pustego pokłasku ze strony tych, którymi najbardziej gardził. Nie zamierzał dłużej bronić zasady osobistej

tożsamości. Planował rzucić wszystko, co osiągnął, w delirium wyzwolenia. Odwrócić się od tego letargicznego samobójstwa, w którym uczestniczył od tylu lat. Pragnął zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem oraz przeznaczeniem wszystkich jego więźniów w chwale nieodżałowanej straty.

Hobbes wpatrywał się w słup oleistego dymu, który wciąż unosił się w wilgotnym powietrzu nad tylną bramą bloku B. Zapanowanie nad przerażeniem, które czuł w tych pierwszych chwilach - gdy zrozumiał, jak daleko posunął się Agry - kosztowało go całą siłę woli, jaką był w stanie zebrać. Ale jakoś się udało. Anulował sygnał alarmowy, wysłany do pobliskiej jednostki straży pożarnej. Tak. Zakazał jakichkolwiek prób niesienia pomocy. Wycofał strażników i zabronił nawiązywania łączności z więzieniem. Jeżeli historia czegokolwiek nauczyła ludzi, to tylko tego, że prawdziwych przemian dokonuje się wyłącznie poprzez ofiarę i krew; im bardziej bezdusznie i arbitralnie, tym lepiej. Hobbes doszedł również do wniosku, że impulsem, który pcha człowieka naprzód, może być wyłącznie straszliwy kataklizm. Próby zidentyfikowania przyczyn, wyjaśnienia sensu zdarzeń, które podejmowali historycy, były stratą czasu; zachowywali się jak mały o grubych paluchach, grzebiące w stercie łąjna w poszukiwaniu robaków. Przyczyny były bowiem nieistotne. Liczył się tylko ów impuls powtarzający się bez końca, jak drwina z próżności humanistów i ich żalosnych instytucji. Tylko zadane rany mogły przywrócić siłę. *Virescit vulnere virtus*. Być może właśnie tu, na tym brudnym skrawku teksańskiego bagna, miał się narodzić nowy początek; właśnie tu, gdzie Hobbes własnoręcznie wypuścił z klatki prymitywne pragnienie zwrócenia wolności, a tym samym zbudowania rzeczywistości na nowo. Tak. W przypiływie przerażającej odwagi John Campbell Hobbes wyrzekł się rozsądku, motywu i potencjalnego rezultatu; odwołał się bezpośrednio do radykalnej, niezmodyfikowanej energii samej historii.

Rozległo się pukanie do drzwi. Hobbes się odwrócił.

- Proszę - powiedział.

Drzwi się otworzyły i zamknęły z powrotem, gdy tylko kapitan Bill Cletus wszedł do gabinetu. Jego masywną postać okrywał czarny kombinezon obwieszony ekwipunkiem: krótkofalówką, pojemnikiem z gazem, pałąką, kajdankami i pistoletem automatycznym marki Browning.

Cletus zasalutował.

- Panie naczelniku - powiedział.

Hobbes skinął głową, zbliżył się do swego nakrytego szkłem biurka i gestem wskazał krzesło.

- Proszę spocząć, kapitanie.

Hobbes zajął miejsce za biurkiem. Światło w gabinecie było wyłączone; jedynie biała poświata zachodzącego słońca padała przez południowe okno wprost na plecy naczelnika. Cletus był masywnym jegomościem po czterdzieście, weteranem o ponad dwudziestoletnim doświadczeniu w codziennych kontaktach z najgorszymi wyrzutkami społeczeństwa. Miał opaloną i zahartowaną bezduszością twarz. Za każdym razem gdy odmawiano więźniowi wizyty u umierającego krewnego, gdy ciągnięto kogoś do dziury, gdy okaleczone ciało zeskrobywano z bruku i odwożono do kostnicy - Bill Cletus był na miejscu. Po tylu latach Hobbes nie wiedział, co się kryje pod tą twarzą, ani trochę lepiej niż wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał młodego strażnika, który dopiero co zakończył służbę jako żołnierz piechoty w Wietnamie. Wiele skarg złożono na Cletusa i jego ludzi, ale nigdy żadna z nich nie została rozpatrzona. To była część ich umowy, której Hobbes konsekwentnie dotrzymywał. Ale czy Cletus zamierzał odplacić mu tym samym? Hobbes otworzył szufladę biurka i wyjął szklaną popielniczkę. Postawił ją na blacie.

- Może pan zapalić - powiedział.

- Dziękuję, panie naczelniku - odparł Cletus.
- Jak się spisują pańscy ludzie? - spytał Hobbes.
- Doskonale - odparł Cletus. - Wiedzą, czego się od nich oczekuje.

- A więźniowie?

Cletus wzruszył ramionami.

- Uważamy, że cele w bloku C są nadal zamknięte, od południowego liczenia. Siedzą tam głównie Meksykanie i czarni, więc pewnie Agry woli ich krótko trzymać. Reszta biega swobodnie. Główne linie zasilania biegnące do gmachu zostały odcięte; te do infirmerii i warsztatów jeszcze nie. Tak jak pan zalecił, utrzymujemy totalną blokadę łączności i nie uruchomimy generatora zapasowego, póki nie będzie nam to potrzebne. Krótko mówiąc, zostawiamy więźniom swobodę działania, co oznacza, że czeka ich gorąca, ciemna i krwawa noc. Rano większość będzie nas błagać, żebyśmy pozwolili im się poddać.

- Nie możemy zaakceptować częściowej kapitulacji - odparł Hobbes. - Albo wyjdą wszyscy razem, albo wcale.

- Zgoda. Działa tam instynkt stadny. W tej chwili jest to ogólna żądza krwi, ale kiedy zmieni się jej charakter, chcemy, żeby agresja skierowała się przeciwko twardzielom. Jeżeli moi ludzie utkną w walce z trzydziestoma czy czterdziestoma wariatami pierwszej klasy, może to trwać jakiś tydzień.

Zadając kolejne pytanie, Hobbes czuł osobliwy ucisk w żołądku.

- Mamy już potwierdzoną listę zakładników?

- Tak, panie naczelniku. Trzynastu ludzi uwięziono w budynku głównym.

- Co z rannymi, którym udało się uciec? - indagował Hobbes.

- Doznali głównie skaleczeń i stłuczeń. Funkcjonariusz Perkins jest ciężko poparzony, leży w Beaumont. Jeżeli przeżyje noc, będzie

miał szansę. Sung, który go uratował, dostał brukowcem. Po południu usunęli mu skrzep spod czaszki; wyzdrowieje. O ile wiemy, w warsztatach nie ma zakładników. - Cletus wyjął paczkę cameli bez filtra. - W sumie ewakuacja przebiegła całkiem sprawnie - dodał, pstryknięciem wysuwając papierosa i wkładając go do ust.

- Co z infirmerią? - spytał Hobbes.
- Nie ma tam nikogo z personelu. Tylko Coley i więźniowie.
- Czy w strefie pożaru mogli się znaleźć inni strażnicy?
- O ile wiemy - nie. Tylko sierżant Galindez złamał procedurę: wrócił do bloku B po tym, jak zarządziłem ewakuację.
- Wszedł w ogień? - upewnił się Hobbes.
- Otworzył drzwi cel, żeby wypuścić więźniów. Zaliczyłem go do tych trzynastu zaginionych. Kracowicz widział, jak go powalili, ale nie mógł mu pomóc. Nie wiemy, jak bardzo Galindez ucierpiał.
- Przypuszczam, że ocalał wielu ludzi - rzekł Hobbes.
- Złamał procedurę - odparł beznamyślnie Cletus. - Zostawił też Perkinsa i Sunga, kiedy go potrzebowali.
- Z pewnością wykazał się odwagą - nie ustępował Hobbes.
- Jeśli przeżyje, postawię mu zarzuty.

Hobbes postanowił się wycofać. Wiedział, że dla Cletusa wszyscy więźniowie - dwa i pół tysiąca ludzi - nie są warci życia jednego strażnika. Procedurę postępowania w przypadku wybuchu zamieszek opracowano w świetle doświadczeń z Attica, Nowego Meksyku i Atlanty. Gdy zamieszki osiągały taki punkt, w którym uważano je za „nie do opanowania”, następowała całkowita ewakuacja personelu. Przywrócenie porządku było absolutnie pewne, pozostawała jedynie kwestia liczby ofiar.

- Jak reagują pańscy ludzie na problem zakładników?
- Cletus zapalił papierosa.
- Chcieliby ich uwolnić, to oczywiste, ale muszą mi zaufać: to

ja powiem kiedy i w jaki sposób. Nie chcą tu takiego gnoju jak w Waco. A jeśli chodzi o tych, którzy dali się złapać - cóż, byli na to dobrze przygotowani.

Hobbes regularnie posyłał swych podwładnych na seminaria, które przygotowywały ich do sytuacji zakładnika. To prawda, że w takich okolicznościach ofiary śmiertelne wśród strażników były rzadkością. Buntujący się więźniowie walczyli przede wszystkim z sobą nawzajem, zazwyczaj z pobudek rasowych. Nawet w epicentrum chaosu autorytet państwa, uosabiany przez mundury strażników, był odczuwalny i budził lęk w skazanych. Uwięzieni funkcjonariusze przeżywali piekło, ale raczej nie groziła im utrata życia - chyba że najbardziej zatwardziali przestępcy daliby się sprowokować albo spanikowali w obliczu przedwczesnej próby odbicia zakładników.

- Jakie jest stanowisko gubernatora? - spytał Cletus.

Hobbes spojrzał mu w oczy.

- Popiera nas w stu procentach. Ogłosił stan pogotowia w Gwardii Narodowej, ale zgadza się ze mną, że w tym momencie wprowadzenie tu gwardzistów nie ma sensu. Podobnie jak mnie, bardzo mu zależy na podtrzymaniu ścisłej blokady medialnej przez możliwie najdłuższy czas.

Jeśli nie liczyć ostatniego zdania, Hobbes łągał. W ogóle nie kontaktował się z gubernatorem stanu i nie zamierzał tego robić - aż do ostatniej chwili. Ta sprawa nie dotyczyła władz.

- Chcę, żeby wszyscy bardzo dobrze zrozumieli znaczenie terminu blokada medialna - ciągnął Hobbes. - Nie życzę sobie krążących nad naszymi głowami helikopterów z kamerami telewizyjnymi.

- Ja również - odparł Cletus.

- Nie pozwolę, by zamieniono Green River w menażerię. To nie ulice Los Angeles. To machina panoptyczna. Naszym obowiązkiem

jest dyscyplinować i karać, a nie zapewniać cyrkową rozrywkę prostackim umysłem obywateli. To z ich woli River stało się miejscem odosobnienia i cierpienia, w którym nie chcą już nawet liczyć ofiar. - Hobbes umilkł i stał z wargi kroplę śliny. - To nie ich sprawa.

- Zgadzam się, panie naczelniku - odrzekł Cletus.

Zaciągnął się mocno camelem i skrył za obłokiem dymu. Hobbesa ogarnęły wątpliwości. Czy kapitan mówi tak tylko po to, żeby mu zrobić przyjemność? Czy uważa go za głupca? Czy gdy tylko zejdzie na dół, do swoich, naczelnik stanie się jedynie obiektem niewybrednych żartów? Hobbes czuł, że zadanie zaczyna go przerastać, że niemożliwe jest przekazanie ludziom choćby ułamka procenta jego głębokich przemyśleń, równie monumentalnych i surowych jak same mury więzienia. Pomyślał nagle, jak bardzo żałuje, że nie ma tu Kleina. To był człowiek, który mógł go zrozumieć albo chociaż dostrzec dalekie światelko migocące w totalnej ciemności. Lecz i Klein znalazł się w pułapce. Gdyby nie niecierpliwość Agry'ego, nazajutrz byłby już wolny. Teraz jednak nie było czasu na analizowanie bezlitosnych kaprysów losu. Poza tym w każdym kryzysie tkwiła tajemnica władzy.

- Wie pan, co oznacza słowo „kryzys”? - spytał nieoczekiwanie. Cletus zmarszczył brwi.

- Chyba wiem, panie naczelniku.

- Pochodzi od greckiego słowa oznaczającego tyle, co „decydować” - wyjaśnił Hobbes. - Ale w języku chińskim wygląda to jeszcze ciekawiej: jest to kombinacja dwóch znaków, z których jeden oznacza „niebezpieczeństwo”, a drugi „sposobność”. Nadaża pan?

- Nie jestem pewny - odparł Cletus zza zasłony dymnej.

- W celu odkrycia sposobności, w celu podjęcia decyzji, należy najpierw skoczyć w wir niebezpieczeństwa i poddać mu się.

Cletus przyglądał mu się przez długą chwilę.

- Mówi pan tak, jakby uważał, że cały ten bunt był dokładnie tym, czego trzeba temu więzieniu - rzekł wreszcie.

Hobbes nie odpowiedział od razu. W półmroku trudno było dostrzec oczy Cletusa. Czy był w stanie naprawdę zrozumieć? Pewnie nie. Czy zatem warto próbować?

- W mieście sprawiedliwości - zaczął - jesteśmy ściekiem, najmroczniejszym zakątkiem, gdzie moc karania już nawet nie śmie ujawniać się przed ludźmi, którym służy. Nie dbamy już o ten ściek; brak nam nawet odwagi, by go splukać. Nie jesteśmy też lekarzami, którzy badają odchody chorego ciała, by zidentyfikować chorobę. Ani czyszcicielami toalet, ani diagnostami - staliśmy się kolekcjonerami gówna. Czy to odpowiednie zajęcie dla takich ludzi jak my, Cletus? Zbieranie łajna?

- Nie idealne; wiem o tym jak nikt inny. Ale ktoś to musi robić - odparł Cletus.

Fala rozpaczy ścisnęła żołądek Hobbesa, wywołując nudności. Zamknął oczy, zanim przemówił.

- Kiedyś problem więziennictwa pochłaniał najtęższe umysły oświecenia. De Tocqueville. Bentham. Servan. Poddaliśmy się, Cletus. To koniec ery, rozsądek przegrał.

- Skoro tak pan uważa, panie naczelniku. - Cletus postanowił zachować neutralność.

Ależ byłem głupi, kiedy sądziłem, że ten prostak pojmie moją wizję, pomyślał Hobbes, otwierając oczy.

- Gdy sprawiedliwość porzuca zasady moralne i racjonalne, które powierzyły jej władzę, trzeba oddać więzienie w ręce skazanych. Niech stworzą nową moralność, bardziej pasującą do naszych czasów.

- Ja tylko chcę, żeby moi ludzie bezpiecznie wrócili - odparł Cletus. - O reszcie nie mam pojęcia.

- Pańska żona odrodziła się w wierze, nieprawdaż, kapitanie?

Cletus wzruszył ramionami i wskazał na camela, który dymił spomiędzy jego palców.

- Nie pozwala mi już palić w domu, jeśli to pan ma na myśli.

- Zatem powinien pan wiedzieć, że nie ma już bezpiecznych miejsc na ziemi. A może i w niebie? W końcu nawet najlepsi aniołowie upadali: Lucyfer, dawca światła. Przekonał się, że jedynym bezpiecznym miejscem jest piekło, gdzie nie ma już nic do stracenia.

- Może i niewiele wiem o Jezusie - odparł Cletus - ale wierzę, że Bóg wypuścił na ziemię te zwierzęta, którymi się tu opiekujemy, żeby poddać nas próbie. Jak to się mówi, mamy niewiele czasu na tej ziemi, a potem bardzo długo nas nie będzie. Myślę sobie, że prędzej czy później wszyscy będziemy musieli zrobić to, co uważamy za słuszne.

Hobbes z powagą skinął głową.

- Niewielu z nas ma szczęście stanąć twarzą w twarz z potęgą losu. Większość unika tej konfrontacji, nawet w chwili własnej śmierci.

- Chyba właśnie to chciałem powiedzieć - odparł Cletus.

Ostatnie promienie słońca dogasały i rozmawiali w niemal całkowitej ciemności. Końcówka papierosa żarzyła się coraz bliżej palców Cletusa. Zaciągnął się po raz ostatni, zgasił niedopałek w szklanej popielniczce i wstał.

- Lepiej wróć do swoich, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Hobbes także wstał. Nagle uderzył go w nozdrza ciężki, mdlący fetor, węchowe wspomnienie takiej mocy, że z trudem oparł się odruchowi sprawdzenia podeszew własnych butów. Pociemniało mu przed oczami; pochylił się i podparł o biurko, by nie upaść. W mroku odezwały się dźwięki - głosy wykrzykujące jego nazwisko, chichoty, przekleństwa i chlupot moczu. Na wilgotnej, lepkiej skórze czuł

lodowaty chłód. I znowu smród ekskrementów wciskał się w jego pory, w naczynia krwionośne, w serce. Rozglądał się w ciemności, ale nie pojawiły się żadne obrazy. Najpierw był zdumiony, potem ogarnął go strach.

Coś czekało na niego w tym mroku, ale nie wiedział co.

- Dobrze się pan czuje, panie naczelniku?

Ciemność zniknęła w jednej chwili, odsłaniając rumianą twarz Cletusa, który przyglądał mu się z troską. Hobbes wyprostował się i otarł usta chustką. Odór także zniknął.

Starannie dobierając słowa, odpowiedział:

- Gdybym mógł zamienić się miejscami z pańskimi ludźmi, zrobiłbym to, kapitanie.

Cletus spojrzał na niego spokojnie.

- Wiem, że tak.

Hobbes poczuł, że znowu panuje nad sobą. Czuł się lepiej. Nagły skok ciśnienia, nic więcej. Wyciągnął rękę w stronę Cletusa.

- Zatem dobrze się rozumiemy.

Uścisnął dłoń kapitana, nim odprowadził go wzrokiem do wyjścia. Gdy zamknęły się drzwi, wielka samotność otoczyła go jak całun; zdawało mu się, że ciemny gabinet to cały wszechświat, a on jest jego jedynym mieszkańcem.

Spróbował przypomnieć sobie, co usłyszał rano od Kleina. „Nawet najdzielniejsi...” Nietzsche. Hobbes nie mógł sobie przypomnieć reszty. Szukał w pamięci. Z jakiegoś powodu było to ważne. Potrzebował tego. Potrzebował, bo wtedy wiedziałby. Wiedziałby.

Naczelnik Hobbes opadł wolno na fotel i w samym centrum wszechświata czekał, a jednocześnie podróżował: głęboko do wnętrza własnej czaszki, w poszukiwaniu tajemniczego światła, które uwolniłoby go od samego siebie.

ROZDZIAŁ 20

Niczym tropikalny wiatr, prastary poryw przemocy hulał w korytarzach więzienia Green River ze zmienną siłą. Wysysał więźniów z cel i bezlitośnie wystawiał ich na bliski kontakt z ogniem i ostrzami. Bezwzględnie odsłaniał brzydotę i podłość, ciężki fetor człowieka w jego nieskrępowanej czystości bycia. A kiedy tak szalał po galeriach bloku D, Ray Klein leżał na pryczy i czekał, z wielką determinacją, aż zmieni się na lepsze pożałowania godna sytuacja, w której się znalazł.

Drzwi jego celi były zamknięte, ale niezablokowane. Gdyby tylko miał sprzęt, najchętniej zaspawałby je. Mógł jednak zrobić coś innego: przywiązał do kraty blaszany kubek i postawił go na szafce. Gdyby - w co wątpił - w końcu zasnął i ktoś spróbowałby w tym czasie odsunąć drzwi, kubek spadłby na posadzkę i obudził go. Paranoja podpowiadała mu jednak inną wersję wydarzeń: potencjalny intruz mógł po prostu najpierw przeciąć sznurek. Klein usunął więc sen z rozkładu zajęć. Aby się odprężyć, przymykał oczy i fantazjował o wolności: o tym, jak czyta „The New York Timesa” i pije świeży sok pomarańczowy w bistrze na rogu, jak idzie spać o trzeciej nad ranem i budzi się o dziesiątej, jak jedzie z Devlin szosą 1-90 do Nowego Orleanu, a po drodze pieprzy ją w tanim motelu, gdzie wentylatory kręcące się pod sufitem pracują zbyt leniwie, by oboje nie byli mokrzy od potu. Zastanawiał się też, co Devlin porabia w tej

chwili. Może moczy się w wannie albo zajada sałatkę z kozim serem w klimatyzowanym lokalu? Nie, pewnie siada przed telewizorem, żeby obejrzyć mecz Lakersów. Ciekawe, czy Knicksi nie dadzą im odskoczyć dalej niż na sześć punktów.

Wszystko na nic.

Najśmielsze fantazje nie zdołały odwrócić jego uwagi od nieustannego hałasu i brutalnych scen, które rozgrywały się za kratą jego celi.

Buntownicy poświęcili pierwsze godziny swego panowania wielkiemu dziełu ślepej destrukcji. Wszystko, co można było rozbić, wygiąć, zdemontować albo rozlać, zostało rozbite albo rozlane. Wszystko, co mogło się poddać metamorfozie od stanu pełnej używalności do stanu pełnego chaosu, zostało jej poddane. Wielu więźniów robiło w spodnie ze strachu, toteż smród panujący zazwyczaj w bloku był tego wieczoru znacznie bardziej dotkliwy.

Przypomniał Kleinowi o Ludwigu Boltzmannie i jego teorii entropii. Może właśnie o tym powinien był wspomnieć Hobbesowi: nieporządek zawsze narasta w zamkniętym systemie. Ale Hobbes pewnie już o tym wiedział. Z wielkiego magnetofonu stojącego w celi Neva Agry'ego na parterze dobiegały dźwięki, które wprawiłyby w osłupienie nawet Boltzmanna. Przez chaos zniszczenia przebijały się bowiem łagodne tony piosenki Boba Willsa i Texas Playboys:

*Księżycu majestatyczny,
Coś wejrzał w me serce już,
Sprowadź do mnie mą Różę, tę z San Antonio, wiesz.
I z ust tak słodko lirycznych,
Rozwartych jak płatki róż,
Niech spłyną słowa miłości, miłości niech spłynie pieśń...*

Playboysi zawodzili w półmroku, a dogasających promieni słońca

nie zastąpiło, jak to zwykle bywało, elektryczne światło. Odcięto zasilanie do wszystkich bloków. Klein oczywiście nie był zdziwiony, że to właśnie Agry jako jedyny ma pokaźny zapas baterii Duracell, dzięki którym mógł teraz bombardować współwięźniów tą pieprzoną muzyką. Przez całe popołudnie puszczał jedną i tę samą piosenkę. W głębi mego serca gra melodia... Szlag by go. Klein miał ochotę wstać i znowu odśpiewać z galerii *Que será, será*. Zwłaszcza że mniej więcej od godziny z daleka dobiegał dźwięk, który zagłuszał nawet Boba Willsa: piskliwy, przeszywający, zawodzący krzyk.

Klein stwierdził, że jakoś nie żał mu tego, kto tak się wydierał. Tak naprawdę od pewnego czasu życzył sobie już tylko, by tamten wreszcie umarł i zamknął pieprzoną gębę. Cały ten wrzask był przecież tylko jego kaprysem - gdyby naprawdę tak cierpiał, nie miałby siły wydawać z siebie głosu przez tak długi czas. Cholerny symulant.

Ktoś powinien poderżnąć mu gardło albo przynajmniej ogłuszyć go solidnym kopem. Choć z drugiej strony możliwe, że dokonywano na nim zbiorowego gwałtu - dzikie wrzaski mogły być ekstrawaganckim wyrazem rozkoszy, wolności totalnego podporządkowania się. Zdarzały się takie przypadki. Klein siłą woli powstrzymał rozbiegane myśli. Kto wie, czy nie był następny w kolejce. Melancholijne światło, ostatnie tego dnia, przebiło się przez szklany kwadrat na tyłach jego celi. Wkrótce miała nastać głęboka ciemność i nic nie wskazywało na to, że zasilanie zostanie przywrócone.

Dopóki było jasno, zamaskowane drużyny egzekucyjne włączyły się korytarzami, szukając nowych ofiar oraz narkotyków. Jako że blok D należał do Agry'ego, większość akcji rozgrywała się gdzie indziej. Klein dziękował opatrności, że nie znajduje się teraz w A albo nie ucieka przed zbirami podziemnymi korytarzami. Ludzie regulowali zadawnione rachunki. Sprawiedliwości musiało stać się zadość. Drobne upokorzenia, których wspomnienie pielęgnowano

przez lata, teraz stawały się przyczyną krwawej wendety. Długi, małe i duże, odbierano w walucie krwi i bólu. Odrzucone zaloty można było siłą doprowadzić do finału. Trwało wielkie rozliczanie, na biblijną skalę, a każdy akt terroru napędzany był przez samo więzienie. Lata w ciasnej przestrzeni, ciągle zamknięcia i liczenia, zwiotczałe kutasy, marzenia o wizytach, żony, które domagały się rozwodów i pieprzyły z kimś innym, amoniakowy smród szczyń, świątobliwe gęby członków komisji zwolnień warunkowych, trwające godzinami rytuały bezradności i upodlenia, okruchy przyjemności dostarczane przez wyschnięte na wiór ciastka albo trunek pędzony na garści chleba i puszcze brzoskwiń, upaprane spermą zdjęcia kobiet o mokrych szparkach, dyskretne obciążanie kupione u żałosnego ćpuna, który potrzebuje gotówki... I strach. Strach. Strach przed dniem i strach przed nocą. Strach w każdej godzinie i każdej minucie. Dzień za dniem. Rok za rokiem. Nerwowy stan konsumujący arterie, nerwy, nerki, nadnercza i serce. Strach przed zajęciem niewłaściwego miejsca na seansie filmowym. Strach przed samotnością i przed towarzystwem. Strach - bo jestem taki młody i ładny! - przed tuzinem nienawilżonych kutasów wepchniętych kolejno w dupę gdzieś w latrynie albo na ławce w kaplicy. Strach przed życiem i przed śmiercią. Krzyki, które teraz niosły się echem pod półokrągłą kopułą dachu, były bojowym hymnem republiki strachu. Pierwotny, niesprecyzowany Strach wypełzał teraz, niepewny, nagi i nabrzmiąły pragnieniem zemsty, z tysięcy zgorzkniałych serc i głośnym rykiem domagał się więcej siebie.

Klein zatrzymał swój strach w sobie, w postaci twardej kuli ukrytej gdzieś w piersi, pod mostkiem. Panował nad nim za pomocą rozumu. Nadrzędnej, platońskiej inteligencji, racjonalnej kalkulacji, wiedzy zimnej jak lód. To one pomogły mu przetrwać ostatnie trzy lata i teraz też musiały mu pomóc. Gdyby zginęło w tym buncie pięćdziesięciu ludzi, byłby to najgorszy przypadek w historii

amerykańskiego więziennictwa. I nawet w tak katastrofalnym scenariuszu szanse na przeżycie wynosiły pięćdziesiąt do jednego. Gdyby Klein pozostał w swojej celi i nie wałęsał się między wariatami, prawdopodobieństwo sukcesu wzrosłoby jeszcze bardziej. Dwa dni, może trzy, a potem więźniowie stracą zapał, zgłodnieją, będzie im gorąco i nudno. Bunt wygaśnie i skończy się kapitulacją, jak wszystkie poprzednie. Klein wiedział, że wystarczy trzymać się z daleka od centrum wydarzeń.

Wciąż słychać było krzyki. Może to facet poparzony w bloku B wychodził z szoku prosto w nieznośny ból? Klein musiał być twardy. Nie chciał pozwolić sobie na zadawanie pytań - na przykład o to, jak mógłby pomóc. Nie zamierzał okazywać litości i współczucia. Niech się modlą do Boga, pomyślał. Niech pompują w siebie wodę i heroinę. Klein musiał być twardy. I nie mógł słuchać błagań. Zmusił się do słuchania plusku kropel wody i pijackich okrzyków. Śpiewał bezgłośnie tę samą, nigdy niekończącą się piosenkę, która dobiegała z przeklętej taśmy Agry'ego.

*Pod Alamo znalazłem to oczarowanie,
Niezwykle jak błękit nieba, co zachwyca....*

Klein usiadł i spuścił nogi na posadzkę, słysząc tupot ciężkich kroków w kałuży na galerii. Spojrzał w dół, w lusterko. Para butów zbliżała się niespiesznie do jego celi. Wstał i wyjął z kieszeni trzydziestkęósemkę. Nie był ekspertem od broni; wołał jeszcze raz sprawdzić bęben: puste miejsce było tam, gdzie je ustawił. Opuścił rewolwer na wysokość uda. Wielka postać zamajaczyła u drzwi, przesłaniając odrobinę światła, która wpadała jeszcze przez dach. Mężczyzna schylił się, by jego długa i płaska twarz ukazała się między prętami.

- Doktorze - powiedział Henry Abbott.

- Henry - odrzekł Klein.

Ulga, którą poczuł, była szokującą miarą trawiącego go lęku. Odwrócił się nieznacznie, by zasłonić broń.

- Wejdz.

Abbott odsunął drzwi i blaszany kubek z brzękiem spadł na podłogę. Gość znieruchomiał, przyglądając mu się.

- Nie szkodzi - powiedział Klein.

Gdy Abbott wchodził do celi, Klein szybko wsunął rewolwer z powrotem do kieszeni, po czym skinął głową w kierunku pryczy.

- Siadaj.

- Widzę, że posłuchał pan mojej rady - zauważył Abbott.

Pamięć Kleina w pośpiechu odtworzyła wydarzenia dnia, szukając w całym tym chaosie momentu, w którym Abbott udzielał jakiejś rady. Po raz ostatni widzieli się przy śniadaniu. Bardzo dawno temu. Klein przysiadł na stołku, naprzeciwko pryczy. Ano tak. Henry radził mu trzymać się z daleka.

- Trzymam się z daleka - powiedział.

Abbott spojrział na niego z troską i zaczął wstawać.

- Pójdę już, jeśli pan chce - odrzekł.

Klein powstrzymał go ruchem ręki.

- Cieszę się, że wpadłeś. - Rzeczywiście Abbott przypominał pod pewnymi względami duchownego; jego obecność działała po-krzepiająco. - Od razu lepiej się poczułem.

- Dlaczego? - spytał Abbott.

Przez chwilę Klein nie wiedział, jak odpowiedzieć. Abbott niczym dziecko zadawał niekiedy niebywale konkretne i z pozoru wręcz głupie pytania, które po chwili okazywały się nader celne.

- Chyba dlatego, że w razie kłopotów będziemy mogli bronić się razem.

Abbott przemyślał tę odpowiedź, po czym z powagą skinął głową.

- Rozumiem.

Stwórca skonstruował twarz Henry'ego Abbotta z prostych, kanciastych elementów, a zrobił to na wielką skalę. Na jego czole nigdy nie pojawiały się zmarszczki, a usta nigdy nie domykały się do końca. Leki psychotropowe, które dostawał Abbott - i których, zdaniem Kleina, naprawdę potrzebował - także miały swój udział w stworzeniu płaskiej, niewiele wyrażającej powierzchni jego oblicza, pod którą obserwator mógł umieścić dowolnie zakręcone fantazje. Abbott był dokładnie tak brutalny, głupi, niebezpieczny, uroczy albo podobny do dzikiego zwierza, jakim chciałeś go widzieć. Rzadko miewał okazję udowodnić, że jest inny z natury, bo nie dawano mu szansy: nikt nigdy nie pytał go o zdanie i zasadniczo mało kto miał ochotę spoglądać w jego bezdenne oczy.

A były to oczy bardzo czyste: nie można było dostrzec w nich nic więcej poza samymi oczami. Jako że twarz Abbotta była prawie nieruchoma, brak zmarszczek, zmrużeń czy drgnień brwi nie pozwalał umieścić jego oczu w żadnym kontekście. Były więc po prostu szarymi tęczówkami, otoczonymi brązem, i mętnymi twardówkami w głębokich oczodołach. Klein zakaszał i odwrócił głowę, spoglądając na krople wody spadające z wyższej galerii tuż za jego kratą. Dzielił celę z psychotycznym, wielokrotnym mordercą, o osiemnaście centymetrów wyższym i trzydzieści sześć kilogramów cięższym od niego. Lecz mimo to czuł się bezpieczniejszy.

- Te kłopoty muszą być trudniejsze do zniesienia dla pana niż dla mnie - stwierdził Abbott.

Klein zastanawiał się, czy olbrzym mógł gdzieś usłyszeć o jego rychłym zwolnieniu.

- Dlaczego, Henry? - spytał.

- Bo jest pan lekarzem.

Myśli Abbotta często bywały niejasne; w osobliwy sposób łączył różne sprawy.

- Nie rozumiem - przyznał Klein.

Abbott pochylił głowę w stronę korytarza, z którego wciąż dochodził hałas.

- Są tam ranni. Widziałem ich. Lekarz ma obowiązek zająć się nimi, ale pan usłuchał mojego zalecenia: trzyma się pan z daleka. Więc nie może pan tam pójść. Właśnie dlatego przyszedłem - żeby pana zwolnić z tego zobowiązania, które na pana nałożyłem.

Klein patrzył na niego, czując, że krople potu ściekające po jego bokach są zimniejsze niż lód.

- Miło, że o tym pomyślałeś, Henry - odparł - ale siedzę w celi dlatego, że nie chcę dać się zabić.

Klein umilkł. Abbott mrugnął.

- Twoja rada była dobra. Świetnie wyczułeś wibracje. Wiem, że gdzieś tam czekają ranni, ale nic nie jestem im winien. Rozumiesz?

Tym razem Abbott nie mrugnął. Nie skinął też głową.

Klein naprężył mięśnie.

- To nie moja wojna, Henry To nie moi ludzie. Moja wiedza nie zobowiązuje mnie do ryzykowania życia. W innym czasie i miejscu może czułbym się zobowiązany, ale na pewno nie tutaj i nie teraz.

Klein czekał. Chwila milczenia przeciągała się. Wydawało się, że coś innego przykuło nagle uwagę Abbotta, i Klein domyślił się, że olbrzym nasłuchuje wymyślanego głosu, który nazywał Słowem. Z rozmów, które prowadzili ze sobą od dawna, Klein wiedział, że Słowo kieruje Abbottem w podobny sposób, jak rodzic kieruje swym dzieckiem. Jak zazdrosny i nieprzewidywalny rodzic, jeśli chodzi o ścisłość. Spora część rozkazów i wibracji przekazywanych przez Słowo miała sens, choć może bardziej tu, w więzieniu, gdzie paranoja była mądrością, niż na zewnątrz. Słowo mówiło Abbottowi, których załóg należy unikać, do których klawiszy mówić „proszę pana”, jak szybko wykonywać pracę, kiedy wracać na zamknięcie i

liczenie, a także kiedy należy zjeść owsiankę, a kiedy lepiej tego nie robić.

Lecz choć Słowo było zazwyczaj jego przewodnikiem i obrońcą, w mroczniejszych chwilach bywało jego najokrutniejszym prześladowcą i nieprzejednanym wrogiem. To właśnie ono zredukowało go do postaci drżącego, pokrytego odchodami zwierzęcia, które ujrzał Klein w kącie celi, gdy spotkali się po raz pierwszy. To właśnie Słowo poleciło mu zlikwidować rodzinę za pomocą młotka. Wedle kosmologii umysłu Abbotta, Słowo było Bogiem i Diabłem zarazem. Żadna potęga na ziemi, a na pewno żaden człowiek z River, nie mogła równać się ze Słowem. Gdy Słowo przemawiało, Abbott nie miał wyboru: musiał wykonać jego wolę i żadna groźba bandyty, żadna pałka strażnika ani żadne sankcje naczelnika nie mogły go od tego odwieść. To dlatego Myron Pinkley stracił władzę w palcach. Abbott - ten, który sam siebie nazywał w myślach „Abbottem”, ten, którego Klein tak lubił, ten olbrzym ważący sto siedemnaście kilogramów i mierzący dwieście jeden centymetrów, zbudowany z mięśni, kości i uczuć - był jedynie narzędziem gotowym poświęcić i siebie, gdyby tylko taka była wola Słowa.

Klein wiedział, że nawet najsilniejsze leki nie zdołały uciszyć głosu Słowa. Owszem, pomogły zagłuszyć jego najbardziej pogardliwe, autodestrukcyjne podszepty, które od czasu do czasu wprawiały Abbotta w stan prawie samobójczej udręki, ale nigdy nie uciszyły Słowa do końca. Klein domyślał się, że przemawiało do Henry'ego nawet we śnie. Lecz jeśli ten samotny, zamknięty w sobie człowiek o twarzy bez wyrazu, ta ludzka skorupa przypominająca martwy automat, był rzeczywiście wszystkim, co zostało z Abbotta, to czym było Słowo? Dzięki przyjaźni z Henrym Klein poznawał je z rosnącą fascynacją. Tęsknił za spotkaniem i rozmową ze Słowem, nawet jeśli Abbott był tylko nieudolnym tłumaczem Słowa, i to

jedynie wtedy, gdy czuł się szczególnie bezpieczny. Klein nabrał przekonania, że Słowo nie było głosem Boga. Słowo było Bogiem.

Abbott przemawiał przecież niegdyś do swoich uczniów, poruszając ich serca pięknem angielszczyzny i muzyką słów dawno umarłych poetów. Teraz zaś potrafił w najlepszym razie sklecić proste zdanie pozbawione jakichkolwiek metafor czy ukrytych znaczeń. Odeszło wszystko, co potrafił. Odszedł sam Abbott. Prawie cały - bo ta resztką, która pozostała, wiernie służyła Bogu, a wymyślna otchłań piekielna Green River, w której uwieziono ciało Abbotta, była nowym ogrodem Edenu. Klein uważał, że teraz trzeba zapomnieć o tej wiedzy, którą tak biegle posługiwała się Devlin - genetyce, biochemii i psychodynamice - i po prostu włożyć buty szaleńca, spojrzeć na świat jego oczami. Zapewne było to niemożliwe, ale zdarzały mu się w obecności Henry'ego takie przyprawiające o zawrót głowy chwile, kiedy był naprawdę blisko, kiedy wyczuwał ślad potęgi absolutnej, kiedy więzienie stawało się jedynie tłem dla pierwotnego dramatu Boga - albo Słowa - i człowieka. Nie Boga na modłę Chrystusa, Abrahama czy Mahometa, ale Boga przedreligijnego. Boga, który rządził światem, zanim wymyślono fikcję, metaforę i wyobrażenie, zanim powstały wybór, wola, Dobro, Zło, a może nawet język. Ego Abbotta, jego tożsamość, pozostało marną resztką, zerodowanym kikutem dawnego „ja”, paroma kawałeczkami sklejonymi strachem i może odrobiną ludzkich uczuć, którymi obdarzył go Klein. Władzę nad tą żalosną kreaturą sprawowało Słowo, istota, siła, nieograniczona zwierchność mieszcząca się w całości w ograniczonej przestrzeni umysłu Abbotta, a jednocześnie całkowicie autonomiczna, zupełnie mu obca, i to w przerażający sposób. Ego Abbotta dawno zrezygnowało z władania własnym, wewnętrznym wszechświatem i przycupnęło na nędznej wysepce świadomości, na samym skraju nieskończoności.

Kiedy więc Abbott znosił jedzenie owsianki ze szkłem, wybitnie nieprzyjemną pracę w kanałach, uwięzienie, przymusowe leczenie farmakologiczne oraz wszystkie inne obelgi i nieszczęścia, z których składało się życie, Słowo cieszyło się - i było - niewyobrażalną swobodą i mocą. Kto mógł wiedzieć, jaka siła rozdzieliła tak dalece tych dwóch, Boga i Człowieka? Na pewno nie wiedział tego Klein. Ale kiedy przebywał sam na sam z Abbottem, wsłuchując się w cichy oddech Słowa, które mogło w dowolnym momencie skazać go na śmierć, zastanawiał się też, co by się stało, gdyby ci dwaj połączyli się na nowo. Co by się stało z tym powolnym, ograniczonym olbrzymem, gdyby na nowo napełnił go Bóg, który był nim samym? Jaki ogień zapaliłby się w tych pustych oczach? Jaki dźwięk wydobyłby się z tej szerokiej piersi?

Lecz w tych chwilach Klein zastanawiał się też, co stało się z Bogiem, który mieszkał w nim samym. Był przecież odrażająco zdrowy; postrzegał siebie czasem jako lustrzane odbicie Abbotta. O ile jaźń Abbotta była upokorzonym niewolnikiem, kulącym się u stóp mrocznego Boga, który był nim samym (choć on o tym nie wiedział), o tyle Bóg Kleina był ledwie wątłym cieniem siły wyższej, zgaszonym reflektorami wiedzy, nauki, analizy, racjonalności. Wolna wola, wybór, zrozumienie, wyobraźnia, zdolność przewidywania - oto wrogowie Boga; łańcuchy wiążące go w ciasnej klitce gdzieś w dalekim kącie tej samej nieskończonej przestrzeni, nad którą Słowo Abbotta sprawowało niczym nieograniczoną władzę. Klein wiedział, że pod tym względem jest podobnie rozbity jak Henry, lecz o ile olbrzym ze szczątków swojej jaźni zdołał sklecić jedynie skorupę człowieczeństwa, żyjącą - dosłownie - w ściekach pod ściekiem tego świata, o tyle Klein przeszukiwał szczątki swojego Boga w poszukiwaniu jakiegoś celu w życiu istotniejszego od samego przetrwania. Skończył jednak w bloku D, mówiąc swemu towarzyszkowi: „Wiem, że gdzieś tam czekają ranni, ale nic nie jestem im winien”.

Nagle przypomniał sobie, gdzie jest i co tutaj się dzieje. Na chwilę zatracił się w bladych oczach Abbotta, ale grobowa cisza, którą go otoczyły, rozwiała się teraz jak dym. Znowu słyszał zawodzenie rannego. Wraz z obłokiem ciszy odszedł Bóg i Klein na powrót stał się skazańcem ze zwolnieniem warunkowym w kieszeni, stojącym w obliczu buntu, który należało przetrwać.

- Ma pan rację - powiedział Abbott.
- Co?
- To nie jest ani czas, ani miejsce, by umierać - wyjaśnił Abbott.
- Cieszę się, że też tak uważasz - odparł Klein. - Zostaniemy tu przez dzień, może dwa, i nic nam nie będzie. Możemy spać na zmianę.
- Możemy opiekować się sobą nawzajem.
- Właśnie - przytaknął Klein. - Nikt inny tego nie zrobi.

Gdy tylko zamknął usta i spojrzął na wielkie, szczerze oblicze Abbotta, poczuł niesmak. Możemy opiekować się sobą nawzajem. Akurat. Do czasu, aż otworzy się przed nim ta potrójna brama pod wieżą Hobbesa, a wtedy - żegnaj, Polly, pora iść. I Klein odejdzie. A Abbott będzie mógł wrócić do swoich kanałów i sam zadbać o siebie. Kajdany u nóg Kleinowego Boga wrzynały się coraz głębiej w jego boskie ciało. Być może był to powód do wstydu, ale Klein-człowiek pragnął tylko wydostać się stąd, wypić sok pomarańczowy, wziąć prysznic i leżeć w wilgotnej pościeli z Juliette Devlin. Miał dość bólu i strachu, i swojego, i cudzego. Nawet teraz, po trzydziestu czterech miesiącach spędzonych w tym szambie, nie był jeszcze wystarczająco twardy. Zakończenia nerwowe w jego ciele, choć już tak przytępione, wymagały dalszego tępienia. Lecz gdyby wydostał się wreszcie za bramę, tępienie zakończeń nerwowych nie byłoby już konieczne. Mógłby nawet na nowo je rozwinąć.

Dla Abbotta i jemu podobnych sprawy wyglądały inaczej. Poruszali

się innym torem niż Klein - zawsze tak było. Pomyślał o badaniach, które wymyśliła Devlin, by znaleźć odpowiedź na swe wielkie pytanie: czy trudniej jest umrzeć człowiekowi z przyszłością, czy może biednemu, niepiśmiennemu łajdakowi, którego nie czeka już nic prócz sześciu stóp ziemi na kamienistym cmentarzyku Potter's Field? Z chaosu panującego w brzuchu Kleina dobiegał głos: „A żebyś, kurwa, wiedział, że trudniej!” Spróbował odnaleźć twardą kulę w piersi, w której upakował cały swój strach. Nie było jej: rozpuściła się, rozpadła na części i popłynęła w dół, przez okrężnicę do odbytu i jąder, po drodze zmieniając mięśnie w słoninę, a krew w mleko i wodę. Zaczął nerwowo strzelać oczami, to na kapiące wciąż krople, to na kamienną twarz Abbotta i wreszcie na toaletę, którą zamierzał odwiedzić lada chwila, by wysrać coś, co wydawało mu się całym jego życiem. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Monstrualna fala paniki wezbrała w nim i uniosła się wysoko, gotowa zmyć go w siną dal.

W jego głowie zaświtała prosta myśl, na którą jakimś cudem nie wpadł wcześniej: przez najbliższych kilka godzin ta zapomniana przez Boga pięćdziesiątka ziemi, ograniczona murami, będzie zapewne ostoją największego bezprawia, jakie widziano na tej planecie. Co więcej, miało to być dzieło jednych z najbardziej brutalnych ludzi w dziejach świata.

Fala w duszy Kleina zadrżała niepewnie. Może właśnie pozostanie w celi było szaleństwem? Przecież miał pistolet, więc mogło mu się udać. Przemknąłby przez blok, do skrzydła ogólnego przeznaczenia i dalej, na dziedziniec. Zwłaszcza teraz, gdy mógł jeszcze liczyć na odrobinę światła. Później, w zupełnej ciemności, wszystko mogło się zdarzyć. Oczyma wyobraźni widział już przed sobą główną bramę. I Billa Cletusa, który nakazuje ją otworzyć. Czuł chłodny, pocieszający

dotyk zimnych kajdanek: strażnicy przyjmują jego kapitulację, uznają jego niewinność i odsyłają na ostatnich kilka godzin odsiadki gdzieś do bezpiecznego, małomiasteczkowego więzienia w innym okręgu, o wiele mil od Green River, od Coleya, Agry'ego, Abbotta i Grauerholza, wiele mil od smrodu, wrzasków i krwi. Teraz, facet, to najodpowiedniejsza chwila. Kiedy zapadnie noc, próba wyjścia będzie samobójstwem. Teraz masz szansę.

Klein poderwał się ze stołka. Nogi pod nim drżały. Zaciśnął dłoń na prętach drzwi. Fala strachu wciąż wisiała nad jego głową. I nagle zrozumiał, że musi jej pozwolić opaść. Jeśli spróbuje biec przed nią, dogoni go i powali, rozbije o skały paniki, nadzieje na nóż jakiegoś pijanego mordercy, który zwietrzy jego lęk. Fala zaczęła się poruszać i Klein zdał się na jej łaskę.

Głębokie oddechy. Palce Kleina zbieleły, ściskając stalową kratę. Oddychaj głęboko, skurwielu. Panika przelewała się przez niego, ale kurczowo trwał przy drzwiach. Piekący pot zalewał mu oczy. Z jego ust wydobył się niezrozumiały, nieartykułowany dźwięk. Głębokie oddechy. Czując, że kolana uginają się pod nim, przycisnął do prętów uda i brzuch. Głębokie. Oddechy. Palące skurcze szarpnęły jego odbytem, pęcherzem, penisem. Zastanawiał się, czy właśnie się zesrał i poszczał ze strachu - nie umiał tego stwierdzić, ale nawet w tak ekstremalnej sytuacji cichy głos wstydu podpowiadał mu, że byłoby lepiej, gdyby Abbott nie musiał wąchać jego ekskrementów. Głębokie oddechy. Wreszcie zdołał zaczerpnąć powietrza, utrzymać je w piersi przez sekundę i wypuścić. Licz. Licz i oddychaj. Od jednego do dziesięciu. Policzył od jednego do dziesięciu. Poskładaj z powrotem tę twardą kulę w piersi! Od jednego do dziesięciu.

Fala przetoczyła się po nim i cofnęła w mrok. Powoli, bardzo powoli Klein złożył na nowo kulę strachu i zapanował nad sobą.

Poszczególne części jego ciała łączyły się ze sobą jak dawniej. Koszula, mokra od potu, lepiła się do skóry. Drgnął nagle. Nogi miały go przecież utrzymać. Wypuścił z dłoni pręty. Zaciśnięte, drżące zwieracze upewniły go, że jeszcze się nie zesrał, ale wiedział, że zrobi to, jeśli zaraz nie pójdzie do kibla.

Klein odwrócił się z wysiłkiem. Abbott przyglądał mu się uważnie.

- Jest pan blady - stwierdził.

Klein zorientował się, że atak paniki, który zdawał się ciągnąć jak pół życia, nie trwał w istocie dłużej niż kilka sekund. Skinął Abbottowi głową.

- Popilnuj drzwi - poprosił.

Ostrożnie i sztywno oddalił się w stronę sedesu i zaciągnął zasłonę. Rozpiął pas i spuścił spodnie, a kiedy usiadł, wypróżnił się gwałtownie i pieniście. Komisja zwolnień warunkowych, Hobbes, Nietzsche, Bóg, bunt i jeszcze parę metrów gówna - cały ten cuchnący bałagan po prostu z niego wypłynął i Klein odzyskał znienacka głęboki spokój. Usłyszał anielski śpiew i mimowolnie jęknął z wdzięcznością. Zza zasłony dobiegł głos Abbotta:

- Wszystko w porządku, Doktorze?

Klein roześmiał się. Śmiał się głośno, szczerze, do rozpuku, przy okazji zaciągając się wyziewami z sedesu. Boże, co za smród! Znowu się roześmiał.

- Jest fantastycznie - odkrzyknął Abbottowi.

I naprawdę tak uważał. Jeśli nawet czuł się kiedyś lepiej niż teraz, siedząc w kiblu za kocem służącym za zasłonę, to nie mógł sobie przypomnieć kiedy. Przypomnił sobie, że Marcin Luter wymyślił reformację w podobnie transcendentnych okolicznościach; teraz rozumiał dlaczego. Urwał garść papieru toaletowego i otarł czoło. Cudownie. Kolejną garścią podtarł tyłek. Znieruchomiał, nasłuchując.

Wrzeszczący facet nareszcie umilkł. Klein wstał, zapiął spodnie i splukując kibel, zasalutował. Czuł się gotowy na wszystko.

I może dobrze, że tak było, bo Abbott zawołał:

- Ktoś idzie.

Klein odsunął zasłonkę i wrócił do celi. Przed na wpół zamkniętymi drzwiami pojawił się Claude Toussaint w roli Claudine Agry.

Klein uśmiechnął się szeroko.

- Oto Róża z San Antonio.

Claudine miała na sobie obcisłą, czerwoną suknię z jedwabiu i wysokie obcasy. Wyglądało na to, że ubierała się w pośpiechu, bo jej genitalia w cokolwiek groteskowy sposób wybrzuszały przód sukni. Miała na twarzy pełny makijaż, nieco rozmazany od potu i łez. Spojrzała na Kleina wielkimi, udręczonymi oczami. Klein przestał się uśmiechać.

- Klein?

Klein podszedł bliżej, czując, jak chwila uniesienia szybko staje się wyblakłym wspomnieniem. Claudine podbiegła drobnymi kroczkami i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Co się stało? - spytał Klein. Odsunął jej rękę, by odchylić się i spojrzeć na nią.

Claudine wtuliła twarz w ramię. Wyglądała na zrozpaczoną.

- To wszystko moja wina.

- Uspokój się - odparł Klein - i powiedz, co się stało.

Claudine przygryzła wargę, a potem odrzekła:

- Nev wysłał Grauerholza do infirmerii. Chyba chce ich wszystkich zabić.

Jej słowa nie dotarły do Kleina.

- Jakich wszystkich?

- Wszystkich wszystkich! - zatkała Claudine. - Coleya, Wilsona, facetów z AIDS.

W lochu, w jaskini, w kopalni, dziesięć tysięcy mil w głąb własnego ciała, Klein usłyszał szcęk kosmicznych kajdan wciskających się w boskie ciało.

- Dlaczego? - spytał zimno.

Claudine spróbowała wysliznąć się z jego uścisku.

- To boli.

Klein jeszcze mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach i potrząsnął nią.

- Dlaczego, do cholery? Spójrz na mnie!

Claudine spojrzała posłusznie.

- Nie wiem - odpowiedziała.

I znowu przywarła do jego piersi, szlochając. Klein puścił wreszcie jej ramiona i przytulił ją. Ponad głową Claudine spojrzał na Abbotta, a on odpowiedział mu spojrzeniem wielkich, pustych oczu, przenikającym na wskroś.

Zawroty głowy powróciły. Buty szaleńca. Klein uniósł podbródek Claudine.

- W porządku - rzekł. - Lepiej zaprowadź mnie do Neva Agry'ego.

ROZDZIAŁ 21

Siedząc na stole w gabinecie obok sali chorych, Juliette Devlin odpięła zegarek i siłą woli powstrzymała się od spojrzenia na wskazówki. Robiła to wcześniej tak często, odkąd ten koreański funkcjonariusz - nie pamiętała jego nazwiska - wepchnął ją tu, do biura, i kazał siedzieć cicho, że czas zaczął dosłownie pełznąć. Sytuacja była poważna - kula ognia, strzały, strażnicy biegnący przez dziedziniec - i to wystarczyło, by jej umysł przeszedł do stanu, który nazywała w duchu „trybem małej, rozsądnej, zagubionej dziewczynki”. Siedź tu i zachowaj spokój, aż mamusia po ciebie przyjdzie albo miły pan policjant zapytał, gdzie mieszkasz. Lecz ani Koreańczyk, ani Galindez nie wrócili, żeby zabrać ją do domu. Doszła do wniosku, że obaj musieli zostać zabici lub wzięci do niewoli. Kilka godzin temu uciły długie serie strzałów z wież strażniczych. Od tamtej pory usłyszała już tylko cztery pojedyncze strzały, w nieregularnych odstępach czasu. Telefon na stole milczał i właściwie przestała już wierzyć, że zadzwoni. Gdy po raz ostatni zerknęła na zegarek, nareszcie przypomniała sobie o sprawie tak oczywistej, że chyba podświadomie blokowała w sobie tę myśl: podpisała listę wychodzących z więzienia.

Nikt nie wiedział, że tu jest.

Devlin upuściła zegarek na podłogę i dwukrotnie uderzyła go obcasem buta. Szkielko pękło. Gdy tupnęła po raz trzeci, rozpadło się

na pył, a wskazówki oderwały się od cyferblatu. Przez chwilę czuła się lepiej; nawet czas nieco przyspieszył. Być może nie było to najrozsądniejsze, ale trzeba było teraz zerwać z owym „trybem”. Mała, zagubiona dziewczynka wkrótce zaczęłaby szlochać. Siedzenie w gabinecie doprowadzało ją już do szału. Pomyślała o dwóch i pół tysiącu mężczyzn uwięzionych wraz z nią za murami Green River. Od jak dawna nie uprawiali seksu? Powiedzmy, że średnio od pięciu lat, zatem w sumie - od grubo ponad dziesięciu tysięcy lat. To bardzo długo, myślała, a poza tym większość z nich ma dodatkowy chromosom Y. Devlin sięgnęła po wymiętą paczkę papierosów i wsunęła palec do środka.

Został jej ostatni papieros.

W pierwszej chwili ogarnęła ją panika, ale niemal natychmiast zastąpiło ją poczucie ulgi. Doskonale. Jeżeli istniała sytuacja bardziej poważna niż samotność w samym środku więziennej rebelii, to bez wątpienia była nią samotność w jakimkolwiek miejscu bez papierosów. Nareszcie miała pretekst, którego potrzebowała, by porzucić małą, rozsądną, zagubioną dziewczynkę i wydostać się z tego żółtego pokoju. Devlin wetknęła winstona w usta i zapaliła go w buntowniczym geście.

W gabinecie znajdowało się dwoje drzwi. Jedne prowadziły na korytarz do głównego wyjścia i do oddziału Crocketta. Drugie - do niewielkiego pomieszczenia z prysznicem i dalej do ambulatorium. Devlin wybrała drugie. Zaciągnęła się mocno dymem i ruszyła.

Pomieszczenie z prysznicem było bardzo małe i wyłożone bladzielonymi kafelkami, których odcień tylko potęgował lekką woń pleśni. Na jednej ze ścian wisiała umywalka, tuż pod odbarwioną plamą, którą niegdyś zasłaniało lustro. Naprzeciwko umywalki znajdowały się dwa stanowiska prysznicowe z płytkami, porcelanowymi brodzikami. Jedno z nich miało nawet jeszcze własną, wystrzępioną zasłonkę. Klein mówił kiedyś Devlin, że jedną z największych atrakcji

pracy w infirmerii była możliwość brania prysznicza w samotności. Devlin czuła, że jej koszula jest mokra od potu, ale kąpiel jakoś jej nie kusiała. Ruszyła dalej i otworzyła przeciwległe drzwi łazienki.

Światło w ambulatorium było włączone. Skromne wyposażenie tworzył drewniany stół laboratoryjny z dwoma wbudowanymi zlewami. Na ścianach wisiały półki zastawione podstawowymi materiałami medycznymi: kroplówkami, kartonami probówek, strzykawek i igieł, plastikowymi torebkami soli fizjologicznej, opatrunkami, wacikami i plastrami. Całą sekcję półek zajmowały leki, głównie antybiotyki i środki uspokajające. Wahadłowe, podwójne drzwi prowadziły na korytarz. Przy stole, pochylony i wsparty na rękach, stał Earl Coley. Devlin rozpoznała go raczej po tuszy, bo głowę miał zawiniętą w biały ręcznik, spod którego dobiegł najpierw odgłos głębokiego wdechu, a następnie seria płytkich, urywanych stęknień.

- A niech to - westchnął Coley spod ręcznika.

Jego ciało opadło nieco. Dla odmiany wsparł się na łokciach. Najwyraźniej nie usłyszał wejścia Devlin. Zastanawiała się, czy nie jest chory. Podeszła bliżej.

- Coley? Nic ci nie jest? - spytała.

Odskoczył gwałtownie, wystraszony, i zerwał z głowy ręcznik.

- Kurwa mać! - wysapał, przewracając oczami, i dopiero po chwili skupił wzrok na tyle, by rozpoznać Devlin. - Jezu Chryste.

Uspokoił się i oparł plecami o ścianę. Przymknął oczy, przyłożył dłoń do piersi i kilka razy głęboko odetchnął. Po chwili chwiejnym krokiem podszedł do jednego ze zlewów, odkręcił kurek do końca i włożył głowę pod silny strumień. Gdy zimna woda lała się kaskadą na jego głowę i kark, wymamrotał długą serię przekleństw, wśród których Devlin usłyszała co najmniej kilka razy słowo „suka”.

Coley wyprostował się i wytarł twarz ręcznikiem. Na stole, przy którym go zastała, stała samotna, półgalonowa butla z ciemnobrązowego szkła. Coley opuścił w końcu ręcznik i spojrzął na Devlin.

- Cześć - powiedziała, przestępując z nogi na nogę.

Coley nie odpowiedział. Devlin uniosła papierosa do ust.

- Szlag by to.

Coley skoczył naprzód i czym prędzej zatkał dłonią szyjkę brązowej butli. Zaraz potem sięgnął po plastikową zakrętkę i szybko umieścił ją na miejscu.

- To łatwopalne świństwo. Chcesz nas wysadzić w powietrze?

Devlin zrozumiała natychmiast. Podeszła do zlewu i wsunęła papierosa w mocny strumień wody. Po chwili zakręciła kurek i wyrzuciła niedopałek do kosza.

- Eter? - upewniła się.

Coley ponuro skinął głową. Sięgnął po brązową butlę, odstawił ją do szafki, zatrzaskał drzwiczki i zamknął je na małą kłódkę. Dopiero wtedy zwrócił się znowu do Devlin.

- Od czasu do czasu pomaga mi się uspokoić - wyjaśnił. - Nie jestem uzależniony.

- Wcale tak nie pomyślałam - odrzekła Devlin.

- Nie biorę Valium, hery, ziela, niczego - ciągnął Coley, patrząc na nią bojowo. - Cholera, nawet nie palę.

- W porządku, Coley. Dawniej połowa anestezjologów w kraju lubiła sobie od czasu do czasu powąchać eter.

Coley odprężył się nieco.

- Nie chciałem, żebyś sobie pomyślała, że ma to wpływ na moją pracę.

Coley podszedł do pudła w połowie zapełnionego papierowymi ręcznikami. Wyrzucił je na podłogę, a karton zabrał ze sobą i postawił na stole.

- A właściwie co tu robisz, do diabła?

- Szukałam papierosów - odparła Devlin.

- Bez jaj. A co, w całodobowym spożywczaku nie mieli? Zdało mi się, że Klein cię stąd wykopał.

- Owszem. Ale wróciłam.
- Tylko, kurwa, po co?
- Mówiłam ci rano. Muszę coś pokazać Kleinowi... i tobie.

Coley podszedł do półki z lekami i sięgnął po dwie plastikowe tuby. Sprawdził etykiety i wrócił do kartonu. Zdjął zakrętki i wysypał do niego strumień białych tabletek.

- Wiesz, co się dzieje? - spytała Devlin.

Coley wzruszył ramionami.

- Chłopaki się dźgają, rabują, chleją i biorą prochy. Jak zwykle podczas buntu.

- To się już zdarzało?

- Ostatni raz jakieś cztery lata temu, ale wtedy to tylko bandy Meksykanów i czarnuchów skoczyły sobie do oczu w warsztacie mechanicznym. Teraz to inna sprawa. Czegoś takiego jeszcze nie było. Mówią, że będzie jak w Atlantycie albo w Nowym Meksyku. Więźniowie zajęli tam cały obiekt, czarni zabijali białych, biali Meksykanów, a Meksykanie siebie nawzajem i paru Chinoli i Indiańców na dokładkę. Zdaje się, że z czymś takim mamy teraz do czynienia.

- Jak to się skończy?

Coley powrócił do rzędu półek i sięgnął po nową porcję leków.

- Kiedy zmęczą się zabijaniem i rozwalaniem wszystkiego, naczelnik przyśle gwardię i pewnie znowu zginie paru ludzi - odpowiedział przez ramię. - Wszyscy dostaniemy karę, żadnych przywilejów, może blokada na parę tygodni, a potem pewnie zaczniemy się szykować na następny taki numer.

Coley dostrzegł coś w twarzy Devlin.

- Bez obaw, doktor Devlin. Tu jesteśmy bezpieczni - rzekł, pokazując jej garść opakowań. - Zwłaszcza gdy pozbędziemy się tego gówna.

Opróżnił buteleczki nad kartonem.

Devlin podeszła bliżej i wzięła do ręki jedną z buteleczek: torazyna, tabletki 50 mg. Spojrzała na Coleya.

- Jedyną rzeczą, której mogliby tu szukać, są prochy. Cokolwiek, byle się nawalić, na wesoło lub na smutno. A jeszcze lepiej - nawalić się do nieprzytomności. Przyjdą po nie prędzej czy później. A my nie mamy nic przeciwko temu, prawda?

- Skoro tak mówisz.

- Lepiej, żeby się nazarli torazyny i innego świństwa, niż żeby brali kokę i speed albo chlali wódę. - Coley uśmiechnął się ponownie. - Pomożesz mi?

- Jasne - odpowiedziała z uśmiechem.

Przejrzeli wszystkie tubki i buteleczki stojące na półkach, wybierając preparaty o choćby najlżejszym działaniu psychotropowym: valium, sekobarbital, temazepam, haldol, flufenazynę, stelazynę. Tabletki, kapsułki, ampułki. Na dnie kartonu tworzyła się kalejdoskopowa mozaika różnokolorowych chemikaliów. Devlin już się nie dziwiła - jak podczas pierwszej wizyty - że na potrzeby naprawdę małego oddziału szpitalnego zgromadzono tak wiele środków uspokajających. Zauważyła, że Coley sięga po okazały pojemnik z amitriptyliną.

- To może być mocno trujące, jeśli się przedawkuje - powiedziała.

Coley parsknęła śmiechem.

- Nie wiem jak ty, doktorko, ale ja jestem zdecydowanie za tym. Jeśli choć jeden ćpun struje się tym świństwem i nie przyjdzie, żeby mi poderznąć gardło, będę zadowolony.

Wrzucił tabletki do pudełka. Devlin miała opory: oddawanie hurtowych ilości leków przeciwpsychotycznych w ręce ludzi, którzy nie wiedzieli o ich działaniu, jakoś kłóciło się z jej wiedzą medyczną. Z drugiej strony, dość dobrze pamiętała wrzaski płonącego strażnika.

- Myślę, że pozwami będziemy się martwić później - powiedziała.

Wpadł jej w ręce kartonik silnych środków przeczyszczających. Pokazała go Coleyowi.

- O to właśnie chodzi - rzekł, szczerząc zęby.

Chwilę później Devlin dorzuciła jeszcze porcję leków moczopędnych i przeciwko nadciśnieniu, a potem odrobinę digoksyny. Gdy karton był w połowie napełniony, Coley wymieszał dobrze jego zawartość i dorzucił na wierzch kilka garści strzykawek i igieł.

- Byle tylko czymś się zajęli - rzekł. - Chodźmy już.

Devlin przytrzymała wahadłowe drzwi, a Coley wyniósł pudło na korytarz. Poszła za nim przez cichy oddział. Minęli masywne, drewniane drzwi podparte klinem, a potem salę telewizyjną i łazienki. Zatrzymali się przed pierwszymi z mocnych, typowo więziennych drzwi zamykających korytarz. Wykonano je z płyty stalowej, w której na wysokości głowy umieszczono wizjer. Trzymając karton jedną ręką, Coley sięgnął po klucze i otworzył drzwi. Za nimi znajdował się pokój strażnika, gabinet lekarski Bahr a - z kolekcją starych kart chorobowych, do których Klein i Coley rzadko zaglądali - oraz ciasny i zaniedbany pokoik dla gości, prawników i krewnych. Zbliżyli się do kolejnych drzwi, tym razem wykonanych ze stalowych prętów. Coley otworzył i te. Na samym końcu korytarza skręcili i znaleźli się w mieszczącej hol przybudówce, z której dwoje nabijanych żelazem, drewnianych drzwi prowadziło bezpośrednio na dziedzińiec.

Drzwi były uchylone. Klucze do nich - jedynego wejścia do infirmerii - miał tylko dyżurny strażnik. Zazwyczaj drzwi były zamknięte jedynie na noc, a Sung zostawił je otwarte. Sung - Devlin narreszcie przypomniła sobie jego nazwisko. Więc jednak nie była rasistką.

- Co się stało z Sungiem? - spytała.

- Kiedy widziałem go ostatni raz, niósł jakiegoś dymiącego faceta w stronę głównej bramy.

- Galindez był z nimi?

- Nie. - Coley podał jej karton z lekami. - Nie pokazuj się - powiedział. - Jak który zobaczy kobietę, będą mieli bardzo ważny powód, żeby rozwalić drzwi.

Devlin poczuła nagle, że ogarnia ją panika, i w porę spróbowała zdusić ją żartem.

- Dziesięć tysięcy lat bez ruchania - powiedziała.

- Że co? - spytał Coley, spoglądając na nią.

- Wyszło mi, że jeśli dodamy wszystkie lata, które więźniowie spędzili bez kobiety, wyjdzie ponad dziesięć tysięcy.

- Uwierz mi - odparł Coley - sinych jaj tu nie brakuje. I niewykorzystanego testosteronu. No i skwaśniałego mleczka.

Porównania Coleya wydały się Devlin dość obłeśne. Stała przy drzwiach, które Coley otworzył, i odważyła się tylko wyjrzeć przez szparę przy zawiasach. Niebo nad wschodnim murem było czarne. Dwa reflektory umocowane nad główną bramą omiały dziedziniec snopami światła. Gmach główny był pogrążony w całkowitej ciemności. Coley pstryknął przełącznikiem i nad wejściem do infirmerii zapaliło się światło. Teraz dziedziniec i najbliższy blok więzienny stały się niewidoczne.

- Podaj pudło z prezentami - powiedział Coley.

Gdy wręczyła mu karton tabletek, zniknął na zewnątrz. Devlin wróciła w bezpieczne miejsce za drzwiami i patrzyła przez szparę, jak Coley staje w plamie światła, na schodkach, i stawia obok siebie pudło.

- Hej, Coley!

Głos odezwał się gdzieś w mroku, poza jasnym kręgiem. Devlin nie widziała nikogo w pobliżu. Coley wyprostował się i zmrużył oczy, spoglądając w stronę dziedzińca, a potem niespiesznie ruszył po stopniach z powrotem ku drzwiom.

- Hej, Coley, a ty dokąd, facet? Zaczekaj!

Coley nie zatrzymał się, ale i nie przyspieszył; nie okazywał też strachu. Wskazał ręką na karton.

- Mam tu dla was niezły towar, chłopaki - krzyknął w ciemność.

- Benzodiazepiny, barbiturany, kodeina. Wszystko, co znalazłem. Chodźcie, częszczajcie się.

Odwrócił się, by pokonać ostatnie dwa stopnie.

I wtedy z półmroku wychynęła postać.

- Coley! - krzyknęła Devlin.

Napastnik błyskawicznie wspiął się po schodach, dzierżąc w dłoniach trzydziestocentymetrowy klucz nastawny. Coley obrócił zwinnie swe masywne ciało i wbił stopę prosto w jego gardło. Przeciwnik wywinął kozła w powietrzu i runął w dół, na stopnie, ale zdążył rzucić klucz, mierząc w głowę Coleya, który uchylił się w porę. Stalowe narzędzie uderzyło w drzwi i z klekotem opadło na kamienie. Coley znieruchomiał na moment, by odzyskać równowagę, a potem skoczył na ostatni schodek. Drugi napastnik zaskoczył go od tyłu, rzucając się z otwartymi ramionami na jego nogi. Próbuąc ustać, Coley jedną ręką pochwycił go za gardło, a drugą wyszarpnął z kieszeni klucze i rzucił przy tym rozpaczliwe spojrzenie w stronę Devlin. Runął niczym potężny dąb, ciskając pęk kluczy na środek holu.

- Zamknij drzwi! - ryknął. - Schowaj się w środku!

Devlin wystartowała bez konkretnego planu działania, oszołomiona nadmiarem bodźców. Krzyki i tupot biegnących. Głośny jęk Coleya, który upadł na drzwi po prawej i potoczył się po kamieniach na zewnątrz. Oślepiające światło z zewnątrz. Cienie przesuwane się na granicy jego blasku. Błysk na podłodze: pęk kluczy, a dalej jasna stal masywnego narzędzia. Devlin przeskoczyła nad kluczami i oburącz pochwyciła klucz nastawny. Usłyszała czyjś krzyk.

- Zostawcie go, skurwiele!

U jej stóp ukazała się głowa mężczyzny o oczach pełnych strachu, wpatrzonych w to, co uniosło się ponad jej głowę. Nogi ustawiła

jak należy, w rozkroku, lekko ugięte. Jakby rąbała drewno na farmie ojca, zimą. Kolejny głośny jęk - tym razem z jej piersi. Gwałtowny wstrząs szarpnął jej nadgarstkami, ramionami i kręgosłupem. Zaraz potem przyszła fala uderzeniowa, niejasne wrażenie rozbicia, stłumiony chrzęst czegoś kruchego. Zupełnie inaczej niż przy rąbaniu drewna.

- Jezu - powiedział ktoś tuż obok niej.

Rozległy się krzyki, których już nie słyszała. Mięiste ramię objęło ją w talii, pociągnęło do holu i cisnęło na posadzkę. Odwróciła się, dysząc ciężko. Coley już zamykał potężne drzwi. W szczelinie ukazała się czyjaś twarz i zaraz znikła, trafiona lewą pięścią Żaby. W tej samej chwili Devlin dostrzegła na drugim planie dwóch olbrzymów, brodatych, wytatuowanych i ohydnych, którzy pędzili schodami w górę. Rzuciła się na drzwi całym ciężarem ciała, by pomóc Coleyowi. Domknęły się w samą porę, a mała, stuletnia zasuwka wskoczyła na miejsce.

- Sztaba! - wycharczał Coley.

Drzwi zatrzęsły się i ugięły pod naporem rozpędzonych olbrzymów. Śruby mocujące zasuwkę zapiszczały w drewnie, a żelazo wygięło się nieco. Coley podparł skrzydło całym ciężarem ciała i domknął je na powrót.

Pauza.

- Sztaba!

Długa i płaska sztaba spoczywała w uchwytach na prawym skrzydle drzwi, na wysokości piersi. Devlin pochwyliła umocowaną do niej żelazną gałkę i pociągnęła z całych sił. Sztaba nawet nie drgnęła. Nieużywana pewnie od dziesięcioleci, przyrdzewiała do uchwytów. Devlin spojrzała na szczelinę między skrzydłami drzwi: po obu stronach sterczały solidne klamry. Usłyszała dobiegający z zewnątrz bojowy okrzyk dwóch szarżujących olbrzymów.

Coley odskoczył od drzwi i porwał z podłogi pęk kluczy.

- Chodu! - krzyknął.

Lecz Devlin nie pobiegła za nim. Skoczyła naprzód i z impetem wepchnęła klucz nastawny w obie klamry. Odsunęła się, a sekundę później ponad dwieście kilogramów psychopatycznego mięsa i kości runęło na drzwi. Ugięły się potężnie, ale wytrzymały. Klucz zaskrzypiał w starych, żelaznych klamrach i przez krótką chwilę wibrował, oddając zaabsorbowaną energię kinetyczną. Zaraz potem umęczone drzwi wróciły na swoje miejsce. Coley minął Devlin i z całej siły naparł dłonią na gałkę sztaby.

- Rusz się, kurwa!

Sztaba przesunęła się z głośnym skrzypnięciem może o pół centymetra. Coley znowu uderzył w pokryte rudym nalotem żelazo. I wreszcie rdzawa powłoka ustąpiła, a sztaba odzyskała swobodę ruchu.

- Rozwalić to gówno! - wrzasnął cienki głos za drzwiami.

Coley wskazał ruchem głowy na klucz nastawny. Devlin zrozumiała i zacisnęła dłonie na jego szczękach.

- Ty ciągniesz, ja pcham - powiedział Coley.

Z zewnątrz dobiegł narastający ryk dwóch głosów.

- Teraz!

Gdy Devlin wyszarpnęła z klamer klucz, Coley wprowadził w nie sztabę - znacznie dłuższą od klucza i spoczywającą teraz w czterech mocnych klamrach, dwóch na każdym skrzydle. Gdy napastnicy w pełnym biegu zderzyli się z drzwiami, te prawie się nie ugięły.

Grube drewno stłumiło wiązaną głośnych przekleństw.

Coley oparł dłonie na udach i pochylił się, oddychając ciężko. Spojrzał na Devlin swymi wyłupiastymi oczami o ciężkich powiekach.

- Zdawało mi się, że kazałem ci zamknąć się w środku - powiedział.

Zablokowanie drzwi otworzyło chyba wszystkie kanały w układzie neurohormonalnym Devlin. Chciało jej się śrać, wymiotować,

mdleć i śmiać jednocześnie. Drżała przy tym od stóp do głów, ale otrząsnęła się z tego stanu.

- Pierdol się, Coley.

Coley wyprostował się.

- Gdybyś mnie tam zostawiła, byłbym szczęśliwym trupem, a teraz muszę się martwić o ciebie i tych cholernych chorych kutasów.

- Daj mi paczkę fajek, to sama się sobą zaopiekuję - odpowiedziała.

Coley zerknął na klucz, który ścisnęła w dłoni.

- Wiesz co, doktorko?

Devlin pokręciła głową.

- Twardy z ciebie skurwiel.

Devlin zarumieniła się mocno i poczuła w łędźwiach skurcz graniczący z seksualną przyjemnością. Umysł się buntował, ale przecucie podpowiadało jej, że właśnie usłyszała największy komplement w swoim życiu.

Spojrzała w dół, na klucz. Jego szczęki były oblepione krwią i włosami. Zupełnie inaczej niż przy rąbaniu drewna.

- Lepiej go nie zgub - poradził jej Coley. - Całkiem zgrabnie nim wywijasz.

- Hej, Coley! - Ktoś łomotał do drzwi. - Żaba!

- Zostań tu - powiedział Coley.

Trącił przełącznik i hol wraz z korytarzem utonął w ciemności. Devlin wycofała się aż za róg korytarza, do pokoju strażnika. Coley otworzył klapkę wizjera i stanął obok, plecami do drzwi. W blasku żarówki oświetlającej schody ukazała się w okienku twarz, której Devlin nie знаła. Kiedy zobaczyła, jak intruz daremnie zagląda do ciemnego wnętrza holu, poczuła się nieswojo: to była twarz chłopca, szczupłego chłopca o włosach długości trzydziestu milimetrów. Z powodzeniem mógł nosić pomarańczowe ubranko i grać na cymbałkach.

- Słyszałeś mnie, Żaba? - spytał chłopiec.

Coley nie odpowiedział.

- Masz tam panienkę?

- Nie - odparł Coley. - Sprowadziłem sobie ślicznego białego chłopaczka z A i właśnie się do niego zabieram.

- Okłamujesz mnie, Żaba? Bardzo nieładnie.

- Ma większego fiuta niż ty.

- Słuchaj no, Żaba, do ciebie nic nie mamy. Chcemy tylko załatwić pedałów.

- Jedynymi pedałami w okolicy jesteśmy ty i ja. A jak chcesz się ze mną zabawić, to wpadnij jutro.

- Wiesz, co mam na myśli, Żaba. Tych skurwieli z AIDS. Muszą zdechnąć, facet. Obiecałem to Nevowi Agry'emu. Cholera, przecież wiesz: wyświadczamy im tylko przysługę.

- Pocałuj mnie w dupę.

- Słuchaj, naprawdę możesz iść, dokąd chcesz. Masz moje słowo. Twój chłopaczek też. Chcemy tylko tych z AIDS.

Głos i twarz były tak niewinne, tak anielskie, że Devlin prawie uwierzyła. Aniołek grzecznie prosił o pozwolenie na uśmiercenie chorych. Wzdrygnęła się i mocniej zacisnęła dłonie na uchwycie klucza.

- Pocałuj mnie w dupę - powtórzył Coley.

Grymas frustracji i wściekłości wykrzywił anielską buźkę w okienku wizjera.

- Przecież wiesz, że i tak tu wejdziemy. Naczelnika to gówno obchodzi. Klawisze zwiali. Kurwa, w dwadzieścia minut zajęliśmy całą tę jebaną budę! Sądzisz, że ty nas powstrzymasz?

Zapadła cisza. Devlin słyszała w ciemności tylko oddech Coleya. Aniołek uśmiechnął się nagle. Zastanawiała się, czy mógł usłyszeć bicie jej serca. Wiedziała, że jej nie widzi, a jednak zdawał się patrzeć prosto w jej oczy.

- Teraz mówię do ciebie, panienko.

Devlin odwróciła się odruchowo, plecami do oczu, które nie mogły jej dostrzec.

- Doktor Devlin, prawda?

Dźwięk jej nazwiska rozniósł się echem, wzbudzając nagły skurcz lęku w żołądku Devlin.

- W życiu nie ruchałem doktorki. Moi chłopcy też nie, więc pewnie ustawią się w kolejce.

Devlin oparła się jedną ręką o ścianę. Jasne oczy wciąż spoglądały w jej stronę.

- Ale coś ci obiecuję, bo wiem, że już łączy nas coś szczególnego. Widzisz, zamierzam wyruchać cię w dupę, a moim chłopcom pozwolę pieprzyć cię tylko w usta i w cipę. Masz na to moje słowo honoru. Chodzi o to, doktor Devlin, żeby twoja dupka została tylko dla mnie, milutka i ciałniutka.

Coley zatrzasnął wizjer. Jeszcze przez chwilę dobiegały z zewnątrz stłumione głosy, potem tupot nóg, aż wreszcie zapadła cisza.

Devlin była odrętwiała. Oparła czoło o mur. Wszystko, co usłyszała i zrozumiała, znikło gdzieś w szczelnie zamkniętych połączeniach neuronów, skąd nie mogło jej gnębić. W tej chwili myślała już tylko o jednym: żeby poprosić Coleya, by jeszcze raz otworzył wizjer i pozwolił jej spytać aniołka, co się dzieje z Kleinem. Jeśli czuła teraz niepokój, to tylko o niego. Za dwadzieścia cztery godziny miał wyjść z więzienia, a został uwięziony w gmachu głównym. Poczwała na ramieniu dłoń Coleya.

- On nie ma żadnych wrogów, prawda? - spytała.

- Kto? - zdziwił się Coley.

- Klein.

Na krótką chwilę wokół oczu Coleya pojawiły się drobnutkie zmarszczki, gdy przyglądał się jej z bliska, dostrzegając wszystko, co było wypisane na jej twarzy. Uśmiechnął się łagodnie.

- Wszyscy lubią Kleina - odparł. - Nikt nie ma powodu, żeby go krzywdzić. Absolutnie nikt. Jest bezpieczny, słyszysz?

Devlin skinęła głową. Coley sięgnął do kieszeni i podał jej papierową serwetkę. Teraz dopiero zauważyła, że jej policzki są mokre od łez.

- Przepraszam - powiedziała, ocierając twarz serwetką. - Po prostu martwię się o niego.

- Ja też - odpowiedział Coley.

Devlin spojrzała na niego.

- Dzięki.

- Za co?

- Za to, że nie pozwoliłeś mi czuć się jak dupa wołowa.

- Jesteś na to o wiele za twarda - odparł Coley.

Devlin uśmiechnęła się.

- Grauerholz wróci - dodał Żaba. - Lepiej się przygotujmy.

Coley uściśnął jej ramię i ruszył w głąb korytarza. Devlin wydmuchała nos i schowała serwetkę do kieszeni, a potem podążyła za nim, na drugą stronę stalowej kraty, która jeszcze nigdy nie wyglądała na tak kruchą.

ROZDZIAŁ 22

Ray Klein ciągnął Claudine po galerii numer dwa bloku D, a potem spiralnymi schodami w dół. Oddychał szybko, przez rozszerzone nozdrza, jakby w powietrzu zaczynało brakować tlenu. Jego mięśnie drżały, a umysł pozostał bardzo chłodny, lecz Klein sam nie wiedział, co tak naprawdę kazało mu działać. Przyszło mu do głowy jedno słowo: oburzenie. Totalne oburzenie. Uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie znał prawdziwego sensu tego słowa. Naprawdę. Nie znał go nawet wtedy, gdy policyjni detektywi zjawili się w szpitalu i powiedzieli mu, że jest oskarżony o gwałt.

Agry zamierzał zabić ludzi chorych na AIDS, leżących w łóżkach i całkowicie bezbronnych.

Oburzenie. Klein nie czuł gniewu; był ponad to: ekstremalność planu Agry'ego po prostu nie mieściła mu się w głowie. Klein sądził, że zdążył poznać to miejsce, całą jego nikczemność i zdziczenie. Zdawało mu się nawet, że sam stał się częścią owej nikczemności: przecież jeszcze niedawno słuchał krzyków rannego i życzył mu śmierci, byle tylko oszczędzić sobie kłopotu. Ale szpital więzienny był świętym miejscem. Mogli się zabijać, mogli torturować pedofilów, biali mogli szatkować czarnych, czarni Latynosów, a Latynosi białych, byle tylko on, Klein, pozostał ostatnim z żywych. Ale infirmeria była ziemią świętą. Bez niej nie liczyło się nic. Bez niej znikaly nawet migocące cienie na ścianie podziemnej jaskini.

Dotarli do poziomu zero. Claudine, która dreptała za nim, wciąż płakała. Klein zatrzymał się i odwrócił ku niej.

- Muszę wiedzieć, o co tu, kurwa, chodzi, Claude - powiedział.

Claude schował się za potokiem łez Claudine. Potrząsnęła głową.

- Nie wiem.

Klein pchnął ją tak, że uderzyła plecami o ścianę. Gdy unióś ramię, lekliwie zasłoniła twarz dłońmi. Klein roztrącił jej ręce na boki. Złapał ją za twarz i rękawem starł czerwoną szminkę z jej ust. Spojrzała na niego.

- Mówię do ciebie, Claude - powiedział Klein. - Wiem, że Claudine utrzymuje cię przy życiu, ale w tej chwili nie czas na kłamstwa. Nie powiem Nevowi niczego, co mogłoby ci zaszkodzić, ale muszę wiedzieć, co się tu, kurwa, dzieje.

Claude zatrzepotał powiekami, powstrzymując łzy i - przynajmniej na chwilę - swoje alter ego. Przełknął ślinę i skinął głową.

- W porządku - rzekł Klein. - Nev musi wiedzieć, że nie może wygrać. Cały ten bunt to samobójstwo. Resztę pierdolonego życia spędzi w izolatce.

- To moja wina - odpowiedział Claude.

- Pieprzę twoją winę.

Klein westchnął i spróbował się opanować. Claude był cwaniakiem, ale nie geniuszem. Kiedy tak mrugał wielkimi, brązowymi ślepiami, Klein zrozumiał, że ma przed sobą istotę rzuconą w sam środek barbarzyńskiej wojny i nie mniej zdezorientowaną niż cała reszta więźniów.

- Po prostu mów, co wiesz - powiedział nieco łagodniej.

- Nev chciał mnie odzyskać. Gdybym wiedział, że jest aż tak szalony, nie zgodziłbym się na powrót do B.

- Zgodziłeś się... z kim?

Claude odwrócił głowę i nie odpowiedział. Klein potrząsnął nim.

- Agry uważa, że zostałeś przeniesiony siłą, na rozkaz Hobbesa i na życzenie Wilsona.

- Wiem.

- Wilson sądzi, że sam prosiłeś Hobbesa. Kto ma rację?

- Jestem tylko jednym z wielu nieszczęsnych skurwieli, którzy chcą wrócić na ulicę, Ray. Nikogo nie prosiłem o specjalne traktowanie.

- Co się stało?

- To naczelnik.

- Wilson go prosił? - spytał Klein.

Claude pokręcił głową.

- Hobbes prosił mnie. Mówił, że jeśli zostawię Neva i przestanę udawać kobietę, załatwi mi zwolnienie warunkowe. Gdybym tego nie zrobił, komisja odrzuciłaby mój wniosek i odsiedziałbym cały wyrok.

- Zostało ci sześć lat, prawda?

Claude skinął głową. Klein nie umiał go winić. Sam dałby się zerznąć całemu blokowi, gdyby obiecano mu za to skrócenie kary o sześć lat.

- Ale musiałeś wiedzieć, że Agry nie zniesie utraty twarzy - zauważył.

- Sądziłem, że każe mnie zabić. Powiedziałem o tym Hobbesowi i obiecał, że mnie obroni.

- Jak?

- Przez blokadę. - Claude skrzywił się ze wstydu. - Pozwoliłem, żeby zamknął braci, tylko po to, by nie dopadł mnie Nev. Cholera, nie wiedziałem, że tak się skończy.

- Hobbes wiedział - odparł Klein.

Claude otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Ten kutas?

Klein skinął głową. Hobbes i te jego gadki o nadchodzących zmianach; te jego pigułki dla wariatów, których nie brał; te jego

panoptyczne fantazje o wyciągnięciu wszystkich z ciemności w światło. Hobbes wiedział, że dojdzie do rebelii. To był bunt Hobbesa, nie Neva Agry'ego. A jednak musiało się za tym kryć coś jeszcze. Agry'emu wystarczyłaby przecież śmierć Claude'a. Nawet podczas blokady mógł dopiąć swego; za odpowiednią cenę ktoś zabiłby chłopaka, a Agry miał głębokie kieszenie. W River nie brakowało ładnych chłopców, którzy szybko zaspokoiliby jego seksualną próżność. Brakowało kawałka w tej układance, a może nawet kilku kawałków. Klein nie mógł zrozumieć, co Agry próbuje uzyskać. Bunt prędzej czy później musiał kosztować go utratę wszystkiego, z Claude'em włącznie. Po czymś takim nie wypuszczono by go z izolatki, jeśli nie miałyby alzheimera i dwóch sztucznych stawów biodrowych. Zdaniem Kleina, Agry - w przeciwieństwie do Hobbesa - nie był aż tak szalony.

- Czy Hobbes wspominał coś o Agrym, albo vice versa? - spytał Klein.

Claude pokręcił głową. Zanim Klein zdążył przycisnąć go mocno, zza jego pleców dobiegł głos Agry'ego.

- Napastujesz moją kobietę, Doktorku?

Klein odwrócił się i spojrzał w niemal całkowitą ciemność. Agry stał przy bramie oddzielającej blok od atrium, w towarzystwie Tony'ego Shocknera i dwóch innych ludzi, uśmiechając się złośliwie. Nieco spięty Shockner spoglądał na Kleina zza szkieł w drucianej oprawie. Zbliżyli się całą czwórką. Klein zebrał się w sobie. Ciężar rewolweru w kieszeni nie był już dla niego wielką pociechą. Czuł się jak kapitan szkolnej drużyny szachowej, który staje naprzeciwko przywódcy lokalnej grupy Aniołów Piekieł. Nawet uczucie oburzenia jakby w nim przygasło, ale zaraz wyobraził sobie, jak Horace Tolson rozwała łomem czaszkę Vinniego Lopeza.

- Gdzie jest Grauerholz? - spytał.

Agry przestał się uśmiechać. Spojrzał na Claude'a i zobaczył jej rozmazany makijaż.

- Idź, doprowadź się do porządku.

Claude odepchnął się od ściany i odszedł, nie oglądając się za siebie. Klein poczuł się jeszcze bardziej osamotniony. Agry zmierzył go wzrokiem.

- Co mówiłeś, Doktoru?

- Pytałem, gdzie jest Grauerholz.

- Poszedł zatłuc paru pedałów - odparł Agry.

- Dlaczego?

- Jak to „dlaczego”? - Usta Agry'ego wykrzywił groteskowy grymas. Jego oczy płonęły żywą nienawiścią. - Bo tu są. Oto dlaczego.

- Mógłbyś go powstrzymać, gdybyś chciał - stwierdził Klein.

- Gdybym chciał? - Agry spojrzał na swych kumpli i uśmiechnął się. - Przecież to, kurwa, mój pomysł. Niech zdychają, dupodajni skurwiele. Ale co to ma znaczyć, Klein? Próbujesz mi coś powiedzieć?

Klein znowu oddychał z trudem. Był wewnętrznie rozdarty: miał ochotę uderzyć Agry'ego w pysk albo upaść na kolana i błagać o litość.

- Po prostu wydaje mi się, że to zbędne - odparł.

- Wiesz co, Doktoru? - spytał Agry, krzywiąc się złowrogo. - Masz rację. To zupełnie, kurwa, zbędne. Ale co, do chuja pana, jest tu niezbędne? Myślisz, że coś tutaj dzieje się z konieczności?

Jakaś część umysłu Kleina oszacowała, że ma on lepszą kondycję i jest szybszy od Agry'ego. Z całą pewnością mógł złamać mu kolano, zmiażdżyć gardło albo wbić łokieć w skroń, a następnie sterroryzować Shocknera pistoletem i kazać mu odwołać akcję Grauerholza. Inna część umysłu wskazała mu jednak, że jego kończyny są sparaliżowane strachem. Debata między częstkami umysłu dobiegła końca, gdy Agry dźgnął go palcem wskazującym w pierś.

- A może zdaje ci się, że ty sam jesteś niezbędny, panie Krótko-terminowy? - spytał Agry.

Klein nie odpowiedział. Nienawiść w oczach Agry'ego przekraczała rozsądną miarę. Dla odmiany Agry dźgnął teraz palcem własną pierś.

- Nawet ja nie jestem niezbędny - rzekł z uśmiechem. - Już nie. Co się stało, to się nie odstanie. Sprawy się toczą, Doktoru, i nikt ich już nie zatrzyma. Absolutnie nikt.

Klein zerknął na Shocknera. Jego twarz była jakby bardziej wychudła niż zwykle; spoglądał na Agry'ego tak, jakby dopiero teraz dotarło do niego, dokąd Agry ich wszystkich doprowadził.

- Robiłeś, co do ciebie należało, Doktoru - powiedział Agry. - I byłeś dobry dla Claudine. Tylko z tego powodu będziesz miał szansę bujać wnuki na kolanie i opowiadać im, że kiedyś mierzyłeś ze spluwy do Neva Agry'ego. - Odwrócił się z uśmiechem do swoich ludzi, po czym jeszcze raz spojrzął na Kleina. - I wiesz co? Mam świetny pomysł: skoro tak cię to gryzie, to idź i powiedz Grauerholzowi, żeby zostawił pedryle w spokoju. Daję ci na to pozwolenie. Słyszałeś, Tony? - spytał, spoglądając na Shocknera. - Doktor chce negocjować z Hectorem, więc mu na to pozwolisz. W końcu - dodał, parskając pogardliwie i znowu zwracając się ku Kleinowi - to cioty pozwoliły mu się nieźle ustawić. Może sobie fruwać po infirmerii, prawie jak na wolności, szepcząc słodkie słówka tej swojej damulce. To lepsze niż robienie klamerek do pasków w warsztacie, co, Doktoru?

Klein nie odpowiedział. Większość ludzi uważała, że praca w infirmerii jest z jego strony bohaterstwem. Agry rozumiał, że układ jest bardziej korzystny dla niego. To Klein zawdzięczał im więcej niż oni jemu.

- O, tak - dorzucił Agry, kiwając głową. - On to wie.

Przez długą chwilę patrzył Kleinowi w oczy, po czym odwrócił

się z pogardą. Na odchodnym trącił Kleina masywnym barkiem. Klein zachwiał się i cofnął o krok ku prętom celi. Shockner i pozostali ruszyli za Agrym w ciemność korytarza. Klein sflaczał cały; czuł kwaśny smak w gardle i chciało mu się palić.

- Hej, Doktorku!

Klein odwrócił się. Agry zawołał go z ciemności korytarza:

- Dam ci znać, jak będę potrzebował, żebyś mnie natarł maścią na hemoroidy, dobra?

Dwaj jego ludzie zarechotali z uciechy, a sam Agry dołączył do nich. Śmiejąc się jeszcze, obrócił się na pięcie i odszedł w kierunku swej celi.

Klein został sam w ciemności. Milion słów przelatywało przez jego umysł, ale nie rozumiał ich; zlewały się w szum równie pusty jak cisza. Nie wiedział, jak długo pozostawał w tym stanie, ale szum wreszcie zaczął mu przynosić ukojenie. Być może gdyby wsłuchiwał się weń wystarczająco długo, doczekałby końca buntu. W jego świadomość wdarło się jednak akurat to słowo, którego nie chciał słyszeć.

- Doktorze.

Klein zignorował je, ale zaraz poczuł na ramieniu dłoń wielkości rękawicy do baseballu.

- Doktorze?

Klein przestał wpatrywać się w ciemność i skupił wzrok na twarzy Henry'ego Abbotta. Uśmiechnął się do niego dość blado.

- Henry - odpowiedział.

- Tu jest niebezpiecznie - zauważył Abbott.

- Tak - zgodził się Klein. - Lepiej wracaj do swojej celi.

Klein poczuł nagle, że nogi niosą go w stronę głównego wyjścia z bloku.

- Dokąd pan idzie? - spytał Abbott.

Klein przystanął.

- Muszę iść do infirmerii - odparł.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem głos Abbotta rozbrzmiał w ciemności tonem, jakim stwierdza się niezaprzeczalne, proste prawdy:

- Oczywiście. Potrzebują pana.

ROZDZIAŁ 23

Czerwona żelazna belka z numerem 99 wciąż sterczała z wybitego i osmalonego okna centralnej wieży strażniczej. Białe cyfry fosforyzowały lekko w ciemności i gdyby Klein ich nie dostrzegł, pewnie zderzyłby się z belką. Może wtedy, ze zwichniętą rzepką albo zerwanym ścięgnem, musiałby zawrócić do swojej celi. Niestety, rozumiał już, że nie jest to jeden z tych szczęśliwych dni, w których można złamać nogę. Ostrożnie przestąpił nad belką.

Ogień w bloku B zdążył już wygasnąć i ludzie Agry'ego oraz ci, których dostał w spadku po DuBois, zajęci byli plądrowaniem pustych cel. Klein okrążył wieżę i skręcił w stronę skrzydła ogólnego przeznaczenia. W niskim korytarzu panowała jeszcze głębsza ciemność i widoczność spadła do zaledwie paru metrów. Mijał cienie opartych o ściany i leżących na posadzce postaci. Niektóre były zupełnie nieruchome. Inne wydawały z siebie ciche, monotonne odgłosy, ale nie umiał orzec, czy pod wpływem odurzenia, czy ran. Nie próbował się dowiedzieć. U drzwi biblioteki leżały rozrzucone książki oraz luźne, podarte i nadpalone kartki. Z kaplicy dochodziły odgłosy rąbania drewna i pijackie śmiechy. Klein nawet nie spojrział w tamtą stronę. Wolał nie wiedzieć, co się tam dzieje. Z przeciwka nadeszli środkiem korytarza trzej biali. Jeden z nich niósł plastikowe wiaderko, a pozostali kawałki drewna. Klein skorygował kurs, by minąć ich bokiem. Zatrzymali się, kiedy go zobaczyli, i spojrzeli nań

ponuro. Mężczyzna z wiaderkiem uniósł je do ust i pociągnął łyk. Klein nie patrzył im w oczy i miał cholerną nadzieję, że zostawią go w spokoju. Gdy zrównał się z nimi, odezwał się ten z wiaderkiem.

- Napijesz się, Doktorku?

- Dzięki, kolego, ale nie teraz. Może później - odparł Klein, nie zatrzymując się.

Minął ich szybko i choć bardzo chciał obejrzeć się przez ramię, nie zrobił tego. Wyteżał słuch, spodziewając się kroków za plecami, ale nie doczekał się ich. Zauważył, że odruchowo kuli ramiona. Opanuj się, pomyślał. Kiedy jesteś spięty, tracisz na szybkości. Mijał właśnie salę gimnastyczną. Dobiegał z niej odgłos kozłowania piłką do koszykówki na parkiecie oraz okrzyki kibiców. Tym razem nie wytrzymał i zerknął w stronę otwartych drzwi. W pustych i podziurawionych puszkach po oleju do smażenia płonął ogień. Zaimprovizowane kosiaki rzuciły upiorny blask na graczy walczących o piłkę. Pod ścianą Klein dostrzegł nagiego mężczyznę, na wpół klęczącego, uwiązanego za nadgarstki do drewnianych drabinek do ćwiczeń. Jego czarne plecy lśniły w blasku ognia, gdy biały więzień z portkami opuszczonymi do kostek posuwał go od tyłu, postępując z wysiłku. Tuż obok stał inny, z rozpiętym rozporkiem, i przyglądał się temu, waląc konia.

Klein odwrócił głowę.

To, co czuł, nie było dobre ani dla niego, ani dla nikogo innego. Wyłączył uczucia. Niczego nie widział. Minął salę gimnastyczną i zobaczył przed sobą wyjście na dziedziniec. Za jego łukiem dostrzegł zaś betonową ścieżkę prowadzącą ku bramie głównej więzienia i snopy światła z reflektorów letargicznie prześlizgujące się po pustym placu; w ich blasku raz po raz błyskały ogniwa drucianej siatki ogrodzenia. Klein nie był zaskoczony tym, że Hobbes i Cletus postanowili zamknąć budkę i przeczekać całą imprezę. Wystarczająco wiele słyszał na temat innych buntów oraz katastrof, którymi

zazwyczaj kończyły się nazbyt zapalczywe próby odbicia zakładników. Gdyby jednak udało mu się porozmawiać z Cletusem, był pewny, że kapitan zgodziłby się objąć infirmerię ochroną. Cletus był skorumpowanym i brutalnym funkcjonariuszem, ale nie stałby z założonymi rękami, kiedy w pobliżu mordowano by chorych. Klein spostrzegł dwie postacie siedzące pod ścianą tuż obok bramy. Obie były zakrwawione, a jedna z nich spuściła głowę nisko na pierś.

Klein postanowił minąć je twardo i obojętnie.

- Klein, to ty? - spytał ranny.

Klein nie zatrzymał się. Tym razem było łatwiej. Czuł już na twarzy powiew świeżego powietrza.

- Załatwią cię, facet, nawet nie próbuj.

Klein przystanął i obrócił się. To był głos Hanka Crawforda, całym zwyczajnego przedstawiciela klasy średniej z Fort Worth, z którym raz czy dwa zagrał w szachy. Hank był księgowym w firmie nafiarskiej i odsiadywał dwa lata za oszustwo. Żeby skończyć w więzieniu za coś takiego, musiał mieć najgorszego adwokata w historii Teksasu - a jednak tak właśnie się stało. Klein przykucnął obok niego. Poniżej kolana prawa nogawka spodni Crawforda była nasiąknięta krwią. Powyżej rany zaciśnięty był parciany pasek. Siedzący obok mężczyzna dostał kulę w krocze i gdy reflektor z wieżyczki oświetlił go na chwilę, ukazując jego woskową cerę oraz sine wargi, Klein orzekł, że jego stan jest bardzo zły. Spojrzał pytająco na Crawforda.

- Próbowaliśmy się poddać - wyjaśnił Crawford. - Byliśmy niecałe sto metrów od bramy, kiedy ktoś powiedział przez megafon, że mamy zawrócić. Szliśmy dalej. Jeden strzał ostrzegawczy, a potem łup, Bialmann dostał w nogę. Zatrzymałem się, żeby mu pomóc, i wtedy dostałem od tyłu. Zdaje mi się, że leży tam jeszcze dwóch. Nie uda ci się.

Klein wysłuchał go w milczeniu. Spojrzał tylko na daleki kraniec dziedzińca. Widok na budynek szpitala przesłaniał mu daleko wysunięty narożnik bloku B.

- Chcę się dostać do infirmerii - rzekł.

- To też ci się nie uda.

- Dlaczego?

- Grauerholz już tam polazł ze swoją bandą. Chyba chcą roznieść całą budę. - Crawford odwrócił głowę, kiedy ujrzał minę Kleina. - Okropna sprawa, w życiu o czymś takim nie słyszałem.

- Poszli tędy? - spytał Klein.

Crawford pokręcił głową.

- Zdaje się, że najkrótszą drogą, przez B. Ale mówię ci, facet, nic nie poradzisz. To żądni krwi psychole. Właśnie kiedy zobaczyłem ich gęby, postanowiłem się poddać. Nie chcę nawet być w tym samym stanie co oni.

- Dawno wyszli?

- Cholera, w takiej chwili nie odróżniłbym nawet dnia od nocy.

- Z wysiłkiem uniósł rękę i spojrzał na zegarek. - Może z pół godziny temu? Albo mniej.

Klein chciał już wstać, ale Crawford złapał go za ramię.

- Możesz mi jakoś pomóc, Doktorku?

Klein zmrużył oczy. Zamierzał zostawić tu Crawforda. Nie miał czasu; musiał dotrzeć do infirmerii albo przynajmniej dowiedzieć się, co się tam dzieje. Do diabła, naprawdę nie miał czasu.

Jęknął ze złości, ale wsunął palce w dziurę w spodniach Crawforda i rozerwał materiał. Crawford stęknął głośno przez zaciśnięte zęby. Krew płynęła leniwym strumieniem z rany postrzałowej w tylnej części kolana. Klein stwierdził, że arteria podkolanowa została przerwana, a końcówka kości udowej strzaskana. Strażnicy używali karabinów M16. Opaska uciskowa została założona w niewłaściwym miejscu i jedynie pogarszała krwotok.

- Nie jestem złym człowiekiem, Doktorku - wysapał Crawford.

- Przecież wiesz. Siedzę dopiero trzy miesiące. Próbuję tylko wytrwać.

Jego twarz była niemal tak blada jak twarz Bialmanna, a także obłana cienką warstewką potu. Klein sprawdził kciukiem puls na tętnicy udowej. Sto trzydzieści. Zastanawiał się, ile krwi stracił Crawford. Tak czy inaczej, nie mógł sobie pozwolić na to, by stracić więcej.

- Tak - przyznał. - Ja też.

Rozwiązał pasek ściskający nogę Crawforda, a ten zeszytniał i znowu zacisnął zęby. Krwawienie nie nasiliło się, ale jeśli nawet był tam skrzep, to bardzo delikatny. Należało unieruchomić nogę, bo ruch mógł odblokować pęknięte naczynie i ranny wykrwawiłby się na śmierć. Klein pochylił się nad Bialmannem i sprawdził jego puls na tętnicy szyjnej. Dziesięć sekund później zabrał się do rozrywania jego koszuli.

- Co z Bialmannem? - spytał Crawford.

- Nie żyje - odparł Klein.

Crawford zaczął cicho płakać.

Klein zwinął koszulę w coś w rodzaju opatrunku uciskowego i przywiązał ją do rany na nodze Crawforda. Wstał i uświadomił sobie, że właśnie robił wszystko to, czego miał unikać. Był pieprzonym idiotą. I Crawford też. Idiota. Klein wiedział jednak, że gdyby ranny pozostał tutaj, bez dostępu do wody, która mogłaby pomóc mu zwiększyć objętość plazmy, a może nawet popełniłby po korytarzu w jej poszukiwaniu, bo utrata krwi rodziła nieznośne pragnienie, umarłby jeszcze przed świtem albo zapadł na ciężką niewydolność nerek. Problem polegał właśnie na tym, że Klein w i e d z i a ł. Gdyby był kimś innym i nie miał o tych sprawach pojęcia, pewnie związałby tę opaskę, uścisnął rękę Crawforda i z czystym sumieniem, całkiem nieświadomie skazał go na śmierć. Niestety, Klein wiedział. I nie umiał zlekceważyć poczucia obowiązku.

- Podaj mi ręce - powiedział.

Crawford usłuchał.

- A teraz podciągnij pod siebie zdrową nogę. Za chwilę wstaniesz i będzie cię zajeżdżało.

Crawford ugiął nogę i postawił stopę płasko na podłodze, szlochając z bólu i strachu.

- Nie mogę.

- Pierdolisz - odparł Klein. - Wstawaj.

Cofnął się o krok i pociągnął za ramiona Crawforda, który nie miał już wyboru: musiał stanąć na zdrowej nodze. Kwiknął z bólu, a gdy osiągnął pion, umilkł i przewrócił oczami - zaczął tracić przytomność. Klein przyklęknął na jedno kolano i podparł go prawym ramieniem, obejmując go strażackim chwytem. Wstał i zachwiał się pod ciężarem. Oparł się jedną ręką o ścianę. Gdy odzyskał równowagę i odwrócił się ku czarnej czeluści skrzydła ogólnego przeznaczenia, zobaczył Henry'ego Abbotta, który stał opodal i przyglądał mu się. Klein odetchnął głęboko.

- Henry - stęknął. - Co ty tu, kurwa, robisz?

- Pomyślałem, że przyda się panu pomoc - odparł Abbott.

Klein zacisnął powieki, oddychając głęboko. Crawford, który łąda chwila mógł wykrwawić się na śmierć, miał z dziesięć kilo nadwagi. Abbott był wariatem o inteligencji byka rasy Brahman. A on sam, Klein, był zdrowo pojebany. Bardzo prosta sprawa, pomyślał i otworzył oczy.

- Chodźmy - zarządził.

I zanim Abbott zdążył odpowiedzieć, pochylił się i ruszył w głąb korytarza ociężałym truchtem. Takie numery odwał Robert Mitchum na plaży Omaha, gdy przypalając cygaro, jednocześnie rozpieprzał granatem gniazdo niemieckich karabinów maszynowych. Niestety, po dziesięciu krokach Klein dyszał już jak lokomotywa i zastanawiał się, który dysk lędźwiowy trzaśnie mu jako pierwszy. Jesteś w dobrej formie, pomyślał. William James przygotował cię na

to. Właśnie. To Crawford jest taką tłustą pizdą. Klein minął salę gimnastyczną. Mecz koszykówki i zbiorowy gwałt w blasku płomieni. Przeskoczył nad ciałem leżącym na podłodze. Nie do, kurwa, wiary. Wiedział, że jeśli znowu się zatrzyma, więcej się nie ruszy. Biegł więc dalej. Nagle z wnętrza kaplicy wyskoczył jego stary kumpel, Myron Pinkley. Jego ręce i ubranie świeciły się od krwi. Wzniósł ramiona ku niebu i wrzasnął piskliwym głosem:

- „Oto bowiem przyjdą dni, kiedy mówić będą: szczęśliwe nie-
płodne łona, które nie rodziły, i piersi, które nie karmiły!”*

* *Biblia Tysiąclecia*, Łk 23,29 (przyp. tłum.).

Perspektywa ta najwyraźniej bardzo go cieszyła, gdyż zaczął zanosić się dzikim śmiechem. Klein potrafił wyliczyć paru innych więźniów, których wolałby spotkać akurat w tym momencie. Pinkley spostrzegł go jednak i po chwili truchtał już obok niego. Nagle pochylił się w bok i wrzasnął prosto w twarz Kleina:

- Kajdany prawa zostały zrzucone. Na skrzydłach sprawiedliwych duch Jezusa poszybuje między nami. Nikczemni i niesprawiedliwi zostaną strąceni w wieczysty ogień.

Klein nigdy się nie dowiedział, czy Pinkley widział go raczej wśród sprawiedliwych czy strącanych do piekła. Religijne uniesienie malujące się na jego twarzy ustąpiło miejsca przerażeniu, gdy Pinkley obejrzał się przez ramię i ujrzał tak dobrze mu znaną prawą rękę, która w tej samej sekundzie zacisnęła się na jego gardle i uniosła go w powietrze. Piszcząc w panice, zniknął nagle z pola widzenia Kleina, który biegł dalej, ale miał przecucie graniczące z pewnością, że lada chwila odpadnie mu prawy bark. Nogi uginały się pod nim, gdy wpadł do atrium i oparł się o ścianę wieży strażniczej, dysząc ciężko.

Po klaustrofobicznej ciasnocie korytarza zawieszona kilka metrów

nad ziemią kopuła wydawała mu się istnym cudem świata. W końcu złapał oddech. Zobaczył Abbotta, który właśnie wyłaniał się z ciemnego korytarza skrzydła ogólnego przeznaczenia.

- Gdzie Pinkley? - spytał Klein.
- Położyłem go w kaplicy - odparł Abbott.
- Dzięki, Henry.

Abbott wskazał palcem na ciało, które Klein dźwigał na ramieniu.

- Powinien był pan pozwolić mi go wziąć - powiedział. - Jest ciężki.

Klein uśmiechnął się sztywno, a niedorzeczna duma macho nie pozwoliła mu oddać Crawforda Henry'emu.

W końcu i tak nie czuł już ramienia.

- Dobrze jest znać kogoś takiego jak ty, Henry - powiedział, po czym skinął głową w stronę przeciwległej ściany atrium. - Idziemy do B. Trzymaj się blisko mnie, żebyś znowu nie wpadł w tarapaty.

Abbott z powagą skinął głową. Klein podrzucił lekko Crawforda i przebiegł ostatnich kilkadziesiąt metrów pod szklaną kopułą. Po drodze kazał Henry'emu zabrać dwa kawałki drewna, które zauważył wśród śmieci walających się po bruku. Chwiejnym krokiem dobiegł do bramy bloku B, czując smród spalonej benzyny, jeszcze bardziej utrudniający oddychanie jego wyczerpanym płucom. Poczul pod stopami śliski osad. Tu i tam błyskały na galeriach latarki, a mężczyźni szukający w opuszczonych celach prochów, wódki, papierosów i gotówki nawoływali się co chwilę. Klein oparł się o szybę stanowiska strażników. Jego instynkt macho właśnie zdychał - prędzej czy później zawsze tak się to kończyło. Czuł, że najpóźniej za sześćdziesiąt sekund będzie musiał zrzucić Crawforda na podłogę.

- Wejdz do pokoju strażników, Henry - wysapał. - Poszukaj latarki.

- Już mam latarkę - odparł Abbott.

- Że co?

Abbott sięgnął za pasek i wyjął potężną latarkę na cztery baterie, okrytą szczelnie gumą.

- Zawsze ją noszę przy sobie.

Naturalnie. Abbott pracował w kanałach. Przywykł do pracy w ciemnościach.

- Znajdź mi pustą celę - powiedział Klein.

Abbott oddalił się, świecąc latarką po wnętrzach cel galerii na poziomie zero. W dwóch pierwszych leżały trupy ludzi spalonych już w pierwszych, najgorszych sekundach po eksplozji benzyny. W trzeciej zauważyli ruch. Snop światła wyluskał z ciemności mundur khaki, a potem posiniaczoną twarz. Brudna ręka zasłoniła mrugające oczy przed blaskiem. Dwie twarze. I trzecia. Trzej strażnicy stłoczeni w dalekim kącie celi.

- Otwórz drzwi, Henry - powiedział Klein.

Abbott odsunął stalową kratę.

Klein wszedł bokiem do środka i o mało nie popłakał się z radości, kiedy pochylił się do przodu, by zrzucić na pryczę bezwładne ciało Crawforda, który z tej okazji otworzył oczy i wrzasnął z bólu. Krew zaczęła pomалу napływać z powrotem do ramienia Kleina, wywołując na tyle dojmujący ból, że Klein miał ochotę przyłączyć się do Crawforda.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

Głos dobiegł z korytarza. Klein odwrócił się i zobaczył jednego z ludzi Agry'ego, białego, wytatuowanego osiłka, niejakiego Colta Greely'ego, który właśnie zaglądał przez kratę do celi, ściskając w dłoni dobrze zaostrzony śrubokręt. O ile Klein się nie mylił, Greely jeszcze nigdy nikogo nie zabił. Zaczął masować obolałe ramię; nie tylko czuł przykre mrowienie, ale nie mógł poruszyć płacami prawej dłoni. Greely obejrzał się nerwowo i zobaczył potężną postać Abbotta, który po cichu zaszedł go od tyłu. Klein pomyślał, że jeśli ktoś

ma na imię Colt, to musi być pizdusiem, najpewniej łatwowiernym.

- Henry! - warknął ostro. - Spokój!

Abbott ani drgnął, bo też nie miał najmniejszego zamiaru niczego zrobić, ale sam rozkaz Kleina wystarczył, by Colt Greely odskoczył w bok, nie spuszczać Henry'ego z oczu.

- Hej, facet, co tu jest grane? - wrzasnął do Kleina. - Żadnych numerów!

- Przykro mi, Colt - odparł Klein. - Abbott właśnie zabił czterech gości w kaplicy, gołymi rękami. Kiedy mu odbije, nie umiem go zatrzymać.

- Jezu.

Greely otworzył usta, w przerażeniu gapiąc się na wielką i beznamiętną twarz Henry'ego. Drżący śrubokręt w jego dłoni nie wyglądał zbyt przekonująco. Greely spojrział na swoją broń tak, jakby dłoń, która ją trzymała, wcale nie należała do niego, a potem w pośpiechu wetknął ją za pasek.

- Abbott zapalał miłością do tego tu, Crawforda. Kazał mi dźwigać tego kloca aż tutaj, przez pół jebanego więzienia! - Klein skinął głową w stronę kryjących się w toalecie klawiszy. Wszyscy trzej spoglądali na Abbotta z przerażeniem. - Powiedział, że te pajace mają się nim zająć.

- Kurna - mruknął Greely. - No, czemu nie. - Uśmiechnął się nerwowo do Abbotta, który wciąż przyglądał mu się ze stoickim spokojem. - W końcu Crawford to jeden z nas, nie?

- Przynies mu trochę hery - powiedział Klein.

- Hery? - powtórzył Greely z bardzo głupią miną.

- Heroiny - powtórzył Klein. - Zrozumiałeś? Nie koki. Znajdź dobrą, najlepiej brązową. Prawda, Henry?

Abbott wpatrywał się w Greely'ego, nie reagując.

Za to Greely z wdzięcznością pokiwał głową.

- Robi się, Doktorku - powiedział i zniknął.

Klein odwrócił się ku strażnikom: Burroughsowi, Sandovalowi i Griersonowi.

- Grierson - powiedział.

Gdy Klein pomagał Crawfordowi ułożyć się wygodnie na pryczy i ponownie zakładał opatrunek uciskowy na jego ranę, Grierson podszedł bliżej i przyglądał się temu. Klein użył dwóch deseczek przyniesionych przez Abbotta - umieścił je z przodu i z tyłu wzdłuż nogi Crawforda, który przy każdym ruchu wzdrygał się z bólu.

- Podrzyj prześcieradło i przy wiążę te łubki, o, w taki sposób. Dawaj mu tyle wody do picia, ile tylko będzie chciał. Gdy Greely przyniesie herę, będziesz mu dawał po odrobinie, niech wciąga. To na ból.

- Rozumiem - odparł Grierson.

- Na pewno zyskacie dzięki temu w opinii załogi Agry'ego.

- Ja myślę. - Grierson spojrział ponad ramieniem Kleina, na Henry'ego. - On naprawdę pozabijał tamtych czterech?

Klein nie widział powodu, by psuć reputację Abbotta, który chyba nie miał nic przeciwko temu.

- Masakra - odparł Klein. - Ciesz się, że nie widziałeś. Co kombinuje Grauerholz?

- Szedł tędy jakieś pół godziny temu, z szesnastoma czy dwudziestoma ludźmi. Z tego, co widziałem, wszyscy byli nawaleni w trzy dupy. Już myśleliśmy, że będzie po nas, ale poleźli dalej. - Grierson umilkł na chwilę. - Greely powiedział, że Agry kazał tamtym pozabijać wszystkich pedziów z infirmerii. - Urwał znowu, spoglądając nerwowo na Abbotta. - To znaczy: pacjentów z AIDS.

- A co się stało z czarnymi?

- Dostali lanie. Gdyby Vic Galindez nie otworzył cel, pewnie większość by zginęła. Ludzie Agry'ego wciąż na nich polują. Są uzbrojeni, łażą bandami i szukają zaczepki. Myślę, że niedobitki

czarnuchów pochowały się w podziemiach, gdzie który mógł. Duża grupa siedzi nadal w C, z Meksykanami.

Podobnie jak biali skazańcy, strażnicy używali słowa „Meksykanie” w świadomie niepoprawny, a więc obraźliwy sposób, na określenie wszystkich Latynosów, z których ogromna większość przysłała na świat w Teksasie.

- Co planuje Hobbes? - spytał Klein.

- Dopóki nie zaczną zabijać zakładników, będzie czekał, w nadziei, że skończą się więzniom woda i prochy, a wtedy zaczną płakać za mamusią. Myślę, że potrzeba na to ze trzy dni.

- Albo dziesięć - wtrącił pośpiesznie Burroughs.

- Ale czy powstrzyma Grauerholza przed szturmem na infirmerię?

Grierson zmarszczył brwi.

- Nie liczyłbym na to, ale z drugiej strony Hobbes jest raczej nieprzewidywalny.

- A co z Cletusem?

- O, ten jest przewidywalny. Nie pozwoliłby, żeby którykolwiek z nas choćby skrzył kostkę, żeby ratować tę bandę frajerów. - Znowu zerknął lękliwie na Abbotta. - Chciałem powiedzieć...

- Wiem - przerwał mu Klein. Właśnie się zastanawiał, dlaczego trzy lata wcześniej nie wynajął Abbotta, by chodził za nim zawsze i wszędzie. - Zajmijcie się jego nogą, póki nie wrócimy.

Wstał i podszedł do drzwi. Ostrożnie rozciągnął palce prawej dłoni. Abbott podał mu latarkę.

- Ja żyję w ciemności - powiedział. - Pan, Doktorze, nie ma takiego wzroku jak ja.

Przez sekundę Klein miał wrażenie, że usłyszał w głosie Abbotta coś, czego nie było w nim nigdy wcześniej. Może ślad emocji? Zadarł głowę i spojrział na niego. Oczy były czyste i puste, jak zawsze. Wziął od niego latarkę. Ja żyję w ciemności. Słowa Henry'ego wciąż

wibrowały w jego umyśle, ale odepchnął je od siebie.

- Chodźmy.

- Klein?

Klein odwrócił się ku Griersonowi.

- Jakies pięć minut przed wami byli tu Tolsonowie z paroma facetami. Nieśli tę cholerną żelazną belkę, którą wcześniej wybili szybę w wieży strażniczej. - Grierson dostrzegł minę Kleina. - Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

Klein przecisnął się obok Henry'ego Abbotta i zaczął biec korytarzem, a rozchybotana latarka oświetlała mu drogę. Za kratami jednej z cel mignęła mu wąsata twarz.

- Klein!

Zignorował głos. Twarz była zbyt niewyraźna, by mógł ją rozpoznać. Znowu usłyszał wołanie, tym razem gdzieś z tyłu. Zbyt wielu skurwieli domagało się jego uwagi. A tymczasem Grauerholz bawił się taranem, o który Klein miał naprawdę wielką ochotę złamać sobie wcześniej - bardzo honorowo - nogę. Jak bym się wtedy czuł, myślał, gdyby dotarła do mnie wiadomość, że Earl Coley i pacjenci nie żyją? Coley pewnie sam kazałby mu iść swoją drogą i nie interesować się niczym losem. Czy sam poważyłby się na coś takiego? Budynek szpitala był stary, a Coley spędził w jego murach prawie dwadzieścia lat. Jeżeli istniała tam kryjówka, w której pomieściłby się człowiek, to właśnie on o niej wiedział. Tak, Coley wiedział, i dlatego miał szansę przeżyć. Pozwoliłby Grauerholzowi i jego bandzie zabić, kogo by tylko zechcieli, ponieważ zdawałby sobie sprawę, że i tak ich nie powstrzyma, a na dodatek doskonale pamiętał żelazną zasadę, którą wpoił Kleinowi: to nie był jego jebany interes. Razem z Kleinem mógłby opłakiwać pomordowanych i wmawialiby sobie nawzajem, że zrobili jedyną słuszną rzecz, to znaczy odwrócili się plecami. Biegnąc ku tylnej bramie bloku B, Klein patrzył, jak pod jej łukiem ukazuje się coraz większa połać dziedzica. Gęsty i coraz

bardziej gęstniejący strach pojawił się nagle w jego gardle i pokrył język smakiem wstydu. Klein zatrzymał się i ostatnich kilka kroków pokonał w spacerowym tempie. Usłyszał daleki hałas: podniesione głosy, pokrzykujące chóralnie w rytm donośnych uderzeń. Pomiędzy łukiem tylnej bramki a granitowym horyzontem zewnętrznego muru więzienia dostrzegł skrawek czystego nieba, usianego gwiazdami. Wetknął latarkę za pasek spodni i zszedł po rampie, by stanąć na progu.

Po przeciwległej stronie dziedzińca grupka ludzi zgromadziła się u podnóża stopni prowadzących do holu infirmerii. Na samych schodach było ich sześciu. Trzymali między sobą czerwoną żelazną belkę i kołysali nią krótkimi ruchami, raz po raz wałąc czubkiem w podwójne drzwi. Dziesięciometrowa długość tarana oraz spore nachylenie stopni utrudniały im zadanie, lecz Klein nie wątpił, że w końcu wedrą się do środka. Wszyscy wykrzykiwali coś gardłowo i rytmicznie, w tempie ruchów belki. Niektórzy z grupki stojącej niżej wałęsali się w kółko, ewidentnie pijani. Jeden z nich opadł na kolana i zwymiotował, a kiedy skończył, polazł na czworaka przed siebie, przez świeże rzygowiny. Ktoś wskazał na niego palcem i krzyknął. Pełznący, zapewne nieświadom tego, co robi, znalazł się na linii ruchu tarana. Zwężająca się końcówka żelaznej belki trafiła go prosto w skroń, z chrupnięciem, którego Klein nie usłyszał, ale potrafił sobie wyobrazić. Nieszczęsny upadł na twarz i nie poruszył się więcej. Incydent nie wybił załogi tarana z rytmu. Nikt z grupy nie zamierzał nawet sprawdzić, czy trafiony w głowę jeszcze żyje. Niektórzy pokładali się ze śmiechu.

W szpitalu paliły się światła, a za zakratowanymi oknami na drugim piętrze Klein dostrzegł sylwetki ludzi przyglądających się pracy tarana. Wstyd, który czuł jeszcze przed chwilą, zaczął zmieniać się w głęboki smutek i było to jeszcze gorsze doznanie. Okazało się bowiem, że naprawdę nie mógł już nic poradzić. Jeżeli Agry'emu nie można było przemówić do rozumu, to jedyną formą komunikacji z

Grauerholzem i jego trupą było bombardowanie napalmem. Przy Grauerholzu Agry prezentował się bowiem jak Oskar Wilde. A Klein na nieszczęście upokorzył Hectora w stołówce, odbierając mu broń. Przysłuchując się prymitywnym zaśpiewom, pomyślał, że choćby ktoś ofiarował im cały świat i wszystkie jego bogactwa, oni i tak kontynuowałiby to zajęcie: znęcanie się nad dębowymi drzwiami z czystej żądzy krwi.

Nagle i straszliwe znużenie podcięło mu nogi. Klein opadł na kolana i usiadł na piętach. Myśl, której jeszcze nie znał, lodowata i pozbawiona emocji, wypełniła jego umysł: gdyby mógł zabić tych ludzi tu i teraz, zrobiłby to. Zabiłby ich wszystkich. Zagazowałby ich, spalił, zastrzelił. Pogrzebał żywcem we wspólnym, anonimowym grobie. Wyrznąłby ich zbiorowo, odbierając każdemu z osobna godność indywidualnego umierania, a następnie starłby z powierzchni ziemi wszelkie dowody na to, że kiedykolwiek istnieli. Nie przyznałby im żadnych praw, nie zapewniłby uczciwego procesu ani przywileju apelacji. Przepisałby im rychły zgon z równą łatwością, z jaką przepisywał antybiotyki przeciwko bakteriom. Z wieloma z nich miał okazję rozmawiać, z niektórymi się śmiał, innych leczył. Uważał ich za towarzyszy. Towarzyszy. A teraz niektórzy zawzięli się, żeby wymordować tych, którzy jeszcze parę tygodni temu byli ich kumplami z cel, wypróżniali się w tej samej latrynie, masturbowali przy tych samych świerszczykach i wymieniali z nimi listami z domu. Planowali wy tuc ich bez litości, w łóżkach.

Umysł Kleina nie umiał tego wszystkiego pojąć. Był to fenomen, coś, co można było obserwować, ale bez głębszego zrozumienia, wirus, rak, supernowa - bez wyjaśnienia i bez przebaczenia. Za coś takiego nie mogło być przebaczenia ani nawet kary, bo kara oznaczała zrozumienie, sprawiedliwość i zadośćuczynienie, a na nic z tych rzeczy nie mogły liczyć te stworzenia, które kiedyś nazywał towarzyszami. Jedyne, na co zasługiwały, to eksterminacja, zimna i bez

żądzy zemsty, bo nie można się mścić za taki fenomen, podobnie jak nie można się mścić za trzęsienie ziemi. To już nie byli ludzie. Klein przestał ich za takich uważać. Nie byli chciwymi, rozwścieczonymi, brutalnymi ludźmi. Wyrzekli się tego, co czyniło ich ludźmi, i stali się biologicznymi cząstkami wchodzącymi w skład osobliwego fenomenu natury. I dlatego Klein pragnął ich śmierci, a jednocześnie wiedział, że nie może ich zabić. Nagle czyjeś wielkie dłonie pochwyciły go za ramiona i uniosły do pionu. Tuż przy uchu usłyszał oddech olbrzyma.

- Trzeba ich powstrzymać - powiedział Henry Abbott.

Przez całun delirycznych myśli Kleina znowu przebiła się ciekawa obserwacja: nastąpiła kolejna subtelna zmiana w głosie Abbotta. Ale zignorował ją.

- Trzeba ich zlikwidować - odpowiedział.

- Niekoniecznie - nie ustępował Abbott. - Wystarczy powstrzymać. Jest różnica.

Klein odwrócił się, strącając z ramion jego ręce. Tym razem spokojny i pedantyczny sposób myślenia Abbotta wytrącił go z równowagi.

- Jaka mianowicie, Henry?

- Liczy się powstrzymanie ich. Nie likwidacja. To tylko kwestia logiki i priorytetów moralnych.

- Jezu Chryste, chyba już musisz przyjąć zastrzyk.

Ledwie to powiedział, natychmiast poczuł w żołądku impuls wysokiego napięcia: ukłucie surowego wstydu. Upadł tak nisko, że stać go było na okrutną drwinę z boleśnie dotkniętego przez los przyjaciela. Stał się szumowiną. Pochwycił Abbotta za koszulę i spojrzał w jego udręczoną twarz.

- Wybacz mi, Henry. Przepraszam. Jestem gnojem. Ja...

Wszystko inne nagle stało się nieważne. Klein czuł suchość w gardle. Oparł czoło o szeroką pierś Abbotta. Chciał, żeby olbrzym

otoczył go teraz swymi potężnymi ramionami i zmiądzzył na śmierć.

- Towarzysze - powiedział Abbott.

Przez chwilę Klein miał wrażenie, że doznaje halucynacji. Dziwne, pomyślał, przetykając ślinę.

- Co powiedziałeś? - spytał, nie podnosząc głowy.

- Towarzysze - powtórzył Abbott.

Klein spojrział na niego. W bezbarwnych oczach dostrzegł błysk światła. Malutki, jak od dalekiej gwiazdy, którą zobaczyć można tylko wtedy, gdy patrzy się prosto na nią. Klein jeszcze nigdy nie widział tego błysku. Ale nie, nagle przypomniał sobie, że jednak widział: owej pierwszej nocy, kiedy wszedł do brudnej celi Abbotta.

- Myślę, że powinniśmy tam wejść - rzekł Henry.

Klein obejrzał się przez ramię i pojął, że Abbott ma na myśli infirmerię.

- Poprowadzę pana. Przez Green River.

Nie wiedzieć czemu, zimny dreszcz przebiegł po grzbiecie Kleina. Ta zmiana w głosie. Jakby nareszcie Abbott naprawdę wiedział. Klein cofnął się i spojrział na niego. Błysk oczu zniknął. Bez śladu. Klein poczuł, że zbiera mu się na płacz. Kurwa, facet, powiedział sobie w duchu, lepiej pozbieraj się do kupy, bo jeśli tylko go poprosisz, drągał będzie szedł z tobą do ostatniej kropli krwi. Wejdzie między bandytów Grauerholza i będzie ich uśmiercał garściami. Ale w końcu go dopadną. Masz obowiązek.

Obowiązek. Jeśli nawet nie mógł pomóc tym ze szpitala, był w stanie przynajmniej powstrzymać Henry'ego przed pójściem na pewną śmierć. Bo przecież Henry był szaleńcem i wygadywał szalone rzeczy. Klein nie był. Klein był zwykłym dupkiem, który stracił fason. Na tym polegała różnica. Klein otarł twarz rękawem i uśmiechnął się.

- Nie, Henry. Gdybym sądził, że mamy choć jedną szansę na tyśiąc, spróbowałbym, ale nie mamy. Jest ich zbyt wielu.

- Ich jest wielu, a nas mało - odparł Abbott.
- Zgadza się.
- Ale tylko jeden z nas zna Green River.

Znowu wariackie gadanie, pomyślał Klein. Czuł, że musi zabrać stąd Abbotta, zanim biedaczysko straci panowanie nad sobą i zupełnie bez sensu da się zabić.

- Wszyscy znamy Green River, Henry, i jeśli się stąd nie zwinimy, zaraz pójdziemy na dno. Chodź.

Wziął Abbotta pod ramię. Gdy ruszyli, trzask łamanego drewna i głośny okrzyk triumfu obwieściły ostatnie chwile drzwi więziennego szpitala. Łzy znowu napłynęły do oczu Kleina, rozmywając obraz. I dobrze, bo nie chciał na to patrzeć. Nie mógł. Nie odwrócił się nawet, by spojrzeć. Grauerholz miał do sforsowania jeszcze dwie poważne przeszkody: stalową kratę i stalowe drzwi w korytarzu. Nikt nie mógł stanąć mu na drodze, więc była to tylko kwestia czasu.

- Chodźmy - powiedział Klein. - Chodźmy!

Pociągnął Abbotta z powrotem w stronę tylnej bramy i dalej, do cuchnącego benzyną piekła bloku B. Tyle że tym razem szli, nie używając latarki, i zatopiony w myślach Klein słyszał wyraźnie odgłosy innego piekła: tego, w którym ludzie umierali w kałużach własnej krwi, na przesiąkniętych szczynami materacach. Lista nazwisk przewijała się przed jego oczami: Vinnie Lopez. Reuben Wilson. Dale Reiner. Earl Coley. Żaba. Pręc na oślep przed siebie, Klein czuł, że z jego oczu sączy się piekący płyn. Żaba. Zrozumiał, że jakaś dziecięca cząstka jego serca wciąż jeszcze nie może uwierzyć, iż Żaba może zginąć. Żaba musiał żyć wiecznie. Klein usłyszał naraz, że ktoś wykrzykuje jego nazwisko, ale przecież ono nie było na tej liście. Widział oczyma wyobraźni, jak noże przebijają ciało umierającego Coleya.

- Klein!

Ale Klein nie mógł mu pomóc. Ani pozostałym.

- Klein!

Nie było go tam, choć był potrzebny. Odpędził ich duchy. Klein nie może być przy was, chłopaki. Byłby, ale nie może. Nie może, więc się pierdolcie. Dajcie mu spokój.

- ...Devlin!

Klein zamarł. Devlin też nie była na tej liście. Piła zimne piwo i oglądała, jak Lakersi roznoszą Nicksów, licząc w duchu kartony winstonów, które miała dostać od Kleina. Lecz nagle zdał sobie sprawę, że głos nie dobiegał z jego głowy. Miał latynoski akcent. Był gniewny. Klein zawrócił.

- Co z tobą, Klein, do kurwy nędzy, ogłuchłeś?!

Błada, wąsata twarz krzyczała do niego zza prętów celi. Sierżant Victor Galindez. Klein pozbierał się i podszedł do drzwi.

- Galindez? - spytał.

- Słyszałeś o Grauerholzu? - spytał sierżant.

- Właśnie wyważyli drzwi infirmerii - odparł Klein.

Zauważył, że Galindez przygląda się mokrym plamom na jego twarzy. Zażenowany, otarł oczy rękawem koszuli.

- To od dymu - usprawiedliwił się. - Nic nie mogę dla nich zrobić.

- Właśnie próbowałem ci powiedzieć - odrzekł Galindez - że jest tam także doktor Devlin.

Mózg Kleina jakby zgasł na moment.

- Devlin siedzi w domu i ogląda mecz Lakersów - odpowiedział beznamiętnie.

- Wróciła. Sam ją przyprowadziłem. Chciała coś pokazać tobie i Coleyowi.

Tym razem Klein zaskoczył i poczuł nagle wielki spokój. Wszystko, co wydarzyło się w ostatnich godzinach, po prostu z niego opadło. Szaleństwo, strach, wstyd, poczucie winy, rozpacz. Wszystko. Jego umysł stał się czysty.

- Devlin jest w infirmerii - powiedział.
- Tak jest.

Klein włączył latarkę i poświecił na Galindeza, który zamrugał nerwowo i odwrócił głowę. Jego mundur był osmalony i brudny, twarz poważnie posiniaczona, a oczy nabiegłe krwią. Klein bardzo chciał móc nazwać go kłamcą, ale Galindez był człowiekiem, który zaryzykował własne życie, by ocalić ludzi, którzy z uśmiechem na ustach gotowi byli poderżnąć mu gardło. Na pewno mówił prawdę.

- Podobno poszedłeś otworzyć kraty. Przez ogień.

Galindez nie odpowiedział. Światło latarki Kleina padło na przedmiot leżący na stołku w celi. Zdawało mu się, że wie, co to jest, ale trudno mu było w to uwierzyć.

- Co to jest? - spytał.

I nagle uwierzył. Zanim Galindez zdążył odpowiedzieć, Klein uwierzył własnym oczom. A gdy tylko to zrobił, pod jego czaszką na nowo rozbrzmiał dziwnie dźwięczny głos Henry'ego Abbotta: „Przez Green River”. Nareszcie zrozumiał. Przez Green River.

- To głowa - odpowiedział Galindez, nie patrząc na stołek. - Specjalnie dla mnie, do towarzystwa.

- Wyłaż stąd - rzekł cicho Klein, odsuwając drzwi celi.

Galindez zawahał się.

- Zabiją mnie.

- To ty wypuścisz czarnych. I tak będziesz pierwszym z klawiszu, których rozwalą.

Klein wszedł do celi. Głowa na stołku, brutalnie ucięta od ciała, należała do czarnoskórego więźnia, którego nie znał. Ściągnął koc z pryczy.

- Jak długo z tym siedzisz? - spytał, przykrywając głowę kocem.
- Nie wiem, może z osiem godzin.

Klein zaczął przerzucać graty w kącie celi. Po chwili wyjął lekko wilgotny, wymięty komplet więziennego ubrania - koszulę i spodnie. Podał go Galindezowi.

- Pora się przebrać - powiedział.

Galindez przyjął ubranie i zmrużył oczy.

- Wybieramy się dokądś?

- Tak - odparł Klein. - Przejdziemy przez Green River.

- Że co? - zdumiał się Galindez.

Klein odwrócił się i popatrzył na Henry'ego Abbotta, który stał milczący w mroku po drugiej stronie kraty. Tym razem znowu zobaczył błysk w jego oczach.

Błysk dalekich gwiazd.

- Ich jest wielu, a nas mało - powiedział.

Abbott w milczeniu skinął głową i gdy tak patrzył, Klein poczuł mrowienie na kręgosłupie, a jakaś siła ścisnęła go za gardło. Niesamowita, dzika siła. Przez chwilę nie mógł się poruszyć. Wreszcie przełknął ślinę.

- Klein? - odezwał się Galindez. - Co chcesz przez to powiedzieć?

A Klein odparł:

- Ale tylko jeden z nas zna Green River.

ROZDZIAŁ 24

Juliette Devlin w milczeniu szła za Earlem Coleym po schodach na drugie piętro. Spodziewała się, że prowadzi ją na oddział Travisa, ale on bez słowa wyjął z kieszeni pęk kluczy i otworzył drzwi w niszy na samym końcu korytarza. Drzwi były ciasno spasowane i Coley musiał pchnąć je barkiem, by ustąpiły. Najwyraźniej nie używano ich od dawna. Coley włączył światło. Przesłonięte pajęczynami schodki wiodły na górę.

- Chodź - powiedział.

Weszła za nim po stopniach, zastanawiając się, co mu przyszło do głowy. Na górze Coley znowu zapalił światło. Za żelazną kratą drzwi ujrzała nieużywany oddział, umieszczony pod skośnymi połaciami dachu. Dwa rzędy po pięć metalowych łóżek pod nagimi żarówkami. Coley otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Nigdy tu nie byłam - powiedziała Devlin. Pomieszczenie bez okien wyglądało dość upiornie i czuła gęsią skórę na przedramionach.

- Nie używano tej sali od drugiej wojny światowej - odparł Coley. - Zastanawialiśmy się z Kleinem, czy nie otworzyć tego oddziału, gdyby na dole zrobiło się za ciasno. Ale tu są złe fluidy.

- Wyczuwam je. Co się tu znajdowało?

- Trzymali tu czubków: To znaczy: wariatów, z syfilisem mózgu czy innym głównem.

- Boże - mruknęła Devlin.

Coley ruszył w stronę drzwi na samym końcu sali. Podążyła za nim. Z natury i wykształcenia nie była mięczakiem, ale to miejsce rzeczywiście wydawało jej się skansenem złych duchów. Zauważyła, że niektóre łóżka były wyposażone w pleśniejące już, skórzane pasy.

- Mówiono mi, że prowadzili tu też eksperymenty. Lobotomie. Szprycowali ludzi insuliną, malarią, wywarem z kokornaku i Bóg wie czym jeszcze. To tylko opowieści czy naprawdę robiło się takie rzeczy?

- Naprawdę. Kiedyś wydawało się, że to całkiem rozsądne pomysły.

Weszła za nim do ponurego gabinetu, w którym stały odrapany stół, złamane krzesło oraz kilka zielonych, metalowych szaf na akta. Na haczykach przykręconych rządkiem do ściany wisiały dwa pożółkłe kaftany bezpieczeństwa. Devlin otworzyła jedną z szuflad - była pełna kartonowych teczek, z których wiele pokrywała zielona pleśń. Przy innej okazji być może byłaby zafascynowana tym znaleziskiem. Akta zawierały zapewne dość materiału na pracę naukową albo i dwie. Teraz jednak nie widziała tu niczego, co mogłoby się im przydać - chyba że Coley zamierzał namówić Grauerholza, by ten dobrowolnie włożył kaftan.

- Po co mnie tu przyprowadziłeś? - spytała.

Coley zamknęła szufladę, pochwycił szafę obiema rękami i uniósł nieznacznie, by odsunąć ją od ściany. Devlin ujrzała za nią nieduże drzwi, bez klamki i bez zamka. Cienka, stalowa linka, umocowana do tylnej ściany szafy, znikwała w otworze wywierconym w drzwiach. Coley sięgnął po klucz, wsunął go w szparę i uchylił skrzydło - ziała za nim czarna pustka. Po wewnętrznej stronie drzwi Devlin zauważyła dwie solidne zasuwki.

- To moja tajemnica - rzekł Coley, spoglądając na nią. - Sześćdziesiąt lat temu czubki wpadły w szal i zamordowały lekarza i dwóch członków zarządu więzienia - dokładnie tu, gdzie stoimy.

Poćwiartowały ich, mówiąc ściślej. I wtedy ktoś zrozumiał, że gabinet umieszczono na niewłaściwym końcu oddziału.

- Cholera - mruknęła Devlin. - A już myślałam, że będę pierwszym doktorem, którego tu zabiją.

- Wycięto więc te drzwi, żeby personel mógł się schować, gdyby historia się powtórzyła. Można się tam zamknąć od środka.

Devlin roześmiała się.

- Chyba nie sądzisz, że tam wejść?

- To nie są żarty, doktor Devlin. Grauerholz wróci i dostanie się do środka.

Devlin rozmyślała o Hectorze Grauerholzu już w drodze na górę. Wcześniej nigdy go nie spotkała, ale czytała jego akta. Wiedziała, co zrobił i do czego jest zdolny. Interesował ją jako ciężki przypadek, raporty psychiatryczny i sądowy były bowiem zadziwiająco zgodne w ocenie środowiska, z którego się wywodził: było absolutnie normalne, pozbawione typowych czynników socjopatologii. Pochodził ze stabilnej, kochającej się rodziny robotniczej, wiodącej skromne życie bez choćby jednej poważnej kolizji z prawem. Nic nie wskazywało na to, by był molestowany w dzieciństwie. Nie było dowodów przemawiających za organicznym uszkodzeniem mózgu ani chorobą psychiczną. Hector powinien był ożenić się z dziewczyną z sąsiedztwa, a tymczasem zajął się zabijaniem ludzi. Jego kryminalna działalność wzięła się dosłownie znikąd i rozkwitła, choć nic jej nie zapowiadało. W tym sensie postać Grauerholza była afrontem dla nauki i prawa. Do diabła, on nie mógł być zły. Devlin prosiła raz o pozwolenie na rozmowę z nim i Hobbes się zgodził, lecz Grauerholz odmówił spotkania. Być może teraz pozna go bliżej.

- Tu będziesz bezpieczna - mówił tymczasem Coley. - Patrz.

Sięgnął do środka i włączył światło. W środku, prócz krokwi i

belek, znajdował się materac i kolekcja pudeł, a w nich lśniące w blasku żarówki puszek z żywnością.

- Sam to wszystko wyszykowałem, jakieś piętnaście lat temu. Mówiło się wtedy, że mają zamykać tę starą budę i przemieścić wszystkich do nowego zakładu. Pomyślałem, że zabunkruję się tutaj i przeczekać ze trzy, cztery tygodnie, aż wszyscy się wyniosą, a wtedy wyjdę i spróbuję wymknąć się za mur.

- Sądzisz, że to by się udało?

Coley spojrział przez uchylone drzwi na swą tajemnicę.

- Doktor Devlin, ja od dwudziestu trzech lat nie widziałem wschodu słońca. A dawniej oglądałem go każdego dnia, zimą czy latem, w deszczu czy w słońcu. Teraz ten mur, wysoki na osiemnaście metrów, wiecznie zasłania mi widok. Nie widziałem ani drzewa, ani pola bawełny, ani żdźbła trawy, odkąd zamknęli za mną drzwi.

Coley spojrział na Devlin. Poczuli, że serce ściska się w jej piersi.

- Jak człowiek marzy o wolności, wierzy, że wszystko się uda.

- Ale ja tam nie wejdę - powiedziała Devlin.

- Słuchaj no, pani doktor, jesteś kobietą. Wiesz, co to oznacza? Będą cię gwałcić przez czterdzieści osiem godzin bez przerwy, a potem oddadzą koleżkom. Będą maczać kutasy w twojej krwi i wierzyć, że to prezent od Mikołaja. Możliwe, że będziesz już wtedy martwa, ale to nie ma znaczenia, wciąż będą cię rżnąć, bo jesteś kobietą.

Wnętrznosci Devlin doznały lekkiego skurczu. Skrzywiła się mimowolnie. Sugestywne obrazy pojawiły się przed jej oczami.

- Przykro mi, doktor Devlin, ale tak to jest.

Siłą woli odsunęła od siebie ponure wizje i jeszcze raz omiotła spojrzeniem kryjówkę.

- Tylko dwoje ludzi w tym budynku cieszy się zdrowiem na ciele i umyśle. Ty i ja - powiedziała. - I dlatego ty i ja nie wpuścimy tych drani do środka.

Coley patrzył na nią bez słowa.

- W porządku, Coley - dodała, wyciągając rękę. - Daj klucze.

Coley wyraźnie się rozluźnił. Odpiął dwa klucze i położył je na jej dłoni.

- Jeśli przejdą przez trzecie drzwi na dole, przyjdę tu i się schowam. Ale aż do tej chwili jestem z tobą. Umowa stoi?

Coley widział w jej twarzy żelazny upór. Skinął głową.

- I jeszcze jedno - ciągnęła. - opuść sobie wreszcie to „doktor Devlin”. Przez ciebie czuję się jak jakaś pieprzona Scarlett O'Hara. Wystarczy Devlin, zgoda?

Coley uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Klein jeszcze o tym nie wie, ale będziesz go trzymać krótko za jaja, Devlin - powiedział.

- Pierdol się, Coley.

Od strony nieczynnego oddziału dobiegł głos:

- Żaba, jesteś tam?

Coley wstał. Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich Reuben Wilson, opierając się o ościeżnicę. Miał głęboki, dźwięczny głos, a jego czujne oczy omiotły ciało Devlin szybkim, szczerym spojrzeniem i zatrzymały się na jej twarzy. Był szczupły i barczysty, a szczeka, która przydawała jego rysom twardości, była tylko odrobinę za duża w stosunku do głowy. Devlin nigdy z nim nie rozmawiała. Krople potu ściekały po jego szyi i znikły w wąskiej przerwie pomiędzy wydatnymi mięśniami piersiowymi, poniżej linii kołnierzyka. Gdy tylko Devlin zorientowała się, że wydał jej się atrakcyjny, zarumieniła się i odwróciła głowę. Wilson przeniósł wzrok na Coleya, a potem na dziurę w ścianie.

- Co jest grane? - spytał.

Coley pochylił się i wyłączył światło w kryjówce.

- Nie twój interes, czarnuchu - odparł. - Po coś tu przylazł?

- Banda czubków na dole rozwała drzwi wejściowe.
- To Grauerholz - odrzekł Coley. - Już mu powiedzieliśmy, żeby nas pocałował w naszą czarną, brudną dupę. I w naszą białą dupę też - dodał, spoglądając na Devlin.

Znów się zarumieniła, tym razem z dumy.

- Moim zdaniem - odparł Wilson - Agry wysłał ich po mnie. - Spojrzał na Devlin tak, jakby wstydził się przed nią tego, co właśnie powiedział. - Otwórzcie drzwi i niech mnie biorą. Agry pewnie i tak chce mnie dostać żywcem, przynajmniej na razie. Nie ma sensu, żeby krzywdzili i was.

- Mówiłem ci już, że jesteś pizdusiem, Wilson - rzekł Coley. - A teraz wiem też, że jesteś dupkiem, i to światowej klasy. Te świry przyszły tu, żeby pozabijać wszystkich z AIDS.

Twarz Wilsona pozostała nieruchoma, ale widać było w jego oczach, że nie mógł tego zrozumieć.

- Dlaczego?

- Cholera, ależ z ciebie polityk. Liczy się tylko to, że przyszli, żeby skrzywdzić moich ludzi. Tylko że najpierw będą musieli spotkać się ze mną. - Coley umilkł na chwilę. - Wiedzą też, że Devlin jest z nami.

Wilson spojrzał na nią z kwaśną miną. Zrobiło jej się głupio.

- To fatalnie - odrzekł.

- Gdyby nie ona, już by odcinali twojego pisióra, żeby go zanieść Agry'emu - odparował Coley. - Ocaliła też moją starą dupę. Twardy z niej skurwiel, facet.

Wilson uśmiechnął się do niej, a Devlin poczuła się jeszcze dziwniej.

- Zawsze mi miło poznać twardego skurwiela - powiedział.

Wyciągnął rękę, a Devlin podeszła bliżej, żeby ją ucisnąć.

- Reuben Wilson - przedstawił się.

- Juliette Devlin. - Zawahała się, a potem dodała: - Widziałam, jak w Superdome położyłeś Chestera Burnetta w piątej rundzie.

Wilson aż zamruął ze zdziwienia.

- W Nowym Orleanie?

- Pewnie z dziesięć lat temu. Postawiłam wtedy dwadzieścia docłów na Burnetta.

- Bardzo mi przykro - odparł Wilson, uśmiechając się z satysfakcją.

- Nic nie szkodzi. Kiedy przegrałeś na punkty z Pentangelim, stawiałam na niego.

Usłyszała za plecami chrapliwy śmiech Coleya. Wilson wyprostował ramiona, udając, że go nie słyszy.

- Miałem niezaleczone złamanie kości dłoni - powiedział.

- Czwartej śródrecza - potwierdziła Devlin. - Dlatego postawiłam na Pentangelego.

Coley ruszył w stronę drzwi i zatrzymał się na moment przy Wilsonie.

- Rozumiesz, co miałem na myśli? Na przykład dziś Devlin obstawia, że nie ruszysz swojej pizdusiowej dupy, żeby nam pomóc z tymi świrami. Kłopot w tym, że nikt nie stawia na ciebie.

Coley wyszedł do sali, a Wilson zauważył, że Devlin wciąż na niego spogląda. Odepchnął się od ościeżnicy, stanął prosto i odchrząknął. Devlin zauważyła, że jest odrobinę wyższa od niego, i z jakiejś przyczyny poczuła się niezręcznie.

- Zatem lubisz obstawiać outsiderów - powiedział.

- Żadna frajda stawiać na pewniaka - odrzekła Devlin. - I dlatego nigdy nie stawiałam na ciebie.

Wilson położył dłoń na brzuchu. Wiedziała od Kleina, co go spotkało w izolatce.

- Ja już nie jestem pewniakiem - stwierdził.

Devlin minęła go, przechodząc do sali.

- Wobec tego muszę zadzwonić do bukmachera.

Zostawiła otwarte drzwi, na wypadek gdyby rzeczywiście musiała szukać schronienia w dawnym oddziale psychiatrycznym, i jeszcze raz sprawdziła, czy ma w kieszeni klucze, by je potem zamknąć. Gdy schodziła z Wilsonem na dół, usłyszeli narastający dźwięk - potężne, głuche dudnienie, rozchodzące się leniwym echem w gęstym powietrzu. Dołączyli do Coleya w ambulatorium. Na stole leżały już dwie rolki plastra.

- Zawiń go - polecił Coley. - Jeśli ja to zrobię, będę musiał słuchać jego jęków i płaczów. „Uważaj, Żaba, to boli” - dodał piskliwym głosem.

- Hej, Coley... - odezwał się złowieszczo Wilson.

Coley mrugnął do Devlin.

- Może przy tobie zachowa się jak mężczyzna.

Zajął się otwieraniem zamka szafki. Devlin spojrzała na Wilsona i zawahała się. Przez krótką chwilę panowało niezręczne milczenie, a potem uruchomiła w sobie tryb rzeczowego lekarza.

- Zdejmij koszulę - powiedziała.

Gruba blizna dzieląca jego brzuch wyglądała wyjątkowo fatalnie, być może dlatego, że reszta ciała prezentowała się tak fantastycznie. Devlin kazała mu unieść ramiona nad głowę, sięgnęła po rolkę plastra i zaczęła owijać nim korpus Wilsona - zaczęła tuż poniżej sutków, a skończyła nad biodrami. Nie była przekonana, czy to zabezpieczenie fizycznie wzmocni gojące się mięśnie jego brzucha, ale wiedziała, że zdecydowanie podbuduje go psychicznie. Kiedy kończyła ostatnią pętlę plastra wokół jego talii, musnęła brzuchem jego fiuta. Wilson miał potężną erekcję.

- Przepraszam - powiedział.

Spojrzała na niego. Nie robił z tego afery i nie próbował jej podrywać. Wyczuła jego spokój i szacunek.

- Nie ma sprawy - odrzekła.

Ale podnieciło ją to. Pomyślała o Kleinie i o tym, jak przycisnęła ją do ściany... i podnieciła się jeszcze bardziej. Dwie pierwszorzędne stojące pały jednego dnia - już dawno nie miała tyle szczęścia. Ale nie zrobiła z tego wielkiego problemu: spokojnie dokończyła zabieg, pozwalając, by fiut Wilsona opierał się o nią aż do końca. Zastanawiała się, czy nie powinna mieć wątpliwości natury etycznej, ale przecież Wilson nie był jej pacjentem i w końcu nie było tak, że na dzień dobry zaczęła mu obciągać. Ciekawiło ją, czy grzeszne zachowanie sprawiałoby jej aż tyle przyjemności, gdyby jej rodzice nie byli tak gorliwymi katolikami. Przykleiwszy końcówkę plastra, cofnęła się o parę kroków.

Wilson opuścił ręce.

- Dzięki. - Zatoczył krąg ramionami, a potem wykręcił biodra w jedną i drugą stronę. - Od razu lepiej.

- Słyszałaś? - wtrącił Coley. - Inny człowiek.

Zdażył tymczasem ułożyć na stole laboratoryjnym kolekcję noży-czek i skalpeli. Wyjął nowe ostrze z hermetycznie zamkniętej folii i wsunął je do obsadki skalpela.

- To na wszelki wypadek. Są ostrzejsze niż jakikolwiek majcher, ale nie nadają się do dźgania. Trzeba ciąć. Kiedy przyjdzie co do czego, trzymajcie dystans, tnijcie drani i bądźcie w ruchu.

Ręka Coleya wystrzeliła nagle w stronę gardła Wilsona, a ten bez zbytniego pośpiechu uchylił się i zrobił krok naprzód. Ostrze minęło jego szyję, a Coley stwierdził nagle, że Wilson zdażył zająć go z boku i jest gotów zadać mu cios w skroń. Pokiwał głową.

- Może jednak do czegoś się nadajesz - powiedział, po czym uniósł skalpel i zwrócił się do Devlin: - Poradzisz sobie?

Obaj potężni, twardzi mężczyźni spojrzeli na Devlin. Czują presję płci, ale wzruszyła ramionami.

- Nieźle znam anatomię. Wiem, jak najskuteczniej poderznąć gardło. Tylko że jeszcze nigdy nikogo nie zabiłam - odrzekła.
- Cholera, my też nie - odparł z uśmiechem Wilson.
- Ja zarzynałem wieprze - przyznał się Coley. - Z załatwieniem tych świrów powinno być podobnie, tylko mogą głośniej kwiczeć. - Odłożył skalpel na stół. - Sprawdźmy, co się dzieje na dole.

Przeszli do oddziału Crocketta. Gdy tylko stanęli w drzwiach, szeptane rozmowy pacjentów zmieniły się w grad pytań pod adresem Coleya. Machnął ręką, by się zamknęli. Dwaj z nich, w lepszym stanie, czuwali przy oknie, obserwując dziedziniec. Łomot tarana o drzwi był tu lepiej słyszalny. Każdemu uderzeniu towarzyszył pijacki okrzyk, pełen radosnej nienawiści:

- Jeb! - Pauza.
- Jeb! - Pauza.
- Jeb! - Pauza.

Wilson spojrzął na Devlin, badając jej reakcję.

- Miło wiedzieć, że nie mają za wiele wyobraźni - powiedziała.

Coley podszedł do okna i spojrzął przez pancerne szkło i pręty. Devlin zerknęła ponad jego ramieniem. W świetle żarówki zawieszanej nad schodami zobaczyła grupę dwudziestu, może trzydziestu mężczyzn. Niektórzy byli zajęci przebieganiem tabletek w kartonie. Inni już spróbowali leków i chwiali się na nogach. Na schodach sześciu osiłków pod wodzą dwóch brodatych olbrzymów operowało potężną belką, celując nią w podwójne drzwi infirmerii.

- Jeb!
- Jeb!

- Przynajmniej nie uda im się zakręcić taranem w korytarzu. Jest za długi - zauważył Coley.

- Co teraz będzie, Coley? - spytał Vinnie Lopez, siadając na łóżku.

- Teraz utną ci te twoje małe meksolskie jaja - odparł Coley z wisielczym humorem.

- Moje jaja są z Kuby, skurwielu.

Devlin obserwowała Wilsona, który przyglądał się wychudzonej twarzy Lopeza, jakby go nie poznawał.

- Vinnie? - spytał wreszcie.

Lopez spojrział na niego.

- Wilson, gdzieś ty się, kurwa, podziewał? Dlaczego już ze mną nie ćwiczysz?

Wilson spuścił oczy, jakby nie był pewny, czy wypada patrzeć na kości sterczące pod skórą Lopeza.

- Byłem zajęty, Vinnie.

- Kurwa, facet, chujowo wyglądasz. Jesteś prawie tak spasiony jak Coley. Muszę cię zaholować z powrotem na siłownię.

- Tego mi właśnie trzeba - odparł Wilson i uśmiechnął się niepewnie.

Coley odepchnął go na bok.

- Wkrótce będziecie mieli tyle ćwiczeń, ile dusza zapagnie, kufafony - mruknął w marszu, po czym skinął głową na Devlin.

Wyszła za nim. Coley zatrzymał się przy biurku stanowiska pielęgniarskiego i wyjął z szuflady małą tubkę. Poszli dalej, przez bramę z prętów zamykającą oddział, na korytarz. Teraz oddzielały ich od przedsionka szpitala już tylko trzy przeszkody. Pierwszą były proste, drewniane drzwi, bez prętów czy nitów, z całkiem zwyczajnym zamkiem. Zwykle były otwarte na oścież. Przeszli obok pustej sali telewizyjnej, dwóch łazienek, schowka na pościel i dwóch magazynów. Teraz mieli przed sobą kolejne drzwi: z litej, stalowej płyty, z wizjerem. Coley otworzył je szeroko. Nieco dalej, za pokoiakami Sunga i Bahra, znajdowała się ostatnia wewnętrzna bariera: brama ze stalowych prętów o średnicy czterech centymetrów. Huk tarana uderzającego w zewnętrzne drzwi był tu ogłuszający. Coley podał Devlin tubkę.

- Klej - wyjaśnił. - Jakieś gówno z żywicą epoksydową. Wciśnij trochę do zamka, na wypadek gdyby mieli dość rozumu, żeby spróbować go otworzyć. Zaraz wracam.

Devlin podeszła z tubką w dłoni do ciężkiej, stalowej bramy. Zanim do niej dotarła, huk tarana zmienił się w serię cichszych dźwięków: trzask łamanego drewna, klekot sztaby stawiającej heroiczny opór oraz boleściwe skrzywienie starych klamer i zawiasów. Zdjęła zakrętkę, wsunęła aplikator do szczeliny zamka i nacisnęła. Gdy klej zaczął się wylewać z otworu, cofnęła tubkę. Z ciemności korytarza dobiegł ogłuszający huk, zwiastujący ostatnie tchnienie rozdzieranego drewna i żelaza. Zaraz potem rozległy się okrzyki triumfu i tupot nóg. Po chwili jeden głos przebił się przez wszystkie inne. Devlin nie mogła rozróżnić poszczególnych słów, ale pozostałe głosy posłusznie ucichły. Siedziała nieruchomo, zahipnotyzowana przeciągającą się ciszą. Szmer własnego oddechu wydawał jej się niesamowicie głośny.

Jakaś postać wychynęła zza rogu od strony przedsionka i przystanąła samotnie po drugiej stronie kraty. Anielski chłopiec z ogoloną głową. Hector Grauerholz.

Uśmiechnął się do niej niewinnie.

- Doktor Devlin? Zdaje się, że mieliśmy porozmawiać.

Potężny ładunek adrenaliny zalał układ nerwowy Devlin i odebrał jej mięśniom zdolność ruchu. Nie mogła ani spuścić powiek, ani przelknąć śliny. Nie czuła przerażenia; po prostu zdawało jej się, że całe wnętrze jej ciała wypełnia jakiś neutralny płyn. Z fizjologicznie ekstremalnymi sytuacjami, takimi jak walka czy ucieczka, wiązała się często bezbolesna, anestetyczna akceptacja śmierci. Zapewne tak czuł się królik, który patrzył na reflektory nadjeżdżającej ciężarówki. Albo w jasne, guzikowate oczy lśniące po drugiej stronie kraty. Grauerholz stał już tuż przy niej.

- Co takiego chciałaś mi powiedzieć? - spytał.

W jego głosie nie było groźby, a jedynie dziwaczna niewinność;

jakby dziecko pytało nauczyciela, czy może pójść zrobić siusiu. Ciało Devlin drżało, a umysł naukowca podpowiadał jej, że to dobrze, bo przynajmniej jest w stanie wykonać jakiś ruch. A teraz skoncentruj się na krtani, pouczal naukowiec, i wrzeszcz.

Cisza.

Grauerholz wcisnął twarz między pręty. Devlin nie poruszyła się. Poczwała jego kwaśny oddech.

- Mamy Raya Kleina, wiesz?

Devlin przełknęła ślinę. Czwała suchość w ustach.

- Nie wierzę ci - odpowiedziała. Dziwne: mogła przemawiać w imieniu Kleina, ale nie we własnym. Neutralny płyn zaczął rytmicznie kurczyć się i rozprężyć pod jej skórą.

- Jeśli nas nie wpuszczisz, sprowadzimy go tu i obedrzemy mu ptaka ze skóry na twoich oczach.

Neutralny płyn odpłynął ku jej piersi z ramion, nóg i głowy. Zdała sobie sprawę, że gdyby chciała, mogłaby się już poruszyć. Przyszły jej nagle do głowy słowa, które usłyszała wcześniej od Coleya.

- Pocałuj mnie w dupę.

- Z rozkoszą - odparł Grauerholz.

Jego ręka wystrzeliła spomiędzy prętów i pochwyciła Devlin za lewy nadgarstek. Przyciągnął ją do kraty. Druga ręka prześliznęła się dołem i złapała ją za pizdę.

- Wyliżę też twoją cipkę - wysapał. Zachichotał jak dziecko, z rozchylonymi ustami, pochylając się ku jej twarzy.

Devlin zapanowała nad obrzydzeniem, wbiła aplikator tubki w jego lewe oko i nacisnęła.

- Najpierw posmakuj tego - powiedziała.

Ze zduszonym „kurwa!” Grauerholz rzucił się wstecz i zgiął wpół, chwytając się za twarz. Zaczwał rozpaczliwie drapać oko, ale półprzezroczysta maź tylko rozciągnęła się między powiekami a palcami.

- Bubba! - zawył.

Rozległ się tupot butów i grupa masywnych postaci wybiegła zza zakrętu korytarza. Devlin wycofała się niespiesznie. Na wpół oślepiiony Grauerholz zniknął za rzędem spoconych ciał, które przywarły do kraty, wyciągając ramiona przed siebie. Napastnicy wykrzykiwali obsceniczne groźby, domagali się, by zdjęła spodnie, pokazała cycki i obciągała im kutasy. Mieli oczy bestii i szeroko otwarte, mokre od śliny usta. Płyn, który wypełniał Devlin, skupił się teraz w jednym miejscu: był balonem w jej żołądku. Zrozumiała, że to jej strach. Była tak kompletnie przerażona, że nie docierały do niej żadne inne emocje. Po raz pierwszy, odkąd Galindez popchnął ją w stronę infirmerii, czuła najprawdziwszy strach. Jedna z bestii po drugiej stronie kraty wyjęła penisa i zaczęła się masturbować.

Dorastając w katolickiej rodzinie, Devlin przyswoiła sobie koncepcję zła - nadprzyrodzonej siły, niepoznanej i samoistnej, koniecznej, swoistej mocy sprawczej, która nie była fenomenem, gdyż nie dało się jej obserwować czy wyjaśnić, ale uzasadniała istnienie pewnych fenomenów - takich jak choćby zamordowanie masy niewinnych ludzi. Z drugiej strony jednak, nauka przeczyła istnieniu czystego zła. Gdyby dało się wystarczająco precyzyjnie zrekonstruować zawiły ciąg wydarzeń, następujących po sobie niczym kostki domina, zapewne i masowe morderstwo dałoby się wytłumaczyć. Ów proces rekonstrukcji był podstawą jej zawodu. Jeśli jakieś zdarzenie nie miało sensu, to tylko z powodu niewystarczających danych, a nie z powodu zła. Miliardy słów w psychologicznym dyskursie przeczyły jego istnieniu i odrzucały jego koncepcję w całości. Teraz jednak, gdy Devlin patrzyła na wijącą się masę zmierzwionych bród, zrytych bliznami twarzy i wytatuowanych ramion, rozumiała istotę zła. Nie wyczuwała go, nie widziała, nie czuła zapachu. Wyczuwała swój strach, widziała ich wykrzywione twarze i czuła woń ich ciał. Zło

nigdy nie było uchwytne dla zmysłów. Nigdy nie trwało na tyle długo, by stanąć przed sądem. A jednak istniało tam, w nich, w śmierdzącym powietrzu, w stalowych prętach, którymi potrząsali, w granitowych blokach, które ich otaczały.

- Devlin!

Odwróciła się. Earl Coley mijał właśnie drugie, stalowe drzwi, ciągnąc ze sobą wąż strażacki. Podbiegła do niego, żeby pomóc. Nawalnica wokalnej furii podążyła za nią:

- Pierdolonasukaczarnuchówpizdajebanakurwamać!

- Włączaj! - zawołał Coley przez ramię, gdy znalazła się przy nim.

Stare, pożółkłe płótno naprężyło się i zaczęło wic się w rękach Coleya. Strumień wody wytrysnął tuż obok Devlin, a Coley zaparł się mocno nogami, by nad nim zapanować. Lecz nagle otworzył oczy bardzo szeroko, bo Devlin jednym gwałtownym szarpnięciem wyrwała wąż z jego rąk. Czuli, że krzyczy przez zaciśnięte zęby, ale nie rozróżniała własnych słów. Gdy strumień wody zaczął nią miotać, stawiała mu czoło: docisnęła wąż do biodra i poczuła, jak jego energia zasila jej bojowy szal. Woda chlustała w głąb korytarza, przenikała między prętami kraty i potężnym strumieniem smagała wydatne brzuchy, zmierzwione brody i groteskowe twarze napuchłe nienawiścią. Devlin ruszyła w ich stronę, ciągnąc za sobą wąż i zupełnie ignorując krzyki Coleya. Jej usta znowu się poruszały, głos drapał gardło, lecz i tym razem nie słyszała swoich słów - zagłuszały je huk wody oraz pieśń wojenna, która rozbrzmiewała pod jej czaszką przy wtórze bębnow. Odrywała skazańców od kraty jednego po drugim, zmywając ich w głąb korytarza. Onanistę i jego nasienie, rozwścieczonych olbrzymów oraz wszystkie inne wytatuowane szumowiny wraz z ich brudem i bólem, który gotowi byli zadać jej ludziom. Stała dwa metry od kraty - wąż nie sięgał dalej - gdy ostatni

przeciwnik pozostał uczepiony do prętów: psychotyczny aniołek o jednookiej twarzy wykrzywionej niewyobrażalną gwałtownością i chudych rączkach szaleńczo uczepionych stali. Devlin rzuciła wąż na posadzkę, gdzie wił się i szarpał u jej stóp, po czym wyszarpnęła zza paska klucz nastawny. Słyszała wrzaski Grauerholza; krzyczał do utraty tchu, ledwie zrozumiałe.

- Suko. Zdychaj. Suko. Zdychaj. Kurwo. Pizdo. Czarnuchy. Czarnuchy. Zdychaj. Pizdo. Suko.

Gdy z całej siły uderzyła kluczem w palce jego prawej dłoni, zakomlał i cofnął rękę. Uniosła broń po raz drugi, spoglądając w jego nabiegłe krwią oko. Grauerholz nie odpuścił. Uderzyła w jego lewą rękę. Cofnął się chwiejnie, spoglądając na własne, zwisające bezwładnie palce. Płakał z bezsilnej wściekłości. Jeden z olbrzymów stanął za nim, wziął go pod ramiona i łagodnie pociągnął za sobą. Kiedy Grauerholz potulnie odchodził, przestał szlochać, a zaczął chichotać, przewracając jednym okiem. Drugie było zniekształcone warstwą półprzezroczystej żywicy.

- My tu wrócimy, kurwo czarnuchów. Wrócimy. Wrócimy.

Devlin odczekała, aż zniknęli za zakrętem korytarza.

- Wrócimy, kurwo czarnuchów.

Korytarz opustoszał i w nagłej ciszy nawet syk węża strażackiego, atakującego ścianę strumieniem wody, był prawie niesłyszalny. Niespodziewany impuls zgiął Devlin w pół i zwymiotowała cienkim strumieniem żółci prosto w kałużę wody, która rosła u jej stóp. Wsparła się jedną ręką o kratę. Przez chwilę jeszcze drżała, a potem znieruchomiła. Poczowała na plecach dłoń Coleya.

- Cała jesteś?

Devlin wypluła kwaśny płyn. Pochyliła się niżej, zaczerpnęła dłonią trochę wody, przepłukała usta i znowu wypluła. Zaczerpnęła po raz drugi, by obmyć twarz. Dopiero wtedy wyprostowała się, spojrzała na Coleya i skinęła głową. Wyjął z kieszeni i podał jej

papierową serwetkę. Przyjęła ją, otarła twarz i wydmuchała nos.

- Dzięki.

Zaskoczyło ją to, jak spokojny był jej głos. W głębi korytarza, za Coleyem, przy stalowych drzwiach, stał Reuben Wilson. Skinął głową, a ona odpowiedziała mu tym samym, nim zwróciła się do Coleya, któremu najwyraźniej zabrakło słów. I wtedy przypomniało jej się coś, na co czekała cały dzień. Momentalnie zapomniała o tym, co przed chwilą widziała i co zrobiła. Uśmiechnęła się do niego.

- Właśnie sobie przypomniałam - powiedziała. - Muszę ci coś pokazać.

ROZDZIAŁ 25

- Dokąd to się, kurwa, wybierasz z tym Meksem? Nev jest na niego ostro wpieniony za wypuszczenie asfaltów z klatek.

Colt Greely, którego ramiona od barków po nadgarstki pokryte były mozaiką tatuaży, stał przy stanowisku strażniczym u bramy bloku B, zagradzając Kleinowi drogę do atrium. Wskazał palcem na Galindeza.

- I dlaczego ma na sobie te łachy?

- Idzie z nami - odparł Klein.

- Osobiście nawet cię lubię, Doktorku, więc całkiem za darmo dam ci ostrzeżenie: nie wkurwaj nas - powiedział Greely, rzucając niespokojne spojrzenie ponad ramieniem Kleina, na Abbotta. - Bo jeśli będzie trzeba, nasi chłopcy w dziesięć, kurwa, sekund rozprawią się nawet z tym klocem.

Klein błysnął mu w twarz latarką i Greely zmrużył oczy.

- Czyj to był pomysł z tą głową, Colt? - spytał.

- Z jaką, kurwa, głową?

- Z tą, którą ktoś zostawił na stołku w jego celi.

Greely położył dłoń na rękojęści śrubokrętu, który nosił za pasem.

- Chyba lepiej będzie, jak pogadasz o tym z panem Agrym.

- Ty ją ucinałeś czy tylko trzymałeś delikwenta? - spytał Klein.

- Czarnuch był już trupem, Doktorku. Ale, szczerze mówiąc, i tak mieliśmy ubaw.

Oprych cofnął się o pół kroku, a Klein postanowił, że Colt Greely będzie musiał odejść. Pomyślał o tym całkiem chłodno, bez gniewu. Od tej pory tylko tak mógł postępować, jeśli naprawdę chciał dotrzeć do Devlin. Wyłączył latarkę i wetknął ją w spodnie.

- Powiedz no, Colt, któryś z chłopaków śledzi może mecz Lakersów? - zapytał z uśmiechem.

Tego Greely się nie spodziewał.

- No - odparł ostrożnie. - Ostatnio słyszałem, że Knicksi prowadzą pięcioma w drugiej kwarcie. A bo co?

- A bo się założyłem - odparł Klein.

Skoczył do przodu i osiemdziesiąt jeden kilogramów jego żyłatego ciała opadło na wewnętrzną stronę kolana Greely'ego. Ćwiczył ten ruch od lat, ale dopiero teraz po raz pierwszy wykorzystał go w praktyce. Zdziwił się, że tak gładko to poszło. Dwa wiązadła w kolanie Greely'ego pękły z głuchym pyknięciem i cały staw się rozpadł. Greely zdążył jeszcze otworzyć usta do krzyku, ale w tej samej chwili lewa ręka Kleina wbiła się w jego gardło, a potężny ruch wyprowadzony z prawego biodra pozwolił mu na wykonanie *mowashi empi*, obrotowego ciosu łokciem w lewą skroń Greely'ego. Greely padł na bruk jak worek gówna, rżąc i podrygując. Wymierzenie tych trzech ciosów nie zajęło więcej niż dwie sekundy. Klein rozejrzał się po ciemnym bloku. Snopy światła nadal poruszały się tu i tam w przypadkowy sposób; najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na to, co zaszło. Spojrzał pod nogi. Chłodno i bez przyjemności tupnął piętą w głowę Greely'ego i drgawki ustały. Przypomniawszy sobie o tych bolesnych procedurach, które trzeba czasem serwować pacjentom: zadawanie bólu nie sprawia przyjemności, ale jest konieczne. Greely został po prostu wycięty, jak nabrzmiały czyrak. Klein wyjął śrubokręt z za jego paska i wyprostował się. Galindez przyglądał mu się w milczeniu.

- Ukryj go tam - powiedział Klein.

W pierwszej chwili Galindez nie zareagował, ale potem skinął głową i zaciągnął ciało Greely'ego do pierwszej celi, w której leżały zwęglone ciała. Klein skinął głową na Abbotta.

- Przejmij stery, Henry. Dokąd teraz?

Abbott pochylił się i podniósł młotek leżący u jego stóp. Trzonek i obuch były pokryte zaschniętą krwią. Klein wzdrygnął się, bo przypomniała mu się zbrodnia, za którą Henry został skazany. Abbott uniósł ramię i wskazał młotkiem na bramę.

- Do stołówki - powiedział.

Galindez wyszedł z celi, zobaczył młotek wskazujący kierunek i spojrział pytająco na Kleina. Klein wręczył mu zaostriżony śrubokręt, odebrany Greely'emu.

- Idziemy.

Przeszli przez atrium, któremu wysoko zawieszona szklana kopuła nie dawała już ani odrobiny światła. Przez bramę bloku D Klein dostrzegł słabą, żółtawą poświatę, może od świec, może ognisk, a może lampek olejowych domowej roboty. Tylko od czasu do czasu błysk latarki przecinał ciemność. Postanowił, że własnej latarki będzie używał jak najrzadziej, by niepotrzebnie nie przyciągać uwagi. Poruszali się przez to wolniej, ale wydawało się to lepsze niż wabienie psychopatycznych ciem uzbrojonych w noże. Minęli wejście do bloku C. Nabrzmiałą przerażeniem ciszę przerywały tu tylko szepty. Sześciuset czarnych, Latynosów i Indian nadal siedziało bezradnie w swoich celach - od trzeciego zamknięcia i liczenia. Wiedzieli, co się stało w B, i od ośmiu godzin przysłuchiwali się odgłosom terroru. Galindez uskokczył w cień, gdy snop światła nadleciał od strony grupki rozbawionych więźniów, którzy właśnie wyszli z bramy bloku C.

Południowy, wiejski akcent. Klein ucieszył się w duchu, że jest biały. Wiązka światła prześliznęła się po jego twarzy i znieruchomiała. Głos, którego nie umiał zidentyfikować, zawarczał w ciemności:

- Klein?

Klein uniósł ręce, pokazując, że nie jest uzbrojony. Zastanawiał się, czy dostrzegł Galindeza.

- W porządku, chłopaki - powiedział, po czym wskazał na plamy krwi, które Crawford zostawił na przedniej części jego koszuli. - Nev mnie wysłał, żebym obejrzał paru kolesiów postrzelonych przez klawiszy.

Ktoś stęknął w mroku, a plama światła oderwała się od twarzy Kleina i spoczęła na Henrym Abbottcie i jego okrwawionym młotku.

- Jezu Chryste.

Źródło światła cofnęło się o krok. Teraz, gdy przestało go oślepić, Klein rozpoznał Teda Spriggsa. Był to opalony, ostrzyżony na jeża, zawodowy przestępca, jeden z żołnierzy Larry'ego DuBois. Klein znał go na tyle, że pozdrawiali się skinieniem głowy, gdy widywali się w siłowni. Za Spriggsem stało pół tuzina innych bandytów. Niektórzy nieśli wypchane worki na śmieci, a wszyscy lękliwie przyglądali się Abbottowi. Fakt, iż żaden z nich nigdy nie zamienił słowa z szalonym olbrzymem, działał na korzyść Kleina, podobnie jak to, że doskonale pamiętali, jak sześciu klawiszy próbowało kiedyś go okiełznać.

- Abbott jest moim aniołem stróżem - wyjaśnił Klein. - Przed chwilą rozwalił trzech asfaltów, którzy rzucili się na nas na dziedzińcu. Jeden cios młotkiem dla każdego i po balu.

Abbott wysłuchał kolejnej opowieści podbudowującej jego morderczą reputację i zdobył się jedynie na mrugnięcie powiekami. Spriggs pokiwał głową, nie odrywając oczu i światła latarki od Henry'ego.

- Jeśli masz czas, w A jest paru poważnie rannych chłopaków.

- Jasne - odparł Klein. - Muszę tylko zejść do swojej dziupli w podziemiu, po apteczkę.

- Pełno tam czarnuchów, Doktorku - rzekł Spriggs. - Rano ich wykurzymy, ale teraz powinienes się trzymać blisko naszych ludzi.

- Bez gratów wiele nie zdziałam - odpowiedział Klein. - Nie muszę daleko iść.

- Chcesz obstawę?

- Dzięki, Ted, ale Henry w zupełności mi wystarczy. Łatwiej nam będzie się poruszać mniejszą grupą, nie zauważą nas.

- Pewnie masz rację, ale i tak uważaj. Czarnuchy są wredne jak węże. W końcu to ten czarny skurwiel Johnson zaczął cały ten burdel, kiedy zabił Larry'ego DuBois podczas zwykłej rozmowy.

- Nie wiedziałem - odparł Klein.

Zastanawiał się, ilu ludzi zna całą prawdę o Agrym. Shockner? Grauerholz? Grauerholzowi było pewnie wszystko jedno.

- Znasz czarnuchów - ciągnął Spriggs. - Pewnie odwalają teraz naszą robotę, zabijając się nawzajem. Na szczęście spora ich banda wciąż jest zamknięta w C - dodał, potrząsając pękiem kluczy. - Właśnie skończyliśmy mały nalot, po jednej celi naraz. Nie spodziewałem się znaleźć u asfaltów tyle gotówki. Prochów i innego gówna - tak, bo taki mają styl życia, ale gotówki? Podejrzewamy, że ich suki szmuglują kasę podczas wizyt. Sam wiesz, jak oni traktują swoje kobiety. Siedzą w chałupie na socjalu i pozwalają im tyrać. - Spriggs uśmiechnął się szeroko. - Może czegoś się od nich nauczymy. Z białymi panienkami jest całkiem inaczej.

- Wiem coś o tym - odparł Klein.

Powstrzymał się przed zapytaniem Spriggsa, na co zamierza wydać zrabowaną gotówkę. Na co dzień Spriggs był dość inteligentnym facetem, ale teraz ogarnęło go to samo szaleństwo, które zawładnęło innymi. Klein pomyślał o Murzynach, którzy kryli się w labiryncie pod jego stopami, i wcale nie był już pewny własnej inteligencji - po co właściwie opuścił bezpieczną celę?

- Lepiej już pójde - powiedział.

Spriggs skinął głową.

- Opiekuj się nim, wielkoludzie - rzekł, spoglądając na Abbotta.

Henry nie zareagował.

Spriggs uśmiechnął się do Kleina.

- Masz jaja, że zadajesz się z tym typem; przy nim asfalty to szkółka niedzielna. Do zobaczenia.

Spriggs i jego ludzie oddalili się, omijając Abbotta szerokim łukiem. Gdy światło jego latarki zniknęło w mroku, Galindez wyłonił się z ciemności i dołączył do pozostałych.

- Damy radę otworzyć cele w bloku C? - spytał Klein.

- Bez zasilania - nie - odparł Galindez. - A gdybyśmy mieli komplet kluczy, musielibyśmy obkoczyć sto osiemdziesiąt drzwi. Nie zdążylibyśmy.

Gdyby otwierali trzy cele na minutę, potrzebowaliby okrągłej godziny. Załoga Agry'ego wytlukłaby ich w pięć minut. Klein otarł pot spływający do oczu.

- A bo co? - dorzucił Galindez.

- Spriggs o czymś wspominał... Gdybyśmy wypuścili sześciuset ludzi przeciwko Agry'emu, może musiałby odwołać Grauerholza z infirmerii.

Galindez przemyślał ten plan.

- Drzwi są otwierane silnikami elektrycznymi na poszczególnych piętrach, zasilanymi z głównego obwodu. - Urwał, marszcząc brwi. - Ale istnieje też zapasowe źródło prądu, z osobnym obwodem. To generator, na specjalne okazje. Ostatnio był używany, kiedy huragan zerwał linie przesyłowe.

- Damy radę go włączyć?

Galindez pokręcił głową.

- Trzeba to zrobić z wieży zarządu, a naczelnik nie ma powodu,

by o tym myśleć. Woli, żeby skazani siedzieli po ciemku i się bali.

- Gdzie jest ten generator?

Galindez wzruszył ramionami.

- Stoi na dziedzińcu, gdzieś pod wschodnią ścianą.

- Można się do niego podłączyć?

- Nie mam pojęcia.

Dennis Terry, pomyślał Klein. Stary szef Konserwatorni na pewno wie, gdzie jest generator i czy możliwe jest obejście obwodu zasilania. Klein zaczął iść tak szybko, jak tylko się dało w ciemności - przez atrium, w kierunku stołówki.

Podłoga sali była śliska od pomyj i pływających w nich śmieci. Stąpając po mokrych kaflach, przeszli między kontuarami i wkroczyli do kuchni - tu dopiero zobaczyli skutki pierwszej orgii zniszczenia. Kotły zostały wywrócone, z podziurawionych puszek wylał się olej, worki z mąką pszenną i fasolą pocięto, a ich zawartość rozrzucono, opróżniono nawet pojemniki z jajkami w proszku. Schody na jednym końcu kuchni prowadziły do pralni, schody na drugim do kompleksu magazynów. Klein skierował się właśnie ku tym ostatnim, gdy usłyszał gdzieś w pobliżu cichy jęk. Zatrzymał się. Z lewej dobiegał świst nierównego oddechu. Wyjął zza paska latarkę i włączył ją. W pierwszej chwili odblaski światła od nierdzewnej stali drzwiczek kredensu zupełnie go oślepiły. Po chwili jednak dostrzegł postać oblaną olejem i obtoczoną w mące, klęczącą i podpartą dłońmi. Ramiona drżały z wysiłku, podtrzymując zgarbione plecy i nisko spuszczoną głowę. Klein zrobił dwa kroki w stronę klęczącego, a wtedy mężczyzna uniósł głowę z takim wysiłkiem, jakby był do niej uwiązany ogromny ciężar. Cały bok jego twarzy oraz szyja były pokryte zakrzepłą krwią. Oddychał z trudem, przez szeroko otwarte usta. Powoli, jakby w wielkim bólu, odwrócił się w stronę światła, odsłaniając oczy, które czekały już na śmierć. Był to Stokely Johnson, zastępca Wilsona. Klein podszedł bliżej. Johnson opadł na łokcie.

Galindez pomógł Kleinowi posadzić go na podłodze i oprzeć o drzwiczki z nierdzewnej stali. Klein przykucnął obok.

- Johnson - odezwał się. - To ja, Klein. Słyszysz mnie?

Stokely spojrział na niego i spuścił powieki na znak, że słyszy.

Klein przyjrzał się bliżej jego twarzy. Nozdrza były zatkałe skrzepami krwi. Kula z rewolweru Grauerholza wbiła się w jego głowę pięć centymetrów poniżej prawej skroni, pozostawiając mały, regularny otwór wlotowy. Rany wylotowej nie było. W przeciwieństwie do pocisku z M16, który ranił Crawforda, ta kula nie miała wielkiej prędkości, a co za tym idzie, wywołała mniejszy wstrząs i ubytek tkanki. Prawdopodobnie przebiła zatokę szczękową i strzaskała kilka kości w środkowej części twarzoczaszki, ale na jej drodze nie było żadnych ważnych dla życia organów. Klein przypomniał sobie, że Agry nadepnął na twarz Stokely'ego, i teraz wydawało się, że właśnie ten uraz był groźniejszy od postrzału. Sprawdzał źrenice Johnsona, ale nie znalazł śladu krwawienia wewnątrzczaszkowego. Dostrzegł w nich natomiast wielki strach. Stokely całkiem rozsądnie przypuszczał, że jest bliski śmierci.

- Nie męcz się mówieniem - odezwał się Klein - ale posłuchaj mnie. Nie umrzesz od tej kuli, która tkwi w twojej twarzy.

Stokely zamknął oczy, a jego ramiona opadły, jakby z wielką ulgą.

- Wygląda to fatalnie i pewnie fatalnie się czujesz - ciągnął Klein - ale nie ma mowy, żeby cię to zabiło.

Stokely otworzył oczy i Klein spostrzegł z ulgą, że ranny mu wierzy.

- Spokojnie mógłbyś teraz wstać i zagrać w koszykówkę, jeśli masz ochotę. Nie musisz tu pełzać jak skopany pies.

- Ty skurwielu - stęknął Johnson, unosząc pięść.

Klein złapał go za nadgarstek. Johnson siłował się z nim przez chwilę.

- Widzisz? - spytał Klein.

Stokely zrozumiał, o co chodzi. Rozluźnił się, a wtedy Klein puścił jego rękę.

- Twoi długodystansowcy są rozproseni w tunelach pod ziemią. Agry dał im takiego łupnia, że srali w siedmiu kolorach. Musisz ich zebrać do kupy i kontratakować. Zrozumiałeś?

- A co cię to obchodzi... - Mimo bólu, który wywoływało każde wypowiedziane słowo, Stokely jeszcze raz zaczerpnął powietrza i dodał: - ...skurwielu?

- Obchodzi, bo Agry wysłał twojego ulubieńca Grauerholza, żeby wykończył moich ludzi w infirmerii. W tym Coleya i Wilsona. Jeżeli wystarczająco mocno przyciśniesz mu jajca, będzie musiał wezwać Grauerholza na pomoc.

Stokely przyglądał mu się przez długą chwilę, a potem się uśmiechnął.

- A ja będę na niego czekał.

Klein wstał i wyciągnął rękę. Stokely chwycił ją, podciągnął się i stanął na nogi. Spojrzał na Galindeza i Abbotta. Przestąpił z nogi na nogę, jakby był zażenowany.

- Ja... no... ja...

- Sądziłeś, że umierasz - wpadł mu w słowo Klein. - Spanikowałeś, a teraz czujesz się jak żółty dupek. Ale nim nie jesteś. Zapomnij o tym i chodźmy.

- Wilson nie mylił się co do ciebie - odparł Stokely, patrząc mu w oczy.

Nagle gdzieś w stołówce rozległ się krzyk i Klein czym prędzej wyłączył latarkę.

- Chłopaki, czarnuchy! Widziałem ich!

Wiązka światła zaczęła przesuwać się w ich stronę. Klein pochylił się nisko i ruszył w stronę drzwi, za którymi znajdowały się schody. Znowu rozległy się krzyki. Ktoś się pośliznął i z głośnym brzękiem

metalalu wylądował na podłodze. Klein włączył latarkę tylko na krótką chwilę, by namierzyć drzwi i przykręcony do nich uchwyt.

- Tam! Zwiewają pod ziemię, kutasy!

Klein wymacał po ciemku uchwyt i szarpnął przesuwne drzwi. Skoczył do środka, a pozostali podążyli jego śladem. Galindez zaciągnął za sobą drzwi, ucinając krzyki dobiegające już z kuchni. Klein zapalił latarkę: znajdowali się na krótkich i szerokich, kamiennych stopniach. U dołu zaczynał się korytarz niknący w ciemności, z szeregiem drzwi po obu stronach. Zbiegli na dół i puścili się sprintem w głąb tunelu. Drzwi na szczycie schodów otworzyły się z hukiem; prostackie głosy, wykrzykujące coś w podnieceniu, przypominały Kleinowi nawoływania głównianych weekendowych myśliwych, którzy ścigali łatwą zdobycz. Pod nogami biegnących chrzęściły plastikowe widelce i łyżki wysypane z rozprutych kartonów; potykali się też o styropianowe kubki i rolki papieru toaletowego.

- No i po kiego chuja tak pędzimy? - wysapał Stokely Johnson.

Klein zignorował pytanie, nawet nie zwolnił. Korytarz rozwidłał się na końcu pod kątem prostym - Klein skręcił w lewo. Dwadzieścia metrów dalej zatrzymał się przy drzwiach prowadzących do kolejnych, tym razem wąskich schodów. Zaczekał na pozostałych. Abbott dogonił go jako ostatni, sadząc długimi susami. Po ruchach latarek widać było, że pościg dotarł już do rozwidlenia korytarza.

Klein oświetlił schody przed Galindezem.

- Na dół.

Popchnął Abbotta w ślad za strażnikiem. Stokely zaczął kaszleć, pryskając kroplami krwi na koszulę Kleina.

Po chwili charknął i wypluł czerwoną flegmę.

- Zaczekajmy tu na nich - powiedział.

- Kiedy będę musiał walczyć, będę walczył. Na razie uważam, że na dole możemy zgubić tych pajaców - odparł Klein.

Zbiegł po schodach w ślad za Galindezem i Abbottem, słysząc za sobą kroki Johnsona. Było na tyle wąsko, że musieli schodzić pojedynczo. Gdy dotarli do podnóża schodów, Klein włączył latarkę i w tym momencie poczuł na ramieniu dłoń Stokely'ego.

- Zaufaj mi, facet.

Klein z wahaniem skinął głową. Znajdowali się w tunelu, w którym podwieszono płataninę rur i przewodów. Zwykle panował tu spory hałas, bo przestarzały system wentylacyjny nieustannie pompował chłodne powietrze do bloków. Teraz jednak było zupełnie cicho, póki w korytarzu położonym o kondygnację wyżej nie odezwały się głosy. Snop światła wpadł z góry na krótką chwilę i zniknął.

- Mówię wam, bambus ciągnął za sobą tego wielkiego świra. Hej!

Blask latarki powrócił, kierując się prosto w dół, wzdłuż schodów. Stokely Johnson stanął u ich podnóża, nie kryjąc się. Pot i krew na jego twarzy lśniły w promieniach światła.

- Mamy go!

Snop światła zaczął poruszać się w dół.

- No, chodźcie, skurwysyny! Chętnie pouryвам wam pierdolone kutasy!

Klein poczuł skurecz w odblasku i cofnął się mimowolnie o krok. Dudniący dźwięk, który dobiegł z gardzieli Stokely'ego i odbił się echem w wąskim tunelu, był głosem Absolutnie Najstraszliwszego Czarnucha w Mieście i Klein nigdy dotąd nie słyszał czegoś podobnego. W porównaniu ze Stokelym Ice-T brzmiał jak kaczor Daffy. Od strony schodów dobiegł okrzyk strachu; czyjeś nogi ześlizgnęły się po kilku stopniach. Przerazona twarz błysnęła w ciemności i zaraz para ramion pociągnęła pechowca z powrotem ku górze.

- Ja pierdole, chłopaki!

Tupot kroków na schodach oddalił się i ucichł w korytarzu na

wyższej kondygnacji, a potem dobiegł z góry głos, znacznie bardziej piskliwy niż poprzednio - zapewne pod wpływem popisu Stokely'ego:

- Jeszcze tu wrócimy, ty czarny kłocu!

Stokely nie zaszczycił go odpowiedzią. Kroki na górze ucichły.

- „Jedynie pioruny trzeba cenić wyżej niż armaty” - rzekł w ciemność Klein.

- Że co? - zdziwił się Stokely.

- Napoleon - wyjaśnił Klein. - Szkoda, że nie byłeś z nim pod Waterloo.

Klein włączył latarkę, a długi, ciemny tunel połknął gdzieś w od dali jej blask. Gdyby trafił w jakiekolwiek inne miejsce pod ziemią, nigdy nie odnalazłby drogi na powierzchnię, ale ten fragment labiryntu znał jak własną kieszeń, bo był tu ze sto razy, by zapłacić czynsz Dennisowi Terry'emu. Poprowadził Galindeza i Abbotta w mrok i bezbłędnie odnalazł dwa zakręty. Dotarli do bardzo starego kotła otoczonego płataniną rur. Po jego drugiej stronie, w miejscu, którego nigdy nie odnalazłby ten, kto go nie znał, znajdowały się drzwi. Zamknięte na klucz.

- Daj no ten majcher - powiedział Stokely.

Galindez podał mu śrubokręt. Dwa gwałtowne ruchy wystarczyły Stokely'emu, by otworzyć drzwi. Po kilku drewnianych stopniach spłynął migotliwy blask światła.

- Terry? - zawołał Klein. - Dennis Terry? To ja, Ray Klein.

Odpowiedzi nie było. Klein wspiął się po stopniach. U ich szczytu znajdował się nieduży pokój, z pietyzmem urządzony dokładnie tak, jak studio w programie Deana Martina: szary dywan, niedźwiedzia skóra, bar pod ścianą i dwa wysokie stolki, staroświecki stereogram, telewizor w orzechowej gablotce, kanapa pasująca do dywanu.

I trzeci stółek barowy za kanapą. Świecznik stojący na barze był teraz jedynym źródłem światła. Obok niego stały pusta szklanka i butelka ginu, w której pozostała ledwie odrobina trunku. Obok stereogramu leżały dwie sterty: na jednej starannie ułożono okładki winylowych płyt, a na drugiej same płyty - wszystkie przelamane na pół. Klein zrobił krok w ich stronę. Na samym wierzchu leżał Sinatra, *September of My Years*. Terry wykorzystał swe bogactwo, by zrealizować fantazję z przeszłości, ze świata, który pozostawił za sobą trzydzieści pięć lat wcześniej, kiedy Dino znaczył więcej niż Sinatra, a lokatorem Białego Domu był Eisenhower. Na barze stała też oprawiona w srebro fotografia ładnej, dwudziestoletniej dziewczyny - narzeczonej, którą Terry udusił za to, że uczyła angielskiego niewłaściwego portugalskiego kucharza. Iluzję lat pięćdziesiątych psuły jedynie grube żelazne rury pod sufitem, którymi biegły kable. Jedna z nich była urwana; pękła na pół w miejscu łączenia. Wysunęła się z niej wiązka kabli, pociągnięta w dół przez zapiętą końcówkę skórzanego paska, która najwyraźniej była wcześniej założona na rurę.

Klein zobaczył, że Terry leży na podłodze za kanapą, tuż obok stołka, z drugim końcem paska zawiązanym wokół szyi.

Jeszcze oddychał. Klein rozplatał węzeł na pasku i w tym momencie Terry otworzył oczy. Wymamrotał coś bełkotliwym głosem. Klein bezceremonialnie ustawił go do pionu. Terry zachwiał się, ale zdołał obejść z Kleinem kanapę. Opadł na nią z jękiem i siedział przez chwilę z głową między kolanami, masując kark.

- Wody - powiedział Klein.

Galindez podszedł do baru i wrócił ze szklanką wody. Terry wyciągnął rękę.

- Dzięki - zaskrzeczał cicho.

Klein chlusnął mu zawartością szklanki prosto w twarz. Terry

cofnął się gwałtownie, prychając i plując. Klein oddał szklankę Galindezowi.

- Do diabła, co robisz, Klein? - odezwał się Terry. Zamrugał, by oczyścić zalane oczy, i teraz dopiero dostrzegł Stokely'ego i Abbotta.
- Chryste.

Klein usiadł obok niego.

- Posłuchaj mnie, Terry, pieprzony moczymordo, jak już chcesz popełnić samobójstwo, to zrób to jak mężczyzna: wyjdź na górę i daj sobie poderznąć gardło, jak my wszyscy. Dobra?

Zapadła cisza. Wszyscy wyglądali na oburzonych brutalnością Kleina. Galindez przyniósł drugą szklankę wody i podał Terry'emu. Terry spojrzął po raz pierwszy na Salwadorczyka.

- Jezu - jęknął, spoglądając znowu na pozostałych i jeszcze raz na Kleina. - A gdzie Yul Brynner i Steve McQueen?

Klein obmacał kieszeń na piersi Terry'ego i wyjął z niej wymiętą paczkę pall malli. Wysunął jednego i wetknął w usta Terry'ego. Zapalił papierosa gazową zapalniczką, wyjętą z tej samej kieszeni. Terry zaciągnął się, zakaszlał gwałtownie i znów posmakował dymu.

- Dziękuję, Klein. - Obejrzał się za siebie, mierząc wzrokiem rury zwisające spod stropu. - Posłuchaj, ja...

- Nie mamy na to czasu, Dennis - przerwał mu Klein. - Każdy z nas działa z jakichś powodów. Jeśli później nadal będziesz miał ochotę ze sobą skończyć, na pewno ci pomożemy. Ale teraz potrzebujemy cię bardziej niż Yula i Steve'a.

- Mów dalej - odparł Terry. Jego oczy pojaśniały.

- Galindez mówi, że jest gdzieś zapasowy generator.

Terry kiwnął głową.

- Na ropę. Stoi pod południowo-wschodnią ścianą, w tej szopie z czerwonej cegły, między warsztatem mechanicznym a garażem. A bo co?

- Chcemy przywrócić zasilanie i otworzyć drzwi cel w bloku C.
- W C nadal wszyscy są zamknięci?

Klein skinął głową.

- Odciąłeś zasilanie podczas ich trzeciego liczenia.

Terry zaciągnął się głęboko pall malleem i zmrużywszy oczy, w zamyśleniu zapatrzył się w przestrzeń.

- Taki numer wsadziłby całą szuflę papryczek chili prosto w dupę Neva Agry'ego, nie?

- A zatem można to zrobić? - upewnił się Galindez.

- O, tak - odparł sardonicznie Terry. - Wystarczy tam pójść, odłączyć obwody sterowania od budynku zarządu i odpalić na zimno turbinę. Potem wrócić na stanowisko strażników przy bramie bloku C przy włączonym świetle i włamać się do skrzynki bezpieczników, żeby zrobić obejście i odpalić silniki na galeriach. Łatwe jak spadanie z drzewa.

- Jak na razie nie udało ci się nawet spaść z tego pieprzonego stołka - zauważył gorzko Stokely.

- Co on tu robi, u diabła? - spytał Terry.

- A dlaczego nie miałbyś najpierw zrobić obejścia do C? - spytał Galindez. - Wtedy drzwi same się otworzą, gdy tylko odpalisz generator.

- Nieźle, jak na Meksykańca - pochwalił go Terry.

- Ile czasu potrzebujesz? - spytał Klein.

Terry skrzywił się i zaciągnął dymem, rozkoszując się i tym, że czeka go trudne zadanie, i tym, że wszyscy wpatrują się w niego z taką uwagą.

- Obie robótki są kurewskie. Trzeba w obu miejscach rozkręcić sporo blach, zanim w ogóle zabiorę się do dłubania.

- Nikt inny tego nie robi - stwierdził Klein.

- Wiem, kurwa, że nie - odparł urażony Terry. - Jeśli nie liczyć czasu na dotarcie na miejsce, to w najlepszym wypadku potrwa to ze trzy, cztery godziny.

Klein skinął głową. Był to długi czas, ale nie mieli nic do stracenia.

- Co ty na to, Dennis?

Terry wzruszył ramionami.

- Chyba nie mam nic lepszego do roboty - odparł i uśmiechnął się do siebie. - To będzie ostatnia robota Konserwatorni w Green River. - Rzucił niedopałek na nieskazitelnie czysty, szary dywan i rozdeptał go piętą. - W jaki sposób ominę czarnuchów?

- Jeśli będziesz grzeczny, Stokely załatwi ci obstawę, co?

Stokely z powagą skinął głową. Klein wstał.

- Agry wmówił ludziom, że to Stokely zabił Larry'ego DuBois i że od tego się wszystko zaczęło.

- A to kłamliwy pedalski skurwiel! - nie wytrzymał Stokely.

- To Agry zabił DuBois - odparł Terry. - Widziałem na własne oczy. On oszalał.

- Sam nie wiem - odpowiedział Klein. - Trzeba czegoś więcej niż szaleństwa, żeby rządzić blokiem D. Nie widzę w tym żadnego sensu. Agry ma więcej do stracenia w tym buncie niż ktokolwiek inny. Sam sobie spierdolił cały układ.

Grymas goryczy wykrzywił usta Terry'ego.

- Owszem. I mój też.

- Nie wiesz, po co to robi?

- Szaleje za tą czarną suką, wszyscy o tym wiedzą.

- To za mało - stwierdził Klein. - Wystarczyłoby, żeby zabić Claudine, to jasne, ale to za mało, żeby popełnić samobójstwo.

Na dźwięk słowa „samobójstwo” Terry poczerwieniał.

- Sam go o to spytaj - powiedział. - A skoro już o samobójstwie mowa, to co ty tu właściwie, kurwa, robisz?

- Wybieram się do infirmerii.

- Czy aby nie za poważnie bierzesz tę zasraną przysięgę Hipokrytyka?

- Grauerholz próbuje się tam włamać. Agry go posłał, żeby załatwił wszystkich chorych na AIDS.

Terry nie zrozumiał.

- No i?

- Henry zdołał mnie przekonać, że możemy ich powstrzymać.

Terry wstał i spojrzął na Abbotta, który wciąż stał przy drzwiach, a potem znowu na rekwizyty swego niedoszłego samobójstwa, związające spod sufitu.

- Masz rację - zwrócił się do Kleina. - Skoro chcę się zabić, powinienem dołączyć do zajebistych zawodowców.

Klein uściśnął jego rękę.

- Nie powinieneś był rozwalać tych płyt Deana Martina, Dennis. Nie dostaniesz ich wszystkich na kompaktach.

- No cóż. Może nadeszła pora zmian.

Klein spoglądał przez chwilę w kaprawe oczy Terry'ego, a potem skinął głową, puścił jego dłoń i podszedł do drzwi. Stokely Johnson także wyciągnął do niego rękę.

- Powiedz Wilsonowi, żeby przyholował tu dupę jeszcze przed świtem - powiedział.

Klein uściśnął jego dłoń, skinął głową i wyszedł na schody.

- Powodzenia, Klein - rzucił za nim Stokely Johnson.

Klein pokiwał głową, nie odwracając się, i zniknął w ciemności. Abbott i Galindez podążyli za nim. Gdy stanęli w korytarzu, Klein odwrócił się do Abbotta i rzekł:

- Teraz twoja kolej, Henry.

Nastąpiła chwila ciszy i Klein pomyślał nagle, że chyba jednak oszalał. Henry miał może wielkie serce, ale jego umysł był...

- Za mną - odezwał się Abbott swym nowym, dźwięcznym głosem.

I poszli za nim, w głąb tuneli pogrążonych w całkowitym mroku. Co kilka metrów Klein włączał na moment latarkę, by się upewnić,

czy Abbott wciąż idzie przed nimi. Dwukrotnie, gdy mijali skrzyżowania w labiryncie tuneli, słyszeli dalekie, stłumione ludzkie głosy. Potem Abbott poprowadził ich jeszcze głębiej, schodami na kolejny poziom. Im niżej schodzili, tym trudniejszy do zniesienia był fetor. Ściany klatki schodowej pokryte były szlamem, na którym wyrósł mech. W połowie długości schodów Klein nadepnął na coś miękkiego. Zatrzymał się i poświecił: na stopniu leżała czarna czapka baseballowa. Podniósł ją. Była czysta i sucha; nie mogła tu leżeć dłużej niż parę godzin. Nad daszkiem wyszyte było białe X, nawiązujące do filmu Spike'a Lee.

- Henry - szepnęła Klein i gdy olbrzym się zatrzymał, pokazał mu czapkę. - Ktoś musi być na dole - powiedział. Żałował, że nie potrafi naśladować głosu Stokely'ego Johnsona.

Abbott wziął czapkę do ręki. Nie wyglądał na zmartwionego. Jego nowy głos zabrzmiał jeszcze dźwięczniej.

- Istnieje tylko jedna droga do Green River. Właśnie tędy.

Ruszyli dalej po stromych, śliskich schodach. Na samym dole smród omal nie zwałił ich z nóg. Jedzenie z więziennej stołówki przyprawiało wszystkich o cuchnący oddech, na który nie pomagało absolutnie nic, choć pomysłowi skazańcy próbowali wszystkiego. Tu, w podziemiach, owo przetrawione już jedzenie poddawane było ostatecznej transformacji w miazmaty bardziej namacalne i niewiarygodnie odrażające. Dusząc się, Klein wykonał kilka szybkich, głębokich oddechów przez nozdrza, by się zaadaptować do panujących tu warunków, ale i ta sztuczka nie pomogła. Smród ścieków czuł aż w głębi gardła.

- Jezu - stęknął.

Włączył latarkę. Stali na czymś w rodzaju betonowego pomostu, po którego prawej stronie rozciągał się plac zastawiony paletami cegieł, sprzętem do bagrowania kanałów i prętami zakończonymi

mosiężnymi gwintami, które pozwalały na łączenie ich w długie tyczki do przepychania zatorów. Latarka Kleina wyłowiła z ciemności na końcu placu prymitywną, drewnianą szopę. Lewa strona betonowego pomostu zmieniała się w trzy stopnie, poniżej których panowała ciemność. Abbott odebrał Kleinowi latarkę i poświecił w dół. Plama światła padła na lśniąca, pokrytą odpadkami powierzchnię czarnej, skażonej wody. Jej strumień płynął wolno w dal, we wnętrzu idealnie okrągłego tunelu z cegieł, o średnicy mniej więcej dwóch i pół metra.

Klein miał ochotę zwymiotować, gdy wyobraził sobie, że będą brodzić, zanurzeni po pas w tej bryi.

- Green River - powiedział Abbott.

Klein stał przez chwilę w milczeniu, kontemplując wątpliwą urodę Rzeki Zielonej. Gdyby umiał odseparować w myśli widok połyskliwej toni i gładkich ścian tunelu od potwornego fetoru, być może uznałby Rzekę za piękną i tajemniczą.

- „Gwiazdziste dno, wodnisty brzeg, dane ci jest do zmierzchu dnia” - powiedział Abbott.

Galindez również miał kłopoty z oddychaniem.

- Doprowadzisz nas tędy do infirmerii? - spytał Henry'ego.

Abbott włożył na głowę czapkę z *Malcolma X*. Zdaniem Kleina wyglądał w niej zadziwiająco dostojnie.

- To jedyna droga - odparł Abbott.

Galindez spoglądał na niego, a Klein prawie słyszał jego myśli: przed nami ze trzy pierdolone kilometry tunelu, a ten facet jest przygłupem, wariatem i seryjnym mordercą na dokładkę. Galindez spojrział na niego spod uniesionych brwi.

- Skoro Henry mówi, że nas zaprowadzi, to nas zaprowadzi - orzekł Klein.

- Mam w szopie maski, jeśli potrzebujecie.

- Potrzebujemy - odparł szybko Galindez.

Byli w połowie drogi przez plac, gdy ich zobaczyli: młodych, czarnych skazańców, uzbrojonych w noże, członków gangu Bloods, spragnionych krwi i szukających ofiary. Wyłonili się z cuchnącej ciemności z dwóch stron jednocześnie i zbliżali się w milczeniu.

A zatem tak miało być.

Rozpoczęła się wyprawa w dół Green River.

ROZDZIAŁ 26

Devlin śniła. Śniła o tym, że gra w dziwną grę wideo, której zasad nie rozumiała, z człowiekiem, którego nie знаła. Śniła, że jest zamknięta w pokoju i bierze udział w maratonie terapii grupowej, zorganizowanej przez jej byłego profesora od psychoterapii, w którym uczestniczą między innymi wszyscy jej byli kochankowie, których nie bardzo chciała spotkać. Śniła też, że ucieka z tego pokoju i wałęsa się między domami z suszonej na słońcu cegły, w wiosce, której uliczki znała doskonale, a jednak za każdym razem, gdy skręcała, okazywało się, że jest w całkiem nieznanym miejscu. Usiadła więc przy kamiennym korycie, by się zastanowić, dokąd powinna pójść. I wtedy się obudziła.

Przez chwilę, póki jej oczy były półprzymknięte, a głowa spoczywała miękko na ramionach ułożonych na biurku, pamiętała jeszcze fragmenty tego snu, ale im dłużej o nich myślała, tym trudniej jej było zinterpretować je w sensowny sposób. Otworzyła oczy i uniosła głowę. Siedziała w gabinecie obok sali chorych, a Reuben Wilson stał po przeciwnej stronie biurka, trzymając w ręku kubek z kawą.

- Nie chciałem cię obudzić - powiedział.
- Nie szkodzi - odpowiedziała Devlin.

Była lekko zawstydzona tym, że dała się przyłapać we śnie, jakby odpoczynek był oznaką kobiecej słabości.

- Moim zdaniem masz ikrę - rzekł Wilson. - Nie każdy potrafiłby kimać w takiej sytuacji.

- Mylisz ikrę ze zmęczeniem - odpowiedziała. - To dla mnie? - spytała, spoglądając na kubek.

Wilson skinął głową i podał jej kawę. Upiła łyk. Odkąd owinęła go plastrem, nie włożył koszuli. Przez chwilę jej oczy błędziły ukradkiem po szerokich, płaskich tarczach jego mięśni piersiowych, ale zaraz spuściła głowę. Wilson wyjął z kieszeni paczkę cameli z filtrem i włożył jednego do ust.

- Moge? - spytała Devlin.

- Jasne. - Wilson podał jej paczkę. - Nie sądziłem, że lekarze palą.

Przyjęła od niego ogień i zaciągnęła się głęboko.

- A ja nie sądziłam, że bokserzy palą - odpowiedziała.

- To stare dzieje.

Kręciło jej się w głowie od nikotyny i ciał smolistych; słowa Wilsona dobiegały jakby z daleka. Poczowała mrowienie w kończynach. Pierwsza reakcja minęła jednak szybko i zastąpiło ją uczucie głębokiego odprężenia. Było to straszne, ale nie umiała wyobrazić sobie ani jednej rzeczy na całym świecie, która dałaby jej więcej przyjemności niż ten papieros. Rozparła się wygodniej na krześle i znowu zaciągnęła dymem.

- Skąd wiedziałas o czwartej kości śródreżca? - spytał Wilson. - Informacja była ściśle tajna.

- Studiowałam wtedy medycynę, na tamtym roku akurat miałam ortopedię - odparła. - Chirurg, który cię badał, pokazał nam zdjęcie rentgenowskie twojej ręki. Odczytałam z niego nazwisko.

- A niech mnie.

- Nie wiem, czy moje zdanie jest coś warte, ale uważam, że powinienś być wygrać. Ale sędziowie nieczęsto mają okazję pozwolić Włochowi pokonać czarnoskórego.

Wilson uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Dlaczego wrobili cię w morderstwo? - spytała Devlin.

Wilson przysiadł ostrożnie na brzegu blatu.

- Większość bokserów daje się orznać. Menedżerowie zabierają im na przykład osiemdziesiąt procent wygranej. Jeśli chcesz toczyć poważne walki, tylko paru facetów może ci je załatwić, a potem zgarniają większość forsy na tak zwane wydatki. Złożyłem pozew przeciwko mojemu menedżerowi, a tak się złożyło, że jego menedżerami byli z kolei mafiosi, właściciele hoteli w Vegas. Martwa dziwka to niewielki wydatek, a przy tym bardzo wyraźny komunikat dla innych bokserów. - Wilson wzruszył ramionami. - Kiedy tu przyjechałem, nie mogłem zmrużyć oka przez dwa miesiące. Straciłem wszystko, co tylko mogłem stracić. Cholera, do dziś wiszę forszę moim prawnikom. Leżałem w nocy, czekając na pierwsze liczenie, i w myślach torturowałem tych facetów na śmierć, na milion różnych sposobów, zabijałem rodziny na ich oczach, pozwalałem dzikim kundlom gwałcić ich żony...

Wilson urwał i spojrzał na Devlin. Zamrugnął nerwowo i gniew w jego oczach przygasł.

- Przepraszam - powiedział.

- Nie ma sprawy - odrzekła cicho Devlin.

Wilson zaciągnął się camelem.

- Tak czy inaczej, kiedy pewnego dnia zacząłem podgrzewać zapalniczką kawałek folii aluminiowej z heroiną, trzymając w ustach kartonową rurkę, zdałem sobie sprawę, że to całe „zgorzknienie” to jeszcze jeden nóż, który ci faceci wbili w mój brzuch, a ja sam nim kręciłem. Wtedy już paliłem - Wilson uniósł dłoń z papierosem - ale heroinę od razu splukałem w kiblu i poszedłem spać.

- Ciesz się mnie to - odpowiedziała Devlin.

Wilson uśmiechnął się, a ona znów poczuła się nieswojo: wszystkie te cierpienia Wilsona i niesprawiedliwość, której doświadczył... Nie uważała się za białego liberała z wiecznym poczuciem winy - widziała w życiu dość nieszczęść, by wierzyć w przypadkowość losu

- ale teraz, gdy Wilson stał przed nią, brakowało jej słów, które nie zabrzmiałyby trywialnie. Wypaliła camela aż do filtra, zgasiła i sięgnęła po paczkę.

- Mogę jeszcze jednego?

- Pewnie.

Zapaliła własną zapalką.

- I zamiast tego zająłeś się polityką - stwierdziła.

Wilson parsknął z cicha.

- Polityką? - Pokręcił głową. - Polityka zmienia człowieka w gówno, kimkolwiek jest i gdziekolwiek żyje. To tylko ludzie tak postrzegają to, co robię. To ich wymysł, nie mój.

- Zatem co właściwie robisz?

- Udzielam rad. Przede wszystkim staram się, żeby młodszy byli gotowi do powrotu na wolność. Bo myślę sobie, że jeśli tutaj nauczysz się porządnego życia, to na zewnątrz będziesz się miał jak pączek w maśle.

- Niby jak? To znaczy: w jaki sposób można się tego nauczyć?

- Biały oczekuje, że będziemy żyć jak zwierzęta - tutaj czy na zewnątrz, wszystko jedno. Pewnie czytałaś Malcolma?

Devlin skinęła głową.

- Tu jest tak samo. Nie jestem wierzący, ale szanuję religię. Szanuję też siebie, szanuję ciebie. Większość młodych zrobiła coś złego i dlatego tu trafili. I chociaż chlubią się swoimi zbrodniami, a ja nawet trochę ich rozumiem, to wciąż wiedzą, jak bardzo ich matki się starały, żeby wyszło inaczej. Nie chcę, żeby używali mojego przykładu jako pretekstu do porzucenia nadziei. Łatwo by im było wskazać na mnie i powiedzieć: „Widzicie? Żadnej jebanej różnicy! Życie ucziwie, a biały i tak was wyrucha!”

Devlin drgnęła, słysząc nagłą zmianę w jego głosie. Może i cytował cudze słowa, ale sam czuł rozdzierający ból i gniew.

Wilson pokiwał głową.

- Ale widzisz, oni wiedzą, że ja wiem. Wiedzą, co przeszedłem. I mówię im tylko jedno; mówię, aż mają tego serdecznie dosyć, a czasem ich piorę, żeby zaczęli słuchać, bo to naprawdę proste. A jednocześnie bardzo trudne.

Umilkł. Ogień wygasł w jego głosie i skoncentrował na nowo w ciemnych oczach. Kiedy Wilson znów się odezwał, mówił spokojnie, choć z wielkim naciskiem.

- Mówię im: bez względu na to, co oni wam zrobili - wbrew w s z y s t k i e m u - każdy z was może być tym, kim naprawdę jest, a nie zwierzęciem, którym oni chcieliby was uczynić.

Devlin poczuła w oczach pieczenie. Opuściła powieki, żeby zatrzymać łzy. Wilson zgasił papierosa i uśmiechnął się, rozluźniony.

- Do wielu nie da się dotrzeć. To znowu ta gorycz, która pracuje dla białego. Ale do niektórych można. Wśród moich ludzi mniejszy jest odsetek uzależnionych od hery i cracku niż w innych blokach. Ze wszystkich młodych ludzi, którzy zaliczają odsiadkę tutaj, może dziesięciu czy dwudziestu nie wróci tu na drugi wyrok, choć mogliby wrócić - i to mi wystarcza. Może kilku wytrzyma na wolności parę lat, a nie parę miesięcy. A może nie złączą tu ćpać i nie zawloką nałogu ze sobą do domu - i to mi wystarcza.

Devlin chciała mu powiedzieć, jak bardzo niezwykle jest wszystko to, co słyszy, ale znów wydało jej się, że przychodzą jej do głowy same banały.

- W takim razie dlaczego Hobbes ma coś przeciwko tobie? - spytała.

- Zastanawiałem się nad tym, odkąd trafiłem do izolatki i aż do dziś nie miałem pojęcia. Hobbes zawsze traktował mnie uczciwie. Przecież ma oczy i widzi, o co chodzi w całym tym syfie. Nigdy wcześniej nie nazywał nas czarnuchami. Cała ta blokada to jakaś lipa. Nie mogłem tego rozgryźć, ale dziś wreszcie rozgryżłem: Hobbes

chciał, żeby wybuchł bunt. To jego dzieło.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem. To dziwne, ale właśnie dziś rano Klein mówił mi, że Hobbes oszalał - nie że dostał szału, ale że naprawdę stracił rozum i należy mu się torazyna z kaftanem bezpieczeństwa na dokładkę.

Devlin przypomniała sobie nagle, co ojciec mówił jej swego czasu o Hobbesie. Poczula się nieswojo.

- Co chciał przez to powiedzieć? - spytała.

- Nie wiem - odparł Wilson - ale wygląda na to, że miał rację.

Devlin postarała się zadać kolejne pytanie najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było ją stać:

- Jak sądzisz, wyjdziemy z tego żywi?

Wilson nie zamierzał kłamać.

- Coley mówi, że strażnicy nie wiedzą, że tu jesteś.

Skinęła głowę.

- W takim razie gówno zrobią, żeby nam pomóc. Może wytrzymamy, aż moi chłopcy spróbują nas odbić, ale czuję, że sami dostali łupnia.

- Czyli uważasz, że nie mamy szans.

- Władze nie palą się do tłumienia buntów siłą. Pamiętasz Waco i inne historie. Jeśli nie zaczniesz zabijanie zakładników - a Agry jest zbyt sprytny, żeby do tego dopuścić - rebelia może potrwać choćby i tydzień, a może dłużej. Grauerholz tu wróci. Będzie miał dość czasu.

- Dlaczego chcą zabić wszystkich pacjentów?

Wilson wzruszył ramionami.

- Ty mi to powiedz - pewnie oglądasz CNN. I na dodatek jesteś swirowologiem. Wszędzie jest tak samo, prawda? Bośnia, Liban, Afryka Południowa. Rasa, religia, rodzina, plemię. Ludzie nieustannie zabijają braci. Sądzisz, że tamci nie nienawidzą chorych na AIDS? Mają więcej powodów, żeby ich nienawidzić bardziej niż innych.

Drzwi uchyliły się i do pokoju wszedł Coley

- Co słycać, Coley? - spytał Wilson.

- Na dole cisza; widocznie na coś czekają. Lopez trzyma straż.

Skurwiel, od tygodni nie wyglądał tak dobrze. - Coley spojrział na Devlin. - Grauerholz podpalił nasze pudło z prochami - rzekł z uśmiechem. - Ale i tak z pół tuzina jego czubków leży sztywnych, a może drugie tyle rzyga dalej, niż widzi.

- Co teraz? - spytała Devlin.

Coley wzruszył ramionami.

- Mają dwie drogi: drzwi albo okna oddziału Crocketta. Okna są wysoko; musieliby się wspinać i wchodzić pojedynczo. Moim zdaniem spróbują otworzyć bramę.

- Może rozegną pręty lewarkiem - zasugerował Wilson.

Coley pokręcił głową.

- Wtedy też musieliby wlazić pojedynczo. Nie, czuję, że czekają na coś innego. Więc my też zaczekamy.

Coley poczłapał w stronę drzwi do pryszniców i ambulatorium.

- Jeśli nikt nie ma nic przeciwko, idę się sztachnąć. Możliwe, że ostatni raz.

Devlin spojrziała przypadkiem na swoją teczkę, która stała na podłodze obok biurka.

- Coley - powiedziała. - Chodź no tu.

Coley spojrział pytająco na Wilsona.

Gdy się zbliżył, Devlin wstała.

- Siadaj.

Coley opadł ciężko na krzesło.

- Co znowu kombinujecie, skórkowani?

- Ja nic - odparł Wilson.

Devlin otworzyła teczkę i wyjęła pismo w zielonej okładce.

- Co to jest? - zainteresował się Wilson.

Devlin popatrzyła na Coleya.

- „American Journal of Psychiatry”. Dla świrowologów to odpowiednik „Sports Illustrated”.

- Chrzanisz.

Devlin otworzyła czasopismo i położyła je przed Coleyem.

- To dlatego wróciłam - powiedziała.

Coley przez chwilę przyglądał się w milczeniu stronie tytułowej. Wreszcie uniósł głowę i spojrzał na Devlin.

Mięśnie wokół jego oczu zaczęły drżeć.

Devlin poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Przełknęła ślinę. Nie odrywając od niej wzroku, Coley wyjął z kieszeni koszuli okulary w drucianej oprawie i włożył je na nos. Teraz dopiero znowu pochylił się nad czasopismem. Uniósł dłoń do czoła i wsunął palce w siwiejące włosy.

AIDS I DEPRESJA W INSTYTUCJI ZAMKNIĘTEJ.
STUDIUM PILOTAŻOWE PRZEPROWADZONE
W WIĘZIENIU STANOWYM GREEN RIVER

JULIETTE DEVLIN RAY KLEIN EARL COLEY

Wpatrywał się w tę stronicę bez słowa przez bardzo długi czas, aż w końcu jego ramiona zaczęły drżeć ze wzruszenia. Nagłym ruchem zdjął okulary i zasłonił oczy dłonią.

- Nie wiecie, skurwiele, kiedy człowiekowi potrzeba trochę ciszy i spokoju, żeby mógł sobie poczytać? - krzyknął.

Wilson spoglądał na Devlin w zdumieniu. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale potrząsnęła głową i wskazała na drzwi. Gdy wychodzili, Coley wciąż ukrywał twarz w dłoniach. Idąc za Wilsonem na korytarz, Devlin zerknęła przez ramię: Coley zasłaniał oczy lewą ręką, prawą zaś gładził stronicę czasopisma, tak czule, jakby była wyjątkowo piękna. Zaraz jednak opuścił drugą rękę i spojrzał na Devlin. Jego policzki były mokre. Patrzyli na siebie przez chwilę bez

jednego słowa czy gestu. A potem Devlin stanęła za progiem i zamknęła za sobą drzwi.

- Co to było? - spytał Wilson.

Devlin odeszła z nim nieco dalej i dopiero gdy była pewna, że panuje nad głosem, odrzekła:

- Artykuł naukowy, który napisaliśmy z Kleinem.

- I podpisany nazwiskiem Coleya?

- Tak, jako współautora.

Wilson obejrzał się przez ramię.

- Moje trafiło najwyżej do działu sportowego. Dobrze się spisalaś.

- Dzięki - odpowiedziała Devlin.

Znowu z trudem nad sobą panowała. Miała wrażenie, jakby w jeden dzień doświadczyła wrażeń normalnie rozłożonych na dziesięć lat, a były to emocje, których wcześniej nie знаła, ba, nawet ich sobie nie wyobrażała. Teraz jednak musiała stłumić je w sobie, bo inaczej rozpadłaby się na miejscu. Stanęła twarzą ku ścianie i - Bóg jeden wie gdzie - rzeczywiście odnalazła siłę, by się opanować.

Poczuła, że Wilson staje niepewnie za nią.

- On nie chciał cię urazić tym „skurwielem” i krzykami, on tylko... - zaczął i urwał.

Devlin odpowiedziała mu śmiechem.

- Doskonale wiem, co miał na myśli. I przepraszam. - Próbowała przestać się śmiać, ale zaraz złękła się, że wybuchnie płaczem. - Po prostu jestem szczęśliwa, że zobaczył tam swoje nazwisko. Zanim... - Teraz dopiero przestała się śmiać. - Zanim będzie za późno.

Przywarła do Wilsona i wtuliła twarz w jego szyję. Stał przed nią sztywno i jakby niezgrabnie. Położyła dłonie na jego ramionach i przycisnęła go do siebie jeszcze mocniej.

- Obejmij mnie.

Z wahaniem otoczył ją ramieniem. Czowała, że jego ciało twardnieje na wysokości jej brzucha i w zawirusze emocji wydało jej się, że to

jak najbardziej słuszna reakcja. Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

- Nie chciałbym cię urazić - powiedział. - Ja po prostu nad tym nie panuję.

- Nie szkodzi - odrzekła. - Cieszę się.

Wilson przełknął ślinę i zerknął przelotnie na jej wargi.

- Chodź - powiedziała.

Zaprowadziła go na górę, do tajnej kryjówki Coleya. Otworzyła drzwi w ścianie tak, jak jej pokazał. Włączyła światło. Wilson spojrział na leżący w środku materac i zawahał się.

- Jesteś pewna? - spytał.

- A kogo to będzie obchodziło, jeśli i tak przed świtem wszyscy zginiemy?

- Kleina?

Devlin spojrzała w górę, na pleśniejący sufit gabinetu, szukając właściwych słów.

- Klein jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam - powiedziała.

Wilson odwrócił głowę.

- On o tym nie wie, ale kocham go i modłę się do Boga, jeśli w ogóle istnieje, żeby Klein siedział bezpiecznie w swojej celi, póki się to wszystko nie skończy. Ale nie ma go tutaj.

Wilson znowu na nią patrzył.

- A gdyby o tym wiedział, to jestem pewna, że by zrozumiał i że chciałby, żebym to zrobiła. - Devlin umilkła i odetchnęła głęboko, wystraszona siłą własnych uczuć, gorącem, które czuła na policzkach, i emocjami w głosie. - Bo właśnie takim człowiekiem jest Klein.

W oczach Wilsona dostrzegła cień zazdrości i podejrzliwości. Omal nie położyła dłoni na jego ustach, by nic już nie mówił, ale wiedziała, że on musi powiedzieć, a ona musi tego wysłuchać.

- Zatem o to chodzi? - rzekł. - Chcesz się ruchać z czarnuchem, zanim zginiesz?

Skrzywiła się, bo zabrzmiało to gorzej, niż się spodziewała. Teraz dopiero dostrzegła okrucieństwo, którego Wilson z konieczności musiał się nauczyć, by pokonać w ringu trzydziestu trzech przeciwników. Lecz choć w tym momencie nie było potrzebne, wybaczyła mu, ponieważ wiedziała o nim wystarczająco dużo, by nie osądzać go po jednym zdaniu, a także dlatego, że to, co miała zaraz powiedzieć, było prawdą.

- Nie. Ruchałam się już z czarnuchami, jak to ująłeś.

Wilson przygryzł wargę i odwrócił się, gotów odejść.

- Kocham Raya Kleina, a ciebie nie, i to, co zrobimy, nie zmieni tego faktu - powiedziała. - Przyprowadziłam cię tutaj, bo jesteś równie dobrym człowiekiem jak on.

Wilson zatrzymał się. Devlin patrzyła na jego plecy. Po chwili ramiona boksera opadły nieco i odetchnął głęboko.

- Przepraszam - powiedział. Jeszcze raz zaczerpnął tchu i odwrócił się. - Przepraszam. Nie okazałem ci szacunku. Ani sobie. Ani moim ludziom. To wszystko.

Odwrócił się raz jeszcze i podszedł do drzwi.

- Nigdy nie będziemy inni, Reuben, tylko tacy jak tu i teraz, w tym budynku. Czy nie to ma na myśli Coley, kiedy mówi „moi ludzie”? Nie trzeba spełniać żadnych warunków. Nie trzeba nawet być chorym.

Wilson oparł się o futrynę i pochylił nieco z cichym jękiem. Devlin podbiegła i chwyciła go pod ramię.

- Nic ci nie jest?

- Nic - sapnął Wilson. - To tylko skurcz. Już przechodzi. - Wyprostował się wolno. - Może Coley ma rację także co do tego, że jestem pizdusiem.

Devlin ujęła go za rękę.

- Nie sędzę. Chodź ze mną - dodała, ciągnąc go lekko.

Zaprowadziła go do kryjówki Coleya, rozebrała i położyła na lekko zapleśniałym materacu. A potem zdjęła ubranie na jego oczach. Nigdy nie czuła czegoś podobnego. Nie było w niej ani próżności, ani nieśmiałości, ani wstydu. Nie była też napalona, jak wtedy, rankiem, z Kleinem. Odbierała seksualność tej sceny w zupełnie nowy sposób, jakby uczestniczyła w starożytnym rytuale. Patrzyła na Wilsona, który ją obserwował, i czuła się pożądana, a zarazem czczona, wielbiona, jakby reprezentowała coś więcej niż samą siebie. Uklęknęła nad jego udami, wzięła do ręki jego przyrodzenie i ścisnęła. Było twarde! Wilson jęknął, przymknął oczy i odsunął się lekko, jakby tego było dla niego za wiele. Kropla nasienia pojawiła się na samym czubku penisa i Devlin zrozumiała, że po tak długim czasie bez kobiety Wilson dojdzie błyskawicznie. Wiedziała, że nie będzie to bezpieczny seks, ale sam koncept bezpiecznego seksu wydawał jej się w tej sytuacji absurdem. Tak bardzo chciała ofiarować mu ten dar. Wolną ręką rozchyliła wargi i delikatnie - przez wzgląd na jego ranę - opuściła biodra niżej. Pierwsze centymetry wsunęły się w nią, a Wilson jęknął i wbił palce w materac.

- Spokojnie. Spokojnie - szepnął.

Znieruchomiała, czując go w sobie, czując, że sama jest coraz bardziej wilgotna. Uniosła się nieco, przytrzymując Wilsona, a potem znowu opadła, wolno i delikatnie. Wilson krzyknął cicho i wszedł w nią do końca. Złapał ją w talii obiema rękami, drążąc jeszcze dalej, a ona ścisnęła go i gdy poderwał się nagle, prawie usiadł, poczuła, że doszedł. Objęła ramionami jego głowę i przytuliła do swych piersi. Ogarnęła ją fala czułości, kiedy tak go pieściła, czując coraz to nowe spazmy jego ciała, jakby miał dochodzić w nieskończoność. Wreszcie rozluźnił się i z zamkniętymi oczami wolno opadł na plecy.

Devlin zsunęła się z niego i położyła obok, kładąc głowę na jego piersi. Zastanawiała się, o czym teraz myślał, czy był nią rozczarowany,

czy może wstydział się, że skończył tak szybko. Poczowała, że kładzie rękę na jej barkach i przyciska ją mocniej do siebie. Objął ją tak mocno i tak głęboko wbił przy tym palce, że przez krótką chwilę czuła strach. A potem, choć nie widziała jego twarzy, rozumiała, że Reuben Wilson płakał bezgłośnie i nie chciał, żeby o tym wiedziała.

Trzymała więc twarz przy jego piersi, nic nie mówiła i nie podnosiła głowy. Leżała otulona jego ramieniem i udawała, że nie wie. Zdumiewała ją tajemnica tego, co się stało, a jednocześnie doskonale rozumiała jej sens; rozumiała, ile dla nich znaczy - dla Wilsona, Coleya, Kleina - dla tych udęczonych umysłów i ciał, które znosiły najgorszy ból i strach, nie okazując ich przed sobą nawzajem, a teraz pękały tylko dlatego, że znalazła się w pobliżu. Poczucie, że reprezentuje coś więcej niż tylko siebie, stało się bardziej intensywne. Była czymś więcej niż Devlin, czymś więcej nawet niż kobietą. Była wszystkim, za czym tęsknili i czego im brakowało, wszystkim, czego pragnęli i czego nie mogli mieć. Była tym, czego potrzebowali, by w pełni czuć się mężczyznami - nie tylko po to, by ją pieprzyć, nawet gdy nie mogli tego zrobić do końca, ale także by ją chronić, nawet gdy nie mogli jej chronić do końca, być dla niej silnymi, nawet gdy byli słabi, być przed nią dumnymi, nawet gdy czuli wstyd, i wreszcie kochać, nawet gdy żyli w takiej nienawiści. A może właśnie wtedy, gdy żyli otoczeni nienawiścią, potrzebowali jej bardziej niż kiedykolwiek. Myśl o nienawiści przypomniała Devlin o Grauerholzu; rozumiała, że nawet on, w mrocznym odbiciu, fotograficznym negatywie swego zła, potrzebował jej w taki sam sposób. Przez sekundę nie nienawidziła Grauerholza za to, że chce zabić chorych - za to, co dzieliło go od nich - i już nie bała się tego, co mógł jej zrobić. Akceptowała tę okropną część swej tożsamości tak samo, jak akceptowała tę dobrą. Zabiłaby Grauerholza, gdyby tylko mogła, dla siebie i dla ludzi z oddziału, ale nie czułaby doń nienawiści i nie bałaby się go. To nagle objawienie sprawiło, że Devlin poczuła, że nareszcie,

po raz pierwszy, zaczyna rozumieć mężczyzn, że pojęła coś, czego nie da się oszacować naukowymi metodami, jak czyniła to wcześniej, coś czego nie da się ani opowiedzieć, ani zapisać. Wiązało się to z tym, że oni byli sobą, a ona sobą, i że każdy mógł dostrzec siebie w pełni, w prawdziwej postaci - i tyle. To wystarczyło, by zamknąć dzielącą ich przepaść, przynajmniej na chwilę. Odkryła nareszcie odpowiedź na pytanie Galindeza i innych, powtarzane w nieskończoność: dlaczego postanowiła pracować w Więzieniu Stanowym Green River. Odnalazła to, po co tu przyszła: tę chwilę, której sensu nigdy nie umiałaby nikomu wyjaśnić.

- Wszystko gra? - spytał Wilson.
- Tak - odrzekła. - Jeszcze jak.
- Chyba powinniśmy już wracać.

Ubrali się pospiesznie, nie patrząc na siebie. Devlin uświadomiła sobie, że ani razu nie pocałowała Wilsona. Postanowiła jednak, że nie będzie się tym przejmować. Gdy przestępując nad legarami, szli w stronę drzwiczek w ścianie, zauważyła spojrzenie Wilsona i uśmiechnęła się do niego figlarnie. Wilson pokręcił głową i odpowiedział tym samym.

- Coley mówił, że jesteś twardym skurwielem, a ja mu nie wierzyłem.
- Mówił też, że jesteś dupkiem - przypomniała Devlin.
- Wychodzi na to, że bystry z niego facet. Dzięki, Devlin.
- To ja dziękuję.

Wilson spoglądał na nią tak długo, aż nabrał pewności, że mówiła szczerze. Skinął głową i niezdarnie precyzyjnie się przez niskie drzwi.

- Po co, u diabła, Coley zbudował tę kłitkę?

Gdy szli schodami w dół, Devlin objaśniła mu plan ucieczki, którego Coley nigdy nie miał okazji wypróbować. Zdaniem Wilsona był to niezły plan. Kiedy dotarli na parter, z oddziału Crocketta wyszedł

na korytarz Deano Baines, jeden z pacjentów z AIDS.

- Vinnie Lopez mówi, że wnoszą palnik po schodkach do holu.

Devlin otworzyła drzwi gabinetu przy sali chorych. Coley wciąż siedział przy biurku, w okularach na nosie, wpatrując się w otwarte czasopismo. Nie podniósł głowy.

- Coley - powiedziała.

Niespiesznie zaznaczył opuszką palca zdanie, które właśnie czytał, i wtedy dopiero spojrzął na Devlin.

- Zrobili dwie - dwie! - literówki na trzeciej stronie! Co to ma, kurwa, być za standard? Jebani mądrale, nie widzą, jaki skarb od nas dostali?

- Grauerholz wrócił - powiedziała Devlin. - Lopez mówi, że z palnikiem.

Coley z nabożeństwem zamknął „Journal” i schował do szuflady biurka.

- Zaraz się nim zajmiemy - odparł, wstając. - Żaden pieprzony czubek nie będzie mi tu włożył, póki nie skończę czytania.

W tym momencie wzrok Coleya spoczął na rozporoku Devlin i natychmiast przeniósł się wyżej, ku jej oczom. Poczula, że się rumieni w niekontrolowany sposób. Coley spojrzął z kolei - dość pochmurnie - na Wilsona i zdjął okulary. Devlin sięgnęła ręką i wyczuła, że nie zapięła trzech guzików rozporoka. Gdy naprawiała błąd, Coley minął ją bez słowa i zniknął na korytarzu. Lekko oszołomiona, spojrzała na Wilsona, po czym ruszyła za Coleyem. Minęli wewnętrzne, drewniane drzwi, przeszli nad zwiniętym węzem strażackim i zatrzymali się przed stalową bramą. Coley odsunął klapę wizjera i pochylił się, żeby wyjrzeć.

- Kurwa mać - powiedział, prostując się po chwili.

Devlin schyliła się przed wizjerem. Na drugim końcu korytarza, za stalową kratą, Grauerholz przyglądał się, jak dwaj z jego ludzi podjeżdżają wózkiem z dwiema butlami z gazem. Trzeci niósł palnik

z podwójnym węzem umocowanym do głowic zbiorników. Grauerholz zmrużył prawe oko, spoglądając w stronę Devlin. Lewe nadal miał zaklejone.

- To ty, Coley? - zawołał i uśmiechnął się promiennie. - Najpierw utniemy te pręty, a potem twoje tłuste, czarne jaja.

Devlin zamknęła wizjer. Coley właśnie otwierał zamek stalowych drzwi. Wilson stanął przy zaworze, do którego podpięty był wąż strażacki.

- Białaski znowu wpadły na kąpiel - powiedział Coley. - Gotowi?

Unikając jego wzroku, Devlin podniosła z podłogi końcówkę węża. Zaciśnęła dłoń na stalowym uchwycie służącym do sterowania strumieniem, a sam wąż przycisnęła mocno do biodra. Bardziej niepokoiło ją to, co myślał o niej teraz Coley, niż bliskość Grauerholza.

- Hej - odezwał się Coley.

Spojrzała na niego najdzielniej, jak umiała.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - powiedział. - Jestem staroświecki.

- Dobra - odrzekła.

- Dobra.

Coley otworzył drzwi i odsunął się. Przy kracie jeden z ludzi Grauerholza uruchomił zapalarkę, a drugi zbliżał do niej końcówkę palnika. W pierwszej chwili buchnął wielki, żółty płomień, ale operator szybko zmienił go w błękitnawy, ryczący głośno stożek długości jakichś ośmiu centymetrów. Włożył gogle na oczy i przykucnął obok zamka. Grauerholz popatrzył na wąż, który niosła Devlin. Wcisnął twarz między pręty i uśmiechnął się. Devlin poczuła się niepewnie.

- Dawaj! - krzyknęła do Wilsona.

Wilson odkręcił zawór. Przez chwilę nic się nie działo, a potem niewielkie zgrubienie zaczęło przemieszczać się leniwie wzdłuż

węza, który ledwie kilka godzin wcześniej przeżył się jak dzikie zwierzę. Zgrubienie dotarło wreszcie do końcówki, którą trzymała Devlin. Otworzyła zawór, ale woda trysnęła zeń anemicznie na niecałe dwa metry w górę i z chlupotem opadła na ziemię kawałek przed bramą.

- Niespodzianka, dupojeby! - wrzasnął Grauerholz, szarpiąc pręty bramy.

- Cholera - mruknął Coley.

- Otwarty na maksa! - zawołał Wilson. - Dalej się nie da.

Strumień marniał w oczach i po chwili woda już tylko kapała pod stopy Devlin, tworząc małą kałużę.

- Musieli zakręcić zawór główny, poza budynkiem - rzekł Coley, gdy Devlin spojrzała na niego pytająco.

W korytarzu czuć już było woń topiącej się stali.

- Wracaj - zarządził Coley.

Devlin pociągnęła wąż strażacki z powrotem za stalowe drzwi. Coley podążył za nią, zatrzasnął ciężkie skrzydło i zamknął na klucz.

- No to mamy przesrane - powiedział. - W dziesięć minut sforują kratę, kolejnych dwudziestu pięciu potrzebują na te drzwi.

- Lepiej zacznijmy się barykadować - wtrącił Wilson. - Tam, po drugiej stronie - dodał, wskazując kciukiem na drewniane drzwi, przy których stał.

- Nie - odrzekła Devlin. - Mam lepszy pomysł.

Coley spojrzał na Wilsona.

- Kiedy ta pani mówi, że ma pomysł - powiedział - to lepiej słuchaj uważnie.

- Żaba - odparł Wilson - ja to już dobrze wiem.

Obaj spojrzeli na Devlin.

- Ile mamy butli z tlenem? - spytała.

Żaba Coley uniósł brew i w zadumie pokiwał głową.

- A niech mnie - mruknął. - Ile tylko zechcesz, Devlin.

ROZDZIAŁ 27

Zasadzka Bloodsów była cicha jak choroba: niczym cienie wychylnęli zza szopy i z ciemności na przeciwnym krańcu podziemnego składowiska. Nadciągali w dwóch grupach po pięciu czy sześciu ludzi, mrocznych stadach, cieniach wśród cieni, ruchliwych, zbitych i nieprzeniknionych we wszechobecnej ciemności. Gdy zbliżyli się na pięć metrów, Galindez podniósł z palety cegłę i cisnął ją łukiem ponad głowy najbliższej grupy. Zaraz po głuchym łupnięciu rozległ się jęk, a jedna z postaci zachwiała się i padła na kolana. Klein błysnął latarką to na jedną, to na drugą grupę, oświetlając czarne, nienawistne twarze ludzi, których bez litości zdeptano i potraktowano ogniem i którzy teraz spragnieni byli zemsty na wszystkim, co żyje i ma jasną skórę. Dezorientacja granicząca z paniką zaćmiła jego umysł. Wyszarpnął rewolwer z kieszeni i uniósł do światła.

- Nikt nie musi zginąć! - krzyknął. Echo spotęgowało jego głos; zabrzmiał znacznie groźniej niż zwykle.

- On ma gnata!

Grupy wyraźnie zwolniły i rozdzieliły się, ale wciąż się zbliżały. Klein musiał teraz albo strzelić, albo się poddać, a strzelać zdecydowanie nie chciał. Pięć małych kul przeciwko dziesięciu wielkim facetom. Wtedy nie byłoby już litości ani szans na zachowanie status quo. Kości zostałyby rzucone i jedynie zakrwawieni zwycięzcy zeszliby z pomostu żywi. Gdy jego palec zaciskał się już na spuście, Klein poczuł dłoń na swoim ramieniu.

- Do Rzeki - powiedział Abbott.

Jego ręka pociągnęła Kleina za sobą, odwróciła go i popchnęła w stronę stopni na samym skraju betonowego pomostu. Szedł bokiem, oglądając się za siebie. W ślad za nim Abbott wysłał Galindeza. Wcześniej krył się za mocnym blaskiem latarki; teraz jego sylwetka górowała nad nimi w całej swej potędze; z czapką naciągniętą ekscentrycznie na wielką czaszkę wyglądał jak król żebraków ze średniowiecznej hulanki. Bloodsi ujrzeni go po raz pierwszy i zatrzymali się niepewnie, otaczając go półkolem.

- Jezu Chryste.

- O kurwa.

Abbott pochylił się i podniósł z palety młotek do łupania cegieł. Zraz potem zadarł w górę obie ręce, dzierżąc po młotku w każdej dłoni.

- Ostrzegam was: Rzeka należy do mnie.

Jego głos odbił się kilka razy o pokryte szlamem, lśniące ściany tunelu, niczym wściekły ryk jakiegoś pogańskiego bóstwa.

Bloodsi wciąż się wahali, niepewni, czy powinni rzucić się na niego, czy może wycofać. Klein schodził po stopniach, wciąż oświetlając ich twarze. Brudna, letnia woda chlupotała już wokół jego kostek. Wyczuł stopą kolejny schodek, potem następny, aż stanął na dnie podziemnego kanału ściekowego. Ruszył w głąb tunelu, brodząc po kolana w cuchnącej cieczy. Galindez był w połowie wysokości schodów, gdy do uszu Kleina dotarły stłumione głosy czarnych. Jeden z nich rzucił się do ataku, nisko pochylony. Błysnęła stal. Ramię Abbotta zatoczyło krótki łuk i upiorny trzask rozbrzmiał w ciemności. Napastnik nie zdążył nawet jęknąć, nim wylądował na kamieniach.

- Rzeka należy do mnie.

Głos Abbotta, który brzmiał teraz jak grzmot, sprawił, że włosy na karku Kleina stanęły dęba. Półkole przeciwników cofnęło się o krok, z cichym pomrukiem. Galindez minął Kleina i zagłębił się w

tunel. Klein ruszył za nim, tyłem. Jeszcze raz uniósł broń, licząc na to, że Bloodsi ją widzą.

- Henry!

Abbott wolno opuścił ramiona. Wydawało się, że strasznie długo mierzył przeciwników wzrokiem. I nagle - a może tak się tylko wydawało, bo półkole Bloodsów zareagowało błyskawicznym odskokiem - Abbott oddalił się w stronę bezładnej kupy materiałów budowlanych. Zatrzymał się przy niej i wsunął za pasek trzonki młotków.

Żaden z czarnych się nie poruszył; patrzyli na niego jak zahipnotyzowani, podobnie jak Klein.

- Henry!

Abbott schylił się po worek cementu i ułożył go na swym lewym barku z taką samą łatwością, z jaką wcześniej włożył na głowę czapkę. Klein już nie wątpił: Abbott ostatecznie postradał zmysły.

- Henry, rusz dupę!

Abbott bez pośpiechu odwrócił się plecami do bandziorów i poczłapał w stronę pomostu, bez trudu utrzymując wielki worek na ramieniu. Nikt nie ruszył za nim. Zszedł po stopniach do wody. Na jego obliczu nie było ani śladu strachu, a w oczach, jak się wydawało Kleinowi, płonęło nieziemskie światło.

- Za mną - rzekł lakonicznie Abbott.

Gdy zagłębiał się w tunel, woda była dla jego goleni nic nieznańczącym przeciwnikiem. Klein obejrzał się jeszcze w stronę placu. Bloodsi właśnie dochodzili do pomostu.

- Jeszcze dopadniemy twoją białą dupę, skurwielu!

Krąg jaskrawego światła, przeraźliwie jasnego po tylu minutach w ciemności, oślepił Kleina. Cegła trafiła go prosto w pierś; jęknął, zachwiał się i poczuł, że śliski grunt wymyka mu się spod nóg. Wychylił się daleko poza punkt równowagi i zdążył tylko mruknąć „szlag”, zanim cuchnąca woda otoczyła go ze wszystkich stron i

zalała twarz. W jego umyśle pojawiła się cała seria gorączkowych myśli. Zamknij, kurwa, usta. Nie oddychaj. Nie przetykaj. Odwrócił się pod wodą, szukając rękami i nogami zdradliwego dna kanału. Nie otwieraj ust. Nie oddychaj. Czyjeś ręce chwyciły go pod ramiona i pociągnęły w górę, do pionu. Gdy tylko poczuł powietrze wokół twarzy, zwymiotował prawie na sucho, śliną i sokami trawiennymi. Światło drżało na powierzchni zmałowanej wody: poruszał się. Te same ręce niosły go naprzód. Poruszył nogami, wyczuł dno i zaczął iść, wciąż w asyście. Strząsnął wodę z oczu. Wyobraził sobie ten koktajl śmiertelnie niebezpiecznych mikroorganizmów, które już zaczynały ucztować na jego spojówkach. Grube strąki zlepionych fekaliami włosów kleiły się do jego twarzy. Odetchnął głębiej.

- Nic mi nie jest - wysapał.

Odepchnął podtrzymujące go ręce i o własnych siłach ruszył przed siebie. Wciąż ścisnął w lewej dłoni latarkę, a w prawej rewolwer. Nie otworzył ust w skażonej gównem wodzie; strach przed tym był silniejszy od strachu przed śmiercią. Zatrzymał się po chwili i odwrócił. Zdążyli pokonać może sześć metrów tunelu. Abbott i Galindez spojrzeli na niego - Galindez z troską, a Abbott jakby z głębokim spokojem. Co się z nim, kurwa, dzieje, pomyślał Klein. I zaraz poczuł się jak dupek, co przynajmniej było jakimś dalekim nawiązaniem do normalności. Wepchnął pistolet z powrotem do kieszeni i odgarnął włosy z twarzy. Uspokoił oddech i wyprostował się, mając nadzieję, że wyrazi tym sposobem coś na kształt godności.

- Za mną - powiedział.

Ruszyli. Tu i tam mijali ślepe wnęki w murze kanału, w których wisały martwe żarówki zabezpieczone drucianymi koszami. Na ich widok Klein pomyślał o Dennisie Terry; miał nadzieję, że stary zrobił postępy w swej misji do bloku C - oby większe niż oni w swojej. Usłyszał nagle, że idący za nim Abbott zaczyna nucić jakąś ponurą

pieśń. Melodia, zdecydowanie religijnej natury, wydała mu się znajoma. Hymn? Klein rozpoznawał dźwięki, ale nie umiał ich zidentyfikować. W końcu przypomniał mu się fragment tekstu: „I stopy te w pradawnym czasie...” Pasował do melodii, lecz Klein nie mógł sobie przypomnieć ani słowa więcej. Zastanawiał się, jak daleko niesie się dźwięk w tych tunelach, ale nie poprosił Abbotta, by umilkł. Brnąc dalej, rozważał przemianę, która zaszła w Henrym w ciągu ostatnich kilku godzin. Ludzie cierpiący na schizofrenię często popadali w ostrą psychozę, gdy znajdowali się pod presją. Nawet mowa Abbotta była teraz inna, bardziej płynna, w pewien sposób może nawet bardziej sensowna. Klein nie umiał ocenić, co uchodziło za logikę w alternatywnym wszechświecie Abbotta, którym rządziło Słowo. Pomyślał nagle, że być może to właśnie Słowo kieruje teraz Henrym - i przeszył go zimny dreszcz.

Obejrzał się przez ramię. Abbott wciąż nucił swoją pieśń, a młotki kołysały się u jego boków. Klein przypomniał sobie z lekkim strachem, że Henry nucił hymn także wtedy, gdy go znaleziono, gdy patrzył, jak płoną ciała jego najbliższych. Klein nie wątpił, że Abbott darzy go przyjaźnią i szacunkiem - i cenił je sobie. Lecz z drugiej strony, jak przypuszczał, podobnymi uczuciami darzył swoją rodzinę. Gdy dotarli do skrzyżowania tuneli, z pewną ulgą pozwolił Abbottowi znowu stanąć na czele pochodu.

Ponad ich głowami spotykały się dwa półokrągłe sklepienia. Wody tunelu, którym przyszli, łączyły się tu z nurtem płynącym prostopadle. Nowy tunel miał o ponad pół metra większą średnicę, a ścieki płynęły nim jakby szybciej. Nieco dalej, za skrzyżowaniem, tunel, w którym się znajdowali, znowu łączył się z poprzecznym, którego nurt poruszał się z lewej ku prawej stronie. Klein miał nadzieję, że nie będą musieli wędrować pod prąd.

- Którędy? - spytał.
- Na zachód - odparł Abbott.

- Wiesz, zostawiłem w celi kompas - rzekł Klein. - Odróżniam tylko górę i dół.

- W dół.

- Posłuchajcie - wtrącił Galindez.

Klein nadstawił uszu. Z tunelu za ich plecami dochodziły dalekie głosy i chłopot wody pod nogami. Nie był specjalnie zdziwiony. To byli młodzi Bloodsi, nieustraszeni weterani wojen gangów ulicznych w Deep Elem i San Antonio, gdzie brutalna zasada „życie za życie” przestrzegana była tak ściśle jak prawa matematyki i gdzie honor ceniono wyżej niż życie. Tacy jak oni nie mogli puścić trzem białasom płazem takiego upokorzenia, jakiego doświadczyli.

- Prowadź - rzekł krótko.

Abbott wkroczył w nurt nowego kanału. Klein skrzywił się, kiedy zobaczył, że woda sięga mu do połowy ud. Opierając się o ścianę, skoczył za nim. Wylądował po pas w wodzie, ale utrzymał równowagę. Galindez podążył jego śladem. Jakiś ciemny przedmiot zegłował w stronę Kleina, który odruchowo wciągnął brzuch, by go nie dotknąć. W duchu zganił się za tę lękliwość. Był lekarzem, do cholery, takie rzeczy nie powinny go ruszać. Wypchnął ze świadomości myśl o mikrobach, które właśnie zażywały kąpieli w okolicy jego genitaliów.

- Mamy szanse trzy do jednego, że nie trafią za nami - odezwał się Galindez.

- Nie - odparł Abbott. - Pójdą za nurtem Rzeki, bo muszą.

Klein wiedział, że to prawda. Wędrówka z biegiem rzeki była czymś naturalnym. Abbott poprowadził ich dalej.

Wzdłuż jednej ze ścian tego tunelu biegł gzyms szeroki może na piętnaście centymetrów, wystający ponad poziom wody. Tu i ówdzie widać było biegające po nim szczury. W przeciwieństwie do bakterii, których Klein nie widział, ale umiał sobie wyobrazić, szczury nie

stanowiły dla niego problemu - w końcu był twardzielem. Nawet go to cieszyło. Wydawało mu się, że wędrują szerokim kanałem dłużej, niż wędrowali poprzednim, ale tak naprawdę stracił poczucie czasu i przestrzeni. Mijali kolejne skrzyżowania, a woda z poprzecznych tuneli wzmacniała nurt, w którym się znajdowali. Było coraz głębiej, a nurt z coraz większą siłą napierał na ich plecy. Może Abbott prze-gapił właściwy zakręt i tunel skończy się zaraz w wodach Zatoki Meksykańskiej? Odległość nie była już pewnie zbyt wielka. Nawet spodobała mu się ta myśl: przykro mi, Devlin, przepraszam, chłopaki, ale płynę do Nowego Orleanu. Veracruz. Rio. Marsz stał się naprawdę trudny i Klein dyszał ciężko. Pot lał się z niego strumieniami, a wraz z nim ściekały mu do oczu zanieczyszczenia, które ucze-piły się jego włosów. Abbottowi, który szedł przed nim, woda sięga-ła jedynie do pasa i może dlatego szybko powiększał dystans. Chwi-lami Klein tracił go z oczu i gdy szukał jego cienia, ostrożnie niosąc latarkę ponad wodą, myślał z lękiem, że może Słowo nakazało Hen-ry'emu porzucić towarzyszy albo zwyczajnie o nich zapomniał i zo-stawił Bóg wie ile metrów pod ziemią, po szyję w gównie i z bandą Bloodsów na karku. Na zachód, na miłość boską. Klaustrofobia do-kuczała mu coraz bardziej. Spojrzał za siebie. Spocona i brudna twarz Galindeza majaczyła w mroku może metr za jego plecami. Klaustrofobiczne uczucie minęło. Cóż, pomyślał, przyjdzie mi umrzeć samotnie. Woda sięgała do połowy piersi Kleina, a jej nurt już z każdym krokiem nabierał mocy, grożąc mu kolejnym upadkiem i przymusowym nurkowaniem. Klein wiedział, że tym razem nie wstrzymałby oddechu i połknąłby trujące ścieki; był zbyt zdyszany, by tego uniknąć. Gdzieś za jego plecami rozległo się wołanie i gło-sny plusk, a potem cała seria plusków i jeszcze kilka ludzkich gło-sów, wykrzykujących przekleństwa. Znowu zapadła cisza, ale Klein już wiedział: Bloodsi ich doganiali. Omiótł tunel przed sobą snopem światła.

Abbott zniknął.

Spokojnie, pomyślał. Idź przed siebie. Jesteś twardy. Masz swoją dumę. Nie bądź tchórzem. Twój ojciec obchodził dwudzieste urodziny z Pierwszą Dywizją Piechoty Morskiej na Guadalcanal, czekając z piętnastoma centymetrami japońskiej stali w brzuchu, aż wyniosą go pod ostrzałem. Nie bądź tchórzem. Lecz ojciec w końcu zmarł, bo palił dwie paczki pall malli dziennie, na długo przed tym, jak Klein został skazany. Może więc przynoszę wstyd jego pamięci? Ojciec przez trzy miesiące walczył w dżungli, a ja ledwie od trzech godzin łączę po zaciemnionym więzieniu. Tchórzostwo, Klein. Lecz jeśli nawet tak było, to miał nadzieję, że ktoś gdzieś dostrzeże różnicę. Może nawet ojciec, gdziekolwiek był. Klein nadal nie widział Abbotta, ale jakby mniej go to przerażało.

Po prawej otworzył się przed nimi nowy tunel. Zbliżając się do niego, Klein usłyszał pomruki Abbotta. Henry stał u ujścia bocznego kanału, średnicą zbliżonego do pierwszego, o poziomie wody niższym o ponad metr, łączącego się z głównym tunelem pod kątem ostrym. Klein podał Abbottowi latarkę i odnalazł pod wodą brzeg. Podparł się rękami i dźwignął wyżej. Jego palce zagłębiały się w czymś miękkim, więc gdy tylko przyklęknął, opłukał dłonie w nurcie wody. Galindez dołączył do niego.

Klein odebrał latarkę i ruszyli dalej, tym razem pod prąd. Woda w tunelu, którym prowadził ich teraz Abbott, miała najwyżej piętnaście centymetrów głębokości i mogli poruszać się trzy razy szybciej niż poprzednio. Minusem było natomiast to, że robili znacznie więcej hałasu, a pusty tunel doskonale wzmacniał echo ich kroków.

- Wciąż są za nami - stwierdził po paru chwilach Galindez.

Abbott zatrzymał się. Latarka Kleina wyłuskała z ciemności ciemną plamę: dziurę w ścianie, o średnicy ponad metra.

Abbott zrzucił z ramienia worek z cementem i postawił na krawędzi otworu.

- To tu - rzekł Abbott. - Tutaj kończy się Rzeka.

Klein skierował latarkę ku dziurze, w głąb ostatniego tunelu, który wznosił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jego ściany były gładkie, a w najniższej części pokryte brązowym szlamem. Latarka nie miała wystarczającej mocy, by dało się dostrzec jego koniec.

- Chyba żartujesz - powiedział Klein.

- Tym kanałem dojdziecie do wjazdu w piwnicy infirmerii. Ma dziewięćdziesiąt stóp długości.

- To jest, kurwa, trzydzieści metrów!

- Niecałe - odparł Abbott.

Jeżeli wcześniej Klein miał kłopoty z klaustrofobią, to brakowało mu słów na to, co czuł teraz.

- Kurwa, jest za stromy i pokryty szlamem. To się nigdy nie uda.

- A jednak musicie spróbować. Ten tunel kończy się na zewnętrznym murze.

Abbott skinął dłonią ku ciemności, którą mieli przed sobą. Klein skierował tam światło latarki i dostrzegł w oddali grube, stalowe pręty osadzone w granitowej ścianie. Przepływała przez nie woda. Mogli jedynie cofnąć się ku nadciągającym Bloodsom albo spróbować wspinaczki.

Chłopot wody dochodzący zza ich pleców stał się głośniejszy. Abbott wyjął zza paska młotek i kilkoma uderzeniami zaostzonego końca rozpruł worek z cementem na pół, a obie połówki przerzucił ostrożnie - otwartą stroną ku górze - mniej więcej metr w głąb stromego kanału. Chwył Kleina za ramię i zbliżył twarz do jego twarzy.

Jeśli nie liczyć kochanek, Klein nigdy nie oglądał niczyich oczu z takiej odległości. Zawsze tak mętne, pozostawały puste, tępe i bez

wyrazu, bez względu na to, jak wyteżał wyobraźnię, by coś w nich dostrzec. Lecz teraz, w blasku latarki, oczy Abbotta ożyły niezwykle, przenikliwą inteligencją, niezgłębioną, wieczną mocą, nieznającą strachu, wykraczającą poza dobro i zło. Dreszcz przeszył Kleina od stóp do głów. Jego usta były zbyt suche, by mógł przełknąć ślinę.

Abbott stał się Słowem.

A Klein spoglądał w oczy Boga.

Przedreligijne bóstwo, władca wielkiego wszechświata komórek i molekuł, instynktów i impulsów ludzkiego mózgu zamkniętego w tym potężnym ciele, nareszcie zamknął przepaść dzielącą człowieka od Boga. I tak Abbott stał się Słowem.

- Posłuchaj - rzekło Słowo. - Pójdziecie tym tunelem w górę. Użyjcie pyłu cementowego, żeby zwiększyć przyczepność. Popęlnicie w górę i zrobicie to, po co tu przyszliście. Podobnie jak ja zrobię to, po co tu przyszedłem. Słyszysz?

Klein nie mógł odpowiedzieć. Skinął głową. Abbott puścił go i spojrzał na Galindeza, który przyglądał się otworowi w ścianie.

- Jestem drobniejszy - stwierdził sierżant. - Pójdę pierwszy.

Głosy zbliżających się gangsterów były coraz głośniejsze, a w ciemności po raz pierwszy rozbłysła ich latarka. Galindez wszedł do wylotu tunelu, przepchnął głębiej połówkę worka z cementem i popęzł za nią. Klein znowu spojrzał na Abbotta i nagle potężne emocje ścisnęły jego pierś.

- Zatem... nie idziesz z nami - powiedział.

- Ich jest wielu, a ja sam. Ale Rzeka jest moja.

- Będzie mi ciebie brakowało, do diabła.

- Klein - rzekł Abbott.

Po raz pierwszy nazwał go inaczej niż „Doktorem”.

- Żaden człowiek nie kochał mnie nigdy tak jak ty - ciągnął Abbott.

Klein chciał odwrócić głowę, ale spojrzenie ognistych oczu nie pozwoliło mu się poruszyć.

- Żaden człowiek nie miał nigdy większego przyjaciela. Przyszedeś do mnie, kiedy byłem na dnie, i zostałeś. Uleczyłeś mnie.

Klein poczuł, że palce Abbotta zaciskają się na jego dłoni. Nie mógł mówić. Odwzajemnił uścisk; trzymał tak mocno, jakby chciał utrzymać na zawsze.

- Zawsze o tym pamiętaj - dodał Abbott.

Krtań Kleina wciąż była ściśnięta.

- Zawsze - powtórzył.

Abbott uśmiechnął się, a Klein uświadomił sobie, że to był kolejny pierwszy raz: jeszcze nigdy nie widział uśmiechu na tej kamiennej twarzy. Czuł się tak, jakby jego serce miało się zaraz rozpaść na kawałki. Abbott skinął głową, jak gdyby wiedział, co się dzieje w piersi Kleina.

- A teraz idź - rzekł.

W głębi tunelu rozległy się triumfalne okrzyki i rozedrgane światło spoczęło na twarzy Abbotta. Coś świsnęło w powietrzu i huknęło głucho, a powieki Abbotta opadły na moment. Klein pochylił głowę i zobaczył, że z piersi Henry'ego sterczy drżąca rękojeść noża. Abbott także pochylił głowę. Spokojnie wyciągnął nóż i upuścił go w wodę. Wyciągnął zza paska drugi młotek i stanął pośrodku tunelu. Odwrócił się i Klein po raz ostatni spojrział w oczy Boga. Abbott skinął głową, a Klein odpowiedział tym samym. Potem wsunął latarkę za pasek i wpełzł do bocznego kanału.

Kiedy pokonywał pierwszy metr, przypomniało mu się pytanie, które sam sobie kiedyś zadał: jaki to grzmot apokalipsy rozlegnie się w piersi Abbotta, gdy kiedyś stanie się Bogiem? Z tunelu dobiegł chór okrzyków i niezrozumiałych, drwiących głosów. Bloodsi przybyli, by odebrać dług. Klein zwalczył w sobie impuls, który nakazywał mu wrócić. Musiał iść dalej. Do infirmerii. Do Devlin i do Coleya.

I wtedy usłyszał nowy dźwięk, potężny i wzbudzający echo, który zatrzęsł cegłami, po których pełził.

- Jeden!

Zaraz potem rozległo się głośnie łupnięcie i okrzyk bólu. Klein drgnął, popchnął wyżej worek z cementem i popelził w górę. Galindez nie próżnował; rozrzucony przez niego pył pokrył cegły cienką warstwą i na dnie kanału zostawił szlak zagęszczonego, grudkowatego szlamu. Klein próbował znaleźć najskuteczniejszą metodę poruszania się. Nachylenie było spore i sam ciężar ciała spoczywającego na dłoniach i kolanach nie wystarczał, by się utrzymać. Był o dobre dwadzieścia kilogramów cięższy od Galindeza, a Galindez wyprzedził go już o dwanaście metrów. Latarka za paskiem wbijała się boleśnie w krocze i żebra Kleina. Obrócił się i spoczął na plecach. Ugiął nogi i odepchnął się, przesuając grzbiet i pośladki po dnie kanału. Pięty zbyt łatwo wpadały w poślizg. Klein uniosł głowę i spojrzął w dół: pokonał najwyżej sześć metrów. Przeklął w duchu murarzy, którzy tak perfekcyjnie układali cegły.

- Dwa! - zagrzemiał w dole Abbott.

Kolejny dziki wrzask zawibrował pod czaszką Kleina. Patent z cementem nie działał. Klein oparł podeszwy adidasów oraz dłonie o boczne, suche ściany tunelu i odepchnął się. Jego pośladki przesunęły się po szlamie o piętnaście centymetrów w górę. Powtórzył ruch. Piętnaście centymetrów. Odpychał się i ślizgał bez końca.

- Trzy!

Klein poczuł pod kręgosłupem nierówność: pieprzona torba z cementem utkwiała pod nim. Odepchnął się raz jeszcze i usiadł na worku. Kolejny ruch. Worek znalazł się pod jego udami. Przypomniało mu się że wspinacze używają talku. Sięgnął do worka, nabrał cementu i roztarł go w dłoniach, by je osuszyć z błota i potu. Nabrał kolejną garść i wysypał ją sobie na piersi. Z dołu dobiegły głośnie

wrzaski i odgłosy gwałtownej wymiany ciosów, a potem głośny plusk i chóralny okrzyk triumfu.

Klein zrozumiał, że powalili Abbotta.

Oczami wyobraźni widział, jak atakują Bloodsi: dziesięciu na jednego, dzikim rojem. I jak dziurawią ciało Abbotta śrubokrętami i nożami. Z dołu dobiegło teraz sapanie i szuranie, a odgłosy walki stały się jakby zgłuszone.

Ktoś pełzył za nim wąskim tunelem.

W pierwszej chwili Klein pomyślał, że mógłby nasrać mu na twarz. Nie byłoby to trudne. Ciężar jego ciała spoczywał na plecach, zaklinowany po bokach dłońmi i stopami opartymi o boczne ściany. Uwolnił jedną rękę i sięgnął po latarkę. Sekundę później krzyknął, czując ostry ból w stawie skokowym i zaraz potem następny, przezywający aż do kości. Włączył latarkę. Zobaczył u swych stóp młodą, czarną twarz, wykrzywioną w jaskrawym świetle. Chłopak miał majcher i dźgał nim nogę Kleina. Spluwa, pomyślał Klein. Odstrzelił mu ten jebany pysk. Lecz trzymał latarkę w jednej ręce, więc nie mógł uwolnić drugiej. Napastnik uniósł ramię i dźgnął po raz trzeci, ale tym razem Klein cofnął nogę. Jego pięta zahaczyła o worek z cementem. Pod wpływem impulsu końcem latarki popchnął papierową torbę niżej, obracając ją rozdarciem ku dołowi. Chłopak tymczasem otworzył oczy i mrużąc je przed światłem, szukał celu. Klein wierzgnął nogą ze wszystkich sił. Worek z cementem pomknął w dół i eksplodował chmurą szarego pyłu prosto w oczy, usta i nozdrza napastnika. Twarz zniknęła, a Klein zakaszlał gwałtownie, gdy cementowy tuman dotarł i do jego twarzy. Młody gangster wił się w panice, próbując złapać oddech. I nagle jakaś siła pociągnęła go w dół. Zjechał na brzuchu, wyjąc głośno i próbując zahaczyć o coś palcami. Wylot kanału znowu się otworzył. Jeszcze przez chwilę widać było nad jego krawędzią rękę i twarz napastnika, pokrytą pyłem, ślepą i wykrzywioną przerażeniem. Młotek zaciśnięty w wielkiej, zakrwawionej pięści uniósł się i opadł.

- Cztery!

Chłopak znieruchomiał u wylotu stromego kanału. Po chwili po jego upudrowanych cementem policzkach spłynęły czerwone strumyki, których źródłem był roztrzaskany wierzchołek czaszki.

Klein wetknął latarkę do spodni, nie wyłączając jej - przez tandę bawełnę dawała przyjemną, ciepłą poświatę - i wznowił mozolną wędrówkę ku górze. Odgłosy walki cichły z każdą chwilą, a on nabierał coraz większej wprawy. Z każdym ruchem rąk i nóg pokonywał już ponad dwadzieścia centymetrów, czyli może jakieś dziewięć cali. Jego umysł natychmiast odnalazł skojarzenie z wierszem Roberta Burnsa *Dziewięć cali zadowolili damę*. Nawet tu, w cuchnącym półmroku kanału, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Devlin będzie musiała zadowolić się czymś mniejszym, pomyślał. Zwłaszcza teraz, gdy zadał sobie tyle trudu, żeby jej to dostarczyć. Dla zabicia czasu przeliczył, jak się ma dziewięć cali do dziewięćdziesięciu stóp. Dziewięćdziesiąt razy dziewięć, do tego dziewięćdziesiąt razy pozostałe trzy cale, czyli trzydzieści razy dziewięć, razem sto dwadzieścia pchnięć. Nie mógł też nie skojarzyć wniosków z tej statystyki ze sprawą damy Robbiego Burnsa. Sto dwadzieścia zdrowych ruchów dałoby jej w sumie przyjemność obcowania z kutasem liczącym dziewięćdziesiąt stóp. Klein zachichotał cokolwiek histerycznie. Na pewno było to lepsze niż poddanie się podszytej paniką klaustrofobii, którą wyczuwał gdzieś w żołądku. Parł naprzód. A zatem tak czuje się plemnik, pomyślał, kiedy przedziera się w głąb jajowodu. A ten łajdak Galindez był już gdzieś daleko. Jeżeli to był jajowód, to więzienie było pizdą i macicą jednocześnie. Ktoś musiał dać dupy, skoro się tu znaleźli. Pomyślał o swojej byłej kochance, już nieżyjącej, i zabawna metafora nagle straciła urok. Zauważył, że jego dłonie zaczynają krwawić. Zatrzymał się i zanurzył je na chwilę w cemencie, który niósł na piersi. Nie czuł bólu, ani w rękach, ani w pokłutej

kostce i łydce. Zbyt wiele adrenaliny krążyło w jego organizmie. Wrócił do wspinaczki, czując, że koszula na jego plecach pękła i że zaczyna zostawiać na ceglach kawałki naskórka. Oddychał z coraz większym wysiłkiem. Jeżeli walka w dole jeszcze trwała, był już zbyt daleko, by usłyszeć jej odgłosy. Słyszał jedynie echo własnego sapania i rżenia, odbijające się od ścian. Czuł straszne pragnienie, a gdy tylko je sobie uświadomił, stało się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Nie pił nic, odkąd wyszedł z bloku D, a przecież od tamtej pory nieustannie się pocił. Pierwsze skurcze chwyciły w łydkach, następne w przedramionach i między żebrami. Tricepsy i mięśnie piersiowe paliły żywym ogniem z wysiłku. Zaczął robić pięciosekundowe przerwy między ruchami. Pomogło. Gdyby stracił teraz oparcie i ześliznął się w dół, nie byłby w stanie się zatrzymać. Myśl o damie, napomniał się w duchu, myśl o damie.

Wreszcie poczuł lekki podmuch na karku.

„Podmucha” było zresztą chyba zbyt mocnym słowem. Poczuł powietrze minimalnie mniej cuchnące od tego, którym oddychał. Zatrzymał się, zapał mocno i wykręcił głowę do tyłu.

- Galindez!

Kilka sekund później odpowiedział mu głuchy, zniekształcony, ale zadziwiająco donośny, a może nawet całkiem bliski głos.

- Gdzieś ty się, kurwa, szwendał, Klein? Obciążałeś Abbottowi, kiedy nie patrzyłem?

- Ty meksolska parówo! - wrzasnął Klein w nagłym, radosnym uniesieniu. - Oszczędzałem śmietanę dla ciebie!

Roześmiał się jak szalony i w tym momencie jego stopa ześliznęła się ze ściany. Poczuł, że zaczyna zjeżdżać w dół. Druga stopa nie mogła utrzymać ciężaru. Oczami wyobraźni widział już siebie z powrotem na dole, u wylotu kanału. Próbował wbijać palce w cegły, łamiąc przy tym paznokcie. I nagle ogarnął go szal.

- Kurwa! - ryknął.

Z całej siły napał barkiem i plecami na ścianę, odpychając się jedną ręką. Zwolnił i zatrzymał się niemal natychmiast. Starannie ustawił stopy, a kiedy był pewny, że nie zjedzie dalej, pozwolił sobie na kilka głębokich oddechów.

- Cały jesteś, Klein?

- Pierdol się.

Po raz ostatni natarł dłonie cementem i zaciekle zaczął się pięć ku górze. Wystarczył tuzin odepchnięć, by Klein poczuł na mokrym kołnierzu rękę Galindeza. Sięgnął rękami za krawędź otworu, podciągnął się i wyskoczył z tunelu. Przysiadł na jego krawędzi, z głową spuszczoną na piersi, oddychając szybko, z zamkniętymi oczami. Przez moment czuł skrajne wyczerpanie, ale atak minął szybko - Klein był po prostu zmęczony. Wstał po chwili i wyjął ze spodni latarkę. Znajdowali się w murowanej komorze przepustowej, której podłoga opadała ze wszystkich stron ku wąskiemu kanałowi. Ze ścian sterczały na różnych wysokościach końcówki rur kanalizacyjnych, gotowych bluznąć fekaliami, gdyby tylko ktoś na górze zechciał spuścić wodę w toalecie. W mur wpuszczono też rząd stalowych stopni wiodących ku okrągłemu włazowi.

Klein spojrział w dół, na wylot kanału, a potem na Galindeza.

- Cieszę się, że ten kawałek mamy za sobą - powiedział.

- Ja też, chociaż bywało gorzej.

- Doprawdy? - Klein uśmiechnął się mniej więcej tak szczerze, jakby chciał powiedzieć: „za kogo ty się, kurwa, uważasz?!” - Jak to możliwe, że każdy, kogo spotykam w tym pieprzonym pudle, zawsze ma gorzej niż ja? Wszyscy, kurwa, co do jednego! To jest najgorszy dzień w całym moim jebanym życiu. Nikt, kogo znałem w całym świecie, nie przeżył nigdy czegoś podobnego. Ale nie, ja oczywiście muszę skończyć w jakimś podziemnym kiblu z facetem - co mówię, z pieprzonym klawiszem! - któremu oczywiście bywało gorzej.

Niech mnie szlag, jeśli nie czuję się przez to jak ostatni dupek.

O dziwo, poczuł się po tej przemowie o wiele, wiele lepiej. Znowu się uśmiechnął.

- Przykro mi, że tak się czujesz - odparł Galindez. - A co z Crawfordem i Bialmannem? Im chyba nie jest za ciężko.

- Bialmann nie żyje, a Crawford, jeśli przeżyje, straci nogę.

- Hmm... Nikt inny nie przychodzi mi do głowy. Wychodzi na to, że jednak jesteś największym szczęściarzem w całym pudle. Na dodatek dali ci warunkowe.

- Fakt - przypomniał sobie Klein. - Dali mi warunkowe.

Poświecił latarką na stalowe szczeble.

- Idź pierwszy - powiedział.

Galindez zaczął się wspinać w stronę wjazdu. U szczytu uniósł żelazną pokrywę i zobaczyli nad sobą ciemność. Wypełzył w nią i zniknął. Klein ostatni raz spojrzął na wylot kanału i pomodlił się szybko za Abbotta. Potem wdrapał się na górę i wystawił głowę z wjazdu. Po raz pierwszy pozwolił sobie na myśl, że jednak się udało.

Nareszcie dotarli do infirmerii.

ROZDZIAŁ 28

Reuben Wilson odsunął się od wizjera w stalowych drzwiach i zawołał przez ramię do Devlin:

- Przeszli przez kratę.

Devlin właśnie wytaczała butlę z tlenem zza drewnianych drzwi. Kiedy manewrowała nią w korytarzu, zerknęła w stronę stalowej płyty i dostrzegła w wizjerze roześmianą, jednooką twarz.

- Uważaj! - krzyknęła.

Struga żrącego płynu trysnęła przez otwór. Wilson miał wystarczająco szybki refleks, by ocalić oczy, ale nie zdążył osłonić twarzy i szyi. Z trzaskiem zamknął wizjer, tuż przed nosem chichocącego Grauerholza.

- Niech to szlag - powiedział, rozglądając się za czymś, czym mógłby otrzeć twarz.

- Biegnij obficie spłukać to wodą, i to już - poradziła mu Devlin. - Do ambulatorium.

Wilson minął ją w pośpiechu, czując narastający ból. Devlin ustawiła stalowy cylinder butli na podłodze, niedaleko pancernych drzwi. Niemal w tej samej chwili ujrzała szaro-błękitną plamkę na metalowej płycie, kilka centymetrów od zamka. Grauerholz i jego ludzie uporali się z kratą, a teraz zabierali się do cięcia tych drzwi, ostatniej trudnej przeszkody, która dzieliła ich od chorych i personelu więziennego szpitala. Dalej były już tylko drewniane drzwi. Devlin odsunęła od siebie tę myśl. Szaro-błękitna plamka rozszerzyła

się i zbladła. Jej środek zaczął się żarzyć na czerwono, a gdy pojawił się tam czarny otworek, pierwsze krople roztopionego metalu zaczęły spływać w dół i zastygać. Devlin słyszała wyraźnie syk tlenowo-acetylenowego płomienia. Coley stanął za nią z kolejną butlą, do której był dokręcony manometr.

- Ta jest do połowy opróżniona - powiedział.

Zabrał się do odkręcania miernika, gdy nagle od strony sali chorych dobiegły brzęk tłuczonego szkła i głosy wystraszonych pacjentów. Devlin spojrzała na niego.

- Użyli tej samej belki, żeby wybić okna. Pilnują, żebyśmy mieli zajęcie na obu frontach.

Od strony oddziału dobiegł kolejny huk. Coley rzucił manometr na podłogę i postawił drugi cylindryczny pojemnik obok pierwszego. Wyjął z kieszeni klucz francuski i zacisnął go na szyjce butli z tlenem.

- Jesteś pewna, że to zadziała? - spytał.

- Zadziała - odrzekła Devlin. - Możliwe, że zabije i nas, ale zadziała. Potrzebny mi klucz do twojej szafki.

Coley odczepił go od pęku kluczy, przez sekundę spoglądał na niego tęsknie, a potem oddał Devlin. Czują już smród topionej stali. Dziura w drzwiach miała kilka centymetrów długości.

- Zaczekaj tu na mnie - powiedziała.

W drodze do ambulatorium upewniła się, czy wszystkie drzwi w korytarzu - do sali telewizyjnej, łazienek i magazynów - są szczelnie zamknięte. W samym ambulatorium zobaczyła Wilsona, który właśnie stał nad zlewem.

Z jego twarzy spływała woda, ale z kranu już nie.

- Mówiłam: obficie - powiedziała.

- Tylko zapomniałaś, że nas odcięli. W kranie zostało niewiele.

- Jak myślisz, czym cię ochlapał?

- Śmierdziało jak kwas z akumulatora. I w dotyku podobne.

Devlin odnalazła w szafce butlę z roztworem wodorowęglanu sodu

i otworzyła ją. Na policzku, szyi i ramieniu Wilsona pojawiły się bąble i zaczerwienienie. Kazała mu usiąść i zaczęła polewać roztworem poparzone miejsca, by zneutralizować kwas.

- Boli? - spytała.

Wilson wzruszył ramionami.

- Przeżyję.

Z sali chorych dobiegły kolejne brzęki i trzaski. W drzwiach ambulatorium stanął Vinnie Lopez. Jego wzrok od razu spoczął na leżących na stole skalpelach. Podeszedł bliżej i wziął jeden z nich. W jego oczach błyszczało podniecenie.

- Jak się czujesz, facet? - spytał Wilsona.

- Nieźle - odparł bokser.

Lopez uniósł skalpel wyżej.

- Wezmę tylko jeden. Na tego wielkiego skurwiela z brodą. Niech tylko wetknie jebaną mordę w to okno, kurwa, ciach i do widzenia.

- Zawsze ci mówiłem, że powinieneś mierzyć wyżej, niż ci się wydawało, Vinnie.

Lopez podciągnął spodnie nad skrajnie wychudzoną talię.

- W takim razie obaj brodaci skurwiele zdechną.

Lopez zniknął, a Devlin podeszła do zamkniętej na kłódkę szafki i otworzyła ją. Ostrożnie wyjęła wielką butlę eteru należąca do Coleya i jeszcze raz sprawdziła etykietę. $(C_2H_5)_2O$. Poniosła ją w stronę drzwi, a Wilson wstał i ruszył za nią.

- Wojna chemiczna, pani doktor?

- Jeśli wolisz, możesz w nich rzucać rolkami papieru toaletowego.

- Właściwie co to za gówno?

- Eter. Środek znieczulający, destylat kwasu siarkowego i alkoholu, o ile pamiętam.

- Będziemy ich usypiać?

- Nie. Jest bardzo lotny, paruje w kontakcie z powietrzem.

Zmieszany z czystym tlenem tworzy mieszanę wybuchową.

Devlin jeszcze raz spojrzała na butlę. Rozumiała, jak odrażającego czynu zamierza dokonać. Kiedy uczyła się na studiach o eterze, nie o takim zastosowaniu myślała.

Wilson odczytał prawdę z jej twarzy.

- Oni też mogliby w nas rzucać rolkami papieru toaletowego, gdyby chcieli. Ale nie chcą.

Devlin skinęła głową.

- Zróbmy to - powiedziała.

W korytarzu ostatnie pięć centymetrów stalowej płyty łączyło zamek ze skrzydłem drzwi.

- Zaczynaj - powiedziała Devlin do Coleya.

Coley przykucnął przy butlach z tlenem i przekręcił klucz, otwierając zawór pierwszej z nich. Głośny syk zagłuszył nawet odgłos pracy palnika. Roztopiony metal zaczął się jarzyć jakby bardziej pomarańczowo. Coley zacisnął klucz na zaworze drugiej butli.

- Drzwi otwierają się na tamtą stronę, prawda? - upewniła się Devlin.

- Prawda - potwierdził Coley, otwierając drugą butlę.

Czysty tlen zaczął wypełniać szczelnie zamknięty korytarz.

- Przechodzą - zameldował Coley.

Rzeczywiście przechodzili. Drzwi zaczęły się trząść, szarpane niecierpliwymi rękami. Ostatni kawałek stali skwierczał w płomieniu palnika. Coley minął Devlin i prawie do końca zamknął za nią drewniane drzwi. Została sama z syczącymi butlami i trzęsącymi się od szarpnięć, stalowymi drzwiami. Po drugiej stronie znajdowali się mężczyźni, którzy chcieli ją zgwałcić i zabić jej przyjaciół. Uniosła butlę eteru oburącz nad głowę. Nie, to nie był dobry pomysł. Przyjęła pozycję kulomioty, ustawiając butlę na prawej dłoni, ponad barkiem. Tak lepiej, pomyślała.

Ucisk lęku w żołądku był tak silny, że prawie nie mogła oddychać. Spojrzała na drewniane drzwi za swymi plecami, prawie

zamknięte, by jak najwięcej tlenu pozostało w korytarzu.

Stalowa brama otwarła się przed nią.

Devlin włożyła w ten rzut wszystkie siły, a potem obróciła się na pięcie i barkiem odepchnęła drewniane drzwi. Gdy otworzyły się przed nią, straciła równowagę i runęła na podłogę.

Mężczyzna, który kuczał przy otwartej bramie z włączonym jeszcze palnikiem, patrzył tępo na szybującą w jego kierunku brązową butlę.

Mocne ramiona pochwytyły Devlin w locie i odciągnęły od progu. Zanim Wilson z trzaskiem zamknął drzwi, zdążyła jeszcze spostrzec kątem oka, jak butla z eterem rozbija się o stalowe cylindry z tlenem.

Dwie potworne eksplozje zwały się nieomalże w jeden huk: basowy łomot i ryk połączony z wyższym, bardziej przenikliwym dźwiękiem. Podmuch zatrzęsł solidnymi, drewnianymi drzwiami, ale utrzymały się w zawiasach. Zaraz po eksplozji nastąpiła równie ogłuszająca cisza. Coley podniósł Devlin z podłogi. Ogarnęła ją fala mdłości.

- Jesteś cała? - spytał.

Skinęła głową, spoglądając na drzwi.

- Otwórz - powiedziała po chwili do Wilsona. Jej głos był dziwnie chrapliwy.

Wilson pociągnął za klamkę.

Wydawało się, że w korytarzu między nimi a stalowymi drzwiami nie ma śladów życia. Pierwsza eksplozja - eteru i tlenu - spowodowała detonację butli połączonych z palnikiem tlenowo-acetylenowym. Pod ścianami leżały cztery groteskowo wygięte ciała, osmalone w procesie wybuchowego spalania gazów i rozerwane fruwającymi kawałkami metalu. Piąty z napastników został zmiażdżony wózkiem, na którym przywiózł butle, ciśniętym w stronę dalekiej kraty mocą wybuchu.

Devlin poczuła, że jej wargi drżą. Zakryła usta wierzchem dłoni. Zdawała sobie sprawę, że Coley i Wilson na nią patrzą, ale nie odwróciła się. Była zadowolona, że Grauerholz i jego łajdacy nie żyją. Cieszyła się, że osobiście wymordowała drani. Ale nie chciała, by Coley i Wilson dostrzegli to w jej twarzy. Po chwili zadowolenie z własnego uczynku zgasło i poczuła wstyd. Dobrze, że przynajmniej jest po wszystkim, pomyślała. Teraz, kiedy zabraknie Grauerholza, reszta pewnie zrezygnuje. Stalowe drzwi bez zamka zaskrzypiały nagle i przesunęły się nieco. Po chwili wyłoniła się zza nich obdarta postać.

To był Grauerholz.

Jego czaszka była pokryta już tylko kępkami spalonych włosów. Zwęglone ubranie wtopiło się w skórę. Nie miał prawej ręki. Zachwiał się na nogach i oparł ciężko o ścianę, zostawiając na niej smugę krwi.

- Hec!

Horace i Bubba Tolsonowie pojawili się na dalekim końcu korytarza i z otwartymi ustami wpatrywali się w pobojozwisko. Po chwili przeszli ostrożnie przez bramę z prętów i dalej, ponad ciałami towarzyszy, ku Grauerholzowi.

Wilson stanął obok Devlin.

- Jeśli macie ochotę na więcej, buraki, to mamy tego sporo - zawołał.

Grauerholz wolno uniósł głowę, by spojrzeć w ich stronę. Jego jedno oko było tak jasne, jak zawsze. Otworzył usta, ale pomiędzy pokrytych pęcherzami warg nie wydobył się żaden dźwięk. Odepchnął się od ściany na jeden krok, stanął i uniósł okrwawiony kikut ramienia. Wskazał na Devlin, wpatrując się obsesyjnie w jej oczy. Wiedziała już, że to jednak nie koniec i że Grauerholz nie spocznie i nie pozwoli innym spocząć, dopóki żyje. Tolsonowie wzięli go między siebie, najdelikatniej jak umieli, i wynieśli w głąb korytarza.

- Wróci, frajer - skomentował Wilson.

Devlin skinęła głową i ruszyła w kierunku leżących ciał.

- A ty dokąd? - zdziwił się.

Coley już rozumiał i poszedł za nią. Razem obejrzeni pięć ofiar wybuchu. Zmiażdżony wózek więzień oraz jeden z pozostałych jeszcze żyli, choć byli nieprzytomni. Gdy obu udało się wciągnąć za próg, Wilson zamknął drewniane drzwi na klucz.

- Jak myślisz, kiedy wrócą? - spytał.

- Ty pewnie znasz tych skurwieli lepiej niż ja. Sam mi powiedz - warknął Coley.

- Grauerholz jest w szoku - stwierdziła Devlin. - Jest też poparzony i krwawi. Nawet on będzie się musiał najpierw pozszywać i wziąć coś na ból. Kto wie, może w ogóle tu nie wróci.

Wilson i Coley spojrzeli na nią z powątpiewaniem.

- Jeżeli będzie w stanie tu przyjść i zapukać do drzwi wcześniej niż za dwie godziny, to osobiście mu otworzę.

- Widzisz, Żaba? Wszystko gra - rzucił drwiąco Wilson. - Hec nie wróci co najmniej przez dwie godziny.

- Za jedno tylko dziękuję opatrności - odparł Coley.

- Za co?

- Że próbowałeś być bokserem, a nie komediantem.

Coley mrugnął do Devlin i zniknął za drzwiami oddziału Crocketta.

- Próbowałem? - powtórzył Wilson. - Co, kurwa, znaczy, próbowałem?

Atak na salę chorych zakończył się wybiciem obu pancernych szyb, ale został powstrzymany. Gdy ułożyli na podłodze obu rannych, Vinnie Lopez zaproponował, że poderżnie im gardła, lecz Wilson powstrzymał go, tłumacząc, że to by nie było fair. Devlin przykucnęła, by zbadać jednego z nich, i w tym momencie poczuła nader przykrą woń. Uniosła głowę. Wilson i Lopez także marszczyli nosy. Odwróciła się.

Na progu sali, w małej kałuży cuchnącej wody, stała groteskowa postać, krwawiąca z kilkunastu skaleczeń i umazana od stóp do głów cuchnącym szlamem. Victor Galindez, który stał za Kleinem, nie był może aż tak mokry jak on, ale równie brudny.

- Cześć - powiedział Klein. - Wie ktoś może, jak poszło Knick-som?

Żołądkiem Devlin szarpnął nagły skurcz. Nadmiar przeróżnych emocji uderzył z taką siłą, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Podczas gdy wszyscy patrzyli na przybyszów ze zdumieniem, Lopez zbliżył się do nich, dumny, że może pokazać Kleinowi, w jakiej jest formie.

- Przegrali. Jak się masz, facet?

Uścisnął dłoń Kleina, a ten odpowiedział szerokim uśmiechem. Gdy przeniósł ów uśmiech i spojrzenie na Devlin, stopił jej serce. Podeszła do niego i pocałowała go w usta.

- Hej! - Klein cofnął się o krok. - Uwważaj, przesrałem sprawę.

- Pierdolę to - odpowiedziała.

Zarzuciła mu ręce na szyję, próbując nie płakać. Usłyszała, jak Klein mówi do Lopeza ponad jej ramieniem:

- Jaki był wynik?

- Lakersi dziewięćdziesiąt trzy, Knicksi osiemdziesiąt osiem.

Klein odchylił głowę Devlin, by spojrzeć jej w oczy. Zobaczył w nich łzy, które powstrzymywała, i uśmiechnął się.

- Cholera, to chyba mój szczęśliwy dzień - powiedział. - Wygrałem parę nowiutkich calwinów akurat wtedy, kiedy jest mi najbardziej potrzebna.

ROZDZIAŁ 29

Klein nie był zachwycony, gdy usłyszał, że odcięto dopływ wody do infirmerii. Nie uśmiechała mu się perspektywa spędzania najbliższych dni w bezpiecznej odległości dziesięciu metrów od każdego, kto mógłby paść, rażony jego smrodem. Gdy już nacierpiał się rozważaniem tej opcji wystarczająco długo, by wypić litr podłej, więziennej coli, Coley przypomniał mu, że prysznicze korzystają z własnych, staroświeckich zbiorników na wodę. Beknąwszy donośnie, Klein zaciągnął Galindeza przez ambulatorium do łazienki.

Z zamkniętymi oczami stanął pod strumieniem gorącej wody, oparty o ścianę. Gdy spłynął z niego pierwszy brud, wyszorował się dokładnie mydłem dezynfekującym i spłukał, a potem powtórzył zabieg. Robił to trzykrotnie, za każdym razem odkrywając nowe otarcia i nacięcia. Niepokoiły go tylko te trzy rany klute zadane nożem, po wewnętrznej stronie lewej kostki i łydki. Już były zaczerwienione na brzegach i bez wątpienia zostały zakażone fantastycznym koktajlem nader nieprzyjemnych form życia, o których wolał nawet nie myśleć. Miał tylko nadzieję, że ostrze nie zafundowało mu zapalenia szpiku. Po kąpeli na wszelki wypadek łyknął kilka antybiotyków.

Galindez wylażł po chwili z sąsiedniego stanowiska, wytarł się i zniknął. Klein został. Zastanawiał się, czy - a nawet miał na to nadzieję - Devlin złoży mu wizytę. Myśl ta sprowokowała w nim nie

tylko dramatyczny wzwód, ale także chęć do wypucowania genitaliów i tyłka po raz czwarty - tak na wszelki wypadek. W końcu, pomyślał, nigdy nie wiadomo, kiedy się człowiekowi poszczęści. Wtryśnął odrobinę mydła do ust i palcem wyszorował zęby; tego dnia nałykał się już tyłu świństw, że smakowało mu zaskakująco dobrze: sztucznie, chemicznie, czysto. Kontaktów z organicznymi substancjami miał dość, najpewniej na całe życie. Otworzył usta pod prysznicem i wypłukał. Przyjemne uczucie. Klepnął się po brzuchu, ciesząc uszy mocnym, sprężystym dźwiękiem. Na Boga, żył, a do tego był całkiem niezłym facetem. Do diabła, szczęściara z tej Devlin, pomyślał. Zastanawiał się, co ją zatrzymało. Owszem, opieka nad rannymi była dobrym uczynkiem, nawet szlachetnym, ale co z „Hurra, zwycięski heros powraca”? Musiał przyznać wielkodusznie, że jak dotąd świetnie się tutaj bronili przed oblężeniem. Teraz jednak zostały już tylko drzwi, okna już prawie nie istniały i tylko wojownik shotokan stał między załogą infirmerii a niebytem. I Galindez. Ale Galindez był strażnikiem i taką miał zasraną robotę, więc nie należało go liczyć.

Klein pomyślał, że czasem żałuje, że jest takim dupkiem, ale niekiedy sprawia mu to autentyczną przyjemność. To był ten drugi stan. Usłyszał przez cienką zasłonkę, że otwierają się drzwi. Pomyślał, że może należałoby gwizdać nonszalancko, ale przyszła mu do głowy tylko piosenka Doris Day, więc się powstrzymał.

- Klein?

To był jej głos. Klein nie mógł się zdecydować, czy warto jednym szarpnięciem odsunąć zasłonę, naprężyć mięśnie i spojrzeć na Devlin z pośępnym uśmiechem, czy lepiej nie. Pamięć podpowiadała mu mniej więcej milion scen prysznicowych z filmów dziesiątej kategorii. Miej trochę fasonu, człowieku, pomyślał. Zachowaj spokój. Zakaszła i odezwał się niskim głosem:

- Tak?

- Musimy pogadać - odpowiedziała.

Te dwa słowa jak mało które napelniają strachem serce mężczyzny, kiedy wypowiada je pożądana przez niego kobieta. Erekcja zaczęła przechodzić do historii i jak na złość pryszcic nad głową Kleina zakrzusił się, prysnął jeszcze odrobiną wody i umarł. Zbiornik był już pusty.

- Możemy? - spytała Devlin.

- Jasne - odparł bez wielkiego entuzjazmu.

- Zaczekam w gabinecie.

Co? Co jest, kurwa? Nie chciała popatrzeć, jak się wyciera? Klein usłyszał skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi. Devlin wyszła. No i co? Daj spokój, zapomnij. Pewnie podgląda przez dziurkę od klucza. Tylko że kobiety jakoś nigdy tego nie robiły, jeśli nie liczyć tych z filmów porno, a i to tylko wtedy, gdy mogły podziwiać więcej niż jednego faceta. Mimo to, na wszelki wypadek, wyprostuj ramiona i przywołaj posępny uśmiech na twarz. Doskonale. Wyszedł zza zasłonki i omal nie upadł, pośliznąwszy się na plamie błota. Spokojnie, Klein. Nie spiesz się. Bądź mężczyzną, do kurwy nędzy.

W końcu minęły trzy lata, odkąd jakaś kobieta widziała go na golasie. I tak się złożyło, że dzięki porannym treningom karate i wizytom w siłowni na dziedzińcu był teraz w życiowej formie. Planował przechadzać się plażą w obcisłych koszulkach, gdy tylko wyjdzie na wolność - dopóki mógł. Zamierzał zafundować sobie tatuaże - zawsze uważał, że szczycenie się nimi w więzieniu byłoby niestosowne, bo nie był tu uważany za prawdziwego skazańca. Teraz zresztą było na to za późno, bo o ile było mu wiadomo, najlepsze dziary wychodziły spod ręki świętej pamięci Colta Greely'ego. Poza tym tatuaż mógłby odstraszyć Devlin, choć zdaniem Kleina kobieta, której pożył, musiała podniecać się takimi rzeczami. Zaraz, a może właśnie o to chodziło? Może zwyczajnie się zawstydyła i dlatego wyszła?

Ręcznik boleśnie drażnił poranione dłonie. Może cała ta jej twardość była tylko na pokaz? Klein miał niejasne wrażenie, że jest katoliczką, a to religia dla ludzi nieuznających kompromisów. Grzech śmiertelny i takie tam gówna. Sztywni katolicycy byli istnym koszmarem. Za to kiedy szaleli, to na całego. Czasem ci szaleni potrzebowali tylko małej zachęty, żeby się otworzyć. Klein owinał się w tali suchym ręcznikiem i przeczesał włosy palcami. Nie było tu lustra, w którym mógłby się przejrzeć. Może i dobrze, pomyślał. Wciągnął brzuch i przeszedł do gabinetu.

Devlin przechadzała się po pokoju o ścianach w kolorze musztardowym, paląc papierosa. Spojrzała na jego ciało, uśmiechnęła się nerwowo, po czym skupiła wzrok na koniuszku papierosa.

Klein stracił rezon. Nie mógł oprzeć się myśli, że to cholernie typowe: choć jest facetem, który nie bzykał od lat - a czuł w tym momencie, że od dziesięcioleci - i choć spędził całą noc w roli przepychacza do boskiego kibla, żeby tutaj dotrzeć, to jednak przyjdzie mu teraz okazywać stosowną wrażliwość wobec seksualnych niepokojów ukochanej. Możliwe, że zmieniła zdanie od rana - minęło tyle czasu! Może cały ten czas spędziła na dziwieniu się samej sobie: jak mogła być tak głupia, by zadawać się z takim łajdakiem jak on? Spokojnie, Klein. Kwiat teksańskiej psychopatologii szturmował tę budę, próbując zgwałcić tę kobietę i zabić wszystkich pozostałych. Daj jej chwilę wytchnienia. Klein odetchnął głęboko. Był wojownikiem shotokan. Był twardy. Teraz, w końcu, naprawdę był. I poradzi sobie ze wszystkim. Wystarczyło zachować posępny uśmiech na później. Uśmiechnął się do Devlin całkiem normalnie.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

Fatalny tekst. Kurwa.

- W tych okolicznościach - dodał.

- Ty też - odrzekła.

Klein czuł, że mogła włożyć w tę kwestię więcej uczucia, ale przecież dopiero zaczynali. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się wreszcie.

Słowo „fatalnie” było za słabe, by opisać, jak zabrzmiało to zdanie. Sygnały alarmowe na nowo odezwały się w głowie Kleina. Chciał powiedzieć: „A czy to nie może zaczekać?”, ale w tym celu musiałby się posłużyć o oktawę niższym głosem. Żona przyjaciela powiedziała mu kiedyś, że głęboki, emanujący pewnością głos jest najlepszym sposobem na przekonanie kobiety, że facet ma wielkiego kutasa. Klein odparł bez zastanowienia:

- Powiedzieć czy raczej opowiedzieć?

- Chyba jedno i drugie po trochu - odrzekła.

Wyjęła z kieszeni paczkę cameli, wytrząsnęła jednego i wzięła do ust.

- Chcesz? - spytała, wyciągając rękę.

Ten jeden raz Klein nie czuł pokusy. Pokręcił głową.

- Widzisz... - urwała, by zapalić Camela i zaciągnąć się dymem
- ...kocham cię.

- A niech to - odpowiedział Klein.

I nagle głębokość jego głosu przestała się liczyć. Więc jednak nie był łajzą. Był wojownikiem shotokan, a ona go kochała. Poczuł, że jego fiut unosi się majestatycznie ku niebu pod szorstką bawełną ręcznika. Miał ochotę zrzucić z siebie tę szmatę i tańczyć, ale się opanował. Tak niedawno wywalczonego i z takim trudem osiągniętego rezonu nie można było już teraz się pozbyć. Posępny uśmiech, wrzeszczał głos w jego głowie, teraz jest najodpowiedniejszy moment! Oparł się tej pokusie. Okazał całkiem zwyczajne osłupienie.

- Ale jest coś jeszcze - dodała Devlin.

Wzwód trzymał się nieźle, ale już nie chciało mu się tańczyć. Zanim umysł Kleina zdążyło opanować kolejne stado najdzikszych spekulacji, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Coley z kompletem więziennej odzieży pod pachą. Przyjrzał się scenie żółtawymi,

nabiegłymi krwią oczami, po czym skinął głową w stronę biurka.

- Chcę jeszcze trochę poczytać, póki mamy czas.

- Poczytać? - powtórzył Klein.

O ile było mu wiadomo, Żaba nigdy nie czytał nawet działu sportowego. Coley rzucił mu ciuchy.

- Są czyste - powiedział, po czym spojrzął na wybrzuszenie ręcznika. - Oczywiście zakładam, że będą ci potrzebne.

Klein obrócił w dłoniach drelich. Zapieklą go skóra i dlatego od razu poczuł się lepiej.

Devlin, która wydawała się zadowolona z wtargnięcia Coleya, powiedziała:

- Jak ci się podoba?

Coley uniósł brew, obszedł biurko i usiadł na krześle.

- Muszę dokończyć, zanim się wypowiem - odparł, po czym spojrzął na Devlin. - Ale póki co, to dla mnie pieprzone arcydzieło.

Devlin uśmiechnęła się szeroko po raz pierwszy, odkąd przyszedł tu Klein. Miał wrażenie, że nie nadąża.

- O jakim pieprzonym arcydziele mowa? - wtrącił.

Coley otworzył szufladę biurka i wyjął świeży egzemplarz „American Journal of Psychiatry”. Otworzył go, wypiął dumnie pierś i pokazał Kleinowi właściwą stronę.

- O tym arcydziele, dupku.

Klein pochylił się i przeczytał tytuł. A potem nazwiska autorów. Juliette Devlin. Ray Klein. Earl Coley. Klein przełknął ślinę i spojrzął na Żabę.

Żabie, żółtawe ślepiea Coleya emanowały spełnieniem i po raz drugi tej nocy Klein poczuł, że jego serce może w każdej chwili pęknąć. Znał Coleya lepiej, niż ktokolwiek z żyjących - i vice versa. Jeżeli ktoś rozumiał, ile znaczy ten artykuł dla tego czarnoskórego dzierzawcy, strąconego do piekła przed dwudziestoma trzema laty, to właśnie Klein. Naprawdę rozumiał. I gdyby w tym momencie wpadli

tu Tolsonowie, by urwać Kleinowi łeb, to i tak niczego by nie żałował, bo zdążył zobaczyć to, co kryło się w oczach Coleya, i poczuć to, co teraz czuł. Coley złożył dłonie i zacisnął je w jedną, wielką i drżącą pięść.

Klein dołożył swoją rękę.

- Udało się, facet - szepnął Coley.
- Udało się - przytaknął Klein.
- Pokazaliśmy tym skurwielom - powiedział Coley.
- Pokazaliśmy im - przytaknął Klein.
- Powiedzieliśmy im całą pieprzoną prawdę - powiedział Coley.
- Całą pieprzoną prawdę - przytaknął Klein.
- A ona wszystko spisała - powiedział Coley.
- Każde słowo - przytaknął Klein.

Spostrzegli jakiś ruch i odwrócili głowy w samą porę, by zobaczyć, jak Devlin znika za drzwiami. Klein znowu spojrzął na Coleya. Żaba rozluźnił dłonie i wstał. Wielkie i zdumiewająco miękkie łapsko położył na nagich plecach Kleina.

- Posłuchaj mnie, facet. Nie uwierzyłybyś, jaki dzień ma za sobą ta dziewczyna, a spisała się na medal. Gdyby nie ona, zastałybyś tu same trupy. Jest wyjątkowa, facet.

- Wiem o tym, Żaba.
- Więc traktuj ją delikatnie, słyszysz? Delikatnie. Albo twoja dupa będzie miała ze mną do czynienia.

Klein przełknął ślinę i skinął głową. Coley sięgnął po klucze i odpiął jeden z nich.

- Zabierz ją do mojej kwatery. Założyłem świeżą pościel. Pod lewą przednią nogą łóżka jest luźna deska. Zajrzysz pod nią, to znajdziesz butelkę wina, najlepszego, jakie tu mają. Od tego szurniętego irlandzkiego skurwiela, o którym ci mówiłem. Wypijcie sobie. I traktuj ją jak damę.

Coley wcisnął klucz do ręki Kleina.

- Dzięki, Żaba - powiedział Klein.

- Zdaje się, że białe świry odpuściły na jakiś czas. Jeśli coś się będzie działo, dam znać. A teraz zmiataj, będę czytał.

Klein, odrobinę skołowany, zabrał czyste ubranie i wyszedł na korytarz. Devlin stała pod ścianą, mocno zaciskając powieki. Otworzyła oczy, gdy Klein ujął ją pod ramię.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- To była wasza chwila, twoja i Coleya. Nie chciałam przeszkadzać.

- Przecież słyszałaś, co mówił - odparł Klein. - Sądzisz, że „my” nie oznaczało także ciebie? To ty wszystko spisałaś. Każde słowo.

Skinęła głową.

- Przepraszam.

- Niepotrzebnie.

Klein pamiętał dobrze zalecenia Coleya. Świetny humor spod prysznic wydawał mu się teraz dziecinadą, a może po prostu był nie na miejscu, o czym wcześniej nie wiedział. Otoczył Devlin ramieniem, a ona objęła go w pasie i razem poszli schodami na górę, do pokoju Coleya.

Klein otworzył drzwi i weszli do środka. Wnętrze było ciasne i urządzone po spartańsku, jak cela mnicha zen. Żadnych książek, nagrań, plakatów z panienkami. Tylko łóżko, mały stolik i pojedynca, oprawiona w ramkę fotografia na ścianie, przy łóżku. Coley zostawił na stole dwie zapalone świece, a także kupkę kadzidełka własnej roboty - z wiórów, węgla drzewnego i dezodorantu - dymiącą lekko w metalowym sitku do herbaty. Łóżko było wąskie, ale rzeczywiście świeżo zaścielone.

- Żaba to niezwykły gość, wiesz? - odezwał się Klein.

Pochylił się nad łóżkiem i w migotliwym świetle spojrzął na fotografię. Była kolorowa; przedstawiała farmera o poważnej twarzy i

szerokich barach, stojącego obok kobiety o nieco jaśniejszej skórze i wyrazistych rysach. Trzymała na rękach niemowlę, a przed nimi stało troje dzieci - dwaj chłopcy, mniej więcej dziesięcioletni, oraz może sześciolatnia dziewczynka.

- Od dwunastu lat nie miał od nich żadnych wieści - powiedział Klein. - Ale nie pozwoli powiedzieć o nich złego słowa.

Odwrócił się. Devlin moczyła palec w wosku jednej ze świec i wydawało się, że nawet nie słyszała, co mówił. Odwróciła się po chwili.

- Chciałabym, żebyś usiadł i posłuchał mnie przez chwilę - powiedziała. - Jeśli będziesz się odzywał, nie będę w stanie dokończyć.

Klein usiadł po turecku na łóżku, plecami do ściany, i czekał. Wypaliła trzy papierosy, przechadzając się w tę i z powrotem w blasku świec, kiedy opowiadała mu o tym, co zaszło między nią a Reubenem Wilsonem. Spróbowała też wyjaśnić mu, ile to dla niej znaczyło. Klein słuchał, nie odzywając się. Gdy skończyła, zgasła papierosa i stanęła przy drzwiach, plecami do niego.

- Chcesz, żebym wyszła? - spytała.

- Chcę, żebyś została - odparł Klein.

Nic z tego, o czym mu opowiedziała, nie zmieniło jego uczuć do niej, a jeśli już, to tylko o tyle, że zwiększyło jego pożądanie i podziw dla niej. Nie martwił się nawet rozmiarem fiuta Wilsona. Interesowały go zupełnie inne sprawy. Devlin spojrzała na niego badawczo.

- Uważam, że zrobiłaś coś wspaniałego - powiedział cicho. - Chcę, żebyś została.

- Naprawdę?

- Może jestem dupkiem, wyjątkowym dupkiem, ale nie należę do tej szczególnej kategorii dupków, którzy robiliby z tego problem. Wilson jest bohaterem. To dla mnie komplement - dodał z uśmiechem. - Z drugiej strony, może miałbym problem, gdybyś bzyknęła się z Kulasem Cottonem.

Devlin wytarła coś spod oka.

- A tam na dole... mówiłam serio. Kocham cię.

Klein skinął głową. Pomyślał, że to najodpowiedniejszy moment, żeby wyjaśnić coś jeszcze. Właściwie nigdy nie zakładał, że utrzyma to w tajemnicy, ale jakoś nie trafiła się stosowna okazja, by się otworzyć. Teraz chciał to zrobić.

- Skoro już nastąpiła godzina mrocznych tajemnic, to będzie lepiej, jeśli powierzę ci moją. Kto wie, może odmieni twoje uczucia.

- Wątpię.

- Skazali mnie za zgwałcenie mojej dziewczyny.

Przez długą chwilę Devlin milczała, przyglądając się badawczo jego twarzy. Klein czuł w głębi nagłe poruszenie, a właściwie erupcję uczuć, które - miał nadzieję - dawno udało mu się pogrzebać za pomocą pracy, dyscypliny i codziennej walki o przetrwanie. Ukrył je głęboko, bo składały się z goryczy i gniewu, do których, jak mu się zdawało, utracił prawo. Ale to nie wszystko. Pogrzebał je także ze strachu przed złożonym i potwornym poczuciem winy, a jeszcze bardziej - przed żalem tak nieskończonym, że wiedział o nim tylko jedno: że do końca życia będzie go nosił w sobie.

- Myślę, że obojgu nam należy się nieco obszerniejsze wyjaśnienie - odezwała się w końcu Devlin.

- Naprawdę?

Devlin odetchnęła głęboko.

- Zostanę tu bez względu na to, czy opowiesz mi więcej, czy nie. Nie wierzę, że mogłeś zrobić coś, z czym ja nie potrafiłabym żyć. Ale wołałabym wiedzieć.

- Nie zrozumiałabyś.

- A ty rozumiesz?

Klein nie odpowiedział. Odwrócił głowę i spojrzał na płomień świecy.

- Chodziliśmy ze sobą przez pięć lat i coś się zaczęło psuć na długo przed końcem.

- Jak to?

Klein wciąż spoglądał na świecę. Reszta pokoju, włącznie z Devlin, stała się niewidzialna.

- Jak zwykle poszło o drobiazgi. O te, na których adwokaci rozwodowi i terapeuci zbijają majątek. Żadnych zbrodni ani zdrad. To były sprawy, które z zewnątrz wydają się trywialne, ale kiedy dotyczą człowieka bezpośrednio, ranią mu wnętrze jak tłuczone szkło. Byliśmy bardzo zwyczajni. Ot, jeszcze jedna para, która odgrywa własne wariacje na stary temat. Wzajemne tortury. Ciekawe to było, dopóki trwało, ale w końcu przesadziliśmy i tak się skończyło.

Klein spojrział na Devlin i dostrzegł w jej twarzy strach.

Znowu skupił wzrok na świecy.

- Nie były to fizyczne tortury, jeśli tak sobie pomyślałaś. To byłoby zbyt oczywiste. Zbyt proste. Psychiczne tortury można ciągnąć znacznie dłużej. A na koniec zostawało nam tylko jedno; nazywaliśmy to „rżnięciem z nienawiści”. Wiesz, co mam na myśli? To też było niezłe, póki trwało. Tylko potem człowiek nie mógł znieść nawet własnego oddechu.

- Wiem - odpowiedziała.

- Pewnej nocy zaliczyliśmy ostatnie takie rżnięcie, a potem powiedziałem jej, że nie chcę jej więcej widzieć. Że to koniec. Odpowiedziała, że jeśli ją rzucę, załatwi mnie tak, że... - Klein wzruszył ramionami. - Słyszałem takie teksty wiele razy i już miałem dość. Wstałem i wyszedłem. Następnego ranka gliniarze aresztowali mnie w szpitalu pod zarzutem gwałtu.

- A zgwałciłeś ją?

Gorycz jednak wzięła górę.

- Powiedziała, że tak. Tylko to się liczy, prawda?

- Nieprawda. Przecież wiesz, że nie. - Devlin umilkła. - Wiesz, pracowałam już z kobietami, które zostały zgwałcone, a także z takimi, które nie wiedziały, czy zostały zgwałcone. Ludzie chcieliby,

żeby to było proste, ale takie nie jest. To bardziej złożona rzecz od tego, o czym się czyta w gazetach...

Klein spojrział na nią ostro.

- Nie wymyślaj dla mnie wymówek.

Spoglądając na milczącą Devlin, Klein widział, jak toczy się w niej walka między zawodową cierpliwością a całkiem prywatnym bólem, który zadał jej swoim tonem.

- Przepraszam - powiedział.

Devlin machnęła ręką.

- Dzięki seksowi odkrywamy wiele spraw, o których inaczej nie byśmy nie wiedzieli - i dobrych, i złych. Dotyczy to i kobiet, i mężczyzn. Potrzebę i miłość, upokorzenie i ból, akceptację i odrzucenie. Ray, ja to wszystko wiem. Zaufaj mi.

Klein popatrzył jej w oczy, a potem znowu „skierował wzrok ku płomieniowi.

- Pieprzyłem ją dokładnie tak ostro jak przy stu poprzednich okazjach. Zostawiłem ją z otarciami od dywanu na plecach. Docho-
dziła trzy razy. Gdybyś chciała przeczytać protokoły sądowe, wszystko jest tam opisane. Powiedziała, że kazała mi przestać, ale to nieprawda. Paru jej poprawnych politycznie przyjaciół zeznało, że bluzgałem na nich w restauracjach, że mam gwałtowny charakter, że mam świra na punkcie sztuk walki, bla, bla, bla. Większość z tego wszystkiego była prawdą, ale, o dziwo, jednocześnie większość z tego była kompletną bzdurą. Wszystko przekreślono, wyrwano z kontekstu. To była cały czas ta sama, głupia gra, tylko z wagi średniej przeszliśmy do ciężkiej; jakbyśmy chcieli poucinać sobie nosy na złość naszym twarzom. Pogorszyłem sprawę, bo poszedłem do niej przed procesem, żeby przekonać ją do zmiany zdania. Oczywiście skończyło się tak, jak zawsze, jakbyśmy odtwarzali stare taśmy - pięć lat pyskówek skondensowane w dwóch godzinach. Mój adwokat o mało się nie popłakał - i miał rację. Zanim zaczął się proces,

moja wizyta awansowała do statusu molestowania i próby zastraszenia.

Klein czuł młodości ze wstydu. Nie wstydził się swoich dawnych czynów, ale tego, że musiał się tłumaczyć.

Żałował, że w ogóle zaczął tę opowieść. Powinien był gadać jak mężczyzna, tak jak to robił przez ostatnie trzy lata, i niech sobie Devlin myśli o nim, co zechce.

Ale Devlin nie ustępowała.

- Nie wycofała zarzutów? - spytała.

- A czy mogła? - odparł Klein. - Na tym etapie nie miała już szans. Była osobą publiczną, bohaterką. Gra była w toku. Cyrk o trzech arenach: gazety, organizacje kobiece, prawnicy. I wszyscy zwietrzyli krew. Prokurator okręgowy aż się obliżywał na myśl o tym, ile kobiecych głosów przybędzie mu w następnych wyborach, jeśli zostaną skazani. Aż do procesu sukinsyn myślał pewnie, że *Kobiocy eunuch* to jakaś historyjka biblijna. A tu nagle zafundował sobie dwie asystentki płci pięknej i sędzinę na dokładkę oraz pojawił się w wiadomościach, gdzie tak machał egzemplarzem *Backlash*, że mało mu żyłki nie pękły na nabrzmiałej gębie.

Na ustach Devlin zagościł na sekundę uśmiech.

- Przepraszam - powiedziała, wystraszona. - Ja tylko...

- Wiem, wiem - odparł Klein. - Wszystko to wydaje się jednym jebanym żartem. Sam tak myślałem. Szkopuł w tym, że miałem rację. Mój adwokat, który obecnie jest też właścicielem mojego domu, poradził mi, że bym nie zeznawał. Powiedział, że ciężar dowodu spoczywa na nich i że jeśli tylko odezwę się z mównicy w sądzie, zrobią ze mnie pierdolonego Hannibala Lectera. Kiedy zeznawała przed prokuratorem, wiedziałem, że wygram. Każdy widział, że nie wkładała w to serca. A potem, w krzyżowym ogniu pytań, mój adwokat dosłownie zgwałcił ją w moim imieniu: próbował zrobić z niej puszczalską, którą oczywiście nie była, i skończyło się tym, że płakała, wycierając nos w bluzkę. Już mi się nie zdawało, że wygram. Uznali

mnie winnym większością głosów; dostałem pięć do dziesięciu.

Klein urwał i przeciągnął dłońmi po twarzy.

- Jak miała na imię? - spytała Devlin.

Nie odsłaniając twarzy, Klein odpowiedział:

- Wolę nie pamiętać.

Nie umiał tego wyjaśnić, nawet samemu sobie, ale tę jedną rzecz chciał zachować wyłącznie dla siebie, ukrytą bardzo głęboko, w miejscu, w którym wciąż ją kochał. Przełknął żółć i opuścił ręce, ale odwrócił twarz w stronę ściany.

- Jeżeli gwałt oznacza seks, którego celem jest zadanie bólu i rozładowanie gniewu na innej osobie, to tak, zgwałciłem ją wiele razy - rzekł.

- Ale ona traktowała cię tak samo - odparła Devlin.

Klein miał ochotę skinąć głową, ale tego nie zrobił.

- Czasem miłość i nienawiść sąsiadują ze sobą - dodała. - Skoro krzywdziliście się tak bardzo, równie mocno musieliście się kochać. Przynajmniej przez jakiś czas.

Odwrócił się i spojrzał na Devlin w migotliwym blasku świec. Jej twarz była uosobieniem współczucia.

- Tak - przyznał. - Piekło nie zna wściekłości takiej jak miłość w nienawiść zmieniona, i tak dalej.

- Nie apelowałaś? - spytała Devlin. - I ona też nie zmieniła zdania, kiedy tu trafiłeś?

Pobladła, kiedy zobaczyła uśmiech na jego twarzy.

- Może w końcu by to zrobiła, ale cała sprawa musiała bardziej zaszkodzić jej niż mnie. W tym samym tygodniu, w którym tu trafiłem, podłączyła się do kroplówki insulinowej. Zanim ją znaleźli, jej mózg był martwy jak gotowane jajko.

Devlin wzdrygnęła się mimowolnie.

- Nie zostawiła listu - ciągnął Klein. - Po miesiącu wyłączyli aparaturę podtrzymującą życie.

Przez jakiś czas milczeli oboje. Devlin przysiadła na brzegu łózka. W końcu uniosła głowę i otworzyła usta.

- Nic nie mów - odezwał się Klein. - I nie zrozum mnie źle. Z mojego punktu widzenia w pełni zasłużyłem na każdy dzień, który tu spędziłem. W River nikt nie jest niewinny. W ten czy inny sposób wszyscy chcieliśmy tu trafić.

Klein siedział oparty o ścianę i wpatrywał się w płomień świecy, równie nieruchomy i równie czysty jak światło w oczach Henry'ego Abbotta, i po raz pierwszy, odkąd wyłączono ową aparaturę, poczuł żal nieskażony gniewem, a wraz z czystym żalem ogarnął go spokój. Było tak, jakby jego serce nareszcie przestało bić. Pomyślał o Henrym - był ciekaw, co się z nim stało, czy on także zaznał spokoju gdzieś w wodach swojej Rzeki. Zastanawiał się też nad słowami Devlin oraz nad tym, czy przed świtem wszyscy razem, sprawiedliwi i niesprawiedliwi, nie trafią aby z powrotem do bezcelowego chaosu materii, z którego kiedyś wyszli. Spojrzał na tył jej głowy.

- My, którzy uważaliśmy się za ostateczne dzieło stworzenia - powiedział.

Devlin bez słowa położyła głowę na jego udach i zaczęła delikatnie gładzić rany na jego kostce. Ból dobrze mu zrobił, podobnie jak ciężar głowy Devlin na jego nogach, pod którego wpływem znowu mu stanął. Być może to właśnie było wszystko, na co mogli liczyć: rany. I głowa bliskiej osoby na udach. Zastanawiał się też, czy skoro nie się nie równa wściekłości takiej jak miłość w nienawiść zmieniona, to czy twierdzenie odwrotne również byłoby prawdziwe. Poczuł nagle, że nie znajduje w sobie ani spokoju, ani nienawiści. Nie wiedział, co się z nimi stało, ale czuł się bez nich niepoczyszony, wystraszone i zagubiony.

I wtedy Devlin zrobiła jedyną rzecz w całym świecie, która mogła przynieść mu pocieszenie. Gdyby jej nie zrobiła, pewnie nawet by nie wiedział, że istniała taka rzecz, dlatego zachodził w głowę, jak na to wpadła. Sięgnęła pod ręcznik i położyła dłoń na jego fiucie.

Klein zaczął gładzić jej włosy; krótka i miękka szczecinka na jej karku marszczyła się pod jego dłonią. Devlin odchyliła ręcznik mocno i wzięła do ust jego kutasa, delikatnie gładząc jaja. Klein zadrzał pod jej łagodnym dotykiem i nie doszedł od razu, bo nie była to jeszcze pieszczota seksualnej natury. Przysiągł sobie, że nie będzie płakał, i dotrzymał słowa.

Devlin usiadła i zdjęła koszulę przez głowę. Przez biały bawełniany stanik Klein widział wyraźnie jej sterczące sutki. Zsuła wysokie buty i zsunęła dzinsy. Gdy uklękła przed nim w tym białym staniku i czarnych stringach, gdy położył swe obdarte i poranione dłonie na tyłku, za który dałby się pokroić, nastąpiła chwila tak przeżycona erotyzmem, jakiej nie doświadczył jeszcze nigdy. On także ukląkł i zaczął ją całować, czując smak tytoniu na jej języku. Przesunął dłonie po jej brzuchu i niżej, we włosy. Wyczuł palcem lechtaczkę, podobną do małej kulki skąpanej w oleju, a wtedy zaczęła gryźć jego twarz i szyję. Pchnął Devlin lekko, a gdy położyła się na plecach, odsunął wąski pasek materiału i zaczął ją lizać. Doszła bardzo szybko; jej ciało wygięło się w łuk, a mięśnie brzucha zadygotały w napięciu. Docisnął ją do materaca i raz jeszcze doprowadził na szczyt. Może i zostałyby tam dłużej, gdyby nie złapała go za kutasa, domagając się, by ją pieprzył. Usłuchał. Wszedł w nią, odsunawszy stringi, i nie było to ani rżnięcie z nienawiści, ani rżnięcie pod hasłem „zrobmy to, bo zaraz zginiemy”. Ściągnął w dół jedno z ramiączek biustonosza i zaczął ssać sutek. Nie próbował opóźnić orgazmu, szedł na całość, posuwając ją długimi, wolnymi ruchami, a kiedy wreszcie się spuścił, nie obchodziło go, jak długo to trwało. Był świadom tylko tego, że kochał się z nią i że wyparowała z niego cała nienawiść. Przez moment leżał na Devlin, drżąc nieznacznie, a potem uśmiechnął się, bo brakowało mu sił nawet na to, by unieść swój ciężar na łokciach, jak powinien uczynić dżentelmen, za jakiego się uważał.

Leżał więc z przymkniętymi oczami, oddychając spokojnie. Twarz Devlin była doń zwrócona półprofilem, a bursztynowe światło cudownie rzeźbiło jej rysy. Klein miał wrażenie, że widzi na jej policzku lśniący ślad łez. Była absolutnie piękna; piękniejsza niż wszystko, co w życiu widział. Chciał patrzeć tak na nią przez całą wieczność, ale powieki ciążyły w dół, jakby od wieków ich nie zamykał. Walczył z nimi, ale zabrakło mu sił. Jej twarz znikła mu z oczu, ale sutek wciąż przyciskał się do jego ust. Rozchylił je i przemówił do piersi, tak cicho i niewyraźnie, że Devlin nie mogła go usłyszeć:

- Wiem, że dżentelmeni tak nie postępują, ale naprawdę muszę zasnąć.

I uśmiechnął się, bo pod pewnymi względami był dupkiem i wiedział o tym, a także dlatego, że było mu wszystko jedno. Zasnął.

ROZDZIAŁ 30

Hobbes leżał na kanapie i wpatrywał się w nagą żarówkę wiszącą pod sufitem. W ostatnich miesiącach wszystkie noce spędzał właśnie tu, w niewielkim magazynku przylegającym do jego wyłożonego drewnem gabinetu. Od tygodni nie udało mu się zasnąć na dłużej niż godzinę, a od rozpoczęcia blokady nie zmrzył oka ani razu. Miał żonę i dom, do którego mógł wracać, lecz powody, dla których miałby to robić, z biegiem lat były coraz mniej przekonujące, aż wreszcie przestały istnieć. Jeśli jego żona uważała to zjawisko za niepokojące, to Hobbes tego nie zauważył, a gdyby nawet zauważył, to nie przejąłby się tym. Ostatnio miewał nawet problemy z przypomnieniem sobie jej imienia; rzadko też pojawiał się przed jego oczami obraz jej twarzy. Nie miał w pracy ani jednego zdjęcia małżonki. Przypuszczał, że urządziła się całkiem nieźle, a być może najlepiej, jak mogła. Większość jego zarobków wydawała na siebie i na dom, a gdy od czasu do czasu narzekała, że w jej życiu brakuje miłości i spełnienia, Hobbes zachowywał się jak głuchy, a czasem nawet reagował pogardliwie i bez śladu współczucia. Jane Hobbes - Janet Hobbes? Rebecca? - nie rozpoznałaby bowiem miłości i spełnienia nawet wtedy, gdyby oba te piękne fenomeny wparowały nocą do jej sypialni i dokonały na niej zbiorowego gwałtu. Hobbes uśmiechnął się na samą myśl o tym, a potem zaczął się zastanawiać, dlaczego akurat w tej chwili roztrząsa charakter swej połowicy. Być może jego umysł

oczyszczał się w oczekiwaniu na koniec. Koniec bowiem był już bliski i naczelnik Green River przeczuwał - bo dostrzec tego jeszcze nie mógł - że po drugiej stronie płonie oślepiające światło.

Oddał swoją machinę - a Klein miał rację, iż była to machina panoptyczna - historycznemu spazmowi gwałtownej przemocy. Tak, historycznemu. On, John Campbell Hobbes, tworzył historię. Zrezygnował ze swego dzieła w nadziei, że uwolniony tym sposobem gorączkowy nihilizm można podporządkować jakiemuś celowi. Nie udało się. Eksperyment panoptyczny upadł, podobnie jak miłość, którą Hobbes niegdyś darzył swoją żonę. Dowody były jasne: w płomieniach bloku B, w bezrozumnej żądzy krwi, skierowanej przeciwko bezbronnyemu ludzkim wrakom konającym w szpitalu. Dał tym ludziom szansę zademonstrowania wyższej wrażliwości, a oni na nią splunęli. Marzył, że może wyjdą na gzymsy budynku, by krzyknąć: „Jesteśmy ponad to! Jesteśmy czymś więcej, nie tylko śmieciami, które z nas zrobiliście!”

Ciasny pokój, który kojarzył mu się raczej z przestronną trumną, powtórzył jego słowa echem i Hobbes zdał sobie sprawę, że mówił na głos. Czas marzeń dobiegł końca; nadszedł czas rozpaczy, oceanicznej rozpaczy, przed którą tak bardzo chciał się obronić na tym ostatnim posterunku. A teraz szykował się, by ją zaakceptować, by zapłacić jedyną cenę, jaka mogła go wykupić z więzienia historii: i tej własnej, i tej ogólnej. Rozpacz była wszak ostateczną transcendentą ego, a jego ego zostało rozbite przez niszczycielski kosmos, który sam uwolnił. Rozpacz była raczej pełna pychy, nie pokory; była radykalną nieświadomością; porzuceniem; samotną podróżą bez jasnego celu. Hobbes był więc nareszcie wolny, mógł ruszyć w podróż, ale pozostał mu ostatni obowiązek - musiał rozpocząć ją w jedynie słusznym punkcie wyjścia, by zostać dostrzeżonym w samym centrum machiny panoptycznej, którą tworzył. Nagle ogarnął

go strach, lecz zniknął, gdy pamięć przywołała zdanie wygłoszone przez Kleina:

- Nawet najdzielniejsi z nas rzadko mają dość odwagi, by powiedzieć całą prawdę.

Rozległo się charakterystyczne pukanie do drzwi: to Cletus. Wstał z kanapy, wygładził palcami marynarkę i poprawił krawat. Otworzywszy drzwi, ujrzał puciołowatą twarz kapitana. Cletus miał na sobie czarny kombinezon jednostek antyterrorystycznych, w którym wydawał się jeszcze bardziej otyły, niż był w rzeczywistości. Cienki kabel łączył słuchawkę, którą nosił w uchu, z odbiornikiem radiowym przypiętym na piersi.

- Przepraszam, panie naczelniku - powiedział Cletus.

Hobbess ominął go bez słowa i usiadł za biurkiem. Mebel ten od zawsze budził w nim wzruszenie. Stał w tym gabinecie od 1882 roku. Pod szklaną taflą leżały autentyczne plany architektoniczne zakładu karnego. Piękno symetrii Green River uderzyło Hobbessa jak nigdy dotąd. Osobiście zajrzał w każdy kąt więzienia, do wszystkich cel i korytarzy, a jednak to właśnie tu, w planie ukrytym pod szklaną taflą, a nie w rzeczywistości, dostrzegał prawdziwą perfekcję tego gmachu, perfekcję koncepcji, nie wykonania. Zdaniem Hobbessa rysunek ten był zwieńczeniem dzieła Kartezjusza, próbą poznania Boga i Człowieka poprzez zastosowanie czystego rozumu. Dawne czasy jednak minęły, a dzieło spoczęło na rafach irracjonalizmu. Obok planów architektonicznych Hobbess przechowywał coś zgoła innego, dowód istnienia owych raf: wymięty arkusik tandetnego papieru w niebieskie linie, który kiedyś znalazł. Zawinięty w folię, był wciśnięty między granitowe bloki w jednej z izolatek. Czyjaś cierpliwa ręka zapisała na nim zielonym atramentem numer 1057, a poniżej następujące słowa:

*Każdego ranka i każdej nocy,
Rodzą się jedni w złotej karocy.*

*Rodzą się jedni w złotej karocy,
Rodzą się inni ku wiecznej nocy.*

Hobbes nie wiedział, kto napisał te słowa; nie wiedział nawet, czy były cytatem, czy oryginalną twórczością. Zauważył jednak, że kryły w sobie moc; fascynowały go, zwłaszcza teraz, gdy w najczarniejszej godzinie życia czekał na ostatni świt. Ku wiecznej nocy. W złotej karocy. Znał obie strony medalu i wiedział przynajmniej, że jego przeznaczenie leży tylko po jednej z nich. Na szczęście nie pośrodku, tam gdzie jest miejsce na przeciętność.

Odsunął szklaną taflę na bok i podniósł pomarszczoną karteczkę. Złożył ją zgodnie z liniami dawnych zgięć i włożył do kieszeni na piersi. Cletus chrząknął. Hobbes zupełnie zapomniał o jego obecności. Uniósł głowę.

- Proszę usiąść, kapitanie.
- Wolę postać, panie naczelniku, jeśli mogę.
- Jak pan woli.

- Rozmawiałem z Biurem Penitencjarnym w Austin. - Cletus z zakłopotaniem poruszył ramionami. - Polecono mi, żebyem objął tymczasową komendę nad więzieniem, panie naczelniku.

Tego upokorzenia Hobbes się nie spodziewał, ale teraz, gdy już o nim wiedział, lekko zdziwiło go tylko to, jak nieważna wydała mu się ta sprawa.

- Proszę kontynuować - powiedział.

- Gubernator był zaskoczony tym, że nie uznał pan za stosowne powiadomić go o sytuacji. Szczerze mówiąc, panie naczelniku, ja też byłem zaskoczony. Uważa, że nie jest pan w wystarczająco dobrej formie, by nadal pełnić obowiązki w tak trudnym czasie.

- Gubernator.
- Tak jest, panie naczelniku.
- Pan się z nim kontaktował?

Szczęka Cletusa zeszywniała na moment.

- Tak jest, panie naczelniku.
- A na czym pan gubernator opiera swoją ocenę mojego zdrowia?

- Na dowodach i obawach, które wyłuszczyłem mu w swoim raporcie, panie naczelniku.

Hobbes w milczeniu skinął głową.

- Gubernator wysłał już jednostkę Gwardii Narodowej, która udzieli nam wsparcia. Pański następca przyleci rano śmigłowcem.

Hobbes skinął głową po raz drugi. I tym razem wiadomość nie zrobiła na nim wrażenia. Potrzebował jeszcze „tylko godziny, a nie pomocy Cletusa i jego ludzi. Taki miał plan, zanim jeszcze kapitan zapukał do drzwi; teraz sprawa stała się po prostu pilniejsza. Nie było jednak powodu, by rezygnować z godności.

- Mam czas, żeby zebrać swoje rzeczy?

- Oczywiście, panie naczelniku. - Cletus przestąpił z nogi na nogę. - Przykro mi, że tak to wyszło.

Hobbes obszedł swoje biurko.

- Zawsze uważałem pana za lojalnego i w pełni godnego zaufania człowieka, kapitanie. Służba z panem była dla mnie zaszczytem.

Wyciągnął rękę, a Cletus uścisnął ją, czerwieniąc się ze wzruszenia.

- Dziękuję, panie naczelniku.

Ze słuchawki Cletusa dobiegł zduszony głos. Kapitan docisnął ją mocniej palcem wskazującym i zmrużył oczy.

Po chwili włączył nadajnik i pochylił się nad mikrofonem.

- To niemożliwe - powiedział.

Słuchawka znowu zamruczała. Cletus spojrział na Hobbesa.

- W blokach zapaliły się światła - zameldował.

Hobbes przemierzył gabinet szybkim krokiem i stanął przy północnym oknie. Cletus podążył za nim. Żebrowane, szklane sklepienia bloków rzeczywiście jarzyły się zielonkawą poświatą. Tylko

wielka kopuła nad środkową częścią gmachu pozostała ciemna. Hobbes natychmiast zrozumiał.

- Nie wydawałem rozkazu - zdumiał się Cletus.
- Dennis Terry - rzekł Hobbes.

Cletus pokiwał głową.

- Cholera, stary łajdak musiał się dostać do zapasowego generatora. Zresztą to pewnie on wysadził po południu główne linie zasilania. Przepraszam, panie naczelniku, ale chyba muszę już iść.

Hobbes nie słuchał. Stał wpatrzony w ciemną kopułę ze szkła. To było coś więcej, niż miał prawo się spodziewać. Kopuła musiała być stanowiskiem dowodzenia, z którego należało wyruszyć w podróż. Brakowało jeszcze tylko aureoli, stosownej iluminacji, by mogła spełnić swą funkcję. Hobbes odwrócił się. Cletusa już nie było. Został sam.

Były naczelnik Hobbes pojął, że nie ma już czasu do stracenia.

ROZDZIAŁ 31

Devlin usiadła w rogu łóżka, tuż obok zdjęcia Coleya i jego rodziny, i wyrzuciła z siebie wszystko to, co kryła w sercu. Zrobiła to po cichu, żeby nie obudzić Kleina - nie chciała przeproszać, wyjaśniać i znowu powstrzymywać łez. Nie była nawet pewna, dlaczego konkretnie płacze, ale płakała naprawdę długo. Cieszył ją ciężar ramienia Kleina, oplecionego wokół jej talii, a także migotanie świateł. Cieszyła się nawet, że jest tutaj, w tym okropnym miejscu, gdzie abstrakcyjne pojęcia nareszcie przestały mieć znaczenie i mogła poddać się wyłącznie nagim emocjom. Po pewnym czasie zabrakło jej łez, a wtedy otarła twarz rękawem kołdry i zapaliła camelę z paczki, którą dał jej Wilson. Jej umysł błądził gdzieś daleko i nawet nie pamiętała już wszystkich miejsc, do których dotarł. Wreszcie rozległo się pukanie do drzwi i podskoczyła ze strachu. Potrzebowała sekundy, by uświadomić sobie, że gdyby to był Hector Grauerholz, z pewnością by nie pukał.

- Proszę - powiedziała.

Drzwi uchylily się odrobinę.

- To ja, Coley.

Devlin owinęła się kołdrą.

- Wejdz - powiedziała.

Coley wszedł nieśmiało. Spojrzał najpierw na śpiącego Kleina, a potem na Devlin.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho.

Devlin uśmiechnęła się i skinęła głową. Spod jej boku dobiegł cichy jęk i zduszony głos Kleina:

- Czego chcesz, stary lotrze?

- Przyszedłem wykopać cię na dziedziniec, skurwielu. Grauerholzowi przydałaby się pomoc, a nam na pewno nie jest potrzebna twoja nędzna dupa.

Klein uniósł głowę i przewrócił się na plecy. Znowu jęknął i skrzywił się, bo liczne obrażenia dały o sobie znać. Na jego piersi zdążył wyrosnąć potężny siniak. Coley uniósł parę podniszczonych adidasów.

- Pomyślałem, że ci się przydadzą, kiedy postanowisz wyświadczyć nam przysługę i zwiąć.

- Mówiłem ci już kiedyś, Żaba, że jesteś jebaną starą babą?

Coley rzucił buty na podłogę.

- Należały do Grega Garveya, ale on nie będzie miał nic przeciwko temu - o ile ty też nie masz. Przenieśliśmy wszystkich chorych, którzy tego chcieli, do oddziału Trvisa.

- Trzeba było poprosić nas o pomoc.

Coley zignorował tę uwagę.

- Znalazłem też to, kiedy pakowałem do wora twoje obsrane ciuchy.

Wyciągnął rękę, w której trzymał rewolwer o krótkiej lufie. Klein usiadł na skraju łóżka i odebrał broń.

- Skąd to wzięłeś? - spytała Devlin.

- Odebrałem po południu Grauerholzowi – odparł Klein.

Zauważył spojrzenie, które Coley posłał Devlin, i wbił lufę pistoletu w jego brzuch.

- Tak, tak. Przez cały pieprzony dzień byłem zajęty ratowaniem twoich czarnych jaj, a ty nawet nie dasz mi pospać.

- Przed chwilą zapaliły się światła w blokach. Jak na Boże Narodzenie. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć.

- To robota Dennisa - odparł Klein. - A niech to.
- Co to oznacza? - spytała Devlin.
- Że wszyscy czarni i Latynosi z bloku C są wolni - wyjaśnił Klein. - Szanse Agry'ego spadają o ponad połowę. Co więcej, jego ludzie ćpają i chleją od wielu godzin. Ci z C są świeżutcy i wściekli jak wszyscy diabli. Jeżeli Stokely Johnson jakoś ich zorganizuje, powinni być w stanie złapać Agry'ego za jaja na tyle mocno, że będzie musiał wycofać stąd Grauerholza.

Coley wrócił do drzwi i otworzył je.

- Lepiej, żeby Stoke się pospieszył - powiedział. - Grauerholz jest na dole z kolejnymi trzydziestoma zawodnikami, którzy na moje oko wcale nie są nawaleni. - Ciężkie spojrzenie Coleya spoczęło na Devlin. Wskazał na sufit, nad którym znajdował się dawny oddział dla psychicznie chorych. - To, że nasz dobry pan doktor wrócił do miasta, nie oznacza, że nasza umowa jest nieważna. Nadal masz klucze?

Devlin skinęła głową.

- Więc ich użyj.

Coley wyszedł, a Klein wstał i zaczął wkładać spodnie.

- Ile Żaba z ciebie zdziera? - spytał.
- Za co? - zdziwiła się Devlin.
- Za numerki w jego kryjówce. - Klein wyszczerzył zęby i pochylił się nad nią. - Słuchaj, mogę być twoim alfonsiakiem; jeszcze dziś wracam na ulicę i będę szukał roboty.
- Ty draniu.

Uderzyła prosto w siniaka na jego piersi. Klein, w spodniach wciągniętych do kolan, ryknął dziko, stracił równowagę i padł na podłogę. Przerazona, zeskoczyła z łóżka i podniosła go natychmiast. Obserwowała jego twarz. Wiedziała, że to żalosne, ale szukała w niej jakiegoś znaku, który powiedziałby jej, że znaczy dla Kleina tyle samo, ile on dla niej. Pamiętała jednak, że przejawem jego ciepłych

uczuć wobec Coleya są obelgi i groźby, więc nie bardzo wiedziała, czego szukać. Może propozycja zostania jej alfonsem była właśnie tego typu demonstracją? Klein położył dłoń na jej policzku.

- Zrób, co każe Żaba - powiedział. - Jeżeli wejdziesz do środka, biegnij do dziupli, zamykając po drodze drzwi. Poproszę Vinniego, żeby dał ci swoje radio. Nie schodź na dół, póki nie usłyszysz w wiadomościach, że bunt dobiegł końca.

Przerażała ją perspektywa siedzenia na strychu w zupełnej samotności. Klein zauważył jej minę.

- Wiem, że to ci się nie spodoba. Wiem też, że dzisiaj dałaś czadu. Ale jeśli dojdzie do walki wręcz, będziemy z chłopakami czuć się pewniej, wiedząc, że nie musimy na ciebie uważać.

Klein miał rację. Nie podobało jej się to. Rozumiała jednak, że ma rację w sprawie walki. Skinęła głową. Klein sięgnął po rewolwer.

- Strzelałaś dużo z pistoletu?

Pokręciła głową. Klein otworzył bębenek.

- Ja też nie. Zobacz. Pięć kul i pusta komora. Ustawiam bębenek tak, żeby kurek spoczął na pierwszym naboju. To oznacza, że możesz oddać cztery strzały z rzędu, a potem usłyszysz tylko kliknięcie, które będzie oznaczało, że został ci ostatni nabój.

- Wiesz, jakoś nigdy nie kupowałam tych tekstów, że lepiej zostawić ostatnią kulkę dla siebie, niż wpaść w ręce Apaczów.

- Kiedy zaczynasz strzelać, łatwo jest opróżnić cały bębenek. Puste miejsce to tylko przypomnienie. Z ostatnią kulą zrobisz, co zechcesz.

Klein podał jej rewolwer. Wydał jej się lżejszy, niż się spodziewała.

- Użyj go dopiero w kryjówce Coleya. Jeśli będą chcieli tam wejść, to tylko pojedynczo.

- Wiem, co robić.

- Strzelaj z bliska, prosto w głowę. To nie jest armata Clinta Eastwooda.

- Powiedziałam: wiem, co robić.
- Ja tylko chcę, żebyś przeżyła.

Klein odwrócił się i zaczął wkładać koszulę. Poczula nagle, jak bardzo go kocha, a jednocześnie opanowała ją wielki gniew.

- Byłeś bezpieczny - powiedziała. - Dlaczego, do ciężkiej cholery, nie zostałeś w celi?

Klein spojrzął na nią.

- Próbowałem, ale sprawy ułożyły się inaczej.
- Przyszedłeś ze względu na mnie?

Z jednej strony bardzo chciała usłyszeć, że tak, ale z drugiej lękała się, że będzie musiała żyć, mając jego śmierć na sumieniu. Klein usiadł na łóżku i włożył buty Garveya.

- Ze względu na ciebie jeszcze bardziej chciałem tu dotrzeć, ale kiedy się dowiedziałem, byłem już w drodze.

- Dlaczego?
- Sam nie wiem.

Klein zawiązywał buty. Nie widziała jego twarzy.

- Może dlatego, że tu jest moje miejsce?

Zupełnie bez potrzeby rozwiązał lewą sznurówkę i zaczął wiązać ją na nowo, zwrócony twarzą ku podłodze. Devlin podeszła bliżej i pogładziła go po włosach. Objął ramionami jej biodra i przycisnął mocno. Czula jego zarost na nagim brzuchu. Puścił ją po chwili, stanął przy końcu łóżka, a potem przyklęknął, wciąż starając się ukryć emocje. Odsunął łóżko i zaczął obmacywać deski podłogowe.

Devlin przypomniała sobie o czymś.

- Podobno mówiłeś Wilsonowi, że Hobbes oszalał.

Klein znieruchomiał, a potem uniósł głowę.

- Hobbes jedzie na węglanie litu, a właściwie powinien go brać, ale przestał, pewnie parę tygodni temu.

- Poważnie?

Devlin знаła zastosowanie tego specyfiku w leczeniu psychozy depresyjno-maniakalnej na tyle dobrze, że nawet nie musiała się zastanawiać nad implikacjami słów Kleina.

Skinął głową.

- Tysiąc dwieście miligramów dziennie. Bóg go obraził, więc buntuje się przeciwko Niemu.

- Że co?

- Abbott tak mówił. - Klein powrócił do podważania luźnej deski.

Devlin nie знаła Hobbesa, póki nie zjawiała się po raz pierwszy w Green River, ale jej ojciec znał go od dwudziestu lat. Ich znajomość nigdy nie przerodziła się w przyjaźń. Ojciec twierdził, że jedynymi przyjaciółmi Hobbesa były idee, ale podziwiał go szczerze. Gdy Devlin szykowała swój projekt w Green River, ojciec opowiedział jej historię naczelnika, pod warunkiem że nigdy nie powtórzy jej nikomu w więzieniu.

Klein stęknął i uniósł krótki odcinek deski.

- O czym tak dumasz? - spytał, unosząc na chwilę głowę i spoglądając na Devlin.

- O Hobbesie - odrzekła. Wahała się. Dała słowo ojcu, ale czuła, że okoliczności usprawiedliwiają złamanie obietnicy. - Wiele lat temu mój ojciec był jego zastępcą w Oklahomie, zanim Hobbes przeniósł się do Green River. Tam też w jednym z bloków wybuchł bunt.

Klein znieruchomiał z ręką wsuniętą pod deskę.

- I?

- Więźniowie wzięli czterech zakładników, strażników. Hobbes zaproponował wymianę: on sam za ich czterech. Skazani się zgodzili, ale kiedy się zjawił, złapali go, a strażników i tak zatrzymali.

Klein zmrużył oczy, a Devlin, ku swemu zaskoczeniu, dostrzegła w nich coś na kształt współczucia.

- Co z nim zrobili?

- Nikt nie wie. W każdym razie nie w szczegółach. Hobbes nigdy o tym nie opowiadał. Ale kiedy uwolniono zakładników i znaleziono go, był nagi, przywiązany do kraty i usmarowany ekskrementami. Spędził tam siedemdziesiąt dwie godziny.

Klein przez chwilę trawił nowe informacje, po czym wzruszył ramionami i znowu wsunął rękę pod podłogę.

- W takim razie nie spodziewałbym się wielkiej pomocy z jego strony. - Uśmiechnął się, znalazłszy to, czego szukał. Devlin miała nadzieję, że nie widać po niej tego, jak bardzo jest zaniepokojona.

- Hobbes jest jak głęboko wierzący, który stracił wiarę - dodał Klein. - To nam musi wystarczyć.

Wyciągnął rękę, pokazując Devlin starą butelkę po jacku daniel-sie, napełnioną przezroczystym płynem.

- Najlepsza w całym pudle - powiedział, uśmiechając się. - Legendarny bimber Doherty'ego. To był facet z IRA, przemytnik broni, pędził to cudo wiele lat temu. Pewnie ostatnia butelka.

Klein wstał i podszedł do drzwi.

- Chodź. Zapomnij o Hobbesie. Mamy co świętować.

Coś ścisnęło Devlin za serce, gdy patrzyła na niego.

- Tak - odpowiedziała. - Mamy. Zaraz do was przyjdę.

Klein wykrzywił usta w osobliwym grymasie i mrugnął do niej.

- Co to ma znaczyć? - spytała.

Klein wyglądał na urażonego.

- To mój posępny uśmiech.

Uniosł jedną brew. Devlin nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- I co, już masz mokro między nogami?

Devlin, wciąż się śmiejąc, uformowała kółko z kciuka i palca wskazującego. Uniosła dłoń na wysokość twarzy Kleina.

- Wiem, wiem - mruknął.

Otworzył drzwi i wyszedł.

Devlin ubrała się i wsunęła rewolwer do prawej tylnej kieszeni lewisów. Koszulę wypuściła luźno, by zasłoniła pośladki. Zdmuchnęła świece i zeszła po schodach. Po drodze minęła Kulasa Cottona, który kuśtykał po stopniach. Jego opuchniętą, wytatuowaną twarz wykrzywiło coś, co zapewne uważał za czarujący uśmiech. Ominęła go szerokim łukiem.

- Cała załoga do pomp, co, pani doktor? - zawołał za nią.

Devlin zignorowała go i weszła do gabinetu przy sali chorych. Był pusty. Ruszyła dalej, przez łazienkę, ale zatrzymała się w połowie drogi. Drzwi ambulatorium były otwarte. Klein, Coley, Wilson i Galindez stali przy przeciwległym końcu stołu laboratoryjnego, racząc się bimbrem Doherty'ego z rozmaitych pojemników po lekarstwach i słoiczków na próbki. W polu widzenia mignęła też głowa Vinniego Lopeza - uśmiechał się promiennie, wyciągając rękę po dolewkę. Devlin patrzyła, jak Klein pochyla się nad uchem Wilsona i szepce do niego, potem jak Wilson wybucha gromkim, basowym śmiechem i wreszcie jak Klein wymierza mu cios na niby w obandażowany brzuch i śmieje się razem z nim. A potem Coley wskazał palcem na Kleina i powiedział coś, z czego zrozumiała tylko „biały skurwiel”, Klein odpowiedział i znowu wyłapała niewiele: „Wygląda jak dwa i pół kilo gówna w pięciokilogramowym worku”. Tym razem roześmieli się wszyscy, nawet ponury i cichy Galindez. Gdy Coley znowu rozlewał bimber, Devlin płakała, bo czuła, że kocha tych facetów. Wszystkich. Tych pieprzonych facetów, obłąkanych, co do jednego, niepojętych, dzikich, udręczonych, szargających świętości i śmiejących się jak ostatni głupcy - jak głupcy na okręcie dryfującym po wzburzonym morzu. Kochała ich. A teraz, gdy wznosili szkło, odwróciła się i ukryła za drzwiami, by nie psuć im tej chwili swoimi łzami.

Rozległ się odgłos kroków. Wycofała się jeszcze dalej za drzwi i wytarła policzki rękawem. Galindez wszedł do łazienki i nie zauważył jej. Stojąc plecami do Devlin, rozpiął rozporek i zaczął sikać do umywalki naprzeciwko pryszniców. Devlin oddychała jak najciszej. Zauważyła, że włosy Galindeza są spalone aż do skóry. Kiedy skończył, zapiął spodnie i umył ręce. Zobaczył ją dopiero wtedy, gdy odwrócił się w poszukiwaniu ręcznika.

- Doktor Devlin. - Jego śniada twarz nabiegła krwią. - Przepraszam. Coley mówił, że właśnie tu możemy...

- To ja powinnam przeprosić. Naprawdę nic się nie stało.

Uśmiechnęła się. Było jej zwyczajnie głupio.

Galindez wytarł dłonie w koszulę. Zza jego paska sterczała rękojeść śrubokrętu.

- Jestem pani winien jeszcze jedne przeprosiny - odezwał się po chwili. - Za to, że zostawiłem panią w niebezpieczeństwie.

- To była moja wina.

Pokręcił głową.

- Złamałem regulamin. Złożę o tym meldunek...

Urwał, by nie dokończyć: „jeśli kiedykolwiek stąd wyjdziemy”.

- Kiedy czekałam i nikt nie przychodził, bałam się tylko, że pana zabili - odrzekła Devlin. - Cieszę się, że jest pan cały.

Galindez skinął głową w stronę ambulatorium, z którego wciąż dochodziły śmiechy.

- Wypili za pani zdrowie już trzy kolejki. Wilson uważa, że powinna pani skrzyknąć sobie własną załogę - dodał z uśmiechem i uniósł rękę teatralnym gestem. - A Klein nazywa panią Królową Wojowniczką.

Tym razem Devlin poczuła, że się rumieni. Oddychanie przychodziło jej z trudem.

- Czekają na panią.

Odruchowo przeczesła włosy palcami.

- Muszę umyć twarz - powiedziała. Dlaczego zachowywała się jak sztywniaczka?

Galindez pokręcił głową.

- Nie ma pani pojęcia, ile dla nich znaczy pani obecność. Oczywiście woleliby, żeby była pani bezpieczna, gdzieś daleko, ale...

- A ja nie chciałabym być nigdzie indziej.

Galindez spojrział na nią swymi czarnymi oczami. Zawahał się, a potem wyjął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją Devlin.

- Jeśli nie przeżyję, a pani się uda... To dla mojej żony. Czy mogłaby pani....

- Jasne.

Devlin wzięła od niego list i drżącą ręką schowała go do kieszeni.

- Dziękuję. Pozwoli pani?

Galindez zaoferował jej ramię. Czując motyle w żołądku, Devlin podeszła do niego i razem wkroczyli do ambulatorium.

Powitały ich spontaniczny wiwat i głośne oklaski. Kiedy szli przez całą długość pokoju, Devlin uśmiechała się głupkowato, spoglądając na zebranych zamglonymi oczami. Klein rozłożył ramiona.

- Czy to jest lico, które posłało w morze tysiąc okrętów i obaliło wieże Ilionu?

- Pierdol się, Klein.

Znowu uderzyła go w pierś, a on objął ją mocno i przyciągnął do siebie.

- Polej jej, Żaba!

Wcisnęli jej w rękę dwustumililitrową probówkę napełnioną przezroczystym płynem. Klein oswobodził Devlin, pozostawiając tylko dłoń na jej talii. Zebrała siły i pociągnęła łyk trunku Doherty'ego. W pierwszej chwili wchodził gładko, jak słodowa whisky. Spodziewała się, że po chwili zwali ją z nóg, ale z pustego żołądka potraktowanego alkoholem rozszedł się po kościach tylko przyjemny,

ciepły dreszczyk. Zaraz potem poczuła specyficzny, karmelowy posmak. Spojrzała na Coleya.

- Bataty? - spytała.

Coley skinął głową.

- Ta kobieta jest dokładnie taka, jak mówiłeś, Klein.

- Teraz ty wznosisz toast, Devlin - wtrącił Wilson.

Rozległy się okrzyki aprobaty, ale po chwili wszyscy ucichli. Devlin czuła już w głowie lekki szmer. Spojrzała na Kleina, od którego dzieliło ją może parę centymetrów, a on skinął głową, wpatrzony w jej twarz. Popatrzyła teraz na Coleya, który obserwował ją z powagą, na Wilsona, który mrugnął do niej, i na Galindeza, stojącego skromnie u drzwi. Wreszcie spojrzała na Vinniego Lopeza, który siedział na krześle, by oszczędzić siły, i przyglądał się starym więźniom z podziwem typowym dla młodzika. Jego skóra była jak pergamin, nad żebrami i obojczykami niemal przezroczysta.

- Piję za Vinniego - obwieściła.

Twarz Lopeza wykrzywiło przerażenie.

- Nie ma mowy! - zawołał, zrywając się na równe nogi. - Nie możesz tak! Nie możesz, kurwa, marnować toastu na pieprzonego łajdaka!

Odpowiedział mu zbiorowy pomruk pełen dezaprobaty.

- To prawda - odrzekła Devlin. - Jesteś łajdakiem.

Vinnie zachwiał się na miękkich nogach. Spojrzał na Kleina, szukając wyjaśnienia. Devlin odsunęła się, bo nie mogła powiedzieć tego wszystkiego, gdy Klein dotykał jej ciała. Odetchnęła głęboko i spojrzała na Vinniego.

- Jesteś nic niewartym łajdakiem, który przesłał swoje życie w toalecie tego świata - powiedziała. - A jednak ten człowiek tu wrócił, chociaż nie musiał.

Wskazywała palcem na Kleina, ale nie patrzyła w jego stronę.

- On sam nie wie dlaczego, ale coś w głębi jego duszy wie - i ja też wiem. To dlatego...

Urwała, czując, że jej głos zaczyna się łamać. Czekali, więc wzięła się w garść.

- To dlatego, że tylko kiedy najmarniejszy z nic niewartych, zasranych łajdaków tego świata jest wart wszystkiego - w s z y s t k i e - g o - reszta z nas w ogóle jest coś warta.

Poczuła, że Klein znowu obejmuje ją w talii i przyciska do swego biodra, ale wciąż nie mogła na niego spojrzeć.

- Dlatego piję za zdrowie Vinniego Lopeza. I za was wszystkich, pieprzonych łajdaków.

Nastąpiła cisza i Devlin przez sekundę sądziła, że palnęła coś porażająco niezręcznego, lecz nagle Galindez uniósł swoją szklankę.

- Za łajdaków - powiedział.

- Za łajdaków - zawtórował mu z uczuciem Coley.

- Za łajdaków - dorzucił Wilson.

Klein stuknął szkłem o jej probówkę.

- Za łajdaków.

Zabrzączało szkło i wypili, a potem na moment każde z nich porzążyło się we własnych myślach.

Pierwszy odezwał się Lopez.

- Ten toast był też za mnie, cioty, nie tylko za pieprzonych łajdaków.

Odpowiedziała mu salwa śmiechu i gwizdy.

- Możliwe, że ona jest na tyle dumna, żeby marnować na ciebie toast, ale ja - za cholerę.

- Pierdol się, Coley, ty czarny kutasie.

Devlin poczuła usta Kleina tuż przy uchu.

- Kocham cię - powiedział.

Zanim zdążyła na niego spojrzeć, rozległ się brzęk, a zaraz potem od strony oddziału dobiegł huk eksplozji. Galindez wyskoczył za drzwi, Wilson porwał ze sobą butelkę bimbru, a Klein cmoknął

Devlin w policzek i zniknął. Wybiegła za nimi na korytarz. Drewniane drzwi zatrzęsły się nagle, jakby coś w nie uderzyło od drugiej strony. Przez bramę oddziału zobaczyła tańczące płomienie. Druga eksplozja i jaskrawy błysk, a zaraz po niej kolejna. Zanim Devlin zdążyła wbiec na oddział, wielki brzuch Coleya pchnął ją od tyłu w głąb korytarza, ku schodom.

- Uciekaj!

Coley zanurkował w płomienie buchające zza bramy. W każdym z wielkich kułaków oracza ścisnął solidne, stalowe pręty wyrwane wcześniej z okien. Winnie Lopez nadbiegł po chwili i skoczył za nim.

Devlin została sama.

Drzwi uginały się od zacieklej ciosów.

Wyjęła z kieszeni rewolwer, odwiodła kurek, cofnęła się korytarzem i weszła na oddział. Zobaczyła plamy płonącej benzyny, z których unosił się gęsty dym. Pomiędzy nimi ludzie walczyli ze sobą jak dzikie zwierzęta. W przejściu między łózkami, na zakrwawionych materacach, pod wybitymi oknami, przez które wrogowie wskakiwali do środka - wszędzie cięli, kopali, szarpali i bili się bez pardonu.

Wilson rozbił butelkę o brodatą głowę i wraził jej szyjkę w krocze intruza. Mężczyzna zgął się wpół, a wtedy Wilson pchnął go w płonąca kałużę. Alkohol, którym nasiąkała broda, natychmiast zajął się ogniem; mężczyzna zaczął więc się w agonii, bo płomienie objęły całą jego głowę.

Galindez uniósł rękę, by zablokować cios łomem. Przy wtórze trzasku pękających kości dał krok do przodu i trzema błyskawicznymi pchnięciami podziurawił śrubokrętem brzuch przeciwnika.

Więzień w szpitalnej piżamie rzucił się na nogi jednego z intruzów i powalił go na ziemię. Deano Baines skoczył mu z pomocą z nożyczkami w dłoni: wbił je prosto w pierś okrytą niebieskim drelichem. Ledwie to zrobił, ktoś rozplątał mu czaszkę potężnym ciosem i zaraz za to zapłacił, bo Klein zaszedł go od tyłu, pochwycił za głowę

i jednym ruchem skrzył kark, w locie wydzierając mu z ręki tasak. Dwaj inni, jeden z nożem, a drugi z łańcuchem, zeskoczyli z parapetu i razem rzucili się na Kleina. Najpierw zajął się tym pierwszym; wymierzył mu takie kopnięcie w pęcherz, że nożownik oderwał się od podłogi i poszybował na najbliższe łóżko. Drugi zakrzył łańcuchem, mierząc w głowę, ale Klein uchylił się w porę i metal rozerwał tylko koszulę i ciało na jego ramieniu. Zakrwawiony, zrobił pół kroku w przód i podciął nogi przeciwnikowi jednym kopniakiem. Zaraz potem z rykiem skoczył na niego i przebił się tasakiem przez rozpaczliwie wymachujące ramiona; ucięty kawałek skalpu, jedno ucho i połowa twarzy zawisły obscenicznie na kawałku skóry, odłaniając zakrwawione zęby. Nożownik zdążył się tymczasem podnieść: uderzył od tyłu, przebijając na wylot biceps Kleina. Tasak z brzękiem upadł na podłogę. Zanim Klein zdążył poczuć ból, zaatakował pięścią, rozrywając przeciwnikowi nos. Z gracją tancerza pochwycił go za nadgarstek, wykręcił mu rękę i złamał ją w łokciu na własnym kolanie. Odebrał rannemu nóż, uniósł i z rozmachem wbił za lewy obojczyk, do śródpiersia. Devlin odwróciła głowę.

Zobaczyła, że Galindez upadł i skulił się pod ciosami dwóch bandytów uzbrojonych w drewniane kołki. Reuben Wilson pospieszył mu z pomocą, zadając najszybszą kombinację pięciu ciosów, jaką Devlin kiedykolwiek widziała: lewe sierpowe w wątrobę i szyję, atomowy prawy prosty w twarz, kolejny lewy w jaja i na koniec potężny podbródkowy z prawej, który wyłączył układ nerwowy przeciwnika. Gdy ostatni cios trafił w cel, coś pękło w ciele Wilsona. Pochylił się nagle, a wtedy drugi z ludzi Grauerholza zdzielił go grubą kantówką w potylicę. Wilson upadł na twarz obok Galindeza, tuląc podłogę rozedrganymi ramionami. Gdy Coley uniósł swoje pręty, by powalić draba z kantówką, Horace Tolson zaszedł go od tyłu i wyrwał mu je z rąk. Wychudzony Lopez rzucił się na jego

zwaliste cielsko, ale Tolson strącił go w locie jak muchę. Coley zdążył jeszcze odwrócić się w jego stronę, w samą porę, by pręty opadły wprost na jego obojczyki, powalając go na kolana. Ramiona Coleya zwisły bezwładnie u jego boków.

Tolson raz jeszcze uniósł pręty, ale w tym momencie Klein rzucił w niego nożem i ruszył do ataku. Ostrze uderzyło w mostek olbrzyma i spadło na posadzkę. Devlin już miała Tolsona na muszce, ale zanim zdążyła nacisnąć spust, Klein skoczył na niego, wbił palce prawej dłoni w jego oczy, lewe przedramię oplótł wokół szyi, a kolaniem zadał serię szybkich ciosów w brzuch i krocze. Tolson, którego oczy zawisły swobodnie na nitkach nerwów i naczyń, upuścił pręty i zamknął Kleina w potwornym uścisku. Klein wygiął się do tyłu; jego żebra trzeszczały jak zeschnięte pieczywo, a kręgosłup był bliski pęknięcia. Potężny kark Tolsona był dla niego zbyt mocny. Rozwścieczony i oślepiiony olbrzym ryczał donośnie, odrzuciwszy głowę do tyłu, a jednocześnie szarpał Kleinem we wszystkie strony, uniemożliwiając Devlin celowanie. Aby z daleka nie trafić przypadkiem w Kleina, puściła się biegiem w ich stronę, przeskakując nad ciałami. I znowu zjawił się Vinnie Lopez: tym razem wskoczył Tolsonowi na plecy, oplótł nogami korpusy obu walczących i razem zaczęli zataczać się po zadymionym przejściu pośrodku sali niczym groteskowy mutant o trzech wrzeszczących gębach. Vinnie sięgnął wreszcie do szyi Tolsona, a w jego dłoni błysnął skalpel. Kaskada czerwieni chlusnęła na Kleina, a gardło olbrzyma rozeszło się na dwie części. W przeciętej krtani zabulgotała krew i gdy ucichł ostatni krzyk, mutant wolno opadł na podłogę.

Z dziedzińca dobiegł huk wystrzałów i echo eksplozji. Za oknami pojawiła się chmura pary. Więzień, którego sylwetka właśnie pojawiła się w oknie, szarpnął się nagle, wrzasnął dziko i zniknął. Oślepiający ból odrzucił nagle głowę Devlin w bok. Usłyszała słowo

„suka”, a potem czyjaś pięść wbiła się w jej brzuch. Zatoczyła się na ścianę, czując coś ciepłego i słonego na ustach; krew zaczynała już ściekać na jej koszulę. Odzyskała równowagę i w smudze dymu dostrzegła Kulasa Cottona, który właśnie ją mijał. Jego tatuaże pulsowały jak żywe, w spazmie nienawiści. Zmierzał w stronę Earla Coleya, który z trudem podnosił się na nogi, nie mając władzy w ramionach, odwrócony plecami do Cottona. Dłoń Kulasa wsunęła się od tyłu do kieszeni Coleya i wyszarpnęła z niej klucze. Rzucone w drugi koniec sali, trafiły prosto do ręki zbira z kantówką. Klein próbował właśnie wydostać się spod ciała Tolsona, gdy Kulas odwrócił Coleya przodem do siebie i dźgnął go w brzuch.

- Ty tłusty czarny skurwielu! Ty tłusty czarny skurwielu!

Przy każdym „skurwielu” Kulas ponawiał cios, a Coley po prostu stał i patrzył na niego bez mrugnięcia okiem, nie cofając się ani o krok. Devlin skoczyła przez płomień. Granat gazowy wylądował pod jej nogami; poczuła jego gorąco i strumień oślepiającego dymu, ale pognęła dalej, nie zatrzymując się.

- Ty tłusty czarny skurwielu!

Starła z oczu krople łez i krwi, po czym przyłożyła lufę do ucha Cottona. Jego nienawiść nagle zmieniła się w panikę. Zaczął odwracać głowę, ale w tym momencie Devlin nacisnęła spust i jego mózg rozprysnął się na kawałki.

Strzelanina na zewnątrz się nasiliła. Coley zachwiał się i byłby upadł, gdyby Klein nie pochwycił go pod ramiona, mrużąc oczy w gęstniejącym tumanie gazu. Przy bramie oddziału Devlin wypatrzyła manipulującego przy zamku więźnia z pękiem kluczy Coleya. Wymierzyła pośpiesznie i strzeliła. Mężczyzna odskoczył, gdy wyrwane przez kulę drzazgi wbiły się w jego policzek. Devlin pobiegła ku niemu, ale potknęła się i runęła jak długi. Amortyzując upadek rękami, wypuściła broń, która potoczyła się w stronę bramy. Devlin

rzuciła się w pogoń, pochwyciła rewolwer, podniosła się na kolana, poderwała i pognąła dalej, czując palący ból w płucach. Bandyta właśnie przekręcał klucz w zamku, gdy przyłożyła lufę do jego głowy. Strzeliła w tej samej sekundzie, w której brama otworzyła się z impetem do wewnątrz. Uderzona skrzydłem Devlin zatoczyła się w głąb korytarza i ostatkiem sił wyciągnęła rękę, by złapać się wnęki kryjącej drzwi do ambulatorium. Odzyskała równowagę i zatrzepotała powiekami, próbując oczyścić łzawiące oczy.

W otwartej drewnianej bramie stał Bubba Tolson. Pod jego ramieniem przycupnął bezwłosy, pokryty bąblami chudzielec z jednym, dziko błyszczącym okiem.

- Mam nadzieję, że pani doktor ma jeszcze ciasną dupkę!

W korytarzu za nimi zaroilo się od niebieskich koszul. Devlin nie widziała wyraźnie nadchodzących więźniów. Lopez widział jeszcze mniej, gdy wybiegł z oddziału i wpadł prosto na Bubbę. Tolson pochwycił go jedną ręką za twarz i jednym uderzeniem o ścianę zmiażdżył mu czaszkę. Gdy Vinnie padał, Devlin poderwała się do biegu.

- Bubba, przyprowadź ją do tatusia!

Usłyszała za sobą tupot ciężkich nóg. Pośliznęła się i przewróciła na pierwszym ciągu schodów. Oddychała ze świstem; gaz mocno podrażnił jej płuca. Minęła zamknięty na klucz oddział Tralisa, z którego dobiegały niespokojne głosy. Ciężkie kroki na schodach. Korytarz. Znowu nic nie widziała. Prosto przed siebie: drzwi. Klucze. Wyjęła oba z kieszeni i zmusiła mózg do odgadnięcia, który z nich jest właściwy. Napała na drzwi barkiem - ustąpiły. Wbiegła do środka. Zamknąć za sobą na klucz, pomyślała. Ciężkie kroki były zbyt blisko: gdy zobaczyła czerwoną, brodatą twarz, zatrzasnęła je z rozmachem, ale natychmiast odskoczyły, uderzając w nią. Upadła na stopnie i podniosła się natychmiast. Zaczęła wspinać się tyłem, szorując tyłkiem po stopniach. Bubba był tuż-tuż, wyciągał rękę, by

grubymi paluchami pochwycić ją za kostkę. Odwróciła się gwałtownym ruchem, poderwała i rzuciła do biegu. Zamieniła klucze w dłoniach. Wejście na strych było otwarte. Devlin wbiegła do sali i zatrzasnęła za sobą kratę. Wsunęła klucz do zamka i przekręciła, modląc się w duchu. Bolce wskoczyły na swoje miejsce. Dostrzegła jeszcze tylko zarys pięści wlatującej między pręty i w tym momencie jej mózg się wyłączył.

Ocknęła się na podłodze, oszołomiona. Odwróciła głowę. Bubba przelożył rękę przez kratę bramki i właśnie przekręcał klucz. Została znokautowana zaledwie przed sekundą. Gdy Bubba pchnął bramę, Grauerholz znowu pojawił się u jego boku. Devlin podniosła się chwiejnie. Wciąż ścisnęła w dłoni rewolwer; trzymała go luźno, u boku. Bubba zaczął iść w jej stronę. Zamrugła nerwowo i cofnęła się nieco. Oszołomienie jeszcze nie minęło. Zostały jej dwie kule. Albo jedna. Nie pamiętała, czy słyszała już głuche stuknięcie kurka. Nie, jednak dwie. Bubba był coraz bliżej. Niewiarygodnie masywny. Tylko strzał w głowę mógł go powstrzymać. Przestała się cofać i skupiła się na tym, by nie strzelić, póki nie będzie absolutnie pewna, że nie chybi.

- Chyba nie zastrzelisz starego Bubby z mojej spluwy, doktor-ko?

Zignorowała przymilny głos Grauerholza. Bubba spojrzął na broń i zwolnił. Grauerholz trzymał się tuż za jego plecami.

- Ona nie strzeli, Bub. Popatrz tylko w jej oczy. A popatrz na cycki! Mmm!

Bubba wyciągnął ręce przed siebie i przyspieszył. Gdy dystans zmalał do dwóch kroków, Devlin odwiodła kurek, uniosła broń i strzeliła prosto w czoło Tolsona. Bubba zrobił jeszcze krok. Poczula jego dłonie na swoich piersiach; pchał ją z niepowstrzymaną siłą. Zaraz jednak światło zgasło w jego mętnych oczach i Devlin poczuła

smród jego ostatniego oddechu. Oparła się plecami o ścianę, a Bubba skonał z głową wtuloną w jej ramię. Ponad jego barkami ujrzała jedno oko otoczone poparzoną skórą; drugie poruszało się gdzieś pod sklejonymi powiekami. Bubba padł na ziemię u jej kolan. Poczowała ból w nadgarstku i brutalne szarpnięcie za palce.

Grauerholz cofnął się, trzymając rewolwer w lewej dłoni. Wytarł nos prymitywnie zabandażowanym kikutem prawej ręki.

- No dobra - odezwał się i zachichotał. - A teraz pokaż mi, jak zdejmujesz majteczki.

Devlin miała tylko dwie możliwości: spełnić życzenie albo upokorzyć go. Usłyszała jakiś dźwięk dobiegający od strony schodów. Aniołkowatość Grauerholza pomogła jej podjąć decyzję.

- A po co, Hectorze? Co zamierzasz zrobić? Wyruchać mnie tym swoim kikutkiem?

Grauerholz zmrużył oko i cofnął się jeszcze o krok.

Za jego plecami, przy bramie, pojawił się Klein. Kulał i miał czerwone oczy, ale niósł w ręku stalowy pręt. Z wysiłkiem ruszył w głąb sali.

- Na pewno dogodziłbyś mi nim o wiele lepiej niż tym swoim śmiesznym małym fiutkiem - szydziła Devlin.

Przestąpiła nad ciałem Bubby, a Grauerholz raz jeszcze cofnął się o krok.

- No, dalej, Hectorze, pokaż no to swoje słodkie maleństwo. Mmm!

Grauerholz nerwowo oblizał usta.

- Niewyparzoną masz gębę jak na doktorkę, to fakt.

Klein poruszał się bezgłośnie, lecz Grauerholz uskoczył nagle w bok i odwrócił się. Wycelowwał rewolwer w pierś Kleina, a ten zamarł w bezruchu. Grauerholz patrzył na niego jak na zjawę. Klein wskazał jego rewolwer.

- Znowu ci go odbiorę, Hectorze - powiedział.

Wargi upokorzonego Grauerholza zadrżały i Devlin pomyślała, że zastrzeli jej mężczyznę na miejscu. A może taki właśnie był plan Kleina? Przyjąć kulę? W ciągu nieskończenie długiej sekundy tysięcy pomysłów przemknął przez jej głowę i ułożyła tysiąc zdań, którymi mogłaby zwrócić na siebie uwagę Grauerholza - albo skłonić go do natychmiastowego strzału. Poszła za instynktem terapeuty i wybrała milczenie. Nieskończenie długa sekunda zmieniła się w dwie. A potem w trzy. Grauerholz zachichotał i znowu spojrzął na Devlin.

- Popatrz no, doktorko, kto nas odwiedził. To chyba mój szczęśliwy dzień.

Klein parsknął śmiechem.

- A patrzyłeś ostatnio w lustro?

Złapał się za zębra, jęknął z bólu i zbliżył się jeszcze o dwa kroki.

- Dosyc tego.

Grauerholz odciągnął kurek, a Klein znowu znieruchomiał. Wiedział, jak szacuje dystans, który został mu do pokonania. Ponad cztery metry.

- Strzelę ci w brzuch, Klein. A potem, kiedy będziesz leżał i dalej się śmiał, popatrzysz sobie, jak strzelam w pizdę twojej dziewczynie.

Ciało Kleina rozluźniło się i Devlin wiedziała, że zaraz nastąpi atak. Wiedziała jednak i o tym, że jeśli będzie to gwałtowna akcja, Grauerholz naciśnie spust więcej niż raz. Tym razem musiała przemówić.

- Bębenek jest pusty, Hectorze - powiedziała. - Nie ma w nim nabołów. Bubba dostał ostatnią kulę.

Grauerholz zachichotał.

- Może i mam śmiesznego, małego fiutka, ale nie jestem głupcem.

Devlin spojrzała na Kleina i całkiem swobodnym krokiem ruszyła w stronę Grauerholza.

- Nie spiesz się, Klein, ale wykończ go - powiedziała, wpatrując się w niego. - Bębenek jest pusty.

Grauerholz nacisnął spust i kurek opadł z głuchym stuknięciem. Klein zbliżał się bez pośpiechu. Grauerholz spojrział na rewolwer, a potem uśmiechnął się głupkowato do Devlin i zaczął się wycofywać.

- I kto by pomyślał - powiedział. - Jednak mnie załatwiliście. - Wzruszył ramionami i przyłożył sobie lufę do głowy, poniżej ucha. - Zdaje się, że to jednak nie jest mój szczęśliwy dzień.

Z tymi słowami Grauerholz nacisnął spust i odstrzelił sobie dolną szczękę.

Zachwiał się, ale odzyskał równowagę. Jego oko poruszyło się i spojrzało z niedowierzaniem na dymiący rewolwer, który wciąż ścisnął w dłoni.

- Fakt. Raczej nie jest - powiedziała Devlin.

Grauerholz upuścił broń i upadł na twarz, bełkocąc coś tym, co mu zostało z języka. Rozległ się metaliczny brzęk. Klein upuścił pręt na podłogę i zgiął się wpół pod wpływem bólu. Devlin podbiegła i otoczyła ramieniem jego talię.

- Całe szczęście, że zdążyłem - wysapał. - Gdybyś zaliczyła Hectora Grauerholza, byłbym naprawdę zazdrosny.

Od strony schodów dobiegł głośny tupot, a chwilę później dwie lufy karabinowe wysunęły się między prętami kraty po obu stronach bramki.

- Klein? To ty, szczwany skurwysynu?

Kapitan Cletus stanął na progu oddziału. Gdy zobaczył Devlin, zdumienie odebrało m mowę.

- Jezu - jęknął po chwili.

Klein wstał.

- Gdzie pan się, kurwa, podziewał? - spytał.

- Oglądałem film z Doris Day - warknął Cletus. - Nic się pani nie stało, doktor Devlin?

Pokręciła głową.

- Gdybyśmy wiedzieli, że pani tu jest, zjawilibyśmy się wiele godzin temu. Naprawdę bardzo mi przykro.

Cletus szarpnął za klapę jednej z niezliczonych kieszeni kombinezonu i wyjął z niej hermetyczną, papierową kopertę. Rozdarł ją i wyjął gotowy, sterylny opatrunek. Gdy podał go Devlin, przez chwilę nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić. Cletus wskazał na jej policzek.

- Pani twarz - powiedział.

Zdażyła zapomnieć, że krwawi. Przycisnęła opatrunek do policzka - nie czuła bólu.

- Dziękuję, kapitanie.

- A dla mnie? - spytał Klein.

- Spierdalaj, Klein - odparł Cletus. - Za takie numery mam dla ciebie dziesięć lat izolatki.

Mrugnął do Devlin, po czym spojrzał na Tolsona i na osmaloną, gulgoczącą postać skuloną na podłodze. Skinął na swoich ludzi.

- Sprzątać mi to gównu.

Kiedy odciągali ciała, Cletus rozejrzał się po opuszczonej, pełnej pajęczyn sali.

- Chryste - mruknął. - Wynośmy się stąd.

Na odchodnym Devlin wyjęła z zamka klucz.

ROZDZIAŁ 32

Kiedy strażnicy dogaszali pożar na oddziale Crocketta, Devlin i Klein pomagali w ewakuacji chorych z oddziału Trávisa. Pod czujnym wzrokiem strzelców z zachodniej wieży i w blasku szperaczy wąska kolumna uchodźców wędrowała przez dziedziniec w stronę bramy głównej. Klein i Devlin znaleźli na stopniach przed drzwiami infirmerii Earla Coleya, który przyglądał się ewakuacji swoich pacjentów. Białka jego oczu nabiegły czerwienią, a oddech był krótki i płytki. Lewe ramię trzymał na zaimprovizowanym temblaku; w prawej ręce ścisnął zwinięte czasopismo o zielonej okładce. Klein spojrział na jego zmęczoną twarz.

- To już wszyscy? - spytał Coley.

Klein skinął głową.

- Ty powinieneś być pierwszy.

- Potrzebowali noszy. Pomyślałem, że zaczekam i dopilnuję, czy wszyscy wyjdą cało.

Coley popatrzył na zakrwawioną twarz Devlin, a Klein pomyślał, że Żaba czekał tu także na nich.

- Sam poleziesz do bramy czy mam tam zanieść twoją czarną dupę? - spytał.

Coley bardzo wolno wypuścił powietrze z płuc, by zapanować nad ukłuciem bólu, i pokręcił głową.

- Nie chodziłem po tym cholernym dziedzińcu od lat. Jakoś nie miałem powodu. - Uśmiechnął się, mimo kolejnego ukłucia. - Chyba jeszcze trochę tu posiedzę.

Klein wiedział, że nie może ruszyć stąd Coleya wbrew jego stanowczej woli, zwłaszcza teraz, gdy wiedział, że Coley umiera. Zwłaszcza teraz, gdy Coley też o tym wiedział. Zanim Klein zdążył wszczać kłótnię, Devlin wskazała na zwieńczenie muru daleko za gmachem głównym.

- Zdaje się, że świta - powiedziała.

Klein wytężył wzrok. Na niebie w kolorze indygo istotnie pojawiło się ledwie widoczne przejaśnienie.

Coley zmrużył oczy, spoglądając we wskazanym kierunku.

- Chyba masz rację - powiedział.

- Bez tego muru widok byłby znacznie lepszy - zauważyła Devlin.

Spojrzała na Coleya, a Coley na nią. Klein nie wiedział, co dokładnie oznaczała ta wymiana spojrzeń, ale chwilę później Coley odwrócił się ku niemu i rzekł:

- No i co? Czy stary dziad z połamanymi ramionami nie może już liczyć na niczyją pomocną dłoń?

Podnieśli go razem, a potem Coley zacisnął zęby i wolno ruszyli betonową ścieżką w cieniu zewnętrznego muru. Trzy razy musieli przystawać, gdy spazmy bólu atakowały Coleya. Za każdym razem Klein bał się, że to już koniec, lecz Coley tylko narzekał jak pieprzona stara baba, po czym kontynuowali wędrówkę. Wreszcie minęli pierwszą z bram i znaleźli się w tunelu.

W jego wnętrzu tłumy rannych i chorych więźniów doglądała grupka mocno zdezorientowanych, ale za to dobrze uzbrojonych strażników. Trzy karetki stały już w pobliżu, a ratownicy medyczni uwijali się przy pacjentach. Stalowe drzwi dzielące tunel na pół były odsunięte i właśnie mijał je czwarty ambulans. Daleka brama zewnętrzna, nabijana żelazem, była szczelnie zamknięta.

- Jak się teraz zatrzymam, to już się nie ruszę - wyrzęził Coley.

Devlin wypatrzyła Galindeza, który paląc papierosa, słuchał wywodów kapitana Cletusa. Pobieгла w ich stronę, a Klein i Coley

ruszyli dalej. Coley opierał się coraz mocniej na ramieniu Kleina, a przy każdym oddechu coś grzechotało w jego piersi. Klein poczuł strasliwą potrzebę wyznania Coleyowi tego wszystkiego, o czym nigdy mu nie mówił; czuł, że musi się spieszyć, a jednocześnie wydawało mu się to niestosowne.

- Zamierzałem ci powiedzieć, Żaba...

- Nie - przerwał mu Coley. - Sam wiem. Wiem. - Brakowało mu sił, by unieść głowę i spojrzeć na Kleina. Uśmiechnął się tylko do betonowej ściany, przy której stali. - Jestem pieprzoną starą babą, tak?

- Tak - odparł Klein i z wysiłkiem przełknął ślinę.

Minęli właśnie otwartą stalową bramę i Klein obejrzał się przez ramię. W pobliżu portierni dostrzegł Devlin, która spoglądała wilkiem na Cletusa i mówiła słowa, których wolał nie słyszeć. Cletus słuchał jej ze zbolaną miną, drapiąc się po karku, aż wreszcie skinął głową i przemówił do mikrofonu krótkofalówki. Kiedy Klein zobaczył, że Devlin wraca, odwrócił się znowu w stronę drewnianej bramy, odległej może o sześć metrów.

- Ja też miałem ci coś powiedzieć - odezwał się Coley. - Może coś ważnego.

- Co takiego?

- Nev Agry ma wirusa. Jest seropozytywny.

- Co takiego? - zdumiał się Klein.

- Chciał, żebym mu zrobił test, jakieś pięć lat temu, na długo przed twoim przybyciem.

- Nigdy mi o tym nie wspominałeś.

- Bo to nie twój jebany interes.

- Claude też to ma?

- O ile wiem, nigdy się nie badał.

Klein analizował nowiny, a tymczasem gdzieś w pobliżu zawył silnik elektryczny i skrzypiąca brama zaczęła się przed nimi otwierać. Devlin właśnie ich dogoniła i razem słuchali koncertu ptaków,

którego dźwięki niósł łagodny, pięknie pachnący wietrzyk. A niech to szlag, pomyślał Klein, to jednak są tu ptaki, i to wcale nie mewy. Coley przyspieszył kroku, coraz niżej pochylając głowę. Jeszcze trzy kroki i znaleźli się na zewnątrz.

Na zewnątrz.

Brama była umiejscowiona w południowym boku sześciokątnego muru. Rozciągał się stąd doskonały widok na dolinę i porośnięte drzewami zakole Green River. Nad horyzontem, poza linią drzew, wąski pasek czerwonego nieba przechodził stopniowo w purpurę i szarość, a potem w indygo i głęboką czerń, która piętrzyła się nad ich głowami.

- Czerwone niebo o świcie - wysapał Coley. - Niech to szlag. - Strząsnął z siebie ramię Kleina. - Chyba pójde na spacer.

Klein wypuścił go i ze ściśniętym gardłem patrzył, jak jego przyjaciel stawia trzy niepewne kroki w stronę wschodzącego słońca. Przy czwartym noga ugięła się pod Coleyem i jego wielkie ciało opadło ciężko na ziemię.

Klein i Devlin podbiegli do niego.

- Posadźcie mnie - wycharczał Coley.

Unieśli go razem i usadowili między sobą. Coley wzdrygnął się z bólu. Oddychał płytko, zaczynał tracić przytomność. Z wysiłkiem skierował oczy ku Devlin. Uniósł prawą rękę, w której wciąż ścisnął czasopismo, i wcisnął je do jej dłoni. Stronice były naznaczone krwią.

- Niech rodzina się dowie, że nie jestem tylko... - Urwał, bo z ust pociekła mu krew. Zadrzał z bólu, walcząc o jeszcze jeden oddech.

Łzy spłynęły po policzkach Devlin.

- Odnajdę ich - powiedziała. - Obiecuję.

Coley popatrzył na nią, uśmiechnął się i skinął głową. Devlin spojrzała na Kleina, a potem schyliła się, ucałowała zakrwawione usta Coleya i zaraz wstała, by wrócić do bramy. Klein i Coley zostali sami, zapatrzeni w słońce.

- Ekspres Pea Vine Special, proszę wsiadać - szepnął Coley.

Ucisnął dłoń Kleina.

- Cieszę się, że wsiadamy tego samego dnia - dodał.

Jego twarz pobladła. Klein pokiwał głową, bo nie mógł wydobyć z siebie głosu. Kurczowo zaciśnięte szczęki zaczynały boleć. Żółtawe, nabiegłe krwią oczy Coleya zniknęły pod powiekami po raz ostatni. Szerokie nozdrza zaczerpnęły potężny haust powietrza.

- Cholera, pięknie pachnie - powiedział.

A potem wielka, czarna skała, która była jego głową, opadła w dół i Żaba skonał.

Gdy ucichł ostatni dźwięk w piersi Kleina, nadszedł czas, by ułożyć Coleya na ziemi i powstać. Konwój pojazdów z chrzęstem toczył się drogą w kierunku więzienia. Gwardia Narodowa, pomyślał Klein. W zasadzie było mu wszystko jedno. Spojrzał ostatni raz na Coleya, na jego kanciastą twarz, tak teraz spokojną, a potem odwrócił się i ruszył ku bramie.

Devlin czekała na niego.

- Dzięki - powiedział.

Skinęła głową. W tunelu pełno było strażników, którzy pokrzykiwali na nich i na siebie nawzajem. Ciężarówki Gwardii Narodowej wjeżdżały do środka jedna po drugiej. Dotarli do portierni, gdy Reuben Wilson pochwyił Kleina za ramię. Victor Galindez stał za nim.

- Cletus chce tam wpuścić armię, facet. - Wilson lekko się pochylał, podtrzymując brzuch jedną ręką. W jego włosach pełno było zakrzepłej krwi.

Klein popatrzył na Galindeza.

- Cletus? A gdzie Hobbes?

- Zwolniony z obowiązków - odparł Galindez. - Z przyczyn zdrowotnych.

- Świetnie. Ale po co wojsko?

- Stokely Johnson zamknął Agry'ego i pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu jego najwierniejszych żołnierzy w bloku D. Szykują się,

żeby ich spalić. Znam Stoke'a. - Wilson postukał palcem w skroń. - Nic tam nie ma, prócz dymu. Naprawdę to zrobi.

- Gdybym naprawdę bardzo się postarał - odparł Klein - może obchodziłoby mnie to jeszcze mniej. Ale tylko troszkę.

- Agry zabrał ze sobą do D wszystkich zakładników - rzekł Galindez. - Dwunastu ludzi.

- Wyrazy współczucia dla nich - odparował Klein.

- Johnson się nie podda, póki Agry tego nie zrobi - powiedział Wilson. - A i wtedy jedynie „być może”. Tamten skurwiel ma sporo na sumieniu.

- Wiem. Byłem tam.

- Jeżeli Johnson spali blok D - wtrącił Galindez - Cletus nie będzie miał wyboru. Będzie musiał posłać tam Gwardię.

- Będzie rzeźnia, facet - stwierdził Wilson.

- A co ja mam z tym wspólnego? - spytał Klein.

- Może potrafiłbym przekonać Stoke'a - zasugerował Wilson. - Jeśli Agry podda się pierwszy.

- Ale ty tam nie wracasz - stwierdził Klein.

- To moi ludzie, Klein - odparł Wilson, patrząc na niego z powagą. - A może zwykłe łajdaki - dorzucił, zerkając na Devlin.

Klein nie odpowiedział. Gdy dotarło do niego, na co się zanosi, popatrzył na Devlin, szukając moralnego wsparcia, lecz ona tylko spojrzała z lękiem na niego, a potem na Galindeza i Wilsona.

- Nie rozumiem - powiedziała. - Agry nie ma już powodu, żeby słuchać Kleina bardziej niż któregoś z was.

Wilson dostrzegł w jej oczach strach i pokiwał głową.

- Pewnie masz rację - odparł, spoglądając na Kleina.

W tej samej chwili, w której Klein zdał sobie sprawę, że nareszcie pojmuje zasady wpojone mu mimowolnie przez Earla Coleya, zorientował się też, że Wilson wyczytał to z jego twarzy. I że nie ma innego wyjścia.

- Nie całkiem - powiedział. - Nie wiem, czy wam to kiedyś mówiłem, ale Coley był pieprzoną starą babą.

Devlin spojrzała na niego z lękiem. Klein skinął na Wilsona.

- Zaraz do ciebie przyjdę - obiecał mu.

Wilson popatrzył na zaniepokojoną Devlin z lekkim poczuciem winy. Po chwili oddalił się z Galindezem.

- Naprawdę sądzisz, że twój powrót coś zmieni?

- Zanim Coley umarł, powiedział mi, że Agry ma HIV.

Klein westchnął i potarł twarz dłońmi. Poranione zakończenia nerwowe już nie reagowały. Jego żebra i plecy były jedną masą bólu. Rana kluta w łydce zeszytniała i spuchła. Do tego był wykończony.

- Gdyby ludzie Agry'ego o tym wiedzieli - rzekł - raczej nie byliby chętni, by iść na dno razem z nim.

Devlin dotknęła jego twarzy; znowu była z nim. Była z nim. Spoglądając w jej wymęczone oczy i na brudną, skaleczoną nożem twarz, Klein pomyślał, że nigdy nie wyglądała piękniej.

- Nic nie mów - powiedział.

Pocałowała go, a on odwzajemnił pieśczoć. Po chwili uśmiechnął się głupawo. Odsunęła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co się dzieje?

- Właśnie mi stanął - odparł Klein.

Teraz i Devlin wyszczerzyła się do niego.

- Więc przynieś go prędko z powrotem, w jednym kawałku. Nawet gdybyś miał nie przynieść niczego innego.

Wkrótce potem Ray Klein i Reuben Wilson wyszli spod łuku wielkiej, drewnianej bramy i skierowali się ku gmachowi więzienia.

ROZDZIAŁ 33

Gdy zbliżali się do bramy skrzydła ogólnego przeznaczenia, Klein ujrzał trzech białych więźniów, powieszonych na jej górnych prętach. Z jeszcze mniejszej odległości stwierdził, że jeden z nich jest nagi od pasa w dół i że ucięto mu kutasa i jaja. Wilson nie spojrzał Kleinowi w oczy.

Weszli do budynku.

Tym razem światła były włączone i gdyby Klein postanowił przyjrzeć się bliżej skutkom orgii zniszczenia, mógłby to zrobić znacznie skuteczniej niż poprzednim razem, gdy pokonywał tę trasę z Hankiem Crawfordem na plecach. Ale nie postanowił. Patrzył prosto przed siebie, podobnie jak Wilson, którego miał po lewej. Minęli grupkę czarnych i Latynosów, którzy prowadzili niebezpiecznie gwałtowną dysputę. Na widok Wilsona niektórzy wymamrotali jego nazwisko. Na końcu korytarza widać było tłum kłębiący się u podnóża centralnej wieży strażniczej. Kiedy skrócili dystans dzielący ich od zbiegowiska, Klein usłyszał okrzyki, które wydały mu się znajome. Od ostatniego popołudnia mocno zmieniła się tożsamość wielu z tych ludzi, a nawet kolor ich skóry, ale impulsy, które nimi kierowały, pozostały takie same. Klein przypomniał sobie znowu stałą Boltzmanną: nieporządek zawsze narasta w zamkniętym systemie. Był ciekaw, co jest odwrotnością twierdzenia. Co miało nastąpić teraz, gdy nieporządek zatriumfował? Coraz liczniejsi więźniowie rozpoznawali Wilsona, a wiadomość o jego powrocie rozchodziła się

błyskawicznie, wywołując falę podniecenia. Uśmiechnięte twarze, pozdrowienia, pięści uniesione w niemym salucie. Lecz kiedy to Klein przypadkiem spojrział komuś w oczy, widział w nich tylko gniew i podejrzliwość. Dotarli do atrium i tłum rozstał się przed nimi. Wysoko, nad głowami zgromadzonych, piętrzyła się szklana kopuła otoczona okrągłą galerią. Światła w tej części gmachu nie działały, lecz wystarczającą iluminacją był blask lamp z wszystkich sześciu skrzydeł. O kilka kroków od bramy bloku D stały beczki i wiadra z ciemnym, gęstym płynem. Znalazł się nawet jeden z wielkich, stalowych kotłów z kuchni. Wszystkie pojemniki napełnione były ropą. Tu i ówdzie widać było w tłumie palących papierosy albo skręty; Klein pomyślał, że jeśli najpierw sami siebie nie spalą, to bez wątpienia są gotowi odpłacić ludziom Agry'ego tą samą monetą. Blok D był zamknięty, a tuż za kratą żołnierze Neva ułożyli sięgającą piersi warstwę materaców, którą teraz polewali wodą z wszelkich dostępnych naczyń.

Na ich twarzach malował się fatalistyczny upór.

- Stoke!

Klein odwrócił się, kiedy usłyszał wołanie Wilsona. Tłum znowu się rozstał. Na obrotowym krześle, umocowanym do stojącego u bramy bloku B wózka na bieliznę, siedział Stokely Johnson. Jego nos i większość twarzy wokół rany postrzałowej były potwornie opuchnięte. Nieco wyżej oczy lśniły równie niezdrową nienawiścią. Gdy zobaczył Wilsona, nienawiść nieco przygasła, ale naprawdę nieznacznie. Klein zatrzymał się na skraju kręgu utworzonego przez gapiów, a Stokely spojrział na niego tylko przelotnie. Wilson wyciągnął rękę. Stokely kiwnął głową i zdobył się na krótki, mocny uścisk.

- Rzuciłeś skurwieli na kolana, Stoke - powiedział Wilson.

Stokely znowu skinął głową. Otworzył usta i przemówił niespiesznie:

- Tylne wyjście z D jest zamknięte. Nie mają dokąd uciec.
- Skąd wzięłeś paliwo?
- Z szopy z generatorem.
- Dobrze się spisałeś, facet.

Stokely pokiwał głową, ale nie odpowiedział. Tłum przyglądał się tej scenie z wyczekiwaniem. Wilson cofnął się o krok od wózka.

- Chcę, żebyś ich wypuścił, Stoke - rzekł.

W tłumie rozległ się głośny pomruk. Wszyscy czekali, a Stokely pokręcił głową.

- Większość białasów zamknęliśmy w A i teraz srają ze strachu. Dałem im szansę: mogą wyjść i stanąć przed naszym sądem. To więcej, niż zaoferowali nam. Ale skurwieli z D chcą zabić.

Tłum głośno wyraził poparcie dla Johnsona. Klein poczuł, że jeża mu się włosy na przedramionach. Wilson odczekał, aż wszyscy umilkną.

- Na zewnątrz czeka Gwardia Narodowa.
- Pieprzyć Gwardię Narodową.
- Spróbuj tylko spalić klawiszy, którzy byli zakładnikami

Agry'ego, a Gwardia załatwi naszych przy tylnej bramie, o, tak. - Wilson wykonał pustą pięścią ruch symulujący masturbację. - Wypuszczą ludzi Agry'ego, żeby ratować zakładników, a potem wejdą tu i zgaszą pożar naszą krwią. I możesz być pewny, że w tych wojskowych ciężarówkach są same białasy, które od urodzenia marzyły o tej chwili: oto cała gromada czarnuchów i można ich wytłuc!

Stokely Johnson odezwał się podniesionym głosem:

- Nie boimy się śmierci! Ale jeśli teraz się nie postawimy, nikt nigdy się nie dowie, kim naprawdę jesteśmy!

Wilson podszedł do gapiów i wyrwał komuś z ręki brzytwę. Przeciął plaster, którym obwiązany był jego tułów, i zerwał go obiema rękami, odsłaniając wielką bliznę, biegnącą od mostka po krocze.

- Oto, kim jestem! - zawołał.

Dały się słyszeć westchnienia i okrzyki zaskoczenia.

- Wszyscy wiecie, skąd przychodzę.

Szmer uznania.

- Ci skurwiele chcieli nas spalić. Dają nam wycisk, kiedy mogą. Szczali nam w twarze, kiedy klęczeliśmy w łańcuchach. I będą to robić jutro, i za tydzień, i za rok, i jeszcze dłużej. Wiem o tym. Wiem lepiej niż wy wszyscy. Ale to tylko ludzie. A my musimy być ludźmi bardziej niż oni.

Wilson zwrócił się znowu do Stokely'ego.

- Oto, kim jesteśmy.

Johnson spojrział po twarzach otaczających go towarzyszy. Zatrzymał wzrok na Kleinie i tym razem chyba zrozumiał. Klein odwrócił głowę.

- Chcesz tam posłać Doktorka? - spytał Stokely.

- Zdoła namówić ludzi Agry'ego do kapitulacji. Przed nami. To oni zaczęli, a my skończymy. Skończymy to tak, jak należy, jak oni się tego po nas nie spodziewają. Tak, jak sami nie potrafiliby tego skończyć. Pozwolimy im odejść.

Wilson umilkł i rozejrzał się po kręgu twarzy. Znowu miał wszystkich po swojej stronie. Skinął głową do Stokely'ego.

- A jak będziesz później chciał uciąć Agry'emu kutasa, to sam go dla ciebie przytrzymam.

To wystarczyło. Stokely skinął głową, a Klein stwierdził, że wszystkie twarze zwracają się teraz ku niemu. Dzięki, chłopaki, pomysłał, spoglądając w stronę bloku D. Białe twarze zgromadziły się za barykadą, nasłuchując. Odwrócił się.

- Odwołaj ludzi z tylnej bramy - powiedział.

Wilson przywołał kogoś ruchem dłoni i przekazał mu instrukcje. Klein podszedł do bramy bloku D.

Wysoko ponad stertą materacy pojawiła się szczupła twarz w drucianych okularach. Jeżeli w takiej chwili można było cieszyć się z

czegokolwiek, to Klein ucieszył się na widok Tony'ego Shocknera. Być może rozmowa z Agry'm o tym jego jebanym wirusie w ogóle nie będzie konieczna, pomyślał. Shockner wyglądał na zaniepokojonego, ale i zadowolonego z wizyty Kleina.

- Tony.
- Klein - odpowiedział Shockner. - Jaki wynik?
- Idziecie do piekła w czwartej kwarcie.

Shockner pokiwał głową.

- Tak przypuszczałem. Zostały nam jakieś zagrywki?

- Walkower - odparł Klein. - Wilson pozwoli wam wyjść, klasycznie pierwsi.

- Mamy mu zaufać?
- Zaufaliście Agry'emu. Gorzej nie można.

Shockner przez długą chwilę przyglądał się Kleinowi zza krat i widać było, że mocno się nad czymś zastanawia.

- *Semper fidelis* - powiedział w końcu.

Klein pomyślał o swoim ojcu, a potem zaraz o Agrym, który wycierał sobie gębę mottem Korpusu Piechoty Morskiej.

- Gównu, nie *semper fidelis* - odparł. - Agry wydymał was wszystkich. Ma w dupie ciebie, Claude'a i całą resztę.

- Nev jest twardy i może źle zrobił, że zorganizował to wszystko, ale jest w porządku. Oddałby siebie za każdego z nas.

- Agry umiera - odparł Klein.

Shockner zdębiał.

- Rozumiesz? - ciągnął Klein. - On i tak umrze, i to niedługo. To dlatego gównu go to wszystko obchodzi.

- Na co umiera? - spytał Shockner.
- A co za różnica?
- Na raka? - nie ustępował Shockner.

Spoglądając na jego twarz, Klein zrozumiał, jak bardzo Shockner pragnie zachować choć odrobinę tej lojalności i podziwu, którymi darzył Agry'ego. Bo jeśli prostacka charyzma Neva zmusiła Claude'a

do tego, by został jego żoną, to Shockner śmiało mógł się nazywać jego synem. Lecz tak naprawdę nie obchodziło Kleina, w co Shockner wierzy i czego potrzebuje. Chciał tylko wrócić do domu.

Skinął głową.

- Tak, Tony, wielkie R. Może wypalił o jednego lucky'ego za dużo - odpowiedział. - Ale pamiętaj, *semper fidelis* powinno działać w obie strony. On także jest ci coś winien. - Klein skinął głową w stronę wymizerowanych twarzy za plecami Shocknera. - A ty jesteś coś winien im.

Punkt równowagi w umyśle Tony'ego przesunął się w nowe miejsce. Shockner oddalił się od kraty i przekazał instrukcje swoim ludziom.

Klein oparł przedramiona o pręty, a czoło ukrył między ramionami, nasłuchując pulsu swoich ran i siniaków. A potem pomyślał: to już koniec. Mógł stąd odejść i nikt by go nie zatrzymał, nawet to pieprzone sumienie. I nagle ogarnęło go śmiertelne znużenie. Słyszał, że ludzie Shocknera odciągają jeden po drugim wilgotne matrace. Marzył, by ułożyć się na którymś z nich, mokrym czy nie, i nareszcie zasnąć. Tylko na chwilę. Główna brama więzienia była daleko stąd. Jego nogi były zbyt słabe. Potrzebował tylko ożywczej drzemki i odzyskałby siły.

Ocknął się gwałtownie, całkiem skołowany, gdy ktoś otworzył bramę. Przez parę minut czy sekund spał na stojąco. Teraz podszedł bliżej, oparł się plecami o pręty i patrzył na rząd obszarpanych, splamionych krwią mundurów khaki wyłaniających się z bloku D. Grierson, Burroughs, Sandoval, Wilbur i jeszcze kilku innych zakładników spoglądało na niego niepewnie, wciąż z lękiem. Chwilę później zaczęli wychodzić - pojedynczo lub parami - ludzie Agry'ego. Ci rozglądali się z jeszcze większym lękiem, do białości zaciskając palce na broni, gdy tak paradowali kolumną przez środek masy rozwścieczonych, czarnych twarzy. Klein przetarł palcami oczy,

wciąż swędzące od gazu, dymu, bakterii i Bóg wie jakiego innego gówna. Tak, mógł to zrobić, do diabła, skoro zaszedł tak daleko. Był wojownikiem shotokan. Mógł wrócić do głównej bramy, zanim zapadnie w śpiączkę. Gdyby sen dopadł go dopiero tam, Devlin byłaby pod ręką, zaopiekowałaby się nim. Tak. Ona też miała za sobą ciężki dzień, ale to on musiał pokonać większy dystans, i do tego w trudniejszym terenie, zatem byłoby to fair. Musiał tylko natychmiast otrząsnąć się z letargu i zacząć odpowiednio stawiać stopy: najpierw jedną, potem drugą...

Rozległ się huk wystrzału.

Klein nawet nie podskoczył, ale rozbudziło go to na tyle, że poczuł skurcz brzucha i mdłości.

- Klein! - To był głos Agry'ego, bardziej wojowniczego po paru głębszych. - Pokaż no się, kutafonie!

Kto mógł, nurkował na bruk. Klein nie czuł się na siłach, zresztą to i tak nic by nie dało. Odwrócił się wolno i spojrzął za kratę. Ciało Shocknera leżało w głównym korytarzu, twarzą ku ziemi. Kula trafiła go w plecy. Klein stanął w bramie i oparł się rękami o jej boki. Chciał utrzymać się na nogach przynajmniej do czasu, aż Agry go zastrzeli.

- Co jest, Nev? Skończyły ci się pedały, które mógłbyś pozabijać?

Agry stał naprzeciwko niego, niecałe dziesięć metrów w głąb korytarza. W prawej ręce trzymał od niechcenia chyba dość ciężki pistolet automatyczny o krótkiej lufie. Klein nie rozpoznał marki i, jak to zwykle bywało, kompletnie niepotrzebna myśl przyszła mu do głowy w kompletnie nieodpowiednim momencie: będzie musiał sprawdzić to w domu. Jasne. Mógłby przecież dostać świra na punkcie broni.

- Nadal masz tę swoją pukawkę, Doktorku? - zawołał Agry.

- Nie - odpowiedział Klein. - Oddałem Grauerholzowi.

- Tak? A jak się miewa Hector?

- To nie był jego najszcześniejszy dzień. A co u ciebie?
- U mnie? - Agry zaśmiał się tak, że echo jego przepitego głosu wróciło aż spod kopuły. - Wiesz co, Doktorku? Urządziłem sobie bal.

- „Oczarowanie niezwykle jak błękit nieba” - podpowiedział Klein.

Agry wydawał się teraz trzeźwiejszy, a w jego oczach Kleina dostrzegł przez sekundę coś, czego wolałby nigdy nie oglądać: smutek, którego nigdy by się po nim nie spodziewał.

- Owszem - odrzekł Nev Agry. - Można to tak ująć.

Ręka uzbrojona w pistolet opadła. Agry przywołał Kleina gestem drugiej dłoni.

- Chodźmy, Doktorku, postawię ci drinka.

Zanim Klein zdążył przekalkulować, że i tak nie ma wyboru, szedł już - najspokojniej jak umiał - korytarzem zrujnowanego bloku. Rzeczywiście, do dokończenia dzieła zniszczenia brakowało tu już tylko porządnego holokaustu. Agry zarzucił ręce na ramiona Kleina, który jakimś cudem zdołał nie upaść. Ruszyli razem w stronę celi na parterze.

- Chryste, facet, naprawdę wyglądasz mi tak, jakbyś potrzebował kielicha. - Oddech Agry'ego był przesycony wonią bourbona.

- Dzięki, Nev. To naprawdę urocze z twojej strony, że doprowadziłeś mnie do takiego stanu.

Agry zarechotał głośno i wszelki ślad smutku zniknął.

- Powinieneś występować na scenie, Klein. A właśnie - to chyba żydowskie nazwisko, co?

- Mniej więcej.

- Nie zrozum mnie źle - lubię Żydów. Wszyscy najlepsi komicy to Żydzi. Nadają się też na lekarzy.

Klein, wojownik shotokan, kochanek i bohater Wielkiego Oblężenia Infirmierii, poczuł nagle głębokie przygnębienie. Nev właśnie zredukował go do najbardziej banalnego stereotypu. Zza drzwi celi

Agry'ego wyrzwał Claude Toussaint, ubrany w czerwoną bieliznę, pas do pończoch i całą resztę rynsztunku.

- Hej, kochanie - zawołał Agry. - Mamy gościa. Wyciągaj czyste szkło.

- Zostanie na obiad? - spytała Claudine.

Klein poczuł lekki zawrót głowy, ale być może to Claude miał rację: dołącz do Agry'ego w świecie jego fantazji, a będziesz bezpieczny. Przez jakiś czas. Tylna brama bloku D uchyliła się nieco i grupka ludzi Agry'ego, kulących się dotąd gdzieś na końcu korytarza, popędziła w jej stronę. Agry uniósł broń i nie wymierzywszy specjalnie, oddał trzy strzały. Więźniowie rozpierzchli się na boki, ale dwóch z nich upadło, wijąc się i krzycząc.

- Kutafony - wymamrotał Agry, po czym z uśmiechem zwrócił się do Claudine: - Byłoby naprawdę miło, skarbie, ale chyba nie będzie na to czasu. Chodź, Klein.

Weszli do celi i zasiedli wokół stolika. Agry włączył magnetofon i z głośników popłynęły pierwsze takty *Róży z San Antonio* Boba Willsa i Texas Playboys. Claudine nalała maker's mark do pustych słoików po konfiturach.

Agry poczęstował gościa luckym, ale gdyby Klein chciał kiedyś zapalić ostatniego papierosa, to na pewno nie z nim. Pokręcił głową.

Agry położył pistolet na stoliku i pociągnął zdrowy łyk bourbona.

- Te cioty nie wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi. Ale ty wiesz, Doktorku, prawda?

Klein upił trochę - trunek nie był zły, ale też nie tak dobry jak bimber Doherty'ego. Pistolet leżał kilkadziesiąt centymetrów bliżej Agry'ego niż jego gościa. Najbliżej miała do niego Claudine, ale nawet nie patrzyła w jego stronę. Wpatrywała się niespokojnie w Kleina i prawie niezauważalnie kiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Zgadza się we wszystkim z tym skurwielem”.

Klein wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewny, czy wiem, co masz na myśli.
- Powiem tak: spójrz na siebie. Przeszedłeś przez piekło i potop, żeby dotrzeć do infirmerii, do swojej pani. Nie myślałeś nawet, czy wyjdiesz z tego żywy; po prostu musiałeś tam być. Mam rację?

Klein skinął głową.

- Masz rację.

Agry huknęła otwartą dłońią w blat stolika.

- Wiedziałem. Jesteśmy, cholera, z tej samej gliny. Ty i ja. Jedyni faceci w całym tym jebanym przybytku, którzy wiedzą, o co chodzi.

Pod Alamo znalazłem to oczarowanie,

Niezwykle jak błękit nieba, co zachwyca...

Agry słuchał, a w kącikach jego oczu przybywało drobniutkich zmarszczek. Z każdym łykiem whiskey jego mowa stawała się bardziej bełkotliwa.

- Miłość, Klein. Ta prawdziwa. Wszystko to.... - Agry zatoczył ręką krąg, wskazując na wszechobecne zniszczenia - ...wszystko to dla miłości. Przedtem tak naprawdę nigdy mi nie wierzyła. - Spojrzał na Claudine. - Prawda, skarbie?

Claudine nie śmiała odpowiedzieć. Agry pogładził ją po policzku i znowu zwrócił się do Kleina.

- Słyszałeś o Tadz Mahalu w Indiach, Doktorku? Na pewno tak. Klein pokiwał głową.
- Otóż nie jest to pałac czy zamek, jak się to ludziom wydaje. To jest dar miłości, który jakiś facet wybudował dla swojej pani. To jest, kurwa, gigantyczna bombonierka. No powiedz, czy to nie jest coś?

Klein znowu skinął głową i upił łyk bourbona.

- A to jest moje Tadz Mahal dla niej.

Agry pochylił się i pocałował Claudine. Klein popatrzył na pistolet. Nie ma mowy, pomyślał. Nie był też zdolny do stawienia Agry'emu czoła w walce wręcz. Nie w takim stanie. Musiał postawić na Claudine. Albo jeszcze lepiej - na Claude'a.

- „Lico, które posłało w morze tysiąc okrętów” - powiedział.

Agry odsunął się od Claudine.

- No, ładny tekst - pochwalił. - Bardzo ładny. Taki z wykopem.

- Cieszę się, że ci się podoba - odparł Klein. - Powiedz, kiedy poznałeś Claude'a?

Claude strzelił oczami w jego stronę.

- Tu nie ma żadnego Claude'a - wycedził Agry.

- Ale kiedy? - powtórzył Klein.

- Siedziałem od sześciu miesięcy - odpowiedział Claude swym normalnym głosem. - Czyli niecałe cztery lata temu.

Klein spojrział Agry'emu prosto w oczy.

- Zatem wtedy już wiedziałeś, że masz wirusa.

- Jakiego wirusa? - spytał Claude.

- Dlaczego jej nie powiedziałeś? - naciskał Klein.

Agry milczał długo, wpatrując się w Kleina, a na jego twarzy malowały się coraz to inne emocje, z którymi nie umiał sobie poradzić.

- Był po prostu kolejnym długonogim czarnuchem z ładnymi wargami - wypalił wreszcie. - Co mnie to obchodziło? - Agry odwrócił się ku Claude'owi. - A teraz i tak chciałaś ode mnie uciec, suko. Na to pieprzone warunkowe. Dałem ci...

- Hobbes ci o tym powiedział? - przerwał mu Klein.

Agry praktycznie na niego nie spojrział, gdy uderzał na odlew, prosto w twarz. Klein runął na podłogę. Wyślizgane brukowce wydały mu się cudowne w dotyku, miękkie jak gęsi puch. Stan braku świadomości kusił go słodką kołysanką, którą w innej sytuacji nazwałby dzwonieniem w uszach, ale uszy Kleina rejestrowały coś jeszcze: płaczliwą tyradę Agry'ego.

- Dałem ci, kurwa, wszystko, co miałem, dałem ci to, co najlepsze, dałem ci swoje życie, stworzyłem cię, ty suko, a ty mi odpłaciłaś ucieczką! Nawet mnie, kurwa, nie zapytałaś...

Klein przysypiał. Miał wrażenie, że próbuje zapaść w sen w jakimś parszywym motelu, z hałaśliwą parą za ścianą. Aż nagle przesywający głos, w stu procentach kobiecy, zaczął wrzeszczeć w nieopisaną furii, anulując jego półsen skuteczniej niż wystrzał z pistoletu.

- Dałeś mi AIDS, ty pedalski skurwysynuuuu!

Ostatnia samogłoska niosła w sobie niebывały ładunek negatywnych emocji. Biadolenie Agry'ego przepadło w niej ze szczętem.

- Wiedziałaś! Wiedziałaś, a jednak pompowałeś we mnie tę swoją śmierdzącą spermę! Przez tyle lat! Ty pedale! Ty pedale!

Klein zdołał klęknąć. Chwycił się prętów kraty, żeby wstać. Usłyszał za plecami szuranie krzesła, odgłos uderzenia, a potem znowu przepelnione żalem jęki Agry'ego.

Klein odwrócił się. Agry klęczał ze złożonymi rękami, a nad nim stała Claudine, zdecydowanie Claudine, o płonących oczach. Mierzyła z ciężkiego pistoletu automatycznego prosto w mokrą od łez twarz Agry'ego.

- Ale ja cię kocham, Claudine!

Claudine strzeliła trzy razy, w pierś. W zamkniętej przestrzeni huk wystrzałów był ogłuszający. Woń spalonego kordytu dotarła do nozdrzy Kleina. Było po wszystkim. To jednak Claudine, nie Claude, jak spodziewał się Klein, znalazła w sobie dostatecznie dużo szalonego gniewu. Rzuciła broń na stolik i usiadła, wpatrując się w przestrzeń. Po chwili Klein odzyskał słuch, a Claudine zaczęła płakać. Podszedł do niej i przycisnął jej głowę do piersi.

- Rzecz w tym - szlochała - że on naprawdę mnie kochał. Jak nikt inny przedtem.

- Wiem - odpowiedział Klein. - Los jest dziwką.

Claudine uniosła głowę, żeby upewnić się, czy mówił poważnie. Klein wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej.

- Do diabła, Claude. Chodźmy stąd, zanim Gwardia Narodowa odstrzeli nam jaja. Pamiętasz jeszcze, że masz coś takiego?

Claudine po raz ostatni wydmuchała i wytarła nos, a potem zniknęła na zawsze. Claude zdarł z piersi czerwony biustonosz.

- Szlag by to. Jak mnie czarni bracia zobaczą w tych ładach, to Gwardia Narodowa nie będzie im potrzebna: pozdychają ze śmiechu, skurwiele.

Zaczął ściągać majteczki, ale zatrzymał się w porę, zażenowany.

- Idź już - powiedział. - Muszę się przebrać.

Klein podniósł pistolet, po czym wyjął naboje z komory i magazynka. Włożył amunicję do kieszeni i wyszedł. Blok był pusty. Ludzie opuścili Agry'ego. W bramie czekał tylko Wilson z trzema towarzyszami.

- Kurwa, facet, już mieliśmy iść po ciebie.

Za ich plecami, przy kracie, stał wózek, na którym wożono Stoke-ly'ego. Pozostali - w atrium zebrało się co najmniej kilkuset ludzi - ustawili się nieco dalej, za Johnsonem, który obserwował pusty blok D. Klein wyjął z kieszeni naboje.

- Agry nie żyje - powiedział. - Wasz człowiek, Claude, go rozwalil.

Rzucił amunicję do stóp Stokely'ego. W jego oczach widział tłumiony szacunek.

- W takim razie pora na piwko - oznajmił Wilson.

Klein uśmiechnął się, lecz w tej samej chwili uchwycił kątem oka jakiś ruch, gdzieś w górze. Zadarł głowę.

- Jeszcze nie - odparł.

Na galerii, która otaczała podstawę szklanej kopuły, pojawił się naczelnik Hobbes. Wyszedł drzwiami, które znajdowały się w narożniku między potężnymi murami bloków B i C, i nie patrząc w dół, podążył po obwodzie kopuły.

- Naczelniku! - krzyknął Klein. - Już po wszystkim!

Jego głos utonął w gwiełku gwizdów i obelg, rzucanych chóralnie przez skazańców. Hobbes niósł coś w rękę, lecz Klein nie był w stanie określić, co to było - czyżby walizeczka? Dobrze, że nie karabin maszynowy, pomyślał. W słabym świetle trudno było dostrzec twarz naczelnika. Szedł wokół kopuły tak długo, aż znalazł się prawie dokładnie nad Kleinem i pozostałymi. Wilson dawał swym towarzyszom znaki, by się uciszeli, ale zbyt wiele było w nich jeszcze gniewu, który musieli rozładować. Nie przestawali więc krzyczeć i gwizdać. Hobbes uniósł rękę i postawił tajemniczy przedmiot na barierce: był to czarny, plastikowy kanister o pojemności dziesięciu litrów. Bez słowa zdjął zeń zakrętkę i zaczął wylewać na siebie jego zawartość.

Benzyna sphywała po jego garniturze i niczym strumień z prysznicza opadała na stojących w dole. Tłum zafalował i rozstąpił się. Klein czuł, że ogarnia go panika. Miał wrażenie, że rozprzestrzenia się jak fala, docierając kolejno do wszystkich. Głośne drwiny zmieniły się w okrzyki trwogi. Hobbes był już zupełnie mokry. Klein opuścił głowę i zauważył, że przypadkowo oblanych benzyną jest więcej, a na domiar złego zbiorniki z ropą, które kazał zgromadzić Stokely, stoją dokładnie pod miejscem, w którym znajdował się naczelnik Hobbes.

- Lepiej ich stąd wyprowadź - powiedział.

- Hej, skurwiele, przeprowadzka! - zagrzmiął Wilson. - Rozchodzić się we wszystkich kierunkach! Wychodzimy, już!

Niemal wszyscy rzucili się w stronę skrzydła ogólnego przeznaczenia.

- Powiedziałem: we wszystkich kierunkach! Przez bramy bloków!

Chyba nikt go nie usłyszał. Nieliczni stojący na obrzeżach tłumu uciekli do stołówki i bloków B oraz C, ale większość skupiła się w dziką masę ciał, prącą w stronę skrzydła ogólnego przeznaczenia i głównej bramy. Wilson kierował najbliższym stojącym do D. Ktoś popchnął i przewrócił wózek z obrotowym krzesłem; Stokely Johnson zeskoczył w porę, ale zderzył się z Kleinem.

- Do A - powiedział Klein.

Gdy Stokely zaczął przeciskać się w stronę bramy bloku A, nawołując, by bliżej stojący szli za nim, Klein znowu zadarł głowę. Hobbes odstawił już kanister i właśnie wygłaszał przemówienie do więźniów. Na dole panował taki tumult, że Klein nie usłyszał ani jednego słowa, ale Hobbes wydał mu się nagle niesłuchanie stary i kruchy, jakby została z niego sama zasuszone skóra. Stojąc w mokrym, ociekającym benzyną ubraniu i wygłaszając mowę, której nikt nie mógł usłyszeć, wyglądał po prostu żałośnie. Hobbes wytarł dłonie i czoło białą chustką, a potem wyjął z wewnętrznej kieszeni płaską paczkę zapalek.

- Spadamy, facet - zawołał Wilson. - Z powrotem do D.

Gdyby Hobbes podpalił się teraz i spowodował zapłon beczek z ropą, zginęłoby bardzo wielu ludzi, a jeszcze więcej doznałoby poważnych poparzeń.

- Naczelniku! - ryknął Klein. - Hobbes!

Hobbes spojrzał w jego stronę. Przez chwilę Klein dostrzegł jakby cień rozpaczony na stałe wryty w rysy jego twarzy, ale Hobbes odwrócił się szybko. Oderwał zapalną. Klein miał właśnie rzucić się do biegu w stronę bramy bloku D, ale zamarł.

Na galerii pojawiła się druga postać i zaczęła zbliżać się do Hobbesa.

Była tak wielka, że musiała się schylać pod taflami szkła, z których składała się majestatyczna kopuła. Ociekała krwią z kilkunastu ran i od stóp do głów była pokryta szlamem i fekaliami. Na głowie miała baseballową czapkę z białym X nad daszkiem.

Henry Abbott powstał z samych głębin więzienia, by dołączyć do naczelnika Hobbesa na samym szczycie Green River.

Serce uwięzło Kleinowi w gardle.

Hobbes potarł zapalką o draskę. Nie zapaliła się. Spróbował drugi raz. Nic. Wyrwał kolejną. Odwrócił się nagle, gdy padł na niego cień Abbotta. Gdy pojawił się płomień drugiej zapalki, Henry zgasił ją dwoma palcami, łagodnym, jakby ptasim ruchem. Przerażony Hobbes oparł się plecami o barierkę i odchylił mocno. Abbott chwycił go za ramię i pociągnął ku sobie, a potem schylił się i wyszeptał coś wprost do jego ucha. Hobbes znieruchomiał, wpatrzony w jego wielką twarz. Jak zahipnotyzowany, wolno uniósł rękę i wyjął coś z kieszeni na piersi marynarki. Skrawek papieru. Otworzył dłoń i spojrzał nań przelotnie. Henry Abbott rozłożył ramiona, objął Hobbesa i przycisnął do piersi. To nie była walka. Obserwując ostatni uścisk Hobbesa, Klein nagle poczuł na sobie spojrzenie nowych, jasnych oczu Abbotta. Wzdrygnął się, ale nie opuścił głowy.

Gdy Hobbes przestał oddychać, Abbott przykucnął i zarzucił go sobie na ramię jak worek cementu. Hobbes zawisł bezwładnie, z szeroko otwartymi oczami. Henry zatrzymał się, spojrzał w dół, na Kleina, i uniósł rękę. Klein przełknął ślinę i pozdrowił go skinieniem. Abbott odwrócił się i ruszył przed siebie, a ze zmartwiałej dłoni Hobbesa wyleciała mała karteczka i pofrunęła w dół, do pustoszejącego atrium. Wreszcie Abbott i jego ładunek dotarli do ciemnego prostokąta drzwi wyjściowych i zniknęli w absolutnej ciszy.

Ewakuacja dobiegała końca. Klein ruszył w stronę miejsca, w którym upadła mała karteczka, upuszczona przez Hobbesa. Podniósł ją, na wpół rozmokłą od benzyny. Rozchylił brzegi. Paliwo rozpuściło atrament, zmieniając litery w brudnozieloną plamę. Jedyne słowa, które Klein był w stanie odczytać, choć nie miał pewności, czy trafnie, brzmiały:

...złotej karocy
...wiecznej nocy

Włożył karteczkę do kieszeni i dołączył do Wilsona na samym końcu kolejki wychodzących.

Dziedziniec był pełen skazańców, a powietrze aż gęste od mądrości płynących z głośników: tak się jednak składało, że kapitan Cletus i jakiś idiota-pułkownik z Gwardii Narodowej wydawali z gruntu sprzeczne rozkazy. Głównej bramy więzienia strzegł kordon żołnierzy z bagnetami na lufach karabinów.

- To potrwa wiele godzin - zauważył Wilson.

Klein skinął głową. Wizja paru godzin snu na gołym betonie wydawała mu się w tej chwili spełnieniem marzeń. Nagle dostrzegł w tłumie nadchodzącą Devlin. Towarzyszyli jej Galindez z ręką na temblaku oraz jakiś żółtodziób nerwowo ściskający w dłoniach pałkę. Devlin nie umiała ukryć ulgi, którą poczuła na widok Kleina i Wilsona.

- Nic wam nie jest - powiedziała.

- Jedź do domu - odparł Klein. - Tu wciąż jest niebezpiecznie.

- Ty nawet nie wiesz, gdzie jest mój dom - odrzekła Devlin.

- Znajdę go - zapewnił ją.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Ja myślę - powiedziała, po czym zwróciła się do Wilsona. - Chciałam się pożegnać z Wirem.

Wyciągnęła rękę, trochę niezgrabnym gestem, a Wilson ją uściśnął. Cokolwiek mu wręczyła, nie wyszło to najsprawniej. Klein

zerknął na Galindeza, który z zapalem wypatrywał czegoś z zupełnie innej strony. Młody strażnik był zbyt zajęty kontrolowaniem własnego pęcherza, by zauważyć cokolwiek. Wilson przyciągnął Devlin do siebie i pocałował w policzek. Cofnęła się, a Wilson podał rękę Galindezowi. Jego dłoń była już, jakimś cudem, pusta. Galindez uściśnął ją i rzekł:

- Powodzenia. Tobie też - dodał, podając rękę Kleinowi.

Zapadło niezręczne milczenie. Klein miał ochotę położyć się z Devlin na tym betonie, ale potrafił już wyobrazić sobie lepsze miejsce do odgrywania scen miłosnych. Pocałował ją tylko w policzek i ku jego zdumieniu zarumieniła się.

- Pójdę już - powiedziała.

Klein skinął głową.

- Na twoim miejscu pomyślałabym o innej karierze - dodała, zwracając się do Wilsona. - Bycie bohaterem wyraźnie szkodzi zdrowiu.

Wilson uśmiechnął się.

- Może się nad tym zastanowię - odpowiedział i skinął głową w stronę Kleina. - Dbaj o tego pajaca. Jak na białego, jest całkiem w porządku.

Cholera, dostałem błogosławieństwo, pomyślał Klein. W końcu naprawdę jestem całkiem w porządku. Wyprostował ramiona, wyprężył pierś i... syknął z bólu, czując trzeszczenie żeber.

- Chryste - jęknął.

- Nie martw się - odezwał się Wilson - jeszcze go podszkolę.

Devlin uściśnęła dłoń Kleina ostatni raz, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę bramy, w obstawie Galindeza i młodego strażnika.

Wilson i Klein obserwowali ją tak długo, aż stracili z oczu jej łagodnie kołyszące się biodra, a potem jeszcze przez chwilę wpatrywali się w tył jej głowy, nim znikła w tłumie.

- Cholera - mruknął Wilson. - Pies drapał moje zdrowie, ale facet, co z moimi jajami! Już zapomniałem, jak potrafią boleć.

- Masz absolutną rację - zgodził się Klein.

Wilson wyjął z kieszeni paczkę cameli i włożył jednego do ust.

- Masz więcej? - spytał Klein.

Wilson sprawdził. Miał jeszcze jednego. Podał go Kleinowi i zapalili.

- Niech sobie ludzie gadają, co chcą, ale to świństwo jest smaczne.

Wilson pokiwał głową. Przez chwilę zaciągali się w milczeniu.

- Słuchaj no - zagaił wreszcie Klein - zastanawiałem się nad czymś i chyba wolę zapytać o to ciebie, nie Devlin.

- Naprawdę? - spytał ostrożnie Wilson. - O co mianowicie?

- Cóż, właściwie... Jak duży, no wiesz, tak mniej więcej, jest twój ptaszek? To znaczy: twój fiut.

Wilson spojrział na niego.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Pauza.

Wilson uśmiechnął się, a Klein wybuchnął śmiechem.

Wilson zawtórował mu po chwili.

Stali tak we dwóch, w cieniu bloków więziennych i wysokiego, granitowego muru, nad którym nareszcie pojawiła się czerwona łuna świtu, śmiejąc się do rozpuku.

I byli jedynymi w całym tym tłumie skazańców, zgromadzonym na betonowym dziedzińcu zakładu karnego, którym naprawdę było do śmiechu.

A strażnicy i więźniowie spoglądali na nich z konsternacją, podejrzewając, że ci dwaj postradali zmysły.

EPILOG

Podczas wielkiego buntu w Więzieniu Stanowym Green River zginęło w sumie trzydziestu dwóch ludzi, co oznacza, że - ku rozczarowaniu tych, którzy przeżyli - zabrakło jednej ofiary do pobicia rekordu i zapisano tę rebelię w annałach amerykańskiego więziennictwa na drugim miejscu w historii.

Już po południu w dniu zakończenia buntu oddziały Gwardii Narodowej stanu Teksas nie zaskoczyły nikogo, dokonując przypadkowego zapłonu paliwa zgromadzonego w centralnym atrium więzienia. Pożar wywołał poważniejsze uszkodzenia strukturalne niż działania więźniów. Gdy ugaszono ogień, władze rozpoczęły dwutygodniowe przeszukanie budynku, z wykorzystaniem detektorów podczerwieni i psów tropiących. Odkryto zdumiewającą ilość narkotyków, aparatury destylacyjnej i nielegalnej pornografii, a także pięć rozkładających się ciał w jednym z odległych kanałów ściekowych, ale nie natrafiono nigdzie choćby na ślad zwłok naczelnika Johna Campbella Hobbesa. Przy gorącej aprobacie Stanowego Biura Więziennictwa, które pragnęło ustrzec system przed krytyką, prasa zaczęła kreślić wulgarną karykaturę Hobbesa, przedstawiając go jako skorumpowanego rasistę i despotę, którego chore praktyki były wyłączną przyczyną wybuchu buntu - i taką właśnie postacią pozostaje w mniemaniu opinii publicznej.

Trzystu czterdziestu ośmiu ludzi zostało rannych na tyle poważnie,

że wymagali hospitalizacji. Jedynie służbom ratowniczym wschodniego Teksasu należy dziękować za to, że liczba ofiar śmiertelnych nie była większa.

Stokely Johnson został poddany operacji usunięcia kuli z zatoki szczękowej, a następnie przeniesiony do więzienia Huntsville. Jego wyrok został później przedłużony łącznie o osiemdziesiąt cztery lata; była to kara za przestępstwa dokonane podczas buntu w Green River.

Hector Grauerholz na zawsze pozostanie dłużnikiem bohaterkiej ekipy chirurgów szczękowych, którzy podjęli się rekonstrukcji dolnej części jego twarzy. Choć Hector pozostał dotknięty ciężkim, nieodwracalnym upośledzeniem mowy, udało się przynajmniej przywrócić mu zdolność przeżuwania i przełykania miękkich pokarmów. Przeniesiono go do więzienia federalnego dla szczególnie niebezpiecznych przestępców w Marion w stanie Illinois, gdzie umieszczono go na stałe w izolatce. Jako że i tak nie był w stanie wymówić większości spółgłosek i dwugłosek, brak możliwości prowadzenia konwersacji nie był zbyt dotkliwą karą. Grauerholz zapisał się na korespondencyjny kurs pisarski, nauczył się obsługi maszyny do pisania lewą ręką i stworzył powieść o kobiecie nazwiskiem Deveraux, która trudniła się handlem kokainą i świetnie władała bronią palną. Książka miała fatalne recenzje, ale na rynku powieści w miękkiej oprawie stała się kultową pozycją. Pewien słynny nowojorski powieściopisarz rozpoczął kampanię, której celem jest przeniesienie Grauerholza do centrum resocjalizacyjnego, ale sam zainteresowany jest zbyt zajęty pisaniem drugiej części przygód Deveraux, by się tym przejmować.

Hank Crawford, ku swemu zachwytowi, został poddany amputacji lewej nogi powyżej kolana. Pozwoliło mu to wystąpić z pozwem przeciwko stanowi, którego władzom zarzucał karygodne zaniedbanie obowiązków oraz łamanie konstytucyjnych praw obywateli.

Sprawa zakończyła się ugodą pozasądową, a wartość wypłaconej rekompensaty wycenia się na półtora miliona dolarów. Gdy prawnik, który przed laty nieudolnie prowadził pierwszą sprawę sądową Crawforda zapadł w stosunkowo młodym wieku na chorobę Alzheimera, Crawford zaskarżył też z powodzeniem jego firmę macierzystą i zdobył jeszcze większą sumę. Co roku w rocznicę buntu wysłała Kleinowi skrzynkę whiskey The Lagavulin oraz najświeższe zdjęcie swej protezy w malowniczym otoczeniu ud nowej pięknej przyjaciółki w kostiumie kąpielowym.

W wyniku śledztwa Stanowego Biura Więziennictwa Victor Galindez otrzymał naganę za złamanie procedur nadzwyczajnych, prowadzące nawet do ryzyka utraty życia. Wkrótce potem porzucił służbę więzienną i obecnie z zadowoleniem wykonuje obowiązki kuratora zwolnionych warunkowo w Brownsville.

Kapitan Bill Cletus został przeniesiony do Huntsville, gdzie nie był w stanie uzyskać tak wysokich nielegalnych dochodów jak dawniej, co fatalnie odbiło się na jego domowym budżecie. Nauczył się żyć za uczciwie zarobione pieniądze i w rezultacie stracił piętnaście kilogramów wagi.

W krótkich i dość mocno ubarwionych wspomnieniach o buncie, opublikowanych w odcinkach w lokalnej gazecie, a zatytułowanych *Wielkie powstanie w Więzieniu Stanowym Green River*, Cletus subtelnie przeobraził rzeczywiste wydarzenia w pojedynkę charakterów, który toczyli szalony geniusz zbrodni Nev Agry oraz funkcjonariusz więziennictwa o żelaznej woli i wzorowej odwadze, nazywany skromnie Kapitanem. „W porządku, może i są pedałami - szczerką! Kapitan, śmiało przeciwstawiając się tchórzliwemu naczelnikowi Hobbesowi na krótko przed samotną wyprawą zakończoną odbiciem infirmerii - ale to nie oznacza jeszcze, że zasługują na śmierć!” Jedna z wytwórni zakupiła prawa do ekranizacji wspomnień Cletusa, lecz on sam wkrótce zniechęcił do siebie i tak nieliczne grono przyjaciół,

bezustannie wypytyując ich, czy w roli Kapitana widzieliby Schwarzeneggera, czy może raczej Stallone'a. Prawa do ekranizacji nigdy nie zostały wykorzystane, a fakt ten pchnął Billa Cletusa w otchłań zgorzknienia, z której jeszcze się nie podźwignął.

Claude Toussaint został skazany na dożywocie za zamordowanie Neville'a Agry'ego i nigdy nie miał okazji wypić przez słomkę one hundred pipers w barze Alfonsa. I on trafił do Huntsville, gdzie ogolił głowę, zaczął nosić okulary w drucianej oprawie i założył grupę wsparcia dla zarażonych wirusem HIV. Jako że stał się znany jako ten, który wykończył Neva Agry'ego, nikt nigdy nie śmiał go niepokoić, co wyszło mu na dobre. Ponownie został kochankiem Stokeley'ego Johnsona, ale tym razem z wyboru.

Klein pisze do niego regularnie i składa mu wizyty, gdy tylko jest to możliwe, a Claude trzyma się całkiem nieźle i w listach zapewnia, że odkrył samego siebie oraz sens życia, choć przecież sprawy te nie intrygowały go zbyt, gdy wiódł życie transwestyty, a wcześniej sutenera.

Podczas chaotycznej ewakuacji więzienia Green River uciekło ośmiu więźniów. Siedmiu schwytano w ciągu tygodnia. Ósmego, Reubena Wilsona, po raz ostatni widzieli doktor Juliette Devlin i sierżant Victor Galindez, podczas ucieczki w dniu zakończenia buntu. Nigdy go nie schwytano, ale pozostaje na liście poszukiwanych przez FBI.

Juliette Devlin nie dokończyła swych badań i nie rozwinęła badania pilotażowego, które przeprowadziła z Rayem Kleinem i Earlem Coleym, choć stało się ono modelem, według którego prowadzili swe prace inni badacze. Devlin zrezygnowała też z praktykowania psychiatrii sądowej, twierdząc, że dowiedziała się na ten temat już wszystkiego, czego chciała się dowiedzieć. Dokonała dramatycznego zwrotu w karierze, w kierunku psychiatrii dziecięcej, choć jej zdaniem był to krok zupełnie logiczny. Udowodniła swój wyjątkowy

talent do tej pracy, za co została nagrodzona dwuletnim stypendium badawczym w Chicago. Pewnego dnia dotarła do niej przesyłka nadana w Paryżu, która zawierała dwa stare klucze oraz list następującej treści: „Koniec z bohaterstwem. Koniec z sinymi jajami. Dzięki za udostępnienie pokoju!”, podpisany jedynie literą W. Choć nie było na niej adresu zwrotnego, Devlin planuje zaciągnąć kiedyś Kleina do Paryża i odszukać pana W., lecz powodzenie tego przedsięwzięcia zależy od zbyt wielu trudnych do przewidzenia czynników.

Po ciało Earla Coleya nikt się nie zgłosił i wydawało się, że skończy na Potter's Field, aż Klein odebrał je osobiście i wysłał do New Jersey, gdzie Żaba został pochowany obok swego ojca. Na obu nagrobkach znajdują się stosowne dane oraz dopisek „Najdzielniejszy”. Devlin odnalazła rodzinę Coleya i każdemu z jej członków wysłała egzemplarz artykułu, ale otrzymała odpowiedź tylko od jego córki, która podziękowała jej za miły gest.

Klein wziął udział w jeszcze jednym pogrzebie - Vinniego Lopeza. Był tam gościem honorowym, a gdy zapadł zmrok nad naprędce skleconymi stolikami, ustawionymi w biednym zaułku San Antonio, połało się wiele łez i wiele piersi uniosło się z dumą, gdy Klein opowiadał o tym, jak Vinnie ocalił mu życie w straszliwej bitwie, oraz o tym, jak dzielny Vincent Rodrigo Garcia Lopez zginął jak prawdziwy mężczyzna, broniąc swych *compadres*.

Po zakończeniu buntu Klein spędził dziesięć dni w szpitalu, pod strażą, cierpiąc na zapalenie tkanki łącznej w lewej nodze, wywołane bez wątpienia obecnością mikroobów z Green River. Na tym samym oddziale przebywał Sonny Weir - to od przymusowej amputacji jego ramienia rozpoczął się bunt. Na sąsiednim łóżku, obok Kleina, leżał Colt Greely, który powracał do zdrowia po rekonstrukcji kolana i naprawie urazów czaszki. Colt uważał się za dłużnika Kleina, bo gdyby Klein nie połamał mu czaszki i kolana oraz nie porzucił w toalecie w celi w bloku B, Stokely Johnson bez wątpienia powiesiłby

go wraz z pozostałymi trzema białymi, którzy ucięli głowę pewnemu czarnuchowi. Po wielu namowach Klein zgodził się, by Greely wykonał tatuaż na jego lewym ramieniu, oczywiście za pomocą sterylnej igły i strzykawki. Dzieło wyobraża ciemną wieżę trafioną piorunem, a na półkolistym polu poniżej widnieje napis: *Virescit vulnere virtus*. Devlin, która w pierwszej chwili z czystego rozsądku była oburzona pojawieniem się tej ozdoby, wkrótce przekonała się, że dzieło Colta wzbudza w niej gorące pragnienie zabrania Kleina do domu i pieprzenia się z nim do utraty tchu. Sam Klein uważa, że jest to najbardziej czadowa rzecz, jakiej się w życiu dorobił, oraz nigdy nie przestaje przypominać Devlin, że to autentyczna pamiątka z więzienia, a na dodatek - przynajmniej w sensie formalnym - ostatni tatuaż, jaki wykonano w Więzieniu Stanowym Green River.

Ray Klein i Juliette Devlin zostali parą i nawet w chwilach najgłębszego przygnębienia Klein przyznaje uczucie, że cholernie dobrze się złożyło. Choć teoretycznie jest to zawsze możliwe, w praktyce Klein porzucił nadzieję, że kiedykolwiek będzie mógł praktykować medycynę, ale skrycie fantazjuje, że może kiedyś uda się gdzieś w rejon działań wojennych, zabierając ze sobą komplet narzędzi. Gdy Devlin przeniosła się do Chicago, podążył za nią, a dzięki znajomości karate oraz kryminalnej przeszłości znalazł posadę kierownika w klubie jazzowo-bluesowym. Ku swemu zaskoczeniu polubił nocne życie, a pewnego dnia zwrócił się do milionera Hanka Crawforda z prośbą o pożyczkę na otwarcie własnego niewielkiego baru ze scenką bluesową. Crawford pomógł mu z przyjemnością, stając się „uśpionym współnikiem”, jak to nazywał, i nadal z przyjemnością pojawia się znienacka w lokalu Kleina, z wysoką i urodziwą Teksanką pod każdym ramieniem, niczym współczesny Alphonse Capone. Klein nazwał swój klub Nine Below Zero, a jego

reputacja w Wietrznym Mieście nieustanie się poprawia. Od czasu do czasu w gościnnych progach klubu pojawia się któryś z uczestników buntu, by posiedzieć z Kleinem do białego rana, paląc jego cemele i wskrzeszając duchy z dawnych lat. Jeden z nich, Albert Myers, który stracił wzrok w lewym oku, został nawet na stałe, jako barman.

Co się zaś tyczy innych duchów, to więzienie zostało opuszczone, zamknięte i nigdy więcej nie posłużyło żadnym celom - ani resocjalizacyjnym, ani żadnym innym. Stoi po dziś dzień w rzecznej dolinie Green River i - zdaniem wszystkich - jest domem już tylko dla szczurów, powoju oraz kilku rodzin ptaków wędrownych. Zdaniem wszystkich, ale nie Raya Kleina.

Bo od czasu do czasu, gdy jest mu ciężko na sercu i nie może otrząsnąć się z melancholii, Klein udaje się samochodem w długą drogę na południe i przez całą noc włączy się samotnie wokół tych wysokich, kamiennych murów, których granitowe korzenie sięgają tak głęboko w ziemię. I czasem, gdy od zatoki wieje ciepły wiatr, pojękując w gzymsach opustoszałych wież wartowniczych, Klein słyszy wewnętrzny głos: głos Słowa. I Henry'ego Abbotta. Klein wierzy bowiem - i nikt go nie przekona, że jest inaczej - iż Człowiek i jego Bóg, Człowiek i Bóg, wciąż przechadzają się po tych pustych galeriach wszechświata, który wybrali na swój dom. Siedząc w błasku gwiazd i opierając się plecami o nabijaną żelazem bramę, Klein słucha z zachwytem, jak Słowo przyzywa Henry'ego z ciemności i opowiada mu raz jeszcze o sprawach, które się dokonały, i o niepojętej, umęczonej rasie, która toczyła bój i odeszła, tworząc historię buntu w Green River.